F. KONECZNY

POLSKIE LOGOS A ETHOS

POLSKIE LOGOS A ETHOS

FELIKS KONECZNY

POLSKIE LOGOS A ETHOS

ROZTRZĄSANIE O ZNACZENIU I CELU POLSKI

TOM I.

POZNAŃ ▪ 1921 ▪ WARSZAWA
KSIĘGARNIA SW. WOJCIECHA

Printed in Poland

NA ŻYCZENIE AUTORA KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA STWIERDZA, ŻE RĘKOPIS ODDANY BYŁ DO DRUKU W CAŁOŚCI W PIERWSZEJ POŁOWIE PAŹDZIERNIKA 1920 ROKU

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

Rozdział wstępny.

W ogniach wojny powszechnej przetopiły się potworne przęsła pancernej budowli XIX wieku; leżą poskręcane na grzęzawicy podmokłej krwią całego pokolenia wszystkich niemal ludów ziemi. Krwią zlane pokolenie siedzi na zgliszczach, zbiedzone, przygnębione, i nawet na zwycięzcach znać jakieś posępne skupienie. Zwycięzcy, jakby nagłym tknięci paraliżem, stanęli bezradni, nie wiedząc, co począć z własnem zwycięstwem. Trudno powiedzieć, kiedy większą i cięższą była powaga chwili; czy, gdy wypowiadano sobie wojnę, czy też obecnie, kiedy od roku już przeszło układa się pokój; to pewna, że dziś stosunki są o wiele zawilsze. Powaga odpowiedzialności wywołuje naprężenie, nie sprzyjające radości życia; to też panuje w całej Europie przygnębienie.

A tymczasem z pod gruzów i zgliszcz słychać raz wraz jakieś ruchy, których nie umie się określić: czy to odruchy są ostatnich konwulsyj gruboskórych potworów, zmiażdżonych dopiero co, czy też zapowiedzi odrodzenia ich? Nasłuchuje przeto w przygnębieniu skąpane w krwi pokolenie, bo ma wątpliwości, czy ziści się owo Dobro, w imię którego wstrząśnięto świat w posadach. Czasem narzuca się rozpaczliwa myśl, czy tylko nie zamienia się starego Zła na jakieś nowe, do którego powstania wojna powszechna sama się przyczyniła? A czy nowe Zło nie będzie gorsze od dawnego? A może to właśnie dobrze, że nie ma się jeszcze pewności, czy owe przęsła pancerne dynastyczności i militaryzmu należą do przeszłości niepowrotnej, czy one istotnie stały się przeżytkami?

Czy wytwarzamy nowe w dziejach pojęcie Dobra powszechnego, czy też zburzywszy ustrój europejski poprzedni, bezsilni do wzniesienia budowli nowej, radzi będziemy, gdy nam się po pewnym czasie uda przywrócić ład i spokój pod tarczą reakcji — oto pytanie naszej doby!

Zasmuca zwycięzców brak pewności, czy osiągnięte będą cele zwycięstwa — i dlatego zamiast triumfalnej radości panuje przygnębienie. Gryzie dusze robak zwątpienia.

Jest kraj w Europie, jakby wyznaczony na zbiór wszelkiej radości: to Polska. Czyż istnieje bowiem na świecie naród, kochający bardziej wolność, umiejący cenić wyżej niepodległość? I oto ziściło się nam to, o co od lat dziecinnych błagaliśmy Pana w codziennym pacierzu! Zwyciężyła wreszcie Sprawiedliwość, oś całego układu duchowego makrokosmu i mikrokosmu, to też pod niebiosa bije łuna radości od całego świata, pragnącego ułożyć się według sprawiedliwości. Czyż kwestja polska nie była probierzem wszelkiego Ideału?

Pomiędzy niebem a ziemią, pomiędzy Ideałem a rzeczywistością służy za pomost tęcza uwita z siedmiu ofiar: poświęcenia, miłości, zachwytu, czułości, z hartu, stałości, niezłomności; po tej wstędze przymierza zstępowały na ziemię wszystkie radości niebiańskie, gdy niepodległość Polski z marzenia stawała się faktem ziszczonym, spełnionym, by się napawać najpotężniejszym w dziejach triumfem Dobra, uproszonym przez ofiary, nakładane dziedzictwem z pokolenia w pokolenie aż oto do skutku. Gdziekolwiek tedy w przestworzach kryła się iskierka radości, wszystkie zbiegły się i złączyły, by świecić ponad Polską wielką zorzą wesela od świata całego. A myśmy to widzieli, myśmy to przeżyli!

Jakiż robak ma gryźć nasze umysły?!

Umysłowość polska kształcona na poziomach, „gdzie graniczą Stwórca i natura", przywykła zdobywać coraz dalsze i głębsze postulaty dla widoków doskonalenia się, pomnaża przez to samo nieustannie wymagania etyczne,

a więc utrudnia zarazem zadowolenie z siebie. Myśl polska, wiedziona przez wieszczów narodowych na szczyty ludzkiego poznania, do najwspanialszych nawykła tam horyzontów, znajduje jednakże w temże swą udrękę. Wysokość wielka polskości, jeżeli ma być utrzymaną, zobowiązuje do również wielkiej głębi obowiązków, a skoro się to rozumie i przyjmuje, ma się do czynienia z nie kończącym się nigdy rachunkiem sumienia.

Chcieliśmy niepodległości, bo się nam należała, i umieliśmy upominać się o nią wyraźniej i dosadniej od jakiegokolwiek innego narodu, nie szczędząc ofiar w żadnem pokoleniu. Ale nigdy — również w żadnem pokoleniu — nie uważaliśmy odzyskania niepodległości za koniec naszej drogi, tylko za początek drogi właściwej, mogącej już naprawdę prowadzić do celu. Niepodległość uważaliśmy i uważamy za środek do skutecznego wspięcia się na szczyty ludzkości, ażeby spełnić wobec cywilizacji powszechnej jak najlepiej nasze obowiązki.

Czy państwo polskie zdatne do tego pochodu ku szczytom, czy społeczeństwo podoła? I czyż rzeczywistość mało gotuje zgryzot Polakowi, zadającemu sobie takie pytania?

A umysłowość polska nie umie się wprost obejść bez roztrząsania tych zagadnień, a że stanowią one rodzaj narodowego rachunku sumienia — skłonność ta świadczy dobrze o charakterze narodowym. Na tego rodzaju roztrząsaniach może się myśl polska i rozszerzać i pogłębiać.

Autokrytyka wysuwać musi oczywiście wszystkie wątpliwości, nie cofając się przed kwestjami najbardziej drażliwemi. Aleć w Polsce minął już dawno, bardzo dawno okres, kiedy-to trzeba było schlebiać, chcąc być słyszanym!

Chromalibyśmy, gdybyśmy nie mogli czerpać otuchy na nowy okres dziejowy z przeświadczenia o naszej wartości i pożyteczności, i wiemy, że znaczenie zależeć winno od wartości. To też musimy wejść odważnie

w zawiłość zagadnienia naszej wartości, które należy ująć jasno i określić ściśle. Wykluczamy odpowiedź na to zagadnienie taką, któraby polegała na indywidualnem czyjemś przekonaniu, a sformułowana byłaby w ogólniki jakieś; trzeba nam odpowiedzi opartej na specjalnych studjach, takiej, któraby posiadała objektywną wartość miary i wagi, wynikając nie z indywidualności samej badacza, lecz z zebranych rzeczowo faktów. Słowem: zagadnienie to winno stać się przedmiotem dociekań naukowych.

Należy wyjaśnić trzy sprawy, a mianowicie:

1) Jaki jest udział Polski w kulturze umysłowej europejskiej?
2) Jaki rodzaj twórczości polskiej, stopień jej natężenia i wydatności?
3) Czy i o ile sprawa polska posiadała lub posiada znaczenie powszechne?

Trzy te pytania stanowią trzy stopnie jednej i tej samej kwestji. Pierwsze, najmniej skomplikowane, posłuży do roztrząsania drugiego, obydwa razem stanowić będą podstawę do szukania odpowiedzi na trzecie z nich.

Myśl polska kołuje niejako ciągle około kwestji, jakie jest znaczenie Polski w dziejach powszechnych, i jaki jej cel? Czy nie próżne, bezużyteczne kołowanie?

Czy się kołuje, czy posuwa naprzód, to już zależy od metody, z jaką się zagadnienie dane traktuje; wszak można kołować napróżno przy wszelkiem zagadnieniu, nawet przy zadaniu matematycznem! Chodzi o to, by nareszcie z kołowania wybrnąć i już nie popaść w nie na nowo. Odszukać trzeba punkt, od którego można zacząć pochód ku prawdzie.

Chodzi jednak o coś więcej: czy samo dociekanie znaczenia i celu jakiegoś narodu jest naukowo dopuszczalne? Czy pewien naród może mieć jakieś specyficzne znaczenie historyczne pod względem cywilizacyjnym i ja-

kiś specyficznie swój cel? Ale wątpliwość może sięgać jeszcze dalej: czy narody wogóle posiadać mogą jakieś cele z poza siebie? czy jedynym celem każdego z nich, wspólnym jednakowo wszystkim, nie jest utrzymanie się? Może naród nie dąży nigdy do niczego więcej, jak tylko do tego, żeby się utrzymać, żeby zabezpieczać sobie byt coraz dokładniej, wszechstronniej i coraz dogodniej? Może walka o byt stanowi jedyne kryterjum życia narodowego, a wszystko bez wyjątku mieści się w tem jedynem zadaniu jego prac i trudów?

Chodzi o to, czy kwestja znaczenia i celu Polski nie jest fikcyjną; czy prosty frazes literacki nie odgrywa roli błędnego ognika?

Nie wymijając odpowiedzi na tę wątpliwość, pójdźmy w ścisłości jeszcze dalej — i zacznijmy od posunięcia wymagań określeń dokładnych, ścisłych, aż do pytania: co to jest naród? Dopóki sobie nie ustalimy tego pojęcia, póki się nie porozumiemy jasno co do znaczenia tego wyrazu — wisiałaby doprawdy w powietrzu cała dyskusja o tem, czy naród może mieć cel jaki z poza walki o swój byt.

Narodowość nie jest wcale czemś danem zgóry. Niema w całym świecie takiej krainy, o której mieszkańcach możnaby powiedzieć, że byli od zarania dziejów przeznaczeni należeć do narodowości danej zgóry, takiej, a nie innej. Samo przyrodzenie, tj. czynniki etnograficzne i antropologiczne, wytwarza z rodów plemię, mówiące wspólną gwarą; z plemion lud, używający wspólnego narzecza — i na tem koniec; związków większych czynniki przyrodzone nie wytwarzają. Narodów, wśród których z narzeczy wytwarza się język narodowy, dostarcza ludzkości historja.

Narodowość nie jest bowiem wcale siłą daną zgóry, przyrodniczą czy antropologiczną, wrodzoną pewnemu żywiołowi etnograficznemu, lecz jest siłą aposterjoryczną, nabytą, wytworzoną przez człowieka, a wytwarzalną dopiero na pewnym stopniu kultury. Są ludy,

wśród których nie wytworzyła się żadna narodowość. Nie można też przewidywać, czy z pewnych ludów wytworzy się narodowość jedna, dwie lub więcej, bo w tej dziedzinie nie rozstrzygają żadne czynniki wrodzone, żadne siły aprioryczne, lecz rozwój historyczny.

I dlatego właśnie tak nam jest drogą narodowość własna, jako wcielenie wszystkich ideałów życia, bo ona jest wytworem pracy, nabytkiem rozwoju, świadectwem udoskonalenia, do którego doszło się ciężkim trudem licznych pokoleń, wśród walk, bolów, zawodów, ale też z myślą przewodnią, mającą wieść do coraz wyższego uduchowienia przyrodzonego materjału etnograficznego, zebranego w naród przez dostojeństwo pracy kulturalnej. A praca ta niemożliwa jest w stopniu wyższym i w zakresie wszechstronnym ani w ludzie, który nie dorósł jeszcze do świadomości narodowej, ani też w kosmopolitycznem „obywatelstwie świata"; praca kulturalna da się bowiem zorganizować wszechstronnie tylko w narodach. Tylko przez naród można służyć skutecznie ludzkości.

Mylne to zapatrywanie, jakoby osobnym było narodem, co jest etnograficznie odrębne! Pewien żywioł etnograficzny może być absolutnie niezdatny na naród — indziej znowu różnolite żywioły etnograficzne składają się na jeden naród. Może być lud opływający w wyraziste wielce odrębności etnograficzne, a pomimo to nie stanowić zawiązku jakiejś narodowości. Pomylenie pojęć etnograficznych z narodowemi prowadzi do mnóstwa pomyłek[1]).

Błędnem też jest mniemanie, jakoby narody istniały wszędzie, gdziekolwiek są ludzie, po całym świecie, jakoby cała ludzkość składała się z narodów.

Ludzkość można dzielić fizycznie i duchowo. Próby podziałów fizycznych na rasy, szczepy i t. d. są po-

[1]) Obszerniej pisałem o tem we wstępie do I. tomu swych „Dziejów Rosji" (Warszawa 1917).

wszechnie znane; jest tych systemów kilkanaście. Wiadome są też systemy filologiczne podziału ludzkości według grup językowych, wielce zawiłe, ogromnie trudne, a zawodne, bo nauka wykryła fakt, że są ludy, zmieniające w ciągu wieków język, nawet kilkakrotnie. Otóż może być inny jeszcze podział ludzkości, trzeciego rodzaju, według sprawdzianu duchowego, a mianowicie według cywilizacyj. Cywilizacje stanowią największe, najrozleglejsze skupienia, mogąc obejmować w sobie społeczności rozmaitych grup językowych i rozmaitego pochodzenia rasowego.

Ze wszystkich cywilizacyj jedna tylko zawiera w sobie pojęcie narodowości: cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna (zachodnio-europejska, łacińska). Poczucia narodowego nie posiada cywilizacja bizantyńska, ani też żadna z azjatyckich: ni arabska, ni turańska, ni chińska, ani też żydowska.

Badanie pojęcia narodowości zawiodło nas do powoływania się na pojęcie cywilizacji. Ależ czy wolno jedną niewiadomą wyjaśniać zapomocą drugiej niewiadomej, również niewyjaśnionej? Należy tedy zadać sobie z kolei rzeczy pytanie, co należy rozumieć przez cywilizację?

Definicja może brzmieć, że cywilizacja, to m e t o d a ustroju życia zbiorowego (więc nie tylko publicznego, bo życie rodzinne również jest zbiorowem, chociaż niepublicznem). W metodach odróżniać należy różnice zasadnicze i drugorzędne odmiany — to też w danej cywilizacji mieścić się może szereg odmian cywilizacyjnych, które zwijmy kulturami[1]). Tak np. w obrębie cywilizacji

[1]) Odróżnianie cywilizacji a kultury w tym sensie, żeby jednego z tych wyrazów używać do oznaczenia zewnętrznej (materjalnej) strony życia, drugiego zaś do wewnętrznej (duchowej), utrzymać się nie da wobec tego, że jedne i drugie objawy splatają się jak najściślej, nierozerwalnie. Wszelka kultura mieści w sobie obie strony: duchową i materjalną, które rozwijają się historycznie mniej więcej równocześnie i równolegle. Ponieważ

chrześcijańsko-klasycznej (łacińskiej) mówimy o kulturze polskiej, która stanowi wprawdzie jedność cywilizacyjną z kulturą francuską, angielską i t. p., a jednak posiada swe odrębności i to wybitne. Odrębność kulturalna nie wymaga zresztą odrębności etnograficznej. Na rozmaitem podłożu etnograficznem istniała np. średniowieczna kultura rycerska.

Definicja potrzebną jest do ścisłości rozumowania, lecz przedmiot sam wyjaśnia się dopiero przez stwierdzenie objawów, cech zasadniczych i najważniejszych cech znamiennych (czyli charakterystycznych)[1]) — zastanówmy się więc nad cechami pośród objawów cywilizacyj.

Pełnia cywilizacji polega na tem, żeby posiadać takie ustroje życia prywatnego i publicznego, społecznego i państwowego, tudzież taki system moralno-intelektualny, iż wszelkie dziedziny życia, tak uczuć, jako też myśli i czynów, tworzą zestroje o jednolitym umiarze, konsekwentne w zespole swych idei. Niewszędzie atoli panuje pełnia cywilizacji. Są cywilizacje bardziej i mniej wielostronne, jednolite i mieszane, oryginalne i naśladowcze, w całości naśladowcze lub częściowo; są twórcze kultury i bierne, płonące światłem własnem i pożyczanem; są cywilizacje pełne i niepełne; są kultury i półkultury.

Zasadnicze cechy cywilizacji wynikają z tego, czy opiera się ona na religji lokalnej (względnie wyłącznie szczepowej), czy też na uniwersalnej; czy mieści w sobie pojęcie narodowości, czy też obchodzi się bez niego; czy posiada odrębne prawo publiczne, czy też państwo-

---

zaś zachodzi potrzeba odróżniania c z ę ś c i cywilizacji (np. polskiej) od całości (łacińskiej), — proponuję używanie wyrażeń: kultura, cywilizacja — na oznaczenie tego właśnie stosunku części do całości. Nie będę się upierał przy tej terminologji, jeżeli kto wskaże inną.

[1]) Z a s a d n i c z e, bez których przedmiot przestałby być sobą; z n a m i e n n e: przedmiot od przedmiotu odróżniające w sposób najwidoczniejszy, najuchwytniejszy dla zmysłów wogóle.

wość opiera się na rozszerzonem prawie prywatnem; wreszcie: czy organizacja społeczna może być samodzielną, czy też spływa w jeden system z organizacją państwową.

Do najważniejszych zaś cech znamiennych rozmaitych cywilizacyj należą: pojęcia świętości, własności, zwłaszcza ziemskiej, i małżeństwa, w czem w związku prawo familijne i spadkowe, wreszcie dwie ogólne kategorje myślenia: jak zapatrują się gdzieś na jedność a jednostajność, na rozmaitość a rozbieżność, o ile mieszają jedno z drugiem, identyfikują lub też odróżniają ściśle jedno od drugiego. Np. bizantynizm nie pojmuje jedności inaczej, jak przez jednostajność, a rozmaitość uważa za zaprzeczenie jedności.

Tylko jedna tedy z metod ustroju życia zbiorowego, metoda cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej, dopuszcza do rozwoju pojęcia narodowości; jest ono nawet zasadniczem w obrębie t e j cywilizacji. Inne cywilizacje mają inne znów zasadnicze pojęcia, a żadna z cywilizacyj nie posiada wszystkich pojęć tyczących życia zbiorowego — i stąd trudność wzajemnego zrozumienia się, skoro członkowi pewnej cywilizacji może być brak zupełnie pojęcia, najbardziej właśnie rozpowszechnionego w innej.

Nie było bowiem nigdy, ani obecnie niema jakiejś cywilizacji ogólnej, powszechnej, wszechludzkiej, lecz w rozmaitych miejscach i w różnych czasach powstawały odrębne cywilizacje. Cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna jest dalszym ciągiem rzymsko-helleńskiej, uprawianej na chrześcijańskiem podłożu. Pojęcie narodowości pochodzi w samej istocie swej ze świata klasycznego, jakkolwiek uległo znacznemu rozszerzeniu i pogłębieniu. Dla Hellena narodowościami odrębnemi były zrazu Ateny i Sparta, ale już Herodot zwraca uwagę na jedność Hellenów, a Rzym doszedł do tego, iż wszystkich Italików uznał współobywatelami, rodakami. Dalszy rozwój pojęcia narodowości ucierpiał przez dopuszczenie wpływów azjatyckich (z cywilizacyj nie posiadających

tego pojęcia), a bizantynizm (powstały z mieszaniny klasyczno-orjentalnej) pojęcie to całkiem utracił. Zanika ono i w zachodniej Europie w okresie upadku studjów klasycznych, ażeby pojawić się na nowo na tle chrześcijańskiem stosunkowo bardzo późno. Najwcześniej stało się to w Polsce (w wieku XIV); w innych stronach Europy wytwarza się pojęcie nowożytne narodowości mniej więcej równocześnie ze wskrzeszeniem studjów klasycznych. Humanizm był prądem powszechno-europejskim, ale przyczyniał się jak najbardziej do uświadomienia indywidualności narodowych, właśnie dlatego, iż stanowił odbicie pojęć klasycznych.

W jakiż sposób zrzeszają się społeczności w cywilizacjach nie posiadających pojęcia narodowości? Rzućmy okiem jeszcze na te objawy dziejowe, a odpowiedź na pytanie: czy naród może mieć cel jaki z poza walki o byt — nasunie się sama przez się.

Ani Hunowie, ani Chazarzy, ni Mongołowie, ni Tatarzy średniowieczni, ani Turcy następnych wieków nie byli nigdy narodem. Wśród Turańców może lud utracić nawet całkowicie język ojczysty, dojść tedy do tego, co według naszych pojęć jest już samem dnem wynarodowienia, a jednak nie przestać być tem samem, czem był przedtem. Tak np. potomkowie owych Mongołów, którzy zdobyli Ruś w XIII. w., mówią narzeczami tureckiemi; turecka zaś grupa językowa nie ma etnograficznie nic wspólnego z mongolszczyzną, lecz jest równorzędną grupie fińsko-ugryjskiej, jako drugi dział północnych Turańców. Mongołowie przyjęli tedy mowę turańską, nie przestając być Mongołami. Podział językowy nie łączy się w Azji niemal nigdy z innemi cechami etnograficznemi. W Azji zgoła nie można mówić o narodach, czy choćby o ludach, skupiających się historycznie według powinowactwa językowego. W chaosie ludów azjatyckich można grupować tylko języki, ale nie ludy same.

Nie tylko nie było narodu huńskiego, chazarskiego i t. d., ale właściwie nie było nigdy jakiejś etnograficznej

społeczności huńskiej, madiarskiej, mongolskiej, chazarskiej, mandżurskiej, tatarskiej lub tureckiej. Były to związki polityczne r o z m a i t y c h ludów, występujące pod owemi nazwami, a złożone pod względem etnograficznym wielce niejednolicie.

Społeczności historyczne azjatyckie są zrzeszeniami nie etnograficznemi, lecz wyłącznie politycznemi. Hasła, pod któremi dokonywały się w Azji formacje społeczeństw, bywały ekonomiczne i społeczne. Wśród ludów cywilizacji turańskiej ekonomiczne działały silniej, a na pierwszy plan wysunął się pewien rodzaj walki o byt, znany w Europie zaledwie w minjaturze: utrzymywanie się z rzemiosła wojennego. Ten rodzaj walki o byt stał się w Azji pierwszorzędnym czynnikiem twórczym społeczeństw i państw. Wyobraźmy sobie zaciężne najmictwo, ogarniające całe narody! Najbardziej odznaczały się w tym kierunku ludy tureckie; te ludy — to p u ł k i; przybierają też często nazwy od wodzów (np. Osman).

Czynniki polityczne odegrały też w tworzeniu się społeczeństw azjatyckich rolę znacznie większą, bardziej rozstrzygającą, niż w Europie. Nad Azją historyczną przewalały się losy dłużej, ciężej, wszechstronniej i częściej, niż nad Europą. Społeczeństwa azjatyckie przerabiały się, przetwarzały, rozchodziły i skupiały na nowo a odmiennie, przemianami takiemi, wobec których rewolucje europejskie i nasze zmiany państwowe wydają się ledwie drobnemi odmiankami jakby rzeczy w istocie swej niezmiennych.

Wystarczy zestawić choćby tylko kondotjerstwo w Europie a w Azji. Metoda zrzeszania się wojskowego tworzyła w Azji całe cywilizacje, kiedy w Europie zdołała posłużyć za podłoże ledwie drugorzędnym lokalnym dynastjom. Nawet handel schodził w Azji na plan drugi wobec wyolbrzymionego kondotjerstwa. Turecki „kagan", to przedsiębiorca wojskowy, zamieniony we władcę. Gdy odwróci się od niego fortuna, i gdy nie może

już opłacać swych poddanych-żołnierzy, rozpuszcza ich, a ludy-pułki jego szukają utrzymania pod innym jakim sztandarem. Losy wojny, świecąca lub gasnąca gwiazda kagana-kondotjera rozstrzygały o tworzeniu się i zaniku ludów Azji turańskiej i mongolskiej. W taki-to sposób, kondotjerstwem, powstało społeczeństwo polityczne Mongołów Niebieskich, zdobywców wschodniej Europy, złożone z 45 ludów, urządzonych po wojskowemu. Wielki ich organizator Temudżin wyrósł na kondotjerstwie w Chinach, aż wkońcu sam Chiny zdobył. On to utworzył pierwszą w wiekach średnich armję regularną, z kadrami oficerskiemi i regularnym awansem, z kwatermistrzostwem i sztabem generalnym, ze studjami strategicznemi — i dzięki temu był niezwyciężonym. A gdzie siła fizyczna zorganizowała się raz w militaryzm, tam polityka musiała pozyskać przewagę stanowczą ponad wszelkiemi innemi kategorjami życia zbiorowego. Historję Azji możnaby też scharakteryzować jednem słowem, jako elephantiasis polityki.

Na azjatyckich społecznościach studjować można kwestję ciekawą nie tylko dla historyka, na co narażone są zrzeszenia polityczne, nie mające innego celu jak tylko walkę o byt. Niema bowiem w całej Azji — ani w Indjach, ani w Chinach — społeczności, której geneza nie tkwiłaby wyłącznie w przyczynach ekonomicznych. Nauka, męstwo wojenne, poezja, wszystkie przejawy myśli i uczucia zwrócone są i używane w tym jednym kierunku: dla ułatwienia walki o byt. W tym tylko celu istnieją tam państwa, bo tylko z tej przyczyny powstawały. Wyłączność ta nie zdała się jednak na nic: ludy turańskie i mongolskie były i są ubogie, najpracowitsze Chiny najwięcej cierpią głodu, a najbardziej uduchowione Indje zdobyły się w swej myśli filozoficznej tylko na prymitywne odrzucenie wszelkiej walki o byt, na podniesienie nędzy do godności zasady.

Cywilizacje, nie nakładające swym uczestnikom innych obowiązków, ani nie wskazujące innych celów, jak

tylko materjalne, wynikające z walki o byt, nie dochodzą przeto zgoła do pojęcia narodowości. A zatem pojęcie to możebne jest tylko tam, gdzie społeczności zrzeszają się nie tylko ze względów ekonomicznych i ekonomiczno-politycznych, a zrzeszone wytykają sobie cele z poza walki o byt. Gdyby było inaczej, historja Europy nie różniłaby się od historji Azji, i nie byłoby w Europie narodów.

Zestawienie Europy i Azji doprowadza do wniosku, że naród nie tylko może mieć cel z poza walki o byt, ale naprowadza wprost na definicję, że naród jest to społeczność ludów zrzeszonych do celów z poza walki o byt. Walka ta stanowi dla narodu tylko środek do celu. Sama ta walka nigdy narodu nie wytworzy, ani nawet z innych przyczyn wytworzonego, nie utrzyma. Gdy naród nie ma innego zajęcia, jak tylko samą walkę o byt, gdy przyświecają mu same tylko cele ekonomiczne, zbliża się do upadku.

Celem jedynym istotnym narodu nie może być samo utrzymanie narodowości, w materjalnem znaczeniu tego wyrazu, skoro narodowość powstaje z przyczyn nie tylko materjalnych. Utrzymanie narodowości mieści tedy w sobie bezwarunkowo pierwiastki z poza walki o byt; gdyby je przeto zlekceważono, zachwiać musiałaby się sama istota narodowości, słabnąć i upadać. Naród nie tylko więc może mieć cele z poza walki o byt, lecz mieć je musi; inaczej ginie.

Wykreślmy z życia narodów europejskich tę cechę, a zamienimy się po niedługim czasie w społeczności azjatyckie. Wiek XIX próbował tego — i obdarzył Europę militaryzmem, przerostem polityki, międzynarodówkami i t. p., zbliżając się do azjatyckich form zrzeszania się. Dochodziło się wreszcie do tego, że sztuka i nauka poczynały się wysługiwać militaryzmowi i handlowi...

Ale nie o porównania cywilizacyj tu chodzi, więc przerwijmy te uwagi, skorośmy doszli do tego, czego nam

było trzeba, tj. żeby uzyskać określenie narodowości i wykazać, że dociekanie znaczenia i celu pewnego narodu jest naukowo dopuszczalne.

Celowość nie cieszy się wogóle opinją „naukowości", dzięki pewnego rodzaju sekciarstwu, które wykluczało tę kategorję myślenia, odsądzając ją zgóry od wszelkiej wartości naukowej; ta zastrzeżoną była wyłącznie dla przyczynowości. Jednostronność ta przenosiła się z nauk przyrodniczych na humanistyczne, i w zakresie Historji słyszało się jako o najwyższem zadaniu tej nauki, tylko o wytłumaczeniu „przyczynowego związku faktów". Nigdy nikt nie przypuszczał możliwości celowego faktów związku.

Zastrzec się trzeba, że co innego przyroda, a co innego objawy historyczne. Przyjęto a priori, że jednakowe są prawa materji a ducha, przyrody a umysłowości i popełniono grubą pomyłkę.

Badanie stosunku praw świata materjalnego do praw świata duchowego stanowi najwyższy szczyt nauki; ale też trzeba prawa każdego z nich badać zosobna i następnie porównywać. Orzekanie, że znając prawa przyrody, zna się prawa wszelkich objawów życia; zbadanie jednej tylko dziedziny i odniesienie jej praw w czambuł do drugiej, bez specjalnych dochodzeń, mocą apriorystycznego jakiegoś dekretu — było postępowaniem zaiste wielce nienaukowem.

Zdaje mi się, że stosunek świata fizycznego do duchowego jest pod tym względem trojaki: niektóre prawa są wspólne, niektóre działają wręcz przeciwnie, nadto zaś każda z tych dziedzin ma prawa wyłącznie swoje, nie zachodzące w dziedzinę drugą ani pozytywnie, ani negatywnie.

Np. wspólnem jest prawo bezwładności. W świecie duchowym, również jak w materjalnym, działa wszelka siła jeszcze przez pewien czas po zamknięciu swego źró-

dła. Dla przykładu zwróćmy uwagę, jakto Niemcy zachowują się wciąż jeszcze tak, jak gdyby prusactwo miało nadal kierować niemi i Europą wschodnią. Podobnież i Polska ulega ciągle jeszcze siłom z czasów rozbiorowych; dość wskazać na tę (zabawną zaiste) okoliczność, że w sejmie walnym Rzplitej niepodległej, w całej organizacji wyborczej, w dziennikarstwie i t. d. istnieje nadal podział na stronnictwa według szablonu z r. 1913. Świat cały zmienił się, a stronnictwa polskie używają dla siebie kryterjów... pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia; a co najciekawsze, o kryterja te (faktycznie już nie istniejące) wre w najlepsze walka stronnictw! Na podobne objawy możnaby zwrócić uwagę we wszystkich krajach europejskich, jakkolwiek nie w tak wielkim stopniu jak w Polsce.

Bywa zaś, że pewne prawo dziedziny materjalnej zamienia się na wręcz przeciwne w duchowej. Np. chyżość na obwodzie ciała będącego w ruchu jest większa, niż w części środkowej, najmniejsza zaś przy samem centrum; chyżość taka wzrasta z długością promienia. Wręcz przeciwnie ma się z chyżością socjologiczną i historyczną:[1]) jest ona największą właśnie w centrach (w stolicach, w prowincjach centralnych).

Najdonioślejszem zagadnieniem z dziedziny ducha jest dociekanie prawa wzajemnego przestrzennego stosunku cywilizacyj. Prawo fizyczne nieprzenikliwości nie obowiązuje tu, boć na tem samem miejscu mogą istnieć obok siebie i rozwijać się rozmaite cywilizacje, jakto wi-

---

[1]) O chyżości historycznej zob. „Przegląd Powszechny" z maja 1920. — Bardzo ważny przykład stosunku prawa materji do świata duchowego podaje Erazm Majewski w swej „Nauce o cywilizacji", tom III, str. 369: „Gdy bowiem zwykłej energji lub materji musi koniecznie ubywać tyle w jednem miejscu, ile przybywa w innem — nie tak jest z potęgą duchową. Ta może przyrastać bez żadnej straty dla miejsc, skąd się rozchodzi, bo właściwie nie rozchodzi się ona znikąd — tylko bywa wzbudzana pod wpływem istniejącej już gdziekolwiek potęgi".

dzimy we wszystkich niemal znaczniejszych ogniskach Orjentu i... w Polsce (cywilizacja żydowska obok łacińskiej, w niektórych stronach nadto słowiańsko-turańska kultura). Być może, że kultury zachodzą wzajemnie na siebie jak koła od dwóch kamieni rzuconych do stawu (doświadczenie Lionarda da Vinci) — a może nakształt krzyżowania się fal świetlnych? Może okaże się, że co innego nieprzenikliwość materji, jako masy, a inna sprawa z ruchem fal objawów fizycznych (głosu, światła, elektryczności); może więc objawy duchowe podlegają prawom objawów ruchowych, ale może zachodzi tu podobieństwo tylko częściowe, lub nawet pozory tylko łudzące przy pierwszem badaniu, niedokładnem i jednostronnem, a które rozwieją się przy dalszem studjów pogłębieniu. Narazie cała kwestja zamyka się jeszcze w tem, że... można zwrócić uwagę na jej istnienie.

Skoro zaś naukowe badanie stosunku praw materjalnych do duchowych jeszcze właściwie nie rozpoczęte, nie można braku celowości w przyrodzie odnosić do świata duchowego. Choćby przyrodnicy zupełnie byli zgodni, co do zarzucenia celowości (zagadnienie to należy pozostawić oczywiście im samym w zakresie przyrodoznawstwa), nie może to powstrzymać humanisty od zaznaczenia celowości, ilekroć znajdzie sposobność stwierdzenia jej w zakresie swych badań. Czas już spory na reakcję pod tym względem! Myślenie jednostronne pod kątem wyłącznie przyczynowości osłabiło nadzwyczaj duchową sferę życia, wzmógłszy nieproporcjonalnie materjalną. Co gorsza, osłabiło niesłychanie kulturę czynu, która musi się opierać na poczuciu celowości, bo inaczej wyradza się w odruchowość, w marnowanie energji na próżne zabiegi i wysiłki. Błędne koło czynu stało się nieuchronnem następstwem błędnego koła myśli. Monopol przyczynowości wprowadził nas zaiste w błędne koło monomanji umysłowej.

Przyczynowością wyjaśnić można nie wszystko z tego, co już j e s t, z tego zaś, co b ę d z i e, to tylko, co się

stać ma samą siłą bezwładności, jako prosty wynik tego, co było. W kategorji przyczynowości nie mieści się tedy nic istotnie nowego. Ludzie umiejący myśleć tylko przyczynowo, kształcący się wyłącznie zapomocą dociekania przyczyn, niezdatni są przeto do wzbogacenia zasobów kulturalnych żadnym nowym pomysłem twórczym; umieją tylko przerabiać i przeżuwać rzeczy stare, a zatem cofają rozwój ludzkości, bo odnoszą wszystko do kategorji przeszłości, w której zawsze tkwi przyczyna. Przestarzałość ich punktu widzenia, zakrywana frazesem, wychodzi jednak najaw w skutkach. Chociaż, doszukując się nieustannie nowych przyczyn, wysnuwają z tego wnioski nowe, wszystkie one oparte są z konieczności na przeżytkach, to też stosowane do przyszłości wywołują skutki wręcz przeciwne zamierzonym, bo cofają rozwój społeczeństwa. Z samej bowiem przyczynowości spraw przeszłych nie da się wykrzesać nic nowego, tj. zdatnego do życia w przyszłości, wiodącego ku postępowi. Nowy wniosek, wysnuty tą drogą, stanowi ledwie odkrycie nowej formy dla rzeczy przestarzałej. W taki sposób powstał cały ruch socjalistyczny. Stanowi on zajmujący przykład, jak niezdolni są do usunięcia przyczyny ludzie myślący wyłącznie przyczynowo: socjaliści zrezygnowali już dawno z usuwania przyczyn zła w nowoczesnym ustroju społecznym, nie mogąc wybrnąć ze swego błędnego koła inaczej, jak tylko postanowieniem rozwiązania całego ustroju społecznego. To też rewolucja, która miała być środkiem, stała się dla nich sama celem, i tak kręcą się wkółko.

Zdawanie sobie sprawy z przyczynowości zjawisk jest oczywiście nieodzownym warunkiem wykształcenia nowoczesnego człowieka; ale chodzi o to, żeby nie uważać tego za jedyny sposób myślenia „naukowego“, i nie używać, a właściwie nadużywać metody tej do wszystkiego z zaniedbaniem metod innych, a zwłaszcza myślenia celowego. Jednostronność doszła do tego, że w szkołach średnich naucza się wyłącznie według kategorji

przyczynowości. Być rozumnym, znaczy według tego przepisu, umieć w każdej sytuacji życia odpowiedzieć na pytanie: dlaczego?

Praktyka życia poucza jednakże, że niema absurdu, którego nie dałoby się pokryć formułą przyczynowości. Musi to bowiem wieść do absurdu, jeżeli stosuje się przyczynowość w takich objawach życia, z któremi ona nie pozostaje wogóle w żadnym związku, gdzie stosowanie jej jest naciąganem, a pochodzi stąd tylko, że się nie umie myśleć pod inną kategorją. Czyż np. biurokracja nie umie napoczekaniu usprawiedliwić największych swych nonsensów powołaniem się na przyczynowość? Napoczekaniu wytłumaczą, d l a c z e g o muszą coś robić wbrew rozsądkowi! Wyłuszczają nawet w takich wypadkach zwykle po kilka przyczyn. Wogóle nigdy nie brak nikomu z naszego pokolenia odpowiedzi na pytanie: dlaczego, bośmy wyćwiczeni w tem na wszystkie strony od ławy szkolnej. Obfitujemy też w zdolności „krytyczne", mniej zdolni do twórczości.

Nie umiemy też patrzeć z otuchą w przyszłość, bośmy przywykli wyobrażać ją sobie, jako skazaną zgóry na pewien kształt nieuchronny, skutkiem „przyczynowego związku faktów". Skoro zaś przyszłość zgóry jest „zdeterminowana", na nic myśleć o tem, jaką ona być winna i starać się, żeby była taką, jak tego pragnęlibyśmy; pragnienia nasze nie mają tu nic do rzeczy, a cała inteligencja nasza wysilać się musi jedynie nato, by odgadnąć, obliczyć to, co jest nieuchronnem i nieodwrotnem i... zastosować się do tego z jak najmniejszą dla siebie szkodą, a jeżeli się da, więc z jak największym zyskiem. Oto ostatni skutek ekskluzywności myślenia według kategorji przyczynowości. Można to śmiało nazwać niedołęstwem życiowem. Wypadki przewalają się nad biernymi świadkami toku dziejów, z których najlepsi, myślący myślą tylko o tem, jaka przyczyna tego, co się koło nich dzieje. O kierowaniu wypadkami, o zapobieganiu złemu jakżeż trudno mówić z takimi ludźmi; o wytwarza-

niu zaś dobra, o tworzeniu wypadków nie da się z nimi mówić zgoła.

A jednak możebnem jest tworzenie wydarzeń! Gdybyśmy choć połowę zabiegów, zużytych na pogrzebanie w inteligencji europejskiej kategorji myślenia celowego, użyli na wskrzeszenie tej zdolności, jeszcze bylibyśmy ocaleni z odmętu straszliwego, w jaki nas pogrążyła bierność ostatnich pokoleń, nie posiadających już kultury czynu celowego, tj. zastosowanego nie do wniosków wysnutych z dociekania przyczyn, ale do pragnień cywilizacyjnych.

Można posiadać zdatność do czynu, nawet wielką, a przejść przez życie biernym, lub co najwyżej zerwać się czasem do jakiej akcji na niedługą metę i nie wymagającej wysiłku woli. Człowiek istotnie czynny jest czynnym zawsze; on nie zna wypoczynku poza fizjologiczną koniecznością, bo nie da mu spokoju popęd twórczy: on musi tworzyć. Sto przeszkód koło niego nie poradzi wątkowi twórczości, który on snuje z siebie samego. Okolicznościami zmuszony, będzie zastosowywał twórczość swą w kierunku innym, niżby pragnął, ale nie da jej spocząć. Epizodyczność czynu nie stanowi zgoła niczego o charakterze pewnej osoby, boć największy nawet niedołęga lub leń może być okolicznościami zmuszony do wyjątkowego okazania czynności, (np. egzamin, a nawet praca naukowa jednorazowa celem pozyskania bezpośredniej korzyści). Niema tak biernego „zjadacza chleba“, któryby nie potrafił przybrać wyjątkowo na się roli umysłu twórczego. Ogólna zdatność do czynu jest powszechną — a jednak niewszyscy są na tym świecie czynnymi.

Podobnież powszechna jest zdatność do myślenia. Wyjątkowo ktoś skazany jest przez macoszą dla siebie przyrodę na niemożność myślenia; są to matołki, chorzy pewnego rodzaju i t. p., osobniki, które fatalnym a wyjątkowym trafem znalazły się poza linjami ludzkiego przyrodzonego rozwoju. To wyjątki, o których możnaby po-

wiedzieć, że stwierdzają tylko regułę. Z reguły każde dziecko zdatne jest do rozwinięcia w sobie myślenia nie tylko spostrzegawczego, ale krytycznego (chociaż w stopniu niejednakowym). Niebardzo przesadzę, jeżeli powiem, że każde dziecko mogłoby wykształcić się na umysł krytyczny, a jednak jakżeż mało ludzi przywykło do myślenia krytycznego!

A nie można nawet powiedzieć, żeby do tego byli na ogół niezdatni, bo gdy chodzi o bezpośredni interes osobisty, o niebezpieczeństwo, a zwłaszcza o stratę materjalną, jakżeż odnajduje się nagle zdolność do orjentowania się w zawikłanem nawet położeniu i krytycznego oceniania sytuacji i szczegółów jej! Powiadają, że do zbogacenia się nie potrzeba rozumu, wystarczy spryt. Właściwie znaczy to, że pewni ludzie używają daru myślenia tylko wtedy, gdy chodzi o bogacenie się, a zresztą pozwalają sobie pozostawać stworzeniami bezmyślnemi — ale nie sądźmy, że nie mają zdolności do myślenia! Zapewne, jeżeli się jakiejś władzy nie używa przez lat kilkadziesiąt, znajdzie się ona nareszcie w stanie zaniku. Gdyby ktoś przestał chodzić, chociaż mając nogi zdrowe, po latach nogi jego nie dawałyby sobie rady z chodzeniem; tem bardziej myśl, leżąca odłogiem, musi wkońcu wyjałowieć. Myśl używana jednostronnie stanie się nieczułą na inne podniety. Kupiec „najsprytniejszy" w swym sklepie, okaże się niezdatnym poza swym kramem. Jest to specjalizacja myśli. W zasadzie zupełnie to samo jak uczoność ultra-specjalisty, który zna się doskonale na ułamkowym złomku ułamkowej nauki jakiejś, a poza tem zdradza objawy braku prostej inteligencji. Ale czyż niema kupców naprawdę światłych, posiadających niemałe wykształcenie naukowe, artystyczne lub doświadczenie życiowe, które umieją przybrać doskonale w kategorje teoretycznego myślenia? Czyż niema uczonych, tak w swej ultra-specjalności tęgich, że mogą się popisać przed najbardziej ograniczonym specjalistą, a jednak

ogarniających całość nie tylko przedmiotu swego, ale i całość życia?

Z powszechnej zdatności do myślenia powszechnie nie korzysta się. Oto całe zagadnienie! Podobnież powszechna zdatność do czynu pozostaje powszechnie bezczynną.

Nie wystarcza tedy zdatność sama, trzeba chęci, a raczej silnej woli korzystania ze zdatności, wyzyskania jej i wyćwiczenia. Obie one zaś mają to do siebie, że używanie ich przyjemnem z początku nie jest, bo polega na wysiłku, a to sprawia ból. Od myślenia boli głowa nieprzywykłego, a przytem zabiera to czas, którego można użyć na łatwiej dostępne i napoczekaniu wypłacające się przyjemności życia. Żaden wysiłek nie sprawia sam przez się fizycznej przyjemności, i dlatego ludzie prymitywni go unikają.

Poprzez szereg nieprzyjemności, dotkliwych częstokroć, musi się wyrobić w sobie kulturę myślenia i kulturę czynu — tj. zdolność myślenia ciągłego, i zarazem czynności nieustannej — i wtenczas dopiero jest się człowiekiem myślącym i osobnikiem twórczym.

Stosunek myśli do czynu decyduje o kształcie życia, tak indywidualnego jako też zbiorowego. Jak bywają czyny bezmyślne, podobnież nie brak myśli bezpłodnych. Cała rzecz w tem, żeby skoordynować obie te dziedziny, żeby dążenia oprzeć o myśl dojrzałą, żeby nie było czynów bez dokładnego przygotowania się do nich, a myśl żeby nie poprzestawała na badaniu przyczynowości, lecz — by była też celową, poszukującą dróg czynowi.

Kultura czynu polega na myśleniu według kategorji celowości. Niema tedy nic pożyteczniejszego dla narodu jak zastanawianie się nad jego celem i popularyzowanie tego toku myśli; pomnaża to bowiem zdatność do czynu. Przejmowanie się celem musi wieść do pragnienia, żeby cel spełnić, a więc w rezultacie do myślenia celowego.

Poznanie siebie samego stanowić musi pierwszy szczebel na tej drodze, a czyż trzeba rozwodzić się nad

korzyściami z tego płynącemi? Cel narodu nie może bowiem pochodzić z zewnątrz niego, z poza niego, lecz musi tkwić w nim samym i n n u c e i wysnutym być jako wniosek, z jego zasobów i zdolności. Nie może naród żaden mieć celu z poza siebie, boć w takim razie cel ten byłby mu obcy, narzucony. Rzecz jasna, że cel musi być dobrowolny, z własnej wynikający ochoty, z własnego zaczerpnięty ducha.

Jak naród nie stanowi formy apriorycznej, jak narodowość nie jest siłą aprioryczną, tak też cel narodu apriorycznym być nie może. Mylnem było rozumienie „misji dziejowej", jako celu wytkniętego narodowi zgóry przez nadprzyrodzony porządek (przez Opatrzność). Żaden naród nie ma koniecznie celu, wszak wolno mu żyć życiem niepełnem, wegetować w granicach walki o byt. Można nawet w granicach tych wykonać niemały szereg „czynów historycznych"! Żaden naród nie musi wznosić się do celowości swego bytu; wolno każdemu poprzestać na przyczynowości, która zdziałała w pewnym okresie czasu z pewnych ludów dany naród, a skoro już istnieje, więc dbać o zabezpieczenie istnienia, którą to drogą można dojść nawet do wielkiej potęgi. Celowość bytu narodowego stanowi ciężar, który się dobrowolnie nakłada na siebie, i który może być każdej chwili zrzucony.

Naród sam sobie swój cel oznacza. W różnych czasach może on być zmienny, a więc tem samem stanowić może przedmiot badań historycznych. W danym zaś czasie mogą postawić się rozmaite dążenia co do celu, wątpliwości co do jego wyboru lub odrzucenia, a zatem sprawa celu może stanowić przedmiot roztrząsania. Wszystko zaś, nad czem zastanawiać się można poważnie, może, a raczej winno stanowić przedmiot dociekania naukowego.

Dociekanie znaczenia i celu jakiegoś narodu nie jest tedy niczem innem, jak pogłębieniem badań nad właściwościami tegoż narodu; polega ono na ujęciu znanego i powszechnie uznanego zagadnienia naukowego w inną

metodę. Biorąc rzecz ściśle, nie wprowadza się nowego przedmiotu, a tylko nową metodę.

Nasuwa się jedna jeszcze wątpliwość: czy przedmiot jest historyczny, czy też „historjozoficzny", filozoficzny, a przynajmniej filozofujący (z czem łączy się podejrzenie dyletantyzmu...) — czy mieści się w granicach metody historycznej?

Za mojej młodości ostrzegano mię przed historjozofją jako przed zarazą, która może wyjałowić mózg frazesami i zmarnować zmysł historyczny w badaczu przeszłości. Zwracano też uwagę, że historjozofją nie trudnią się nigdy historycy, lecz rozmaici ochotnicy, historji nie znający. Uważano też „historjozofję" za filozofję historji, a więc każdy system filozoficzny mógł sobie, jeżeliby zechciał, mieć swoją historjozofję; jeżeli kto wymyśli nowy system, będzie też o jedną historjozofję więcej — a historyków nie będzie to i tak nic obchodzić. Dla historyka stanowiło to coś, co znajduje się poniżej jego godności naukowej; i patrzał na te zabawy dyletanckie z pobłażliwym, a nieco pogardliwym uśmiechem. Uczony historyk ma się ograniczyć do „przyczynowego związku faktów"; to też nie przyśniło się nikomu wyrywać historjozofji z rąk dyletantów filozofujących i spróbować, czem byłaby, gdyby ją oprzeć na metodzie historycznej.

Powiedziano niestety słusznie, że nauka polska stanęła w przedpokoju nauki niemieckiej[1]). Metoda historyczna niemiecka ma strony dobre, ale tyczą się one ciasnego zakresu dociekania szczegółów; w tem wymyślili Niemcy rzeczywiście kilka udoskonaleń metody; ale metoda ta, użyta do osądzania całości nauk historycznych, okazała się jak najbłędniejszą, a przedewszystkiem niewystarczającą, i już dla tej samej wady wiodącą na manowce. Jakoż zawiodła tam niejednego polskiego uczonego...

---

[1]) wyrażenie lwowskiego profesora Szelągowskiego.

Wiedzie uczonego na manowce wszelka jednostronność, a historjografja polska przejęła się wyłącznie metodą niemiecką, nie próbując nawet uzupełnień ni korektur skądinąd. Nie zarzekając się niczego, co jest dobrego u Niemców, trzeba się strzec ugrzęźnięcia w ich metodzie, która opanowawszy polskie dziejopisarstwo, doprowadziła do skurczenia obszaru badań historycznych w Polsce. Niegdyś Lelewel roztrząsał dzieje narodowe na tle powszechnych, a warsztat jego naukowy sięgał od Rusi do Hiszpanji, ale potem zacieśniano się coraz bardziej. Byli jednakowoż zawsze wyjątkowi uczeni, którzy płynąc przeciw prądowi, woleli opierać się na metodach zachodnich, a przynajmniej uwzględniali je obok niemieckiej; faktem zaś jest, że tacy właśnie posiadają w swoim dorobku naukowym zawsze coś powszechno-dziejowego, rozprzestrzeniającego horyzont nauki polskiej.

Lelewel znał dokładnie wszelkie odmiany metod w nauce europejskiej, a dorzucał do nich i własny dorobek niepośledni metodyczny. Nie wahał się danej metody kształcić dalej własnemi pomysłami — i za najwyższą chwałę stanie mu fakt, że gdyby potem mniej było się prowadziło polemiki pośmiertnej z Lelewelem-politykiem, a zato gdyby się było więcej uczyło od Lelewela-historyka, byłoby się zapewne doszło już do polskiej metody w naukach historycznych, tj. bylibyśmy wzbogacili metodę tę polskiemi pomysłami na tyle, iż polski dorobek nadawałby jej cechę.

A należy się spieszyć z dostrojeniem się do szerszych przestrzeni historycznego myślenia, boć już tymczasem historja powszechna z europejskiej stała się naprawdę powszechną, obejmującą pięć części świata faktami coraz bardziej nie tylko splątanemi przyczynowo, ale też spełnianemi celowo, a faktami o doniosłości ogólnoludzkiej. Jeżeli nauka polska historyczna nie ma stanąć wobec najgroźniejszego dla nauki niebezpieczeństwa, a mianowicie pozostać w tyle poza rozwojem życia — musi

się na nowo rozprzestrzeniać co do zakresu zagadnień podejmowanych, i to rozprzestrzeniać wielce. A samą tylko niemiecką metodą wydaje mi się to niemożliwem, bo umysłowość niemiecka nie chwyta należycie wątku powszechno-dziejowego; dokładna w ograniczonym ściśle zakresie, potrafi nieraz nawet po mistrzowsku zbadać i skreślić obraz dziejów danego narodu, każdego zosobna; ale gdzie zachodzą szwy łącznikowe pomiędzy dziejami jednego a drugiego narodu, tam słabnie zmysł historyczny niemiecki, a często nie umie sobie wprost dawać rady.

Nigdy nie ograniczali się historycy polscy tak ściśle do tematów wyłącznie polskich (z największą dla historji polskiej szkodą oczywiście), jak w tym okresie ugrzęźnięcia w niemieckiej metodzie; pod koniec nie przekraczało się już niemal Polski etnograficznej, piastowskiej. A dzieje narodowe natenczas tylko przedstawić dadzą się należycie, gdy się je osadzi na tle powszechnych, choćby tylko na tle jakiegoś odcinka historji powszechnej.

Niewszystko bowiem jednako jest powszechnem; związek pewnego faktu lokalnego ze stosunkami ogólnemi może być wątlejszy lub ściślejszy, luźny lub istotny, jednostronny lub wielostronny. W zasadzie niema wydarzeń ściśle lokalnych w społecznościach cywilizowanych, bo przyczyną lub skutkiem wiążą się wydarzenia wszystkie ze stosunkami terytorjów sąsiednich (osad, rodów czy klanów, a tem bardziej tam, gdzie można już odróżniać gminy, miasta, prowincje), nie mówiąc już o wyższym stanie uspołecznienia, gdzie może zachodzić działanie celowe, które dotyczy obszarów tem rozleglejszych, im wyższe przyświecają mu cele.

W konstrukcji historycznej jest lokalizm właściwie tylko fikcją, mającą ułatwić pracę, podobnież jak np. w geometrji fikcja punktu i linji. Badacz, który lokalizm pojmuje w historji dosłownie i kontentuje się nim, jest nie historykiem, lecz tylko pracownikiem pomocniczym, przygotowywającym materjał dla historyków. Metoda

niemiecka zgrzeszyła właśnie tem, że wzięła za naukę samą to, co jest tylko środkiem naukowym.

Są trzy stopnie pracy historjograficznej i trzy szczeble metody. Na pierwszym chodzi o naukowe stwierdzenie i określenie faktu lub grupy faktów[1]).

Jest to seminaryjny stopień nauki historycznej. Niemieccy uczeni poprzestają na nim po większej części, to też z reguły uczeń początkujący różni się przy niemieckiej metodzie zasadniczo niczem od swego profesora, który, biorąc rzeczy ściśle, nie postąpił jakościowo ni kroku poza swoją niegdyś pierwszą pracę seminaryjną. Difficile est satyram non scribere, że coś podobnego zaszczepiało się w Polsce, i to do tego stopnia, iż wyklinało się takich, którzy odważyli się sięgnąć pracami swemi poza te kratki niemieckiej metody. Doprawdy, poczynała panować zasada: im więcej kto złoży dowodów ciasnoty, tem uczeńszy.

Zaznaczam z największym naciskiem, że ów seminaryjny stopień jest wprost niezbędny i że nie można nic a nic opuścić z jego wymogów; uznaję, że kto nie nabędzie znacznej biegłości w stwierdzaniu i określaniu faktów, nie może absolutnie być historykiem; ani też sam nie uważam za historyka nikogo, kto nie pracuje około zagadnień z tego pierwszego szczebla stale, ciągle, nie-

---

[1]) Tu należą takie prace, jak np. dociekania, kiedy zaczynano w latopisach ruskich rok nowy; jaką mogła być polityka Krzyżaków w latach 1389 i 1390; jakie zajmował stanowisko który z inflanckich landmistrzów Zakonu (np. Plettenberg) wobec Prus, Litwy, Moskwy w pierwszej ćwierci 16. wieku; kwestja, czy pewien książę wydawał pewnego dnia gdzieś pewien dokument (np. Jerzy Światosławicz smoleński w Sandomierzu d. 22 maja 1386); bliższe zbadanie sprawy, jako to księciu twerskiemu zabrakło w Saraju w r. 1371 gotówki i jakie z tego wypłynęły następstwa pomiędzy Rurykowiczami; a czy Jerzemu Dymitrowiczowi odebrano gród Dmitrow w r. 1432, czy 1433? i t. p. — Dla uniknienia nieporozumień, jakobym z kogokolwiek chciał szydzić, zaznaczam, że przytoczyłem... swoje własne prace z lat rozmaitych.

ustannie; przestrzegam, że bez tego cała nauka zawisłaby w powietrzu, zamieniając się w krótkim czasie na indywidualne pomysły, złożone z dowolnych domysłów; uznaję, że właściwości metody niemieckiej czynią ją bardzo a bardzo dobrą do nauczania elementów pracy historycznej, ale chcę, żeby uczoność polska nie poprzestawała na biegłości w robotach seminaryjnych.

Drugi stopień dziejopisarstwa polega na poszukiwaniu przyczynowego związku faktów, co może obejmować znaczniejsze obszary i dłuższe czasy. Wymaga to gruntownego opanowania przedmiotu, ujmowanego wielostronnie, przyczem przejrzyste ugrupowanie wątku spraw dostępne jest tylko talentowi. Tego ostatniego przymiotu brak też najczęściej Niemcom, ale pomimo to nie brak im wybitnych monografij i udatnych całokształtów. Zasadniczą wadą tych dzieł (nie mówiąc o wyjątkach), że nie dotykają tych stron przedmiotu, które mieszczą się poza mechanicznemi objawami dziejów, tj. poza wątkiem w y d a r z e ń, choćby powiązanych najsubtelniej przestawioną przyczynowością. Boć nauka niemiecka poprzestaje bądź co bądź na opisie faktów[1]).

Nauka nie może poprzestać na uprawianiu zewnętrznej szaty dziejów. W takiem ograniczeniu objawy historyczne muszą być ujmowane w całość mniej więcej sztucznie, skoro m a t e r j a ł historji powszechnej bierze się mylnie za jej p r z e d m i o t. W najwybitniejszych dziełach niemieckich znać skutki tego pomieszania, wynikłego z grubego nieporozumienia.

Nie lekceważmy dorobku nauki, opartej na określonych tu dwu szczeblach metody, ale nie wahajmy się stwierdzić, że nauka musi się piąć wyżej. Pnie się zaś tylko poza metodą niemiecką, w dziełach uczonych włoskich, francuskich, angielskich; tudzież w takich niemieckich, które nie na niemieckiej wyrosły metodzie.

---

[1]) Największy historyk niemiecki, Leopold Ranke, stawiał historji za zadanie „sagen, wie's hatt gewesen".

Za daleko zaprowadziłoby nas poza temat niniejszego dziełka rozpatrywanie tych prądów naukowych; starczy zaznaczyć, że chodzi o to, jak pojmować historję powszechną, jaki cel badań historycznych, a więc pośrednio i o to, co ma stanowić kryterjum naukowe historjografji — w czem zdania są podzielone. Należy czytelnika zgóry uprzedzić, jak w tem dziełku kwestja ta jest traktowana.

Dzieje powszechne można będzie układać dopiero na tle walki cywilizasyj i prób syntez cywilizacyjnych. Dopiero wtedy będzie można mówić o umiejętności badań historycznych (a nie o sztuce narracyjnej), bo zyska się podstawę porównawczą i będzie się wiedziało, co za cel tylu dociekań na stopniach niższych, do czego przydatny cały ten materjał, który dotychczas sam sobie za cel uchodził.

Pojawia się wprawdzie gdzieś obok Historji jakowaś „historja kultury", ale to tylko schowek niewyrobionych jeszcze należycie działów Historji; istny przytem magazyn niemowlęctwa naukowego, bo z zupełnym brakiem metody. Cóż stanowi przedmiot tej nauki i na jakie kwestje poszukuje ona odpowiedzi?

Miejmyż otuchę, że na miejsce tej mętności wstąpi jasna nauka o cywilizacjach[1]), jako wynik wszelakiej rozmaitości dociekań historycznych, jako najwyższy szczebel Historji.

Jeżeli przy wznoszeniu się do tego szczebla nie obejdzie się bez wykształcenia filozoficznego, tem lepiej! Zawołać należy: „nareszcie"! Od dawien bowiem w li-

---

[1]) Erazm Majewski w pomnikowem zaiste swem dziele: „Nauka o cywilizacji" traktuje sprawę cywilizacji ze stanowiska przyrodniczego. Traktując rzecz ze stanowiska historycznego, sądzę, że nauka o cywilizacji wymaga wpierw nauki o cywilizacjach.

cznych naukach uznano niezbędność takiego wykształcenia, jeżeli uczony miał być przygotowanym do prac nad syntezą danej nauki; tylko w Historji było o tem głucho. Nie sądzę, żeby to było zaszczytnym wyjątkiem — sądziłbym natomiast, że brakiem tym da się wyjaśnić doskonale, dlaczego w Historji synteza tak okrutnie chromą, dlaczego nawet dochodziło do powątpiewań, czy ona tu wogóle możliwa, a zdarzały się twierdzenia, że niepotrzebna!

Historja nie potrzebuje żadnej zgoła filozofji historji; ale historykowi filozofja przydatna, ażeby mógł wspiąć się na ten trzeci stopień swej nauki, gdzie nil humani a se alienum putans ogarnąć może wszystko, co ludzkie, we wszystkich cywilizacjach i zestawiać je porównawczo, a naodwrót oznaczać miejsce i stopień danego społeczeństwa w danej cywilizacji.

Walnym do tego środkiem będzie badanie znaczenia i celu danego społeczeństwa, w cywilizacji zaś chrześcijańsko-klasycznej: narodu.

Musi się więc badać metodycznie stosunek myśli do czynu, zdatność myślenia i kulturę czynu w danem życiu zbiorowem. Nie obniży się zapewne poziomu nauki historycznej, jeżeli się wskaże jej zadanie badania stosunku Logosu i Ethosu w życiu zbiorowem społeczeństw (narodów), kultur i cywilizacyj. W tych dwóch terminach, posiadających w filozofji znaczenie tak ścisłe, zmieści się ściśle cały a cały ogrom badań historycznych. Logos i Ethos stanowią o wszystkiem u człowieka i we wszelakich odłamach ludzkości. Ich wzajemny stosunek urabia stosunki ludzkie.

Rozum a wola, myśl a czyn, rozważanie a wykonywanie — oto granice pojemności człowieczeństwa. Ponieważ zaś kultura czynu wymaga myślenia według kategorji celowości, rozum wtenczas dopiero pobudzi wolę do skutecznego wykonania zamierzeń, gdy zbadawszy przyczynowość oprze się na celowości, gdy myśl przejdzie do tej wyższej kategorji; inaczej bowiem skutki wy-

konania mogłyby zawieść, okazując się niezgodnemi z zamiarem, wywołując zjawiska mijające się z upragnionym celem, a nawet mu przeciwne. Myślenie celowe stanowi pomost od rozumu do woli, łącznik Logosu z Ethosem, rękojmię harmonijnego ich związku.

Przeczylibyśmy przeto istnieniu kategoryj Logosu i Ethosu, gdybyśmy nie uznali, że naród może mieć cel, i to z własnego wyboru, z własnego popędu. A skoro możebną jest celowość narodu, otwiera się tem samem kwestja jego znaczenia pośród narodów, w obrębie danej cywilizacji.

Znaczenie pewnego narodu jest rezultatem jego kultury umysłowej, niektórych danych przyrodzonych (darów przyrody) i jego siły twórczej; wynika bowiem z tego, co naród ten posiada i do czego jest zdolny, słowem z tego: na co go stać. Cel zaś, obrany z poza własnej walki o byt, pozostając w związku z bytem narodów innych, staje się przez to samo wykładnikiem stopnia i rodzaju powszechności sprawy tegoż narodu, tj. powszechnego interesu w jego istnieniu i rozwoju, przydatności jego innym narodom. Oznaczenie sobie celu stanowi zarazem kryterjum twórczości, bo wynika z jej rodzaju, kierunku, zamiłowania, a wkracza w dziedzinę nieistniejącego jeszcze Dobra, które wypada dopiero urzeczywistnić. To też siła twórcza pewnego narodu stanowi pomiędzy jego kulturą umysłową a powszechnością czynnik stały, bez którego działalność umysłowa byłaby jałową, a znaczenie narodu wyłącznie lokalne, wobec powszechności nacechowane biernością. Bez siły twórczej niema ni kultury umysłowej czynnej, ni stanu czynnego wobec powszechności.

Rozdzielimy sobie przeto roztrząsania nasze na trzy części, w ten sposób, że nad twórczością polską zastanowimy się w części środkowej, a rozwiązanie powszechności sprawy polskiej przesuniemy do części trzeciej, że-

by móc się już powoływać na pewne wyniki części drugiej; wstępem zaś do całego przedmiotu będzie określenie stopnia i rodzaju kultury umysłowej jako materjału, na którym oprzeć się musi wszystko inne.

Zaczynamy więc od kultury umysłowej polskiej. Zbierzemy jak najwięcej faktów *znamiennych*, posługując się bezwarunkowo metodą indukcyjną, ażeby w następnych częściach operować czemś konkretnem, a nie pomysłami literackiemi. Nie będziemy bujali po obłokach, lecz ziemi się trzymając, poddamy kulturę polską analizie.

Byliśmy i jesteśmy cząstką cywilizacji łacińskiej, zachodnio-europejskiej. Określić dokładniej wielkość tej cząstki — toć bodaj czy nie najpoważniejsze zadanie historyka; jest w tem i obrachunek dziejowy i korzyść niezawodna z zastosowania zasady „znaj siebie samego".

Oznaczenie czyjegoś miejsca w dorobku ogólnym cywilizacyjnym dokonywać się musi według prawidła, że równą wartość kulturalną mają ci, którzy caeteris paribus okażą równe warunki. Wydatność pracy należy oceniać proporcjonalnie do możności, zawisłej od warunków i okoliczności. Chodzi o to, czy społeczność pewna jest w ogólnej grupie cywilizacyjnej biernym członem, czy czynnym, czy uznać ją wypada dłużnikiem czy też wierzycielem owego ogółu; to zaś zależy od stosunku wydatności udziału w dorobku cywilizacyjnym do minimum, czy też do maximum tego, co można wytworzyć w danych warunkach. Wartość kulturalna zawisła od stosunku możności do faktycznego dorobku.

CZĘŚĆ I.

KULTURA UMYSŁOWA.

Rozdział I.

Historyzm a podkład ludowy.

1. Historyzm.

Kultura rodzi się z tradycji i tradycją żywi; tradycja jest kością pacierzową wszelkiej kultury. Do tradycji należy z przeszłości to tylko, co weszło w świadomość następnych pokoleń i wywiera ciągle wpływ na umysły. Do narodowej tradycji należą czyny przodków takich, którzy „non omnes mortui", współpracują z żywymi dalej z poza grobu, a nawet nieraz przodują im, posługując się pokoleniem późniejszem jako wykonawcą swych pomysłów. Obcowanie pokoleń jest zasadniczym pewnikiem doświadczenia dziejowego; z czegóż ciągłość historyczna? Niema w tem nic mistyki, sprawa jest nader prosta, a zrozumie mię wlot każdy Polak, gdy dla przykładu powołam się na fakt, jakto my wszyscy żyliśmy i pracowali pod wpływem Kościuszki i Mickiewicza, czyli tradycją kościuszkowską i mickiewiczowską.

Z faktów historycznych bywa tradycja bardzo nierównej długości czasu. Niektóra staje się stałą i wchodzi w samą istotę narodu tak dalece, iż naród ów przestałby być sobą, gdyby się jej wyzbył. Im więcej w historji faktów, nie tracących pewnej aktualności dla późnych potomków, tem bardziej skomplikowaną staje się tradycja, i tem bardziej... krępuje kroki potomnych.

Takie krępowanie współczesności przez przeszłość, jeżeli współcześni poddają mu się świadomie i chętnie — nazwijmy historyzmem.

Tradycja może być bierną i czynną. Może stanowić motyw natchnienia artystycznego, rodzaj estetyzmu lub przedmiot kultu, z odcieniem nawet religijności w mniejszym czy wyższym stopniu, a jednak nie nakładać żadnych obowiązków realnych w życiu praktycznem, prywatnem czy publicznem. Może atoli być inaczej: tradycja może być czynną w dosłownem znaczeniu wyrazu, bo pobudzać do czynów, wywoływać je i nadawać im kierunek, może być sterowniczką życia praktycznego. Obok kultury tradycji pomieści się zupełna niezależność życia współczesnego od niej (to swoją drogą, a tamto swoją), ale może również zachodzić zawisłość wyraźna. Stanowi to jeden z najciekawszych przedmiotów studjum historycznego, dociekanie zawiłego stosunku tradycji a współczesnego życia rzeczywistego w danem pokoleniu; jakżeż rozmaicie przedstawia się ta sprawa w rozmaitych cywilizacjach, w różnych czasach, u przeróżnych ludów. Badanie tej strony stosunków ludzkich wprowadza równocześnie i równomiernie tak do ogólnoludzkiego widoku człowieczeństwa, jako też do szczegółowych jego działów i poddziałów w czasie i przestrzeni; wiedzie i do chwytania rysów ogólnych i uczy zarazem orjentować się ściśle w przebogatem zróżniczkowaniu ludzkości. Jest to jedna z najwdzięczniejszych zaiste dziedzin badań historycznych.

Historyzm opiera się na tradycji czynnej. Nie o to bowiem chodzi, czy się rozumie życie przodków, bo to kategorja naukowa; np. możemy rozumieć doskonale urządzenia starożytne faraońskie, a jednak nie przyśni nam się przystosowywać czegoś z nich do życia dzisiejszego; — chodzi właśnie o praktyczną doniosłość tradycji.

Historyzmu mogą być rozmaite rodzaje i stopnie, jakościowo, tudzież ilościowo. Niewszystko w przeszłości było dobrem; co więcej, niewszystko, co dobrem

było w przeszłości, zostaje dobrem dla potomnych; są rzeczy i sprawy złe zasadniczo czy z pomyłki ludzkiej, i są rzeczy, które mogą być dobremi lub złemi, zależnie od okoliczności, a zwłaszcza od czasu i miejsca, które tedy z dobrych stać się mogły w toku czasów złemi; tradycja ich przeto jest tradycją złą, i im czynniejsza, tem gorzej dla społeczeństwa. Nie wszelka tradycja stanowi dodatnią pozycję w bilansie narodowym.

Uniknęłoby się niebezpiecznej tradycji zła, gdyby się nie posiadało tradycji wogóle. Nie brak też doktrynerów, rządzących się w sprawach życia zbiorowego czystą logiką, jakby w geometrji, którzy odrzucają tradycję i w racjonalistyczny mniej lub więcej sposób snują programy społeczne, zdecydowani rozpoczynać nową erę ludzkości od daty... swego przyjścia na świat. Tacy, jedyni do burzenia, okazywali się jednak zawsze niedołęgami ostatniego rzędu, gdy trzeba było coś stawiać: stać ich było i jest jedynie na domki z kart i zamki na lodzie. Niema w nich istotnej kultury czynu, bo oni znajdują się poza wszelką kulturą, do żadnej ściśle nie należąc, należeć nie chcąc, skoro zajęci są widokami wytworzenia nowej. Ale kultury nie improwizuje się; i nawet wtedy, gdy w toku dziejów ma powstać nowa, musi powstawać na podłożu dawniejszej, z niej się wyłaniając, inaczej nastaje stan akulturalny. Racjonalistyczni doktrynerowie, odrzucający tradycję, są też w społeczeństwie czynnikiem akulturalnym. Nie obarczą oni społeczeństwa niczem złem, zaczerpniętem z ujemnego historyzmu, ale zatrują je, a gdy uda się im wziąć górę, doprowadzą społeczeństwo do stanu nicości. Tradycja niewłaściwa wiedzie do szkód, ale brak tradycji jest niezawodną drogą do rozkładu, do nicości. Wszelki czyn twórczy musi należeć do pewnego systemu kulturalnego, a bez jakiejś tradycji (jakiejkolwiek) niema zgoła kultury. Czyny, zmierzające zasadniczo do wywrócenia wszelkiej tradycji, są anormalnemi wyskokami; stanowią

w umysłowości to samo, co nowotwory w ciele, których nikt nie będzie uważał za objaw siły twórczej organizmu fizycznego, za objaw zdatności wzrostu.

Odrzucenie tradycji jest tedy czemś bez porównania gorszem od wszelakich możliwych ujemnych skutków historyzmu. Od szkód jego bronić się trzeba inną drogą, a mianowicie bliższem zbadaniem jego właściwości.

Przerzućmy się teraz w roztrząsaniu tego przedmiotu do drugiego bieguna: przypuśćmy, że historyzm osięga maximum, że wszystko a wszystko z przeszłości obróciło się w teraźniejszości w tradycję czynną. Nietrudno spostrzec, że w samem takiem przypuszczeniu popadamy w błędne koło. Skoro wszystko pozostaje nietknięte przez synów, stosujących się we wszystkiem do ojców, zaciera się różnica pokoleń, nic się nie zmienia, a zatem... niema historji, nie może tedy być historyzmu. Zastój powszechny i całkowity sprawiłby, że zaginęłaby też sama zdolność wytwarzania tradycji, bo nie byłoby do tego pola po niedługim czasie. Gdzie nic a nic nie zmienia się, ustaje życie, zanika myśl, stępia się odczuwanie — a skutkiem tego zabraknie wreszcie wprost materjału, z którego mogłaby się wytwarzać jakakolwiek tradycja. Gdyby stan taki miał trwać przez szereg pokoleń, zjawić musiałyby się wkońcu zmiany wsteczne, cofanie się, powrót do życia prymitywnego, do coraz prymitywniejszego. Kto wie, czy niejeden z t. zw. „ludów dzikich“ nie jest właściwie... zdziczałym, doprowadzonym do stanu „dzikości“ przez wyłuszczone następstwa zbytnio przedłużonego zastoju.

Życie historyczne mieści się przeto w granicach pomiędzy odrzucaniem tradycji, a niemożnością posiadania jej, pomiędzy całkowitem bezwzględnem naśladownictwem poprzedniego pokolenia, a zatraceniem związku z jego spuścizną. Historyzm powstaje pośrodku tych ostateczności.

W społeczeństwach, wiodących życie historyczne, tj. rozwijających się przez odpowiednie dla swej pomyśl-

ności zmiany (choćby wbrew niekorzystnym warunkom), nie wszystkie przejawy życia zbiorowego przechodzą w tradycję; bywają bowiem i takie, które nie przetrwają nawet jednego pokolenia i giną; te zaś przejawy, które przechodzą w tradycję, niejednakowo długo bywają przez nią przechowywane, pielęgnowane. Tradycja przybiera w biegu czasów nowe pierwiastki, a gubi niejedne stare, podczas gdy niektóre, chociaż starsze, zachowuje. Tradycja bywa więc zmienną, ma też swą historję. Z uznawanej dziś tradycji ubędzie coś w następnych pokoleniach, może już w najbliższem, podobnież jak niema już w niej niejednego pierwiastka, który zajmował wybitne może miejsce w tradycji, uznawanej przez naszych ojców, dziadów, a tem więcej ubyło nam zapewne z tradycji pradziadów — jakkolwiek obok tego pielęgnujemy nadal pierwiastki jeszcze dawniejszego pochodzenia. Gdyby diagramem przedstawić historję tradycji danego społeczeństwa, wypadłoby kreślić dużo linij równoległych o najrozmaitszej długości, a nadto zaczynających się i kończących w rozmaitych miejscach. Byłyby też w obrazie tym linje przerywane; zdarza się bowiem, że pewien przejaw życia zatraca tradycję i odzyskuje na nowo w niej miejsce, porzucany i przywracany na nowo do życia. Tradycja zmienia tedy swoje kryterja, upodobania, swe pojęcie wartości, według którego rozdziela pochwały i nagany poprzednim czynom i stosunkom.

Chwałą i naganą, zawartą w tradycji, kieruje się historyzm, unikając powtórzenia się tego, co tradycja gani, starając się utrzymać, a nawet w danym razie przywrócić to, co uchodzi w tradycji za chwalebne. Życie współczesne obraca się w znacznym stopniu w granicach historyzmu, stosując do niego swe cele, wysuwając z niego swe obawy i nadzieje.

Stopień napięcia historyzmu może być rozmaity, słabszy i mocniejszy, stosownie do doniosłości tych działów życia zbiorowego, które pragniemy oprzeć na tradycji; drugorzędne już tylko ma znaczenie kwestja ilo-

ściowa, czy mniej czy więcej objawów życia zbiorowego usiłujemy sprząc z przeszłością i zachować przy żywym, aktualnym z nią związku, bo bardziej zaważy na szali historyzmu jeden dział, a zasadniczy, niż szereg spraw drobniejszych, nie posiadających rozstrzygającego wpływu na ustrój życia zbiorowego i prądy umysłowe danego pokolenia.

My tkwimy w historyzmie głęboko; od upadku państwa historyzm był naszą ostoją, a odzyskanie niepodległości pogłębia narazie jeszcze bardziej tę stronę polskiej umysłowości. Ileż-bo zawdzięczamy historyzmowi!

Pośród narodów odzyskujących niepodległość skutkiem klęski tych państw, które niegdyś Polskę rozebrały, my jedni dobijaliśmy się jej po wielekroć z orężem w ręku. Posiadamy żywą tradycję wolności i nieprzerwalność w snuciu wątku myśli państwowo-twórczej, która nigdy stłumić się nie dała ani najcięższym nawet uciskiem. Posiadamy również nieprzerwalność własnej kultury narodowej, którą doskonaliliśmy bez przerwy nawet w niewoli. W dziejach polskiej myśli niema luk; niema w historji polskiej żadnego okresu zaniku polskości (czem różnimy się od wszystkich innych Słowian). Historyzmowi obecnie nie chodzi o budowę życia narodowego wogóle, lecz tylko o uzupełnienie go własną państwowością, która to strona życia polskiego przechodzi z dziedziny teorji w praktykę codziennego doświadczenia, mając się tem właśnie doświadczeniem doskonalić.

Niepodległość stanowi podstawę naturalną życia zbiorowego w narodzie. My o tem wiemy coś więcej niż inne narody, i zdajemy sobie sprawę, jak nienaturalnem było nasze życie w ciągu dziejów porozbiorowych. Działaliśmy i rozwijaliśmy się pomimo braku własnego państwa — ale było to jakby w gorączce, a nadto jakżeż nierównomierne. Są bowiem dziedziny życia zbiorowego, dostępne w praktyce tylko dla narodów posiadających niepodległość. Teraz wiele rzeczy zejdzie z wyżyn poezji na niziny życia powszedniego, bo będą nam

potrzebne na każdym kroku, do użytku codziennego, a nie tylko dla „pokrzepienia ducha".

Co było ideałem: państwowość polska — ziszcza się, zamienia w rzeczywistość. Wszelkie zaś urzeczywistnianie myśli pociąga za sobą sporo rozczarowań i wynikających stąd przykrości, a mianowicie dlatego, ponieważ historycy, statyści, a tem bardziej t. zw. politycy aktualni ulegają ciągle złudzeniu, jakoby wprowadzanie czegoś w czyn mogło się dokonać, gdy rozporządza się siłami, jakie teoretyczne uprzednie rozważenie przedmiotu uznało za stosowne i dostateczne. Jest to mylne zapatrywanie. Zachodzi tu jeden z tych wypadków, w których świat fizyczny i duchowy podlega temu samemu prawidłu. Fizycy, mechanicy poznali je już od dawien, jako t. zw. „tarcie", które uwzględnione być musi przy budowie każdej machiny i przy najprostszych zabiegach mechanicznych jednakowo. Lina, mająca wytrzymać napór, musi być dobrana z pośród takich, które według teoretycznych prawideł fizyki zdolne są podołać naporowi $2x = 5x$, stosownie do okoliczności; po większej bowiem części w praktyce marnuje się na „tarcie" znacznie więcej energji, niż jej pochłania właściwa praca. Mechanik, któryby tego nie wiedział, byłby zdatny tylko do psucia robót, chociażby był znakomitością w zakresie fizyki. Otóż życie podlega również takiemu prawu „tarcia", które występuje w całej jawności dopiero w miarę, jak się urządza państwo niepodległe.

Nasi statyści wiedzieli jasno, jakiem państwo być winno; nieobcem im nawet było znawstwo sił, przy urządzaniu państwa potrzebnych. Śmiem nawet twierdzić, że przedmiot ten był wśród inteligencji polskiej dość spopularyzowany. Ale z „tarciem" zapoznać nas może dopiero praktyka i na to niema rady. Zawody i szkody, pochodzące z nieuwzględnienia tarcia, czy też choćby z nieumiejętnego uwzględnienia go, są przeto koniecznością nieuchronną. Trzeba przecierpieć... kurs nauki o „tarciu".

Tymczasem jednak doznawane zawody wpływają deprymująco na psychikę narodową. Im bardziej spopularyzowane były wyobrażenia o tem, jakto państwowość polska zerwie z wadami wybujałemi w „państwie nowożytnem“, im wyżej ku ideałom sięgały nadzieje, że polski ustrój państwowy będzie idealnym — tem większy ból rozczarowania. Czyż państwo nasze takie, jakiem jest w rzeczywistości powszednicgo z niem obcowania (z biurokracją!), jest w czemkolwiek podobne do tego marzenia, za które cierpiano przez całe pokolenia?!

Oto obok ogólnego europejskiego przygnębienia jeszcze specyficzne przygnębienie polskie...

Przeczulenie chorobliwe, czy co?! Skąd takie pomieszanie kwestyj ideowych z tem, co musi być nawskroś realnem, z państwem?... zapyta „polityk“. Odpowie mu historyk: a czyż Historja nie dostarcza mnóstwa dowodów, że kwestje ideowe są właśnie najrealniejszemi (chociaż nie zwykli się niemi zajmować historycy niemieccy)? Czyż nie od idei zawisł kształt życia realnego?

U każdego narodu, nie tylko w Polsce, łączy się na pewnym stopniu rozwoju ambicja polityczna z popularnością pewnych haseł niepolitycznych, mających służyć polityce za podkład polityczny i za jej wytłumaczenie. Nawet Prusacy usprawiedliwiali sami przed sobą politykę swą wobec ościennych tem, jakoby ich cywilizowali („kulturtraeger“); nawet prusactwo tedy miało swój „romantyzm polityczny“.

Pierwiastki tego objawu znajdą się wszędzie a wszędzie w cywilizacjach opartych na religjach uniwersalnych, bo dobre czy fałszywe zrozumienie takich religij, choćby nawet przekręcanie ich istoty, wiedzie do tendencyj propagandystycznych, które tak głęboko tkwią w umysłach, iż nawet objawy najgrubszej walki o byt osłania się osłonkami pseudopropagandy jakiejś, gdyż tylko religije lokalne lub plemienne udzielają sankcji gnębieniu innych ludów jako wyznawców „cu-

dzego boga", w imię „swojego boga". W chrześcijaństwie nawet taki, który postępuje wbrew niemu, wysilać się będzie na wynalezienie jakiegoś ogólno-ludzkiego motywu na pokrycie swego postępowania.

Najgłębiej sięgnęły pierwiastki tego objawu w ducha narodu polskiego, a rzecz samą ujęto nader wielostronnie, dotykając stron ignorowanych u innych narodów, mianowicie względów etycznych. Chodzi oczywiście o etykę życia zbiorowego, a więc o kategorję, z którą inne narody nie mogąc sobie dawać rady, rozprawiły się radykalnie, zaprzeczając zgoła jej istnieniu. Podczas gdy cała Europa uznała, że polityka nie ma związku z moralnością i mieć nie może, my w XIX. nawet wieku nie opuściliśmy średniowiecznego, wiecznego marzenia. Ci, którzy każą nam się wstydzić tego, płytko myślą. Doskonałości nie osięgnie się wprawdzie nigdy, ale doskonalenie się jest pomimo to obowiązkiem. Wieczne marzenie naprowadza na coraz właściwsze drogi ku doskonaleniu się, kiedy zaniechanie marzeń może stanowić najgłębszą przyczynę cofania się i upadku. Idealny cel, im goręcej wyznawany, tem niezawodniej naprowadzi na środki realne.

Jeżeli przez „romantyzm polityczny" rozumieć usiłowania skierowane poza bezpośrednią korzyść i poza interesy bezpośrednio własne, usiłowania ku wzmożeniu dobra powszechnego — w takim razie ów nasz „romantyzm" datuje doprawdy jeszcze z wieków średnich.

Na soborze w Konstancji występował w r. 1417 rektor uniwersytetu krakowskiego Paweł Włodkowic z Brudzewa w obronie pogańskich ludów, w obronie swobody wiar, choćby pogańskiej wiary nawet. Potem nie przyjęła Polska mandatu kurji rzymskiej do opanowania husyckiego królestwa czeskiego, a sił swych używała na wspieranie Litwy w jej wojnach wschodnich i wplątała się w wojny z krajem, z którym nie stykała się całkiem, z Moskwą. Nastawiała głowy za innych Turkowi. W ziemiach ościennych propagowała wolności obywatel-

skie, do równości pociągała tych, nad którymi mogła była panować. A gdy sama utraciła niepodległość, gdy nikt za nią się nie ujął, walczyła „za waszą i naszą wolność". A gdy ledwie poczynała państwem być na nowo, zakładała ościennym państwa niepodległe krwią własnych synów, własnego panowania możliwość uszczuplając... Czyż nie możnaby streszczać historji polskiej w ten sposób? „Romantyzm" bardzo stary, a bez końca!

Chcieliśmy zawsze czegoś ponad współczesność, a czyż dziś nie jest tak samo? Chcieliśmy zawsze nie tylko mieć korzyści, ale też być pożytecznymi. Nie pojmowaliśmy zaś pożytku nigdy poza uczciwością. I oto, co tkwi na dnie polskiego historyzmu: poszukiwanie etycznego ustroju życia zbiorowego. Nie nasze pokolenie to wymyśliło, ale stare to dziedzictwo; im zaś starsze, im więcej pokoleń tęsknoty nas obarczają, tem cięższe nasze obawy i tem większa przykrość, żeśmy dalecy od celu. Historyzm nasz źródłem naszego obecnego przygnębienia.

Postulat etyczności życia zbiorowego stanowi cechę istotną polskości, tj. taką, bez której polskość się nie obędzie, boby przestała być sobą. Jak wszystko, co ludzkie, ma też i ta zaleta, tak wysoka, swe strony słabe, pociągając za sobą nieraz następstwa niepożądane, zwłaszcza gdy się nie ma siły do zmuszania innych, by się również liczyli z etyką. I bywaliśmy tyle już razy „mądrzy po szkodzie", a jednak „romantyzm polityczny", zażegnany w jednym kącie spraw polskich, wyłania się gdzieś w drugim i opanowywa umysły. Teraz np. zamiast, żeby ogół powiedział sobie, że niechby sobie państwo polskie było jak najgorsze, byle było, i oddawać się bezwzględnej radości z tego, że ono jest — my smucimy się nad ujemnemi stronami naszej państwowości, przekonani, że państwo polskie jest od tego, żeby być lepszem od innych. Teraz, skoro mamy własne państwo polskie, wszystkie polskie ideały muszą się urzeczywistnić — tak rozumuje przeciętny inteligentny Polak.

Różnica kapitalna od tylu innych narodów! Niechże kto wyliczy Ideały, przyświecające rozmaitym państwom europejskim — i potem sięgnie w polską umysłowość, a znajdzie się w jednej chwili jakby w innym świecie.

Odmienność ta stanowiła często szkopuł dla badaczy sprawy polskiej. Wszak zaczęto się zabierać z największą powagą do zmienienia charakteru narodowego, żeby wyplenić ów „romantyzm polityczny". Kazano płakać nad historją polską, że nie było w niej Fryderyków, Mikołajów i Bismarków... Czy słuszność mieli, nie mając Bismarkowi nic innego do zarzucenia, jak tylko to, że nie Polakiem był, czy też błądzili zasadniczo, próżno się o to spierać; mnie chodzi o to, jako doświadczenie uczy, że niema takiej siły, któraby nas mogła oduczyć łączenia z polityką etyki. Skoro nas tego nie oduczono w niewoli, tem mniej obecnie.

Zamiast doktrynerskich zabiegów o przystosowanie charakteru narodowego do jakiejś zgóry powziętej formuły (a zaczerpniętej ze studjów nad historją niepolską), lepiej będzie zastanawiać się nad tem, jak z charakteru polskiego wykrzesać walory polityczne.

Nasza polska metoda polityczna może się okazać wcale niegorsza od innych, jeżeli się ją należycie urobi, ukształci, ażeby mogła być nie tylko ogólnikowym wyrazem pewnego kierunku, ale narzędziem politycznem. Polskie poglądy na życie zbiorowe rozwijały się poza państwem, w okresie porozbiorowym, w wieku XIX, kiedy powstawały i wyrabiały się właśnie nauki socjologiczne w Europie. Byliśmy, jakoby fizycy lub chemicy, oddani z zapałem badaniom naukowym, lecz pozbawieni własnego laboratorjum. Stąd niedomagania. Wiedzieliśmy, do czego zmierzamy, lecz poza ogólnem wskazaniem kierunku daleko nam było (i jest) do ścisłego określenia dróg; znaliśmy cel, lecz w doborze środków szwankowaliśmy, szliśmy zawsze na niepewne, padaliśmy (i padamy) ofiarą pomyłek. Mylnym atoli jest wnio-

sek, jakoby wina spoczywała w samej zasadzie polskiej; zło tkwi w niedostatecznem jeszcze opracowaniu metody. Jeszcześmy dyletanci! Historycy, statyści, prawnicy, uczeni nasi powołani zaś są nie do tego, by kontynuować próby przerobienia nas na jakiś dziwny naród myślący nie po swojemu, żebyśmy porzucili polskie poglądy, lecz do tego, by polską metodę myślenia uzupełnić odpowiednią metodą działania. Ogólnikowe rzuty myśli trzeba wykształcić w ściśle ujęty system, a luźne porywy zamienić na szczegółowo obliczony mechanizm wykonawczy.

My pragniemy być współtwórcami nowego okresu dziejów, żywymi członkami społeczności narodów cywilizowanych, spragnieni pozyskać sobie zasługi około postępu cywilizacji wogóle, a cywilizacji życia zbiorowego zwłaszcza. Niepodległość stanowi dla nas środek do tego właśnie celu. Żadną miarą nie zdołalibyśmy poprzestać na roli biernych przetwórców cudzych dzieł do własnego użytku; my chcemy sami być twórcami, a z dzieł cudzych korzystać drogą wzajemności, mając też własne do rozpowszechniania na cudzy pożytek. Powszechność czynna, europejskość myśli i pracy twórczej — to nasz żywioł. Z zasług naszej cywilizacji około ogółu narodów pragniemy wysnuć swe znaczenie. Nam bowiem potrzebne jest wewnętrzne przeświadczenie, żeśmy warci niepodległości, że wznowienie państwa polskiego potrzebne jest dla ogółu narodów miłujących wolność i dla zupełności pracy cywilizacyjnej.

Takie ujęcie ambicji narodowej, tkwiące głęboko w duszy polskiej, nie jest czczą frazeologją „romantyczno-polityczną", gdyż wiedzie ono do zadania sobie pytania, czyśmy przygotowani należycie do spełnienia tak wielkiego obowiązku. Polak nigdy a nigdy nie ograniczał się do wywodów swych praw w Europie, lecz zawsze poczuwał się do obowiązków wobec Europy i myślał o tem, jak je spełni, gdy nabędzie do tego możności. Są tego ślady nader liczne a wymowne w piśmiennictwie

polskiem, w filozofji polskiej, w poezji niemniej. Wiedzie nas to do pewnej surowości względem samych siebie, do coraz większych wymagań od siebie samych, do ciągłego doskonalenia siebie. W ten sposób to, co wielu wydaje się z pozoru niebezpieczną pretensjonalnością, może stać się najlepszą rękojmią skromności, szkołą nieustannej wytężonej pracy nad sobą, połączonej z ciągłem badaniem własnej indywidualności, z nieustanną autokrytyką. Pogląd na sprawę własną, związany w myśli polskiej ze sprawą powszechną, prowadzić musi przez prostą konsekwencję z jednej strony do studjów obejmujących coraz szersze horyzonty świata — z drugiej zaś strony wymagać będzie badania siebie samych, roztrząsania naszego bilansu duchowego, moralnego. Tego rodzaju pojmowanie własnej narodowości wiedzie nieuchronnie do wniosku, że należy wpierw spełniać obowiązki, zanimby się można było odwoływać do praw, należnych nam od ogółu narodów.

Im mocniej pożądamy europejskiego dla polskości miejsca, tem mocniej kołatać muszą w nas pytania, czy zdołamy, czy podołamy, czy się nie łudzimy, czy nie ulegniemy nadmiarowi związanych z naszym bytem spraw i zadań, czy nie przypisujemy Polsce wartości nadmiernej? Czy Europa traciła co istotnie na tem, że nie było w niej przez półtora niemal wieku państwa polskiego, i co zyskuje na przywróceniu go? Czy słuszność tylko, czy też także interes Europy wymaga, żeby popierano nasze interesy w pewnym kierunku i w pewnej mierze? Czy Polska posiada wartość dla innych i j a k ą? czy da się to określić ściśle, nie po literacku, lecz naukowo? A z tego dociekania konsekwentne dalsze: Czy stosunek nasz do Europy da się oprzeć na tem, do czego jesteśmy zdatni, tj. na naszej pożyteczności? A czyż to kwestja tylko dzisiejsza? Jakim był stosunek nasz do Europy pod względem politycznym i kulturalnym? czy byliśmy biernym tylko uczestnikiem kultury europejskiej, czy też umieliśmy sami jej przymnażać i doskonalić ją? Czy

stanowimy tedy część istotną Europy — i jakież nasze dla niej znaczenie?

Wątpliwości, nurtujące obecnie duszę polską, niechaj się zamienią na badania i roztrząsania naukowe, poświęcone n a u c e o p a ń s t w i e.

Zgóry można powiedzieć, czem nauka ta będzie się odznaczać w Polsce. Sam zakres jej będzie odmienny, niż u innych narodów, a godzi się przypuścić, że zczasem rozpowszechni się polska metoda traktowania tej nauki.

I w powstaniach XIX. wieku i obecnie w wojnie tej powszechnej my dobijaliśmy się czegoś więcej, niż niepodległości, która nigdy nie była dla nas celem ostatecznym, lecz środkiem do celów jeszcze dalszych. Chcieliśmy i chcemy zająć na nowo nasz posterunek historyczny pośród narodów Europy, ażeby pracować około rozwoju nowego okresu dziejowego. My nie potrafimy być biernymi, my musimy działać na tle europejskiem; bez tego niema dla nas życia, bo dla nas życiem tylko p e ł n i a ż y c i a. W tem najwyższy i najczulszy szczebel ambicji narodowej polskiej.

Jak wszystko ludzkie, ma i to strony ujemne, można też ponieść z tego niejedną szkodę. Grozi to wyrywaniem się, zapędzeniem, rozmachem, kiedy rozsądek powiada, że im więcej ruchów, tem więcej sposobności do guza... Rozsądek stanowi część rozumu poważną, ale bądź co bądź część tylko.

Patrzmy na najrealniejszą rzeczywistość, przemawiającą faktami z sytuacji międzynarodowej, jaka wytworzyła się niemal natychmiast po upadku państw rozbiorowych. Czyżby to było wykonalnem, żeby zamknąć Polskę ściśle w granicach piastowskich? Tylu wrogów stara się o to z całych sił, zabiega o to największa międzynarodowa potęga (żydostwo), nie brak w Londynie chęci do jak największego uszczuplenia granic polskich[1]),

[1]) Pisano w pierwszej połowie sierpnia 1920.

lecz choćbyśmy mieli przejść przez piekło za życia, ostatecznie uszczuplenie Polski okaże się, niewykonalnem. Względy i potrzeby międzynarodowe prą do tego, by Polska była mocarstwem.

Siły znaczniejsze i wyższe nad siły jednego narodu, stosunki ogólno-europejskie nadają sprawie polskiej znaczenie europejskie i stanowi to... europejską konieczność. Działa tu siła dziejowa, potężniejsza ponad wszelki opór, jakibyśmy jej stawić mogli. Gdybyśmy chcieli być państwem biernem, neutralnem, którego celem jedynym zapewnienie sobie bezpiecznego istnienia, gdybyśmy sami usuwali się na drugi plan w polityce powszechnej, przestalibyśmy istnieć wogóle po niedługim czasie. Próbowaliśmy już raz skromnego wycofania się na stanowisko państwa drugorzędnego, usunęliśmy się za czasów saskich do zacisznego kąta — i doczekaliśmy się rozbiorów. Utrata ponowna niepodległości czekałaby nas niewątpliwie, gdybyśmy zdecydowali się prowadzić politykę niemocarstwową. Kto nie spełnia swego powołania, podrywa sam korzenie swego bytu. Zresztą, ponieważ w tem miejscu, gdzie znajduje się Polska, potrzebne jest ze względów geografji politycznej, a więc ze względów od woli naszej nawet niezależnych, mocarstwo potężne, a więc ono tu być musi; jeżeli nie chciałaby być niem Polska, musiałoby stać się niem jakieś inne państwo na miejscu Polski, a zatem: państwo Polskę zagarniające i pozbawiające ją niepodległości. Na to niema sposobu. Miejmyż otuchę, że wystarczy nam lekcja jednorazowej utraty niepodległości, i że nie narazimy się na to powtórnie. Kurczenie wszelkie polityki polskiej prowadzi i prowadzić musi do tego niebezpieczeństwa, ponieważ położenie Polski w Europie jest tego rodzaju. Zachodzi tu v i s m a i o r.

Musimy zmierzać na nowo do pozyskania mocy, jaką posiadaliśmy niegdyś. Musimy przyszłość naszą nawiązywać do przeszłości i trwać przy historyzmie. Chociażbyśmy sami byli mu nieradzi, najrealniejsze stosun-

ki popchnęłyby nas na tę drogę. Ponieważ sprawy nasze nie dadzą się żadną miarą oddzielić od spraw narodów ościennych, więc najoczywistsza rzeczywistość dokoła nas wywiera tu wpływ tego rodzaju, iż gdybyśmy wyrzekli się historyzmu, zeszlibyśmy na stanowisko podrzędne, staczając się po równi pochyłej do rzędu igraszki politycznej w ręku ościennych, którzy musieliby naśladować nasz historyzm choćby przeciwko nam, naśladując go bodaj tylko zewnętrznie (boć do istotnego naśladowania trzebaby przygotowania długich pokoleń). Gdyby Polacy zaniechali praktycznego stosowania swego historyzmu, wymyśliliby je ościenni.

Historyzm polski, toć federacja. W jakiej formie? Będzie o tem mowa niżej, że niekoniecznie w formach roku 1569 (unja lubelska) musi się mieścić historyczna myśl polska. Nie można po doktrynersku chwytać się w imię historyzmu pewnej formy z przeszłości, gdy chodzi o wznowienie dawnej myśli w nowych okolicznościach — i gdy samaż myśl wymaga uzupełnień. Czyż ideje mają być pozbawione postępu? czyż skamieniałość ma stanowić kryterjum doskonałości w zakresie idei historycznych? Nie! one także muszą rozwijać się.

Nie należy też rozumieć historyzmu polskiego, jako nawrotu nieodmiennego do granic z r. 1772. Historyzm, to coś bardziej skomplikowanego, niż taka formułka graniczna, mająca być raz na zawsze, i od wszystkiego. To tylko symbol, którego interpretacja zależy od czasu i okoliczności; ktoby rozumiał hasło „granic roku 1772“ literalnie, byłby doktrynerem, nie umiejącym zastosować w praktyce danej ogólnikowej formuły. Chodzi o to, ażeby na równinie sarmackiej było jak najmniej granic państwowych, i żeby wykluczoną była możliwość wojny pomiędzy państwami tej równiny, z zachowaniem jednak wolności wszystkich. Oto historyzm polski, a nie pewna linijka na mapie! A nużby w danych okolicznościach lepiej było inaczej wytyczać granic mocarstwa polskiego? Nużby się okazać miało, że np. lepsze pół

Śląska, niż dwie Ukrainy[1])? Nużby wypadło użyć energji narodowej w kierunku południowym aż na Bałkan?

Nie piszę broszury politycznej, wskazuję tylko po akademicku możliwość dążenia do celu niekoniecznie zapomocą linji roku 1772. Ostrzegam przed doktrynerstwem w historyzmie, bo doktryneryzm oddala od celu, a nie zbliża do niego; to nie latarnia, oświecająca drogę, lecz błędny ognik. Tem bardziej zaś należy tępić ślepe doktrynerstwo, im bardziej pewnikiem jest, że albo podołamy zadaniom naszym historycznym, albo zejdziemy znowu z mapy politycznej... Wypadło nam być albo mocarstwem, albo w najlepszym razie tolerowanym trabantem którego z państw sąsiednich, z niezawisłością tytularną, z łaski, aż do odwołania. Taką jest sytuacja Polski zasadnicza, nie dająca się odmienić.

Zamiast tedy odwodzić rodaków od wielkich szlaków polityki powszechnej, lepiej starać się o to, by rozszerzone były w Polsce wiadomości i rozmnożone talenty, potrzebne do prowadzenia takiej polityki w sposób roztropny. Błędy popełnione przy robocie nie uprawniają do wniosku, żeby przestać pracować!

Często spotkać się można z zarzutem, czy nie za wiele w nas historyzmu? i z obawami, że skutkiem zbytniej jego przewagi nie zdołamy być społeczeństwem nowożytnem, zdatnem do politycznej i ekonomicznej walki o byt w nowoczesnem współzawodnictwie państw i narodów.

Jeżeli historyzmu nazbyt, toć przez konsekwencję musiałoby być w Polsce niewiele podkładu ludowego. Przyjrzyjmy się z kolei tej sprawie.

---

[1]) Wyrażenia tego użyłem po raz pierwszy przed laty dwudziestu. Dla uniknięcia nieporozumienia dodaję, że Wileńszczyznę zaliczam do Polski etnograficznej (wiadomo każdemu geografowi, jako granice etnograficzne są zmienne).

2. Podkład ludowy.

„My wszyscy z chłopa“ — słyszy się na każdym kroku, jako spopularyzowany „pewnik“ historyczno-socjologiczny. Doktryna o rzekomem wspólnem pochodzeniu wszystkich stanów od ludu wiejskiego wytworzyła się, niby jakieś wynagrodzenie ludowi za to, że bywał tak długo zaniedbywany w społeczeństwie; przesadne ocenianie znaczenia ludu w narodzie ma niejako stanowić zwrot, chociaż spóźniony, należnych mu zaległości. Doprowadziło się do tego, że na sto osób z inteligencji dziewięćdziesiąt dziewięć gotowo przysiąc, że na początku byli sami chłopi, a wszystkie inne warstwy społeczne powstały z ludu przez następne dopiero różniczkowanie. Ów wiek złoty, aurea prima aetas, to jakiś okres chłopski.

Dawniejszy przesąd o pochodzeniu szlachcica od Jafeta, a włościanina od Chama, nie był rozpowszechniony tak ogólnie, ni zakorzeniony tak głęboko, jak dzisiejszy przesąd, że nie byłoby narodu, gdyby nie było ludu wiejskiego; przesąd, jakoby lud wiejski stanowił źródlisko narodu.

W takim razie ludność Stanów Zjednoczonych albo znajduje się ciągle jeszcze w jakimś okresie przedwstępnym chyba do przedhistorycznego, albo popadła w stan niedorozwoju społecznego — boć tam niema ludu wiejskiego. Chłopa tam niema, ani też nigdy nie było — a gdy przybyły z Europy włościanin osiedli się tam na stałe, „chłopem“ być przestaje. Stany najwybitniej nawet rolnicze nie posiadają ludu wiejskiego. Podobnież mają się rzeczy w rolniczej Australji. Fakty nam współczesne stwierdzają, że kraje rolnicze mogą się doskonale obchodzić bez „chłopa“ — a zatem nie jest to prawdą, jakoby chłop był pra-warstwą wszelkiego społeczeństwa.

Geneza społeczeństw bywa rozmaita. Geneza społeczeństwa polskiego jest szlachecka. W Polsce szlach-

cic stanowi warstwę najstarszą, pierwotną, bezwarunkowo starszą od ludu wiejskiego.

Niemieccy osadnicy nazwali staroniemieckim wyrazem „slahta“ ludność rodzimą polską, której cechą była organizacja rodowa; wyraz „slahta“ znaczy bowiem dosłownie to samo, co „rodowcy“. Przybysze, zorganizowani li tylko na podstawie sąsiedztwa w „gminy“, dostrzegli w organizacji rodowej zasadniczą różnicę tuziemców od siebie samych. Ponieważ organizacja rodowa sięga czasów przedhistorycznych, ród zaś uzupełniał się tylko przez urodzenie (adopcja herbowa lub familijna, to sprawy znacznie późniejsze), należy przyjąć, że wszyscy rodowcy okresu piastowskiego są potomkami autochtonów z czasów przedhistorycznych[1]). A czyż autochtonowie mogą popaść gromadnie[2]) we własnym kraju w stan ograniczenia wolności osobistej lub rzeczowej? Musiałby wydarzyć się jakiś szczególny fakt historyczny, któryby można było wskazać wyraźnie, jako przyczynę takiego dziwu; a którego w polskich dziejach nie było.

Tylko obcy stają się niewolnymi. Nigdzie niewolny nie bywa jednego pochodzenia etnograficznego ze swym panem; dopiero w dalszem pokoleniu może się zasymilować.

Pierwotnie jedynem źródłem niewoli była w Polsce niewola jeńców wojennych, osiedlanych w osobnych osadach pod grodami, z zajęciem przymusowem na rzecz grodu, czyli t. zw. narokiem. Narocznicy należeli do organizacji państwowej (grodowej) jako niewolnicy książęcy, lecz nie należeli do społecznej. To też gdy runęło państwo po katastrofie Mieszka II., a w społeczeństwie nie było dla nich miejsca, musieli je zdobywać sobie

[1]) „Wszyscy“ w znaczeniu reguły, której nie obalają wyjątki, które są zresztą stosunkowo zbyt nieliczne, by o nich mówić w pracy, nie poświęconej specjalnie temu przedmiotowi.

[2]) Wypadki indywidualne nie należą tu do przedmiotu; chodzi tu wyłącznie o gromadność, stanowość.

gwałtem; — ale skoro tylko przywrócono władzę państwową (Kazimierz Odnowiciel), nastał spokój.

Kiedy w XII. w. rozprzęgła się ekonomiczna forma organizacji rodowej, t. zw. wspólnota rodowa, a rozwinęła się własność indywidualna, osobista, nastała potrzeba niewolnika prywatnego jako siły roboczej. Kupowano go u Żydów. Niewolnicy prywatni nie byli jednak parobkami, pracującymi według wskazówek i planu gospodarskiego właściciela. Wszak nie znano jeszcze gospodarstwa folwarcznego. Pan wydzielał niewolnemu kawał ziemi, żeby na niej gospodarował (łowami, rybołóstwem, bartnictwem, rolnictwem), a pozostały po wyżywieniu rodziny niewolnej plon przypadał właścicielowi. Zczasem określano dokładniej ilość należnych każdej stronie plonów, oznaczano ściślej, coraz ściślej, wzajemne prawa i obowiązki. Nigdy nie istniała w Polsce niewola w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, tj. stan nie dopuszczający zasadniczo posiadania praw żadnych.

Rzecz prosta, że Żyd nie mógł w danym kraju handlować tuziemcami, lecz tylko sprowadzanymi cudzoziemcami (w olbrzymiej większości ze wschodniej Słowiańszczyzny). Ci polszczyli się po pewnym czasie i w ten sposób powstały u nas dwie warstwy rolnicze, pracujące własnemi rękoma na roli: reszta pozostałej w rodowych wspólnotach ludności wolnej, „rodowej", gospodarująca na rachunek własny, i ludność niewolna, gospodarująca na rachunek cudzy. Właściciele własności indywidualnej wyjątkowo tylko pracowali ręką własną.

Po pewnym czasie nastąpiło spolszczenie potomstwa kupionego niewolnika, a należało ono do organizacji społecznej (w przeciwieństwie do dawnych naroczników), z państwową nie mając natomiast żadnego związku.

Kupno niewolnika ustało pod wpływem Kościoła, i wtenczas zaczęto sprowadzać osadnika wolnego (od r. 1175), od którego pobierano zrazu tylko czynsze. Po najeździe tatarskim niemieckie wsi czynszowe stały się

zjawiskiem pospolitem. Skutkiem wyludnienia kraju przybyło mnóstwo ziemi niczyjej, a książę czynił nadania chętnie, nie pytając o pochodzenie, przyznając prawo własności ziemskiej chętnie wyzwoleńcom narówni z „rodowymi", czego mamy w źródłach szereg dowodów. Pod koniec XIII. w. spotykamy się z nadawaniem ziemi na wieczystą własność nawet potomkom naroczników. Co dla rodzimej „slahty" było już staroświeczyzną, zaczyna się odradzać wśród wyzwoleńców: i tak skutkiem najazdów tatarskich odradza się i przedłuża wspólnota rodowa.

O pozyskanie własności było łatwo, ale niekażdy chciał podjąć się trudu nowego gospodarstwa. Kto nie chciał się mozolić, lub komu nie udało się osięgnąć własności, szedł na osadnika. Właściciele prześcigali się w podawaniu osadnikom jak najlepszych warunków, dostarczali inwentarza i środków wszelakich chętnie, przyjemniej więc i snadniej było pójść na osadnika, niż gospodarować na własnem w niefortunnych warunkach, gdy się nie posiadało niczego prócz pary rąk własnych. Mnoży się tedy warstwa gospodarujących na cudzem, lecz wolnych, zwanych w źródłach „cmethones".

Według naszych pojęć prawniczych kmieć był dzierżawcą; był bowiem wolnym, a właścicielowi opłacał pewne należytości, umówione zgóry. W warstwę tę wsiąknęła większość potomstwa naroczników i niewolników prywatnych, tudzież część „szlachty", jaka nie utrzymała się po przewrocie, wywołanym najazdami mongolskiemi, przy własności osobistej. Ta warstwa dzierżawców — oto przodkowie polskiego ludu wiejskiego, którego geneza nie sięga tedy poza wiek XIII.

Reformy Kazimierza W., wynikłe z troski o powiększenie siły zbrojnej państwa, zmusiły do służby wojennej każdego właściciela ziemi, przez co zniknęła różnica między szlachtą rycerską a nierycerską. Przedtem powoływany był do wojska ten tylko, kto posiadał własność indywidualną z nadania książęcego, odtąd zaś ka-

żdy, kto z jakiegokolwiek tytułu posiadał ziemię na własność. Obok żołnierza starej daty „rodowców", staje kmieć, który dorobiwszy się, nabył własność, i staje sołtys (miles e cmethone, miles e sculteto). Wyraźne postanowienie ustawodawstwa wiślicko-piotrkowskiego Kazimierza W., notujące „żołnierzy z kmiecia", a więc właścicieli ziemskich, wyszłych z kmiecego stanu, świadczy o najzupełniejszej tego stanu wolności osobowej i rzeczowej.

Dzierżawa kmieca była dziedziczna na czas nieograniczony, a wyrobiło się prawo zwyczajowe, że jest ona wieczystą. Rugować kmiecia nie wolno, chyba że byłby jawnym szkodnikiem na gospodarstwie; wolność zaś przenoszenia się ograniczona jest u kmieci temi tylko względami, jakich wymagała słuszność i prosty rozsądek (wszak i dziś dzierżawca, odchodząc, musi zostawić gospodarstwo w porządku).

Za Kazimierza W. nie było ludu wiejskiego, prócz kmieci. Warstwy zagrodników i komorników powstały później, zrazu również zupełnie wolne. Za Kazimierza W. nie było całkiem ludu niewolnego, i niema mowy o jakiemkolwiek poddaństwie.

W okresie piastowskim i za Władysława Jagiełły ziemia miała wartość stosunkowo niewielką; w sam raz taką, iż można się było z niej utrzymać. Kto posiadał ziemi więcej, niż na własną potrzebę, rad był, gdy mógł ją wydzierżawiać innym za skromnym czynszem. Nikt nie dzierżawił więcej, niż znów tyle tylko, ilę trzeba było na utrzymanie wygodne rodziny. Nikt z kmieci nie dzierżawił nigdy więcej, niż jeden łan, tj. około 30 morgów, z czego 10 morgów stało zawsze ugorem. A nie bywało w XIV w. w jednej wsi więcej, jak 7—10 gospodarstw kmiecych; sam właściciel zachowywał dla siebie jeden albo co najwyżej dwa łany. Jakkolwiek za Kazimierza W. wraz z rozkwitem miast podniosła się też produkcja zboża, znajdującego zwiększony zbyt w zamożnych miastach, jednakże i za tego króla opiekun

składał rachunki z opieki tylko z trzód, ze stadnin i z czynszów; dochód ze zboża był tedy jeszcze bez znaczenia, z reguły nie było go całkiem.

Zaczyna się to zmieniać w XV wieku, kiedy pojawia się handel zbożowy, nastaje wywóz polskiego ziarna do Gdańska i do czarnomorskich przystani. Uprawa roli poczyna być intratną, przygotowywa się zwolna gospodarstwo folwarczne. Okres przejściowy trwał przeszło sto lat; dopiero około roku 1550 można stwierdzić na pewno w każdej niemal wsi polskiej folwark i to, co poczęto nazywać gospodarstwem dworskiem. Najstarsza jednak wiadomość o założeniu folwarku pochodzi z r. 1404, a mianowicie ze wsi Świątnik pod Krakowem, własności biskupstwa krakowskiego. Co się działo przy tej przemianie gospodarstwa w Świątnikach, jest tak wymowne, że na tym przykładzie wyjaśnić można... całą dalszą historję stosunku dwóch warstw rolniczych w Polsce: szlachty i kmieci.

Otóż kiedy w roku 1404 zakładano w Świątnikach folwark, powinność uprawy gruntów folwarcznych nałożono na kmiecі-dzierżawców, policzając im tę robociznę sprawiedliwie za część należytości czynszowej. Folwark był nieduży, ludność zaś wsi tak starej jak Świątniki (powstałej jeszcze z naroczników), liczna, a więc wypadło na każdego tej robocizny tak minimalnie, iż nikt nie uważał tego za pogorszenie warunków dzierżawy... A jednak z tego-to miała powstać kiedyś niewola ludu wiejskiego. Wytworzyła się bowiem tylko przez ciągłe pogarszanie warunków dzierżawy, przez nieustanne zwłaszcza przyczynianie robocizny, a zepchnięcie czynszu dzierżawnego na plan coraz dalszy. Kmieć, biorąc rzeczy ściśle formalnie — aż do końca Rzpltej nie przestał nigdy być dzierżawcą, i to dziedzicznym na wieczystej dzierżawie, jak jego przodek za Kazimierza W., a jednak istota rzeczy jakżeż się odmieniła!

Wartość ziemi w Polsce, zacząwszy podnosić się z końcem rządów Kaźmierza W., rosła i rosła bez końca;

coraz więc gorzej musiało być tym, którzy się na cudzej ziemi żywili. Gdyby wartość ziemi była spadała, byłoby przeciwnie: coraz lepiej dla kmieci, a coraz gorzej dla właścicieli i także nie byłby nikt na to poradził.

Administrację publiczną wsi sprawował sołtys, posiadający cztery łany zazwyczaj, monopol karczmy i młyna, tudzież grzywny z sądownictwa pierwszej instancji. Ażeby mieć więcej gruntów do uprawy na własny rachunek, wykupywała szlachta sołectwa we wsiach, zyskując na tem około 120 morgów ziemi najlepiej uprawnej, boć gospodarstwa sołeckie bywały najlepsze. Ale pociągało to za sobą następstwa nie tylko ekonomiczne: przez wykupno takie przechodziła w ręce właściciela władza administracyjna i sądowa na wsi — i w tem geneza poddaństwa ludu polskiego. Wiejski „dziedzic" nie dlatego stał się władcą nad chłopem, iż był szlachcicem, ale przez to, iż stał się jego sołtysem. Po pewnym czasie dokonano skupu sołectw tak dokładnie, że nie tylko zaginęła dawna warstwa społeczna sołtysów, ale nawet zatarła się tradycja, jakim to sposobem szlachcic stał się samowładcą swojej wioski. Odkąd połączyły się w jednem ręku przewaga ekonomiczna z władzą administracyjną i sądową (i przynależnem prawem nakładania kar); odkąd kmieć stał się podwładnym tego samego, od kogo zawisłym był ekonomicznie — odtąd zmiana stosunku dzierżawczego w poddaństwo mogła nastąpić samą siłą faktów, skoroby tylko nastały niekorzystne dla potomków kmieci warunki osadnicze.

Sam kmieć nie upatrywał zrazu nic złego w tem, co później miało stanowić najciemniejszą stronę poddaństwa: w pańszczyźnie, która była prostym tylko ekwiwalentem czynszów. Sam kmieć nakładał pańszczyznę na warstwy wiejskie od siebie zawisłe: na komorników. Robocizna nie była bowiem zrazu oznaką poddaństwa, a tylko sposobem uiszczania się z należytości dzierżawczej. Była to dzierżawa na odrobek.

Dalszy rozwój stosunków wsi polskiej do roztrząsań naszych tu nie należy — a zresztą rzecz ta jest powszechnie znana. Tylko pierwsza część tematu tego, geneza naszych wiejskich stosunków społecznych, pojmowana przez ogół całkiem fałszywie, wymagała tu omówienia, ażeby zwrócić uwagę, że naszą prawarstwą społeczną nie jest wcale lud wiejski i że geneza tego ludu da się dokładnie określić historycznie, że nie tylko nie pochodzi on z czasów przedhistorycznych, ale wytworzył się w czasach stosunkowo późnych.

Pojęcia inteligencji o ludzie wiejskim mają w Polsce ciekawą historję. W XV. w. lud był wcale bliskim szlachty, przechodził często do jej szeregów, nieraz bił się dobrowolnie z nią i za nią, jak np. w bitwie pod Nakłem r. 1431 podczas najstraszniejszego najazdu krzyżackiego. W wieku dopiero XVI szlachectwo poczyna przybierać cechy kastowości, ale obie warstwy rolnicze są sobie jeszcze naprawdę bliskie. W poezji polskiej „złotego okresu“ nie brak dowodów, jak dobrze lud znany był naszym pisarzom, co wypada uważać za wskazówkę, że obie warstwy rolnicze pozostawały z sobą w stosunkach kulturalnych. Nie mówiąc o Reju, pełno aluzyj do ludu wiejskiego u Jana Kochanowskiego; u Szymonowicza zaś pod klasycznem przybraniem sielanek przeziera chłop ruski, a nieraz polski. Ileż zaś wzmianek o kmieciach i kmiotównach w całej literaturze podręcznej XVI wieku, w wierszykach ulotnych i w tem piśmiennictwie, które stanowiło ówczesne „książki do czytania“! Gdyby do ludowości wystarczało samo zajmowanie się ludem, nasza literatura „złota“ byłaby doprawdy wielce ludową, a ludowość polska zaczynałaby się już od wieku XVI.

Od drugiej połowy XVII. w. zmienia się sprawa. Wzmianek o ludzie ubywa w dziełach literackich, poezja przestaje czerpać natchnienie z tematów ludowych. Pod koniec wieku poczynają przeważać wzmianki lekceważą-

ce, coraz bardziej satyryczno-pogardliwe, a zjawiają się i czysto wzgardliwe; jeszcze tylko kiedy niekiedy w kazaniach zdarzy się, że duchowny autor pomówi serjo o wieśniakach.

W XVIII. w. nastąpiła pewna sztuczność kultury. Ginął zmysł historyczny, zanikał historyzm i jakoś równocześnie (toć fakt!) zmysł polityczny z jednej strony, a z drugiej zmysł teoretycznego orjentowania się w bezpośredniem otoczeniu. Z ustaniem zajęcia dla studjów przeszłości nastał szczególny brak zrozumienia teraźniejszości. Można obserwować nieraz w toku historji powszechnej objaw ten w różnych krajach; gdy bowiem zabraknie zmysłu historycznego, otaczające nas stosunki poczynają się wydawać czemś apriorycznem, danem zgóry, stałem, niewzruszonem. Zmysł historyczny stanowi rękojmię postępu, bo pomaga zrozumieć potrzebę zmian, a nawet konieczność samej zmienności. Tak jest! historyzm może służyć za najlepszy fundament postępu.

Sztuczność kultury trwała w Polsce krócej, niż na Zachodzie. Pokolenie z drugiej połowy panowania Stanisława Augusta jęło się naprawdę życia praktycznego, i w szeregu wybitnych osób tego czasu znać to, co nazywać możnaby miłością rzeczywistości, ukochaniem warsztatu życia. Wtargnął np. także w polskie piśmiennictwo wieśniak kosmopolityczny, stylizowany, pełen cnót i urody, jak gdyby jakie wcielenie pierwszych wierszy Metamorfoz Owidjusza. Naśladowano u nas te utwory pseudo-ludowe, ale nie przejmowano się tą sztucznością. Bo też inną była wieś francuska, a inną zgoła polska. Szlachcic francuski nie mieszkał wśród swych poddanych, podczas gdy polski siedział pośród nich na roli. To też doszliśmy w krótkim czasie do pomysłu oczynszowania, a niebawem nawet zupełnego uwłaszczania włościan.

Niesposób oprzeć się myśli, że w krótkim stosunkowo czasie stosunki rolniczych warstw społecznych w Polsce stałyby się były zupełnie normalne, gdyby społeczeń-

stwu i państwu danem było przez jedno choćby jeszcze pokolenie rozwijać się naturalnym trybem. To atoli zostało wstrzymane.

Tem załamaniem toku polskiego rozwoju skutkiem utraty niepodległości tłumaczy się przedłużenie sztuczności w pojmowaniu ludu wiejskiego. Jeszcze „Wiesław" Brodzińskiego jest dziwną mieszaniną owego fikcyjnego wieśniaka stylizowanego, kosmopolitycznego, z pewnem zacięciem narodowem; nie jest on jednakże wcale krakowskim chłopem, ale tylko dowodem, że poczynała rozbudzać się ochota, by odkryć polskiego chłopa dla piśmiennictwa. Miało jednak upłynąć dużo wody, zanim to nastąpiło.

Z początkiem wieku XIX. rozmiłowano się tak nagle w chłopie dlatego, że uważano duszę jego za „tabula rasa", na której można pisać, co się komu pisać uda. Ponieważ czasy owe obfitowały w przeróżnych reformatorów, z których ani jeden nie byłby zdołał urządzić porządnie jednej gminy, ale każdy reformował zato odrazu „ludzkość całą", więc potrzebne im było jakieś pole doświadczalne. Takiem polem wydał im się „kmiotek", jako „niezepsuty cywilizacją" materjał, dający się urobić według życzeń reformatorów. Trwało to długo, nim się spostrzeżono, że chłop ma swój własny świat; spostrzeżono się, że chłopska głowa nie jest zupełnie pusta, że coś w niej siedzi, ale coś takiego, co reformatorom z reguły zawadza... W taki dopiero sposób doszło się do stwierdzenia osobnej chłopskiej kultury.

Tak jest; w kulturze narodowej istnieje poddział kultury ludowej wiejskiej. Składa się ona z pojęć religijnych, etycznych, prawnych, społecznych, z pojęć o życiu rodzinnem, o wzajemnym stosunku płci, z pojęcia godności osobistej, z zapatrywań na pracę fizyczną a umysłową i z zasobu wyobrażeń przyrodniczych, obejmuje też nie tylko odrębny zwyczaj i obyczaj, ale odrębne wobec współczesnego rozwoju estetycznego objawy sztuki i poezji.

Przyjęło się uważać kulturę ludową za oryginalną, za swoisty wytwór ludu; a skoro lud uchodzi za prawarstwę, całkiem tedy logicznie wysnuto wniosek o przedhistorycznej genezie pojęć i zwyczajów ludowych.

W rzeczywistości rzecz ma się atoli zgoła inaczej. Sprawa ta ma również swoją historję. Zwyczaje i pojęcia ludowe są ludowemi dziś, ale czy były niemi zawsze? Prawie na każdym kroku nabiera się wątpliwości co do tego, gdy się przedmiot podda naukowemu badaniu; często zaś ma się zupełną pewność, że n i e.

Znaczną większość zwyczajów ludowych można odnieść do pewnego ściśle oznaczonego czasu, częstokroć do niebardzo dawnego okresu historycznego. Obrzędy weselne ludowe nie są po większej części niczem innem jak kopją zwyczajów szlacheckich, powszechnych po wiejskich dworach i dworkach jeszcze w XVIII. w. Mnóstwo szczegółów wieśniaczego ceremonjału towarzyskiego znajdujemy w starych podręcznikach savoir-vivre z wieku XVII. Zachowanie się przy stole dzisiejszego kmiecia jest też przestarzałą formą elegancji; niegdyś kasztelanki jadały tak, jak dzisiaj czynią to Maryśki.

Ledwie cząstka tego, co tkwi w kulturze ludu, jest oryginalnym jego wytworem. Lud żyje po większej części przeżytkami. Jego sztuka i literatura da się oznaczyć chronologicznie z kroniki kultury szlacheckiej; ludowem jest obecnie po większej części to, co niegdyś było szlacheckiem. Kultura ludowa powstaje przez opóźnione naśladownictwo kultury warstw bardziej ukształconych. Naśladownictwo opóźnia się czasem tak niepomiernie, iż ledwie przeżytki dostają się z dworu i z miasta pod strzechę. Skutkiem zaś rozbiorów nastała taka stagnacja w rozwoju duchowym naszego ludu wiejskiego, trwająca mniej więcej do połowy wieku XIX, iż w kulturze jego od czasów kościuszkowskich aż poza „wiosnę ludów“ (1848) niewiele się zmieniło; to też dziś jeszcze

w wielu okolicach widzieć można w życiu ludu żywe muzea z połowy, a nawet z początku wieku XVIII.

Jeżeli lud wiejski, jako taki, posiada moc twórczą, artystyczną czy społeczną, czemuż nie okazuje jej dziś, będąc bardziej (i to bez porównania bardziej) oświeconym? Czemuż w naszych czasach nie powstają ludowe nowości w budownictwie ludowem, lub choćby w zdobnictwie? czemuż nie wytwarzają się na wsi nowe tańce, melodje, rodzaje poezji? Czyżby twórczość ludowa związana była z ludową ciemnotą, jako z warunkiem swym nieodzownym? Ależ to absurd.

Zadajmyż sobie pytanie, czemużto nie wymyślił lud nic a nic w tej dziedzinie, której oddaje się w całości, wyłącznie, mianowicie w zakresie... rolnictwa? Wiemyć wszyscy, że rolnictwo ludowe, to rolnictwo złe, zacofane, pogrążone w przeżytkach; chłop najgorszym jest rolnikiem, a poprawia się w tem o tyle, o ile naśladuje rolnictwo dworu (szkoły rolnicze, zakładane dla ludu, świecą jeszcze pustkami). Czy słyszał kto kiedy o jakiem najmniejszem udoskonaleniu rolnictwa, któreby wyszło od ludu? Jakżeż tedy? czyż lud zdatny jest do wszystkiego prócz rolnictwa?

Włóżmy więc między bajki popularne wyobrażenia o mocy twórczej ludu, właściwej tej warstwie w sposób szczególniejszy. Zdatność twórcza podlega u chłopa takim samym prawidłom, co u niechłopa; będzie ona wszędzie jednakową caeteris paribus. Gdyby zaś kto twierdzić zechciał, że twórczość słabnie w miarę postępu oświaty i dlatego występuje u ludu tylko w zamierzchłych czasach najgrubszej ciemnoty, niechże będzie konsekwentny i pozamyka szkoły. Bo jakżeż można pozbawiać twórczości najliczniejszą warstwę narodu?

Do fałszywych pojęć inteligencji o ludzie wiejskim zaliczyć przeto należy mniemanie o starożytności objawów jego kultury. Uśmiechnijmy się pobłażliwie, jeżeli zdarzy nam się jeszcze słyszeć, jakoby „wierzenia ludowe“, a nawet niektóre jego zwyczaje odnieść należało

do czasów pogańskich!! Odtwarzanie „mitologji słowiańskiej“ na podstawie guseł i zabobonów ludowych, toć bańki mydlane, bo owe „wierzenia“ pochodzą z wieku XVII i z początku XVIII, (które-to czasy odznaczały się wytwarzaniem zabobonów).

Należy więc znaczenie wyrazu „ludowy“ określić w ten sposób, że ludowem jest nie to, co lud wytwarza, lecz to, co w danej chwili zgodnem jest ze współczesnemi pojęciami ludowemi.

Ponieważ pojęcia te dla samej przestarzałości są odmienne od pojęć wytwarzanych równocześnie przez inteligencję, posiadają pozory oryginalności, i to tem bardziej, im bardziej są przeżytkami. Jeżeli są to przeżytki pojęć, których tradycja nawet zaginęła pośród warstw ukształconych wyżej, natenczas posiadają one dla inteligencji znaczenie i wartość... odkrycia. Tem tłumaczy się ogromne pretium affectionis, przywiązane do wszystkiego, co „ludowe“; spodziewamy się bowiem zawsze jakichś odkryć, mających „wzbogacać kulturę narodową“.

A jednak istnieje dziedzina, w której może nastąpić istotnie wzbogacenie przez „ludowość“, a mianowicie przez przyswojenie sobie form ludowych: dziedzina sztuki. Nic niema w dziejach pojęć zmienniejszego nad pojęcia literackie, i (na drugiem zaraz miejscu) z zakresu piękna plastycznego; w tych tedy działach umysłowości następuje zastarzałość szybciej niż w innych, a skutkiem tego zachowane w ludowości przeżytki wydają się tem archaiczniejszemi, i nabierają w danym razie tem bardziej znaczenia odkryć. Tworzą się u ludu zapasy niejako archaiczne, z których poeci i artyści mogą czerpać w czasach nieurodzaju, odświeżając literaturę i sztukę bardzo skutecznie, jak uczy historja literatury, a najbardziej literatury polskiej. Oparcie poezji artystycznej na ludowej, tj. na takiej, jaka w danym czasie kursuje wśród ludu, jest faktem, znanym powszechnie. Oczywiście, muszą zachodzić inne jeszcze kategorje literackie, bo ze sa-

mą ludowością nie zaszłoby się daleko, ale bądź co bądź poezja i sztuka mogą opierać się wyraźnie na podkładzie ludowym.

Utarło się taką właśnie sztukę i poezję uważać za najbardziej narodową. Jest w tem prawdy wiele. Nie ulega bowiem wątpliwości, że co wśród ludu przyjęło się samorzutnie, to jest już naprawdę polskiem. Choćby to bowiem było pierwotnie czemś najbardziej egzotycznem, zanim doszło do ludu, musiało zostać przetrawionem, skoro on przyjął to za swoje. Lud nie przyjmuje niczego niemal w naśladownictwie ślepem, lecz asymilując, przystosowując (czasem przekręcając przez brak zrozumienia rzeczy) do siebie, a w ten sposób polszczy bądź co bądź wszystko, czego się tknie. I oto jest moc twórcza ludu wiejskiego.

Cokolwiekby tedy orzekła teorja folkloru, praktyka artystyczna zawsze może opierać się na ludowych wzorach, boć tędy prowadzi artystę częstokroć najkrótsza droga do celu. Ale nie wynika z tego bynajmniej, by pojęcia lub formy ludowe uważać za prapolskie, lub uznawać je wyłącznie polskiemi.

Zwrócić należy jeszcze uwagę na inną okoliczność: podczas gdy kultura polskiego ludu wiejskiego zaznacza się wyraźnie, kultura ludu miejskiego w Polsce jest lotna i tak ciasna, że aż jednostronna. Czyż nie pozostaje to w związku z tem, że tamta korzystała z takiego oparcia, jakiego dostarczała kultura szlachecka w Polsce, kultura tak wybitna i wykończona, a także wiejska, odznaczająca się nadzwyczajną wielostronnością, tworząca świat własny, sam sobie wystarczający, gdy tymczasem mieszczaństwo nie mogło służyć ludowi miejskiemu za takie oparcie, boć samo nie zdobyło się na wytworzenie u siebie odrębnego poddziału kultury narodowej. Przyczyny tej odmienności nasuną się same każdemu, obeznanemu choć zgrubsza z historją polską.

Równem prawem jak o nadmiar historyzmu mogłyby nasuwać się wątpliwości, czy nie za wiele ludowości w umysłowości współczesnego Polaka? Rola historyczna ludu wcale nie... przedhistoryczna i nie taka znaczna, jak się przesadnie o tem sądziło, a jednak wpływ ludowości tak silny, taki potężny, czy nie za wiele?

Zestawmyż teraz historyzm a ludowość polską.

3. Historyzm a ludowość.

Przez „ludowość" rozumiemy zgodność z pojęciami, powszechnemi wśród ludu, a zakorzenionemi wśród niego drogą naturalną, nie zaś narzuconemi drogą propagandy sztucznej. Ponieważ lud wszedł w życie publiczne stosunkowo niedawno i posiada najmniej tradycji historycznej, zawiera przeto w sobie także najmniej historyzmu.

Lud skłonny jest wprawdzie krępować się w postępowaniu swem przeszłością, ale nie z historyzmu to bierze początek, lecz z konserwatyzmu, którego źródłem częścią ubóstwo, częścią ciemnota. Kto trzyma się pewnych dróg i form dlatego, że tak bywało u ojców i tylko dlatego, ten popadł w ślepe naśladownictwo przodków, podczas gdy historyzm polega na wyrozumowanym, celowym wyborze pośród form przeszłości. Niema też konserwatyzm ślepy nic wspólnego z tradycją czynną, pobudzającą do czynów, a na niej zasadza się historyzm. Krępowanie teraźniejszości przeszłością nie pochodzi u ludu z celowego rozmysłu, nie dzieje się w imię pewnego hasła, nie stanowi też pewnego rodzaju intelektualizmu, lecz pochodzi właśnie z zaniedbania go. W miarę rozwoju oświaty lud nie tylko coraz mniej krępuje się przeszłością, ale nawet skłonnym bywa w pewnej fazie swego rozwoju odrzucać zasadniczo wszystko, co za ojców bywało, mniemając, że postęp polega na przeciwstawianiu się przeszłości.

O konserwatyzmie chłopskim powiedzieć można, że nie pochodzi on z wyrozumowania, lecz narzucony jest ludowi okolicznościami od niego niezależnemi, a takiemi, których więzy on chętnie z siebie strząsa, gdy nastają pomyślne do tego okoliczności. Z natury lud wcale nie jest tak bardzo konserwatywnym, jak się mniema powszechnie. Nic mylniejszego jak identyfikowanie konserwatyzmu z włościaństwem, jako takiem, jako czegoś nieodłącznego od ludu wiejskiego, jakoby jego cechy istotnej. Trzeba obserwować tę kwestję w okresach takich, kiedy lud wiejski ma sposobność zaniechać konserwatyzmu, kiedy może mieć wybór pomiędzy dawnym a nasuwającym się nowym kształtem życia. Nadto zaś mieć należy na uwadze, że konserwatyzm ślepy, bezmyślny, może pozostawać długo nienaruszonym, niepoprawnym w jednej dziedzinie życia, gdy tymczasem w innych mogą przejawiać się już prądy nowe. Konserwatyzm nie posiada nigdy niemal równego napięcia we wszystkich swych działach.

Któryż dział życia uważać za najelastyczniejszy, jeżeli nie ekonomiczny? Na nim odbija się najszybciej i najgłębiej wszelka zmiana, choćby nawet krótkotrwała, w układzie stosunków życia zbiorowego; możnaby o warunkach ekonomicznych powiedzieć, że ulegają każdemu podmuchowi wiatru. Z drugiej atoli strony, gdy ekonomiczne sprawy ustalą się, wywierają one wzajemnie wpływ na wszelkie inne dziedziny życia i to wpływ ogromny. Wielka zawiłość ekonomicznych spraw polega właśnie na tej ich dwoistości, że są najelastyczniejsze, a zarazem jednak najbardziej trzymają człowieka na uwięzi.

Rozwój należyty zawisł od rozmaitych wpływów, a nie najmniej od ekonomicznych. Walka o byt nie jest wprawdzie najważniejszem zadaniem człowieka, ale bądź co bądź najnaglejszem, którego nigdy nie można odkładać, którem z konieczności musi się każdy zająć i ciągle mieć z tem do czynienia.

Ilekroć nastanie zmiana stosunków ekonomicznych, społeczeństwo musi się do niej przystosować, nie chcąc być narażonem na zastój, a w danym razie nawet na śmierć. Zdolności pewnego społeczeństwa poznać najłatwiej w okresach przesileń ekonomicznych; wtenczas występuje najsilniej poradność, czy też bezradność i nieporadność.

Wspaniałym jest dla historyka ustęp z dziejów polskich po najeździe mongolskim. Podziwiamy rozwagę i twórczość owego pokolenia, jego potęgę prawdziwą w dziedzinie kultury czynu, gdy na zgliszczach tworzono nową organizację społeczną. Podobnież trzeba podziwiać, jak w drugiej połowie XIV w. umiano wlot wyzyskać nadarzający się handel lewantyński; jak potem w drugiej połowie XVI w. umiano jeszcze odeprzeć straszne przesilenie, grożące wschodniej Europie z powodu odkrycia Ameryki i zmiany dróg handlowych ogólnego handlu, a mianowicie skutkiem zamiany karawanowych dróg lądowych na oceaniczne.

Potem niestety zdolność ta zniknęła. Chłop polski okazał się jednak materjałem w tej dziedzinie jak najlepszym. Nie było tak złej konstelacji, w którejby nie umiał sobie poradzić i wywalczyć dla siebie poprawy warunków ekonomicznych. Emigracja polska zaczyna się już w XIII wieku; już wtenczas brzegi Bzury i Wieprza zaruniły się pszenicą pod polskim pługiem. Wiadomo, że nasz chłop kolonizował nawet smoleńskie województwo. Pomysłowość jego obchodziła zręcznie wszelkie ustawy, knute przeciwko niemu na sejmach; wtenczas, kiedy na papierze był już przypisany do gleby, w rzeczywistości przesiedlał się jeszcze z prowincji do prowincji. Wydawał z pośród siebie regularnie warstwę niższego mieszczaństwa i polszczył niemieckie miasta w Polsce. Wchodził chłop do miasta, jako wyrobnik lub partacz rzemieślniczy, a po kilku pokoleniach polszczył to miasto i sprawiał, że patrycjuszowskie rody zaczęły się uczyć jego ję-

zyka. Nie one jego asymilowały ale on, chłop je asymilował.

Kiedy z końcem XV w. zaczyna się gospodarstwo latyfundjów, powstaje wlot nowa warstwa społeczna, t. zw. „ludzie luźni“ (homines vagi), godzący się do robót polnych, ale tylko na ograniczony termin, przeważnie do żniw, i przebiegają kraj gromadami po kilkaset nieraz osób. Za granicę państwa polskiego chadzał wieśniak już w XVI w. (na Śląsk przeważnie, na Łużyce, do wschodnich okolic Brandenburgji). Wszak istnieją konstytucje sejmowe przeciw takiej czasowej emigracji robotnika rolnego. Jest to zupełnie to samo, co owa wędrówka, znana do ostatniego roku przed wojną powszechną pod nazwą „na Saksy“. Stajemy tedy wobec bardzo starego problematu polskiego życia ekonomicznego. Nie rozwiązał go wiek XVI. W drugiej połowie XVI w. miasta zaczęły podupadać, a zatem dostarczały coraz mniej zarobków ludności włościańskiej. Ile wtenczas ludu polskiego utonęło we wschodnich prowincjach niemieckich, któż dziś to obliczy?

W czasach najnowszych lud wiejski urządził systematyczną emigrację do Ameryki, a za naszych już czasów urządził eksport swych rąk roboczych na Zachód, do Szwajcarji i Francji i Danji; wszak o emigracji zarobkowej czasowej duńskiej nie wiedziała długo inteligencja polska, co dostarcza dowodu stanowczego, aż jaskrawego, jak lud nasz umie sobie sam radzić.

Czyż przedsiębiorczość mogłaby istnieć obok konserwatyzmu ślepego, gdyby ten stanowił cechę ludu istotną, gdyby był związany z ludem nierozerwalnie? Jest więc ta przywara ludu cechą jego tylko znamienną, jakkolwiek najbardziej znamienną ze wszystkich. Dzielność, okazywana w przystosowywaniu się do przewrotów ekonomicznych, wskazuje, że zdolność rozwojowa mieści się w ludzie na pewno, i to w stopniu niepoślednim.

Przytłumioną była jednakże zdolność ta i objawiała się tylko jakby z konieczności, w pewnych okoliczno-

ściach i w zakresie ograniczonym, bo wyłącznie w formach walki o byt. Dobro społeczne wymaga, by wszelka zdolność rozwojowa posiadała wolne przed sobą pole, bo życie zbiorowe powinno być w danem społeczeństwie syntezą możliwości rozwoju wszystkich społeczeństwa części. Te dążenia do rozwoju cząstek mogą się krzyżować i zazwyczaj tak bywa; a więc partykularne owe siły rozwojowe wywierają na się wpływ wzajemnie. Ciągłe wzajemne oddziaływanie, i to jak najwszechstronniejsze, wywołuje ruch i stanowi rękojmię pomyślnego rozwoju całości.

Zdrowie społeczne wymaga, by w narodzie krążyły równocześnie dwa prądy: oddziaływanie z góry w dół i z dołu do góry. W wiekach XIII — XVI znać nieraz w dziejach naszych wpływ z dołu, pochodzący od warstw mniej uposażonych na bardziej uposażone, w górę. Np. ziemiaństwo narzuca dynastji swój program narodowy i wynosi tę gałąź Piastów, która podjęła się wykonać go; Władysław Niezłomny (Łokietek) był właśnie wykonawcą dążeń stronnictwa narodowego. Za Kazimierza Jagiellończyka szlachta złamała przewagę możnowładztwa, za Zygmuntów umiała wykonywać władzę. Cały humanizm składa się z mnogich objawów oddziaływania niezamożnej i społecznie niewysoko ustawionej inteligencji na warstwy kierownicze; w Polsce wpływ uczonych na kierunek państwa i społeczeństwa zaczyna się atoli wcześniej, bo już z początkiem XV wieku (o czem niżej rzecz będzie). Unja lubelska była dziełem demokracji szlacheckiej, narzuconem wielmożom. Ale od wieku XVII przestały warstwy społeczne niższe oddziaływać na wyższe i odtąd rozwój społeczny dokonywał się aż do Sejmu Wielkiego wyłącznie przez wpływy z góry w dół. Trzeciego Maja zatriumfował prąd z dołu, idący na nowo, lecz tylko na krótko. Rozbiory nadały nadzwyczajną, a niezdrową przewagę najbogatszym, aż dopiero około roku 1870 prąd demokratyczny przynajmniej w polityce mierzy się z arystokratycznym. Przed-

tem zapisać można ledwie nieudałe próby prądu z dołu w górę oddziałać pragnącego.

Za naszych czasów postąpiła jednak demokratyzacja nadzwyczaj szybko, z chyżością niesłychanie przyspieszoną. Lud miejski i wiejski wpisał się do obywatelstwa nie tylko pretensjami praw, ale też czynami zgodnemi z obowiązkiem. Do jakiego atoli stopnia społeczeństwo polskie nawykło ulegać wpływom wyłącznie z góry, znać stąd, że pomimo ogromnego w ostatniem pokoleniu wzmożenia żywiołu miejskiego nie zanosi się wcale na wytworzenie się jakiejś osobnej kultury mieszczańskiej, lecz życie miejskie w Polsce jest ciągle jeszcze po większej części naśladownictwem szlacheckiego wiejsko-dworkowego trybu życia. Arystokratomanja wraz z życiem nad stan wyrwała też niemało sił wszystkim naszym warstwom społecznym. A czyż lud wiejski dzisiejszy nie odznacza się niesłychanie dokładnem odtwarzaniem w sobie wszystkich dawnych przywar szlacheckich?

Bądź co bądź w politycznej dziedzinie społeczeństwo demokratyzuje się tak szybko, iż może demokratyzacja ta nazbyt wyprzedza mniej rychły proces demokratyzacji społecznej. Inteligencja, jakby to wyczuwając, stara się wytworzyć demokratyzację społeczną w sposób sztuczny, intelektualnie, próbując, czy pojęcia ludowe nie dadzą się zaszczepić w narodzie zapomocą sztuki i literatury. Dziwnem zjawiskiem dziejów warstwa wyższa sama zajęła się w tym wypadku propagowaniem oddziaływania z dołu w górę, podczas gdy warstwa ludowa sama od siebie aniby się tem zajęła była, ani też przeprowadzić tego nie zdołałaby żadną miarą. Sztuczne propagowanie pojęć ludowych dokonywało się nie tylko w Polsce, lecz i w innych narodach — w przybliżeniu nawet nie tak usilnie jak u nas. Usilność ta miała zaś świetne powodzenie.

Pozostaje to w związku z nadmiernem znaczeniem literatury w ekonomice naszego życia porozbiorowego,

boć my literaturze zawdzięczamy głównie szczęśliwe tego okresu przetrwanie; wobec tego wszystko, co propagowane było drogą piśmiennictwa (a zwłaszcza poezji), nabierało doniosłości społecznej, a nawet politycznej. W taki to sposób ludowość wysunęła się na miejsce naczelne pośród haseł nowoczesnego polskiego życia zbiorowego. W porównaniu z Francją, Włochami czy Niemcami ludowość polska jest zaiste przesadną; ale tłumaczy się to całym szeregiem okoliczności tak dokładnie, że przesada owa staje się u nas czemś zupełnie naturalnem.

Dzięki przesadnej ludowości, tj. propagowaniu ludowych pojęć i tendencyj, żeby inne warstwy przejmowały się owemi pojęciami, nastało w Polsce zjawisko szczególnego rodzaju, a mianowicie ogromne wyprzedzanie demokratyzacji praktycznej przez teoretyczną. Polak jest też w rzeczywistości bez porównania mniej demokratycznym, niż nim być pragnie. Demokratyzacja ludowości, wyrozumowana, aprioryczna w znacznej części, robi skoki, gdy tymczasem demokratyzacja faktyczna rozwija się ewolucyjnie, jakkolwiek ewolucją przyspieszoną. Dlatego panuje w tem dość często niezgodność polskiej myśli z czynem, i skutkiem tego następują zbyt często zaburzenia w naszym rozwoju.

Szczerość ludowości polskiej, pełna wiary w zbawczość tego środka, pełna najszlachetniejszego zapału, jest tem widoczniejsza, skoro stosunki nasze były tego rodzaju, że rozwojowi ludowości wcale nie sprzyjały. Nie przyszła ta ludowość z zewnątrz, lecz wyszła z wewnątrz samegoż społeczeństwa polskiego.

Przesadna ludowość w Polsce, jako rezultat wewnętrznych naszych dziejów XIX wieku, zastanawia tem bardziej i tem mocniej przekonywa o swej szczerości, że wpływ rządów państw zaborczych niósł społeczeństwu polskiemu falę politycznego i społecznego wstecznictwa. Wszystko, co w Polsce było ujemnego, co konstytucją Trzeciego Maja skazane już było na zagładę,

przedłużyło się dzięki rządom rosyjskim, austrjackim, pruskim. Co postanowiono w r. 1791, stanowiło dopiero początek tego, do czego zdążano w kierunku równouprawnienia stanów i demokratyzacji życia publicznego, ale początek ten zrobiony był z całą stanowczością, a przepis o przymusowej rewizji konstytucji co lat 25, zawierał wyraźną zapowiedź dalszego ciągu reform. Pomyślmyż, czy nie byłoby doszło w Polsce do urzędowego uznania zrównania stanów, do zupełnej emancypacji ludu wiejskiego i t. d. wcześniej, niż gdziekolwiek w Europie, skoro dochodziłoby się do tego na tle ustroju konstytucyjnego obowiązującego i z jego pomocą, podczas gdy inne narody musiały dopiero staczać walki o sam konstytucjonalizm; czyż nie rozwijałyby się u nas reformy demokratyczne szybciej a głębiej, gdyby były doszły do skutku bodaj dwie rewizje konstytucji Trzeciego Maja, po latach 25 i 50?

Rządy zaborcze utrwaliły w społeczeństwie polskiem szlachetczyznę. Najmniej wstecznego pierwiastka niosły pod tym względem Prusy, gdzie „oświecony absolutyzm“ sam nastrajał się na ton demokratyczny, ilekroć wymagał tego interes skarbu państwa. Aleć i pod pruskim rządem „junkierstwo“ posiadło i zachowało do ostatka ogromne wpływy, i do samego końca nie wygasły w państwie pruskiem przywileje szlachetczyzny w administracji i służbie wojskowej.

Bez porównania więcej jeszcze pierwiastka arystokratycznego zawierały w sobie rządy austryjackie. Sławne galicyjskie „sejmy stanowe“ stanowiły wobec polskiego systemu reprezentacyjnego cofnięcie się gdzieś poza wiek XV-y. Poza swem wstecznictwem politycznem wnosiły owe sejmy w życie prowincji jaskrawe uprzywilejowanie szlachty, wobec której miasta miały na swych posiedzeniach ledwie prawo przysłuchiwania się, co panowie radzą, a chłop nie był zgoła brany w rachubę. Podczas gdy Trzeciego Maja sankcjonowano zgóry wszelkie prywatne umowy o czynsze, stawały się

umowy takie niemożliwemi pod rządem austrjackim; to też prąd ten ustał niebawem. Konstytucja Trzeciego maja przewidywała reformę agrarną po latach 25, boć nie mogła ona nie mieścić się w rewizji konstytucji, gdy tymczasem rządy austrjackie nie zamierzały bynajmniej zmieniać zasady ustroju społecznego; a więc żywioły wsteczne doznawały opieki rządowej, a postępowe stawały się politycznie podejrzanemi. Pod rządem austrjackim nabierał kierunek wsteczny, arystokratyczny, na nowo przewagi nad demokratycznym, snutym z tradycji Sejmu Wielkiego. Ależ bo z Wiednia narzucono nam nadto nową „arystokrację", wytwarzaną zapomocą biurokratycznych dyplomów: były to szeregi t. zw. „hrabiów galicyjskich". Rząd wiedeński zabierał się do tego całkiem poważnie; tworzył sporo dostojeństw, dostępnych tylko „magnatom" (tak zwano ich urzędowo), ustanawiał nawet urzędy dworskie galicyjskie, np. był między innymi „strażnik sreber koronnych królestwa Galicji i Lodomerji" i t. p. W rozmaity sposób wytwarzał rząd austrjacki w Galicji tę warstwę „magnacką", zmuszoną następnie oprzeć się o Wiedeń, o ileby chciała utrzymać się przy swem „magnactwie". Czyż polskie rządy niosłyby z sobą takie dążności wsteczne?

A cóż dopiero w zaborze rosyjskim! Aż do ostatniej chwili obowiązywał tam przymus stanowy; każdy obywatel imperjum rosyjskiego musiał być urzędowo szlachcicem, mieszczaninem, kupcem lub chłopem, a stan to był dziedziczny, bez względu na zajęcie. W świadectwie szkolnem, w wyroku sądowym, w paszporcie miało się wypisane na czele, do jakiego należy się stanu. Przywileje stanowe szlacheckie, uznawane i przez rząd troskliwie pielęgnowane, zwiększały zwartość i wyłączność stanową. Żywioły, które pod rządami polskiemi z końca istnienia Rzplitej gotowe już były kapitulować, podniosły na nowo głowę dzięki wpływom Moskwy — i zaczyna się w najlepsze nowy pochód wstecznictwa. Wstrzymanie demokratyzacji społeczeństwa równało się

w XIX w. wstrzymaniu rozwoju społeczeństwa. W jakież to wstecznicze wiry dostaliśmy się, skoro dopuszczenie w pewnym czasie szlacheckiej organizacji samorządnej (jakkolwiek z nader ograniczoną kompetencją) z instytucją szlacheckich marszałków gubernjalnych, wypadało uważać za postęp wobec „samodierżawia“ rosyjskiego... nam, Polakom, przywykłym do samorządu od XV stulecia? Wszakżeż aż do samego końca rosyjskich w Polsce rządów ani nawet większe miasta nie posiadały samorządu.

Pomimo wszystko dokonywała się demokratyzacja umysłów w Polsce, czego świadectwem historja uwłaszczenia włościaństwa. Kiedy nareszcie wolno było o tem mówić publicznie bez obawy zesłania na Sybir, poświadczyła nam to sama władza rosyjska, żeśmy tego pragnęli oddawna, nie mając jednak mocy wprowadzić rzeczy w wykonanie.

Generał-gubernator wileński Nazimow powiedział do przedstawicieli szlachty polskiej, zebranych na uroczystem otwarciu komitetu gubernjalnego wileńskiego d. 2. marca 1858 r.: „Z godnością i światłą wiedzą odgadując potrzeby rodzinnego kraju i stosując się do ducha czasu, Wy, panowie, pierwsi w całem państwie rosyjskiem oświadczyliście się za szlachetną dążnością ku polepszeniu bytu zostających pod waszą opieką włościan“. — Zresztą nie będę tu wyłuszczał bliżej rzeczy powszechnie wiadomej i po wielekroć już opisanej, od Staszicowej spółki hrubieszowskiej aż do rezolucyj warszawskiego Towarzystwa Rolniczego.

Mniej wiadome powszechności są zabiegi o szerzenie demokratyczne oświaty w ciągu historji porozbiorowej. W okresie stanisławowskim, w pokoleniu Trzeciego Maja zaczynał się podnosić stan umysłowy kmiecia, ale w okresie porozbiorowym nastąpił ponowny i to znaczny, upadek. Ale nie odpowiadamy tak dalece za to, co się działo w tej dziedzinie po rozbiorach. Zwrócę tu

uwagę na kilka przykładów z ciekawych dziejów tej sprawy:

W diecezji przemyskiej za Franciszka II (1792—1835) uczęszczało do wiejskich szkół dziatwy w wieku szkolnym 13.702, a nie pobierało nauki 88.158 dzieci w wieku szkolnym, na 1.493.874 ogółu ludności — gdy tymczasem w ubożuchnej rzeczpospolitej krakowskiej na 106.000 ludności uczęszczało do szkół wiejskich 3.136 dzieci, a zatem stosunek frekwencji szkolnej był w „Wolnem Mieście z okręgiem“ przeszło trzy razy większy.

Rozpowszechniło się mniemanie, jakoby rządy pruskie w dziedzinie szkolnictwa posiadały wartość wyjątkowo dobrą. Rozporządzamy cyframi z ziemi wieluńskiej, która dopiero po trzecim rozbiorze przeszła pod rządy pruskie; cyfry nadające się przeto do porównania czynności Komisji Edukacyjnej z pruską. W r. 1790 było w ziemi wieluńskiej na 43 gminy szkół... również 43, z 1368 uczniami na 40.000 ludności. Gdzież w całej ówczesnej Europie wypadała jedna szkoła na niespełna tysiąc ludności? Ogólna zaś wizytacja, przedsiębrana w r. 1800 w rozległym całym zaborze pruskim wykazała zaledwie $^1/_5$ gmin bez szkoły. Dopiero rząd pruski przerwał tworzenie sieci szkół wiejskich, bo nowe zakładano tylko w osadach niemieckich, lub po miasteczkach z ludnością mieszaną, a zawsze tylko z niemieckim językiem wykładowym.

Tylko tam, gdzie choć napół istniały rządy polskie, stan szkolnictwa po wsiach podnosił się stopniowo. Na sejmie roku 1821 uważali niektórzy za stosowne wytknąć przesadę w tem, że w budowlach szkolnych wprowadzano „przepych“. Tegoż roku pojawiła się petycja, żeby szkółka założoną była w każdej wsi, a skoro zachodziły wątpliwości, czy budżet krajowy wytrzyma takie obciążenie, zjawia się propozycja radykalna, żeby koszt przerzucić na dziedziców. A we dwa lata potem... wystarał się Nowosilcow o wstrzymanie zakładania nowych szkół wiejskich. Po roku 1831 zaczyna się niebawem

formacja szkoły deprawującej ludność wiejską, aż wreszcie w r. 1851 wyszło rozporządzenie, cofające cały dorobek poprzednich pokoleń, bo zakazujące wszelkiego przymusu co do utrzymywania szkół po wsiach, a nawet co do obowiązku posyłania dzieci do szkoły. Odtąd liczba szkół poczęła się zmniejszać. Obywatel pragnący przeciwdziałać zanikowi szkoły, bywał dopóty szykanowany przez policję, aż przestał się sprawą szkolną zajmować. Wszak rząd rosyjski karał wszelkie zbliżanie się do ludu wogóle, sam zaś zaszczepiał waśń społeczną. Ci, którzy pracowali pomimo wszystko dla podniesienia włościaństwa, zapełniali więzienia.

Nie tylko o szkole wiejskiej na ziemiach polskich — o szkole pruskiej i rosyjskiej, tudzież o austrjackiej aż do r. 1867, można wogóle powiedzieć, że była zaiste hańbą swego stulecia. To też rosło z roku na rok spustoszenie intelektualne wśród mas szerokich. Weźmy pod uwagę cyfry z czasów ostatniego pokolenia, z naszych czasów.

W r. 1882 przypadał w Kongresówce jeden uczeń w szkole ludowej na 35 mieszkańców, a w 15 lat później już tylko na 38, a zatem liczba dziatwy wiejskiej uczącej się spadła o 8%. W r. 1882 przypadała jedna szkoła na 1925 mieszkańców, a w r. 1894 na 2150. W r. 1908 jedna szkoła na 2552 mieszkańców, gdy tymczasem przeciętna tycząca całego państwa rosyjskiego wynosiła 1967. Wydatki skarbu publicznego wynosiły w r. 1906 na jedno dziecko w wieku szkolnym (8—11 lat) na głowę 1 rb. 70 kop. przeciętnie w całem państwie rosyjskiem, ale w Kongresówce tylko mniejszą część tego, bo zaledwie 69 kopiejek. Bo też w r. 1905, było w Kongresówce szkół mniej, niż w r. 1832, a $^2/_3$ ludności nie umiało czytać ni pisać.

Ogólnie wiadomo, jak starano się wbrew rządom państw zaborczych podnosić poziom umysłowy ludu wiejskiego; z jakiem poświęceniem zakładano pod panowaniem rosyjskiem rozmaite „Oświaty“, tropione przez policję carską bez porównania czujniej od najgrubszych

pospolitych zbrodni; jak władze pruskie i rosyjskie specjalizowały się do tępienia „zbrodni tajnego nauczania". Żyją ludzie, którzy byli pracownikami ofiarnymi tej roboty narodowej (zwłaszcza dzielnemi obywatelkami okazały się w tem Polki); pamiętamy dokładnie jeszcze ich procesy i... nie dającą się niczem odstraszyć działalność ich aż do ostatniej chwili szczęśliwego za łaską Bożą odzyskania niepodległości.

Jakby na szczególne utwierdzenie prawidła, że wszystko, co ludzkie, miewa w sobie błędy, popełniali ci pełni zasług obywatele błąd niemały, przypuszczając, jakoby istniała odrębna dla ludu „oświata ludowa".

Sam wyraz „oświata" stanowi w naszych umysłach z reguły pomost dla asocjacji idei do pojęcia „lud"; przez oświatę rozumie się w naszych czasach zazwyczaj oświatę „ludową". Jest to błąd. Demokratyzacja, jak każda sprawa ludzka, musi mieć swoje pomyłki, a należy do nich wymyślenie owej specyficznej „oświaty ludowej". Nie istnieje ona bynajmniej! Jest to czczy wymysł, ale wymysł przyjął się tak dalece, iż lwia część wysiłków oświatowych w Polsce zmierza do wytworzenia w sposób sztuczny a mozolny owej oświaty ludowej, a więc czegoś, co nie istnieje i istnieć nawet nie może. Trzeba zerwać z tym zabobonem, żeby nie marnować nadal sił oświatowych.

Oświata jest i może być tylko jedna, a nie osobna, oddzielna dla miasta a wsi, dla szlachcica a chłopa, dla księdza a kupczyka i t. p. Oświata polega na spopularyzowaniu Prawdy (religijnej, naukowej, artystycznej), a ponieważ Prawda ta sama jest dla prostaczka czy dla wielmoży, dla mędrca i dla początkującego ucznia, a zatem i oświata może być tylko jedna. Są rozmaite stopnie oświaty, ale nie różne rodzaje. Jakiemżeż zaś prawem mamy ludowi wiejskiemu wyznaczać zasadniczo niższy oświaty stopień? Przez oświatę ludową rozumie się bowiem zawsze stopień jej najniższy, oświaty minimum, „dobre dla chłopa". Niedaleko zaszedłby chłop

polski przy takim „obroku duchowym“. Pojęcia takie, fałszywe do gruntu rzeczy, mogły ujść od biedy, dopóki wieś polska żadnej nie posiadała oświaty, póki chodziło rzeczywiście o zaszczepienie elementarnych bodaj zalążków oświatowych; odkąd atoli wyszliśmy z tego pierwotnego stadjum, mylne zapatrywania na oświatę wśród ludu, jakoby miała być specyficznie ludową, wiodą na manowce i opóźniają niemało dzieło napojenia oświatą wsi naszej. Zabobon „oświaty ludowej“ jest straszliwym hamulcem oświaty na wsi.

Sam lud rozumie tę sprawę najlepiej, to też nigdzie „oświata ludowa“ nie jest mu miłą; pragnie natomiast gorąco oświaty wogóle, bez owej przymieszki jakiejś ludowości i za oświatą „bezprzymiotnikową“ przepada. Zrobiono już nieraz spostrzeżenie, że lud wiejski nie lubi czytywać dziełek „ludowych“, pisanych, jakby dla jakich dużych dzieci, w przekonaniu, jakoby umysł chłopski miał w sobie coś dziecinnego. Lud nudzi się nad książką „ludową“, czasem gorszy się nią, a nieraz czuje się urażonym. Kto umie przedstawić rzecz popularnie, ten trafi do ludu niezawodnie, skoro tylko oświata wśród niego osięgnie poziom odpowiedni; ale trafi zarazem do każdego czytelnika! Niema zgoła żadnej osobnej metody pisarskiej „dla ludu“.

Każdy księgarz opowie, jakto książeczki, wydawane „dla ludu“, okazują się być stosownemi w sam raz dla „inteligencji“, rozkupującej je gorliwie, jeżeli tylko pisane są zajmująco. Tak jest, ta sama książka dobrą i odpowiednią jest dla wszystkich stanów jednako, jednako szerząc pośród nich oświatę. Bo oświaty nie da się nawet szerzyć w jednym jakimś stanie; ona jednakowo szerzy się lub upada we wszystkich stanach, w całem społeczeństwie równocześnie i równomiernie. Ciemny lud wiejski miewa nad sobą niebardzo oświeconych plebanów i dziedziców, ale gdy poziom oświaty podniesie się u jednego z nich, wnet podniesie się u wszystkich, przez prostą konsekwencję.

Niemożliwym jest postęp jednej tylko warstwy społecznej. Rozwój, jeżeli ma być trwałym i skutecznym, ogarniać musi równocześnie wszystkie bez wyjątku warstwy społeczeństwa.

Skutkiem tego, że nie mogła się rozwijać równocześnie kultura mieszczańska i chłopska, nastąpił wśród szlachty taki zastój kultury (czasy saskie!) że wobec tego niczem jeszcze jest zastój, na który wyrzekać można było do niedawna wśród ludu. Cokolwiek dzieje się wśród jednej warstwy społecznej, oddziałać musi na inne; oddalmy tylko jedną z nich od pożywania owoców cywilizacji, a wkrótce same te owoce poczną gnić. Z postępu muszą korzystać wszyscy; zamknijmy wrota dla jednych tylko, a niebawem runie cały ten gmach jakoby złudzenie.

Z tego wniosek, że wszelka praca społeczna jest pracą dla wszystkich. Pracuje np. niewątpliwie dla dobra ludu wiejskiego, kto dba np. o podniesienie inteligencji duchowieństwa parafjalnego, kto organizuje mieszczaństwo do walk handlowych, kto pracuje w zakresie twórczości artystycznej — słowem, każdy a każdy pracownik przyczynia się pośrednio zarazem do tego, by ułatwić rozwój kulturalny ludu.

Przesadna skłonność do ludowości wytworzyła w polskiem życiu zbiorowem metodę, polegającą na uprzywilejowaniu ludu wiejskiego ponad wszystkie inne warstwy społeczne. Takie przenoszenie dawnej szlachetczyzny na lud nazwijmy ludowcowością.

Ludowcowość nie z ludu pochodzi, lecz propagowana wśród niego, chwyta go się równie łatwo, jak niegdyś szlachetczyzna chwytała się głów szlacheckich, skoro go stawia na piedestale przywileju. Spory odłam inteligencji popiera zresztą ludowcowość w najlepszej wierze, jako najgruntowniejszą rękojmię rozwoju społeczeństwa z pomocą tej warstwy, która obdarzona ma

być największą siłą twórczą, uważana nadto za prawarstwę.

W zgiełkliwej gromadzie dyletantów politycznych są tacy, którzy pragnęliby, by tylko lud wiejski posiadał wpływ stanowczy w państwie, a nawet, by naród stał się wyłącznie chłopskim, żeby inne warstwy przestały istnieć, a przynajmniej żeby zeszły na daleki plan wobec chłopa. Takie rzeczy bywały już w historji. Serbja i Czechy, tudzież Norwegja dostarczyły przykładów społeczeństw wyłącznie chłopskich. A czyż Czesi nie wyprzedzili nas pod tylu względami?

Historyk musi się jednak zastrzec, że Czesi nie dlatego czynili tak dziwnie szybkie postępy w XIX w., ponieważ stali się narodem wyłącznie chłopskim, ale... pomimo tego. Gdyby bowiem byli pozostali społeczeństwem normalnem, tj. wielowarstwowem w okresie 1620—1820, nie byliby dopuścili do germanizacji, byliby decydowali o polityce Habsburgów i nie byłoby dziś Niemców w Chebie, ani też nie byłoby okresu pruskiego panowania we Wrocławiu, ni w Poznaniu. Z walnej bitwy na Białej Górze (1620), z walnej przegranej sprawy słusznej, zrodziło się jak zawsze w takim wypadku wiele przekleństw dla ludzkości. Czy Europa popadłaby w grzęzawisko militaryzmu, gdyby w samym jej środku utrzymał się był naród czeski przy jakich takich wpływach politycznych? Ale społeczeństwo wyłącznie chłopskie wpływów nie posiadało żadnych — i nie posiadło ich, aż około połowy XIX w. zaczęło się w Czechach znowu różniczkowanie społeczne.

Jeżeli społeczność, dopuszczająca do przerostu jednej warstwy ponad inne, przestaje być społeczeństwem (normalnem), jakżeż możnaby uznać za społeczeństwo społeczność jednowarstwową? Żadną miarą. Społeczeństwo jest to społeczność zróżniczkowana.

W zróżniczkowanem społeczeństwie muszą być z natury rzeczy rozmaite interesy cząstkowe, opierające

się na różnicy pojęć w danym zakresie (nie mówiąc o egoizmach stanowych). Jeżeli tedy pewna warstwa staje się uprzywilejowaną i posiądzie przewagę polityczną nad innemi, narzuca tem samem całości swoje pojęcia.

Jeżeli narzucenie takie uda się, nastać musi stagnacja rozwoju umysłowości w danem społeczeństwie, boć i ten rozwój dokonywa się także przy pomocy różniczkowania; skoro tego braknie, obumierają całe działy życia zbiorowego, aż wreszcie społeczeństwo znajdzie się na drodze wstecznej, stając się społecznością coraz mniej złożoną. Bywają społeczności defektowne; np. polskie od „potopu“ do Trzeciego Maja skutkiem wyłączności szlacheckiej, a czeskie od bitwy na Białej Górze aż do odrodzenia w połowie wieku XIX skutkiem wyłączności ludu wiejskiego, jakkolwiek powody tej a tamtej wyłączności całkiem inne, bo tu tkwiące w sprawach zewnętrznych, a tam w wewnętrznych, skutki jednakowe: zastój. W razie narzucenia ogółowi pojęć pewnej warstwy dodać trzeba jeszcze jedną ujemną ewentualność, mianowicie pogłębienie niechęci stanowej, a w dalszem następstwie zanik zdatności do skutecznego przedsiębrania czynów ogólno-narodowych: upadek zbiorowej kultury czynu.

Jeżeli nie uda się narzucenie ogółowi pojęć cząstkowych, a dojdzie pomimo to do hegemonji politycznej jednej warstwy, rozstrój społeczny wstrząśnie podstawami państwa.

Najgorsza jednak zajść może ewentualność natenczas, gdy ogół inteligencji zmuszony jest stanąć w opozycji przeciw pojęciom warstwy, posiadającej hegemonję polityczną, lub choćby tylko stanowisko przewodnie. Rozbieżność pomiędzy warstwą kierującą rozwojem umysłowym, a kierującą rozwojem politycznym wychodzi w takim razie na rozbieżność twórczości umysłowej a politycznej w narodzie, z czego musi powstać po niedługim czasie rozbieżność kulturalna i to tak straszliwa, iż gdyby stan taki potrwał przez czas dłuższy, musia-

laby rozprzęgnąć się sama więź narodowa i zagrożony byłby sam byt narodu, jako takiego, boć powstawałyby w takiej społeczności niejako dwa narody jednego języka, wzajemnie się nienawidzące i zwalczające z całych sił (w dzisiejszej Rosji dużo objawów tem się wyjaśnia).

Gdyby przeto wraz ze wzmaganiem się społecznego i politycznego ludu w narodzie nastąpiło ustalenie się dzisiejszych pojęć ludowych na dłuższą przyszłość, to znaczy, gdyby lud wiejski, dochodząc do hegemonji, nie zmieniał pojęć swych, tych, jakie tkwiły w nim przed dojściem do hegemonji, natenczas nieuniknioną byłaby w narodzie rozbieżność kulturalna, gdyż pojęcia owe byłyby aż nazbyt niezgodne z tem, co inteligencja uważałaby za prawdziwe lub właściwe.

Szczęściem pojęcia ludowe są zmienne, a w Polsce okazuje lud bardzo wyraźną tendencję do asymilacji umysłowej z innemi warstwami.

Pojęcia ludowe zmieniają się ze wzrostem oświaty wśród ludu w ten sposób, iż stają się podobniejsze do pojęć panujących wśród inteligencji. Po niedługim czasie znać pewien kompromis dwóch kategoryj pojęć, a stan ten, w zasadzie przejściowy, mieści w sobie, niestety, więcej stron ujemnych, niż dodatnich. Źle się dzieje, gdy stan ten przedłuża się; nieszczęściem zaś ciężkiem może być, a raczej musi, ustalenie się takiego stanu, który przez brak stanowczego określenia wyobrażeń i pojęć jest nijakością kulturalną i może się łatwo wyrodzić w akulturalność. Fatalną tedy wyrządzają szkodę narodowi ci, którzy stan przejściowy przedłużają; którzy powstrzymują lud od wyzbywania się pojęć niezgodnych z pojęciami inteligencji. Jeszcze gorzej przysługują się tacy, którzy pojęcia ludowe czynią punktem wyjścia swych doktryn. Obydwa rodzaje szkodników tych tem są niebezpieczniejsze, im więcej pośród nich dobrej woli.

Życie zbiorowe bez porównania bowiem więcej ponosi szkód od ludzi dobrej woli, lecz nieroztropnych, niż od ludzi złej woli, przed którymi ogółowi zawsze łatwiej się obronić.

Lud sam zmierza ku temu, by porzucić odrębne swe pojęcia, a zatem (chociaż brzmi to paradoksalnie) lud oświecający się niszczy ludowość. Jeżeli tedy lud posiędzie wyższy stopień oświaty zawczasu, zanim ulegnie propagandzie ludowcowości, w takim razie kulturze narodowej przynajmniej nie grozi niebezpieczeństwo. Gdyby jednak władztwo ludu dokonywało się przy zachowaniu ciemnoty ludowej, byłoby to najstraszliwszą pod każdym względem katastrofą.

Dążność ludowa do asymilacji umysłowej z warstwami nieludowemi musi w Polsce doprowadzić do wprowadzenia historyzmu pomiędzy lud wiejski. Zbyt jesteśmy przejęci historyzmem, żeby się miał nie udzielić ludowi, skoro ten lud wchodzi na drogę świadomości narodowej. Czyż nie słyszymy coraz częściej argumentów historycznych w przemówieniach zawodowych mówców „wiecowych"? Charakterystyczny to objaw.

A jest drugi, niemniej charakterystyczny. Spostrzeżono słusznie, że lud okazuje coraz wyraźniej na arenie politycznej wszystkie dawne przywary szlacheckie z XVIII wieku. Tłumaczyć to można tem, że mimowoli, ulegając pewnym siłom, wchodzi lud w kolej przeżytków szlacheckich również w dziedzinie życia publicznego, ponieważ zaś chyżość postępu wśród ludu staje się bądź co bądź coraz większą, miejmyż otuchę, że znajdujemy się już w przededniu dalszego szlachty naśladowania, mianowicie patrjotyzmu jej z wieku XIX, kiedy olbrzymia większość szlachty w imię historyzmu gotową była każdej chwili na ofiarę mienia i życia, składając w każdem pokoleniu istne hekatomby na ołtarzu miłości Ojczyzny, zapominając zupełnie o samolubnych własnych interesach. Tak jest. Widocznym jest rozpęd w tym kierunku, od szlachetczyzny do szlacheckości i szlachetności

życia zbiorowego; tradycja kościuszkowska, wspólna tej i tamtej warstwie przeprowadzi włościanina poprzez rozstaje na prawą drogę. Nie rozpaczajmyż z tego powodu, że obecnie stare wady szlachetczyzny aż rażą w ludzie wiejskim, w jego zachowaniu się wobec Ojczyzny. Naśladowanie zaczynać się zwykło od rzeczy zewnętrznych i od cech ujemnych, jako od łatwiejszych; ale to stan przejściowy.

Pilnujmy, żeby kulturę polską utrzymać na wysokim poziomie, a chłop polski wzniesie się także wyżej. Byle nauka polska, sztuka, organizacja życia zbiorowego czyniły postępy, a sprawa ludowa załatwioną będzie przez prostą konsekwencję układu sił narodowych, które samym ruchem swym lud wciągną w prąd główny życia narodowego. Niechby inteligencja mniej czasu traciła na politykowanie, a spełniała zato dokładniej pierwszy swój obowiązek, jakim jest pogłębianie wykształcenia naukowego w społeczeństwie, a i polityka potoczyłaby się lepszym torem. Troszczmyż się o to, by lud, gdy dojdzie do pojęcia nie tylko praw, ale też obowiązków względem Ojczyzny, znalazł w polskości nie tylko historyzm, lecz dostateczny zasób wyrozumowanych należycie kontynuacyj polskich pojęć na nowoczesną modłę. A tego nie da społeczeństwu wykształcenie broszurkowe, do tego trzeba nauki.

W Polsce nietrudno wejść ludowi na tory historyzmu. Ułatwienie znajdzie w owej przesadzie ludowości, o której wyżej była mowa, a która będzie miała wielką praktyczną doniosłość, a nader korzystną dla ogólnej ekonomiki życia narodowego. Teoretyczne pomyłki bywały nieraz punktem zaczepienia dla praktycznych dorobków. Dowodów na to mnóstwo w historji, począwszy od odkrycia Ameryki, dokonanego dzięki myłce w obliczeniach geograficznych, aż do współczesnych niektórych odkryć chemicznych. Byle celu nie spuszczać z uwagi, byle dobra wola kierowała myślą, dochodzi się do celu i poprzez pomyłki.

Przesada ludowości nadaje taki szeroki podkład ludowy Polsce, iż ludowi musi ona być swojską. Pomyłka okaże się dobroczynną. Lud, zsolidaryzowany z polskością, nie odrzuci historyzmu, a dopomoże pozbyć się przesady w tamtej znów dziedzinie. I tak historyzm a ludowość mogą doprowadzić polskość do wspaniałej syntezy nowoczesnego życia. Jedno i drugie spełni swą rolę przygotowawczą, w czem... nie przeszkadzajmy!

Zaczęliśmy roztrząsania nasze od rozważania zarzutu, czy nie za dużo u nas historyzmu, a wypada nam z obliczeń, że raczej ludowości za dużo w ostatnich czasach, ale że może nam to wyjść na dobre, jeżeli historyzm wszczepiony będzie w ludowość.

Nie z tej tedy dziedziny mogłyby wyrastać wątpliwości, czy Polska zdoła być państwem nowoczesnem: nie stąd przeszkody do naszego celu.

\- - -

Nie ulega wątpliwości, że znaczenie narodu w nowoczesnym porządku rzeczy zawisło w znacznej mierze od jego ludowości, boć bez niej naród nie zdołałby utrzymać się na powierzchni życia europejskiego, ale bez historyzmu suwałby się ledwie po powierzchni, nie zapuszczając korzeni. Możemy być najlepszej otuchy, skoro zanosi się u nas na to, że historyzm a ludowość będą się wzajemnie uzupełniały. Nowoczesność polska, łącząc się z tradycją, na niej się opierając, wytworzy nowoczesną kulturę, a nie tylko frazeologię; postęp kultury polskiej będzie polegał na pogłębieniu jej, a nie na rozproszeniu jej pierwiastków. Dzięki historyzmowi można się wybić z pod władzy frazesu, uniknąć płytkości i czczości ludowcowości, dzięki zaś ludowości można wyrabiać na nowo kulturę czynu.

Podkład ludowy mieści w sobie nieocenione skarby Ethosu, jak wogóle wszelkie oddziaływanie z dołu w górę zawiera wiele rozmachu, dużo wzmożenia woli. Do

zdrowia społecznego trzeba jednakże, jak wiemy, drugiego jeszcze prądu: oddziaływania z góry w dół, a to mieści się w historyzmie, w pielęgnowaniu tradycji.

Stosunek myśli do czynu stanowi o zdatności osięgania celu. O ile ludowość niesie z sobą pochopność do czynu, o tyle historyzm winien stanowić czynnik myśli, i przez tradycję nawiązywać do myśli poprzednich pokoleń, a wzmacniając myśl dnia dzisiejszego ciągłością myśli narodowej, wzmacniać zarazem kulturę czynu, dostarczając działalności dzisiejszej podstawy ze syntezy czynów przeszłości. W tem znaczeniu, w takiem ideowem zastosowaniu staje się historyzm niepoślednią częścią Logosu polskiego.

Co historyzm rozważy, niechaj to ludowość wykona. Historyzm posiada łatwość myślenia celowego, bo tylko celowością wznosi się ku przyszłości; wszak historyzm nie jest niczem innem, jak celowem zwracaniem się ku przeszłości, ażeby sobie ułatwić osięgnięcie pewnych celów w przyszłości. Dlatego historyzm nadaje się wielce na pomost od rozumu do woli, na łącznik Logosu z Ethosem. Historyzm nie jest bowiem kategorją jakąś samego tylko intelektualizmu, gdyż zawierając w sobie wyniki doświadczenia dziejowego, zbliżony jest również do empiryzmu.

Kłóci się jeszcze kiedy niekiedy historyzm z ludowością. Logos z Ethosem w Polsce, myśl niezgodna z czynem, rozumowanie niezgodne z rzeczywistością, ale takich zaburzeń coraz mniej w dziedzinie ducha narodu. Odzyskanie niepodległości wyprowadziło wszelkie objawy tego ducha na większą i widoczniejszą arenę, a że strony ujemne krzykliwsze bywają, więcej też zwrócą na siebie uwagi, więc wydaje się, jakoby były liczniejsze i mocniejsze. Stąd pomyłki. Ale i w tym wypadku zwróćmy uwagę na coś niezmiernie prostego, choć nieraz przykrego, a mianowicie, że trzeba nam przecierpieć kurs nauki o tarciu...

Niemało zaburzenia w życie zbiorowe wznowionego państwa wprowadzić musi pełna wytężenia walka o byt, gdy tymczasem chciałoby się tworzyć wartości historyczne ponad współczesnością i z poza walki o byt. Odczuwa się kulę u nogi. Nie można pracować, jakby należało i jakby się pragnęło, około wyższych celów, nie mając zapewnionego samego bytu. To samo prawidło obowiązuje pod tym względem tak życie jednostki, jako też najszersze zbiorowe: primum vivere, deinde philosophari. W tej kategorji tarcie trwa jednak zawsze, nigdy nie ustające; chodzi tylko o to, by nie było zbyt ostre, by społeczeństwa nie absorbowało całkowicie przez czas zbyt długi. Na manowce zeszedłby atoli, ktoby chciał tarcie to ignorować, lub samemu odeń się usuwać.

Cel z poza walki o byt da się osięgnąć o tyle, o ile samowa walka o byt toczona jest zwycięsko; o tem, by jej nie toczyć, rozsądny człowiek nie może ani nawet na chwilę pomyśleć, bo to absurd. Dlatego to walka o byt stanowi nawet obowiązek pierwszy, bo bez pomyślnego jej toku nie można się zabrać do spełniania żadnego a żadnego obowiązku wogóle. Ethos ulega wypaczeniu, a Logos pierzcha, gdzie nie wypełniono obowiązku pierwszego. Ethos wymaga dla siebie fundamentów; na obowiązku pierwszym wznosi się drugi i dalsze, a gdzie tak nie jest, tam owe dalsze przechodzą we frazes czczy, nigdy nie mogąc być w czyn wcielane.

Przebiegłszy tedy w krótkości granice możliwości życia zbiorowego w dwóch zasadniczych jego kategorjach: historyzmu i ludowości, zaczniemy rozpatrywanie polskiej kultury umysłowej od sfery najbliższej walce o byt. Faktem jest, że o powodzeniu państwa rozstrzygają te same pierwiastki walki o byt, co w życiu prywatnem. Gdybyśmy byli narodem bogatym, o kwitnącym handlu i przemyśle, iluż kłopotów politycznych nie bylibyśmy całkiem zaznali!!

Trzeba przeto przyjrzeć się krytycznie naszej zdatności do walki o byt, chcąc sobie wyrobić zdanie o tem, czy nadajemy się na twórców nowoczesnej państwowości, czy możemy zająć w nowoczesnym świecie stanowisko podobne do zajmowanego zaszczytnie niegdyś w przeszłych wiekach, czy i teraz posiadamy warunki, żeby być pożytecznymi ogólnemu pochodowi cywilizacji. Czy zda się na co polskie philosophari, zależy od tego, czy potrafimy o własnych siłach vivere.

Całe nasze znaczenie zawisłe od tego, następnie i to jeszcze, czy cel nasz może posiadać wartość realną, czy też być mrzonką.

Zaczynamy dla tych przyczyn przegląd polskiej kultury umysłowej od pytania, czy umiemy wieść walkę o byt; a że walka ta toczy się przedewszystkiem około darów przyrody, ku nim tedy najpierw skierujemy swe kroki.

Może te wywody, ku którym teraz zmierzamy, wydadzą się czasem suchemi; trudno tego uniknąć, ale obawa suchości nie zwolni od roztrząśnienia kwestyj, bez których nasz przedmiot nie może się obejść żadną miarą.

Rozdział II.

Dary przyrody.

Ażeby zorjentować się w żywotności pewnego narodu, nie trzeba sadzić się na dalekie czy wysokie abstrakty. Wystarczy przyjrzeć się przyrodzie kraju i badać, jak urządzone tam jest życie w najprostszych, powszednich objawach, wystarczy rozejrzeć się w sposobach jego walki o byt, boć ona zawiązkiem wszystkiego dobrego i złego w stosunkach ludzkich. Chodzi o to, czy uszlachetnia się czynności, wypływające z prostej walki o byt, wciągając je w zakres wyższy, bo w dziedzinę życia umysłowego. Czy doszło się np. w danym kraju do tego szczebla kultury, żeby uprawiać gospodarstwo na podłożu naukowem?

Polska jest krajem rolniczym, zapisanym w bilansie europejskim już od połowy XV w. jako „spichlerz Europy"; słusznie zaś zwrócono uwagę, że była dla niej także „spiżarnią"[1]). Już pod koniec XIV w. przypły-

---

[1]) Korzystam tu i w następnych rozdziałach do VI włącznie, w ustępach 4 i 6 rozdziału IX i w ustępie 5 rozdziału X, w znacznej części z materjału, nagromadzonego w dwutomowem dziele: „Polska w kulturze powszechnej". Dzieło zbiorowe pod redakcją Feliksa Koneczneg o. Część I, ogólna, str. XXIII, 419; część II, szczegółowa, str. XXV, 649. Kraków 1918, staraniem i nakładem polskich Spółek oszczędności i pożyczek, pozostających pod patronatem galicyjskiego Wydziału Krajowego. — Odnaleźć właściwe miejsce bardzo łatwo wobec systematycznego układu dzieła, szczegółowego streszczenia każdego artykułu z podaniem stronicy poszczególnych ustępów, tudzież dokładnego indeksu. Sądy, czerpane od współpracowników tego dzieła, podawane są w cudzysłowach.

wało do Gdańska przeszło 300 okrętów cudzoziemskich po zboże polskie, a ruch ten wzrastał z każdem stuleciem. Olbrzymi był też zawsze eksport bydła. W wiekach XVI i XVII wywożono co najmniej 80.000 sztuk rocznie na Zachód; w czasie pierwszego rozbioru wartość wywozu za same woły wynosiła 8 miljonów złp., nie licząc cieląt i wywozu solonego mięsa. Około r. 1885 sama Galicja wywoziła corocznie na zachodnie targi austrjackie 85.000 sztuk wołów, 165.000 cieląt, 335.000 świń i 372.000 owiec; jaj zaś i drobiu wartości około 40 miljonów koron, a Galicja przedstawiała zaledwie szóstą część zasobów polskich. Nadto stwierdzono już z początkiem XVIII w., jako „zdaje się, że niema na świecie ziemi bardziej obfitującej w konie".

A bogactwa kopalne? Oprócz niezgłębionych zapasów Śląska Górnego, samo zagłębie węglowe Dąbrowskie liczy (w obliczeniu najbardziej pesymistycznem) 440 klm z zapasami węgla, nadającego się do wydobycia, około dwóch miljardów tonn. W pięciu kompleksach Kongresówki zalega ruda żelazna, czyniąc około 300 miljonów tonn; nadto w Galicji znajdują się sferosyderyty na całej przestrzeni od Białej po Kuty, trafiają się też rudy brunatne i darniowe. Okrąg krakowski zawiera w części zachodniej cenne rudy ołowiane i najcenniejsze ze wszystkich rud krajowych rudy cynkowe. Jest w kraju ołów, jest siarka (i to obficie), jest galman, nie mówiąc o marmurach polskich, o torfowiskach i t. d. A ponad tem wszystkiem królują: sól i nafta. Wosk ziemny znajduje się tylko u nas, pod względem zaś wydajności gazu ziemnego zajmuje Polska drugie miejsce na kuli ziemskiej.

Aleć dary przyrody nie stanowią jeszcze żadnego tytułu kulturalnego. Chodzi o to, jak się z niemi postępuje, czy się umie gospodarować niemi kulturalnie?

Dzieje polskiego żupnictwa sięgają wstecz bez przerwy do XI stulecia; kopalnie ołowiu wykazują się przywilejami królewskiemi od r. 1415 (w Trzebini), z czar-

nego marmuru w Czerny pod Krzeszowicami jest wnętrze wiedeńskiego tumu ś-go Szczepana. Gubią się w pomroku dziejów zawiązki naszych warzelni soli, tudzież wielkich salin bocheńskich i wielickich. Od wieków też towarzyszyło im podłoże naukowe. Jan Brożek wykonywał tam w XVI w. niejednokrotnie pomiary podziemne.[1]) Francja XV w. czerpała wzory z organizacji górnictwa polskiego (w edykcie Ludwika XI z r. 1471). Górnictwo rudy cynkowej w Krakowskiem trwa od początku XVIII w. Najstarsza kopalnia węgla kamiennego (w Jaworzniu) założona jest w r. 1805, a więc wcale niepóźno w stosunku do poczynającej się ledwie wówczas „ery węglowej" w Europie. Najnowszy zaś z produktów kopalnych, naftę, sami odkryliśmy również na naszej ziemi, i to nie mając znikąd z Europy żadnego przykładu. W r. 1853 Ignacy Łukaszewicz, prowizor apteczny we Lwowie, wydestylował z ropy właściwą naftę; pierwsza lampa naftowa oświetliła szpital powszechny we Lwowie, skonstruowana przez lwowskiego blacharza, Bratkowskiego. Pierwsza spółka do wydobywania ropy i pierwsza destylarnia 1856 r. były czysto polskie. Od r. 1859 wypiera nafta t. zw. hydrokarbid, materjał świetlny, otrzymywany z pewnego rodzaju łupku, przywożonego jako balast okrętowy ze Szkocji do Hamburga. Pierwsza ankieta celem ułożenia prawodawstwa naftowego odbyła się u nas w r. 1868. W Galicji powstały pierwsze produkty przemysłu rafineryjnego: olej solarowy i olej maszynowy (wyrabiany w Ameryce dopiero po r. 1870, a w Rosji po 1880). Starem przeto jest polskie górnictwo, a wciąż przybywało mu nowych gałęzi, od XI do XIX wieku.

Hodowla zwierząt jest też starej daty, skoro już w XVI w. panowała w rozmaitych ziemiach polskich wielka rozmaitość ras, zróżnicowanych stosownie do te-

[1]) Do pomiarów podziemnych zbudował w r. 1795 Jan Konarzewski nowy grafometr, który zyskał w r. 1803 uznanie paryskiej Akademji Nauk.

rytorjalnych warunków przyrodzonych i gospodarskich w liczne swoiste odmiany i zawody. Rodzime bydło „czerwone“ zwraca na się coraz bardziej uwagę znawców zagranicznych, stanowiąc prawdziwą chlubę naszych zabiegów hodowlanych. O krótkouche świnie nasze dopytywano się jeszcze przed niewielu laty celem wywozu na materjał rozpłodowy do Anglji. Są polskie rasy kóz, są też królików, a wśród drobiu słyną nasze „zielononóżki“, jako najbardziej jajonośne. Cóż mówić o koniu? Wszak język nasz posiada 74 nazw na konia, wszak w polskiej sztuce (Kossak) odtworzony on z największem zamiłowaniem. Mnogość stadnin zadziwiała zdawien cudzoziemców, a polski koń bojowy był naszą specjalnością.

Uczestnictwo polskie w nauce zootechnicznej zaczyna się od r. 1570. Dzieło Adama Micińskiego „O ograch i świerzopach“ wyprzedziło o ośm lat pierwszą niemiecką książkę o koniach. W r. 1608 drukuje się „Hippika“ Dorohostajskiego i odtąd dział ten uprawiany bywa bez przerwy aż do naszych czasów. „O psiech gończych“ publikuje w r. 1608 Jan Ostroróg. Ichtjologja polska poczyna się również w XVI jeszcze wieku (Strumieński). Bibljografja polska odznacza się tu pewną ciągłością aż do czasu, kiedy oparto się na ścisłej metodzie naukowej, o czem będzie słówko niżej.

Polskie piśmiennictwo rolnicze zaczyna się od r. 1549, a więc bardzo wcześnie. W najgorszym okresie dziejów polskich, w wieku XVIII., wyszło 146 dzieł polskich treści rolniczo-technologicznej. Szkolne nauczanie rolnictwa zaczęło się u nas w r. 1774. Wiekopomna Komisja Edukacyjna, owo pierwsze w Europie ministerstwo oświaty, kazała nauczać rolnictwa i ogrodnictwa praktycznie w szkołach elementarnych, a w wydziałowych także w formie wywodów wykładowych po dwie godziny tygodniowo, począwszy od klasy trzeciej. Wyprzedziła tem Polska inne organizacje nauczania publicznego w ca-

łej Europie. Naogół sprawy rolnicze nie stały u nas ni gorzej, ni niżej, niż we Francji lub w Niemczech; zresztą kiedy r. 1783 ustalono ostatecznie program wykładów rolniczych, wciągnięto do prac tych także współpracowników obcych, specjalistów Borelli'ego z Berlina i Francuza Dupont de Nemours.

Dopiero od początku XIX wieku zaczynają się w Europie studja rolnicze teoretyczne, istotnie naukowe. Nie spóźniła się w tem Polska, a jeżeli w czemś wyprzedzono nas o lat kilka lub kilkanaście, wyda się stosunek ten raczej pospiesznem zrównywaniem kroku, skoro zważymy, że Polska właśnie przestała być państwem niepodległem, a Napoleon niepodległości prawdziwej bynajmniej nie przywrócił. Księstwo Warszawskie było przez cały czas istnienia (1806—1814) tylko obozowiskiem napoleońskiem, a „Królestwo", utworzone (z mniejszej połowy Księstwa) na kongresie wiedeńskim 1815 roku, stanowiło doczepek tylko do imperjum rosyjskiego, zależne od Petersburga nie tylko politycznie i ekonomicznie, ale w znacznym stopniu nawet pod względem administracyjnym.

Już tedy w r. 1810 zabiera się warszawskie Towarzystwo Gospodarczo-rolnicze do „ameljoracji gospodarstwa krajowego przez pisma", a w Łomnej na Podlasiu miano założyć instytut rolniczy doświadczalny. Dalsze wojny napoleońskie i przewroty polityczne przerwały wykonywanie projektu. Jedna z pierwszych w Europie powstała jednak w Wilnie katedra gospodarstwa wiejskiego, skoro tylko udało się odzyskać uniwersytet wileński dla kultury narodowej. We dwa lata potem urządziło Królestwo Kongresowe Instytut agronomiczny w Marymoncie pod Warszawą, zaopatrzony w obszerne pola doświadczalne.

Pozbawionemi natomiast wiedzy rolniczej miały pozostać zabory austrjacki i pruski. Napróżno upominał się galicyjski „sejm stanowy" 1823/24 r. o założenie szkół rolniczej, leśnej i weterynarskiej. Wkrótce zamknięto

uniwersytet wileński za to, że Litwa stanęła w powstaniu 1831 roku za jedno z Polską. Główny wileński profesor rolnictwa Oczapowski przenosi się natenczas z Wilna do Marymontu, gromadząc koło siebie grono wyborowe pracowników naukowych. Niebawem zaczynają wychodzić słynne „Roczniki Gospodarstwa Krajowego“ (od r. 1824), a w r. 1858 uzyskano nareszcie po długoletnich staraniach u rządu rosyjskiego pozwolenie na założenie Towarzystwa Rolniczego. Jak wielką i zaszczytną rolę spełniło ono w dziejach narodowych, wiadomo każdemu Polakowi. Wiadomo i to, że danem mu było istnieć zaledwie trzy lata, a jednak starczył mu ten czas krótki, by poprawiać dolę ludu, organizować ziemian i szerzyć wiedzę zawodową. Rozwiązanie Towarzystwa w r. 1861 stało się wstępem do najsmutniejszego okresu dziejów porozbiorowych, i odtąd aż do r. 1890 nie było w Kongresówce żadnego towarzystwa rolniczego, bo rząd nie dopuszczał żadnego stowarzyszania się.

W r. 1862, jeszcze tedy przed wybuchem powstania styczniowego, zawieszono „Roczniki“, a zakład marymoncki przeniesiono dalej od Warszawy, reorganizując go w „Instytut Rolniczo-Leśny“ w Puławach. Powstanie przerwało atoli te prace, a gdy rząd rosyjski podjął je na nowo w r. 1869, powstał z tego rosyjski „Instytut Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa“. Narazie pozostawiono przynajmniej polskich profesorów, a ci, chociaż zmuszeni do wykładania i prowadzenia administracji po rosyjsku, stanowili bądź co bądź jakiś punkt oparcia dla polskiej pracy naukowej rolniczej. Usuwano ich jednak stopniowo, przysyłając na ich miejsce Rosjan, aż w r. 1889 został się jeden tylko Polak obok 14 profesorów rosyjskich. Ci nie znali zgoła kraju, nie mieli pojęcia o naszych warunkach gospodarczych, to też „Instytut“ stracił wszelkie znaczenie dla polskiego rolnictwa; liczył też w ostatnich latach ledwie 20 (dwudziestu) uczniów.

Podczas gdy wszędzie w Europie rząd stawał na czele postępu w gospodarstwie, popierając z całych sił

rozwój wiedzy rolniczej, w Polsce jedyny rządowy zakład tego rodzaju był... antipolskim.

Społeczeństwo byłoby chętnie zakładało i utrzymywało środkami prywatnemi niejeden taki zakład, ale długo rządy zaborcze nie dopuszczały tego. Wszak nie dopuszczano ani nawet towarzystw kredytowych rolniczych! Od r. 1822 kołatać trzeba było w Wiedniu przez 19 lat, zanim zezwolono w r. 1841 na założenie galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie. Na Towarzystwo Gospodarskie uzyskało się zezwolenie dopiero w r. 1845; ale tegoż jeszcze roku odmówiono pozwolenia na towarzystwo akcyjne budowy spichrzy zbożowych!

Po wielu zachodach udało się wreszcie galicyjskiemu Centralnemu Towarzystwu Gospodarskiemu we Lwowie założyć w r. 1856 wyższą szkołę rolniczą w Dublanach pod Lwowem. Podobnemuż Towarzystwu w Wielkiem Księstwie Poznańskiem powiodło się aż dopiero w r. 1870 otrzymać zezwolenie na wyższą szkołę rolniczą, którą ziemianie wielkopolscy wyposażyli z prywatnych swych funduszów i założyli w Żabikowie pod Poznaniem.

Pomimo ciężkich warunków rozwijała się jednak polska wiedza rolnicza, czynna zawsze w naukowym ruchu europejskim. Dowodem, że również inżynierja polska wyrabiała w swym zakresie specjalny dział rolniczy, choćby dwutomowa „Hydraulika agronomiczna“ Józefa Spornego (1860—1861).

Po Marymoncie zostało wspomnienie „marymonckiej mąki“, która weszła w przysłowie na świadectwo uprawiania selekcji ziarna w tym zakładzie. Metodyczna taka selekcja zaczyna się w Anglji w r. 1819, we Francji w r. 1825, podczas gdy Niemcy są w tym przedmiocie bardzo spóźnione, gdyż ich hodowle pszenicy poczynają się rozwijać na dobre dopiero około r. 1860. W Polsce kwitnęła za dawnych jeszcze czasów hodowla sadownicza i zbożowa. Wytworzyły się u nas trzy główne rasy

pszenicy ozimej, a z nich dalsze odmiany. Dochowały się następnie ciekawe wiadomości o postępowaniu co do doboru nasion pszenicy „kujawskiej“ (z r. 1859), w Płockiem „sarnowskiej“, a potem i „puławskiej“, niewiele zaś później rozwinęły się hodowle w Wysokiem Litewskiem (koło Brześcia Litewskiego) i w Dańkowie w powiecie grójeckim, ta ostatnia sięga już doby nowszej, gdyż powstała w r. 1880.

Świetna praktyka hodowlana szerzyła się i bez opieki rządu po całej Polsce, a towarzyszyła temu teorja uczona. W Żabikowie było skrajne skrzydło opozycji przeciw panującej powszechnie teorji Liebiga, nie uwzględniającej roli azotu, a głoszącej prawo bezwzględnego zwrotu pokarmów roślinnych, zabranych glebie. Gdy w r. 1869 akademja rolnicza w Bonn-Poppelsdorf na ogłoszonym przez się konkursie przyznała nagrodę pewnej pracy, miażdżącej wprost teorję „mineralną“ Liebiga ze stanowiska nowej szkoły „ekonomicznej“, okazało się, że autorem jej jest polski „ekonomista rolniczy“, Dr. Juljusz Au. Jego też powołano na dyrektora do Żabikowa, gdzie atoli ledwie ośm lat pracował, gdyż rząd pruski, niechętny rozwojowi rolnictwa wśród swych polskich poddanych, zamknął nam tę szkołę w r. 1878. Jak niegdyś Oczapowski przenosił się z Wilna do Marymontu, podobnież peregrynował teraz Au z Żabikowa do Dublan.

Odtąd aż do r. 1890 były „Dublany“ jedyną wyższą uczelnią rolniczą w Polsce. Od r. 1878 zamieniona na Akademję, przeszła na etat publiczny, krajowy (nie państwowy). Celowała doborowem gronem profesorskiem. Obok dyrektora Aua odznaczał się najbardziej profesor Emil Godlewski, którego imię stać się miało sztandarem polskiej wiedzy rolniczej.

W r. 1870 rozpoczął Godlewski, wspólnie z Dobrskim swe prace nad absorbcyjnemi właściwościami ziemi ornej. I on szedł przeciw Liebigowi, a zarazem wykazał mylność mniemania Briosi'ego, jakoby tłuszcz był pierwszym produktem przyswajania: wykazał, że jest

nim skrobia. W następnych latach (1872—73) odkrył, że rośliny mogą sobie przyswajać kwasu węglowego kilkaset razy więcej, niż go znajduje się normalnie w powietrzu. Stwierdziły też późniejsze badania nasuwający się z tego wniosek, że w dawniejszych okresach geologicznych było w powietrzu daleko więcej bezwodnika węglowego. Wszystkim studjom Godlewskiego towarzyszą cenne, doniosłe dla nauki odkrycia. Badając biologję t. zw. wypłonienia, obmyślił przy tem własną metodę eksperymentalną przez co wprowadził tę część fizjologji roślin na nowe tory. Epokowe wprost znaczenie mają jego badania nad wzrostem roślin i nad oddychaniem roślinnem, a wyniki tych studjów weszły już we wszystkie podręczniki fizjologji. Wielkie ożywienie wśród fizjologów wywołał ogłoszoną r. 1884 własną teorją ruchu wody w roślinie, która rozbiła świat naukowy na dwa obozy. Ale to wszystko — częścią dopiero jego zasługi naukowej. Studjami nad rozkładem białka zdobył sobie miejsce pierwszorzędne w nauce europejskiej, tak dalece, iż bez niego niepodobna wyobrazić sobie chemji rozwoju białka; cały ten dział nauki związany jest najściślej z imieniem polskiego uczonego. Podobnież odznaczył się przy badaniach drobnoustrojów zamieniających amonjak na azotyny. Wyniki jego dociekań nad nitrifikacją przyjęły się powszechnie. Żeby tu dotknąć po słówku najważniejszych tylko działów czynności naukowej Godlewskiego, wspomnijmy jeszcze, jak sprostował błędne mniemania szkoły wiedeńskiej co do żużli w rolnictwie. W r. 1900 wykazał mianowicie „dowolność i bezpodstawność wiedeńskich badaczy Meissla i Reitmeira, gdy ci każą rolnikom płacić za całą ilość kwasu fosforowego w żużlach bez względu na jego rozpuszczalność (w płynie cytrynianowym)". Czerpało się po wielekroć wskazania praktyczne ze studjów Godlewskiego.

Odkrycia jego, posiadające trwałe znaczenie dla nauki, dokonane były niemal wyłącznie (gdyż prócz niedługich tylko pobytów w Jenie i Wuerzburgu) w polskich

laboratorjach (Warszawa, Kraków, Lwów politechnika i Dublany), co nieobojętne dla polskiej kultury naukowej.

W r. 1890 powstaje przy uniwersytecie Jagiellońskim Studjum rolnicze, a Godlewski obejmuje jego kierunek. Pod jego przewodem rozwija się Studjum świetnie. Szereg nowych katedr i pracowni zezwala na szybsze tempo rozwoju polskich badań naukowych, a z laboratorjów coraz obfitsze wychodzą plony.

Tegoż roku 1890 dozwolono w Kongresówce przynajmniej na okręgowe towarzystwa rolnicze, a w 7 lat potem uzyskano wreszcie możność utworzenia organizacji na wielką skalę, Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Poczynają się w Kongresówce mnożyć stacje doświadczalne, a wszystkie kosztem prywatnym. Rozszerza się znakomicie prąd polskiej wiedzy rolniczej.

Istnieje cała szkoła Godlewskiego, zaczynająca się od Jentysa i Polzeniusa, współpracowników nad oddechaniem śródrobinowem, a wydająca wciąż nowe imiona ku zaszczytowi nauki polskiej. Jentysa gruntowne badania nad skrobią odbiegły od powszechnych do niedawna, a mylnych o tym przedmiocie wyobrażeń; on też był pierwszym, który wykazał, jak ogromna zachodzi różnica w przyswajalności azotu moczu i kału zwierzęcego i on wykrył szkodliwy wpływ większej ilości kału na wegetację. Obok Jentysa zaznaczył się wybitnie badaniami nad źródłami azotu Rogoyski, sprostował błędy nauki niemieckiej i dał pierwszy całkowite bilanse azotu. W dziedzinie nitryfikacji ważne są spostrzeżenia Niklewskiego (który wykazał korzystny wpływ próchnicy na nitryfikację) i Karpińskiego.

Tak pod najlepszemi auspicjami rozwinęła się szkoła Godlewskiego, rozkwitająca w naszych oczach coraz wspanialej.

Obok Godlewskiego stoi odmienna całkiem indywidualność Adama Prażmowskiego. Tamten wyłącznie uczony, pośrednio tylko odnoszący się do praktyki, o ile

nauka jego stawała się „stosowaną", ten zaś wyrywa się z laboratorjum na świat szeroki, żeby organizować polski handel i organizacje rolników, i rozszerza tę swoją bezpośrednio praktyczną działalność w ten sposób, iż osobą swoją stanowi rozdział w historji handlu polskiego. Przez 20 lat zagląda do pracowni naukowej tylko chwilami, jakby dla wypoczynku po ruchliwości życia czynnego i publikuje niewiele, ale same rzeczy pierwszorzędne. Jedyny w Polsce człowiek, łączący aż tak teorję i praktykę, a w obu kierunkach wybitny i twórczy.

Wielkie są zasługi Prażmowskiego na polu bakterjologji wogóle, a rolniczej w szczególności. On „dał podwaliny pod systematykę bakteryj przez to, że pierwszy wykazał, że i u tych tak prostej budowy istot dadzą się wykazać pewne morfologiczne cechy, odróżniające od siebie niektóre gatunki bakteryj równie stanowczo, jak morfologiczne cechy odróżniają od siebie różne gatunki roślin wyższych". Szczególną doniosłość posiadają badania Prażmowskiego nad bakterjami brodawkowemi roślin motylkowatych. W r. 1886 odkrył Hellrigel, że rośliny groszkowe mogą korzystać z wolnego azotu powietrza, ale „dopiero Prażmowskiemu przypada zasługa udowodnienia w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości, że to właśnie owe bakterje brodawkowe uzdolniają rośliny groszkowe do wiązania wolnego azotu, a tem samem że one też decydują o użyźniającem glebę działaniu roślin groszkowych".

Zasadnicze odkrycia swe przeprowadził Prażmowski, bywszy profesorem średniej szkoły rolniczej w Czernichowie pod Krakowem, na wsi oddalonej wówczas 30 klm. od najbliższej stacji kolejowej. Szkoła owa, utrzymywana kosztem kraju (nie państwa!), nie posiadała wówczas jeszcze żadnej pracowni. Sposób, w jaki Prażmowski urządził sobie coś nakształt laboratorjum, przypomina zaiste Robinsona na odludnej wyspie; ale pomimo całej swej wynalazczości musiał się i tak obchodzić

bez gazu. Czy to będzie zrozumiałem dla uczonych zachodniej Europy?

Polskim uczonym przypada też „lwia część zasług" w zbadaniu odkrytego przez Beijerincka azotobakteru. W polskich pracowniach badano skutecznie warunki, w jakich dokonywa azotobakter wiązania azotu, tej czynności pierwszorzędnej dla ogólnej ekonomji. Decydujące słowo w tym przedmiocie przypadło pracy Krzemieniewskiego; niemiecki botanik Behrens wyraził się o niej, że „stanowi dobroczynną oazę na pustyni bakterjologji gleby". Z licznych rezultatów jego badań najdonioślejszem jest odkrycie, że próchnica nie służy wcale za pokarm azotobakterowi, nie stanowiąc dlań źródła ani węgla, ani azotu. To też Krzemieniewski rzucił poniekąd nowe światło na rolę próchnicy w glebie. W tym kierunku pracowali też inni badacze polscy; po Niklewskim Dzierzbicki i dalsi. „I znowu tym, który największy postęp uczynił w tych badaniach, był Prażmowski". Wyśledził cały cykl rozwoju azotobakteru i przyczynił się znakomicie do wyświetlenia roli próchnicy w jego życiu.

Wymienić tu można tylko najwybitniejszych; ale jak wielce możnaby tu wydłużyć szereg zasłużonych imion, pouczyć może najpobieżniejszy przegląd założonych przez E. Godlewskiego, redagowanych następnie przez Stefana Surzyckiego „Roczników Nauk Rolniczych".

Rozwojowi wiedzy towarzyszy coraz większe zajęcie inteligentnego ziemiaństwa ze wszystkich trzech zaborów, czego świadectwem coraz liczniejsze hodowle, prowadzone wzorowo, tudzież mnożące się stacje doświadczalne. Wszystko to kosztem prywatnym, czasem z zapisu testamentowego (np. Sobieszyn z zapisu Kickiego), czasem ze składek obywatelstwa (np. Chojnów w ciechanowskiem 1899 r.). Instytucji tego rodzaju, utrzymywanej ze skarbu publicznego, nie było ani jednej. Dopiero w r. 1902 wprowadzono hodowlę roślin w Du-

blanach dzięki profesorowi Miczyńskiemu. Wyniki były świetne, a dokonano też wielu spostrzeżeń związanych pośrednio z selekcją zbóż. Tak np. w Dublanach odkryto, od czego zawisła tęgość słomy, jak zmienia się ościstość owsa zależnie od czynników zewnętrznych i t. d.

Typowym przykładem, jak polska usilność hodowlana ograniczoną bywała niemal zawsze i wyłącznie do środków prywatnych, jest słynna nie tylko w Polsce hodowla ziemniaka Dołkowskiego na dzierżawionej przez niego małej wioszczynie Nowej Wsi pod Kętami. Wyhodowane przez niego odmiany odniosły rekord plenności i procentu skrobi w konkurencji z mnóstwem odmian niemieckich i innych, co stwierdziły zresztą sameż zakłady specjalne niemieckie w Berlinie i Hammersleben (w prowincji saskiej). Przeprowadzono też u Dołkowskiego skutecznie walkę z zarazą ziemniaczaną, a doniosłości tej zasługi nie trzeba osobno tłumaczyć. Otóż folwark Dołkowskiego, zastępujący znakomicie rządową stację doświadczalną, jaką rząd austrjacki powinienby był założyć, otrzymywał wszystkiego razem z austrjackiego ministerstwa rolnictwa subwencji rocznej 2.000 (wyraźnie: dwa tysiące koron).

W szeregu wybornych naszych hodowli prywatnych wybił się na pierwsze miejsce zakład nasion, utrzymywany na większą skalę przez Buszczyńskiego w Niemierczu na Podolu (rozkwitnął pod kierunkiem Edmunda Załęskiego), z filją w Górce Narodowej pod Krakowem. Tamże doprowadzono do wysokiej jakości hodowlę buraka cukrowego, którego polskie odmiany, hodowane w wielu stronach kraju, nie ustępują już żadnym innym.

W wielu okolicach rozwijało się znakomicie sadownictwo, lecz skutkiem szykan państw zaborczych nie zdołało przekroczyć pewnego punktu rozwoju. W Galicji np. taryfa na wywóz owoców do Niemiec obmyślona była w ten sposób, żeby zachęcać wprost do dyskwalifikowania owoców tej prowincji przez przesyłanie ich bez

cła, ale też bez opakowania, gdyż od owoców opakowanych wynosiło cło 400 do 600 K. od wagonu...

Jako zysk z poprzedniej rewolucji rosyjskiej, powstały w r. 1906 w Warszawie wyższe kursy rolnicze, których rząd przedtem nie dopuszczał, a które podczas wojny przeobrażono następnie w „Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego". Nastąpiło też zreorganizowanie Puław: od r. 1917 tworzy się tam „Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego", organizując stopniowo zamierzonych 19 jego działów. W Morach pod Warszawą powstała poważna stacja genetyczna. Tak doczekała się nareszcie Kongresówka polskich rządowych zakładów rolniczych.

W Galicji prócz uniwersyteckiego Studjum rolniczego w Krakowie nie było zresztą ani jednej wyższej, średniej, ni niższej szkoły rolniczej, utrzymywanej przez rząd austrjacki.

W pruskim zaborze nie dopuszczono ani nawet prywatnego polskiego zakładu rolniczego. Skazywano nas z całem wyrachowaniem na niższość rolniczą. A jednak polskie rolnictwo rozwinęło się tam tak, że w najgorszym razie, pesymistycznie obliczając, stanęło narówni z niemieckiem. Nasi rolnicy uczyli się wiedzy zawodowej pomimo szykan, jeździli po nią do Dublan, do Krakowa potem, a zawsze do... wszystkich szkół i akademij w rozlicznych państwach Rzeszy Niemieckiej.

Z natury rzeczy hodowla zwierząt domowych znajdowała się w warunkach jeszcze trudniejszych, wymagając znaczniejszych nakładów i opieki tem większej, a skazana na prywatną wyłącznie zapobiegliwość obywateli, prześladowanych o to następnie przez rządy zaborcze.

Tradycje były bardzo dobre, pod niejednym względem wprost świetne. Nie tylko hodowla bydła rogatego wykazać się może w Polsce XVII i XVIII wieku licznemi „holenderniami", które „były chlubą wielkich gospodarstw kluczowych, ale kwitnęły także hodowle inne.

np. owiec. Posiadamy świadectwo z połowy wieku XVII, jako po hiszpańskiej i angielskiej wełnie nasza trzyma pierwsze miejsce w fabrykach względem dobroci". Cóż dopiero mówić o polskim koniu! W drugiej połowie XVI. wieku świadczy Włoch Graciani, jako „niema kraju, któryby tak dzielne konie wydawał jak Polska. Konie te, acz nie rosłe, prędsze są od tureckich i zwinniejsze od niemieckich". Karol V. wjeżdżał na polskim koniu do Madrytu i Turenniusz polskiego dosiadał rumaka. W najsłynniejszych stadninach całej Europy starano się mieć konie polskie. Wiele pułków jazdy pruskiej zaopatrywało się od Fryderyka II. czasów wyłącznie w polskie konie. Popyt na nie zagranicą był zawsze ogromny. „To też je zagranica od najdawniejszych do najnowszych czasów corocznie tysiącami od nas wykupywała; a to przedewszystkiem jako konie wojskowe do Austrji, Bawarji, Saksonji, do Prus, a nawet do Szwajcarji, Francji, Anglji i Holandji, wysyłając swoich agentów i liwerantów na celniejsze jarmarki końskie".

Nawet nasze włościańskie „koniki" stanowią rasę pierwszorzędną, której atoli omal nie spotkał smutny los pod austrjackim rządem. Końmi rząd interesował się ze względów na potrzeby wojska. Mądrość biurokratyczna, owa słynna mądrość austrjacka, uznała „koniki" jako „viel zu klein" i próbowała wprost zniszczyć chów tych koni. Podobnież radby był c. k. zarząd armji zniszczyć konie huculskie, jeszcze mniejsze od mazurskich „koników". Dopiero lwowskie Towarzystwo Gospodarskie na własną rękę założyło w latach 1906—1908 cztery stadniny hucułków i ocaliło hodowlę, która popadła już na bezdroża. Rząd zarzucił Galicję siecią stacyj importowanych rozmaitych ras dużych i grubych, lekceważąc fakty, przemawiające za koniem krajowym, między innemi i ten fakt, że w wojskowości rosyjskiej remonty polskie pobijały stale wszelkie najlepsze remonty rosyjskie. Kiedy w r. 1893 urządzano słynny wyścig dystansowy między Wiedniem a Berlinem, na odległość 580

klm., „jedną z pierwszych była tam siwa kobyła chłopskiego chowu z pod Rzeszowa“, obok kilku koni z polskich stad magnackich. („Anglik“, który wówczas przybył pierwszy, zdechł nazajutrz z wycieńczenia). Wojna obecna stanowi wielki triumf „konika“, bo dawno już wyzdychały wielkie i ciężkie konie rozmaitej prowenjencji, które armja posprowadzała, a zostały na placu nasze „hetki“ przetrzymując wszelkie mitręgi tej wojny nad wojnami. Pokazało się, że „hetka“ warta zapobiegliwej hodowli, godna uszlachetnienia, lecz właśnie przez czystą hodowlę.

Szczęściem hodowla bydła dostała się wcześniej pod opiekę czynników krajowych polskich, bo już w r. 1882 wzięły tę sprawę w swe ręce obydwa Towarzystwa rolnicze, krakowskie i lwowskie. To też na wiedeńskiej wystawie 1910 r. najwyższą nagrodę zbiorową otrzymało polskie bydło czerwone. „Księgi rodowodowe“ tego bydła (i drugiego rodzaju, t. zw. „nizinnego“) wydano we Lwowie w latach 1905—1912. W zakresie nierogacizny Dublanom przypada zasługa, że założono chlewnię świń krajowych polskich.

Niema takiego działu zwierząt domowych, w którym nie byłoby ras polskich. Dla krótkości zaznaczmy, że hodowla nasza nie opuszcza nawet drobniejszych swych dziedzin. Polskie umiejętne wodnictwo rolne poczyna się w r. 1573 od książki Olbrychta Strumieńskiego o stawach i przekopach i o rybieniu stawów, która jest „najlepszym traktatem o urządzaniu stawów w piśmiennictwie europejskiem XVI wieku“. Kwitnęła też ichtjologja u nas od XVI w. aż do XIX, który wydał ichtjologa europejskiej powagi, Maksymiljana Nowickiego, a obecnie „roi się u nas od pisarzy rybackich“. Twórcą nowoczesnego intensywnego gospodarstwa stawowego“, polegającego na przemiennem wyzyskaniu stawisk kulturami rolnemi“, jest Polak śląski Dubisz.

Bartnicze piśmiennictwo polskie datuje od r. 1614, trwa od tego czasu bez przerwy — a w nowszym czasie

„możemy się poszczycić znakomitością europejskiego rozgłosu i to o nazwisku tak polskiem, że żaden Niemiec za nic w świecie wymówić go nie zdoła, a więc i zaanektować: szkoda, że nasz Kopernik — Dzierżonem się nie nazywał".

Zootechnika u nas nie o wiele jest młodszą od angielskiej, datującej z początku XIX wieku, niemieckich zaś pionierów zootechnicznych uprzedził nasz Oczapowski. Polskie podręczniki dla hodowców zaczynają się od r. 1838 książką I. G. Wyżyckiego „Nauka hodowli zwierząt domowych", poczem we dwa lata wystąpił Michał Oczapowski z wielotomowem swem „Gospodarstwem Wiejskiem" uwzględniającem również hodowlę, podczas gdy pierwsza książka niemiecka o hodowli pochodzi dopiero z r. 1848 (Weckherlin). W szeregu polskich uczonych najwybitniejsze miejsce w tej dziedzinie zajął dublański profesor K. Malsburg, w pokrewnym zaś dziale bydłoznawstwa członek krakowskiego Studjum, Walerjan Klecki.

Zakwitnęła paleontologja zwierząt domowych, a nie na ostatniem miejscu hipologiczna; wyniki polskiej nauki stanowią pod niejednym względem fundament dla naukowego roztrząsania sprawy pochodzenia europejskiego bydła domowego. Zagadnienie to zaczęto roztrząsać w wileńskim uniwersytecie (L. H. Bojanus: De uro nostrate, 1825) i dochowała się do naszych czasów jakby szczególna jakaś przynależność tej kwestji do nauki polskiej. Wspomnimy tu tylko o odkryciach krakowskiego profesora Leopolda Adametza (Bos europeus Ad.), K. Malsburga (Bos urus minutus), stwierdzające małą dziką formę bydła krótkorogiego i małych dzikich turowców.

Podobnież rozwija się dobrze nauka żywienia zwierząt. Ilościowo skromniej przedstawia się dział biologicznych badań hodowlanych, ale jakościowo dopisuje najzupełniej, skoro prace np. A. Trawińskiego, K. Malsburga (który wystąpił z oryginalną koncepcją teorji historjologicznej) używają wielkiej wziętości w Niem-

czech, a wyniki ich bywają uwzględniane w tamtejszych najnowszych podręcznikach naukowych. Uprawia się w Polsce pomyślnie również najmłodszą latorośl nauk przyrodniczych, genetykę. Dodać warto, że posiadamy około półsetki czasopism treści rolniczo-hodowlanej lub hodowlanej wyłącznie.

Powyższy rzut oka poucza, że Polacy umieją doskonale zarządzać „spichrzem i spiżarnią Europy" i wydobyć z niej dla siebie i dla Europy odpowiednią darom przyrody korzyść materjalną i kulturalną, pomimo to, że rządy zaborcze stały na przeszkodzie. Wszak w Wielkopolsce zbiór jednego hektara nie jest bynajmniej mniejszy od przeciętnego zbioru w Niemczech, plon zaś z ziemniaków i buraków jest na hektarze obfitszy od niemieckiego. Jakże wysoko stałoby rolnictwo polskie, gdyby mu nie były zawadzały utrudnienia rządów zaborczych przez cały wiek z okładem!

Zawadzanie to występuje jeszcze jaskrawiej w trzeciej dziedzinie darów przyrody, w górnictwie, jako z natury rzeczy najbardziej zawisłem od dobrej lub złej woli, od inteligencji lub głupoty administracji państwowej.

Po nieuchronnym zastoju w okresie upadku państwa polskiego odradza się górnictwo w r. 1816, natychmiast, skoro tylko ułożyły się jako tako stosunki publiczne. Rząd Królestwa Kongresowego ustanawia Główną Dyrekcję Górniczą z siedzibą w Kielcach, stawiając na czele człowieka tej miary co Stanisław Staszic. Następnie w r. 1825 przeszedł zarząd spraw górniczych w ręce Komisji rządowej Przychodów i Skarbu, której przewodził słynny Ksawery Lubecki, organizator ekonomicznego życia polskiego. Z pomocą górnictwu ruszył Bank Polski, założony 1828 r. dla popierania handlu i przemysłu polskiego; od r. 1833 prowadził Bank górnictwo krajowe na własną rękę, lecz zaledwie przez lat 10, gdyż zostało mu odebrane przez rząd petersburski w r. 1843. „Niedługo kazały na siebie czekać wyniki gospodarki rządo-

wej", aż upadające kopalnie rząd rosyjski posprzedawał cudzoziemskim firmom. W ręku prywatnem zakwitnęły kopalnie na nowo, ale kapitał obcy niezawsze zachowywał się życzliwie wobec kraju, z którego czerpał zyski. Tak rozszarpano i przefrymarczono spuściznę po Banku Polskim.

Niedość na tem. Wroga krajowi polityka komunikacyjna i taryfowa nie pozwalała często korzystać jako tako z płodów kopalnych. Cóż powiedzieć o takim fakcie, że w kraju tak przebogatym co do węgla, blisko czwarta część kraju zgoła go nie używa, a to dla braku nie tylko kolei żelaznych, ale nawet odpowiedniej sieci dróg zwykłych. Oto przykład katastrofalnej wprost gospodarki rządu rosyjskiego w Polsce.

A dużo byłoby mówić o tem, który z rządów zaborczych był kiedy gorszy, a kiedy mniej zły.

Rząd austrjacki urządził w ten sposób podległą sobie część wielkiego polskiego Zagłębia węglowego, iż wydane ono było na łaskę i niełaskę... Prusaków, którzy zalegli wszystkie niemal kuksy, a to dzięki oryginalnej metodzie postępowania biurokratycznego w sprawach górniczych, zezwalającej na wszelkie „widzimisię" tej słynnej biurokracji austrjackiej, której głównem zadaniem była zawsze i wszędzie praca dla króla pruskiego. Przez długie czasy była wręcz niemożliwą jakakolwiek obrona przeciw temu najazdowi. Na chwałę polskiej gospodarki zapisać trzeba, że skoro tylko stało się to możliwem, władza autonomiczna galicyjska myślała o tem, jakby tę część Zagłębia ocalić z drapieżnych rąk cudzych, w czem Wydział Krajowy nie spoczął, aż ostatecznie w r. 1917 wykupiono i nabyto na rzecz kraju rozległy teren, pokryty 2.726 wyłącznościami górniczemi. „Cała przestrzeń, pokryta wyłącznościami, wynosi około 770 klm., a rozciąga się od zachodniej granicy Galicji pod Białą i Oświęcimem we wschodnim kierunku do Wielkich Dróg pod Skawiną i sięga na północy po Chrzanów, na południe do Wadowic". Prawdziwie wiekopomny ten czyn,

słuszny tytuł do wdzięczności potomnych, świadczy, jak gospodarowalibyśmy darami przyrody własnego kraju, gdybyśmy byli mieli w nim wolne ręce.

Ciekawy przykład austrjackiej „opieki“ mamy na solach potasowych galicyjskich, a zwłaszcza na odkrytym w Kałuszu olbrzymim pokładzie kainitu. Mógłby on był zaopatrywać w sól potasową rolnictwo nie tylko całej Austrji, ale i krajów sąsiednich. Ażeby jednak nie dopuścić do konkurencji niemieckim fabrykatom stassfurtskim, które posiadały zyskowny monopol wobec rolników, nie pozwalano przez lat kilkadziesiąt całkiem na eksploatowanie skarbu kałuskiego, aż dopiero po wielu zachodach i kłopotach udało się zdjąć rządową klątwę nad Kałuszem. Zaraz też założono krajowe towarzystwo udziałowe dla eksploatacji kainitu tego na cele nawozowe. Faktem pozostanie, że gdy się udało nareszcie przełamać opór rządu wiedeńskiego w tej sprawie, uważano to niemal za triumf polityczny Lwowa nad Wiedniem.

Kopalnie i warzelnie soli stanowiły w Auśtrji monopol rządowy. To też ze 134 znanych w Galicji żup i źródeł solnych znajdowało się w ruchu r. 1914 zaledwie 11 (jedenaście), a reszta... zagwożdżona. Soli produkowało się coraz... mniej! W r. 1875 produkowano o 54% więcej, niż w r. 1910; na początku XX w. mniej „niż przed r. 1772, przed pierwszym rozbiorem Polski, który wydał „Galicję“ na łup bezwstydnej gospodarki austrjackiej. W Wieliczce i okolicy są warunki na założenie solankowego miejsca leczniczego, które byłoby największem na całą Europę, a prawdopodobnie na cały świat: przestrzeń od Krakowa do Wieliczki mogłaby być pokrytą obszarem wil i ogrodów, obszarem wielkiej zamożności. Otóż o to właśnie chodziło, aby tak nie było, bo byłaby konkurencja dla jakiego niemieckiego „badu“ (Bad Hall i i.), a więc solankę wypuszczało się bez użytku, marnując ją publicznie, byle tylko Polak z niej nie korzystał. Wiadomo też, że w najlepiej od przyrody upo-

sażonych salinach wielickich zaczęto ledwie dopiero w ostatnich latach wytwarzać lepsze, przedniejsze rodzaje soli stołowej — pozostawiając niemal aż do wybuchu wojny monopol warzelniom niemieckim (Salzkammergut).

W górnictwie naftowem nie obeszło się bez przywołania kapitału obcego, dzięki absolutnej bierności rządu wobec tych skarbów Galicji. Jak tu gospodarował Wiedeń, widać z tego, że nafta galicyjska bywała w Galicji droższą od kaukaskiej i amerykańskiej. Tak ciskano nam kamienie pod nogi, gdzie tylko się dało. Ale nafta nie jest przynajmniej monopolem, możność szkodzenia była przeto w tej dziedzinie ograniczoną. To też górnictwo polskie święciło w nafciarstwie niejeden triumf. Nasze szyby stały się pierwszorzędnemi pod względem urządzeń technicznych (celuje Peczeniżyn), a w zaprowadzonym już 1884 r. kanadyjskim systemie wiercenia wprowadzono niejedno polskie ulepszenie, tworząc nowy, własny system wiertniczy. Swoisty całkowicie jest inny system, t. zw. płóczkowy, który dał pomyślne wyniki; z pośród zaś wynalazków pierwsze miejsce zajął t. zw. taran wodny inż. Wolskiego.

Pierwsze doświadczenia nad biegiem w rurach nafty i ropy wykonał Henryk Merczyng (wynik ogłosił w r. 1910).

„W technice wiertniczej zdobyliśmy rekord światowy przez wywiercenie głębokich kilometrowych szybów borysławskich i tustanowickich. Wiertacz polski zdobył rozgłośną sławę w świecie. Nasze Maćki i Bartki cieszą się ogromnym popytem zagranicą (Indje, Sumatra, Kaukaz, Pensylwanja). Przemysłowcy naftowi ocenili należycie mistrzowską rękę wyszkolonego wiertacza, od którego nieraz zawisł wyłącznie los miljonowego szybu".

„Nafta z ropy galicyjskiej, smary i parafina z niej wyrobione, znane są dzisiaj nie tylko w całej Europie, lecz nawet w Azji, Turcji azjatyckiej i Persji; w Afryce, Algierze, a także w Ameryce południowej walczą nasze

produkty naftowe z produktami amerykańskiemi. Źródła nasze naftowe, położone w ośrodku Europy, więcej się nadają do wytwarzania materjału świetlnego dla całej Europy, niż oddalone źródła naftowe kaukaskie i amerykańskie".

Ale przemysł rafineryjny galicyjski zniszczyły protegowane przez rząd kartele austrjackie; w r. 1917 już 70% nafty naszej rafinowało się poza Galicją. Nie można było przewozić ropy do Kongresówki, bo cło przenosiło 100% ceny targowej. Z tamtej strony Wisły musiano sprowadzać sobie naftę kaukaską. Przemysł rafineryjny nie powstał tedy ani w Kongresówce, nie mogąc przerabiać ropy galicyjskiej, podczas gdy czyszczenie kaukaskiej nie opłacało się z powodu drogiego przewozu.

Rzućmy okiem na naukowe podłoże górnictwa polskiego. Najbardziej typowem jest i w tym zakresie naftciarstwo.

Rozwiązaniu problemów związanych z geologją naftową, poświęcił całe życie profesor lwowski, Rudolf Zuber. Opracowawszy geologję Karpat wschodnich, bada następnie przez lat sześć (1886—1892) pod względem geologiczno-górniczym Pampasy argentyńskie i Kordyljery boliwijsko-czilijskie, i „zdobywa sobie sławę światowego eksperta w sprawach naftowych. Bawi następnie i wydaje opinje na Kaukazie, w Rumunji, w Hiszpanji, w Meksyku, w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, w Wenezueli, na wybrzeżach Gwinei zachodnio-afrykańskiej, a wkońcu wyprawia się do gór Solnych Indyj Wschodnich (1912). Wzbogacony doświadczeniem i analogjami, zdobytemi na niemal wszystkich polach naftonośnych świata, dochodzi ostatecznie do syntezy powstawania nafty, której daje wyraz w rozlicznych drobnych publikacjach, ogłaszanych w ciągu długoletniej pracy w językach polskim, niemieckim, angielskim i hiszpańskim, a której ostatnie słowo wypowiada w swem dziele „Flisz i nafta" (Lwów 1917)".

„Obok Zubera zdobyło jeszcze wielu innych polskich geologów światową sławę jako eksperci w sprawach górniczych, a w szczególności w sprawach naftowych. Zwłaszcza pola naftowe Kaukazu i gór bałkańskich roiły się i roją od polskich geologów". Słyną podróże pełne rezultatów Józefa Grzybowskiego do Ekwadoru, i do Mezopotamji, Władysława Szajnochy do Turkiestanu, Emila Dunikowskiego kilkakrotne do Stanów Zjednoczonych, Algieru i do nadmorskich krain Syberji wschodniej. Wawrzyniec Teisseyre „pracuje od lat 20 nad tektoniką i górnictwem naftowych i solnych obszarów Karpat mołdawskich i wołoskich". Zygmunt Bośniacki, pracując przez lat kilkadziesiąt we Włoszech północnych, zbiera wciąż materjały do paleontologji formacyj „fliszowych", ujęty zagadką powstawania nafty. Jego zbiory, umieszczone w San Giuliano w Toskanji, „należą do najbogatszych i najsławniejszych w tym rodzaju". Jako syntezę swej pracy naukowej całego życia, wygłasza w r. 1911 odczyt w lwowskiem Towarzystwie Przyrodników im. Kopernika, zjechawszy umyślnie do kraju, i drukuje go następnie w lwowskim „Kosmosie" („Flisz europejski"), a zarazem składa przyrzeczenie, że sławne jego zbiory będą przeniesione do Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie.

Podwaliną polskiej nauki geologicznej jest nieśmiertelne dzieło Staszica z roku 1815 „O ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i równin Polski" wraz z czteroarkuszową mapą geologiczną. Uniwersytet wileński stał się w najbliższym czasie ostoją studjów geologicznych i nie brak tam prac samodzielnych. Drugą ważną datą jest rok 1841, rok pojawienia się dzieła Łabęckiego „Górnictwo w Polsce", a potem 1856 rok wydania polskiego podręcznika geologji Ludwika Zejsznera. Tymczasem wydawano już mapy geognostyczne od r. 1845, w roku zaś 1856 wychodzi pierwsza taka mapa naszego Zagłębia węglowego (Hempla Jana). Odrębna katedra geologji utworzoną została w uniwersytecie Jagiellońskim w r.

1885 z osobnym instytutem. Niebawem (1887) zaczął wychodzić „Atlas geologiczny Galicji", wielkie dzieło pracy zbiorowej, prawdziwy pomnik polskiej pracy geologicznej. Z pracowni geologicznej krakowskiej, powstałej r. 1886 pod kierunkiem prof. Władysława Szajnochy, wychodzą liczne prace. Drugie ognisko powstaje we Lwowie r. 1873 przy katedrze w politechnice lwowskiej (Juljusz Niedźwiedzki); trzecia powstała w uniwersytecie lwowskim w r. 1896 obok dawniejszych już katedr mineralogji. Kongresówka dostarczała głównie inżynierów górniczych. Kiedy w r. 1906 wolno było znowu wznowić w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Nauk (rozwiązane przez rząd rosyjski 1832), zorganizowano pracownie do celów ściśle naukowych.

„Gdzie mamy własne szkoły wyższe i własne towarzystwa naukowe ze stałemi publikacjami, pisał w tej materji prof. Szajnocha w r. 1917, tam kwitnie nauka i umiejętność każda, a więc i geologja; gdzie ich niema, tam zrzadka tylko pojawiają się rodzime prace, tam obca nauka orze, zasiewa i zbiera plony. Tam cierpi nie tylko postęp wiedzy, ale i przemysł, i górnictwo, i dobrobyt kraju". A jakżeż niewiele zależało to przeszło przez wiek cały od naszej woli.

Ograniczani wciąż na własnej ziemi, pracowaliśmy i nieśli polską wiedzę geologiczną zagranicę. Nasi uczeni, nie mając dla prześladowań z reguły miejsca w Polsce, dokonywali prac naukowych geologicznych w różnych krajach europejskich, w Azji od Syberji do Indyj, w Afryce, w Ameryce północnej i południowej i w Australji. Długą jest lista nazwisk tych geologów polskich. Księciem ich niejako Ignacy Domeyko, który 60-letnią pracą w Chile (gdzie był profesorem i długoletnim też rektorem uniwersytetu w San Jago) przynosił tam chlubę narodowi swemu. I wszyscy nasi uczeni szli pod tym względem za jego przykładem i wszyscy postępowaniem swem i pracą jednali wśród ludów świata przyjaciół imieniu polskiemu.

Do ostatniej chwili dawał się ciągle we znaki polskim geologom brak własnego zakładu geologicznego; ale też zaraz w pierwszym kwartale po ustąpieniu Niemców z Warszawy przystąpiono do organizacji takiego zakładu.

Geologów polskich jest niemało, a są bardzo produktywni: w berlińskiem „Geologisches Centralblatt" referowano w latach 1900—1917 przeszło 740 prac polskich geologów. Sporządzony w r. 1918 spis przyrodników polskich, pracujących w dziedzinach geologicznych od początku XIX wieku, wykazuje 302 nazwiska. Same te cyfry są wielce wymowne.

Gdyby nie polityczna niewola, mielibyśmy oddawna tyle uniwersytetów, katedr, laboratorjów, ile tylko wytworzyć ich zdoła polski talent i zamiłowanie wiedzy, a o rozmiary tych przymiotów nie potrzebujemy obawiać się. Gdybyśmy byli mieli wolną rękę we własnym kraju, moglibyśmy dostarczać Europie dwa razy, a może trzy razy więcej wyborowego ziarna, buraków, ziemniaków najlepszych na kontynencie i innych płodów rolniczych; dostarczalibyśmy na szeroki świat mnóstwa szlachetnych owoców, sporo ryb słodkowodnych i największą bodaj na świecie ilość miodu i wosku, tudzież soli; dodajmy, że solami potasowemi, od których zawisł rozwój produkcji rolnej, moglibyśmy obdzielać pół Europy. Nasza nafta mogłaby stać się bezpośrednio i pośrednio (smary) kilkakroć wydatniejszą. Obok tego dostarczalibyśmy pierwszorzędnego materjału hodowlanego wszelkich zwierząt domowych i to niektórych w rodzajach naszym ziemiom tylko właściwych, a które byłyby wszędzie przydatne.

Słowem: niewola gospodarcza Polski sprowadziła zubożenie gospodarstwa europejskiego na rzecz tych wyzyskiwaczy, którzy prawem rozboju przywłaszczyli sobie rządy w Polsce. Niestety, wojna powszechna potoczyła się w taki sposób, iż Polskę doreszty zrujnowano; pokój zaś wersalski układano pod wielu względami

w taki sposób, jak gdyby nagłym jakimś obrotem rzeczy aljanci zachodni sprzymierzyli się z Niemcami przeciw Polsce... Długo więc trzeba będzie czekać, zanim zdołamy dojść do równowagi po tych ciosach ekonomicznych.

Fakt atoli taki, jak np. że kłos polski wyprzedził w Wielkopolsce wydatność kłosa niemieckiego, upoważnia do wniosku, że skoro dokazaliśmy wielu rzeczy pod najcięższym uciskiem, nie będzie nam trudniej wydobyć się pod rządem własnym z najgorszych opresyj gospodarczych. Wyzyskiwanie darów przyrody, przemienianie ich na walory kulturalne, należy z dawnych wieków do naszych właściwości. Nie ustępujemy żadnemu z narodów zachodnich co do zrozumienia tych spraw, ani w ochocie do nich; ustępujemy im w stopniu wykonania, ale z powodu okoliczności od nas niezależnych. Dopiero gdy powiedzie się nam zlikwidować skutki wojny i wydobyć się z pod ogólnej ruiny ekonomicznej (obyśmy w tem nie doznawali przeszkód od żadnego z państw sprzymierzonych), wtedy dopiero będziemy mogli mierzyć tempo wykonawcze w działalności naszej górniczej, rolniczej i wogóle gospodarczej. Miara kultury czynu w tej dziedzinie musi być znaczną, nader znaczną, jeżeli mamy utrzymać się jako tako na poziomie niezbędnym do zachowania stanowiska europejskiego polskiego państwa. Stopień użycia darów przyrody m u s i s z y b k o w z r a s t a ć.

Posuniemy się nieco dalej we wnioskowaniu na końcu następnego rozdziału, gdy rozejrzymy się w ogólnym zarysie spraw tyczących handlu i przemysłu.

Rozdział III.

Handel i przemysł.

Sprawy ekonomiczne są jak eter: wnikają wszędzie. Niema takiej cząsteczki życia kulturalnego, któraby nie pozostawała w związku z jakąś stroną bytu gospodarczego. Sprawy ekonomiczne są skutkiem tego niezmiernie informujące, tak dalece, iż nadają się na wykładnik kultury, mogąc okazać wszelką kulturę w przekroju. Wystarczy poznać zapatrywania na sposoby bogacenia się, na stosunek dostatków do potrzeb, potrzeb zaś do ilości pracy i na jej rozkład; a z drugiej strony poznać rodzaj i stopień zdatności do zbiorowej pracy gospodarczej, stopień oszczędności i jej celowość, nadto czynność lub bierność społeczną majątków, a da się określić rodzaj i stopień kultury, łatwiej może nawet, niż na podstawie jakichkolwiek cech innych.

W handlu powszechnym bywaliśmy czynnikiem pierwszorzędnym. Polska leżała na stronie od pierwotnych wielkich dróg handlowych; następnie jednak, od wieku XIV, wiodła przez Polskę główna droga śródlądowego handlu wschodniego, t. zw. lewantyńskiego, przez Lwów, stąd zaś do Krakowa i Lublina na dwie strony. Z drugiej strony Hanza utrzymywała kantory we wszystkich znaczniejszych miastach polskich, tak, iż na polskiej ziemi podawały sobie ręce handel wschodni i zachodni. Obok lewantyńskiego było pole dla handlu spławnego, Wisłą i jej dopływami, ale dolny bieg Wisły zajęty był od drugiej połowy XIII w. przez Krzyżaków i Polska odcięta była od morza. Rozumiano doskonale doniosłość sprawy o Bałtyk, lecz okoliczności nie dopuszczały od-

zyskać Pomorza polskiego, aż dopiero w r. 1466. Odtąd handel rozwija się na tem większą skalę, a towarzyszy mu przez wieki XIV—XVI rozwój rękodzieł, czynnych w sposób przemysłowy na eksport na wschód (np. sukno aż do Nowogrodu Wielkiego).

W wyborze dróg ekonomicznych błądzono nieraz w Polsce, lecz raz tylko jeden zbłądzono z tego powodu, iż zdarzyło się pozostać w tyle poza pochodem Europy — w pierwszej połowie XVIII wieku — zresztą zaś błądzono razem z innymi, dlatego właśnie, że się kroczyło krokiem równym z Europą, utartym powszechnym szlakiem, który później miał się i nam i wszystkim innym narodom okazać błędnym. Często atoli kroczyła Polska własnemi drogami, a zdarzało się nam iść przed Europą w niejednej materji, wyprzedzając inne narody i państwa.

Pojęciem wolności handlu wyprzedziliśmy innych. Wolność handlu ustalono w Polsce już w pierwszej połowie XV wieku. Wywóz zboża nie podlegał też żadnym ograniczeniom, podczas gdy w Anglji zaprowadzono tę wolność dopiero w r. 1463, w innych krajach znacznie później, w niektórych zaś nigdy. Wyprzedziła Polska również całą Europę przez to, że już 1447 r. ogłoszono zupełną wolność handlu na rzekach spławnych, głównych ówczesnych arterjach komunikacyjnych. Zniesiono od jednego razu wszelkie cła prywatne, pozostawiając publiczne („królewskie") tylko na drogach lądowych, podczas gdy zagranicą było ceł prywatnych kilkakroć więcej, niż publicznych. Obowiązywała bowiem poza Polską powszechnie zasada, że wolno każdemu dozwalać lub zakazywać przejazdu przez swe terytorjum, przez cały jeszcze wiek XVI, a w niejednej stronie Europy nawet jeszcze w wieku XVII; mógł tedy każdy ustawiać rogatkę na swej posiadłości i nakładać na przejeżdżających kupców dowolne warunki.

Wyprzedziła też Polska cały kontynent europejski jednością monety. Już w statucie Kazimierza W. (1347) znajdujemy wśród postanowień zasadniczych i to także,

żeby była w całem państwie jedna moneta. Czemś podobnem mogła się poszczycić tylko Anglja... a poza tem różnorodność monety stanowiła plagę ówczesnych stosunków ekonomicznych. W Niemczech zwłaszcza były co kilka mil inne pieniądze, bo tam było około 600 mennic. Kiedy królewicz Zygmunt (późniejszy Stary) został mianowany przez swego brata, Władysława czesko-węgierskiego, namiestnikiem Śląska, stał się kraju dobrodziejem, iż zastosował w nim polskie gospodarstwo. W r. 1505 skłonił książąt i miasta śląskie, że zobowiązali się wycofać z kraju obiegającą monetę lichą, a bić natomiast porządną a jednolitą. I to bowiem należało do specjalności polskich, żeby nie urządzać w imię państwa fałszowania pieniądza, co praktykowało się zresztą wszędzie. W porozumieniu z tymże Zygmuntem Starym (już królem polskim) pisze w r. 1526 rozprawę „De monetae cadendae ratione" Mikołaj Kopernik, ten sam, który „wstrzymał słońce a poruszył ziemię" — przeciw złemu pieniądzowi w Prusiech Królewskich (nie podlegających jeszcze wówczas ustawodawstwu sejmów polskich).

Również polski system skarbowy mógł poszczycić się niejednym pomysłem postępowym. W Polsce oddzielono skarb królewski nadworny od publicznego państwowego już w r. 1505. Projekt podatku dochodowego zjawia się u nas w r. 1510. Znano też „progresyjność"; tak np. w r. 1520 płacił prymas pogłównego 30 dukatów, a kmieć dwa grosze, pomiędzy nimi zaś był ustanowiony liczny szereg klas podatkowych, określonych zgóry dokładnie.

Od początku XV w. przestrzegało się w Polsce nakładanego powszechnie na rządy obowiązku, żeby mieć pieczę o taniość. Posiadamy najkompletniejszy z całej Europy zbiór taks na towary, sięgający od roku 1425 aż głęboko w wiek XVII. Ale ekonomiści polscy wcześnie wznieśli się wyżej. Jan Abrahamowicz już w r. 1595 podaje wcale inne sposoby na drożyznę, mianowicie ulepszenie komunikacyj i wolną konkurencję (w rozprawie:

„Zdanie Litwina o kupczy tanio zboża a drogiej sprzedaży“). Nasz Wojciech Gostkowski był zaś bodaj czy nie pierwszym w Europie, który nie tylko się spostrzegł — w r. 1622, w książce, którą Stanisław Głąbiński wcielił szczęśliwie do historji nauki polskiej z jedynego egzemplarza w lwowskiej bibljotece Ossolińskich — że taksy nie zdadzą się na nic, ale też poznał się na istocie taniości i drożyzny, jako zależą one przedewszystkiem od wartości monety.

Skutkowały taksy u nas nie więcej oczywiście, niż gdziekolwiek indziej ale były przynajmniej z reguły nieszkodliwe. Natomiast system ekonomiczny, zwany merkantylizmem, wtargnąwszy do Polski w połowie XVI wieku, wyrządził u nas szkód więcej niż na Zachodzie.

Merkantylizm pojawił się u nas w fatalnych właśnie czasach, gdy Polsce dawała się srodze we znaki zmiana szlaków handlowych. Geograficzne odkrycia portugalskie i hiszpańskie wysunęły na pierwszy plan handel oceaniczny, a na handlu śródlądowym coraz mniej zależało zachodniej Europie. Dobrobyt miast polskich mógł ostać się w takim tylko razie, gdyby Polska zdążyła opanować należycie wybrzeża morskie i przyłączyć się w ten sposób do oceanicznego handlu powszechnego. Dążono też do wybrzeża czarnomorskiego, ale bez trwałego wyniku, bo nie dopisała ni razu europejska liga antiturecka. Zdawało się, że Bałtyk zostanie morzem polskiem, zwłaszcza po triumfach Batorego, ale zanim jeszcze wiek XVI dobiegł do końca, trzeba było mocować się o wschodnie i południowe wybrzeża bałtyckie ze Szwecją. I zaczęły się ciężkie czasy, aż nastał „potop“.

W tem przesileniu ekonomicznem, jednem z najcięższych, jakie zna historja, merkantylizm pogarszał zło jeszcze bardziej. Według tej doktryny dobrobyt zawisł od ilości posiadanego złota; należało tedy podporządkować wszelkie względy staraniom o sprowadzenie złota z zewnątrz w jak największej ilości. We Francji starał się rząd dopomóc podupadłym miastom w ten sposób, że

zakazywano kupcom wywozić towary z miasta poza pewien oznaczony okrąg, licząc na to, że skutkiem tego zjeżdżać tam będą obcy kupcy, a więc napłynie obcy kapitał i zwiększy się tam przez to zasób złota. Chwycono się i u nas tego sposobu, jako (że użyjemy dzisiejszego wyrażenia) „ostatniego wyrazu wiedzy ekonomicznej" owych czasów. W konsekwencji doktryny merkantylnej zakazał sejm roku 1565 kupcom polskim handlować bezpośrednio z zagranicą, ażeby zmusić niejako kupiectwo obce osiedlać się w polskich miastach i pozwozić tu swoje złoto. Stanisław Cikowski wylicza długi szereg spodziewanych z tych zarządzeń korzyści dla gospodarstwa krajowego (w dziełku: „W sprawach celnych"..., Kraków 1602). Wiadome są fatalne skutki tego „kroczenia równo z Europą"...

Oryginalnem polskiem było dążenie do jednakowych miar i wag (Starowolski). Znamienny to też fakt, że osiedlony w Polsce Włoch, Burattini, wydał swe dziełko „Misura universale" w Wilnie 1675 r. pod wpływem uczonego księdza Stanisława Pudłowskiego[1]).

Miasta polskie podupadły strasznie w wieku XVII. Te miasta, które aż do połowy XVI w. chłonęły cały nadmiar ludności wiejskiej rodzimej i jeszcze przygarniały licznych w każdem pokoleniu przybyszów, trzymały się jeszcze dość długo siłą bezwładności na wcale wysokim poziomie, ale około r. 1620 poczęło im ubywać ludności. A kwitnęły w Polsce miejskie rzemiosła budowlane od wieku XIII; w XIV w. pełno po naszych miastach brukarzy, pod koniec wieku są już i wodociągi po większych miastach, a z początkiem XVI już i po drugorzędnych (Sambor, Opoczno, Korczyn i t. d.) . W Krakowie podejmowało mieszczaństwo takie roboty, jak sprowadzenie rzeki Rudawy do miasta (dzieło Mikołaja Gerlaka

[1]) Miara, proponowana przez Burattiniego, miała być równa długości wahadła sekundowego; Pudłowski pozostawał zaś w korespondencji z Galileuszem.

w XIV w.). Tak bujny rozkwit, podcięty stosunkowo nagle, stanowił klęskę ogólną.

Z losem miast łączył się los ludu wiejskiego, bo nadmiar ludności wiejskiej nie miał gdzie się podziewać od czasu zubożenia miast[1]) i nastąpiła jednostronność gospodarcza. Zaznaczmyż atoli, że doktryna, jakoby rolnictwo natenczas tylko mogło rozkwitnąć, jeżeli na roli osiadłe są dwie warstwy społeczne, panująca i służebna (szlachta i poddani), nie w Polsce powstała, lecz we Francji.

Zubożona straszliwemi wojnami i dwoma przesileniami pieniężnemi, poczyna się Polska zagospodarowywać na nowo około r. 1700, po odzyskaniu Podola od Turków. Zrazu następuje odrodzenie tylko rolnicze, stopniowo i handlowe, wkońcu przemysłowe. Ku końcowi XVIII w. przestały istnieć „stany" w życiu ekonomicznem narodu, gdyż konstytucja Trzeciego Maja złamała ekonomiczne szranki stanowe. Demonstracyjnie wpisywała się wówczas szlachta do ksiąg miejskich, a zato wybrano burmistrzem Warszawy szlachcica (Zakrzewskiego).

Na ówczesne „komisje skarbowe" nałożono obowiązek popierania handlu i przemysłu. Sejm polecał im troszczyć się o podniesienie dobrobytu w kraju, żeby obywatelom dostarczać sposobności i otwierać im nowe drogi do wydatniejszego zarobkowania. Podatkowości nie rozumiano bynajmniej w tym sensie, żeby skarb napełniać jakkolwiek bądź, byle go napełnić (jak to zdarzało się niektórym państwom jeszcze z początkiem XX stulecia!). Polskiej skarbowości obcy był fiskalizm. Zdawano sobie sprawę, że ze wzrostem ogólnym dobrobytu podatki same od siebie będą wzrastały najlepiej, ciążąc coraz mniej obywatelowi coraz zamożniejszemu.

Profesor krakowski Antoni Popławski powiada w swym „Zbiorze niektórych materyj politycznych"

[1]) Obszerniej o tem w ustępie 3 rozdziału XII.

(Warszawa1774): „Wolność zatamować i przez zatamowanie chcieć większych sum pieniężnych do kraju nagarnąć i sprowadzić, jest to jedno zaiste, co dla przyczynienia wody w kanale zatkać strumień do niego wpływający".

Nadzwyczajna postępowość we wszelkich materjach, gdzie teorja wiąże się z praktyką życia, bije w oczy na każdym kroku w owych latach reform istotnie polskich, boć obmyślanych i przedsiębranych bez niczyjej jeszcze „opieki". Na sejmie 1774 r. polecono np. powołać do rządowych komisyj skarbowych po dwóch kupców — postanowienie, które odtąd nie pojawiło się nigdzie w żadnem państwie, aż dopiero podczas wojny powszechnej w Niemczech w r. 1916, jako sensacyjna dla całego świata nowość.

W Polsce projekt powszechnego ubezpieczenia od pożaru pochodzi z r. 1774. Spółki handlowe zawiązują się u nas wówczas w formie będącej w użyciu tylko u Holendrów i Anglików, mianowicie spółki akcyjne. Regularnych stosunków handlowych międzynarodowych dowodem ustawa wekslowa, uchwalona na sejmie 1774 r.

Cieszyła się też najlepszą opinją u cudzoziemców poczta polska. Mamy na to szereg świadectw rosyjskich, niemieckich, francuskich i angielskich, jako nasze urządzenia pocztowe były „tak dobre, iż lepszych żądać niepodobna", przyczem cudzoziemcy ci nie mogli wydziwić się bezpieczeństwu podróżowania przez Polskę.

Panującą wówczas w Europie doktryną ekonomiczną był fizjokratyzm; w Polsce znany dobrze, ale, choć w kraju tak wybitnie rolniczym, nie przyjęty. Polscy ekonomiści doby stanisławowskiej i pierwszej ćwierci XIX w. liczą się tylko z fizjokratyzmem, ale się nim nie przejmują, tworząc obok niego (czasem czerpiąc nawet z niego pewne przesłanki) swoisty polski system ekonomji politycznej.

Anonimowy autor książki „O związkach i przystosowaniu wzajemnem rolnictwa, rękodzieł i handlu" (War-

szawa 1786) uznaje wprawdzie, że rolnicy są „klasą zasadniczą", lecz twierdzi, że wszystkie warstwy społeczne powiększają bogactwo krajowe. Wywodząc, jak kupiec nadaje wartość towarowi, przewożonemu przez niego, tem właśnie przewożeniem, wyprzedzał współczesnych ekonomistów Zachodu. Podobnież Ferdynand Nax w swym „Wykładzie prawideł początkowych ekonomji politycznej" (Warszawa 1790) zwraca uwagę, jak przemysł tworzy wartości nawet tam, gdzie ich zgoła nie daje przyroda.

Kołłątaj uznawał pracę za źródło bogactw. I gdzież tu fizjokratyzm?

Nie czuję się kompetentnym orzekać, czy i o ile zachodzi tu wpływ Adama Smitha, którego klasyczne dzieło pojawiło się jeszcze w r. 1776; aczkolwiek dopiero w r. 1811 Jan Znosko podał w polskim języku samo tylko streszczenie tego systemu (w Wilnie). Być może, że swoistość polskich pomysłów ekonomicznych polegała na tem, że dawano pewnego rodzaju syntezę fizjokratyzmu i industrjalizmu, do czego dołączono następnie uwzględnianie indywidualizmów narodowych (u Skarbka).

Bądź co bądź wbrew fizjokratyzmowi cechą życia ekonomicznego Polski pod koniec XVIII wieku jest dążenie do uprzemysłowienia. Wyniki były świetne; pokryły się fabrykami wszystkie prowincje...

Nagle ulega wszystko gwałtownemu przewrotowi. Następują rozbiory Polski: państwo rozdarte, dorzecze Wisły — ta naturalna podstawa gospodarczego organizmu Polski — przecięte na trzy części, i życie ekonomiczne całe zmuszone dostosowywać się do obcych organizmów.

Na rozerwaniu Wisły najgorzej wyszedł zabór austrjacki. Zachwiało się całe gospodarstwo Galicji, odkąd produktów rolniczych ni leśnych nie można było spławiać Wisłą do Gdańska; wywóz drogą kołową do zachodnich krajów austrjackich nie mógł się opłacać z powodu nieproporcjonalnie wysokich kosztów przewozu —

i jedynym sposobem użycia ziarna stało się przerabianie żyta na spirytus i pędzenie wódki dla chłopów na podstawie prawa propinacyjnego. Pogarsza się też fatalnie położenie ludności wiejskiej, zwłaszcza gdy ilość podatków austrjackich doszła już w r. 1822 do nieprawdopodobnego „rozwoju", bo aż do 52 rodzajów.

Starał się rząd austrjacki z całych sił o to, żeby Galicja podupadła jak najbardziej Jakież to znamienne, że za Józefa II. było w Galicji kupców mniej niż w r. 1772!

Rozwój przemysłu, hodowanego tak starannie przez rząd polski, podcięto w Austrji odrazu, bo wyznaczono Galicję na teren ekspansji dla austrjackiego handlu i przemysłu. Hut żelaznych było przedtem do 400, a już w r. 1810 pozostało ich pod rządami austrjackiemi zaledwie 14. Jak rząd przeszkadzał przemysłowi w Galicji, pouczyć mogą trzy przykłady z różnych czasów pierwszej połowy XIX wieku, przykłady, z których każdy staje za tysiączne wypadki.

Józef II. wprowadził stemplowanie wyrobów przemysłowych w Austrji, żeby utrudnić przez to przemycanie wyrobów zagranicznych. Środek posiadający tedy znaczenie protekcyjne, obrócono w Galicji w środek tępienia przemysłu w sposób stanowiący jedno z arcydzieł pomysłowości biurokratycznej: Oto fabryce tkanin bawełnianych w Nawsiu pod Jasłem kazano posyłać wyroby do ostemplowania do Wiednia, właśnie dlatego, że przewóz (kołami!) tam i z powrotem kosztowałby o wiele więcej, niż wartość towaru. Trwało to długo, nim po takiej lekcji ośmielił się kto zakładać fabrykę — a gdy wreszcie znalazł się śmiałek, zakładający fabrykę sukna w Załoźcach w Galicji wschodniej, udzielono mu nauczki, co się zowie, każąc zapłacić 20.000 złr. podatku jeszcze przed wprawieniem w ruch fabryki. Kiedy zaś w r. 1847 wysyłał rząd grupę przemysłowców z Austrji i z Czech do Belgji dla studjowania tam uprawy i obróbki lnu i konopi, odmówiono wręcz prośbie o przyjęcie do tej wyprawy kogoś z Galicji. Skazano Galicję na to, żeby

pozostała krajem wyłącznie rolniczym, a zatem i rolnictwo skazywano na niedorozwój, boć wyższy rozkwit rolnictwa możliwy jest tylko przy równoczesnym rozwoju przemysłu.

Fryderyk II. pruski przygotował zaś zupełny upadek przemysłu polskiego w Wielkopolsce zapomocą celowo do tego obmyślanych taryf celnych. Na skutki nie trzeba było długo czekać: jeszcze przed r. 1820 zginął prawie doszczętnie przemysł płócienniczy i sukienniczy. Zabór pruski stawał się obszarem czysto rolniczym, zupełnie tak samo jak Galicja.

Pielęgnowały też obydwa rządy sztuczne osadnictwo niemieckie na ziemiach polskich, i protegowały Żydów. Po r. 1830 (za rządów osławionego Flotwella) nie było po miastach wielkopolskich żadnego przemysłu, tylko elementarne niezbędne rzemiosła, handel zaś pozostawał wyłącznie w ręku Żydów, protegowanych za ich... patrjotyzm niemiecki.

Centrum ziem polskich cieszyło się rządami własnemi, narodowemi, przynajmniej w latach 1807—1830, w Księstwie Warszawskiem (do 1814) i w wykrojonej z jego resztek, a szumnie królestwem zatytułowanej „Kongresówce" (1815—1831).

Ledwie umilknął szczęk wojen napoleońskich, rozwija się dalej polska nauka ekonomiczna. Następują tłumaczenia Dawida Ricardo (1826), Maxa Cullocha (1828) a Saya zaczęto przyswajać już od r. 1815. Wkracza do Polski szkoła Smitha, zostaje przyswojoną, ale też przetrawioną, podobnie jak przedtem fizjokratyzm, służąc za osnowę do swoistych pomysłów. W warszawskim uniwersytecie powstaje katedra ekonomji politycznej, na której drugi z rzędu jej profesor, Fryderyk Skarbek (od r. 1818) rozsnuwa swe „Gospodarstwo narodowe" (ogłoszone drukiem w latach 1820—21). Wprowadzając w swój system dwa nieuwzględniane dotychczas czynniki: właściwości narodowe i historyczne („ducha instytucyj dawnych i nowoczesnych z przemysłem narodo-

wym związek mających"), wyprzedził Skarbek o dwadzieścia lat Fryderyka Lista[1]).

Teorji towarzyszyła raźna praktyka. Rządy okrojonych małych polskich państewek, Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, nie szczędziły wydatków na zaszczepienie przemysłu. Wszak słynna Łódź („Manchester polski") rozrosła się dzięki temu, że cała okolica stanowiła własność skarbu polskiego i rząd mógł tam swobodnie gospodarzyć. W r. 1828 założono Bank Polski, ów bank wiekopomny, „odbiegający od reguł wszelkiej cechowej bankowości". Wielki ten opiekun rolnictwa, handlu i przemysłu nie poprzestawał na popieraniu wszystkich gałęzi gospodarstwa narodowego, lecz sam dawał inicjatywę, uwzględniając szczególniej górnictwo, tudzież komunikacje.

Wiadomo, że dobre komunikacje stanowią połowę handlu, a także przemysłu. Z tego zdaje sobie nauka polska sprawę także teoretycznie już od r. 1595 (Jan Abrahamowicz). Polska posiada wyborne warunki przyrodzone, żeby wytworzyć sieć dróg wodnych. Lubowano się też w Polsce zawsze w inżynierji wodnej. Najstarszy w Polsce most łyżwowy powstał w XIV w. pod Czerwińskiem, zbudowany przez polskich majstrów Dobrogosta, Odrzywoła i Jarosława. W r. 1508 wystawił Jan Basta z Żywca most na Dnieprze dla artylerji polskiej, ciągnącej pod Orszę. Za Zygmunta Augusta zbudował Erazm z Zakroczymia most drewniany na Wiśle pod Warszawą, podziwiany przez swoich i obcych. Ustawa z r. 1447, o której wspomniano wyżej, wymienia 14 rzek spławnych. Od połowy XVII w. przygotowywa się połączenie morza Bałtyckiego z Czarnem. Udoskonalając ciągle system dróg

[1]) „Das nationale System der politischen Oekonomie", 1841. Skarbek ogłosił w roku 1829 po francusku „Théorie de richesses sociales" (w Paryżu w dwu tomach), w którem to dziele stwierdza (wbrew ekonomji klasycznej) odmienność zasad dobrobytu publicznego a prywatnego, narodu a jednostki.

wodnych, doprowadziliśmy do tego, że pod koniec okresu niepodległości, za Stanisława Augusta można było żeglować poprzez system kanałów z Pińszczyzny aż do Gdańska. Powstało niemało kanałów i w innych stronach Polski. Ekonomista Nax (1790) nawoływał do planowego połączenia Bałtyku z Dniestrem i Dnieprem.

Tę tradycję pieczy o drogi wodne pielęgnował rząd Kongresówki. W r. 1818 podjął regulację Wisły pod Warszawą; przed rokiem 1830 projektował Adam Idźkowski budowę tuneli pod Wisłą w Warszawie. W r. 1823 rozpoczęto kanał Augustowski (budowy jego dokończył Bank Polski), żeby otworzyć eksportowi nowy dostęp do morza, do Windawy, gdzie robotami portowemi kierował Mieczysław Szystowski.

Miernictwo poczyna się w Polsce od końca XIV wieku traktatem „Practica geometria"; drugi podręcznik powstał około r. 1450 i odtąd nauka ta kwitnie już stale u nas, bez przerwy. Pierwsza książka techniczna w polskim języku wyszła w r. 1556: Stanisława Grzepskiego „Geometrya to jest miernicka nauka". Pomiar kadastralny województwa krakowskiego robił 1563 r. geometra Filipowski. W wieku XVII słynął Maciej Głoskowski, autor dziełka: „Geometria peregrinando" (1645), nauczyciel geometrji księcia Wilhelma Orańskiego, a komornik graniczny województwa kaliskiego.

Znanych jest sporo planimetrów polskiego pomysłu. Zasłynęły bardziej w ciągu XIX wieku: planimetr Juljusza Kolberga, profesora na kursach dla inżynierji, połączonych od r. 1818 z uniwersytetem. Inny planimetr, wynaleziony przed r. 1834 przez geometrę Żelińskiego rozpowszechniony był długo we Francji pod nazwą „la fausse équerre de M. Gelinski". Na wystawie wiedeńskiej 1873 r. odznaczono medalem złotym planimetr Juljana Majewskiego.

Rozwijała się w drobnem państewku polskiem, w Kongresówce, inżynierja dróg i mostów. W r. 1823 powstała

z inicjatywy wszechstronnego Staszica „Szkoła inżynierji cywilnej dróg i mostów", wcielona następnie 1826 r. do szkoły przygotowawczej do Instytutu Politechnicznego. Obok tego w warszawskiej szkole wojskowej aplikacyjnej wykładał budowę dróg bitych słynny Feliks Pancer, twórca licznych słynących w swoim czasie mostów, wykonanych z pomysłowością niezwykłej rzutkości, a wykładał tak dobrze, iż wykład jego był przydatny jeszcze po 60 przeszło latach. Ogłosił go drukiem w r. 1895 inżynier Tomasz Przesmycki jako dobry podręcznik dla niższej służby drogowej, dopełniwszy go własnym wykładem konserwacji. Tenże Pancer wypracował w r. 1838 pierwszy projekt wodociągu dla Warszawy. „Najwspanialszym wszakże pomnikiem jego talentów i pracy jest Zjazd z Placu Zamkowego do mostu na Wiśle w Warszawie" (wykonany w latach 1844—46).

Dowodem ruchu naukowego technicznego czasopiśmiennictwo techniczne: W latach 1820—28 wychodzi „Izys Polska"; w r. 1829 urządza się osobny dział techniczny w „Pamiętniku umiejętności czystych i stosowanych", a w r. 1830 wyszło 10 zeszytów czasopisma czysto technicznego „Pamiętnik umiejętności fizycznych, matematycznych i statystycznych z zastosowaniem do przemysłu". Dalsze wydawnictwo przerwała wojna 1831 roku.

Dróg bitych zbudował rząd małej Kongresówki trzy razy tyle, co równocześnie cała olbrzymia Rosja; sam zaś Bank Polski około tysiąca kilometrów; jego dziełem wielki „trakt krakowski" z Warszawy przez Radom, Kielce i Miechów.

Co się działo po upadku Kongresówki, tego prawym symbolem losy materjałów, leżących na brzegu Wisły w rozległych składach robót regulacyjnych pod Warszawą. Roboty przerwane nie zostały już nigdy podjęte na nowo, a materjały poszły na budowę... cytadeli warszawskiej. Odtąd nie bywało już w Kongresówce robót

budowlanych wodnych. Próżno opracowywał Józef Sporny projekt osuszenia błot rzeki Bzury i niziny kampinoskiej. Podejmował rząd austrjacki roboty wodne w Galicji w czasach najnowszych, ale tak opieszale i niechętnie, iż było widocznem aż nazbyt, że robiło się to tylko dla „mydlenia oczu" Kołu Polskiemu w parlamencie wiedeńskim. Ostatecznie projekt wielkiego kanału, mającego łączyć Dunaj z Odrą, Wisłą, Dniestrem, kanału, któryby przecinał całą Galicję, z wielkim portem pod Krakowem, uchwalony w parlamencie, otrzymał nawet sankcję cesarską, ażeby... pozostać niewykonanym. Nie zawahano się przed wystawieniem na pośmiech słowa monarszego, jako nie mającego mieć w Austrji wartości... gdy chodzi o Polaków.

Po r. 1830 nastał okres dla kultury umysłowej polskiej najcięższy, zabójczy dla pracy gospodarczej. Nawet teorja chroniła się zagranicę. Główny przedstawiciel polskiej ekonomji tych lat, liberalista Ludwik Wołowski, pisuje po francusku i wydaje w Paryżu od r. 1834 „Revue de législation et de jurisprudence". Wyszło ich tomów 45. Wołowski był specjalistą w kwestji banków i monety. Pisywał i był wogóle czynnym długo, zwłaszcza w latach 1864—1875; w kraju nie było dla niego miejsca. August Cieszkowski ogłasza po francusku w Paryżu r. 1839 swe doniosłe dzieło „Du crédit et de la circulation" i przyczynia się wraz z Wołowskim do założenia najpoważniejszej instytucji francuskiej i jednej z najpoważniejszych całego świata: „Crédit Foncier".

Po r. 1830 nie było również na ziemiach polskich żadnej wyższej szkoły technicznej. Krakowski „Instytut", założony przez Wolne Miasto, był szkołą średnią — nie stała zaś wyżej ani niemiecka „Akademja techniczna" we Lwowie. Rządy zaborcze dbały wielce o to, żebyśmy stali jak najniżej w zawodach stanowiących o dobrobycie kraju. „Z dwojga złego" wolano tam zawsze polską sztukę, niż polski handel i przemysł.

Od r. 1834 zamknięto towarom polskim wywóz przez Rosję do Azji, a zabrano się też energicznie do tamowania wywozu polskiego do Rosji. W r. 1840 eksport ten wynosił ledwie trzecią część wartości z roku 1829 (najbardziej ucierpiał wywóz wyrobów wełnianych). I byłby rozpadł się w gruzy cały przemysł Kongresówki, gdyby nie obywatelska działalność Banku Polskiego, będącego aż do r. 1870 jedynym zakładem kredytowym w całym kraju (gdyż nie dopuszczano zakładania nowych).

Doczekał się jeszcze Bank Polski, zanim go zamknięto, nowej ery komunikacyjnej: kolei żelaznych, a idąc zawsze z postępem czasu, udzielił poparcia kolei warszawsko-wiedeńskiej, której budową kierował Stanisław Wysocki. Finansował też Bank żeglugę parową na Wiśle. Działalność jego była zato oddawna solą w oku władz rosyjskich. To też od r. 1870 zaczyna się jego przymusowa likwidacja, aż zniesiono go całkowicie r. 1885.

Pomimo piętrzących się coraz większych trudności wychodziły w Kongresówce „Dziennik Politechniczny" (1860—62) i „Przegląd Techniczny", choć przez rok 1866—67, udało go się wznowić dopiero 1875 r., odkąd wychodzi bez przerwy, ale polscy technicy musieli coraz bardziej szukać sobie pola poza granicami Polski.

Zrazu zmierzały rządy zaborcze do tego, żeby w Polsce jak najmniej stawiać kolei żelaznych. Wszak w Wiedniu odmówiono koncesji na żeglugę parową na Wiśle i Dniestrze, a również na towarzystwo akcyjne budowy kolei żelaznych w Galicji. Kraków otrzymał też połączenie kolejowe ze Lwowem aż w r. 1861. Dopiero względy strategiczne skłoniły rząd wiedeński do budowy nowych linij kolejowych w Galicji. Kongresówka należy co do ilości kolei żelaznych do dnia dzisiejszego do najbardziej zaniedbanych krajów europejskich. W pruskim zaborze przedstawiał się ten stosunek znacznie lepiej (jakkolwiek daleki od zaspokajania potrzeb istotnych kraju), ale zato tam nie dopuszczano nigdy Polaków do służby kolejowej.

W Kongresówce po upaństwowieniu linji warszawsko-wiedeńskiej również usunięto Polaków całkowicie z kolejnictwa, sprowadziwszy na ich miejsce Rosjan (odtąd zaczęły się mnożyć wypadki kolejowe). W Galicji dopiero około r. 1870 dopuszczono Polaków do posad technicznych kolejowych, ale aż do dnia ostatniego rządów austrjackich językiem urzędowym kolejarstwa (a także poczt) był w Galicji język niemiecki.

Pomimo tego stanu rzeczy nowoczesna ta dziedzina techniczna cieszyła się u Polaków dziwną wśród takich okoliczności wziętością; a co nadzwyczaj charakterystyczne, że możemy się pochlubić niepośledniemi wynikami.

O machinach parowych wogóle przedstawiono rozprawę doktorską w uniwersytecie warszawskim w roku 1823 (Stanisława Janickiego); w r. zaś 1829 ukazał się we Lwowie pierwszy tom obszernie zamierzonego o nich dzieła słynnego potem wodza, generała Józefa Bema. Słynny inżynier Stanisław Kierbedź, student uniwersytetu wileńskiego z czasów filareckich, brał udział w budowie kolei warszawsko-petersburskiej, a następnie zajmował w latach 1863—1891 wybitne stanowisko w ministerstwie komunikacyj w Petersburgu. On zbudował pierwszy most stały na Newie w Petersburgu (rozpoczęty 1842 r.); później w r. 1860, rozpoczęto budowę mostu według jego projektu w Warszawie; most ten nosi jego nazwisko. Kolej żelazną między Donem a Wołgą projektował Tadeusz Chrzanowski, następnie od r. 1865 dyrektor budowy kolei terespolskiej.

A któż budował głównie kolej syberyjską, jak nie polscy inżynierowie?

Inni szukali miejsca dla swego talentu na Zachodzie. Adam Idźkowski podał już w r. 1857 w Paryżu dobrze obmyślony projekt kolei jednoszynowej, z wagonami zawieszonemi po bokach. Teofil Żebrawski badał przyczyny wykolejania się pociągów (1850). Słynny Hoene-Wroński propagował już w r. 1837 we Francji szyny ruchome

i rozmaite reformy dróg żelaznych. Karol Chobrzyński inżynier kolei Północnej we Francji, wprowadził na tej linji palenisko lokomotyw, noszące jego imię. Stanisław Janicki (syn) założył roku 1870 z inżynierami Cotardem i Champouillonem spółkę „Entreprise générale de chemins de fer et de travaux publics". Tenże powołany był przez konsorcjum francuskie (Borel, Lavalley et Co.) do współdziałania przy budowie kanału Sueskiego, opracował projekt kanału morskiego dla Petersburga, wodociągów dla Odessy, i kierował samodzielnie wielkiemi robotami portowemi w Rjece (Fiume). Aleksander Martynowski obliczał dla francuskiej kolei Północnej zbiorniki wody i t. d. Całemi stronicami możnaby przytaczać podobne przykłady na dowód, jak postęp techniki komunikacyjnej nęcił Polaków i że w najtrudniejszych warunkach, chociaż nie mogli pracować we własnym kraju zdobywali dla polskiej wiedzy technicznej zaszczytne miejsce w rozwoju powszechnym kolejnictwa.

Góruje ponad wszystkimi Ernest Malinowski, prawdziwy bohater kolejnictwa. Licząc lat przeszło 60 zabrał się do budowy najwyższej na świecie kolei żelaznej, poprzez Andy w Peruwji, z 62 tunelami i 30 mostami różnych systemów, przebiwszy tunel długości 1,200 m. na wysokości 4768 m. nad powierzchnią morza. Przeprowadził tę kolej wspaniale przez wąwóz rzeki Rimac, „który najśmielsi inżynierowie amerykańscy uznawali za niedostępny dla linji kolejowej". Dwa razy wojny południowo-amerykańskie przerywały roboty; raz musiał Malinowski uchodzić z Peruwji na wygnanie, a jednak nie tracił zapału, energji, i po r. 1880 doprowadził szczęśliwie do końca jeden z nowoczesnych cudów świata.

Ileż energji polskiej musiało z konieczności szukać sobie ujścia po całym świecie, ileż talentu polskiego działało czynnie, twórczo, wśród obcych, podczas gdy we własnym kraju właściwe im pole działania leżało odłogiem, psute umyślnie przez zaborców.

Skoro tylko powstała we Lwowie polska politechnika (w r. 1877, z niemieckiej akademji technicznej), zaraz wybiło się tam kolejnictwo. Już w pierwszym roku wykładów zainaugurował Roman Gostkowski wykład mechaniki ruchu kolejowego, wyprzedziwszy tem wszystkie politechniki austrjackie. Tenże wydał w r. 1883 „Teorję ruchu kolejowego, zastosowanego do praktyki". Tamże Karol Skibiński wykładał budowę dróg, kolei żelaznych i tunelów i ogłosił „Obrachowanie połączeń torów". Wostatnich latach objął całokształt kolejnictwa Aleksander Wasiutyński w swem dziele „Drogi żelazne" (1910), odznaczywszy się przedtem w latach 1896—99 badaniami nad zachowaniem się szyn w torach i nad ich odkształcaniem się sprężystem pod obciążaniem (opis badań ogłoszony był po polsku, rosyjsku, francusku (1898 r. w Brukseli) i niemiecku).

Ale koleje żelazne, stanowiące wszędzie takie dobrodziejstwo dla kraju, miały się stać dla Polski w ręku zaborców nowym środkiem do zwalczania polskiego rolnictwa i przemysłu. Czego nie zdołała dokazać taryfa cłowa, tego miały dopełnić taryfy przewozowe. Powiedziano prawdziwie, że przemysł polski opłacał koszta przewozu przemysłowi rosyjskiemu. W austrjackich zaś taryfach uprzywilejowana była zawsze produkcja zagraniczna, nawet poza-austrjacka, ze szkodą galicyjskiej.

W zaborze rosyjskim zaczęło grozić tem większe niebezpieczeństwo przemysłowi polskiemu, kiedy od roku 1850 zaprowadzono (wbrew postanowieniom kongresu wiedeńskiego) jednolitą taryfę cłową dla całego państwa rosyjskiego wraz z ziemiami polskiemi. Podrożała skutkiem tego wielce produkcja, a więc obniżyła się siła konkurencyjna.

Wytworzyły się stosunki tego rodzaju, że musiało się nabywać bawełnę rosyjską z Turkestanu, bo amerykańska — znacznie tańsza — była dla nas niedostępną. Podobnież rudę żelazną musiano z południowej Rosji spro-

wadzać i to koleją, bo dowóz morski był niemożliwy skutkiem zaniedbania dróg wodnych w kraju i zaprzestania wszelkich robót nad regulacją Wisły. Była też ruda w Kongresówce dwa razy droższa, niż w Rosji.

Albo inny przykład: z węgla polskiego nadaje się na koks tylko górnośląski (zwany „pruskim"), a ten oddzielony był od Kongresówki kordonem prusko-rosyjskim; ustanowiono zaś nań cło tak wysokie, iż przetapianie rudy koksem musiało zdrożeć w Kongresówce tak dalece, iż rosyjski przemysł metalurgiczny ubezpieczony był przed konkurencją polskiego. Swoją drogą na dyrektora Dnieprowskiego Towarzystwa metalurgicznego szukano inżyniera w Polsce. Został nim Ignacy Jasiukowicz, który dzięki swemu talentowi organizacyjnemu i wiedzy technicznej zrobił z tych zakładów jedno z największych przedsiębiorstw całego świata, podczas gdy we własnym kraju nie miał żadnego pola dla swych zdolności. Czyż może być drastyczniejszy przykład, co znaczy brak niepodległości i jak zaborcza polityka ekonomiczna wykręca drogi naturalne gospodarcze?

W wyrafinowany sposób upośledzono również przędzalnictwo polskie. Przemysł chemiczny ubito wprost drożyzną soli. Największe saliny świata, wielickie, są tuż obok, ale oddzielała od nich granica rozbiorowa rosyjsko-austrjacka; ustanowiono tedy na tę sól „zagraniczną" cło wynoszące 375—500% jej ceny — skutkiem czego Kongresówka musiała sprowadzać sól z odległości 1200 klm. z kopalni południowo-rosyjskich. Ależ bo nawet mąka rosyjska bywała w Kongresówce tańsza od własnej, którą należałoby przewieźć o kilkanaście mil choćby. Takie wyprawiała Rosja na nas cudy ekonomiczne swemi taryfami kolejowemi!

A były jeszcze inne trudności i zawady:

Na ziemiach polskich więcej było podatków i świadczeń na rzecz państwa (na Litwie „kontrybucja" na majątkach polskich przez lat niemal 50), niż w Rosji właści-

wej, i nadto jeszcze wyższa stopa podatkowa. Wroga polityka kredytowa wyciągała z kraju dziesiątki miljonów rocznie (np. przymus lokowania w papierach państwowych lub wprost w banku państwa, stosowany w wielu dziedzinach życia ekonomicznego) i wywołała podrożenie kredytu. Kilkakrotne obniżanie kursu pieniędzy papierowych rosyjskich przyprawiło kraj o nieobliczalne wprost straty. Na dobitkę utrudnianie zrzeszeń ekonomicznych doszło do tego stopnia, że w czasie, kiedy przemysł Kongresówki koncentrował się najbardziej (1880—1895), nie było w kraju spółek akcyjnych (dopuszczano je dopiero później).

Dodajmyż, że na każdym kroku musiało dawać się ciężko we znaki przymusowe połączenie z organizmem gospodarczym tak zacofanym jak rosyjski. Ostateczny wynik tego połączenia taki oto: „Kraj pozostał mimo znacznego rozwoju przemysłu zawsze jeszcze przeważnie rolniczym... ale wydajność rolnictwa była tak niska, że od niespełna 20 lat niezbędny był przywóz środków żywności z Rosji".

Nielepiej działo się w Galicji. Gdy w Kongresówce zakwitnął pomimo wszelkich trudności przemysł tkacki, zaraz postarano się w Austrji o to, żeby tym polskim wyrobom tkackim wysokiem cłem uniemożliwić zbyt w drugiej części Polski, w Galicji, zachowując ją na rynek dla produkcji austrjacko-niemieckiej. Inny przykład przewrotnej chytrości rządu wiedeńskiego: w ostatnim traktacie cłowym z Niemcami zaprowadzono cło od wyrobów tartacznych sześć razy wyższe od cła na drzewo „okrągłe", ażeby Galicję zmusić do wywozu belek zamiast desek; a te belki rżnęło się w deski tuż za kordonem i w ten sposób zniszczono przemysł tartaczny w Galicji, a wywołano go i to w stopniu świetnym po stronie niemieckiej tuż nad granicą galicyjską.

Dzięki panowaniu austrjackiemu zanikło cukrownictwo, zapowiadające się w Galicji zrazu bardzo pięknie — przemysł płócienny ostał się ledwie w resztkach — zam-

knięto większą część hut szklanych i fabryk świec. Produkcja żelaza i wyrobów żelaznych topniała w Galicji w dalszym ciągu w przeraźliwem tempie pod opieką rządu wiedeńskiego: około r. 1870 zostało ich jeszcze... dziesięć, ale w r. 1905 zamknięto ostatnie piecysko (w Węgierskiej Górce w Żywieckiem).

Ubijany też był przemysł polski przez kartele przemysłu austrjackiego: kartel zapałkowy zamknął drobne galicyjskie fabryki — podobnież dały się we znaki kartele żelazny i cukrowniczy — a ostatni kartel rafineryj spirytusu dążył do tego samego, co już osięgnął kartel rafineryj nafty; żeby przemysł ten całkiem przesunąć poza granice Galicji, aczkolwiek Galicja produkowała w tym wypadku 60% surowca całej Austrji.

Dostawy publiczne — te „rezerwy" rozwijającego się przemysłu, dla Polaków nie istniały, gdyż rządy zaborcze wykluczały od tego polskich przemysłowców. Od rządu pruskiego nie zarobił grosza Polak, od rosyjskiego rzadko który, udział zaś Galicji w dostawach rządowych austrjackich obliczono na 3%. Ale udział przymusowy w dostawach przymusowych wynosił zato podczas wojny w stosunku do niemieckich prowincyj bez przesady 3.000%.

Na 85 szkół przemysłowych (zawodowych) niższych w Cislitawji utrzymywał rząd w Galicji zaledwie sześć; na 1055 żeńskich szkół przemysłowych, w Galicji tylko 11; z 27 wyższych szkół przemysłowych znajdowała się w Galicji zaledwie jedna; na 73 zaś szkół handlowych (niższych i średnich), utrzymywanych kosztem państwa, przypadało na Galicję cztery. I tu sprawdza się, że wolą „z dwojga złego" polską sztukę, od polskiego handlu lub przemysłu!

A „dobre stosunki" austrjacko-polskie?

Wiadomo, że Austrja była pod rządami Metternicha najbardziej wstecznicem państwem w Europie, a Metternich nie ze wszystkiem umarł: duch jego żył w wysokiej biurokracji wiedeńskiej, która prowadziła wprawdzie państwo do ruiny, ale tymczasem dawała się we znaki

wszystkim Słowianom... Austrja ta, wyrzucona przez Prusy z Niemiec, a przez Prusy i Francję z Włoch, szukać zaczęła „odszkodowania“ na Bałkanie. Wprowadziło ją to w antagonizm z Rosją, dzięki temu zdecydowano się na budowę strategicznych kolei żelaznych w Galicji i na „ugodę“ z narodem polskim. Ale fakt ciekawy: oto właśnie po przyznaniu Galicji pewnej autonomji nastał najcięższy upadek ekonomiczny kraju i jak najdotkliwsza zależność od przemysłu zachodnio-austrjackiego. Podnieść też warto jeden szczególny fakt: oto od r. 1849 nie zbudowano w Galicji ani jednego kilometra gościńca rządowego, chociaż nie przestano budować dróg na koszt państwa w innych „krajach koronnych“. Galicja jednakże, jeżeli chciała mieć drogi, musiała je sobie budować wyłącznie za swoje własne pieniądze.

W zaborze pruskim wzrosła w latach 1875—1907 ilość przedsiębiorstw przemysłowych w Poznańskiem o 350%, a w Prusiech Królewskich o 290% — ale niewiele w tem polskich. Wielki skoncentrowany przemysł Górnego Śląska jest zupełnie w ręku niemieckiem. Ale w Poznańskiem zmalała jednak ilość przedsiębiorstw przemysłowych niemieckich o 21%, wzrosła zaś polskich o 11,5%. A więc...“ jednak się ruszały pomimo tak zaciekłych prześladowań narodu polskiego.

Wiadomo, że wyższy rozwój rolnictwa możliwy jest tylko przy równoczesnym rozwoju przemysłu[1]), a więc obliczyć łatwo, ile na tem przeszkadzaniu przez trzy wielkie państwa przemysłowi polskiemu — ucierpiało również rolnictwo.

Z przemysłem łączy się najbardziej inżynierja. Jak wszędzie, podobnież w Polsce starsza jest inżynierja wojskowa od cywilnej. Na cztery języki przekładano Kazimierza Siemienowicza dzieło „Ars magna artilleriae“.

---

[1]) Z naciskiem podnosił to Józef Supiński w „Szkole polskiej gospodarstwa społecznego“, 1862.

wydane w Amsterdamie 1650 r., od którego ciągnie się długi szereg prac tego rodzaju aż do Kościuszki dzieła o manewrach artylerji konnej, wydanego w Bostonie 1808 r. „Architektura wojenna“ poczyna się od Krzysztofa Mieroszewskiego, sekretarza króla Jana III Sobieskiego. Nauki wojskowe kwitnęły w Polsce stale — nawet wtenczas, kiedy zostaliśmy pozbawieni własnego państwa i własnej armji. Nie mamy zamiaru rozwodzić się nad tym tematem — zwrócimy tylko uwagę, że u wielu Polaków uważanem to było za obowiązek, żeby się kształcić w sztuce wojennej, ze względu na obowiązek wyzyskiwania wszelkiej sposobności do walki z państwami zaborczemi.

O mostach i wodociągach najstarszych była już mowa. Do tych zawiązków inżynierji cywilnej przyłączała się wcześnie wszelaka mechanika. Słynął w XVII w. uczony jezuita Adam Kochański, znakomity matematyk, korespondent Leibniza, który zajmował się też mechaniką zegarową, podał kilka ustrojów zegarowych własnego pomysłu, pracował nad zastąpieniem używanych wówczas w zegarkach szczecinek sprężyną regulującą i sporządził zegarek z wahadłem magnetycznem. Zasłynął z budowy młynów, wiatraków, wind i innych urządzeń Stanisław Solski, autor „Architekta polskiego“ (1690). Za Stanisława Augusta istniała godność „dyrektora budowli mechanicznych Jego Królewskiej Mości“, którą sprawował Jan Gotfryd Schneider, autor książki „Poprawne y pomnożone młynobudownictwo“ (Warszawa, 1794), na której końcu dodano coś bardzo dziś cennego dla rozmaitych studjów, bo „Słownik, służący do słów mniej znajomych, z niemieckiego i łacińskiego wyłożony“.

Mechanika interesowała Polaków wszechstronnie; w teoretycznej zajmują uczeni polscy (jak to zobaczymy na innem miejscu) niemało miejsca — praktyce zaś oddawano się zawsze z powodzeniem, nawet w rodzajach najzawilszych. Tak np. wynalazcą maszyn rachunkowych jest Stern (od r. 1812), który zbudował także młockarnię, tartak i żniwiarkę własnego pomysłu, wkońcu jeszcze

wózek topograficzny do mierzenia długości przebieganej drogi. Ów Stern był chłopakiem u zegarmistrza w Hrubieszowie, a zajął się nim i ułatwił wyższe wykształcenie Staszic.

W ostatnich czasach zakwitnął przemysł mechaniczny w kilku miastach Kongresówki, w Poznaniu i w Krakowie w fabrykach pierwszorzędnych, cieszących się i poza Polską dobrą marką (np. Zieleniewski w Krakowie, Cegielski w Poznaniu, Lilpop w Warszawie).

Zamiłowanie ciągłe do wodnej inżynierji znać w samej już ilości dzieł i dziełek z tego zakresu w bibljografji polskiej. Podczas umysłowego odrodzenia Polski za Stanisława Augusta roi się od rozmaitych projektów połączeń rzek w różnych stronach kraju, a pozostało z tego ruchu znaczne zajęcie dla problemów hydrodynamiki. Ogłosił o niej książkę generał Michał Sokolnicki w Paryżu 1811 roku po francusku.

Aż do najnowszych czasów przetrwało to zamiłowanie. Władysław Witkowski wyprowadził własne wzory, i na podstawie własnych doświadczeń, na prędkość wody w zależności od głębokości, wykonawszy w r. 1862 doświadczenia na Wiśle. Łukasz Bodaszewski wydał w r. 1902 „Teoryę ruchu wody“ (Lwów). Maksymiljan Matakiewicz wywiódł wzór na średnią chyżość wody w rzekach, przytaczany wszędzie w najnowszych podręcznikach hydrauliki. Henryk Merczyng sprawdzał doświadczalnie wzory hydraulików francuskich na bieg wody w rurach, o czem wydał broszurę po francusku w Paryżu 1907 r.

Odznaczyli się szczególniej dwaj inżynierowie polscy w tym kierunku. Romuald Irzkowski zorganizował austrjacką służbę hydrograficzną, podczas gdy w samej Galicji państwowej takiej służby wcale nie było (1904)[1]).

Stanisław Janicki zasłynął od Rosji do Francji, tak jako praktyk-wykonawca, jako też w teorji. W r. 1876 objął kierownictwo robót przy kanalizowaniu rzeki Mo-

[1]) Tenże zmienił system utrzymywania dróg bitych w Austrji.

skwy, przyczem robił doświadczenia, które doprowadziły go do sceptycznego zapatrywania się na niemieckie wywody o warunkach żeglowności rzek. Rutyna hydraulików niemieckich obstawała przy tem, jakoby ścieśnienie koryta rzeki powiększało jej spławność, pogłębiając koryto. Zaprzeczył temu Janicki w r. 1879. Wnet przyłączył się do niego i uwzględnił jego zasady inżynier Pasqueau w projekcie skanalizowania Rodanu, poparł je zaś rachunkiem analitycznym inż. Okołow. Janicki pierwszy uwzględnił należycie naturę gruntu dna rzeki, co zdaniem jego winno decydować o systemie robót rzecznych. Polemizował długo o to niemiecki professor Schlichting, ale wreszcie spostrzeżono się i w Niemczech, że uspławnienie rzek niezawsze da się osięgnąć regulacją, i zaczęto się coraz częściej zwracać do francuskiego systemu kanalizowania rzek. Janicki zaś przyczynił się walnie do rozwoju hydrauliki nowoczesnej.

Kierunek Janickiego w hydraulice jest znamienny, bo ma w sobie coś zasadniczo polskiego. Z jednej strony niemiecka „reguła", nie uwzględniająca natury gruntu, aplikująca swój rutyniczny szablon, narzucany wszędzie zgóry, — z drugiej strony zasada, że główną regułą właśnie jest uwzględnianie natury gruntu.

Jak ceni się w Polsce wiedzę techniczną, ów fundament przemysłu, dowód wyraźny w tem, że podczas wojny, gdy cała groza wojennych stosunków dawała się krajowi we znaki, zaraz jednak w r 1915, skoro tylko ustąpili Moskale, przystąpiono do założenia równocześnie z uniwersytetem polskiej politechniki w Warszawie. Albo drugi fakt znamienny: wśród najfatalniejszych stosunków wojny powszechnej powstaje w Krakowie w r. 1917 „Towarzystwo Żeglugi Polskiej", którego duszą był w trudnych początkach pułkownik Roja. Łączył się w Polsce zawsze miecz z pługiem, a oto zjawiło się dobre omen, że będzie on się łączył i z łokciem i z kwartą, będzie stał na straży polskiego przemysłu i handlu. Co za wróżba dobra, że obok należytego oceniania wiedzy technicznej zrozu-

miano u nas od początku samego niepodległości, kiedy brzask zorzy ledwie ją zapowiadał, odrazu doniosłość drugiego fundamentalnego warunku rozwoju handlu i przemysłu: doniosłość sprawy morskiej.

Naród polski rozpoczynał życie dziejowe pod wybornemi co do tego auspicjami. Od Mieszka I utrzymywaliśmy stosunki nadmorskie i zamorskie, a w r. 1109 zajął Krzywousty Pomorze aż po dolną Odrę. Niestety, skutkiem wojen między potomstwem Krzywoustego, trzeba się było cofnąć znacznie, a gdy porzucono niebawem Połabian i oddano ich na łup Niemcom, skurczyła się przez to samo morska sfera Polski, boć niesposób było utrzymać Pomorze zachodnie, zarzuciwszy związek polityczny z głębszym lądem na zachodzie. W r. 1226 zrobiono początek końca i co do wschodniej połaci morza polskiego... sprowadzeniem Krzyżaków. Grzechy zaniedbania odrobiono ledwie w r. 1466 i to połowicznie tylko. Nie wyzyskano też należycie posiadania wybrzeża bałtyckiego; wszak dopiero za Władysława IV myślało się o własnej flocie państwowej! A tymczasem pod koniec XV w. zaszła potrzeba dotarcia do wybrzeża czarnomorskiego (po zajęciu ujść Dunaju i Dniestru przez Turków 1484 r.). Nie można zarzucić ówczesnemu pokoleniu, żeby nie było rozumiało doniosłości dostępu do morza; wszak to za Kazimierza Jagiellończyka powstało hasło „Polski od morza do morza". Za Jana Olbrachta powtarzają się wyprawy, skierowane ku ustaleniu się nad morzem Czarnem. Niestety, nie doprowadziły one do pożądanego wyniku, a potem polityka polska przestała być w tej sprawie konsekwentną.

Za zygmuntowskich czasów pochłaniała całą uwagę i energję społeczeństwa na nowo sprawa bałtycka. Zygmunt Stary przeszkodził, żeby Bałtyk nie stał się dziedziną potęgi brandeburskiej. Kiedy Albrecht brandeburski wprowadził na arcybiskupstwo ryskie brata swego, Wilhelma, również zlutrzonego, a marzył zarazem o przyłączeniu Kurlandji do swego pruskiego księstwa,

nie dopuścił tego Zygmunt Stary stanowczem wystąpieniem, a Zygmunt August pilnował tej sprawy z całą troskliwością i w nadarzonych okolicznościach umiał przeprowadzić w Inflanciech interes polski. Stefan Batory porwał powtórnie za oręż w sprawie bałtyckiej. I była Polska potężnem mocarstwem, dopóki choć jako tako panowała nad brzegiem morskim. Upadek ekonomiczny i wynikający z tego nieuchronnie polityczny łączy się ściśle z datami coraz dalszego odsuwania nas od morza. Turcja odepchnęła nas daleko w głąb lądu, przez dłuższy czas aż do środka Podola, Szwed przywłaszczył sobie władzę nad Bałtykiem, a zwierzchnictwo faktyczne Rosji nad Polską zaczyna się od sprawy kurlandzkiej...

Miejmyż otuchę, że obecnie uda się spopularyzować znaczenie morza na tyle, ile trzeba, żeby żaden inteligentny Polak nie stał zdaleka od zabiegów w sprawie morskiej!

Zawiniły w tej sprawie dzieje polskie. Rozumieliśmy, o co chodzi, posiadaliśmy poznanie sprawy, ale szwankowało wykonanie. Logos bez Ethosu sam wreszcie zachwiać się musiał; te bowiem dwie dziedziny ducha nawzajem wspierają się i uzupełniają. Z Ethosu czerpie Logos nieraz nowy wątek dla siebie; gdy zaś nie ma sposobności wcielać się w Ethosie, wyczerpany wątleje. Temu prawu, ogarniającemu wszelkie stosunki ludzkie, ulegliśmy: skoro przez dłuższy czas zaniedbaliśmy czynności celowych, potrzebnych do władania wybrzeżem morskiem, po pewnym czasie przestaliśmy sprawę tę rozumieć, a wreszcie przestała ona nas zajmować i znalazła się poza polskim horyzontem myśli. Z tej przyczyny zaczęła się ułamkowość, a w dalszem następstwie ułomność polskiej myśli politycznej.

Dziś zaczynamy rozumieć na nowo; dbajmyż, by czyny szły rzędem odpowiednim naszej myśli... a gdy nastąpi to choć w jednej dziedzinie życia państwowego, pociągnie to konsekwencje w innych. Logos musi być

pierwszy, a nawet zachować pewną przewagę nad Ethosem, choćby dlatego, że winien go wyprzedzać, a nigdy nie być przez Ethos wyprzedzany (z tego bowiem najcięższe nieszczęścia człowieka i ludzkości), ale Logos musi poprzez myślenie celowe wieść do Ethosu, inaczej niema kultury czynu, a bez niej niema życia.

Nie dojdzie społeczeństwo żadne do znaczenia, ani celu swego nie spełni, jeżeli Ethosowi swemu nie zapewni siły. Czerpmyż ją z rolnictwa naszego, z górnictwa, z przemysłu i handlu. Cele, im idealniejsze, tem łatwiej przechodzą w dziedzinę utopij, jeżeli nie mają do swego rozporządzenia siły odpowiedniej materjalnej.

Z tego jasno wynikają obowiązki nasze. Całe celowe myślenie nasze musi być obrócone na pozyskiwanie siły, której źródło w naszych zasobach materjalnych i w zdatności wykrzesania z nich mocy dla państwa.

Znaczenie Polski jest i będzie proporcjonalne do stopnia rozumnego wyzyskiwania darów przyrody i wprowadzania ich w polski przemysł i polski handel. O celu Polski można w tem miejscu powiedzieć tyle, że, jakikolwiek wytknęlibyśmy sobie, żadnego nie osiągniemy, póki nie spełnimy powyższego warunku. Dlatego też należało zastanowić się najpierw nad kwestją naszych warunków materjalnych, jako nad kwestją wstępną, bez której wszelkie dalsze rozważania zawisłyby w powietrzu.

Wyzyskanie darów przyrody aż do stopnia odpowiedniego szczebla przemysłu i handlu wymaga nieodzownie wysokiego stopnia oświaty; w tę dziedzinę zwrócimy tedy z kolei nasze roztrząsania, posługując się metodą indukcyjną: od szczegółów do stopniowego uogólniania.

Rozdział IV.

Oświata.

W całej historycznej Europie uniwersytet starszy jest od szkoły ludowej, oświata zaś powszechna nie jest niczem innem, jak ostatecznem i najszerszem spopularyzowaniem uczoności. Najstarszemi jednak placówkami oświaty były księgozbiory. Było ich w Polsce wieków średnich kilkadziesiąt. Spis rękopisów kapituły katedry krakowskiej z r. 1110 zawiera dzieła teologiczne, a obok nich Boetiusa, Sallustiusa, Terentiusa, Ovidiusa, Persiusa i t. p. Zwożono cenne rękopisy do Polski z Włoch, z Flandrji, a niemal nic z Niemiec; lecz powstawały księgozbiory także pracą krajowych przepisywaczy, których nie brakło przy żadnem większem ognisku organizacji kościelnej. Drugi znany katalog tejże bibljoteki kapituły krakowskiej z r. 1300 wykazuje już znaczne zasoby rękopisów, a podobnie bywało przy wszystkich kapitułach i we wszystkich klasztorach.

Powiększają się księgozbiory z wprowadzeniem sztuki drukarskiej. Najstarszy znany druk polski pochodzi z roku 1473 (w Krakowie: Explanatio in psalterium Jana z Torquemady), a wnet wyrabia się w Krakowie poważne nowego rękodzieła ognisko, z którego towarzysze roznoszą drukarstwo daleko po świecie. Wszak w Neapolu drukuje pod koniec XV w. Adam z Polski, a w tymże czasie występują w Hiszpanji dwaj drukarze: Władysław i Stanisław, Polacy. Około r. 1510 posiadał Kraków trzy drukarnie, po r. 1540 pięć, a koło 1570 r. siedm, Wilno równocześnie trzy, prowincja zaś około 20. Rozpowszechnienia sztuki drukarskiej dowodem taki np. zna-

mienny szczegół, że hetman Zamoyski odbijał manifest z wypowiedzeniem wojny Karolowi Sudermańskiemu szwedzkiemu, wydany w kilku językach, w drukarni obozowej (pod Kohenhuzą w Inflanciech), którą woził z sobą. Handel księgarski, ustalony w Krakowie od r. 1517, rozwijał się tak szybko, że za zygmuntowskich czasów (1506—1572) bywało równocześnie po 5—7 księgarzy. Od połowy XVII wieku upada sztuka drukarska (a także ruch księgarski) wszędzie, i w Polsce nie było lepiej; jednak Stanisław August (1764) zastaje drukarń w Polsce i Litwie 33, a pod koniec jego panowania (do 1795) było w samej Warszawie drukarń 9 (pod koniec XIX w. przeszło 60) i każde niemal miasto powiatowe posiadało swoją „oficynę".

Mnożą się więc i księgozbiory, do czego dwór królewski zawsze dawał dobry przykład. Sławne są wspaniałe oprawy książek z bibljoteki Zygmunta Augusta; doborową bibljotekę posiadał Jan III Sobieski. Od XVI w. powstają bibljoteki prywatne wielmożów, z których najstarsza Jana Zamoyskiego i syna jego Tomasza, tudzież (w XVII wieku) Jana Fryderyka Sapiehy w Kodniu, licząca wówczas przeszło 5.000 tomów. Zawiązkiem pierwszej w środkowej Europie bibljoteki publicznej była fundacja profesora Obiedzińskiego z r. 1503 w Krakowie „pro libraria artistarum" (skąd nazwa najstarszej sali w Bibljotece Jagiellońskiej), wzbogacana za tym przykładem licznemi następnie zapisami. Pierwszą na północy Alp bibljoteką publiczną poza uniwersytetami była wielka bibljoteka braci Załuskich założona w r. 1745, podarowana przez nich następnie rządowi polskiemu, a licząca przeszło 300.000 tomów, obok wspaniałych zbiorów rękopisów i rycin.

Głównem ogniskiem kultury umysłowej polskiej był przez całe wieki Kraków, nie dlatego, że był stolicą państwa (aż do r. 1595), ale dla swego uniwersytetu, „Jagiellońskim" zwanego, chociaż powstał jeszcze na 22 lat przed powołaniem dynastji Jagiellońskiej. Jest to po pra-

skim (1348) drugi ze starszeństwa uniwersytet środkowej Europy, starszy o rok (1364, 1365) od najstarszego niemieckiego (wiedeńskiego). Miał on, jak wszystkie uniwersytety, czasy lepsze i gorsze, chwały i upadku. Wiek XV, i pierwsza połowa XVI, to okres promieniowania na ościenne kraje, od Niemiec do Wołoszczyzny, kiedy posiadał dla swoich scholarów różnojęzyczne „bursy". Album studiosorum tych czasów zawiera niejedno nazwisko, głośne następnie zagranicą. Opiewano sławę „akademji krakowskiej" nie tylko u sąsiadów. Hiszpan Piotr Roysius († 1571) poświęcił jej zaszczytne ustępy w swym poemacie „Chiliastichon". Anglik Jan Coxe ogłosił drukiem mowę pochwalną „De laudibus celeberrimae Cracoviensis Academiae" (1518). Nie z samych też Polaków składało się najdawniejsze na północy Alp stowarzyszenie literackie „Sodalitas Vistulana" (przed 1490; norymberskie 1495).

Krakowski uniwersytet nie był jedynym. Drugim z rzędu był wileński, genezy jezuickiej, ustanowiony przez króla Stefana Batorego 1578 roku. Trzeci powstał w r. 1595 z fundacji Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana, w Zamościu. Czwarty, najmłodszy, genezy również jezuickiej, powołał do życia przywilej króla Jana Kazimierza w r. 1661 we Lwowie.

Niewdzięczne to już były czasy dla rozwoju uniwersytetów. W połowie XVII wieku nastaje powszechny ich upadek na całym kontynencie europejskim; a nie wszystkie odradzały się potem tak gruntownie i wszechstronnie jak krakowski i wileński dzięki reformom, przeprowadzanym z ramienia państwa około r. 1780.

Reformy te nie tyczyły Zamościa i Lwowa, bo miasta te przeszły zaraz po pierwszym rozbiorze (1772) pod Austrję. Austrja zamknęła natychmiast uniwersytet w Zamościu, podczas gdy skutkiem kasaty jezuitów (1773) ostały się we Lwowie tylko nieliczne, a luźne, wolne wykłady, z których cesarz Józef II. skleił w r. 1782 w imię germanizacji uniwersytet niemiecki, który w r.

1805 zdegradowano na liceum, aż znów w r. 1817 przywrócono mu togę akademicką). Chodziło tu tylko o niemiecką fabrykę urzędników germanizatorów, a nie o rozwój wiedzy. Nie było wydziału medycznego; petycja galicyjskich Stanów o to spotkała się ze stanowczą odmową.

Dostawszy po trzecim rozbiorze w swą moc j Kraków, chcieli Austrjacy zaraz zamykać stary uniwersytet Jagielloński. Udało się ocalić samo istnienie, ale przepadły odrazu wszystkie reformy polskie, a zato nastąpiła bezwzględna germanizacja. Dzięki wojnom napoleońskim odzyskał uniwersytet mowę polską, przynależąc w r. 1809—1814 do Księstwa Warszawskiego, potem zaś do drobnej rzeczypospolitej „Wolnego Miasta Krakowa z okręgiem", które to państewko, ubożuchne, niewiele mogło zdziałać dla jego rozwoju. Skoro tylko w r. 1846 Austrjacy weszli ponownie do Krakowa, znów miano ochotę zamknąć uniwersytet krakowski i powtórnie trzeba było okupić istnienie germanizacją. Tym razem rządy austrjackie obniżyły poziom uniwersytetu tak dalece, iż starożytne ognisko wiedzy i kultury zeszło w tej niemieckiej szacie na karykaturę uniwersytetu i dopiero po r. 1867, po odzyskaniu wszechnicy dla polszczyzny weszło na nowo na europejskie tory.

Wileńskiemu uniwersytetowi danem było zbiegiem szczęśliwych okoliczności rozwijać się, i to świetnie, do r. 1832. Za udział Litwy w powstaniu 1831 r. „przeniesiono" go w r. 1833 do Kijowa, zamieniając na rosyjski, czyli że uniwersytet polski zniesiono, a kosztem jego zbiorów i instytucyj założono w Kijowie nowy rosyjski.

Szkoły średnie — katedralne i parafjalne — posiadały aż do XVI-o wieku w całej Europie urządzenia takie same, z temi samemi podręcznikami szkolnemi, z tem samem trivium i quadrivium. Była jednak różnica. Podczas gdy wszędzie indziej nauczycielem mógł być każdy cudzoziemiec (boć nauka odbywała się wyłącznie po łacinie), w Polsce synod łęczycki 1285 roku wykluczył cu-

dzoziemców, stanowiąc, by każdy z nauczycieli władał dokładnie językiem polskim. Uchwała ta, zwrócona przeciw osadnikom niemieckim, jest najdawniejszem w Europie uznaniem potrzeby, żeby szkolnictwo opierało się o pierwiastki narodowe.

Pedagogiczna literatura polska zaczyna się w r. 1432 dziełem Ślązaka Byczyny „Labirinthus vitae conjugalis" i odtąd ciągnie się bez przerwy a obficie, zwłaszcza, że należało to (i należy dotąd) do cech polskiej kultury, iż wszyscy wybitni mężowie wszelkich zawodów zajmują się sprawami wychowania. W przeglądzie niniejszym zwrócimy uwagę tylko na zasadnicze cechy tego piśmiennictwa i na momenty, mogące mieć ogólniejsze znaczenie w stosunku do europejskich dziejów wychowania, świadczące o polskiej twórczości pedagogicznej.

Pedagogika polska stale dawała pierwszeństwo wychowaniu publicznemu przed domowem. Znajdujemy to już w pierwszej w polskim języku wydanej książce pedagogicznej (Erazma Glicznera Skrzetuskiego: Ksyąszki o wychowanyu dzyeći) w r. 1558. Zasadniczym celem szkolnictwa: kształcenie dobrych obywateli. To też Jan Zamoyski, „Wielkim" zwany, pragnie, by w jego Zamościu założona była ośmioklasowa szkoła średnia jako „schola civilis". Plany jej, wypracowane przez samego Zamoyskiego (około r. 1598) są nadzwyczaj postępowe, a rodzime polskie. Wzorów nie było nawet skąd czerpać, boć Komensky był nieledwie niemowlęciem natenczas, a szkoły podług pomysłów Ratichiusa zaczęły powstawać dopiero w drugim dziesiątku lat XVII wieku. Wbrew szkolnictwu wszystkich narodów ma się w Zamościu dawać pierwszeństwo językowi ojczystemu i na nim oprzeć dopiero nauczanie języków klasycznych, zaraz od pierwszej klasy. W klasie piątej „nauczyciel wymowy zawsze materje, ściągające się do Rzplitej, dawać swoim uczniom powinien, a w dziejopiśmie przyczyny główniejszych w rządzie odmian, i one przyrównywać do kraju starać się będzie. W szóstej klasie nauczyciele moralnej nauki

uczyć będą obowiązków człowieka i powinności obywatela. W siódmej tłumaczone będą prawa w powszechności, w ósmej prawa ojczyste, statuty, konstytucje, kancelarji prawnomienności, sądów gatunek i sądzenia sposób". Oto polska szkoła obywatelska.

Tem chętniej garnięto się do roztrząsania kwestyj pedagogicznych, że wierzono mocno w cudowną moc wychowania szkolnego. U Sebastjana Petrycego (1554 do 1626) spotykamy najpierw „zasadę, znacznie później przez Locke'a (1632—1704) do pedagogji zastosowaną, to jest, że dusza dziecka jest tablicą, na której można pisać, co kto zechce; człowiek jest takim, jakim go wychowanie uczyni". Petrycy „okazuje wielką dbałość o wychowanie fizyczne, większy też kładzie nacisk na wychowanie moralne i kształcenie charakteru, aniżeli na samą naukę".

Pojmowano szkołę coraz bardziej jako czynnik życia narodowego. Niedarmo ten, który najlepiej zasadę tę sformułował, na niej (na języku ojczystym) oparł nowożytną dydaktykę, Jan Amos Komensky, wygnańcem będąc z ojczystej ziemi, znalazł przytułek w Polsce, a dzieła swe epokowe opracowywał w Lesznie w Wielkopolsce, gdzie był rektorem polskiej szkoły różnowierczej (1628—1640). Działalność jego, rozwinięta na polskiej ziemi, przyczyniała się tem bardziej do wzmożenia polskiego ruchu pedagogicznego.

Społeczno-obywatelskie cele wychowania podkreśla z naciskiem również najważniejszy pisarz pedagogiczny XVII wieku, Aleksander Olizarowski, w dziele, którego sam tytuł wymowny: „De politica hominum societate". Wychowanie stanowi jeden z rozdziałów tego tematu, omawia je zaś od siódmego roku życia i przechodzi wszystkie nauki szkolne, podając tedy całokształt wychowania publicznego.

Wielki reformator szkolnictwa w XVIII w., pijar Stanisław Konarski, patrzał na szkołę również, jako na cząstkę naprawy Rzplitej. Jego „collegium nobilium", naśla-

dowane niebawem ogólnie, stało się nowym typem szkoły średniej, opartej przeważnie o t. zw. realia. A zasługi pedagogiczne Konarskiego tyczą się wszystkich katolickich krajów Europy, bo we wszystkich odegrali w dziejach szkolnictwa wybitną rolę pijarzy, zreformowani przez Konarskiego; on to bowiem dopiero zrobił z nich zakon szkolny, on był sprawcą zmiany ich reguły zakonnej, gdyż z jego inicjatywy dodali sobie do zwykłych trzech ślubów zakonnych jeszcze czwarty: „nauczania aż do śmierci".

Na tle powszechnego przekonania, że szkoła ma służyć celom publicznym, wyłoniło się zapatrywanie, że szkolnictwem winno zająć się państwo. To też już w r. 1551 żądał tego Szymon Marycki. Jest to pierwszy w Europie głos w tym kierunku, a hasło to, jak w Polsce powstało, tak też w Polsce miało się najpierw spełnić. Sposobności dostarczyła kasata zakonu jezuitów, który podobnież jak wszędzie w katolickich państwach, utrzymywał i w Polsce liczne szkoły średnie. Ażeby ocalić olbrzymie dobra jezuickie dla szkolnictwa, przeniesiono je na ustanowioną w r. 1773 Komisję Edukacyjną. Było to pierwsze w Europie ministerstwo oświaty.

Komisja Edukacyjna używająca w Polsce zasłużonego przydomku „Wiekopomnej" — urządziła pierwszy w Europie „jednolicie zorganizowany system szkolnictwa państwowego, ogarniający wszystkie warstwy społeczne i wszystkie szkół rodzaje od najniższych do najwyższych. Na taki system żaden inny nie zdobył się wówczas naród. Chwała Polski nie ma na tem polu współzawodników". Bo też „Ustawy Komisji Edukacyjnej" stanowią teraz jeszcze istną kopalnię postępowych pomysłów pedagogicznych i dydaktycznych.

Ustanowienie Komisji Edukacyjnej wywołało obfitą literaturę pedagogiczną. Wśród setek pism występuje na pierwszy plan Antoniego Popławskiego „O rozporządzeniu i wydoskonaleniu edukacji obywatelskiej" (1775), podane jako projekt dla Komisji. „Wywody jego, dotyczące

edukacji fizycznej, są tego rodzaju, iż dopiero w najnowszych czasach zyskały uznanie i rozgłos, ale... jako pomysły z Anglji pochodzące". Projektów podawano Komisji mnóstwo, a niemało szczęśliwych. Do najszczęśliwszych należał projekt Adolfa Kamieńskiego, skwapliwie przyjęty a wspaniale wykonany, mianowicie rzucił on pierwszy myśl założenia głośnego następnie „Towarzystwa do ksiąg elementarnych", pierwszej w Europie stałej organizacji publicznej, na którą państwo zdało pieczę o podręczniki szkolne.

Ażeby stwierdzić nadzwyczajną postępowość ówczesnych szkół polskich, nie trzeba bynajmniej szukać dowodów w słynnym jakim zakładzie; dostarczy ich każda szkoła, choćby na zapadłej prowincji, chociażby nawet nie rządowa, nie pozostająca przeto pod władzą bezpośrednią Komisji, ale tylko pośrednio dotknięta jej wpływami. Nie znosiła bowiem Komisja szkół prywatnych klasztornych, pijarskich, dominikańskich, bazyljańskich i t. p., zakładając obok nich własne, państwowe, jako dyrektywy publicznego nauczania, którego nie uczyniono jednak bynajmniej monopolem państwowym.

W takiej drugorzędnej szkole pijarskiej, w zapadłym kącie Polesia (owej najbardziej ustronnej i zacofanej prowincji), w mieścinie, będącej właściwie dużą wsią, w Lubieszowie, kształcił się bohater narodu, Tadeusz Kościuszko — i stąd znamy bliżej jej urządzenia, dzięki szperaniom biografów Naczelnika. Takich szkół, położonych w zaciszu prowincji, a połączonych z internatami, było tyle, iż stanowiły one większość polskiego szkolnictwa średniego na wiek przeszło wcześniej, zanim pedagogika europejska zaczęła głosić, że tak być powinno. Opis zakładu lubieszowskiego czyta się dziś, jakby jakiej szkoły angielskiej z początku XX wieku. Niemieckie szkoły nie zdobyły się dotychczas na nauczanie geometrji jako miernictwa, w polu, a tymczasem tam w Lubieszowie około r. 1755 „w maju zdarzało się większe ożywienie z powodu praktyki mierniczej, na którą z nauczycielem geometrji

kilka razy wychodzili za miasto uczniowie klas IV, V. i VI., robili pomiar okolicy i rysowali plany". Znamiennym jest fakt, że sama szkoła była jednopiętrowa, ale dwupiętrowy był budynek ze zbiorami narzędzi do nauki fizyki, chemji, matematyki, tudzież z bibljoteką szkolną. Szkoła miała swój ogród botaniczny z oranżerjami, cieplarnią, a dalej nad rzeką ogród owocowy, zwany Wenecją, bo „cały w kanałach zarybionych"; jeden z nich wychodził bezpośrednio na rzekę, stanowiąc tam przystań, w której były utrzymywane czółna. W zakładzie były: stolarnia, tokarnia, kuźnia, młyn, deptak, łaźnia, i t. d. Trzymano się widać słów Staszica, „by wszystkich umiejętności teorje z doświadczeniem były łączone; aby wszystkie prawdy naukowe przedstawiano w łączności z życiem praktycznem".

Znamienną cechę społeczeństwa polskiego stanowiła i stanowi dbałość o wyższe wykształcenie żeńskiej także młodzieży; celowała i celuje tem Polska, bo to dawna nasza tradycja, wszak pierwszy głos w tej sprawie, Jędrzeja Glabera z Kobylina, pochodzi jeszcze z XVI wieku. Klasztory żeńskie poczęły urządzać szkoły średnie pod koniec XVIII wieku; a zatem i w niewieściem wychowaniu torowała sobie drogę zasada, dająca pierwszeństwo wychowaniu publicznemu, tj. szkolnemu, przed domowem.

W połowie XVIII w. zaczyna się w Polsce piecza o powszechną szkołę elementarną, o szkołę ludową. Pierwszy z pisarzów zajął się nią Stefan Garczyński (1695—1755), który już wówczas pragnął widzieć w każdej wsi ochronkę[1]) i szkołę elementarną. Dzieło jego poświęcone reformom wogóle i traktujące sprawę szkoły

[1]) „Ochronka" to polska poprzedniczka „freblówek" czyli t. zw. ogródków dziecięcych Fröbla (1782—1852); to też w Polsce przejęto potem z jego metody zasadnicze rysy, nie naśladując niewolniczo, owszem rozwijając ją dalej samodzielnie

ludowej na tle ogólnem poprawy Rzplitej, „Anatomia Rzplitej polskiej“, wyszło w r. 1751. W następnem pokoleniu Komisja Edukacyjna zajęła się tem gorliwie i „pierwsza w dziejach wychowania organizuje na szerokich podstawach szkolnictwo ludowe“. Jeden z najczynniejszych członków Komisji, sekretarz Towarzystwa do ksiąg elementarnych, znakomity pedagog Grzegorz Piramowicz, wśród licznych swych pism wydaje też dwa zasadnicze dla szkolnictwa ludowego: „Nauka obyczajów dla ludu“ i „Powinności nauczyciela, mianowicie w szkołach parafialnych i sposoby ich dopełniania“, dzieło wydane w r. 1787, a „do dnia dzisiejszego nieocenioną posiadające wartość“.

Jakaż nagła odmiana na gorsze pod rządami państw rozbiorowych!

Pod rządem pruskim zmniejszyła się zaraz ilość tych szkół, a jakość pogorszyła się wielce, jak posiadamy na to świadectwa Niemców współczesnych[1]). Pod koniec 1799 r. wystąpił rząd pruski z własnym planem szkolnictwa, którego jedynym celem była germanizacja. Radował się zarządca polskiej prowincji von Schroetter, że język polski zniknie po kilku pokoleniach, jeżeli się germanizację rozpocznie od szkoły ludowej, a zręcznie...

Nastał równocześnie cały system szkolnictwa austrjackiego, ogromnie skomplikowany, jak zawsze wszystko, co austrjackie, chociaż z celem nader ograniczonym: żeby młodzież wyuczyć języka niemieckiego i.... niczego więcej. Straszliwe zaniedbanie w dziedzinie szkolnej ilustruje dosadnie taki fakt, że w r. 1793 były we Lwowie cztery szkoły żydowskie, a rządowych austrjackich tylko dwie.[2]) Na całą Galicję urządzono tylko

---

[1]) Anton Karbowiak: Zwei Kaempfe fuer die Wahrheit. Eine Flugschrift gegen einen berliner Schulgeschichtsschreiber. Krakau 1914.

[2]) Leon Kulczyński: Szkoły (z powodu wystawy lwowskiej 1894 roku), Przegląd Polski, październik 1894.

30 szkół elementarnych „normalnych“, w których uczono czegoś więcej, niż niemczyzny, ale bezskutecznie, boć nikt nauki tej nie rozumiał, skoro była udzielaną w języku niemieckim. Do wszelakiego zresztą typu szkół ludowych nie było zawodowo wykształconych nauczycieli i nie życzono ich sobie z pośród ludności krajowej.

Ażeby scharakteryzować wpływ rosyjskich rządów na system szkolny wystarczy zacytować jeden ustęp z pisma księdza Stroynowskiego do księcia Adama Jerzego Czartoryskiego: „Od owego czasu, jak rząd gubernski zawiadywał szkołami w gubernji mińskiej, nikt nie otrzymał miejsca nauczyciela bez pieniędzy, to jest bez przekupienia i opłacenia się władzom“. Nieszczególne przeto żywioły dostawały się na posady nauczycielskie, ale prześladowania szkolnictwa dla jego polskości jeszcze w zaborze rosyjskim nie było. Pomimo to groził szkolnictwu narodowemu zanik przez wewnętrzne osłabianie go, demoralizację szerzoną z góry, od urzędów i przez urzędy i skutkiem braku jakiejkolwiek opieki życzliwej a kompetentnej władzy.

Polskiej kulturze umysłowej groziło tem poważniejsze niebezpieczeństwo, że nastał rabunek polskich zbiorów, muzeów, bibljotek. Wojska rosyjskie spustoszyły po powstaniu Kościuszkowskiem gruntownie Puławy, gdzie Adam Kazimierz Czartoryski (1734—1823) zgromadził wielkie zbiory, jedno z najstarszych i najwspanialszych zarazem muzeów środkowej Europy tak znaczne, że nawet po rabunku wielkiem być nie przestało. Dla bezpieczeństwa przeniesiono je następnie do Paryża, bo w całej Polsce nie widziano nigdzie dla tych zbiorów bezpieczeństwa. Wszak wielką bibljotekę Załuskich wywieziono z Warszawy w r. 1795 do Petersburga. Pomimo znacznego rozproszenia zbiorów skutkiem niedbalstwa i prostych kradzieży w drodze, dowieziono jednak nad Newę jeszcze 262.640 tomów, 24.573 rycin i 11.000 rękopisów — i ten to rabunek stanowi zawiązek „Cesarskiej publicznej Bibljoteki“ w Petersburgu.

W zaborze austrjackim pragnął Józef Maksymiljan Ossoliński (1748—1826) zastąpić zgaszone przez zaborcę ognisko wiedzy w Zamościu bibljoteką publiczną własnej fundacji, i wystarał się o pozwolenie na to (sic! na założenie bibljoteki trzeba było zezwolenia Wiednia!) w r. 1804 u cesarza Franciszka I., korzystając z osobistego swego stanowiska na dworze (jako reprezentant „magnatów galicyjskich"). Wojny napoleońskie nie ułatwiały takiego dzieła pokojowego, a gdy się skończyły, Zamość nie należał już do zaboru austrjackiego; przeniósł więc Ossoliński swą fundację do Lwowa. W r. 1817 dopiero poczyna się urzeczywistniać zamiar Ossolińskiego, którego zamysł zaczęto szykanować, pomimo to, że on sam był od r. 1809 prefektem nadwornej bibljoteki wiedeńskiej w Wiedniu. W r. 1823 połączyło się z „Zakładem Narodowym Imienia Ossolińskich" w jednym gmachu „Muzeum imienia Lubomirskich" (utworzone przez Henryka Lubomirskiego), i odtąd wspólnie opierało się niechęci rządu austrjackiego. Jeszcze w r. 1837 musiano katalogi bibljoteczne przedstawiać policji[1]). Przetrwano jednak szczęśliwie te czasy i Zakład kwitnie obecnie, a Bibljoteka jego jest wzorem, nienaśladowanym niestety przez bibljoteki rządowe.

Pruski zabór otrzymał podobną placówkę kulturalną z fundacji Edwarda Raczyńskiego w r. 1829; skoro bibljoteka rozwinęła się, zagarnęli ją Niemcy wraz z funduszami, a polska fundacja stała się w Poznaniu instytucją niemiecką, germanizacyjną. Pozostała tam jedynie bibljoteka Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Muzeum Mielżyńskich, które zachowało tę ostrożność, że się nigdy nie ogłosiło publicznem i w ten sposób ochroniło się od ingerencji władz pruskich. W podobnyż sposób ocalały bogate zbiory Działyńskich i Zamoyskich w Kórniku pod Poznaniem, muzeum połączone z fundacjami wyda-

[1]) Wojciech Kętrzyński: Zakład narodowy im. Ossolińskich, Lwów 1894.

wnictw naukowych. Podobna kombinacja istnieje też przy wielkiej bibljotece Świdzińskich w Sulgostowie, przeniesiona następnie na Bibljotekę Krasińskich w Warszawie. W Warszawie również znajdują się bibljoteki ordynacji Zamoyskich (pierwszorzędna), Przeździeckich i inne. Dla przykładu tylko przytaczamy tu tych kilka bibljotek z pomiędzy kilkudziesięciu powstałych w tym okresie, zaznaczając, że musiały pozostawać prywatnemi, i w znacznej części pozostały na wsi, w dobrach prywatnych swych fundatorów i właścicieli, ażeby nie kłóć w oczy tych, którzy każdej chwili mogli je wywieźć, lub wziąć w swój zarząd i odebrać je polskiej kulturze. Wspomnimy jeszcze tylko znakomitą doborową bibljotekę Tadeusza Czackiego w Porycku, która ocalała dzięki temu, że ją potem zakupili Czartoryscy i wywieźli do Paryża.

Dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności został Adam Jerzy Czartoryski (1770—1861), syn Adama Kazimierza, w r. 1803 rosyjskim ministrem spraw zewnętrznych (chodziło o pozyskanie Polaków przeciwko Napoleonowi) i kuratorem wileńskiego okręgu naukowego. Było to prawdziwem wybawieniem od ruiny, jaka groziła tradycjom Komisji Edukacyjnej. Praca kulturalna polska popisała się wlot. W r. 1820 posiadał okrąg wileński zakładów naukowych 430, nauczycieli 983, uczniów 21.174, podczas gdy najbardziej postępowy z rosyjskich okręgów, charkowski, doszedł zaledwie do liczby 249 zakładów, a uczniów 11.716. Zakwitnęło w Krzemieńcu arcydzieło szkolnictwa średniego, wzór do dziś dnia niedoścignionego, niezrównane dzieło Tadeusza Czackiego: gimnazjum wołyńskie, przemianowane następnie na „liceum krzemienieckie", a obok tego kilka jeszcze gimnazjów w Krajach Zabranych, utrzymywanych również prywatną hojnością, ze składek obywatelstwa.

W tym czasie, dzięki kuratorji Czartoryskiego, zazakwitnął uniwersytet wileński i stał się ogniskiem prawdziwie europejskiej kultury umysłowej, a że równocze-

śnie rząd utworzonego na kongresie wiedeńskim Królestwa Polskiego (Kongresówki) przystąpił do założenia w Warszawie uniwersytetu, były więc od r. 1817 dwa polskie uniwersytety. Jaką otaczano je pieczą, znać ze samego stanu bibljotek, wszak warszawska uniwersytecka liczyła niebawem do 300.000 tomów (ustawiał ją Lelewel), a wileńska niewiele jej ustępowała. Obok uniwersytetu, jakby jego emanacje, powstawały rozmaite zakłady naukowe. Tak np. w Wilnie słynne Muzeum Archeologiczne, wywiezione następnie też do Petersburga, po którem została jednak bibljoteka, licząca niemal 100.000 tomów.

Czartoryskiemu zaczęto niedługo rzucać w Petersburgu kamienie pod nogi. Uniwersytet wileński uległ prześladowaniom, student stawał się dla rządu rosyjskiego rodzajem przestępcy politycznego; z pełnego wzniosłości związku młodzieży „filaretów“ ukuto sprawę polityczną i więzienia zapełniono młodzieżą. Nie zawahano się wprowadzić systemu policyjnego także do szkół średnich, nawet do klas niższych; wszak szczegóły przechowane są w „Dziadach“ Mickiewicza...

W Kongresówce stan szkolnictwa podnosił się zrazu stale, bo sejmy polskie uchwalały jak największe budżety oświatowe. Mamy świadectwo z r. 1821, jako w budowlach szkolnych wprowadzano „przepych“. Tegoż roku wniesiono do sejmu petycję, żeby w każdej wsi była szkółka i to na koszt dziedziców. Starania o oświatę ludową nabierają w tych latach pewnej systematyczności; pojawiają się książki dla ludu i od r. 1817 wychodzi „Gazeta Wiejska“.

Ale w r. 1823 przyszedł nakaz z Petersburga, żeby wstrzymać zakładanie nowych szkół wiejskich. Wnet nastał osławiony „system mikołajewski“ (Mikołaj I. 1825—1855). System ten charakteryzuje dosadnie fakt następujący: budżet oświatowy obcięto do 368.000 rubli, a z tego wydawano znaczną część na utrzymanie... komitetu cenzury.

Po powstaniu 1831 r. zamknięto obydwa uniwersytety, a Kongresówce kazano z uszczuplanego coraz bardziej budżetu oświatowego opłacać urzędników nowej biurokracji rosyjskiej, mającej czuwać nad poskramianiem wzrostu oświaty, i łożyć na koszta dozoru policyjnego nad drukarniami, wreszcie na popieranie handlu... książkami rosyjskiemi! Do szkół ludowych wprowadzono najgorszą hałastrę z pośród niższego czynownictwa rosyjskiego, nakładając na nich obowiązek nie nauczania czegokolwiek, bynajmniej, ale rusyfikowania, a przytem poróżniania dworu z chatą i siania waśni społecznej. Cały czas marnowało się nato, żeby dziatwę wieśniaczą wyuczyć orjentalnego abecadła rosyjskiego, „grażdanki“ i garści wokabuł rosyjskich. Dzieci się tego i tak nie nauczyły, chłop się pomimo wszelkich zabiegów nie rusyfikował, ale widząc, że dzieci w szkole nic nie korzystają, wziął rozbrat ze szkołą wogóle i nauczył się obywać bez niej. Rząd wcale nie dbał o frekwencję, a wkońcu w r. 1851 zakazał wręcz wszelkiego przymusu co do utrzymywania szkół po wsiach, a także co do obowiązku posyłania dzieci do szkoły. Cofano poziom oświaty z całą świadomością, aby dogłupić Polskę do poziomu rosyjskiego.

Obniżano też poziom szkół średnich, wprowadzając plan szkolny rosyjski i napełniając, a raczej przepełniając szkołę językiem rosyjskim. Nie kształcenie było zadaniem wszelkiego szkolnictwa, lecz rusyfikacja.

Po roku 1831 tępi się i niszczy polski dorobek szkolny, a trwało to we wszystkich trzech zaborach aż do r. 1867, a jednak „nie istnieje chyba ani jedna dziedzina zagadnień wychowawczych, którąby w literaturze pedagogicznej polskiej tego okresu nie była poruszaną i opracowaną, przeważnie z punktu widzenia interesów narodowych“. W tym okresie powstał wielki system pedagogiczny Bronisława Trentowskiego („Chowanna czyli system pedagogiki narodowej“ 1842).

Pedagogika polska odznacza się nadal pomysłami postępowemi. W r. 1846 występuje Aleksander Dybow-

ski w broszurze „Myśli o wychowaniu narodowem“ z zapatrywaniem, że „zakładami wychowania narodowego powinny być wielkie zakłady rolnicze, w których niema przymusu, a nauka łączy się ściśle z pracą twórczą i zajęciami praktycznemi“. Gani szkoły, że uczą w nich mnóstwa rzeczy niepotrzebnych, a potrzebnych nie uczą. „Gdyby nie data wydania, możnaby broszurę Dybowskiego zaliczyć do najświeższej doby prac pedagogicznych. W żądaniach swych wyprzedził on o lat 60 dzisiejszych reformatorów szkolnictwa. Zaleca zakładanie szkół na wsi, oddzielne traktowanie każdego ucznia zosobna, zamianę nauki biernej na czynną, wreszcie samokształcenie i zaprawianie wychowanka do samodzielności w myśleniu i badaniu“.

Zasadnicze znaczenie posiada dziełko Józefa Meyznera „Kilka myśli o wychowaniu i nauczaniu“ (wydane po francusku r. 1835). Zrywając z dotychczasową podstawą pedagogiki, z utylitaryzmem publicznym, przechodzi na stanowisko pedagogji czystej i „oświadcza, że celem wychowania musi być człowiek sam, człowiek szanowny zarówno ze względu na swoje cnoty i nieugiętość charakteru, jak i dla swoich wiadomości“.

W tym też okresie Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, stanąwszy na czele żeńskiego ruchu wychowawczego, sprawiła swemi pismami i wpływami, że poziom inteligencji Polek przewyższał odtąd, i to znacznie, przeciętne ukształcenie umysłu kobiecego u wszystkich innych narodów kontynentu, i jedynie z angielskiem zestawiać można polskie wykształcenie niewieście.

W tym okresie ucisku powszechnego przedstawia się pokaźnie dział popularnej literatury wychowawczej, pojawia się też pierwszy polski organ zawodowy stanu nauczycielskiego: Ewarysta Estkowskiego „Szkoła Polska“, w Poznaniu od r. 1849, i odtąd wydawnictwa perjodyczne tego rodzaju mnożą się stale. Od r. 1849 zaczynają się też wydawnictwa z zakresu historji wycho-

wania i szkół w Polsce (Łukaszewicza Józefa: Historja szkół w Koronie i W. Ks. Litewskiem.[1])

Poprawiać zaczęły się stosunki w zaborze rosyjskim po wojnie krymskiej. W r. 1857 założono w Warszawie akademję medyko-chirurgiczną. Było to bądź co bądź postępem w porównaniu z zaborem austrjackim, gdzie za wielką to poczytywano łaskę, kiedy zezwolono w uniwersytecie lwowskim na ustanowienie dla języka polskiego... lektora. W Kongresówce nastała niebawem „era Wielopolskiego": polonizacja urzędów, założenie r. 1862 w Warszawie świetnego uniwersytetu pod skromną nazwą „Szkoły Głównej". Niespodzianie roztwierają się wrota wszelkiej pracy narodowej, lecz na krótko, gdyż rok 1863 przekreśla wszystko.

Zrazu był ucisk tylko polityczny, a od roku 1867 zaczął się na nowo narodowy i kulturalny. Zniesiono całą organizację szkolną Wielopolskiego, wprowadza się do Kongresówki ogólno-rosyjską ustawę szkolną, rosyjski język wykładowy i rosyjskich nauczycieli, indywidua wyspecjalizowane do szpiegostwa, łapówek i demoralizacji wszelkiej, a lubujące się w policyjnym ucisku młodzieży. Ze 60 profesorów warszawskiej Szkoły Głównej pozostawiono ledwie dwóch, a docentom polskim zatamowano całkiem dostęp do zakładu, który przerobiono wlot na uniwersytet rosyjski. Odtąd nie było też dozwolone żadne stowarzyszenie naukowe.

Zrusyfikowany od r. 1869 uniwersytet pustoszał z roku na rok, więc otwarto do niego przystęp uczniom rosyjskich seminarjów duchownych, których nie przyjmowano na żaden rosyjski uniwersytet w Rosji właściwej, jako nie posiadających wykształcenia średniego: obniżono dla nich poziom uniwersytetu warszawskiego,

---

[1]) Z naszych czasów opracowywał ten temat na nowo Antoni Karbowiak (dwa tomy, sięgające treścią do r. 1904). Tegoż przygotowana jest do druku wyczerpująca bibljografja pedagogiki polskiej, której rękopis nabyło ministerstwo oświaty.

byle utrzymać w Warszawie placówkę rusyfikacyjną w formie uniwersytetu. Pomimo to atoli liczba uczniów malała wciąż; przed wojną było ich niespełna 600. Równocześnie tysiące polskiej młodzieży szukało wiedzy w uniwersytetach nie tylko polskich w Galicji, nie tylko w niemieckich i francuskich, ale nawet w rosyjskich Rosji prawdziwej, unikając obmierzłego rusyfikacyjnego uniwersytetu w Warszawie. Unikać go trzeba było tem bardziej, że wśród jego profesorów przeważali zawsze nieucy, kompromitujący tylko naukę rosyjską, i do tego wyjątkowo tylko zdarzali się między nimi ludzie uczciwi. Jeżeli czasem zdarzył się tam profesor naprawdę uczony i z charakterem, sam starał się wydostać jak najprędzej ze zgniłej atmosfery zakładu czynowniczo-policyjnego, podszywającego się pod płaszczyk nauki.

Szkolnictwo średnie karlało również w szponach czynownictwa. Stosunek poziomu naukowego do polskich gimnazjów w Galicji był taki, że uczeń przechodzący z rosyjskiego gimnazjum w Kongresówce do polskiego po drugiej stronie kordonu, szedł o rok niżej, często o dwa lata. Właściwie były te szkoły kaźniami policyjnemi dla młodzieży. Znamiennem zaś jest, że nawet ilość ich pomniejszała się. W r. 1814 posiadała Kongresówka szkół średnich 48, w roku 1838 tylko 33, a roku 1889 nawet tylko 31,[1]) chociaż i ludność wzrastała ciągle, i to znacznie, i dobrobyt powiększał się bądź co bądź, a poczucie potrzeby wyższego wykształcenia szerzyło się bardzo, jak to z innych oznak wiemy dowodnie. Ale kogo tylko jako stać było na to, posyłał synów do Galicji, albo kształcił ich w domu prywatnie, mimo całej niechęci Polaków do prywatnego wychowania.

W całym zaborze rosyjskim pozamykano wszystkie a wszystkie szkoły klasztorne. W Krajach Zabranych tj. w prowincjach litewskich i ruskich dawnego państwa

---

[1]) Włodzimierz Wukar: „Oświata publiczna w Królestwie Polskiem 1905—1915, Warszawa 1915.

polskiego zamknęli Rosjanie szkół średnich polskich, klasztornych i świeckich, męskich i żeńskich, 589 (wyraźnie: pięćset ośmdziesiąt dziewięć) — liczba, która starczy na świadectwo mocy kultury polskiej w tamtych ziemiach, antykulturalności zaś rządu rosyjskiego.

W szkole ludowej zaboru rosyjskiego uczono ostatnie pokolenie obok sztuki czytania grażdanką... śpiewu pieśni rosyjskich, cerkiewnych (prawosławnych tedy) i... żołnierskich. To też rząd osięgał swój cel: spustoszenie intelektualne wśród ludu rosło z roku na rok. Dogłupił rząd wreszcie Polskę do poziomu rosyjskiego: w roku 1905 było w Kongresówce szkół mniej, niż w r. 1832, a $^{2}/_{3}$ ludności nie umiało czytać ni pisać. W r. 1906 wynosiły wydatki skarbu publicznego na jedno dziecko w wieku szkolnym (lat 8—11) na głowę przeciętnie w całem państwie rosyjskiem 1 rb. 70 kop., ale w Kongresówce tylko 69 kop. W r. 1908 przypadała w Kongresówce jedna szkoła wiejska na 2552 mieszkańców, podczas gdy przeciętna całego państwa opiewała na mieszkańców 1967. A jednak napróżno zapowiadał osławiony kurator warszawskiego okręgu naukowego, Apuchtin (około r. 1890), że dzięki jego rządom szkolnym „matka Polka zawodzić będzie nad kołyską dziecka rosyjską piosenkę"...

Państwo karało surowo grzywną do 300 rubli i 3 miesięcy więzienia za bezpłatne nauczanie biednych dzieci w języku polskim. Z ochron warszawskich wyrzucono kilka tysięcy dzieci dlatego, że je tam uczono czytać po polsku; wyrzucono je na bruk uliczny, na głód i poniewierkę wielkomiejskiej ulicy. Lepiej niech wyrosną na dziczki moralne, niż żeby miały... umieć czytać po polsku!

W całym świecie uważa się za zasługę tępienie analfabetyzmu, ale Polak miał według postanowień rządów pruskiego i rosyjskiego obowiązek utrzymywania ciemnoty we własnym kraju; jeżeli uczył kogo sztuki czytania i pisania w języku swoim własnym, polskim, na swojej własnej polskiej ziemi, bywał za to aż do ostatniej chwili

panowania tych obmierzłych państw, karany dotkliwie. Wymyślono „zbrodnię tajnego nauczania“ ale jawnie nauczać też nie było wolno! Całe legjony osób uległy prześladowaniu za szerzenie abecadła, przyczem w Prusiech ze szczególną jakąś predylekcją zamykano do więzienia kobiety. U władz pruskich wytworzyli się specjaliści do tropienia „zbrodniarek“.

Istny huragan prześladowania polskości zerwał się w Prusiech po wojnie francusko-niemieckiej 1871 r. Szło to w tempie tak szybkiem, iż już 1873 r. ograniczono język polski w szkołach tylko do wykładu religji „na najniższym stopniu szkół elementarnych“ i to tylko „za zezwoleniem“, którego odmawiano coraz częściej. Doszło do tego, że nie dopuszczano, żeby dzieci polskie przygotowywane były w ojczystym języku do pierwszej Komunji świętej. Zasłynęły też szkoły pruskie z bicia dziatwy polskiej, o cokolwiek, prawie zawsze np. za przyniesienie do szkoły polskiego katechizmu, a często o to, jeżeli dziecko nie chciało w szkole lżyć swej własnej narodowości. Głośną była w swoim czasie sprawa we Wrześni, którą zainteresowała się cała cywilizowana Europa.

W zaborze austrjackim nastała ulga od r. 1867. Austrja wyrzucona z Niemiec i z Włoch, pobita na głowę, szuka odtąd „odszkodowania“ na Bałkanie, co pociągało za sobą narażanie się na starcie z Rosją, przewidywane od początku; z tego powodu chciano w Wiedniu mieć Polaków po swej stronie i postanowiono zjednywać ich „ustępstwami“. W Galicji wprowadzono język polski niemal do wszystkich urzędów, do sądów i szkolnictwa. Dzięki pewnej autonomji można było tę względną wolność wyzyskać, a najenergiczniej zabrano się do sprawy oświatowej.

Odżyły dla polskiej kultury uniwersytety krakowski i lwowski, a po niedługim czasie stanęły do współpracownictwa nad nauką europejską (o czem w rozdziale „Nauki“). Szkolnictwa nie można było urządzać w Galicji po polsku, według tradycji narodowej i wymogów ducha polskiego; było to szkolnictwo typu niemiecko-austrjac-

kiego z polskim językiem wykładowym, ale szkoły zaczęły być po niedługim czasie dobre pod względem dydaktycznym, kształcąc umysły na podstawie pewnych metod pedagogicznych. Pokrył się kraj siecią szkół, których niedostatki wynagradzał patrjotyzm nauczycieli i nauczycielek. Powstało Towarzystwo Pedagogiczne, Towarzystwo Nauczycieli Szkół wyższych (z miesięcznikiem „Muzeum") i inne specjalne zrzeszenia osób stanu nauczycielskiego. Przybywało szkół ludowych z roku na rok, i w ostatnim przed wojną roku nie było już w Galicji gminy, którąby była pozbawioną możności posyłania dzieci do szkoły. To też wyrosło nowe pokolenie wieśniacze, całkiem niepodobne do poprzednich.

Dawna postępowość pedagogiki polskiej okazała się w całej pełni wprowadzaniem wielu ulepszeń nowoczesnych, przystosowywanych do potrzeb kraju własną pomysłowością. Tak np. w r. 1885 z inicjatywy Siedmiograja, nauczyciela szkoły wydziałowej w Sokalu, wprowadzono do szkół ludowych szwedzki „sloejd" (naukę zręczności).[1]) Do ochronek, znanych u nas oddawien, wprowadzono metodę froeblowską, wielce w Polsce wydoskonaloną. Korpusów wakacyjnych, kolonij i półkolonij pełno. Gry na wolnem powietrzu łączą się z pomysłem oryginalnym, pełnym nieocenionych walorów, t. zw. „jordanówek".

Są to parki obszerne, oddawane młodzieży do dyspozycji na gry ruchowe, zwane tak od fundatora pierwszego takiego parku w Krakowie, lekarza d-ra Henryka Jordana (1888).[2]) Jest w Galicji od r. 1909 i skautyzm, a nawiązał stosunki wprost z Anglją i z samym „the chief-scout", sir Robertem Baden-Powellem.[3]) A na tle skau-

[1]) Leon Kulczyński, j. w. — Do dawnej i nowszej pedagogiki kopalnią wiadomości jest warszawska „Encyklopedja wychowawcza" (od r. 1881).

[2]) Eugenjusz Piasecki: Parki Jordanowskie, Lwów 1907.

[3]) Andrzej Malkowski: Scouting in Poland (bez miejsca i roku wydania). Ożywiony ruch skautowski nastał od r. 1911. Inicjatorem był Edmund Naganowski, który spędził znaczną część życia w Anglji.

tyzmu wyrósł neo-filaretyzm wśród naszej młodzieży szkół średnich, niezrównana szkoła charakterów, a czysto polska, zdobycz lat ostatnich. Zasadą ich: czynić dobrze, choć nikt o tem nie będzie wiedział, bez nadziei odznaczeń, ani nawet odznaczeń czysto moralnej natury. Możnaby scharakteryzować ich krótko, że propagują obowiązek cichego bohaterstwa, że wprowadzają bohaterstwo w życie powszednie. Podnieść należy, że organizacja ta wyszła samorzutnie z łona młodzieży; na dobrej drodze toczyła się widać pedagogja polska, skoro, pomimo najtrudniejszych warunków rozwoju wydała kwiat tak wspaniały.

Neo-filaretyzm możebny był wszędzie, bo może być tajny; ale korpusy wakacyjne, skautingi, organizacje gier ruchowych i t. p. nie dały się urządzać tajnie, to też zabory rosyjski i pruski były pozbawione tych nowoczesnych środków pedagogicznych, gdyż ani pruski rząd, ani rosyjski nie dopuszczały tego rodzaju organizacyj u polskiej młodzieży.

W r. 1905 doznawało się przez krótki czas złudzenia, jakoby w Rosji możebnem było uznanie praw ludzkich. Skoro tylko rewolucja oczyściła choć trochę czynowniczą atmosferę, założono zaraz w Warszawie „Macierz Szkolną", jako najpilniejszą i najdonioślejszą potrzebę społeczeństwa. Nie było mowy o tem, żeby rząd miał utrzymywać szkoły polskie z podatków opłacanych przez Polaków! O tem nikt nie marzył przy najsilniejszem choćby wezbraniu „rewolucji"; chodziło tylko o to, żeby można było zakładać szkoły z darów prywatnych, ze składek. Półtora roku tylko dozwolono istnieć „Macierzy", ale wystarczył czas tak krótki, żeby żywotność narodu polskiego, postępowość jego ducha, okazały się w całej pełni: „Macierz" zorganizowała przeszło 400 szkół ludowych, 211 ochronek, 3 seminarja nauczycielskie i kilka gimnazjów, sporo kursów dla dorosłych analfabetów, rozległy „uniwersytet ludowy", kilkanaście „domów ludowych" z czytelniami, teatrami amatorskie-

mi i t. p. Przestała istnieć w grudniu 1907, zamknięta, jako „niebezpieczna dla idei państwowej rosyjskiej". Składek zebrała „Macierz" przeszło 800.000 rubli, nie licząc fundacyj rozmaitych. Wszystko to musiało się zlikwidować.

Ale to tylko cząstka działalności społecznej polskiej w owem krótkotrwałem „półwiośniu" rosyjskiego państwa. Wyliczyć możemy tu tylko najważniejsze tej działalności objawy.

W Warszawie Towarzystwo Uniwersytetu dla Wszystkich, Uniwersytet Ludowy ziemi radomskiej, Stowarzyszenie Kursów dla Analfabetów, Towarzystwo Wpisów Szkolnych (zbierające składki na opłaty szkolne dla niezamożnej młodzieży); w Kijowie „Oświata" z szeregiem całym podwładnych jej instytucyj oświatowych specjalnych; podobnaż działalność na Litwie i t. d. Niektórym z tych instytucyj danem było trwać nieco dłużej, ale żadna nie przeżyła roku 1910. Kiedy w owym roku wniesiono podanie o założenie jeszcze jednego „uniwersytetu ludowego" na prowincji, otrzymano odpowiedź odmowną, bo działanie takiej instytucji jest „niebezpieczne dla spokoju publicznego". Na tym punkcie stanęły stosunki polsko-rosyjskie przed wojną powszechną. Komentarz zbyteczny.

Z powyższej sumarycznej wzmianki widać, że powiewu względnej swobody użyto w Kongresówce przedewszystkiem dla szerzenia oświaty. Na tym punkcie współzawodniczyły z sobą zawsze wszystkie trzy zabory. Nie odstraszały żadne zakazy, ni prześladowania, bo uważano to za najdonioślejszy ze wszystkich obowiązków patrjotycznych. W tajemnicy robiło się dużo, bardzo dużo; w zaborze pruskim, powiatowemi organizacjami; w Kongresówce istniał długie lata formalny spisek specjalnie do tego, a na tysiące liczyć wypada ilość osób, więzionych za „Oświatę". W Galicji od r. 1867 można było działać jawnie, a co ważniejsza, z poparciem władz autonomicznych krajowych, pod egidą sejmu. Powstało też

kilka „towarzystw oświaty ludowej", zakładających czytelnie wiejskie w swych okręgach, uniwersytety ludowe, specjalne stowarzyszenia wydawnicze, organizacje teatrów włościańskich i t. p. Nad wszystkiemi towarzystwami stanęło górą Towarzystwo Szkoły Ludowej (T. S. L.), którego cele tłumaczy nazwa, a które stało się prawdziwie „benjaminkiem" całego społeczeństwa, wszystkich warstw i wszelkich stronnictw.

Koroną ruchu oświatowego polskiego jest warszawski „Poradnik dla Samouków" (od r. 1900), publikacja, jakiej w takim zakresie i z takim rozmachem, a skutecznym, przeprowadzonej, nie posiada żadne inne społeczeństwo. Rozmaite serje i stopnie tego wydawnictwa ułożone są w ten sposób, że mogą służyć za przewodnika człowiekowi nie posiadającemu wykształcenia wyższego niż elementarne, a mogą doprowadzić go do stopnia uczoności nawet. „Poradnik" stanowi też prawdziwą szkołę uzupełniającą dla inteligencji: gdy kto zechce poduczyć się jakiegokolwiek przedmiotu, w którym nie jest specjalistą, więcej niż wyniósł wiedzy z gimnazjum; gdy chce przypomnieć sobie i dokładniej przerobić, czego się uczył w szkołach; gdy odczuwa potrzebę dowiedzieć się, jak od jego szkolnych czasów pewna nauka postąpiła, lub co głosi nauka nowa, której za czasów jego młodości jeszcze nie było, a przynajmniej nie mówiono o niej w szkole średniej — każdy znajdzie w „Poradniku" przewodnika, na którym można polegać najzupełniej. Ale pożytek jego sięga dalej. Z jednej strony wabi na „naukowe rozrywki" coraz liczniejsze zastępy rolników, kupców, rękodzielników, robotników, poprzestających na skorzystaniu z jego „stopnia pierwszego", a który daje więcej (i porządniej), niż umieć musi przeciętny „maturzysta"; z drugiej strony, snując swój „stopień trzeci" aż do szczytów wiedzy, wyrabia grona osób, nie należących do oficjalnego cechu uczoności, nie zamierzających ciągnąć z nauki praktycznych korzyści, a jednak istotnie uczonych w danej specjalności, przygotowanych najzu-

pełniej do pracy twórczej, jeżeli im dane są do tego zdolności. Opierając się przez czas dłuższy tylko na samym „Poradniku", można wyjść na uczonego. I dzieje się tak. Przybywa społeczeństwu miłośników wiedzy najzupełniej bezinteresownych, a to skarb bezcenny. Do charakterystyki polskiego społeczeństwa posłużyć może fakt, że najwięcej takich adeptów posiadła... matematyka; wiedza czysta, wiedza dla wiedzy, nie dbająca o „stosowanie", najwięcej przywabia sobie u nas samouków. A rzecz godna uwagi, że matematyka od wieków cieszyła się szczególniejszem upodobaniem w Polsce.

Redaktor główny „Poradnika", Stanisław Michalski, to prawdziwy minister oświaty, obdarzony niepospolitym przytem darem organizacyjnym; a dalszym szczeblem „Poradnika" jest właśnie organizacja osób przez niego wykształconych — pomysł swoisty, a wielce obiecujący. Może się z tego wyłonić nowa jaka forma organizacji nauki i oświaty publicznej.

Najkrótszy chociażby przegląd środków oświatowych nie może pominąć dziennikarstwa; wszak ono więcej wywiera wpływu na stan oświaty niż wszystkie stowarzyszenia oświatowe.

Jak wszędzie, podobnież w Polsce zawiązkiem czasopiśmiennictwa były rozmaite Relacje, Nowiny, Awizy, Listy i t. p., wydawane przygodnie od drugiej połowy XVI wieku. Pierwszem polskiem pismem prawdziwie perjodycznem był „Merkuryusz Polski" z roku 1661, wydawany przez Jana Gorczyna, zrazu w Krakowie, lecz zaraz przeniesiony do Warszawy. Regularny rozwój dziennikarstwa datuje w Polsce od r. 1700. Przy wstąpieniu na tron Stanisława Augusta, w r. 1764, wychodziło czasopism 45, przed trzecim rozbiorem 88. Potem liczba ta spadła, ale już w r. 1806 powstało 6 nowych czasopism, w r. 1822 przybyło ich 15, i odtąd rozwój nie ustaje pomimo prześladowań. Statystyka kar więziennych, nakładanych na polskich redaktorów we wszystkich trzech zaborach (w austrjackim do r. 1867) wyda-

łaby liczby wprost horendalne. Niewiele pism było takich, któreby nie musiały przerywać wydawnictwa, wychodzić pod zmienionym tytułem (czasem zmieniano je po kilka razy), płacić istne kontrybucje i t. p. A jednak pomimo całej fatalności polskich warunków kulturalnych okresu porozbiorowego wynosiła w r. 1903 liczba czasopism 570.[1])

Zbieraliśmy znowu fakty, wchodząc nieraz w szczegóły, a trzymając się zdaleka od samegoż trzonu naszego tematu. Pomimo to zbliżaliśmy się do rozwiązania zagadnień, o które nam chodzi, a raczej zbliżaliśmy się właśnie dlatego, żeśmy zbierali fakt do faktu, a zbliżaliśmy się jedyną drogą bezpieczną: w nauce Historji obowiązuje bowiem indukcja zupełnie tak samo, jak w fizyce lub chemji: najpierw stwierdzenie faktów, potem rozumowanie.

Z przeglądu dorobku oświatowego możemy być zadowoleni, skoro piśmiennictwo nasze w tej dziedzinie sięga jeszcze czasów scholastyki XV wieku, a nie ustępujemy nikomu wartością naszych urządzeń szkolnych, w czem legitymujemy się dostatecznie reformą pijarską i Komisją Edukacyjną. Dawanie pierwszeństwa wychowaniu publicznemu przed prywatnem, uważanie szkolnictwa za cząstkę życia narodowego, łączenie zaś w szkole teorji z praktyką — oto specjalności polskiej myśli oświatowej, świadczące zaszczytnie o naszej twórczości na tem polu. Uniwersytet krakowski starszy jest od wszystkich niemieckich, a również starszemi są od niemieckich polskie pomysły szkoły powszechnej, ludowej. W Polsce też powstała najdawniejsza na północy Alp bibljoteka publiczna, oddana na własność państwu.

---

[1]) St. J. Czarnowski: Dziennikarstwo słowiańskie i polskie, Kraków 1895; Korneli Heck: Spis perjodycznych pism polskich, Kraków 1904.

Był więc kierunek polski w tej dziedzinie wybitny, swoisty, a dodatni jak najbardziej, i zachodzą wszelkie podstawy do twierdzenia, że znaczenie polskiego uczestnictwa w europejskiej pracy oświatowej XIX w. byłoby niepoślednie, gdybyśmy byli zachowali możność wolnego rozwoju; do twierdzenia takiego upoważniają też wszystkie fakty z lat, w których ucisk zelżał.

Posiadamy zdolność nie tylko przyjmowania oświaty, ale zarazem szerzenia jej i wytwarzania własnej w tej dziedzinie metody; oświata polska może nie być zależną od ogólnej europejskiej więcej, niż nałożone to jest przez powszechność historji europejskiej, w której i my się mieścimy. Można zaś stwierdzić tu to samo, co stwierdziliśmy w ustępie o darach przyrody, że nie ustępujemy żadnemu z narodów zachodnich również co do zrozumienia spraw tyczących oświaty, ani w ochocie do nich. I tu chodzi jednak o stopień wykonania. Skutkiem okoliczności okresu rozbiorowego cofaliśmy się (a raczej cofano nas) w ciągu XIX wieku tak często a dotkliwie, iż obecnie znaleźliśmy się wobec znacznych istotnie zaległości oświatowych. Trzeba doganiać...

Znaczenie Polski zawisło oczywiście niemało od stopnia oświaty, a cel jakikolwiek ogólno-narodowy osięgnąć można natenczas tylko, jeżeli solidaryzuje się z danem dążeniem i rozumie je odpowiednia ilość obywateli, do czego znów trzeba oświaty. Im większa ilość obywateli pragnie czegoś, tem większe prawdopodobieństwo osięgnięcia rzeczy — i odwrotnie. Poniżej pewnego minimum oświaty nie można mieć żadnego znaczenia i nie można wykreślać narodowi żadnego celu. Znaczenie Polski zależne od osięgalności jej celu — a zatem zależnem jest wielce od tego, czy uda się nam dogonić innych w dziedzinie oświaty, odrobić zaległości doby rozbiorowej.

Nasze tempo wykonawcze w sprawach oświaty musi tedy stać się nader szybkiem; inaczej bowiem nie zdołamy wyzyskać należycie odzyskanej niepodległości, nie zdobędziemy znaczenia, nie osięgniemy celów naszych.

Jak w sprawie użycia darów przyrody, podobnież tutaj miara kultury czynu musi być znaczną, jeżeli mamy utrzymać się jako tako na poziomie niezbędnym do zachowania polskiemu państwu stanowiska europejskiego. Oświata narodowa musi wykrzesać z naszych zasobów materjalnych potrzebną dla państwa siłę, boć tylko oświecone należycie zabiegi życia ekonomicznego zdatnemi będą do celowego działania w łączności z całością życia narodowego.

Oświata a dobrobyt — oto dwa bieguny osi tego życia! Odzwierciedla się w nich w stopniu znacznym narodowy Logos i Ethos. Jak Logos bez Ethosu chwiejnym się staje, podobnież oświata przy ubóstwie pocznie wreszcie szwankować, choćby największy towarzyszył jej zapał; stałe zubożenie musi pociągać za sobą upadek oświaty (przyczem stadjum przejściowe stanowi oświaty jałowość, nieprzydatność praktyczna). Z dobrobytu czerpie nieraz oświata nowy wątek dla siebie i wytwarza nowe dla siebie pola, a bez towarzystwa dobrobytu wątleje zawsze. Oświata winna do pewnego stopnia wyprzedzać dobrobyt, ale źle się dzieje, gdy stopień ten nazbyt znaczny; przy zbytniej różnicy stopnia oświaty a dobrobytu może się zdarzyć, że to i tamto upadnie; zbytnie bowiem takie oddalenie napięcia oświaty a dobrobytu jest czemś nienaturalnem i nie może trwać długo.

Dobrobyt, wyprzedzający oświatę, może stać się niebezpiecznym. Majątek niekierowany rozumem wychodzi nieraz na złe właścicielowi samemuż. Nie powinien nikt posiadać majątku więcej, niż oświaty, bo dobrobyt u głupca nie staje się środkiem doskonalenia. Czyż dużo korzyści dla społeczeństwa z tych ogromnych bogactw, jakie wojna przelała we wszystkich krajach europejskich na ludzi mniej kulturalnych, mniej oświeconych? Czy zbogacenie się tych głupców i nicponiów pomnaża majątek narodowy? Majątek u głupca, to jak nóż w ręku dziecka.

Nasze położenie, niestety, nie daje pola do sporów o to, co pilniejsze, czy wyższy stopień dobrobytu, czy oświaty... Brak nam i tego i owego! Z przyspieszoną chyżością musimy dorabiać luki arcydotkliwe w tem i w tamtem! Pocieszamy się tem, że rozważenie faktów z całej naszej przeszłości upoważnia nas do otuchy, że podołamy koniecznemu wysiłkowi. My mamy w sobie to, czego potrzeba nam na zewnątrz; chodzi tylko o to, by z siebie to wydobyć i móc władać tem, jako narzędziem, dowolnie na zewnątrz.

Przebiegliśmy w krótkości wszystkie sześć kategoryj kultury umysłowej nowoczesnego społeczeństwa: historyzm, ludowość, pracę umysłową około darów przyrody bezpośrednią i pośrednią, handel, przemysł, wreszcie oświatę. Niema kultury umysłowej tam, gdzie niedostawałoby choć jednej z tych kategoryj; może jednak kultura umysłowa stać wysoko, nie mając w sobie nic a nic ponad owe sześć kategoryj. Może np. społeczeństwo jakieś celować kulturą umysłową, nie posiadając zgoła naukowego własnego dorobku, nie pielęgnując całkiem nauki, ani nie uprawiając oryginalnie sztuk pięknych; bo to i tamto można mieć od obcych, nie dodając nic własnego, i przy braku zupełnym oryginalnej twórczości można obcą naukę i cudzą sztukę spopularyzować tak znacznie, iż społeczeństwo stanie się wykształconem artystycznie i naukowo; może nawet osięgnąć wyższy stopień w tem wykształceniu od niejednego społeczeństwa uczonego i artystycznego, lecz mniej popularyzującego te kategorje umysłowości wśród swego ogółu.

Sprawy kultury umysłowej nie dadzą się oczywiście oddzielić ściśle od twórczości (któremu to zagadnieniu poświęcona jest część następna książki); wszelki też podział ma znaczenie bardziej utylitarne, pomocnicze do orjentowania się w przedmiocie. Niejeden objaw praw-

dziwej twórczości wypadło omówić już w części pierwszej, i o naukach niektórych była tam mowa; ani też nie mam na myśli, jakoby twórczość do kultury umysłowej nie należała. Chodziło tylko o zaznaczenie, że może być kultura umysłowa bez twórczości — i dlatego traktuję twórczość oddzielnie.

Pewne wnioski trzeba było wysnuwać odrazu, bezpośrednio po rozpatrzeniu się w danym ułamku przedmiotu. Starałem się atoli ograniczać w tem do niezbędnego minimum. Podobnież będę postępował w następnych rozdziałach, ale z natury rzeczy w miarę przybytku przerobionego materjału będzie też przybywać wnioskowania. Ogólne jednak wnioski zachowamy sobie wraz z rekapitulacją aż na sam koniec książki.

CZĘŚĆ II.

TWÓRCZOŚĆ POLSKA.

Rozdział V.

Zdatność artystyczna.

1. Sztuka plastyczna.

Twórczość jest kategorją pozytywną i syntetyczną, a jednak geneza jej — w sceptycyzmie i krytyce, w niezadowoleniu, wiodącem do poszukiwania dróg nowych. Zakończyliśmy część pierwszą naszych roztrząsań stwierdzeniem, że można osięgnąć wysoki stopień kultury umysłowej bez zdolności twórczej, przez samo tylko przyswajanie sobie dorobków cudzych i przez naśladowanie. Droga taka jest jak najnaturalniejszą, jako droga po linji słabszego oporu, mniejszego wytężenia. Trzeba wysiłku, żeby się wyrzec drogi wygodniejszej dla jakichś dalszych widoków, dla celów wyższych, a na wysiłek taki zdobędzie się społeczeństwo natenczas tylko, gdy spostrzeże, że to, co może wygodnie czerpać od obcych, nie jest dla niego wystarczającem, lub wprost jest niestosownem do jego wymogów. Musi nastać niezadowolenie z wyników osięganych przyswajaniem sobie dorobków pracy obcej, musi nastąpić stwierdzenie w nich braków, a zatem musi się obudzić wpierw krytycyzm.

Gdyby wystarczało społeczeństwom przyswajanie sobie cudzych dorobków cywilizacyjnych, byłaby od początku świata cywilizacja tylko jedna, przenoszona z kraju do kraju; ludzkość utknęłaby tedy w jakiejś cy-

wilizacji Irokezów czy też pierwotnej turańskiej, doprowadzonej do ostatecznych konsekwencyj. Ale Irańczycy byli niezadowoleni z cywilizacji turańskiej, Hellenowie z kultury egipskiej (choć ją wyzyskali gruntownie) i t. p. Osiągnąwszy pewien stopień cywilizacyjny naśladownictwem, popada dane społeczeństwo w niezadowolenie, wytwarza krytycyzm, chce czegoś nowego i poczyna samo tworzyć, jeżeli posiada zdolność twórczą. Sceptycyzm w ocenianiu stosunku biernego do kultury obcej wiedzie do twórczości, której celem uwolnienie się od przewagi obcej, niedogodnej kultury.

Porzucenie stosunku naśladowniczego względem obcych może tedy nastąpić w pewnem społeczeństwie tylko c e ł o w o. Niema twórczości bez wytkniętego celu! Im wyżej sięgnie, im bardziej się pogłębi twórczość, tem wyraziściej uwypukla się cel pracy zbiorowej, cel całego życia zbiorowego. Nie rozbudzi się jednakże twórczość, dopóki społeczeństwo nie wytknie sobie jakiegoś, choćby nikłego celu, dopóki nie zacznie się rozważać życia zbiorowego pod kategorją celowości, gdyż póki to nie nastąpi, choćby w najmniejszym stopniu, dopóty nie może nastąpić odczucie braków przeszczepianej kultury obcej; dostrzega się bowiem braki o tyle, o ile utrudnione jest z ich przyczyny osięgnięcie jakiegoś celu. Inaczej nigdyby nie było powodu do niezadowolenia. Społeczeństwa tedy, nie zakreślające sobie celu, pozostają kulturalnie biernemi, t. j. że choć mogą stanąć wysoko samą kulturą umysłową, same niczego dla kultury nie wytworzą. Bierność cywilizacyjna łączy się nieuchronnie z brakiem celowości, a brak celowości łączy się z brakiem twórczości.

Ethos popycha do wytknięcia celu, który obmyślić musi Logos; w taki sposób twórczość powstaje ze związku Logosu z Ethosem. W każdej dziedzinie twórczości musi być przedewszystkiem odpowiedni podkład Logosu; inaczej może być wiele ruchu, działania, sporo czynów, ale czynność ta nie będzie twórczą. Ethos jest dąż-

nością twórczą, ale materjału dostarczyć może tylko Logos. Bez Ethosu niema kultury czynu, ale bez Logosu niema czynu kulturalnego.

Są trzy wielkie dziedziny twórczości: polityczna, naukowa, artystyczna. W Polsce zaczęło się od politycznej. Utworzyliśmy i obronili państwo o stanowisku mocarstwowem, nie posiadając literatury! Nadawaliśmy nowe formy stosunkom międzynarodowym, a myśl polska polityczna panowała nad najrozleglejszemi w Europie przestrzeniami, zanim zdobyliśmy się na piśmiennictwo nadobne! Jakżeż zmiennym jest charakter narodowy w ciągu wieków! Umysłowość polska, o której możnaby za naszych czasów powiedzieć z niewielką przesadą, że składa się z samej niemal literatury i lubi wszystko inne przerabiać na literaturę — bywała wcale inną. Od początków naszego życia państwowego (około r. 850) do pierwszego poety polskiego, którego utwory spisywano, błog. Władysława z Gielniowa, mija 650 lat. Starszą od literatury jest w Polsce nauka; wszak uczonością celuje Kadłubek, a Witelo należy do wybitniejszych uczonych europejskich, w XV zaś wieku istniał znaczny ruch naukowy pośród inteligencji polskiej, były już wyrobione pewne tradycje świata naukowego, podczas gdy literatura poczęła się rozwijać dopiero koło r. 1540. Jest więc artystyczna twórczość w Polsce młodszą od innych rodzajów twórczości, i to tak znacznie młodszą, jak w żadnem innem społeczeństwie cywilizacji zachodnio-europejskiej.

Sprawa dziwna zaiste, dotychczas niewyjaśniona. Opóźnia się zaś poezja artystyczna najbardziej ze wszystkich działów artyzmu, podczas gdy z reguły zwykła wybijać się naprzód wcześniej i zajmować szybko dominujące stanowisko. Od czasu epokowych odkryć Bronisława Piłsudskiego co do zawiązków poezji wiemy, że poezja jest wszędzie i zawsze, że opromienia najniższe fazy rozwoju cywilizacyjnego; ona istnieje już tam, gdzie zdaje się nie istnieć jeszcze człowieczeństwo. Jest jakby

wrodzoną człowiekowi, skoro daje się stwierdzić na najniższym szczeblu człowieka. To też niema w tem nic dziwnego, jeżeli poezja rozwinie się w spisywaną, artystyczną, przed architekturą, a tem bardziej przed nauką, cóż dopiero przed polityką — ale odwrotnie jak u nas?

Zwraca uwagę objaw drugi, a mianowicie, że o ile artyzm opóźniał się u nas, o tyle jednak krótko trwało bierne czerpanie z cudzego dorobku; twórczość występuje stosunkowo szybko — a zatem nie można opóźniania się pierwszych objawów przypisywać brakowi zdatności artystycznej.

Sztukę wprowadził do Polski Kościół, jak wogóle z Kościoła wywodzi się cała cywilizacja u nas, i nie tylko u nas. W budowie świątyń krzyżowały się prądy wschodnie a zachodnie. Po romańsko-bizantyńskich pierwocinach nastaje doba gotycka, obfitująca już w zabytki budownictwa świeckiego. Style architektoniczne przechodziły do Polski z wielkiem opóźnieniem, gotyk aż za Kazimierza W. Znać w budowlach polskich wpływy francuskie, niemieckie i trochę włoskich, znać też bizantyńskie, niekoniecznie z pierwszej ręki, boć bizantyńskie wpływy są w romańskim stylu w najdalszych zachodnich stronach Europy; mogły przeto z Zachodu przedostawać się do nas. Zachowujemy się wobec tych wpływów całkiem biernie, lecz porusza twórczość polską nagle gotyk.

„Budowniczowie krakowscy wprowadzili połączenie materjałów, gdzie indziej nieznane, a przynajmniej tak zasadniczo nieprzeprowadzone: z cegły zrąb ścian i pola wypełniające sklepienia, z ciosu wapiennego filary, służki, żebra sklepień oraz ważniejsze technicznie i ozdobniejsze inne części, jak obramienia drzwi i okien, laski okienne, zakończenia szkarp, gzymsy, kapniki. Używa się też dużych ciosów jako wiązarów w narożnikach ścian, w pewnych punktach szkarp, wymagających silniejszego zespolenia ceglanych murów. Dzięki temu po-

łączeniu materjałów, nasze kościoły ceglano-ciosowe rozwinęły się w budowle obszerne, wysokie i okazałe... Tak powstały nasze ceglane gmachy bazylikowe, t. j. wielkie trójnawowe kościoły, o nawie głównej znacznie — czasem dwa razy i więcej — wyższej od bocznych. I tu występuje odrębność odcienia gotycyzmu krakowskiego". Podczas gdy na Zachodzie radzono sobie „zawiłym systemem łuków przeskakujących", co w cegle wykonać się nie dawało, skutkiem czego w budowlach ceglanych trzymano się systemu trzech naw jednakowej wysokości, a wogóle niebardzo wysokich, lub też umożliwiano wyższe wzniesienie nawy środkowej sklepieniami udawanemi z drzewa — budowniczowie krakowscy wprowadzili szkarpy pionowe „w dolnej części do wnętrza kościoła, jako prostokątne naddatki do słupów dzielących nawy... Użycie kamienia ciosowego pozwoliło rzut poziomy samych słupów i tych naddatków sprowadzić do najmniejszych wymiarów, a nadto obciąć skośnie wszystkie narożniki. Tak powstało to, co nazywamy odcieniem, albo odłamem krakowskim gotyckich kościołów bazylikowych... Jest on poniekąd przeciwieństwem systemu bazylikowego zachodniego".

Nie tylko u nas, ale wszędzie nowości architektoniczne powstały głównie przez nowość materjału. Dążność przystosowania nowego materjału do przyjętych form i wynikające stąd następstwa, zrazu nieprzewidywane, potem ujęte w nowy styl, lub odcień stylu, dają pole twórczości. Gdzie brak twórczości, tam w razie braku zwykłego materjału nie zrobi się nic, bo się nie potrafi owego materjału zastąpić, a formy zmodyfikować odpowiednio do materjału nowego. Skorośmy potrafili rozwiązać doskonale trudności, wynikające z zastąpienia kamienia cegłą, już to stanowi dowód twórczości w architekturze. Tem wyższym stopień tej twórczości, skoro pomimo ubóstwa materjału i ornamentacji, kościoły odcienia krakowskiego mogą pod względem artystycznym „śmia-

ło stanąć obok słynnych i bogatszych katedr zagranicznych".

Twórczość, jest to pomysłowość podniesiona do systemu. Budowniczowie krakowscy robili próby, czy z cegły nie dałyby się robić „łuki odporne"; gdyby to było wykonalnem, poprzestaliby zapewne nadal na bierności artystycznej, na prostem naśladownictwie form czerpanych z zewnątrz! — ale próby, „których ślady zachowały się do dziś dnia na kościołach katedralnym i N. P. Marji w Krakowie", wypadły niefortunnie; gdyby nie posiadali zdolności twórczej, nie zrobiliby niczego wybitniejszego z cegły, ale posiadając siłę twórczą, pokonali trudność, gdy zdobyli się na pomysł owych szkarp, od których prosta konsekwencja budownicza wiodła już do odrębności stylowej.

Gdy nastał renesans — wcale już niespóźniony na polskich ziemiach — odrębność miała już swoją tradycję. Dziedziniec zamkowy na Wawelu stawiany jest w sposób taki, że „czegoś podobnego przecie nie przewidział żaden z teoretyków architektury Odrodzenia". Stosunek piątr, galerja z dachem wspartym na słupach dwukolumnowych", z których jedna stoi na drugiej, a których przedłużenie tworzy jeszcze niski balas, ustawiony na kapitelu" — to wszystko w zestawieniu z nadzwyczajną wyższością piętra drugiego nad pierwszem jest tego rodzaju, iż „zdawałoby się, że taka kombinacja wyda wynik nieszczęśliwy, może karykaturalny... Tymczasem od połowy XVI w. do dnia dzisiejszego powszechna panuje zgoda, że cortile krakowskie jest nie tylko unikatem w swoim rodzaju, lecz utworem wykwintnego, wysokiego smaku. Podziwiają je swoi, może więcej jeszcze obcy; zagraniczni profesorowie budownictwa i historji sztuki przywożą do Krakowa swoich uczniów i prowadzą ich na dziedziniec zamkowy, gdy chcą im pokazać coś wyjątkowo zajmującego i pięknego".

Potem Gabrjel Słoński, budowniczy krakowski, „wycisnął na swoich dziełach jawne piętno polskiego ich po-

chodzenia, wyrażające się w odmiennych od włoskich proporcjach portalów, w oryginalnych, aż ludową niemal naiwnością tchnących motywach zdobniczych". Coraz bardziej „renesans włoski polszczył się", bo nawet włoscy budowniczowie „pod działaniem wpływów, wymagań i potrzeb miejscowych oddalili się od pierwowzorów, a nawet tradycyj i zasad, panujących w ojczyźnie renesansu".

Obok swoistych motywów zdobnictwa architektonicznego „pojawiła się u nas i stała się dość powszechną w czasach Odrodzenia inna właściwość polska: wysokie attyki, szczególnie ratuszów, pałaców i miejskich kamienic" — tudzież inny jeszcze szczegół, a mianowicie t. zw. podcienia, które w Polsce „pojawiły się wcześniej, zanim zwyczaje budownictwa włoskiego mogły się przyjąć", i zostały. „Pierwowzorów trzeba szukać na miejscu, w starem budownictwie drewnianem, w tradycjach polskiej ciesiołki".

Nasze budownictwo drewniane posiada odrębną wartość artystyczną i „nie skostniało w zabytkach przeszłości, ale w niektórych okolicach żyje jeszcze pełnem życiem" — co świadczy o żywej ciągle sile twórczej w tej dziedzinie. Ta odrębna wartość artystyczna „uznana została przez obcych, całkiem bezstronnych, którzy od kilku lat dziesiątków coraz więcej się nią zajmują, podnoszą jej zalety, zbierają i ogłaszają jej wzory".

W baroku cudowny barok wileński nie znalazł niestety dotychczas swego naukowego interpretatora. I tu zachodzi coś wręcz przeciwnego, zdawałoby się, samej zasadzie stylu. Wszak baroku cechą pewna przysadkowatość, w porównaniu z czystem Odrodzeniem pewna ociężałość — gdy tymczasem wileński barok pod względem strzelistości nie ustępuje nieraz gotykowi.

W wieku XVIII „typ pałaców (warszawskich) co do postaci i rozkładu jest cokolwiek odmienny od pańskich siedzib innych krajów, jest polski, wywołany miejscowemi zwyczajami i potrzebami, lecz co do cech stylowych nie

różni się od współczesnych budynków Zachodu. Samodzielnością najbardziej celował Jakób Kubicki za Stanisława Augusta, twórca warszawskiego Belwederu i szeregu dworów wiejskich.

Potem nastaje zbyt długi okres bierności artystycznej w architekturze, aż do czasu Piotra Talowskiego, za naszych już dni czynnego w Krakowie i Lwowie. „Hołdował on zasadzie malowniczości w architekturze. Utwory jego wydawać się mogą dziwacznemi, są jednak pełne świeżego polotu, brzmi w nich nuta poezji, jakaś niezwykła śmiałość, do zuchwalstwa niemal posunięta. Wszystko, co wyszło z pod ręki Talowskiego, jest uderzające, inne jak rzeczy znane, sprzeczne z dotychczasowemi zapatrywaniami. Są między tem rzeczy istotnie piękne".

Tak przedstawia się rejestr polskiej o r y g i n a l n o ś c i w architekturze; gdyby chodziło o piękno i wartość architektury w Polsce, bez względu na oryginalność wobec innych narodów, nietrudno byłoby wypisać rejestr bardzo długi budowli bardzo pięknych, i powołać się na szereg imion bardzo dźwięcznych w historji tej sztuki pięknej.

W dziedzinie r z e ź b y podobne objawy: opóźnienie zrazu, obok szybkiego następnie rozkwitu oryginalności. „Nagle w drugiej połowie XV w. objawia się u nas potężny rozwój rzeźby, która jakościowo, a poniekąd i ilościowo, staje na wysokości całkiem świa..towej... rzeźba, przez którą odezwał się po raz ostatni duch gotycyzmu": Wit Stwosz, stanowiący sam dla siebie epokę.

„Wiemy na pewno, że przez długie lata mieszkał i pracował w Krakowie, że tu miał warsztat i pomocników, tu najliczniejsze i największe dzieła tak z drzewa jak z kamienia wykonane zostawił, że on i jego synowie i następcy wytworzyli szkołę, może nawet więcej środowisk, z których przez kilka dziesiątków lat rozchodziły się utwory rzeźbiarskie po Polsce, Śląsku, północnych Węgrzech. Dzieła Stwosza znajdują się też w południo-

wych Niemczech, gdzie na dwa zawody przebywał i pracował. Był to artysta z Bożej łaski, zdolność wyjątkowa i wszechstronna: razem rzeźbiarz, malarz, sztycharz, może też architekt i inżynier".

Zatrzymajmy się przy tej wszechstronności, zaiste renesansowej. Bo też Stwosz, „zamłodu wychowany w pojęciach gotycyzmu i w duchu jego tworzący, pod koniec zawodu pod wpływem sztuki renesansu zmienił kierunek artystyczny, przechylił się ku nowemu prądowi". Ale znać zawsze na jego dziełach, nawet najpóźniejszych, gotycką genezę jego sztuki; był tedy... renesansowym kontynuatorem gotycyzmu. Paradoks, gra słów? O gotyku można powiedzieć, że nie umarł śmiercią naturalną, lecz został zabity przez styl odrodzenia. Nie wydobył gotyk z siebie wszystkiego, nie wysnuł wszystkich pomysłów artystycznych, nie zanosiło się bynajmniej na wyczerpanie gotyku, gdy nagle zarzucono go. Początki renesansu nie mają żadnego związku z końcem gotyku; ani związku linij ni rozkładu płaszczyzn, ni zdobnictwa; nie wiążą się niczem a niczem z dniem wczorajszym sztuki, lecz zaczynają wszystko z innych zgoła motywów artystycznych. Zdarzają się jednak wyjątki od tej reguły, a mianowicie w Polsce — i takim właśnie wyjątkiem jest sztuka Wita Stwosza.

Jest to jeden z rzadkich, arcyrzadkich przykładów łączności końca gotyku z początkami renesansu. Stwosz kontynuuje gotyk, przybierając do niego nowe zdobycze artystyczne, wzbogacając go, rozszerzając jego motywy, a zatem rozwijając go dalej. Nie jest on epigonem sztuki przebrzmiałej, lecz twórcą nowego rozdziału sztuki. Z renesansowym rozmachem, z wielostronnością, i z nowemi pojęciami umiaru artystycznego, z nowym sądem o stosunku artysty do życia i społeczeństwa, wznosi Stwosz nowe piętro na budowie gotyku. Gdyby Stwosz nie był wyjątkiem, gdyby ogólnie tak postępowano, wyłaniałby się nowy styl na podłożu gotyku, przez rozwój stylu dawnego, który zamieniałby się w nowy skutkiem

nagromadzenia pewnej sumy nowych szczegółów, pociągających w końcu za sobą zmiany umiaru i linji. Co to byłby za styl — dziwactwem byłoby zapuszczać się w te przypuszczenia dalej; chodzi tylko o to, żeby stwierdzić, jako Stwosz jest wyjątkową postacią, gotycystą ostatnim, a jednak nie epigonem, lecz przeciwnie, twórczym talentem pierwszorzędnym, od którego zaczynałby się nowy rozdział sztuki, gdyby o tem decydował tylko talent i sama siła twórcza. Nie był epigonem, a talentem swym i kierunkiem umysłowości powołany był na pomost pomiędzy przeszłością a przyszłością; powołany był na przęsło e w o l u c j i; stanowi typ wybitnie ewolucyjny.

Dotknąłem „kwestji Stwoszowskiej" ze strony nowej, a posiadającej dla książki niniejszej znaczenie zasadnicze; pokaże się bowiem, że całkiem analogiczne objawy zachodziły w kulturze polskiej równocześnie (na przełomie XV i XVI wieku) w dziedzinie filozofji, z czego na właściwem miejscu zrobimy użytek.

W okresie renesansu „obok Włochów wykształciła się w kraju pewna liczba rzeźbiarzy Polaków" (Jan Michałowicz z Urzędowa, Gabrjel Słoński, zarazem architekt i inni), lecz stoją od Włochów niżej, zaznaczając swą polskość śmiałością jednak i siłą. Podobnież na płytach bronzowych w Polsce można „na niektórych dopatrzeć się cech temperamentu i zacięcia polskiego", ale na tem też koniec względnej tu wielce oryginalności, boć „niemal wszystkie nasze płyty bronzowe, gdziekolwiek były robione, okazują wielkie pokrewieństwo ze sztuką niemiecką". Tylko ołtarze snycerskiej roboty, pojawiające się aż do końca XVIII wieku, stalle, ławki, konfesjonały, ambony snycerskie utrzymują się na znacznej wyżynie. „Słusznie też znawcy i historycy sztuki, tak polscy jak obcy, coraz więcej im poświęcają uwagi i coraz częściej z naciskiem podnoszą ich zalety, uważając je za jedną z właściwości naszego kraju i narodu". „I trudno zaprzeczyć, że w porównaniu do tych zabytków cofnęło się potem polskie rzeźbiarstwo i snycerstwo". Za Stanisława

Augusta wprawdzie „pojawia się u nas pewna ilość talentów rzeźbiarskich rodzimych, nawet niepoślednich", lecz „wielkich dzieł po sobie nie zostawili, szkoły i wybitnego kierunku nie wytworzyli. Ale bądź co bądź z XIX w. możnaby wyliczyć cały szereg poważnych nazwisk rzeźbiarzy polskich, a kilku z nich nie tylko zajęło poczesne stanowisko w kraju, ale i z korzystnej strony dało poznać polską sztukę zagranicą". Znaczy to, że nie brak jednostek, równających się mniej więcej z Zachodem zdolnością, ale zaczynających i kończących swój zawód artystyczny na przeszczepianiu Zachodu do nas, nie pomnażając jakościowo dorobku artystycznej kultury europejskiej.

Malarstwo znane Polsce od epoki romańskiej, przeszczepiane od Zachodu i od Wschodu, posiada „piętno sztuki ogólno-europejskiej". Obrazy cechowe XV i XVI wieku posiadają względną oryginalność. Ich „ogólny charakter... jest zbliżony do niemieckiego", ale „tryptyki krakowsko-śląsko-spiskie różnią się od niemieckich większą prostotą pomysłu, rysunku i ornamentyki snycerskiej, a ich obrazy odznaczają się siłą kolorytu, może nieco jaskrawego i krzykliwego, tudzież typami i strojami, które często odtwarzają widocznie modele, brane z ludności miejscowej". Niemcy, Niderlandczycy, Włosi działają u nas aż do końca Rzpltej, obniżając jednak u nas często poziom artystyczny; „po prostu zczasem stają się rubaszni". A potem, „malarstwo nasze XVIII w., choć wykazuje pewną ilość swojskich talentów, nosi piętno kosmopolityczne".

Zwiastunem kierunku narodowego stał się „zjawiskiem dziwnem" Francuz Norblin; po nim idą Vogel, Al. Kucharski, wreszcie Al. Orłowski i „syn jego ducha" Piotr Michałowski. „Obaj oni wnoszą w malarstwo polskie nutę iście swojską, akcent dziarskości i fantazji, energji i siły, a przytem bystrą i samodzielną obserwację natury. W czasach, kiedy niepodzielnie w świecie sztuki panował naprzód klasycyzm, a potem berło próbowali mu wydrzeć epigonowie średniowiecza i renesansu włoskiego,

wystąpienie Orłowskiego i Michałowskiego było aktem niesłychanej samodzielności, niepodległości, rewolucyjnej odwagi. Wnieśli oni w sztukę prąd ożywczy, melodję nową, dotąd nieznaną. Głos ich słyszany był w całej Europie, wszakże jako rdzennie polski przedewszystkiem oddziałać musiał na sztukę w Polsce. Oddziałał jednak nie zaraz, ale dopiero po kilku dziesiątkach lat". „Pierwsza połowa XIX w. była czasem pewnego zastoju sztuki w Polsce" t. j. sztuki plastycznej, podczas gdy poezja wybija się na plan pierwszy.

Tylko Piotr Michałowski „wypełnia lukę", ten sam Michałowski, który zorganizował administrację w wolnem mieście Krakowie, zajmował się podniesieniem górnictwa, a przytem malował „sobie", prac swoich ani nigdy nie wystawiając, ani nie sprzedając (był zamożnym). Poznano się na nim po śmierci, wpływ jego był wielki, bo sam Matejko i Kossak są „jego w prostej linji następcami".

„Wśród dość jałowej dla sztuki w Polsce półwiekowej doby Orłowski i Michałowski byli zjawiskiem odosobnionem, jakby dwa po sobie następujące monologi. Nagle ta sztuka odezwała się wspaniałą symfonją. Wstęp do niej stanowił potężny chór wielkich równocześnie żyjących poetów, przy akompanjamencie tonów Chopina. Gdy ci zeszli z pola lub zamilkli, zajęła ich miejsce plejada wybitnych malarzy, na których czele idą trzej wodzowie: Grottger, Matejko, Kossak".

Rozpisywać się o tej trójcy tu nie trzeba, gdyż dzieła ich spopularyzowane są w reprodukcjach w każdym polskim domu. Wiadomo też każdemu, że należą oni do pierwszorzędnych talentów sztuki nie tylko polskiej, lecz europejskiej wogóle. Od nich zaczyna się zainteresowanie się polskiego ogółu sztuką plastyczną; nastaje okres Szkół Sztuk pięknych, Towarzystw, wystaw i t. p., i „ten stan utrzymuje się do dnia dzisiejszego", podczas gdy ilość malarzy poszła w setki.

„Wysoki kurs produkcji pendzla polskiego na artystycznej giełdzie światowej jest zupełnie zasłużony.

Wprawdzie dziś brak u nas wielkich genjuszów na miarę Grottgera lub Matejki, ale możemy pochlubić się zastępami talentów, które malarstwo polskie utrzymują na wysokim poziomie... Jest faktem nie od dziś uznanym, że wystawy polskie odróżniają się i odznaczają wśród wystaw obrazów, jakie widzieć można w Europie. A różnica nie jest na naszą niekorzyść... Malarstwo polskie, jako całość, stało się pojęciem o cechach wyraźnych, odrębnych, indywidualnych i tą swoją odrębnością zaważyło w ogólnym rozwoju malarstwa ostatniej doby, wnosząc w nie jako swój dorobek: pierwiastek uczuciowy, wysoce patrjotyczny, a obok tego zdrowy realizm, bystrą obserwację natury, żywość kolorytu, młodocianą naiwność i fantazję, męską siłę i jędrność". „Wartością i rozgłosem malarstwo nasze nie schodzi z wysokiego poziomu, jaki osiągnąć umiało".

Na zakończenie rozważań tych o malarstwie polskiem warto stwierdzić szybkość jego rozwoju od Matejki na klasycznym przykładzie: wszak żyją jeszcze tacy, którzy w „Rachunkach" Bolesławity (pseudonim J. I. Kraszewskiego) czytali, jako malarstwo nie może się w Polsce rozwinąć, nie mając do tego warunków przyrodzonych, a raczej mając je wszystkie przeciw sobie. Autor niniejszego dziełka pamięta dobrze powstawanie pierwszych większych płócien Matejki. A więc działo się to wszystko i stało w ciągu jednego niedługiego żywota ludzkiego. Za pierwszej młodości znałem i umiałem był napamięć z wszelką pewnością imiona wszystkich polskich malarzy; dziś lepsi ode mnie znawcy przedmiotu byliby w nielada kłopocie, gdyby mieli wyliczać długi, bardzo długi ich szereg. Posiadamy swój własny „świat artystyczny". Pokonaliśmy tedy przeciwność niesprzyjających warunków przyrodzonych. Rozpęd woli dokonał istnego cudu; Ethos polskie dopomogło nowym formom polskiego Logosu do niebywałego w dziejach kultury triumfu.

2. Muzyka.

Dwie sztuki nieplastyczne, muzyka i poezja, przysporzyły polskości zaszczytu jeszcze więcej od plastycznych. Od dłuższego też czasu zdołały się rozwinąć na polskich niwach. Polifoniczna sztuka wokalno-instrumentalna istnieje w Polsce od początku XV wieku; pierwszym wiadomym kompozytorem jest Mikołaj Radomczyk (1426). W sąsiednich Niemczech występują wielogłosowe kompozycje dopiero w ostatniej ćwierci XV wieku. Polska zajęła też stanowisko przodujące w muzyce w tej części Europy, a muzycy niemieccy kształcili się w Krakowie. Później zaś „pomimo stałego wzrostu rodzimej produkcji muzycznej zasilają niemieccy wydawcy zbiorowych wydawnictw kompozycyj druki swoje utworami muzyków polskich, stawiając ich tam obok najgłośniejszych mistrzów XVI wieku". Znanym był zagranicą Wacław Szamotulski (1554) i Marcin Lwowczyk; najznakomitszy lutnista polski, Jakób Polak, przylgnął jednakże do Francji i utonął w niej na zawsze.

Cykle kompozycyj kościelnych zaczynają się około r. 1570. Offertoria i Communiones Zieleńskiego (1611) są najwspanialszem dziełem muzyki polskiej przed Chopinem, a „muzykalna Europa otrzymała w nich jeden z najbardziej monumentalnych darów, jakiemi historję muzyki kościelnej wzbogacili genjusze muzyczni wszystkich czasów". Najdoskonalszym przykładem chromatycznego wyrazu w muzyce XVII w. jest kantata Pękiela (ok. 1640), której odpisy „rozsiane są po archiwach niemieckich". Weszły również do muzyki niemieckiej i utrzymały się tam długo kompozycje Marcina Mielczewskiego z połowy XVII wieku.

„W ciągu czterech stuleci aż do politycznego upadku państwa produkowano więc w Polsce muzykę, która przyczyniała się do pokrycia zapotrzebowania artystycznego na tem polu obok włoskiej, francuskiej i niemieckiej i starczyła także na eksport stale utrzymujący się".

Dla użytku samych Polaków pisane były Psalmy Gomółki (1580), dzieło niepospolite, tudzież długi szereg prac mniejszych kompozytorów XVII i XVIII wieku.

„W historji ewolucji form muzycznych nie zaznaczył się współudział Polski żadnym przyczynkiem — dopiero Chopin (1810—1849) wniósł do muzyki nowoczesnej szereg nowych form i nowych środków wyrazu muzycznego". Twórczość jego „łączy się najściślej z muzyką narodową w dwóch formach: poloneza i mazurka". Tańce polskie odgrywają poważną rolę w muzyce europejskiej już od połowy XVI stulecia, ale Chopin, jak to spostrzegł już Cyprjan Norwid, „podnosił w tym zaśpiewie (rytmu mazurkowego) na sztukę narodową ludowe natchnienia do potęgi przenikającej i ogarniającej ludzkość całą". Stał się też Chopin zaiste „muzycznem sercem całej cywilizowanej ludzkości". Nie będę się rozwodził nad nadmiarem piękna Preludjów, Nokturnów, Polonezów etc., ani nad wybitnem stanowiskiem Chopina w muzyce powszechnej, bo śmiesznem byłoby pouczać o tem kogoś, zwrócić chciałbym tylko uwagę, jak muzyka Chopinowska dowodzi, że formy polskie nie składają się z samej „egzotyczności", lecz mają też w sobie pierwiastek ogólno-europejski (przesadnie mówi się: „ogólno-ludzki"), skoro Chopin oceniany bywa jednako przez wszystkich Europejczyków; gdyby go nie rozumiano, przynajmniej do pewnego stopnia, nie umianoby go ocenić. Forma polska nie stoi przeto na zawadzie, by treść polska stała się powszechną. Wszak słusznie powiedziano, że „obok Kopernika jest Chopin najbardziej znanym na świecie Polakiem".

„Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że bez jego wieczyście pięknej muzyki, zrodzonej na duchowej glebie polskiej, muzyka ostatnich lat ośmdziesięciu nie pod jednym może względem byłaby odmienną i uboższą, niż jest". On „sankcjonowany kanon sonaty przekształcił wedle swojego uznania i potrzeby twórczej". „Wszystkie inne, przejęte formy, podniósł do nieznanego znaczenia artystycznego,

np. etudy, preludja, lub wyindywidualizował odpowiednio do indywidualności własnego genjuszu". „Własną, przez Chopina po raz pierwszy używaną formą, była ballada". „W paradoksalny sposób odniósł się do scherza, które z części sonatowego cyklu doprowadził do zupełnej samodzielności". „Nowe światy techniki fortepianowej i wyrazu muzycznego otworzyły etudy i preludja Chopina".

Co do strony harmonicznej, „pomysły akordowe, łączenie akordów, modulacje, wszystko wogóle, co należy do zjawisk harmonji muzycznej w dziełach Chopina, stanowi nową epokę na tem polu".

„Od lat kilkudziesięciu należy twórczość Chopina do żelaznego kapitału kultury muzycznej na całym świecie". „Gdyby jednego tylko Chopina wydała muzyka polska, miałaby już zapewnione miejsce poczesne w historji muzyki powszechnej".

„Współcześnie z Chopinem przenikała muzyka polska także za pośrednictwem mniejszych od niego talentów na świat szerszy. Nie możemy zapomnieć, że na całym świecie miały słuchaczy pamiętne polonezy Ogińskiego, że Elsner i Kurpiński znajdywali w Niemczech i Francji nakładców dla swoich kompozycyj, że utwory Dobrzyńskiego docierały do rąk najwybitniejszych kompozytorów niemieckich".

Stanisław Moniuszko (1820—1872) znany jest w historji muzyki tylko dla swych pieśni. Opery jego czekają dopiero na spopularyzowanie i poza Polską. Bardziej znane są zagranicy kompozycje instrumentalne Zygmunta Noskowskiego; niektóre z nich (głównie „Step") grały niechybnie wszystkie większe orkiestry symfoniczne na świecie". Noskowski bowiem „pierwszy z polskich kompozytorów orkiestrowych zdobył tę technikę instrumentacji, jaka wobec niezmiernego spotęgowania środków symfonicznych od czasów Berlioza, Liszta i Wagnera stała się koniecznym warunkiem do przemawiania ex cathedra nowoczesnej symfonji". Władysław Żeleński „wniósł na międzynarodowy rynek muzyczny ze swojej wszech-

stronnej twórczości przedewszystkiem pieśni i dzieła muzyki kameralnej". Opery jego nie zdobyły scen europejskich. Ani opera Paderewskiego, który „w licznej rzeszy znakomitych wirtuozów jest prawdziwie wielką osobistością, autorytetem, równym chyba jednemu Lisztowi". Z pośród wirtuozów-kompozytorów zasłynął szeroko Henryk Wieniawski, skrzypek (1835—1880), którego niektóre utwory „należą do najcelniejszych utworów w programach najgłośniejszych skrzypków". O wirtuozach nie komponujących lub zajmujących w kompozytorstwie podrzędniejsze stanowisko brak miejsca nie dozwala wspominać; dość powiedzieć, że wśród największej zażywających sławy wirtuozów nie brak nigdy Polaków.

Dzięki Janowi Gallowi i Stanisławowi Niewiadomskiemu „znalazła pieśń polska także doby pomoniuszkowskiej zainteresowanie dla siebie u zagranicy, osięgając tam niekiedy znaczną popularność".

„Z licznej falangi kompozytorów polskich młodszej generacji naczelne stanowisko zajęli w muzyce polskiej i najwybitniej reprezentują ją wobec zagranicy: Mieczysław Karłowicz (1876—1909), Ludomir Różycki (1883) i Karol Szymanowski (1882). „Potężna technika orkiestrowania i podniosły charakter jego muzyki wywoływały zawsze w stolicach muzycznego ruchu europejskiego poważne zdania o talencie Karłowicza". Głównym jego rodzajem poemat symfoniczny. Różycki uprawia rozmaite rodzaje, także operę. Szymanowski, to „najśmielszy i najbogatszy talent kompozytorski polski w dobie obecnej, nawiązuje licznemi dziełami i wartością ich do tradycyj Chopina. Kompozycje jego symfoniczne, fortepianowe, pieśni i utwory komnatowe kroczą w pierwszym szeregu spółczesnej muzyki europejskiej. Cechuje je królewska dostojność, najwyższa poetyczność nastrojów i nieporównane mistrzostwo techniki polifonicznej. Zawsze niezmiernie oryginalny, wyraża się Szymanowski w muzyce swojej pomimo kosmopolitycznego jej charakteru w sposób, świadczący o jego polskości, którą też wyczuwa z niej

każdy obcy słuchacz. Po kilku koncertach dzieł Szymanowskiego w Berlinie, w Wiedniu i Londynie stały się kompozycje jego własnością międzynarodową".

Zakończmy ten skrócony do przesadnego z konieczności minimum przegląd stwierdzeniem faktu, że nazwy „koncert" do utworów ściśle instrumentalnych użył pierwszy nasz Adam Jarzębski (przy swych koncertach, wydanych w liczbie 28 w roku 1627), przedtem bowiem „nazywano koncertem zespoły wokalno-instrumentalne o znamionach koncertowego współzawodniczenia. Koncerty kompozytora polskiego mają zapewnione miejsce w historji pierwszego okresu muzyki orkiestralnej".

Nie możemy się równać z Włochami ani Francuzami w zakresie muzyki, ale wydaliśmy genjusza Chopina, a „pracą, ciągnącą się od kilku stuleci, zdobyła sobie muzyka polska prawo obywatelstwa w muzyce ogólnej i wnosi do niej z pokolenia w pokolenie własne wartości". Oceniając stosunek naszej muzyki do europejskiej, zważyć należy, żeć muzyka, to sztuka par excellence mieszczańska, a Polska nie była i nie jest krajem miast... Co uwzględniwszy, wypadnie przyznać Polakom zdatność w tym kierunku wielką, skoro wbrew swej sielskości zajmują poczesne miejsce w muzyce. Zdatność ta nie może być należycie wyzyskaną, jak tyle innych — o czem później.

3. Poezja — i uwagi ogólne.

Książka niniejsza urość musiałaby na gruby foljant, gdyby chcieć choć najbardziej sumarycznie podawać jakiś skrót dziejów polskiej poezji, a tem bardziej całej literatury nadobnej. Uwalnia mię od tego fakt, że czytelnicy moi posiadają właśnie literackiego wykształcenia najwięcej, co stanowi nawet cechę znamienną społeczeństwa polskiego; przez „wykształcenie ogólne" rozumie się w Polsce nie co innego, jak wykształcenie literackie; a kto tego nie posiada, uchodzi w Polsce za człowieka niewykształconego. Miałoby to w sobie dużo stron

dobrych, gdyby nie fatalna pomyłka, jakoby od człowieka posiadającego ten rodzaj wykształcenia można było nie wymagać już niczego więcej. Płynie z tej myłki dużo, niezmiernie dużo złego na nasze życie zbiorowe.

Poezja uchodzi za najwyższą sztukę, jako niezależna od materjału zmysłowego. Muzyka operuje materjałem tylko niewymiarowym; czyż dlatego ma być wyższą od sztuk plastycznych, jako operujących materjałem uchwytnym, wymiarowym? Poezja działa także przez zmysły na umysł, jakkolwiek w sposób zasadniczo różny, bo nie przez fakty zmysłowe, lecz tylko przez zmysłowe wyobrażenia. Np. dźwięk muzyczny jest czemś konkretnem, jest faktem (i pauza muzyczna jest również faktem) i to faktem zmysłowym; podobnież barwa, kształt w sztukach plastycznych stanowią fakty zmysłowe, dostrzeganiu zmysłowemu podlegające bezpośrednio. W poezji niema żadnego materjału zmysłowego, niczego nie dostrzegamy istotnie ni wzrokiem, ni słuchem, tylko wyobrażamy sobie, jakobyśmy widzieli i słyszeli. Np. odnosimy potężne wrażenie słuchowe przy opisie burzy w Panu Tadeuszu, a wzrokowe również; słuchowe samo przy muzyce Jankiela, wzrokowe przy opisie zachodu słońca. Słyszymy i widzimy z całą dokładnością, lecz łudząc się, jakobyśmy widzieli i słyszeli; do tego stopnia prawdziwy poeta umie zapomocą wyobrażeń zmysłowych wywołać efekty zmysłowe — i to stanowi jego kryterjum artystyczne.

Co jest wyższym objawem rozwoju umysłowości i wyższym stopniem zdatności artystycznej: czy operowanie faktami zmysłowemi, czy tylko wyobrażeniami? Dochodzenie tego byłoby jałową dialektyką, bo na jakiemż oprzeć się kryterjum? Gdybyśmy zaczerpnęli skali do oceny ze świata pojęć i wyobrażeń umysłowych, nie doszlibyśmy także do żadnego wyniku, boć uczucie jakieś lub myśl pewną jednako dobrze i równo artystycznie wyrazić można w budowli jak w rzeźbie, obrazie, symfonji czy poemacie.

Gdyby ktoś chciał wykazać niższość poezji, mógłby powołać się na to, że ona istnieje na najprymitywniejszych szczeblach kultury, gdy tymczasem plastyka udaje się tylko na wyższych; środek trzyma muzyka, z plastyki zaś pojawia się najwcześniej budownictwo i zdobnictwo. Fakty te stwierdzić może każdy historyk. Ale nie trzeba brać tej rzeczy jednostronnie! Prawda, że muzyka i poezja są sztukami najstarszej daty, ale wielka zachodzi w prymitywnym ich stanie odrazu różnica pomiędzy niemi, a mianowicie w wykonaniu. Muzyka plemion prymitywnych jest obrzydliwością dźwiękową, gdy tymczasem poezja nawet Ainosów jest poezją naprawdę! Wynikałoby z tego, że tem łatwiej o zdatność do sztuki, im mniej ona zależna jest od użycia faktów zmysłowych do swych celów, im bardziej ma uproszczone środki techniczne.

Ale i to jest jednostronne, i okazuje się mylnem przy wielostronniejszem ujęciu przedmiotu. Obserwując stany cywilizacyjne wyższe, t. j. bardziej skomplikowane, widzimy, że stosunek ten odwraca się na wręcz przeciwny. Ainosom łatwiej o poezję niż o muzykę, budownictwo zaś nie istnieje u nich. Pośród ludów jednakże cywilizowanych, lecz w zaraniu rozwoju cywilizacyjnego jeszcze pozostających, wybija się budownictwo na plan pierwszy. Tak było u prahellenów, tak u najstarszych Egipcjan. Rzeźba stała wysoko u starożytnych, malarstwo niżej. Możnaby przytoczyć niemało argumentów na stwierdzenie, że w miarę postępu cywilizacji rozwijają się kolejno sztuki piękne od najbardziej wymiarowych, trzech-wymiarowych, poprzez podające wyobrażenie bryłowatości na złudzeniach płaszczyznowych malarstwo — do sztuk bezwymiarowych, i tu znów od muzyki do działającej samemi tylko wyobrażeniami poezji.

Poezja jest tedy prasztuką, sztuk macierzą, lecz sama, bez towarzystwa sztuk innych, zdolna jest tylko do ograniczonego rozwoju. Rozwój artystyczny odbywa się od udawania faktów zmysłowych, od p o p r z e s t a w a n i a

na wyobrażeniach zmysłowych, do operowania zmysłowemi faktami, a więc do wytwarzania innych sztuk pięknych, aż gdy one osięgną pewien stopień rozwoju, dokonywa się dalszy rozwój poezji, na ich tle, z ich pomocą, i w tem stadjum kulturalnem staje się poezja koroną sztuk pięknych.

W bezzmysłowości swego materjału (chociaż oddziaływa na zmysły silnie) podobną jest poezja do matematyki, operującej również tylko wyobrażeniami, a nawet w wielu działach tylko pojęciami. Nie ulega również wątpliwości, że z pojęć abstrakcyjnych dostępne są najniższym szczeblom kultury pojęcia matematyczne, lecz w jak minimalnej ilości (pojęcia liczbowe niewszędzie do 20); matematyka, jako umiejętność, wymaga wysokiego stopnia kultury.

Była już mowa o tem, jak poezja polska artystyczna powstała późno, kiedy inne działy rozwoju umysłowego stanęły już wysoko, mianowicie nauka i polityka. Oczywiście posiadaliśmy poezję, skoro ona jest zawsze i wszędzie, ale była to tylko owa prasztuka prymitywna. Nie sądźmy, jakoby to była „poezja ludowa"; nie ma owa prapoezja najmniejszego związku ze sprawą t. zw. poezji ludowej, która stanowi przeżytkowy odblask przebytych okresów poezji artystycznej, i powstaje przez naśladowanie form artystycznych, schodzących kolejno „pomiędzy strzechy".

Poezja nasza artystyczna powstała na przełomie XV i XVI wieku, mając za sobą wysoki stan architektury w Polsce, sztukę Wita Stwosza i początki muzyki polskiej. Wielka poezja polska XIX wieku wyrobiła się w okresie stagnacji plastyki polskiej, a więc opierając się na sztukach pięknych z kultur obcych. Dopiero po Chopinie, po Grottgerze i Matejce całe podłoże artystyczne poezji polskiej może być narodowem, swojskiem. Nie było zaś w całej historji powszechnej przykładu poezji bardziej narodowej, niż polska pierwszej połowy XIX w., chociaż nie mogły jej towarzyszyć równorzędnie inne

sztuki piękne. Można tedy wznieść się do najwyższego stopnia w kierunku swojskim w jednej dziedzinie, czerpiąc siły z innych dziedzin poza rodzimym horyzontem. Nasi wielcy poeci, najbardziej narodowi ze wszystkich poetów świata całego, czerpali z dorobku artystycznego ogólno-europejskiego i stawali się narodowymi przez oparcie się o europejskość. Wiadomo zresztą z historji literatury, jak opierali się o wielkich poetów innych narodów. Nie wykrywamy przeto żadnego nowego faktu, tylko fakt skądinąd znany przedstawiamy we wszechstronniejszem oświetleniu: z dziejów naszej wielkiej poezji snując wniosek, a raczej stwierdzając fakt, że Polak tem głębiej jest polskim, im bardziej europejskim; polska swojskość nie polega zgoła na zaściankowatości.

Ponieważ sztuka operuje cechami znamiennemi przedmiotów, łatwiej chwyta ich podobieństwo i zarys, niż nauka, trzymająca się cech istotnych, dla zmysłów częstokroć ukrytych. Opis artystyczny jest przystępniejszy, niż naukowy; widok fasady przemawia do każdego, rzut poziomy tylko do technika. Z tej samej przyczyny prawdziwy poeta lepiej umie wyrazić myśl, niż uczony. Poecie to łatwiej, i im większy poeta, tem mu łatwiej; wielka zaś poezja ma przywilej popularyzowania myśli, którychby naukowe wywody nigdy nie zdołały uprzystępnić równie szerokim masom. Co więcej, poezja wielka działa silniej i głębiej, niż wywody etyczne, choćby najwyraziściej wyłuszczane. Myśl, wyrażona dobrze, poetycznie, i wogóle artystycznie, staje się wlot własnością ogółu i ma zapewnione panowanie nad umysłami. Chwila bowiem wystarczy, by przejąć czytelnika nawskróś daną myślą i przekonać go najzupełniej. Niema propagandy skuteczniejszej skutkiem tego nad propagandę uprawianą przez dobrych poetów; wielcy zaś poeci są wprost niezwalczonymi propagatorami myśli, jakie przyjęli za swoje.

Tem się tłumaczy, że wielka poezja, a zwłaszcza Mickiewicz, przeprowadził nas skutecznie przez pustynię

okresu porozbiorowego. Mickiewicz uczył nas patrjotyzmu i nauczył skutecznie; obok niego inni wielcy poeci, a każdy polski poeta dopomagał do utwierdzenia tej nauki. W Polsce jest wiele patrjotyzmu, bo sztuka nasza propagowała myśli patrjotyczne. Nie tylko wychowywaliśmy się na Dziadach, Przedświcie, Królu Duchu, lecz niemniej na obrazach Grottgera, Matejki i innych.

Poezja polska zajmowała się zawsze ogromnie sprawami publicznemi. Z cytat poetów możnaby ułożyć wcale szczegółową historję polską. Gdyby nazwać Kochanowskiego tubą literacką króla Stefana, nie popełniłoby się żadnej przesady (trzeba tylko dodać zaraz, że poeta był tem z własnej ochoty, z przekonania). Nie tylko Satyr i Proporzec, ależ sama nawet „Odprawa posłów greckich" służyły sprawom politycznym. U Szarzyńskiego czytamy „Pieśń o Fridruszu" (o Fryderyku Herburcie pod Obertynem). U Grochowskiego znajdujemy Łzy smutne po zejściu kanclerza i hetmana Zamoyskiego, wiersz gratulacyjny Marynie na ślub ze Samozwańcem; tudzież sporo wierszy osnutych około osoby Zygmunta III i jego rodziny. Kasper Miaskowski pisze sporo na ważne wydarzenia historyczne; między innemi Dialog o zjeździe Jędrzejowskim; staje po stronie królewskiej i układa Apologję na paszkwil przeciw Jego Królewskiej Mości. Andrzej Zbylitowski zostawia po sobie ciekawą historycznie „Drogę do Szwecji". Piotr Zbylitowski, brat tamtego, broni instytucyj prawa polskiego w swej „Rozmowie szlachcica z cudzoziemcem". Szymon Szymonowicz poświęca sprawie Zebrzydowskiego swą „Lutnię Rokoszańską". Muza Samuela Twardowskiego jest jakby rymowaną kroniką o czasach Władysława IV. Andrzej Morstin był głową stronnictwa francuskiego w Polsce, wychwalał Marję Ludwikę. Wespazjan Kochowski zamieścił pełno politycznych wierszy w swem „Niepróżnującem próżnowaniu", a potem był bardem Jana III. Jak Kochowski opiewa „Wiedeń wybawiony", podobnież Wacław Potocki Wojnę Chocimską. Józef Bartłomiej Zimorowicz za-

mieszcza w „Sielankach" wcale niesielankowe szczegóły z wojen kozackich.

Potem pauza; aż do Krasickiego poezja polska nie snuje kanwy pod swe natchnienie z życia publicznego, ale też pogrążona jest w upadku. U Krasickiego i w wierszach Naruszewicza, także u Trembeckiego dużo rymowanej polityki. Jest ta struna u Dionizego Kniaźnina, u Karpińskiego, przeważa u Niemcewicza, u Woronicza staje się niemal wyłącznem źródłem natchnienia; u Wężyka przyciszona odzywa się dyskretnie (ale jak mocno osadzona w jego lutni, znać choćby ze wspaniałego wiersza „Smutno mi, Panie"), podobnież u Kajetana Koźmiana; u Brodzińskiego wreszcie mniej już polityki, ale zdarza się.

Wymieniałem takich tylko, którzy „politykowali" wierszem, a iluż opuściłem; są zaś nadto tacy poeci, którzy nie pisali wprawdzie utworów poetycznych na tematy polityczne, ale zato politykowali tem bardziej prozą; takich zebrałoby się sporo. Naogół poezja polska (z wyjątkiem okresu najgorszego upadku) bratała się wielce z polityką. O romantycznym okresie nie mówię; wszyscy znają jego poezję napamięć i każdy z czytelników sam przypomni sobie z własnej pamięci, jak wielka nasza poezja osnuta jest w olbrzymiej części na tematach ze spraw publicznych.

Trudno nie przyznać słuszności Goethemu, gdy mówi: „politisch Lied, ein garstig Lied"; taką jest niezawodnie reguła, ale poezja polska stanowi widoczny wyjątek! Nigdy „politykowanie" nie obniżało stopnia artystycznego naszej poezji! Dziwny to fakt, a niezmiernie charakterystyczny dla polskiego Logosu, za którym podążało w tej kategorji umysłowości Ethos, pnąc się na wyżyny Parnasu, z reguły dla siebie niedostępne, i działając tam. Jest to objaw oryginalny; historycy literatury powszechnej ignorują go, a szkoda, bo bliższe zajęcie się tą sprawą wyjaśniłoby niejedną zagadkę z psychologji ludów.

Po Polsce spotyka się ten objaw jeszcze u Włochów, jakkolwiek w stopniu znacznie niższym. Aleć bądź co

bądź można Boską Komedję nazwać poematem politycznym; są nuty polityczne u Filicaji (choćby cudny sonet: Italia, tu cui fece la sorte), i snuje się ta nić politycznych refleksyj aż do Carducciego; w każdym okresie poezji włoskiej coś, najwięcej z łatwo zrozumiałych powodów w czasach Manzoniego. Zachodzi też pewien związek między podobieństwem tego objawu, a faktem, że Polska czerpała kulturę obficie z Włoch.

Poezja włoska lubi również filozofować; granicznikami tego prądu tak samo Dante i Carducci. I w polskiej napotykamy tę samą cechę. Czyż nie filozofuje sobie stary Rej, z którego dzieł możnaby ułożyć szlachecką filozofję życia (t. zw. etykę praktyczną) czasów Odrodzenia? Tego tonu sporo u następnych poetów, nieraz w wytwornej szacie poetyckiej. Jest to skłonność dydaktyczna, od której daleko jeszcze do filozofji. Poezja nasza rozwinęła się w sam raz w okresie upadku filozofji, po scholastyce podczas humanizmu, kiedy ani we włoskiej reminiscencyj filozoficznych niema! Ale niezależnie zupełnie od wpływów obcych wyczytujemy u Kochowskiego zdania, które możnaby uważać za jakieś zadatki polskiej myśli filozoficznej, jakkolwiek dalekiej jeszcze od wszelkiego systemu. Filozofują potem dorywczo Krasicki, Trembecki i inni; systemizuje swe pojęcia filozoficzne i przedstawia je wierszem w całokształcie Staszic (Ród Ludzki). Miejmy na uwadze, że to są już czasy Śniadeckich, kiedy filozofja zakwitnęła także w sposób właściwy, t. j. naukowo, w dziełach ściśle filozoficznych.

Następują czasy „mesjanizmu". Nazwą tą posługiwał się pierwszy Hoene-Wroński, przypisujący zadanie mesjańskie swej „filozofji absolutnej", w tem rozumieniu, że odkrycie prawdy bezwzględnej i zapanowanie jej nad ludzkością doprowadzi do panowania dobra bezwzględnego. „Jest więc mesjanizm Wrońskiego doktryną filozoficzną ściśle rozumową i nie ma z mistycyzmem nic wspólnego", a z Polską związek zaledwie pośredni, o tyle, że sprawa polska miałaby być sprawiedliwie załatwioną,

gdy nastanie ów triumf Prawdy. Mesjanizm Wrońskiego jest ogólnym, a nie specyficznie polskim; jest natomiast specyficznym w tem, że odnosi się tylko do samej doktryny Wrońskiego czyli poprostu, że sam Wroński ma być filozoficznym mesjaszem świata, boć taka musi być jego poglądów konsekwencja. Mickiewicz nie dbał o to, nie liczył się całkiem z tem; można nawet wątpić, czy zdawał sobie sprawę z tego, że zaczerpnął wyrazu przez Wrońskiego już użytego; zaczerpnął go na pewno nie od Wrońskiego. Kiedy Wroński wyrzucał Mickiewiczowi, że wziął od niego nazwę, używając jej na oznaczenie czegoś całkiem innego, przeinaczywszy jego myśl, odparł Adam, że mesjanizm Wrońskiego jest fałszywy. Bo też Mickiewiczowski mesjanizm polega na uważaniu Polski za mesjaniczną przodownicę świata, mającą spełnić wobec świata posłannictwo wyzwalające; jest też ten polski mesjanizm związany z pierwiastkami mistycznemi, jako Polska ponosi ofiarę wyzwalającą za wszystkie narody.

„Preludja do takiego poglądu na rolę Polski spotyka się już u Czartoryskiego, u X. Morelowskiego, u Woronicza, u Bychowca, tłumacza historjozoficznych rozpraw Kanta, wreszcie także u Gołuchowskiego, który tragiczności losów i cierpieniom przypisuje tak doniosłe, wyzwalające znaczenie". Najwybitniejszym atoli przedstawicielem mesjanizmu w filozofji polskiej był August Cieszkowski, który nie tylko określił go najściślej, ale też wsunął w ramy rozwojowe historjozofji. Ale czyż mesjanizm byłby się tak przyjął, gdyby go reprezentowali tylko Gołuchowski i Cieszkowski? Mickiewicz wyraził go poetycznie, i zrozumiał go wlot cały naród! Mesjanizm stał się konfesją filozoficzno-patrjotyczną wielkiej poezji, i dzięki temu wszedł do kultury narodowej, jako zasadnicza jej cecha przez czas dłuższy.

Myśl filozoficzną czerpało społeczeństwo polskie nie od filozofów, lecz od poetów, od największych, którym przyznano stanowisko wieszczów. Żaden a żaden naród nie zna takiego powołania, takiego rodzaju talentu arty-

stycznego, związanego z pewnym rodzajem kapłaństwa; cudzoziemcowi niełatwo nawet wytłumaczyć, co znaczy wyraz „wieszcz". To stanowi niezmierną oryginalność polską. Poezja polska ma obowiązki obywatelskie, na które patrzy sub specie aeternitatis, podnosząc przez to wysoko etykę życia publicznego. Tego kapłaństwa narodowego było niemało także w malarstwie polskiem. Matejko był niem przejęty, Malczewski mówił o niem publicznie jeszcze niedawno, zagajając rok szkolny za swego rektoratu w krakowskiej Akademji; można również wykazać pewne ślady pojęć mesjanicznych w historji muzyki polskiej.

Artyzm polski nie ogranicza się do samego kultu Piękna, lecz łączy go z kultem Prawdy i Dobra. I nie jest to bynajmniej nowością z okresu romantyzmu. Oto, co powiada Łukasz Górnicki, bibljotekarz Zygmunta Augusta, książę polskiej prozy czasów zygmuntowskich:

„Z Boga piękność się rodzi, a jest nieoddzielona od dobroci, jako gorącość od ognia".

Tak samo sądził o tem Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, tak samo myśli dotychczas każdy Polak, bo to należy do fundamentów polskiej kultury. Do jakiego zaś stopnia wielki artyzm potrafi wykrzesać poezję z tematu najbardziej „aktualnego", dowodem Niedokończony Poemat i Nieboska Krasińskiego. Temat polityczny opracowany sub specie aeternitatis, ujęty filozoficznie, wprost metafizycznie, nie w imię Piękna, lecz w imię Prawdy i Dobra odziany w Piękno. Polskie Piękno jest służką Prawdy i Dobra, jest środkiem do celu.

Możnaby zarzucić polskiemu Pięknu brak samodzielności wobec takich związków, takiej tendencyjności z poza artyzmu. Stary spór o dydaktyczny pierwiastek w szutce a „sztukę dla sztuki", nigdzie nie jest tak wielce na swojem miejscu, klasycznem doprawdy miejscu, jak w Polsce. Nigdzie niema tak mało owej „czystej" sztuki — a jednak... sztuka nasza nie powstydzi się przy żadnej innej, a poezja bodaj czy nie jest pierwszą i najwyższą całego świata!

Znów zagadka! Patrząc na rzecz jednostronnie, tylko z punktu wyłącznie artystycznego, możnaby zarzucić społeczeństwu polskiemu wobec przewagi tendencji w sztuce, brak zrozumienia dla sztuki, a wysoki jej poziom wyjaśniać szczęśliwym trafem, że jednak miało się Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Chopina, Grottgera, Matejkę i t. d. Możnaby dojść do wniosku o społeczeństwie „niezasłużonem, ale szczęśliwem". I nie brakło pośród samychże artystów polskich takich, którzy rozumując w powyższy sposób, jęli się uczyć rodaków, co to jest sztuka i jak ją uprawiać należy w „czystości", bez względu na „cokolwiek". Wywody ich były zupełnie logiczne, ale... niepotrzebne, gdyż cała walka „tendencji" z „czystością" polegała na nieporozumieniu, wynikłem stąd, iż poprzestano na zbyt szczupłym obszarze wnioskowania.

Sztuka należy do życia jeszcze bardziej od nauki, boć tylko z życia się rodzi. Sztuka abstrakcyjna — skazaną jest zgóry na bezpłodność, bo sztuka potrzebuje podniet uchwytnych, podlegających zmysłom; metodą jej bowiem przemawianie do umysłu przez pośrednictwo zmysłów. Wszelkie rozumowanie o jednym z objawów życia w oderwaniu od wszelkich innych stron życia ma wartość tylko o tyle, o ile chodzi o jakiś szczegół, o to, co w nauce zowie się „przyczynkiem"; w tego rodzaju dociekaniach ucieka się każda nauka często do metody odrywania się umyślnego od całości, ale też rezultat takiego postępowania podlega rewizji przez uwzględnienie następnie całości, a gdy tej próby nie wytrzyma, zostaje odrzucony.

Opracowywanie szczegółu w bezwzględnem oderwaniu od całości stanowi bowiem tylko pewien środek pomocniczy, jako ułatwienie dla pracy umysłowej, uproszczenie pracy na pewien czas, do pewnego ściśle określonego celu, lecz nie stanowi zasady w metodzie. Uczony, któryby trzymał się zawsze tego środka pomocniczego, może zajmować pomocnicze w nauce stanowisko, ale musi się trzymać zdaleka od zagadnień zasadniczych, a na-

wet od wszelkich rozleglejszych problemów. Niestety, metoda niemiecka, apoteozując uczone zasklepienie się, doszła do tego, iż nie uznaje się za naukę tego, czego się nie ogarnia i nie rozumie. Z każdego kawałeczka nauki oddzielne generalizowanie, — a gdy to prowadzi do absurdu, więc... zarzucić generalizowanie wogóle. (Nie brak i takich uczonych). Brak talentu ratuje się wołaniem, że nie wolno robić tego, do czego potrzebny talent. Na takie kurczenie metody naukowej nie można przystać.

Sztuka ma swoje metody odrębne, boć samo myślenie artystyczne innem jest od naukowego; to polega na logice, na dedukcji lub indukcji, tamto na asocjacji. Ale badanie sztuki nie jest sztuką, lecz nauką; artyści deliberujący o sztuce muszą się poddać naukowej metodzie. Nie mają tedy słuszności, abstrahując przy roztrząsaniach zagadnień artystycznych od wszelkich innych stron życia; przeciwnie, czynią źle, wyświadczają społeczeństwu przysługę jak najgorszą, prowadzą myśl społeczną na manowce. Jeżeli chcą rozprawiać o stosunku sztuki do społeczeństwa, muszą mieć na uwadze całokształt życia.

Mogłaby nauka żyć sama sobie, lecz sztuka żadną miarą, bo zginęłaby na posuchę tematu; obmalowywanie zaś formuł matematycznych nie wyda Rafaela ni Matejki. Słusznem jest tylko to, że technika artystyczna nie liczy się z niczem innem, jak z mniejszą lub większą skutecznością wywołania wrażenia artystycznego, a kto nie opanuje techniki, może być tylko... kandydatem na artystę. A zatem dzieło sztuki tendencyjne, choćby o tendencji najgórniejszej, pozbawionem jest wszelkiej wartości, jeżeli jest źle wykonane. Sławna z czasów młodszych Witkiewicza „Kaśka, skrobiąca rzepę", wykonana dobrze, więcej warta w sztuce od źle wykonanego „Grunwałdu", ale nie od „Grunwałdu" wogóle. Sam Witkiewicz uznał to zresztą potem najzupełniej. Walka cała była niepotrzebną, bo czyż kto twierdził kiedykolwiek, że wszelki obraz, przedstawiający Trójcę Przenajświętszą, jest przez to samo szczytem malarstwa?

Walka przeszła następnie w dziedzinę poezji, a chorążował jej Przybyszewski. Tu znów nieporozumienie. „Naga dusza“ okazała się sama nawskróś tendencyjną, a do tego nietolerancyjną sekciarką, zawziętą na wszystko, co w „kostjumie“. Koniec końców okazało się, że „nadzy“ (czy „młodzi“) niosą nowe środki techniczne poezji, ale też nic więcej. Te nowe środki przyjęło się do wiadomości, a dobroć ich lub niedobroć zależną będzie po wszystkie czasy niewolniczo od dwóch rzeczy: od tematu i od talentu. I tak było zawsze i będzie zawsze! Ponieważ w miarę dalszego różniczkowania się życia nowoczesnego i formalnego upraszczania go (czyli uduchowiania) przybywa tematów, musi tedy przybywać i form artystycznych. W tem sekret całego perjodycznego zawichrzania świata walkami rzekomo o pojmowanie sztuki, w istocie rzeczy zaś o przyznanie prawa obywatelstwa jakiej nowej formie. Ciekawe nieporozumienie tkwi w tem, że wojownicy nowej formy, której genezą dojrzewanie nowych tematów, sami nie zwykli sobie zdawać sprawy z tego, i lubią występować przeciwko... tematom, jako takim, zarzekając się kultu tematów. Mimowolna, z nieświadomości wynikająca niekonsekwencja przejawia się w tem, że oni właśnie zwykli pielęgnować pewne tylko tematy, i są właśnie przedstawicielami przesadnego jednostronnego kultu tematów. Walczy się o co innego, a wywalcza się co innego.

Nie można też wyjaśniać obecności w polskiem społeczeństwie genjalnych artystów jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności, skoro każdy z nich ma w Polsce swych „poprzedników“, a dzieło każdego z wieszczów, dzieło Chopina również lub Matejki wsiąknęło literalnie w ducha narodu; widocznie jest z narodem jednogatunkowe. Nie stoją oni wyodrębnieni, lecz stanowią kwiat polskiego drzewa życia. A że polski pogląd na życie łączy prywatne ściśle z publicznem, cóż dziwnego, że znalazło to wyraz w sztuce i stąd jej „tendencyjność“ rzekoma; a właściwie jej obywatelskość.

Istnienie w sztuce tej strony obywatelskiej nie ma nic do stopnia artyzmu; sztuka taka może być również dobrą lub lichą jak każda inna. Ale stanowczo polega to na grubem nieporozumieniu, żeby mniemać, że stopień artyzmu może być zawisłym od rodzaju artyzmu, i żeby przeto w imię wyższego poziomu sztuki prowadzić wojnę o hegemonję pewnego wycinka danej sztuki.

Zrozumienie Piękna przejawia się w zrozumieniu jego form, t. j. we wrażliwości na nie, bez względu na „tendencję“ czy „fabułę“; estetyczne wykształcenie należy przeto do wykształcenia formalnego, t. j. do ogólnego podłoża intelektu. Wobec tego kryterjum rozumienie sztuki w pewnem społeczeństwie zależy wyłącznie od poglądów na jej stronę formalną. Z obywatelskości w sztuce nie można snuć wniosków żadnych, dodatnich ni ujemnych, ani o rozumieniu jej, ani też o jej zawisłości czy niezawisłości.

Natomiast zachodzi tu coś innego. Jeżeli gdzieś sztuka zamyka się wyłącznie w życiu prywatnem, t. j. jeżeli czerpie natchnienie tylko ze źródła spraw i stosunków nieobywatelskich, może być zbiorem arcydzieł niedoścignionym, może się wspiąć na najwyższe szczeble artyzmu, — ale czy sztuka taka właśnie nie dowodzi samem unikaniem tematów z życia publicznego, że stoi poza społeczeństwem? — albo też społeczeństwu temu brak obywatelskości w stopniu dostatecznym, żeby przeniknęła do sztuki. Jedno z dwojga zachodzi na pewno. Społeczeństwo, posiadające taką sztukę, cierpi albo na brak wykształcenia obywatelskiego, albo też związek jego ze sztuką jest nader luźny.

Zamykając koło tych wywodów, widzimy, co za nieporozumienie powodowało tymi, którzy rozpaczali nad brakiem zrozumienia dla sztuki w naszem społeczeństwie. Jeżeli niema na to innych wskazówek, sprawa upada.

Nie brak natomiast wskazówek o wielce rozwiniętem rozumieniu sztuki, o dziwnie wielkiej czułości na

wrażenia artystyczne. Przypomnijmy choćby tylko stwierdzoną powyżej hipertrofję wykształcenia literackiego.

Łączy się tedy w Polsce zdatność artystyczna z całokształtem życia publicznego (z prywatnem musi się łączyć wszędzie a wszędzie), a zwłaszcza łączy się z objawami z zakresu nauki i polityki, jak to wykazuje spowicie myśli filozoficznej polskiej w szaty artystyczne, tudzież pielęgnowanie „sprawy polskiej" w dziedzinie sztuki. Związek ten dowodem, że twórczość polska posiada r ó w n o c z e s n o ś ć w i e l o s t r o n n o ś c i, której pierwsze ślady tu napotykamy.

Nie tykając bliżej tego problemu (który nie jest oczywiście specyficznością polską, a tylko mieści w sobie pewne, specjalnie polskie objawy), zwróćmy uwagę na inne źródło obywatelskości zadomowionej w sztuce polskiej bardziej, niż w jakiejkolwiek innej. Wykładnikiem tego objawu patrjotyzm, ten zaś stanowi kryterjum poczucia narodowego. Otóż pozostaje sprawa ta w związku z faktem historycznym, że poczucie narodowe objawiło się w Polsce nadzwyczaj wcześnie, bo już za Władysława Niezłomnego (Łokietka) było silnem i rozwiniętem na tyle, ażeby zwyciężyć i wytworzyć w Europie nowość: państwo narodowe w p r z e c i w i e ń s t w i e do dynastycznego.

Odkładając bliższe rozpatrzenie tych stron przedmiotu do dalszych rozdziałów, zakończmy niniejszy rejestrem tych faktów z dziejów polskiego piśmiennictwa nadobnego, które posiadają znaczenie ogólniejsze w kwestji twórczości polskiej, przekraczając znacznie miarę wyższego stopnia kultury artystycznej, jako takiej, biernej, a stanowiąc dowody samodzielnej twórczości, niezależnej od wpływów zewnętrznych. Poprzestaniemy na suchym rejestrze polskiej oryginalności poetyckiej.

Zaczyna się ten rejestr od „Psałterza Dawidowego" Jana Kochanowskiego, do którego nie było z czego czerpać pomocniczych wzorów, a który stoi do dnia dzi-

siejszego najwyżej ze wszystkich europejskich przekładów i parafraz psalmów. Wespazjan Kochowski wprowadza do poezji polskiej bezpośrednio formy biblijne. W XVII wieku od Władysława IV poczynając, wytwarza się zwolna polski teatr w komedji rybałtowskiej; niestety, nie zdołał się rozwinąć z powodu upadku miast. Rodzima również literatura „sowizralska“ nie wydała następstw, ale obydwa te przejawy świadczą o zdolnościach oryginalnych, twórczych; o tem, że piśmiennictwo byłoby wydało całe działy (teatr i powieść) bez uciekania się do naśladownictw piśmiennictw obcych. Z ogólnym upadkiem upadły jednak i te zawiązki. Potem Bogusławski i Kniaźnin wprowadzali pierwiastki ludowe do polskiego dramatu muzycznego. Trembecki należał do najdoskonalszych w całej Europie wirtuozów formy, której wirtuozostwo zaczyna się od Morstinów.

W r. 1822 wydarzenie epokowe: wychodzą w Wilnie dwa tomiki poezyj Adama Mickiewicza. Niebawem powstaną Sonety krymskie, pierwsze sonety o treści opisowej i pierwszy poemat nakształt arabskich kassyd („Farys“), aż rozwój twórczy dojdzie do „Pana Tadeusza“. Polska podejmuje na nowo w literaturze powszechnej problem wielkiego eposu — i ciągnie się ta nić aż do „Pana Balcera“ Konopnickiej. Nowością twórczą jest tworzenie poetyczne na kanwie wydarzeń świeżej daty, całkiem współczesnych, w „Dziadach“. Problem dramatu metafizycznego, doświadczany w Anglji i w Niemczech, doznaje w Polsce nadzwyczajnego rozszerzenia, a nigdzie nie poświęca się mu tyle wybitnych piór, jak w Polsce: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Garczyński i wielu minorum gentium. Zamiłowanie do tej formy staje się na długo cechą poezji polskiej. Ile nowych myśli zawiera poezja nasza „wieszcza“, długoby wywodzić; faktem jest, że nie pozostała bez wpływu na inne piśmiennictwa, słowiańskie przedewszystkiem, ale i francuskie, tudzież niemieckie. Form nowych nie brak: w Księgach Pielgrzymstwa, w Irydjonie, w Psalmach

Krasińskiego, w „W Szwajcarji“, i t. p. Twórczość tej epoki jest rozległą, wielostronną, śmiałą. Czyż wspiął się kiedy człowiek jaki wyżej niż Mickiewiczowski Konrad w „Improwizacji“? i czy każda z zawartych tam myśli nie jest nawskroś oryginalna, słyszana po raz pierwszy w ludzkim języku? Podobnych faktów z dziedziny wielkiej poezji polskiej — mnóstwo. I trwa to długo; jeszcze o Norwidzie powiedziano słusznie, jako „był on istotnym pomnożycielem ogólnego skarbu myśli ludzkiej“. Norwid układa utwory dramatyczne „bez intrygi i węzła dramatycznego“, pierwszy w Europie „stwarza bohaterów, którzy „nic nie działają“; poprzestaje na tem, co możnaby nazywać akcją wewnętrzną. Jego stosunek do sztuki (wyłożony w „Promethidonie“) jest tego rodzaju, iż „na tem polu znaczenie Norwida jest nie tylko polskie, ale i ogólno-europejskie. Wyprzedza on prerafaelitów angielskich, inicjuje na szeroką skalę ideje analogiczne tym, które podjęli Ruskin i Morris. W Polsce był Norwid pierwszym propagatorem t. zw. sztuki stosowanej, która dopiero za dni naszych poczęła przyoblekać się w realne kształty“. ...„Ten zapomniany romantyk wyprzedził cały symbolizm francuski... Wyrósłszy z gleby polskiego genjuszu, jest nawskróś europejski; idąc po linji własnej, polskiej kultury, dochodzi w wielu punktach tam, gdzie dopiero później znalazła się myśl twórcza zachodniej Europy“.

Teatr Słowackiego jest oryginalnym rodzajem w scenicznej twórczości europejskiej. Dużo oryginalności posiada Fredro. Wyspiański, łączący cechy Słowackiego i Norwida, epigon obydwóch tamtych, jest już przedmiotem studjów krytyków i historyków literatury zagranicą. Powieść polska jest po francuskiej, a często obok niej, najlepsza w Europie; powieść historyczna od Czajkowskiego do Sienkiewicza przebyła najwspanialszą ewolucję. Orzeszkowa, Prus-Głowacki, Reymont i wielki artysta Weyssenhof ostoją się wobec najsurowszej krytyki cudzoziemca; Adolf Dygasiński nie naśladuje Kiplinga.

a byłby również sławnym na cały świat, gdyby pisał w języku bardziej dostępnym europejskiemu ogółowi. Sieroszewski przyswoił sztuce piśmienniczej całe nowe światy; ani Loti, ani nikt wogóle nie tylko mu nie dorówna artyzmem, ale nie umywają się wszyscy fabuliści tematów „egzotycznych“ do niego co do zrozumienia psyche ludów niżej rozwiniętych. Wreszcie człowiek, którego możnaby nazwać poetycznym wykładnikiem naszego pokolenia, Jan Kasprowicz, jest jedynym w swoim rodzaju na całą współczesną literaturę powszechną.

Pełno w sztuce polskiej wogóle, a w poezji w szczególności, i historyzmu i ludowości. Równoważą się znakomicie. Jeżeli kto zechce układać antologję poetycką jakiej „wielkiej demokracji“, może się śmiało ograniczyć do poezji polskiej, a nie zabraknie mu niczego. I również dobrze możnaby z wypisów polskiej Muzy ułożyć kanon wielkich przykazań tradycji historycznej.

Rozdział VI.

Zdatność naukowa.

Przechodzimy do odmiennej zgoła kategorji umysłowości, w dziedzinę, gdzie praca umysłowa odbywa się według myślenia logicznego, a gdzie celem wykrywanie — Prawdy. Wielostronność dróg i środków znajdziemy tu jeszcze większą, niż w zakresie artystycznym; nauk jest bez porównania więcej, niż sztuk pięknych. Co jeszcze znamienniejsze: sztuk pięknych jest dzisiaj nie więcej, niż za czasów Peryklesowych, gdy tymczasem nauk wciąż przybywa. Wyczerpaliśmy bardzo wcześnie drogi, stojące ludzkości otworem w pochodzie ku Pięknu, podczas gdy dróg, wiodących do Prawdy, odkrywamy coraz więcej, końca nie widząc tej mnożności. Przyczyna tkwi w tem, że sztuka działa przez zmysły tylko, nauka zaś działa na umysł bezpośrednio. W miarę różniczkowania się myśli, w miarę powstawania nowych kombinacyj myślowych, mogą, a raczej muszą powstawać nowe działy badań odpowiednich. Nauce wystarcza sam rozwój umysłowy, podczas gdy do powstania nowej sztuki trzebaby wytworzenia się nowego zmysłu. Jeżeli zamknięta jest ilość zmysłów ludzkich, zamknięta też jest ilość sztuk pięknych, dana zgóry, a priori, w stosunku do danych również zgóry zmysłów, których człowiek własną zapobiegliwością pomnożyć nie zdoła.

Ażeby zyskać materjał dalszy do naszych rozważań (materjał, który zbierać można tylko indukcyjną metodą), przetrząśniemy główne momenty z dziejów polskiej nauki, odróżniając to od dziejów nauki w Polsce, boć to

nie to samo. Nie będziemy przemierzali obszarów wszystkich nauk, poprzestając na najbardziej typowych i na głównych, t. j. takich, z których dopiero w nowszych czasach wyłaniały się inne. Niektóre nauki były zresztą omawiane już przy roztrząsaniu kwestji „darów przyrody", np. geologja, tudzież stosowane, jako to mechanika, inżynierja, nauki rolnicze i t. p.; do tych więc nie będziemy już wracali.

Sama rozległość przedmiotu obok nadzwyczajnej różnorodności zmusza wprowadzić podział na części. Zaczniemy od matematyki i opartych na niej naukach t. zw. ścisłych, następnie przejdziemy do przyrodniczych, poczem osobny ustęp poświęcimy geografji, która choć bardziej przyrodnicza niż humanistyczna, nadaje się atoli doskonale na łącznik pomiędzy naukami przyrodniczemi a humanistycznemi.

Nauka ta, rozumiana i przez ogół inteligencji, i przez władze oświatowe całkiem mylnie, przestała oddawien być czyjąkolwiek „pomocniczą". Świadczy to ogromnie niezaszczytnie o zacofaniu naukowem władz oświatowych, skoro robią z geografji ciągle jakiegoś kopciuszka, któremu dobrze w kącie gdziekolwiek. Geografja jest nauką samoistną, o nadzwyczajnej rozległości, a jest zarazem najpotrzebniejszą ze wszystkich nauk do t. zw. ogólnego wykształcenia i dostarcza go też najwięcej. Coby to był za przewrót korzystny, gdybyśmy w oświacie polskiej wprowadzili geografję na to miejsce, które zajmuje literatura. Inaczej patrzelibyśmy na świat, i zmienilibyśmy się na naszą korzyść tak dalece, iż niebawem i świat patrzałby inaczej na nas. Nie waham się powiedzieć, że gdyby jedna tylko nauka miała być uprawianą, najlepiej byłoby umieścić na stanowisku uprzywilejowanem geografję. Dla tych powodów nie łączę geografji z żadną inną nauką, lecz wyznaczam jej miejsce osobne, i mam nadzieję, że będę miał naśladowców.

Po geografji przejdziemy do nauk humanistycznych, poprzestając jednak na czterech najbardziej znamien-

nych: filologji, językoznawstwie, historji i prawie. Szczegóły z rozwoju tej ostatniej nauki w kulturze polskiej znajdą się potem jeszcze w następnym rozdziale o zdatności politycznej. Zamkniemy zaś cykl ten sprawozdaniem z filozofji, poczem zestawimy rezultaty co do nauki, oświaty i dobrobytu.

1. Nauki ścisłe.

Kryterjum zdatności naukowej może być tylko jedno, o ile chodzi o twórczość: dokonywanie odkryć naukowych, przygotowywanie ich lub uzupełnianie. Całkiem coś innego przyswajanie sobie nauk, a zupełnie co innego samodzielna praca około ich rozwoju.

Odkrycia posiadają najrozmaitszą doniosłość naukową, stosownie do tego, jakiego obszaru wiedzy dotyczą. Bywają odkrycia bardzo ciekawe, lecz drobne, których wpływ na poglądy naukowe nieznaczny, bo ledwie zmieni się coś nader szczegółowego, i to nie tykając szczegółów sąsiednich, nie wpływając na nie. Bywają inne, napozór tylko drobne, ale tyczące pewnego szczegółu pod jakimś względem zasadniczym, który zachodzi w całym szeregu innych szczegółowych objektów czy faktów, i skutkiem tego odkrycie szczegółowe zatacza szersze kręgi i odmienia postać pewnej części nauki. Bywają wreszcie odkrycia, tyczące zasadniczo całego obszaru danej nauki, a nawet kilku pokrewnych. Takiem było odkrycie Kopernikowskie.

Niezawsze wielki człowiek służyć może na świadectwo poziomu kulturalnego własnego społeczeństwa; często osobą swoją stanowi tylko dowód rozszerzenia się kultury innej, obcej, której uległszy, dzięki niej sam zdołał rozwinąć się; stanowi więc w takim razie okaz wpływów tamtej kultury, a zarazem może zachodzić objaw słabości kultury społeczeństwa własnego, zbyt niskiego jej stanu, iżby mogła zapewnić wybitnemu talentowi należyty rozwój. Nie można przeto wysnuwać wniosków o wysokim poziomie polskości z tego, że Polska „wydała

Kopernika", bo mógłby być zjawiskiem wyjątkowem, wynikłem ze stosunków kultury umysłowej poza Polską, a wbrew niskiemu jej stanowi w Polsce. Ten, który „wstrzymał słońce a poruszył ziemię" stanowi jednak objaw kulturalny polskości, bo wykształcił się na jeden z najpotężniejszych umysłów ludzkości w polskiem środowisku naukowem, stanowiąc nie wyjątkowy jakowyś wyskok, lecz owoc naturalnego rozwoju polskiej wiedzy; słowem: bo wyrósł z polskiego podłoża naukowego.

Matematyka — astronomji podstawa i rusztowanie — kwitnęła u nas oddawna. Kadłubek już interesuje się sporem „pomiędzy zwolennikami Abaku z jednej, zaś Algorytmu z drugiej strony, t. j. pomiędzy wyznawcami dawnego a nowego (indyjsko-arabskiego) sposobu liczenia". Posiada też sporo wiadomości astronomicznych; wie, że ziemia jest kulą, a sfera gwiazd stałych obraca się dokoła osi, z czego powstaje zjawisko wschodu i zachodu słońca, księżyca i gwiazd; zna przyczynę zaćmień, zwraca uwagę na komety, na trzęsienia ziemi i t. d. Słowem, Kadłubek przeszczepił do Polski wszystko, co tylko w Paryżu (skąd przywiózł sobie stopień magistra) współczesnym wiadome było matematykom i astrologom-astronomom najbardziej postępowym.

Na przełomie XIII i XIV stulecia nieznany bliżej magister Franco de Polonia zbudował „bardzo pomysłowo" narzędzie astronomiczne, które sam nazwał „torquetum". Wiadomo, że słynny Witelo z Witowa pod Piotrkowem, który kwitnął w 3 ćwierci XIII wieku, znał gruntownie matematykę (czego dowiódł w swej Optyce); wszak to on „wskrzesił klejnoty geometrji starożytnych. Liczby „arabskie" przyjęte były w Polsce już w pierwszej połowie XIV stulecia; równocześnie zaznaczają się ślady rodzimego miernictwa gruntów. Za Kazimierza W., w piątym roku istnienia uniwersytetu, w r. 1368 obserwowano już w Krakowie kometę w sposób naukowy, uznając ją ciałem niebieskiem. Dochowały się do dni naszych szczęś-

liwie polskie prace astronomiczne z roku 1381 i z lat następnych. Na przełomie XIV i XV wieku uprawiano w Krakowie trygonometrję „i to w jej nowoczesnej postaci, a więc z tym ważnym rozdziałem geometrji rachującej bez którego znajomości jakikolwiek postęp w astronomji wydaje się niemożliwym".

Z początkiem XV w. istniała już w Krakowie stała katedra nauk matematycznych. Zapowiedzi astronomiczne mamy w Krakowie od r. 1406. Słynny Marcin Bylica z Olkusza († około 1495), „autor kilku ciekawych pisemek z dziedziny sztuki gwiaździarskiej, gorliwy i zręczny obserwator narzędziami, dochowanemi dotychczas, niezwykłej na owe czasy dokładności, był żarliwym krzewicielem zdrowszych prądów w naukach matematycznych, m. i. algoryzmu italskiego, trygonometrji i Peurbachowskich „nowych" teoryk astronomicznych". Wspólnie z Regiomontanem opracował najstarszy w Europie traktat astronomji sferycznej.

Marcin Król z Przemyśla († 1459) był profesorem astronomji w Bolonji, powróciwszy do Krakowa, fundował drugą katedrę matematyki; w pismach swych posunął znacznie myśl astronomiczną, skoro zdobył się na „krytykę, niekiedy dosadną, owoczesnych doktryn astronomji geocentrycznej". A zatem Kopernik zastał grunt przygotowany.

Jan z Głogowa († 1507) obserwuje zaćmienia, dokonywa pomiarów geodetycznych; Wojciech z Brudzewa († 1495) odznacza się „biegłością w sztuce obserwatorskiej", a przytem posiada „niepospolity dar wykładu i nauczania". Jego to uczniem był Mikołaj Kopernik i „w Krakowie doznał pierwszego popędu do wieloletniej pracy nad kompozycją prawdziwego mechanizmu świata".

Ani też po Koperniku nie zbrakło ruchu naukowego w dziedzinach matematyki i astronomji, na dowód, że ruch ten stanowił część stałą kultury umysłowej polskiej. Bardzo znacznym był udział Polaków w reformie kalen-

darza. Pisma kalendarjograficzne zaczynają się u nas pod koniec XIV wieku, a projekt poprawy kalendarza układa Marcin Król już w r. 1456. Zajmował się tą sprawą Tomasz Strzępiński, późniejszy biskup krakowski. Kolega uniwersytecki Kopernika, Marcin Biem, projektem swym, ogłoszonym w r. 1516, „wyprzedził pomysły twórców tyle późniejszej gregorjańskiej reformy kalendarza, a nawet — możemy to śmiało wyrzec — pod pewnemi względami trafnością proponowanych zmian prześcignął".

W pierwszej ćwierci XVI w. dokonywano w Polsce obserwacyj nie tylko w Krakowie, ale i na prowincji, a obserwatorów, i to dobrych, możemy wskazać po imieniu kilkunastu. W r. 1531 obserwowano kometę, nazwaną później mianem Halleya. W takiem środowisku nie zabrakło też apologetów systemu Kopernikowskiego (Stanisław Jakóbiec, Jan Muszyński, Walenty Fontani, Jan Brożek, Stanisław Pudłowski).

Kwitnie nadal matematyka: Brożek pierwszy w Europie zajmuje się z powodzeniem geometryczną kwestją t. zw. wieloboków gwiaździstych; Pudłowski († 1645) zajmuje się teorją liczb i dostrzeżeniami astronomicznemi.

Pudłowski, będąc proboszczem u św. Mikołaja w Krakowie, „mieszkanie swoje urządza wprost jakby dzisiejszą pracownię fizyczną, a zarazem dostrzegalnię astronomiczną. Ustala troskliwie kierunek południka, tudzież szerokość geograficzną miasta; dwiema naprzemian lunetami obserwuje i rysuje górzysty krajobraz księżyca, plamy słoneczne, fazy Wenery, cztery księżyce Jowisza, mleczną drogę, jako też dziwaczne kształty planety Saturna i t. d... Wszelako najciekawszym szczegółem naukowej działalności Pudłowskiego, a świadczącym o niezwykłej jego bystrości, był niezawodnie i pozostanie świetny jego pomysł, ażeby przez przyjęcie stosownej, a „niezniszczalnej" jednostki długości (etalonu), usunąć zamieszanie, pochodzące z używania w różnych czasach i przez różne ludy miar najróżniejszych. Na ta-

ką to „miarę powszechną“ (mensura universalis) proponował (1642) uczony krakowski długość wahadła sekundowego, który to pierwowzorzec sama przyroda ocali przed zniszczeniem i zaginięciem“. Wyprzedził więc pomysłem swym o półtora stulecia twórców systemu metrycznego.

W Kaliszu dokonywano obserwacyj od r. 1613 (m. i. plam słonecznych). Jeden z uczestników tych prac, Gajewski, skonstruował koło r. 1640 heljocentryczne planetarjum. Znaczny poczet drugorzędnych uczonych XVII wieku stanowi podłoże dla kilku wybitnych umysłów twórczych. Smogulecki wyprzedził naukę europejską co do natury plam słonecznych; Susliga wykrył błędność ery dionizańskiej; Herka przyznał kometom naturę kosmiczną; Dominik Kromer proponował wyznaczanie długości geograficznej z zaćmień księżyców Jowisza; Tylkowski pierwszy stosował matematykę do rozważań czysto logicznych; Adam Kochański (1631—1700) był nader bliskim odkrycia Leibnizo-newtonowskiego; jego odkrycia matematyczne i stosowanie ich do astronomji, fizyki, mechaniki teoretycznej i praktycznej mogą służyć za dowód, że polska kultura matematyczna i astronomiczna polegała na podstawach tak trwałych, iż o s t a t n i a dopiero uległa ogólnemu upadkowi kultury w Polsce. Jak najwarowniejsza twierdza trzymała się do ostatka, ostatnia dopiero uległa zalewowi ciemnoty okresu saskiego.

I ten dział pierwszy się odradza. Kompilatorów nie brakło nigdy — ale nie o takich nam tu chodzi. Jednakże już po r. 1740 następuje zwrot na lepsze, i odrodzenie dokonywa się „w przyspieszonem niemal tempie“. Od r. 1730 działa w Poznaniu, następnie od 1738 w Krakowie ks. Józef Popiołek, który naprzywoził z Włoch instrumentów i książek, i sam czynnym był astronomem. Tuławski i Arakiełowicz (1732—1798) występują publicznie z obroną systemu Kopernikowskiego. Wszakżeż Józef Jabłonowski († 1776) wzniósł Kopernikowi w to-

ruńskim kościele św. Jana „pierwszy wogóle pomnik", i dzięki jemu wykreślono dzieło Kopernika z rzymskiego Indexu. Pojawiają się koło r. 1760 nowe polskie podręczniki matematyczne, wreszcie obserwatorjum w Wilnie (1760) i w Poznaniu (1765). Poważny ustęp w dziejach nauki stanowią obserwacje Merkurego przez słynnego ks. Poczobuta, i obserwacje Łuskiny (1761), obok których można wymienić cały szereg uczonych.

W Krakowie powstało obserwatorjum pod Janem Śniadeckim w r. 1787, który następnie przeniósł się do Wilna. Jemu zawdzięczamy dużo ze sławy polskiego imienia, dzięki jego pierwszorzędnym obserwacjom, zwłaszcza planetoid; o genjalności jego umysłu świadczą jego Algebra, Geografja fizyczna i matematyczna, Meteorologja, Rachunek prawdopodobieństwa, Trygonometrja kulista, które to działy nauk uprawiał skutecznie, często posuwając je ku dalszemu postępowi. Współczesnych uczonych nie brakło, tak, iż Śniadecki występuje na tle gęstego podłoża naukowego. Nielada dziełem była np. triangulacja Litwy i Kurlandji, dokonana przez Sławińskiego.

Zjawia się niebawem genjusz Hoene-Wrońskiego (1778—1853), który ogarniając wszystkie niemal dziedziny wiedzy, z wielką oryginalnością własnych metod łączył obfitość nowych pomysłów naukowych; odznaczał się twórczą działalnością także w zakresie matematyki i astronomji.

Od drugiej połowy XIX w. dotrzymujemy stale kroku nauce międzynarodowej. Polscy matematycy odznaczają się z reguły obok uprawianej specjalności nadto szerszemi horyzontami. Pośród licznego pocztu uczonych wyróżniało się kilku pierwszorzędnemi zaletami, np. Żmurko, własnemi drogami kroczyć lubiący; Mertens, który odkryciami swemi wzbogacił wszystkie działy matematyki; Baraniecki, autor pierwszej polskiej pracy o wyznacznikach; Dickstein i Sierpiński zasłużeni w t. zw. teorji mnogości, „najmłodszej gałęzi dociekań ma-

tematycznych", prócz innych także działów; — i wielu, wielu pracowników zdolnych, rozwojowi nauki nader przydatnych, ogłaszających z roku na rok sporo cennych przyczynków.

Jeden jeszcze szczegół wielce znamienny, a świadczący, jak dalece matematyka tkwi jakby w krwi polskiej: kiedy wielce zasłużony wydawca „Podręcznika dla Samouków", organizator samouctwa w Polsce Michalski przystąpił do organizowania kół wyższego stopnia uprawiania nauki samouctwem, najwięcej zebrało się osób do... matematyki i nie brak takich, którzy doszli aż do możności roztrząsania wątpliwych problemów naukowych.

Również kwitnie ciągle pośród nas astronomja i związana z nią geodezja. Józef Chodźko († 1881) był szefem triangulacji w Kurlandji, na Kaukazie, w Armenji, wykonał przeszło półtora tysiąca oznaczeń hypsometrycznych na Kaukazie, wykonał pomiar natężenia siły ciężkości na szczycie Wielkiego Araratu i on pierwszy zwrócił uwagę na t. zw. odchylenia pionu. Obok niego wymienić możnaby długi szereg pierwszorzędnych polskich geodetów, czynnych po całym świecie. Praktyczna astronomja zawdzięcza wiele Herkulesowi Dembowskiemu, który własnym kosztem utrzymywał znakomite obserwatorjum nad włoskiem Lago Maggiore, poświęcone przeważnie mikrometrycznym pomiarom gwiazd podwójnych i wielokrotnych. „W tego rodzaju technice obserwatorskiej stoi on jeszcze po dziś dzień jako mistrz niedościgniony". Adam Prażmowski, Marjan Kowalski († 1884 w Kazaniu), Jerzy Bogusławski († 1884 w Berlinie), Fr. Karliński († 1906) zasłużyli się dobrze obserwacjami i obliczeniami; nie ustępowali im młodsi od nich Jan Kowalczyk i Daniel Wierzbicki († 1901), nie mówiąc o szeregu dalszych ich towarzyszów. Astrofizykę uprawiał zaszczytnie Eug. Rogowski. Przedwcześnie zmarły Maurycy Rudzki († 1916) zdobył sobie europejskie imię w geofizyce, seizmologji, hydrodynamice kosmicznej. E. J. Wilczyński wy-

stąpił z nowemi metodami w fizyce matematycznej i astrofizyce „w najtrudniejszych nawet przedmiotach badań i poszukiwań". Tylko niedostaje nam ciągle własnych warsztatów naukowych. Posiadamy uczonych znacznie więcej, niż ich w kraju zająć możemy; tak np. Wilczyński ten był kalkulatorem w Greenwich przy roczniku tamtejszym Nautical Almanach, następnie przeniósł się do Ameryki Północnej, gdzie zajmował kolejno stanowiska profesorskie przy Columbian University w Waszyngtonie, jako associated professor w Berkelay University w Kalifornji, w Carnegie Institution w Waszyngtonie (1904). Pisuje tedy przeważnie po angielsku...

Nowa Polska dostarczy warsztatów! Narazie chodziło nam tu o wykazanie, jak to matematyka i astronomja zadomowione są w Polsce, jak to Kopernik miał w Polsce z czego wyróść, i jak dużo po nim zostało, i jak następnemu pokoleniu będzie co przekazać.

Oparta o nauki matematyczne fizyka zaczęła być nauką samodzielną dopiero w XVII wieku. Nie spóźniła się tedy Polska, skoro można dzieje fizyki u nas zacząć od owego proboszcza przy kościele św. Mikołaja w Krakowie, ks. Stanisława Pudłowskiego, o którym była powyżej mowa, jako o astronomie. W r. 1634 urządził na swem probostwie pracownię fizyczną, której wartość ocenić można według tego, do czego mogła posłużyć. Nasz pierwszy fizyk „powtarza doświadczenia Galileusza nad spadaniem ciał, czy to wolnem (z wieży kościoła), czy też po płaszczyznach pochyłych, albo krzywych najrozmaitszych, wyznacza ciężary gatunkowe rozlicznych ciał, studjuje ciepłotę wrzenia kilku cieczy; pierwszy wpada na pomysł wyznaczenia i rzeczywiście wyznacza „post mulat experimenta" długość wahadła sekundowego dla Krakowa (1634—5)". Początek świetny! Niebawem, w r. 1647, eksperymentowano w Krakowie i w Warszawie z rurką Torricelliego. Jezuita Stanisław Solski († 1701) „uprawiał bardzo gorliwie fizykę,

a zwłaszcza mechanikę stosowaną, w której wykazuje wielką pomysłowość, chociażbyśmy nawet do zbudowanej przezeń, a przez Gaspara Schotta tak górno wysławianej machiny, zwanej perpetuum mobile, ze sceptycyzmem odnosić się mieli". Inny jezuita, znakomity Adam Kochański zajmował się również fizyką, mechaniką teoretyczną i praktyczną. „Przy kolegjum jezuitów w Poznaniu, dzięki znacznemu zasiłkowi pieniężnemu królowej Marji Leszczyńskiej, powstaje około r. 1765 okazały gabinet fizyczny". Pierwszą fizykę po polsku wydał ks. Józef Rogaliński w czterech tomach w Poznaniu w r. 1765.

Następuje zastój, aż dopiero w drugiej ćwierci XIX wieku fizycy poczynają się znów pojawiać na polskim horyzoncie. W r. 1833 pojawia się rozprawa Łączyńskiego o zboczeniu magnetycznem i traktat o aeronautyce — i odtąd ruch naukowy w dziedzinie fizyki już nie ustaje, wzmaga się nieustannie ilościowo, a jakościowo rozwija się w sposób budzący doprawdy podziw. Andrzej Radwański, Cyprjan Tołwiński, A. Norejko, J. Karpiński, Wojciech Urbański, Feliks Strzelecki wreszcie, rozpoczynający szereg badaczy całkiem samodzielnych, wytworzyli polski „świat naukowy" w zakresie fizyki. Ułatwione już mają działanie Ludwik Kuczyński i Gustaw Piotrowski, aż wreszcie Edward Wł. Skiba zaczyna w r. 1869 ogłaszać swe „wielce oryginalne prace z dziedziny optyki, akustyki, elektryczności i fizyki molekularnej". Obok niego stają R. Błażejewski, Oskar Fabian, Józef Boguski, Eug. Dziewulski, Henryk Merczyng. Najzdolniejszy z tej plejady Wł. Gosiewski wzbogaca naukę polską „całym szeregiem głęboko pomyślanych prac z zakresu fizyki molekularnej, kinematyki, hydrostatyki, z teorji sprężystości... Jego Wykład mechaniki cząsteczkowej (Paryż 1873) pozostał dotychczas, niestety, nieukończony".

„Ostatnie 20-lecie ubiegłego wieku aż po dobę obecną tworzy niejako apogeum twórczości polskiej w zakresie fizyki tak doświadczalnej jak i teoretycznej". Wy-

stępują Fr. Dobrzyński, Kaz. Olearski, Fr. Tomaszewski. Przerósł ich wszystkich Zygmunt Wróblewski (1845—1888), który po licznych pracach około dyfuzji gazów przez ciała pochłaniające, skroplił w r. 1884 wspólnie z Karolem Olszewskim tlen, następnie azot, tlenek węgla i powietrze, tudzież zbadał kwestję skroplenia wodoru. August Witkowski (1854—1913) pracował z wielką dla siebie i nauki polskiej chwałą w rozmaitych działach fizyki. „Dwie jego prace: O rozszerzalności i ściśliwości powietrza (1891), tudzież o własnościach termodynamicznych powietrza (1895) są obecnie ostatnim wyrazem nauki w tych kwestjach bardzo aktualnych. Wreszcie obszerne, trzytomowe jego dzieło p. t. Wykład Fizyki (świeżo już w trzeciem wydaniu) dorównywa najlepszym, jakie dziś posiadamy, zagranicznym dziełom, zawierającym uniwersytecki wykład fizyki doświadczalnej". Trzecim w tej trójcy jest Karol Olszewski (1846—1915), z którego „kriogenicznej pracowni wyszło (1885—1911) przeszło 40 prac, zajmujących się skraplaniem i zestalaniem przeróżnych gazów, oznaczaniem ich gęstości, ciśnień i temperatur krytycznych, punktów wrzenia, badaniem ich widm absorbcyjnych i t. p., znaczna ich część skierowana do najbardziej opornych gazów, takich jak wodór i heliun. Te piękne i ważne prace, któremi Olszewski, Wróblewski i Witkowski wzbogacili fizykę, rozniosły imiona ich i naukę polską — można to rzec bez przesady — nie tylko po Europie, ale także i w Ameryce".

Młodsi od tamtych Wł. Natanson i Marjan Smoluchowski (1872—1917) znani są doskonale w nauce zagranicznej jako powagi w zakresie fizyki teoretycznej. Zwłaszcza Smoluchowski sięgnął do głębi przedmiotu, a nauce polskiej zapewnił szacunek wśród świata. Zasługi Marji ze Skłodowskich Curie około odkrycia radu i naukowego opracowania promieniotwórczości są powszechnie wiadome; sprawa to nowa, wielce spopularyzowana, „aktualna".

Obok znakomitości o sławie europejskiej liczny jest chór polskich fizyków, z pośród których niejeden dobija się sławy większej pod najlepszemi horoskopami pilności i talentu. Odznaczyli się w tym chórze Józef Kowalski, Ignacy Zakrzewski, Konstanty Zakrzewski, Tadeusz Godlewski, St. Loria i in.

Stwierdźmyż, że w Polsce istniało podłoże nauk ścisłych (a nie tylko wyjątkowi uczeni) od Kadłubka czasów bez przerwy aż pod koniec XVII wieku. Humanizm nie tylko nie osłabiał tego ruchu naukowego, lecz owszem, w okresie humanistycznym stały nauki ścisłe w Polsce właśnie najwyżej. Upadek ich nastąpił potem w czasach ogólnego upadku umysłowości i całej polskiej kultury — najpóźniej. Odrodzenie nastało najwcześniej. Działalność ks. Popiołka jest starszą, niż ks. Konarskiego; a gdy Konarski dokonał reformy szkolnictwa, oparł ją głównie nie na czem innem jak na wprowadzeniu do szkół nauk ścisłych. W wieku XIX zabłysnęły one u nas nowem wielkiem światłem, i znów wyraźnie występują zwartą ławą. Stopień zdatności oznaczać... byłoby śmiesznem wobec imion tylu, grupujących się około Kopernika; skoro tylko można wykazać, że nie był on w Polsce izolowanem zjawiskiem, można też posłużyć się jego imieniem, jako świadectwem zdatności twórczej w naukach ścisłych.

2. Nauki przyrodnicze.

Od nauk ścisłych oddzielamy te z poświęconych badaniu przyrody, które nie polegają zasadniczo na matematyce, a tem bardziej na obserwacji, na eksperymencie. Mechanika teoretyczna jest niewątpliwie „ścisłą", a fizyka doświadczalna mogłaby być zaliczoną do „przyrodniczych". Wiadomo, że nie wymyślono jeszcze podziału, przeciwko któremu nie możnaby podnosić wątpliwości; bo też to rzecz utylitarna. Nauka z nauką musi zachowywać związek, a im większy rozwój umiejętności, tem trudniej o wyraźne granice pomiędzy niemi.

Ograniczymy się w naszym przeglądzie do trzech nauk: chemji, biologji (zoologji i botaniki), tudzież do medycyny jako do najwybitniejszych przedstawicieli nauk przyrodniczych.

Chemja zaczyna się w Polsce jak wszędzie od alchemji. Słynęli polscy alchemicy, Kowski w XV w. i Sędziwój w XVII. Drugi kierunek, jatrochemja, t. j. chemja do celów leczniczych, którego przedstawicielem Paracelsus, posiadał u nas również licznych zwolenników, z lekarzem Albertem Łaskim na czele (XVI w.). Pierwszym chemikiem w nowoczesnem znaczeniu wyrazu był ks. Józef Osiński, który nie tylko napisał kilka rozpraw, ale założył przy warszawskiem kolegjum pijarskiem pierwszą w Polsce pracownię chemiczną. Działo się to w latach 1777—1802, a zatem nie daliśmy się w chemji wyprzedzić Niemcom. Pierwszym profesorem chemji był od r. 1782 Jan Jaśkiewicz w Krakowie; w Wilnie od r. 1784 Józef Sartorius, wykładający jeszcze po łacinie, poczem Jędrzej Śniadecki rozpoczął wykłady po polsku od r. 1797.

Wybitny ten teoretyk chemji, choć był zwolennikiem matematycznego ujmowania zagadnień, pracował także doświadczalnie. Zajmował się powinowactwem chemicznem, składem chemicznym kwasów, istotą ciepła i światła; wogóle „szczególne znaczenie przywiązywał do tych właśnie zagadnień, które we współczesnej nam chemji teoretycznej są dominującym przedmiotem najważniejszych studjów". W r. 1808 odkrył nowy metal, który nazwał „westem", a który identyczny jest z „rutenem", odkrytym na nowo w 40 lat po Śniadeckim. Jego „Początki chemji" w dwóch tomach dla użytku słuchaczy ułożone, są „klasyczne w duchu nawskróś nowoczesnym". O jego „Teorji jestestw organicznych" wypadnie mówić na innem miejscu.

Śniadeckiego szkoła była liczną, a dobrą, lecz natrafiła na fatalne okoliczności po roku 1831. Dopiero na emigracji zjawia się pierwszy wybitny specjalista do

chemji organicznej, Filip Walter (1810—1847). Odkrył on 21 połączeń organicznych, a z ropy naftowej wydzielił już 1840 roku węglowodory.

„W Polsce w środku wieku XIX panował smutny stan nauk doświadczalnych, graniczący niemal z zupełnym zastojem umysłowym, podczas gdy w cywilizowanych krajach ościennych Zachodu odbywał się wtedy bardzo żywy rozwój tych nauk. U nas w Polsce dopiero w r. 1862 w Szkole Głównej warszawskiej wznowione zostały studja uniwersyteckie w języku ojczystym. Wybija się natenczas Jakób Natanson (1832—1884), zasłużony badaniami nad mocznikiem, nad oznaczaniem gęstości pary i t. d.; on pierwszy zwrócił uwagę na powstawanie z analizy barwnika purpurowego. Szkoła Główna rozpowszechniła skutecznie popęd do wiedzy, ale chemicy polscy musieli szukać sobie miejsca zagranicą.

Dopiero gdy w Galicji przywrócono język polski uniwersytetom, wszczął polskie wykłady na nowo Bronisław Radziszewski (1830—1914). Stwarza pierwszą co do czasu w Polsce pracownię chemiczną w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, to znaczy pracownię, która staje się zarazem szkołą i warsztatem u nas w kraju do samodzielnych badań naukowych". Od niego wyszły pierwsze fundamenty stereochemji. Uczniów wydał „całe zastępy".

Kraków wsławili Zygmunt Wróblewski i Karol Olszewski, którzy skroplili i zestalili własnemi przyrządami szereg gazów w najtrudniejszych warunkach nieprawdopodobnie ubożuchnej pracowni. Obok nich „zajaśniały na widowni nauki światowej silnym blaskiem" cztery jeszcze imiona:

Marceli Nencki (1847—1901) wniknął w istotę chemicznych procesów życiowych; odznaczył się studjami nad barwnikami krwi, nad gnilnym rozkładem białka, a wspólnie z J. Zaleskim odkrył przeznaczenie wątroby. „Liczba własnych jego publikacyj dochodzi do 150, a komunikaty bezpośrednich jego uczniów i współpracow-

ników sięgają ogromnej liczby 440. Olbrzymi dorobek naukowy Nenckiego, imponujący rozmiarami i znaczeniem, wydali pod postacią zbioru prac wdzięczni jego uczniowie M. Sieber i J. Zaleski w r. 1904. Są to dwa tomy okazałe, liczące niemal 2.000 stron druku, zatytułowane: Opera omnia. „Trzebaby kilku stronic druku, żeby wyliczyć suchy tylko rejestr jego odkryć w zakresie chemji organicznej. Monachijski profesor M. Hahn pisał po przedwczesnej jego śmierci: „Rzadko kiedy chemja i medycyna w równej mierze miały okazję do opłakiwania straty męża, którego praca całego życia położyła kamienie węgielne i wbiła słupy drogowe w dziedzinie pogranicznej tych dwu wielkich odłamów wiedzy". Aleć dla tego olbrzyma nauki nie było w Polsce niewłasnowolnej stosownego miejsca. W Bernie szwajcarskiem utworzono dlań specjalną katedrę chemji fizjologicznej, a w roku 1891 stworzono dla niego jeszcze „odpowiedniejsze warunki dla rozwoju szeroko zakrojonych pomysłów naukowych" w Instytucie medycyny doświadczalnej w Petersburgu...

Leon Marchlewski wsławił się odkryciem jednakowego pochodzenia chlorofilu i hemoglobiny (zieleń roślinna a krew zwierzęca). Zajęty tem, od r. 1895, otrzymawszy następnie katedrę w Krakowie, ściągał do swej pracowni współpracowników zewsząd, nawet z Ameryki. Stanisław Kostanecki (1860—1910) w Bernie szwajcarskiem rozwijał swoją teorję barwników i przysporzył chemji organicznej około dwu tysięcy nowych związków.

Czwartą w tej czwórce wielkich imion jest Marja ze Skłodowskich Curie, współpracowniczka swego męża przy odkryciu radu, następnie również samodzielna pracownica, zażywająca zasłużonej europejskiej sławy.

Jej imieniem wkraczamy w dziedzinę chemji fizycznej. Od Jędrzeja Śniadeckiego posiadała ona zawsze licznych pracowników Polaków, rzadko jednak mogących znaleźć w Polsce dobre do pracy warunki. Niejedno odkrycie przypada tu polskiej pracy. „Obecnie przeży-

wamy okres odrodzenia atomistyki, które się dokonało na tle z jednej strony badań teoretycznych z zakresu fizyki molekularnej, w czem duży udział przypada naszemu nieodżałowanemu prof. Marjanowi Smoluchowskiemu (1872—1917), a z drugiej strony na tle badań doświadczalnych w dziedzinie radjologji i fizyko-chemji koloidów", w czem polskie badania tworzą również część niepoślednią.

Niemały i wcale nielekki jest też dorobek nasz ostatniej doby, przy coraz liczniejszych szeregach pracowników, którym otwierają się wreszcie i jakieś warsztaty naukowe w kraju. Zamiast wymieniania licznych nazwisk, zwrócimy uwagę na coś ze statystyki naukowej. Oto obliczono (J. Zawidzki), że w latach 1901 do 1908 ogłosiło 600 polskich chemików 2070 przyczynków z przeróżnych działów chemji; na każdy rok przypadało tedy przeciętnie 259 publikacyj. Z tego ogłaszano w języku polskim mniejszą zaledwie połowę, bo tylko 43%. Przyczynków doświadczalnych napisano w owem siedmiolecju około 1700, z czego 35% wykonanych było w pracowniach zachodnio-europejskich, w rosyjskich nieco ponad 15%, a w Galicji i Kongresówce razem w sam raz połowa. Cyfry wymowne.

W zakresie botaniki i zoologji zaczynają się oryginalne badania w Polsce od drugiej połowy XV wieku, a mianowicie od zestawienia przez Jana Stankę flory i fauny krajowej: 523 roślin, a zwierząt 219 — ilość przechodząca, i to niezmiernie, wszelkie inne katalogi średniowieczne. W XVI w. powstał szereg zielników polskich, ale oryginalnym jest wśród nich tylko Zielnik Marcina z Urzędowa z połowy XVI wieku. Drugiem oryginalnem dziełem przyrodniczem jest „Myśliwstwo ptasze" Mateusza Cygańskiego (obejmuje 136 gatunków łownych).

Uniwersytet Jagielloński posiadł jeden z pierwszych katedrę botaniki, z zobowiązaniem profesora do nauczania w polu i ogrodzie (1602). Pierwszym profesorem był

Szymon Syreński, którego Zielnik liczy przeszło półtora tysiąca stron folio. Warszawski ogród botaniczny jest najstarszy na północy Alp (około 1640), a katalog jego ogłoszono w r. 1652. W Wilnie urządzono ogród botaniczny w r. 1781, w Krakowie we dwa lata potem.

„Chwałą Polski XVIII w. jest ksiądz Krzysztof Kluk", autor trzechtomowego dzieła „O roślinach" i czterech tomów „O zwierzętach", które wydał w ciągu lat pięciu — 3.300 stron druku. „Dyletant nieszczególnie zdolny, ale rozsądny i systematycznie pracowity", który „czyniąc zadość ogólnym potrzebom czasu, trafiał łatwo stylem trochę gawędziarskim do ludzi nawet mniej wykształconych". Na zlecenie Komisji Edukacyjnej ułożył też podręcznik szkolny, w którym na wyraźne żądanie Komisji trzymać się musiał systemu naturalnego, a nie Linnégo. Inicjatorem tego był Paweł Czempiński, autor pierwszej po polsku napisanej zoologji. „Świadczy to, jak szerokiego horyzontu był umysł Czempińskiego, że w czasach, gdy Niemcy uwielbiali Linnégo i uważali go za bożyszcze, on trafnie uznawał rację podwójnego nazywania żywizny, ale nie uznawał sztucznego systemu za co innego jak za dogodność w oznaczaniu". Ksiądz zaś Kluk zabrał się jeszcze do napisania flory polskiej, co też wyszło drukiem w latach 1781—1785 w trzech tomach pod tytułem Dykcjonarza roślinnego, ale z systemem Linnégo. Dzieło to posiada wielkie zalety, a współcześni nie mieli dość słów pochwały.

W kilka lat wyszła Flora Litwy księdza Jundziłła (w Wilnie 1791), gdzie skrytopłciowe opracowane są samodzielnie. Tenże napisał też „Początki Botaniki". „w których fizjologja zajmuje poczesne miejsce". Pisał też zoologję. Wybitniejszym był Jan Wolfgang, od 1828 r. profesor w Wilnie, a jego uczeń Stanisław Górski badał dokładniej od wszystkich florę i faunę litewską „na podstawie nowszych zapatrywań na granice gatunku".

W Warszawie działali botanik Michał Szubert, który miał wielu uczniów, i zoolog Feliks Jarocki; ten uczniów

miał niewielu, ale wśród nich Antoniego Wagę, „który do późnej starości był w Królestwie najwybitniejszym reprezentantem tej nauki". Nie brakło tam poważnych biologów ani po zamknięciu uniwersytetu, ale największej sławy dorobił się rodak z prowincji, która nigdy nie posiadała uniwersytetu. Wielkopolanin Leszczyc Sumiński zasłynął po roku 1848 odkryciem rodni paproci.

Sporo prac wybitnych, zaczętych jak najlepiej, nie zdołano doprowadzić do szczęśliwego końca. Przez skasowanie liceum krzemienieckiego przepadła np. wielka praca zbiorowa, do której wezwano wszystkich podwładnych uniwersytetowi wileńskiemu nauczycieli przyrody, ażeby pod przewodem profesora krzemienieckiego, Wilibalda Bessera (krakowianina) opracować florę „Krajów Zabranych". Nie zdołał też ogłosić dorobku swego życia Hiacynt Łobaczewski, przygotowywający systematycznie geografję roślinną Polski. Nastały najtrudniejsze dla nauki polskiej czasy. Nie brakło jednak chętnych. We Lwowie działał i zostawił po sobie całą szkołę przyrodników Aleksander Zawadzki. Stanisław Pietruski utrzymywał swoim kosztem i z wielkim nakładem pracy aż do roku 1848 w Podhorodcach w stryjskiem menażerję ssaków, ptaków i gadów. Włodzimierz Dzieduszycki († 1861), zebrawszy ogromne zbiory przyrodnicze, założył we Lwowie i ubezpieczył materjalnie „Muzeum Im. Dzieduszyckich". Najwyżej stanęła w owych czasach ornitologja, reprezentowana przez Kazimierza Wodzickiego i Taczanowskiego.

Tu należy jeszcze wspomnienie „jednego z najznakomitszych synów Polski". Leon Cienkowski, warszawianin (1822—1887), profesor uniwersytetu w Petersburgu, powołany do Szkoły Głównej, nie zdążył ani objąć wykładów, przeniósł się do Odessy, potem do Charkowa. „Był otoczony taką czcią jako uczony, jako profesor i jako człowiek, że był honorowym członkiem prawie wszystkich uniwersytetów rosyjskich. Był to badacz pierwszorzędnej miary. Zajmował się niższemi organiz-

mami. Grzyby, glony, monady, wymoczki, noktiluki, bakterje, śluzowce — oto świat jego badań. Można najogólniej powiedzieć, że cały dorobek naukowy Cienkowskiego rozszerzył znakomicie współczesne pojęcie o pierwotniakach. Przez dorobek ten nabrano przekonania, że wszelkie próby przeciągania granicy między roślinami a zwierzętami będą zawsze sztuczne". On też przyczynił się walnie do wykazania, że „niema różnicy między sarkodą a protoplazmą i że w plazmie rozgrywają się wszystkie zjawiska życia". Niestety, ten największy uczony polski swego czasu, nie miał dla siebie miejsca w Polsce, uczniów nie mógł pozostawić, nie wytworzył szkoły.

Epokę stanowi krótka działalność warszawskiej Szkoły Głównej, gdzie umiano pielęgnować naukę dla nauki. „Można powiedzieć, że rozwój nowoczesny polskiej nauki datuje się od chwili, skoro jej wychowańcy, albo już ich uczniowie, zajęli się pracą naukową". Była już mowa przedtem o Godlewskim i jego uczniu, Jentysie. Znane były i zagranicy Edwarda Janczewskiego wielostronne prace, zwłaszcza fundamentalne nad budową korzenia. Ale rozdział cały w historji botaniki — i nie samej tylko botaniki — stanowi Józef Rostafiński. Liczne jego monografje i odkrycia, historja hodowli roślin w Polsce, jego „Historja naturalna wieków średnich", prace nad fizjografją okresu przedhistorycznego w Polsce i oznaczenie z tego pierwotnych siedzib Słowian, wreszcie jego botanika szkolna (pierwsza w Europie na podstawie biologicznej), to tytuły zasługi niemałej i zarobionej dobrze sławy. Zdolność żywa, umysł nadzwyczaj twórczy, podał nauce niemało nowego materjału i nowych pomysłów. W r. 1905 „podał nową teorję powstawania istot żywych, w której dowiódł po raz pierwszy, że wszystkie organizmy są pstre, i wyraził mniemanie, że zapłodnienie wyrównywa te pstrocizny, utrzymując gatunek w granicach pewnych wahań".

Niemałem imieniem w europejskim świecie naukowym cieszyli się Franciszek Kamieński i Władysław

Rothert, dzięki swym odkryciom biologicznym, anatomicznym i fizjologicznym w zakresie botaniki. Pierwszy z nich był docentem lwowskim, ale profesorami byli obydwaj w Odessie; Rothertowi powiodło się na starsze lata przenieść do Krakowa.

„Marjan Raciborski (1863—1917) był poza Nenckim i Curie-Skłodowską najwybitniejszym polskim przyrodnikiem od połowy zeszłego wieku". Wsławił się najpierw swemi studjami na Jawie (choroba tytoniu), następnie monografjami z wielu działów, szczegółowem zbadaniem wzrostu „krokowego" komórki. „Nazwisko jego było dobrze znane wszystkim botanikom, anatomom, fizjologom, morfologom, systematykom i paleontologom". Zorganizował doskonale zbiorowe prace wstępne do wydania ilustrowanej flory polskiej, rozporządzając istną rzeszą uczniów i współpracowników; powstał w ten sposób szereg wybitnych prac, wytworzył się ożywiony ruch naukowy. On też jest twórcą pierwszego w Polsce instytutu botanicznego przy uniwersytecie Jagiellońskim.

Z uczniów jego najwybitniejszy i na katedrze w Krakowie następca, W. Szafer, ma za sobą liczne prace z dziedziny głównie systematyki i botaniki roślin. Kiedy w r. 1914 znaleziono w Staruni wykopalisko mamuta i nosorożca, i wysnuwano z tego wnioski o zaciągu tundr aż na Podole zachodnie, okazało się dzięki wiedzy Szafera, że zwierzęta owe „żyły w dąbrowie, podobnej do dzisiejszej podolskiej". Szafer wykazał też zasługi Wincentego Pola jako geografa roślin, że „wyprzedził panujące dziś poglądy o zbiorowiskach roślinnych o pół wieku".

W drugiej połowie XIX wieku nie było takiego działu botaniki, ani takiego w niej prądu naukowego, iżby przy tem nie współdziałali polscy uczeni; w anatomji, fizjologji, w systematyce, fenologji, paleontologji, i t. d. Podobnież do każdego wielkiego problemu zoologicznego dorzuciła nauka polska poważny dorobek własny, a w niektórych działach otwarła nowe drogi lub uporządkowała dawniejsze.

Remak (pochodzący z Warszawy i pierwotnie piszący po polsku) wykazał, jak się komórki mnożą; w warszawskiej pracowni Hoyera wykazano najpierw niezmienność cech komórek, których właściwości badali dalej Hoyer i Kostanecki. Specjalne badania Maziarskiego, Godlewskiego młodszego i Michała Siedleckiego są dobrze zapisane w historji rozwoju nauki; podobnież prace z anatomji mikroskopijnej Hoyera starszego i młodszego, Maziarskiego, Nusbauma, Szymonowicza. Była już wzmianka o odkryciach światowej sławy Cienkowskiego co do pierwotniaków; w tymże zakresie odznaczyli się następnie Wrześniewski, Siedlecki, Janicki. Badania nad dziedziczeniem cech i zapłodnieniem posunęli znacznie naprzód polscy uczeni, zwłaszcza K. Kostanecki, Godlewski jun., L. Sitowski. Nie brak nam prac samodzielnych około postępu mechaniki rozwojowej (Godlewski jun., J. Nusbaum, St. Kopeć), ani też w zakresie embrjologji i anatomji porównawczej.

Pośród systematyków polskich byli zażywający światowej sławy ornitolog Taczanowski, pająknik Wł. Kulczyński, ichtjolog Nowicki, do skorupiaków Garbowski, i wielu innych. Faunistyka polska rozwija się doskonale, w czem największa zasługa Ant. Wierzejskiego, organizatora tej pracy niestrudzonego. Pracował też poza Polską cały szereg polskich pracowników na niwie zoologji; znać ich dzieła po całej kuli ziemskiej.

Przebiegłszy sumarycznie dziedzinę właściwych nauk przyrodniczych, należy stwierdzić, żeśmy zdatność swą do nich okazywali tak wcześnie, iż wcale nie jesteśmy w tym dziale spóźnionymi w zestawieniu z sąsiadami zachodnimi. Co ważniejsza, nie brak odkryć, świadczących o wybitnym pożytku polskiego współpracownictwa na tej niwie. Nie wznieśliśmy się jednak wysoko przez cały niemal czas Polski niepodległej; dopiero za reformy Stanisławowskiej współpracownictwo nasze staje się wybitniejszem — przedtem można orzec,

jako poprzestawaliśmy na udziale ilościowo i jakościowo miernym, jakkolwiek nigdy nie byliśmy nieobecnymi aż do czasów upadku kultury w okresie saskim. Nastąpił jednak raz jeszcze upadek niemal zupełny, a to w połowie XIX wieku. Potem byliśmy świadkami szybkiego odrodzenia, wzrostu i rozkwitu, w niejednym dziale nawet triumfu polskiej twórczości w zakresie tych nauk, a jednak dalecy jesteśmy od możności, żeby dać nauce tyle, na ile nas stać w miarę zdatności naszej, bo niedostatek warsztatów pracy wiąże nam ręce na każdym kroku.

Dodajmy jeszcze przegląd najtreściwszy dziejów sztuki lekarskiej w Polsce. Nauka to niewątpliwie przyrodnicza, ale kierująca się metodą nieco odmienną, a przytem w lwiej części nauka stosowana; dać jej więc miejsce nie w naukach przyrodniczych, lecz obok nich.

W ruchu naukowym m e d y c z n y m brali Polacy udział już w wiekach średnich, jak o tem świadczą polskie rękopisy średniowieczne treści medycznej po różnych księgozbiorach europejskich; w Bibljotece zaś Jagiellońskiej w Krakowie znajduje się 97 takich rękopisów z wieków XIV i XV.

Dominikanin polski, Nicolaus Polonus, doktór medycyny z Montpellier, „zuchwały nowator w terapji lekarskiej", zaczyna cały korowód uczonych lekarzy w czasach, „w których wykształceni lekarze bywali zarazem jedynymi niemal przedstawicielami nauk matematycznych i przyrodniczych". Aimericus Polonus, podobno krakowianin, doktoryzuje się z medycyny w początkach XIV wieku w uniwersytecie padewskim.

Wybitną rolę w dziejach nauki odegrał Marcin Bylica z Olkusza, lekarz nadworny Macieja Korwina. Najznakomitszy nasz lekarz z czasów Odrodzenia, Józef Struś, padewski doktór, wykładał tamże przez 10 lat, przekładał Galena z greczyzny na łacinę. Był jakiś czas lekarzem Izabelli Zapolskiej, leczył Solimana II w Carogrodzie lecz odrzucił propozycję by zostać lekarzem nadwor-

nym sułtana, a otrzymawszy podobne wezwanie od Filipa II, nie pojechał nawet do Madrytu, osiadł w Poznaniu, gdzie też dokończył żywota w r. 1568. Zasłużył się nauce dziełem o tętnie.

Żaden już potem z licznego grona polskich lekarzy XVI, ni następnego XVII wieku „nie wywarł wyraźnego wpływu poza granicami swej ojczyzny". Dopiero na schyłku XVIII wieku „zaczyna się ponownie, przerwany na Strusiu, szereg wielkiej miary uczonych medyków polskich, którzy pracami swemi wzbogacili nie tylko naukę polską, lecz i zagraniczną". Zaczyna ten nowy szereg Jan Śniadecki, który prowadził w Wilnie klinikę chorób wewnętrznych. Inny profesor wileński Bojanus celował w badaniach anatomji porównawczej (dzieło jego „poświęcone anatomji żółwia uchodzi za klasyczne"); Józef Frank wydaje 14-tomowy podręcznik medycyny wewnętrznej.

Z pośród uczonych krakowskich odznaczył się Ludwik Teichman-Stawiarski, pierwszorzędny anatom i odkrywca kryształków heminy, — tudzież Józef Dietl, prawdziwy chorąży nowej szkoły medycznej. W dziełach jego „jest i płomienny zapał kaznodziei, stającego w obronie prawdy i święcie wierzącego w jej zwycięstwo; i nader cięte, lecz ściśle logiczne rozumowanie przenikliwego krytyka; i doświadczenie obfite arcyutalentowanego lekarza". Jego medycyna opiera się całkowicie na naukach przyrodniczych. Znaczenie Dietla w historji medycyny uznawane jest powszechnie; zwłaszcza epokowe ma znaczenie jego dzieło, zadające ostatni cios metodzie puszczania krwi. Pozyskał sobie nadto niespożyte zasługi pracą około zdrojowisk krajowych.

Warszawa szczyci się Szokalskim, Hoyerem, Chałubińskim. Wiktor Szokalski, znakomity okulista, organizator wielu instytucyj lekarskich, płodny pisarz pozyskał sławę w Polsce i we Francji. Henryka Hoyera „prace z zakresu histologji stanowią rzetelny dorobek nauko-

wy". Doskonały profesor, wykształcił szereg uczniów, pracowników naukowych; jeden z nich Wacław Mayzel zasłużył się odkryciem t. zw. karjokinezy (dzielenie się jąder w komórkach). „Znacznie mniej znanym zagranicą, aniżeli Hoyer, jest jeden z największych lekarzy polskich Tytus Chałubiński. Uczony to dotychczas niedoceniony, dlatego zapewne, że swoje prace naukowe z dziedziny medycyny wydawał jedynie w języku polskim. Należał do tego typu uczonych, którzy wywierają na naukę wpływ i bardzo daleko sięgający i bardzo długo trwający". Jego „Metoda wynajdowania wskazań lekarskich" stanowi zasadnicze wzbogacenie nauki.

Należy go również uważać za inicjatora kierunku filozoficznego w medycynie polskiej. Przedstawicielami głównymi tego byli Henryk Hoyer, Władysław Biegański i Wiktor Biernacki. Kierunek to nawskróś oryginalny. Organem jego przez lat zgórą 10 było czasopismo „Krytyka Lekarska", wydawana i redagowana przez Zygmunta Kramsztyka, również jednego z przedstawicieli tego kierunku. Podobnego czasopisma, poświęconego krytyce lekarskiej, historji medycyny i roztrząsaniu zasadniczych zagadnień nauk biologicznych i lekarskich, nie posiada dotąd żadne piśmiennictwo medyczne, prócz polskiego. Kierunek ten medycyny polskiej z końca XIX i początku XX wieku nie jest jeszcze dostatecznie znany zagranicą, aczkolwiek zaczyna tam powoli zyskiwać sobie prawo obywatelstwa. Jedno z dzieł Biernackiego p. t. „Istota i granice wiedzy lekarskiej" zostało już przełożone na język rosyjski i niemiecki; także jedno dzieło Biegańskiego, gruntownie opracowana „Logika medycyny", która wyszła w dwóch polskich wydaniach, doczekała się przekładu na język niemiecki".

Z lekarzy polskich, pracujących stale zagranicą, odznaczył się Adam Raciborski, osiadły w Paryżu, którego dzieło o auskultacji i perkusji (1835) wyszło w dwóch wydaniach francuskich, a nadto przełożone jest na języki: niemiecki, rosyjski, grecki i dwukrotnie na angiel-

ski. Seweryn Gałęzowski, wsławiony okulista paryski, napisał bardzo wiele prac naukowych i wydawał czasopismo specjalne. Wszechświatowej sławy używał Robert Remak, sławny embrjolog i badacz drobnowidowej budowy nerwów (jedną z prac histologicznych ogłosił po polsku). Rozwój psychjatrji w Rosji pochodzi od dwóch polskich uczonych, Balińskiego i Mierzejewskiego.

Medycyna kwitnie w Polsce krótko: praktyczna i teoretyczna pogrąża się we śnie od trzeciej ćwierci XVI w. do końca XVIII. Jakby hołdowała zasadzie „nic albo wszystko", dokonywa w obydwóch okresach rozkwitu odkryć pierwszorzędnych, wskazując nawet nowe kierunki nauce, wzbogacając ją nowemi działami.

3. Geografja.

Na pograniczu nauk humanistycznych a przyrodniczych stoi geografja. Źródłem jej pierwszem podróżnictwo, od niego więc zacznijmy. Najsłynniejszą podróżą wieków średnich i najdonioślejszą była misja od papieża do Dżingishana w Karakorum, sprawowana przez dwóch Polaków: Jana de Plano-Carpino, który „zwany jest w liście, pisanym do Ludwika Świętego, Jean Carpin Polonois, a żywot jego jest pomieszczony w Elenchus Sanctorum Regni Poloniae", tudzież towarzysza jego Benedykta, zwanego zawsze i stale „Polonus". „Ich opis podróży jest pierwszym wielkim dokumentem geograficznym odkrycia stepowych i górskich wnętrzy Azji przez Europejczyków... aż do granic Kitaju-Chin". — Jan z Kolna w ziemi chełmińskiej, odkrywa w r. 1476 Labrador, kraj Baffina, cieśninę Hudsońską, służąc królowi duńskiemu Krystynowi II. — Odkrycia Kolumba i Vespucciego skreślone są dobrze na t. zw. globusie Jagiellońskim, pochodzącym mniej więcej z roku 1510, przechowywanym w Bibljotece Jagiellońskiej. W r. 1512 wychodzi w Krakowie „Introductio in Ptolomei Cosmographiam" Jana ze Stobnicy, „jedno z pierwszych dzieł naukowych,

w którem podano rozległe wiadomości o ziemiach nowych".

Pierwszym naukowym geografem polskim jest jednakże Długosz, którego „Chorographia Regni Poloniae" jest dokumentem pierwszorzędnej wartości w nauce światowej, największym w nauce polskiej. Dokładniejszego obrazu ziemi, a zwłaszcza hydrografji ziem polskich nie znajdujemy w literaturze polskiej aż do czasów Staszica z początkiem XIX wieku. A potem „Tractatus de duabus Sarmatiis" Miechowity z r. 1517 „wzbudził polemikę i zaniepokojenie u współczesnych, a podziw u potomnych", sprawiwszy rewolucję w poglądach geograficznych, gdy wbrew Ptolomeuszowi głosił, że Dniepr, Dźwina, Don i Wołga wypływają nie z Riphaei Montes, lecz z jezior w krainie „płaskiej i moczarowatej". Dzieło Miechowity miało też 10 wydań łacińskich, 4 włoskie, 1 niemieckie, prócz polskiego przekładu.

Zmysł podróżniczy posiadali Polacy. Można się powołać w dalszym ciągu na czterech Łaskich, z których dwaj dotarli do Ziemi Św., dwaj podróżowali wiele po Zachodzie. Hetman Tarnowski bywał we Włoszech i w Grecji, w Palestynie i w Egipcie, w Portugalji, w Afryce północnej. Stryjkowski znał kraje moskiewskie, inflanckie, szwedzkie, Turcję i Grecję, robiąc wszędzie notatki. Marcin Broniewski wydał w r. 1595 „Opis Tartarji Perekopskiej", „pierwszy opis geograficzny tych dziedzin, długo później, a zwłaszcza przez sławnego angielskiego podróżnika Clarke'go z respektem cytowany". Z wieku XVII i XVIII posiadamy szereg opisów podróży po Azji i Afryce północnej. Słynie Krzysztof Arciszewski, zdobywca Brazylji w służbie holenderskiej († 1656). Krzysztof Pawłowski wojował w Mozambiku i w Indjach; w portugalskiej służbie. Marek Jakimowski, jeniec turecki, uciekłszy z 212 towarzyszami, zorganizował ich w śmiałych żeglarzy, „siał postrach po wybrzeżach tureckich aż po Aleksandrję i Rodos; wylądował w Messynie wzbudzając wśród współczesnych podziw i uznanie".

Pierwszym kartografem polskim był Bernard Wapowski (1526). Za Zygmunta Augusta wydano instrukcję pomiaru całego państwa. Z tychże czasów pochodzą mapy Grodeckiego, Pograbskiego, Strubicza, Makowskiego, głośne w swoim czasie. Cudzoziemcy wykonywali całe atlasy na zlecenie wielmożów (Beauplan, Zannoni).

Miarą kultury kartograficznej jest udział kart szczegółowych w produkcji kartograficznej; dla uproszczenia sądu przeciwstawiamy w tym celu mapy całej Polski, jako mapy ogólne, mapom dzielnicowym i mapom służącym celom specjalnym jako dzieła szczegółowe. Otóż na dzieła szczegółowe kartograficzne przypadało w pierwszej połowie XVI wieku 33% ogółu produkcji, 48% na drugą połowę tego wieku, 67% na pierwszą, a 48% na drugą połowę XVII wieku; 20% na pierwszą, a 42% na drugą połowę XVIII wieku.

A oto wymowny szczegół: w r. 1770 wyszły dwa wielkie specjalne atlasy ziem polskich, Glassbacha w Berlinie i Kantera w Ratyzbonie — „oba z inicjatywy pruskiej, pierwszy na życzenie króla pruskiego Fryderyka, drugi brata królewskiego, księcia Fryderyka Henryka Ludwika. Obie mapy... stały się podstawą kartograficzną, podług której przeprowadzono pierwszy rozbiór Polski". Nasz atlas Zannoniego, wydany staraniem księcia J. A. Jabłonowskiego, wyszedł w dwa lata później. W r. 1790 Jan Śniadecki i Feliks Radwański wnosili do rządu memorjał w sprawie sporządzenia wielkiego, bardzo specjalnego atlasu. Ale arcydziełem prawdziwie kartografji jest przygotowana przez rząd Królestwa Kongresowego, wykonana prawdopodobnie przez Prądzyńskiego, Stryjeńskiego i Juljusza Kolberga „Topograficzna Karta Królestwa Polskiego", wydana jednakże dopiero w r. 1839 pod egidą rosyjską; ona to powtórzoną została jako „Karte von West-Russland" przez niemiecki sztab generalny podczas wojny powszechnej (325 sekcyj w podziałce 1 : 100.000). W Wielkopolsce wydawano kilka dzieł

większych kartograficznych, godnych uznania. „Ostatniem jednak dziełem czysto kartograficznem polskiem, na większą zakrojonem skalę, była jenerała Wojciecha Chrzanowskiego Mapa dawnej Polski, wykonana w podziałce 1 : 300.000, a obejmująca 48 wielkich arkuszy (Paryż 1852); była ona wojenną mapą powstania styczniowego". Jest to „unicum swego rodzaju", boć powstało pracą prywatną i środkami prywatnemi w czasie, kiedy tego rodzaju prace były już w całej Europie „zmilitaryzowane i upaństwowione". Nie brakowało nam dalej znakomitych kartografów, ale musieli szukać stanowisk w służbie państwowej rosyjskiej (Franciszek Armiński, Adam Prażmowski i wielu innych), wykonywając dzieła pierwszorzędnej wartości.

Z kulturą geograficzną całego świata złączone są imiona Kościuszki i Pułaskiego. Najwyższy szczyt górski w Australji zowie się od imienia Naczelnika, a w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej jeden powiat i dwa miasta w stanie Mississipi. Łatwiejsze dla cudzoziemców do wymówienia nazwiska Pułaskiego stało się nazwą geograficzną siedmiu powiatów w rozmaitych stanach, i prócz tego mnóstwa miast, fortów i potoków. W archipelagu kolumbijskim na północno-zachodniem wybrzeżu Ameryki jest wyspa Kościuszki; obok zaś wyspa Zaremby i Wojewody. Na morzu Żółtem mamy grupę wysp, zwaną archipelagiem Potockiego na cześć Jana Potockiego, uczonego orjentalisty, podróżnika pierwszorzędnego, a wielkiego mecenasa nauk (podróżował w latach 1778—1805). Część gór Dauryjskich w kraju Zabajkalskim zowie się grzbietem Czerskiego na cześć Jana Cz., „którego studja geologiczne drogi pocztowej od Uralu do Irkucka stały się podstawą naszej wiedzy w tym kierunku". Góry między deltami Leny i Oleneku zowią się grzbietem Czekanowskiego, na cześć Aleksandra Cz., którego badania „przedstawiają jedną z najwspanialszych kart historji odkryć geograficznych". (1868—1875.)

Wiele zdziałała dla geografji i nauk pokrewnych polska „diaspora“ porozbiorowa, kiedy obie półkule zapełniły się rozbitkami polskimi. Dziennik podróży brygadjera wojsk polskich Józefa Kopcia, wziętego do niewoli pod Maciejowicami, zesłanego na Kamczatkę, zaczyna ten arcydługi szereg dzieł ludzi, którzy w najcięższej pogrążeni niedoli, pragnęli być pożytecznymi. Możemy tu przytoczyć tylko najważniejsze nazwiska, dla przykładu. Tadeusz Maszewski „próbuje bodaj pierwszy (1812) syntezy geograficznej“ Sybiru. Odtąd iluż polskich pracowników na syberyjskiej ziemi wygnania! „Bogaty materjał geograficzny i etnograficzny, zawarty w powodzi wspomnień i przeżyć osobistych, nie został dotychczas dla nauki należycie wyzyskany“. Drugie tyle pracy polskiej wchłonęły w siebie ziemie kaukaskie. Nie brakło wypraw polskich do Afryki i Australji (Strzelecki, Korzeliński, Wiśniowski, Malsburg).

Szereg znakomitych podróżników polskich XIX w. rozpoczyna ów Jan Potocki, znawca całego Starego Świata. Z licznych jego dzieł największą wartość naukową posiadające „Voyage dans l'empire de Maroc“ (1792) „zdumiewa bystrością spostrzeżeń geograficznych. Wystarczy przytoczyć określenie Marokka, jako rozgałęzień Atlasu, a wysp Kanaryjskich, jako jego przedłużeń“. — Sławny „Farys“ Wacław Rzewuski „zdobył sobie sławę trwałą w nauce organizacją badania naukowego Wschodu, ku czemu służyło założone przez niego pismo „Mines d'Orient“, wydawane w Wiedniu w latach 1809—1818. Wspaniała ta publikacja obejmuje sześć tomów in folio i mieści w sobie ze wszystkich zakresów nauk, odnoszących się do Wschodu, oryginalne rozprawy i komunikaty około 180 uczonych wszelkich narodów“. — Córka Jana Potockiego Edwardowa Raczyńska towarzyszy mężowi w podróżach (głównie po Turcji) i ilustruje jego dzieła. Adam Sierakowski wydaje najlepsze dzieło o krajach berberyjskich (1872). Wiadome są zasługi Sieroszewskiego około badań jakuckich, a Bronisław Piłsudski był

specjalistą do Ainów, najbardziej upośledzonego podobno plemienia kuli ziemskiej, u którego polski uczony stwierdził jednak... zawiązki poezji.

Pamiętamy z lat młodych wyprawę afrykańską Stefana Rogozińskiego, pierwszego badacza Kamerunu. „Jaką rolę byłby odegrał Rogoziński w społeczeństwie, w którem, jak zwykle, ono a państwo, to jedno bywa?“ Wszak ten warszawianin zajmował Kamerun przed Niemcami. — Z innej znów strony podkreśla nam sprawę własnego państwa los zbiorów A. Rehmana, zakupionych do Zurychu i Berlina, podczas gdy nawet dublety dostały się do wszystkich ważniejszych muzeów Europy — prócz polskich. A były to zbiory z podróży naukowych z nad morza Czarnego, z Krymu, Kaukazu, z Afryki południowej. „Geobotaniczne wyniki wszystkich podróży Rehmana są pierwszorzędnej wartości, dla obszarów afrykańskich do dnia dzisiejszego podstawowe“. — Jan Czekanowski zbadał wschodnią część Afryki środkowej pod względem antropologicznym. Antoni Jakubski zorganizował w latach 1909—10 dwie wyprawy do Afryki wschodniej, gdzie wspiął się na Kilimandżaro, najwyższy szczyt afrykański. Ale księciem zaiste podróżników polskich, zrazu poniewolnych, jest Benedykt Dybowski, znakomitość w zakresie studjów nad Azją wschodnią. Zwłaszcza prace jego naukowe nad jeziorem Bajkałskiem zasługują na przydomek „wiekopomnych“, bo „stanowią fundament naszej wiedzy“ w tym kierunku. Powagą europejską w dziedzinie mongolistyki był Szczepan Kowalewski; Talko-Hryncewicz stał się wyrocznią w zakresie antropologji wschodnio-azjatyckiej.

„Ile myśli polskiej, ile znojów i trudów polskich a bezimiennych zasług i chwały kryje się w obfitych plonach, które zbierał Oddział kartograficzny sztabu głównego, albo Komitet geologiczny rosyjski na bezbrzeżnych przestworzach azjatyckiej Rosji, któż to zdoła dziś bez gruntownych studjów historycznych ocenić?“ Wszakże szef Komitetu geologicznego był Polakiem: Karol Bogdano-

wicz. „Imię tego wielkiego uczonego jest związane niemal z każdym zakątkiem ziemi od śnieżnych strażnic Indyj, Hindukhu, aż do subarktycznych wulkanów Kamczatki nad Pacyfikiem". Józef Chodźko określił geodetycznie przeszło 3.000 punktów w Armenji, Persji, Dagestanie i na Kaukazie; on nawiązał sieć triangulacyjną na szczycie Araratu (przeszło 5.100 m.). Podobnież pracował Bronisław Grąbczewski we wschodnim Turkestanie i w Tybecie.

„Jedną świetną, iście „promienistą" postacią filomaty Ignacego Domeyki, między polską umysłowością a Ameryką południową nawiązane węzły nie zerwały się do tej pory". Jego działalność eksploracyjna obejmuje całe Chile. Stał się przytem dobroczyńcą kraju pod względem oświatowym i ekonomicznym. „Szlakiem Domeyki poszło wielu, a choć żaden z Polaków nie zdobył jego zasług i sławy, niemniej w nauce i gospodarstwie Ameryki południowej imię ich jest zapisane rzetelnie". Z grona ściśle naukowych badaczy wyróżnili się jeszcze Aleksander Babiński mapą Peru, Hugo Zapałowicz studjami glacjalnemi w Andach, Józef Siemiradzki wielostronnemi badaniami w Andach i kraju Pampasów.

„I w rzędzie tych, którzy morzu, wichrom, i lodom polarnym wydzierają tajemnice, znajduje się jedno polskie imię niezwykłej świetności: to Henryk Arctowski", badacz antarktyczny, pełen zasług naukowych, a zarazem powaga w kwestji wahań klimatu.

Nie brak polskiej nauce geografji wybitnych syntetyków. Miejmy na uwadze, że nauka geografji datuje właściwie dopiero od połowy XIX wieku; w Polsce był jednak umysł niepospolity, który o pół wieku, w niektórych rzeczach i więcej, wyprzedziwszy Niemców i Francuzów, uchodziłby za geografji umiejętnej założyciela, gdyby nie to, że będąc Polakiem, popadł w okoliczności, skutkiem których dzieło jego w rękopisie lat 40 przeleżało, on sam zaś nie miał nawet sposobności przedmiotem tym dalej się zajmować. Genjalnym tym Polakiem

Hugo Kołłątaj. „Pozostawił po sobie tylko jedno dzieło natury geograficznej, ale też dzieło o wielkim pokroju. Dzieło to pod tytułem nie odpowiadającym treści: „Rozbiór krytyczny zasad historji o początkach rodu ludzkiego", pisane w latach 1802—1806 w więzieniu ołomunieckiem, wydane zostało w trzech tomach sporych z manuskryptu dopiero w latach 1842. Dzieło Kołłątaja jest w istocie wielkim systemem geografji ogólnej, pełnym świeżych i twórczych myśli; dość powiedzieć, że jasno określonem pojęciem czasu geologicznego i analizą procesów geologicznych w świetle sił, działających współcześnie, wyprzedza Lyella, a analizą wpływów środowiska na społeczeństwa daje podwaliny pod system antropogeografji, wyprzedzając tym sposobem nie tylko K. Rittera, ale nawet Ratzla". — W r. 1803 wydał Jan Śniadecki swą „Jeografię, czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi", książkę „nową do dziś dnia".

Najstarsza katedra geografji utworzoną została w uniwersytecie berlińskim, druga z kolei w Krakowie. Piastował ją Wincenty Pol, który bez porównania bardziej geografem był niż poetą, i zapewne dlatego parał się potem tak wiele rymotwórstwem, bo mu nie dano być geografem. W r. 1848 zajął katedrę, ale „niestety reakcja polityczna w Austrji zdmuchnęła już w pięć lat potem to nowe ognisko i nowy kierunek nauki w Polsce".

„Ostatnia generacja naukowa na przełomie wieku XIX i XX wydała również cały szereg wybitnych pracowników polskich, czynnych niemal we wszystkich kierunkach nauk geograficznych i pokrewnych. Najnowsze przewroty, dokonywające się w rozmaitych ogniskach nauki światowej, znajdują w Polsce przedstawicieli często prędzej, niż u innych wielkich narodów". Np. t. zw. problem płaszczowinowy z nauki francuskiej wszedł najpierw do polskiej (M. Limanowski, Rabowski, Tołwiński), a teorję geograficznych cyklów W. M. Davisa przeszczepił do nas jego uczeń i towarzysz wycieczek naukowych, Ludomir Sawicki; podobnież Romer podchwytuje pierw-

sze ślady opozycji przeciw teorji żłobienia, względnie przegłębienia lodowcowego.

Nie brak również prac i pomysłów swoistych, pełnych inicjatywy naukowej. Zgasły podczas wojny M. P. Rudzki pozostawił obok licznych prac szczegółowych dwa „wspaniałe" podręczniki: „Fizyka ziemi" (1909) i „Zasady meteorologji" (1913), „dzieła pod każdym względem oryginalne, w których nad materjałem opisowym góruje szeroki horyzont teoretyczny, zabarwiony na każdym niemal kroku twórczą myślą wielkiego badacza". „Z licznych problemów poruszanych, względnie rozwiązanych przez Rudzkiego, należy podnieść przedewszystkiem jego docieckania nad stanem fizycznym ziemi i wnioskami o wieku ziemi, o kształcie ziemi, a w szczególności o geoidalnej deformacji pod wpływem ucisku wielkich lodowców, wreszcie o ruchu falowym skorupy ziemskiej podczas trzęsień ziemi".

Tu należy też Marjan Smoluchowski, zmarły również podczas wojny, największy fizyk polski ze względu na swe studja „o fizycznych podstawach teoryj górotwórczych".

Klimatologiczne studja datują w Polsce już od drugiej połowy XVIII w. „Kraj nasz jest może jedynym w Europie, którego stosunki klimatyczne i geologiczne są w równej niemal mierze znane jak każdego innego kulturalnego kraju i państwa, a jednak niemal bez zupełnego przyczynienia się państwa do tego dzieła". Stacja meteorologiczna warszawska istnieje od r. 1779, a już 1829 r. wydał Wojciech Jastrzębowski obraz klimatologiczny Warszawy na podstawie spostrzeżeń 50-letnich. Organizowanie prawidłowej sieci meteorologicznej poczyna się u nas w r. 1803. „Jeszcze większe zdziwienie musi wywołać fakt, że w owym czasie rozumiano w Polsce potrzebę górskich i szczytowych meteorologicznych spostrzeżeń" (Staszic, Szaniawski; stacja na Łysej w paśmie świętokrzyskiem 1808).

Nie brak ani w aeronautyce polskiej sławy. Artur Berson, „najśmielszy i najszczęśliwszy aeronauta świata", który nawet z wysokości 11,000 m. zdołał dostarczać poprawnie spostrzeżeń (inni tracili przytomność wyżej 8.000 m.), autor monumentalnego dzieła „Wissenschaftliche Luftfahrten" (Berlin 1899—1900, trzy tomy), który wsławił się swemi „wycieczkami" powietrznemi, w Europie i w Afryce dokonywanemi, miał wprawdzie stację swą stałą w Berlinie, przy tamtejszym instytucie meteorologicznym, niemniej przeto zawsze pamiętał o tem, że jest Polakiem (rodem ze Sącza) i gorącym był patrjotą.

W zakresie etnografji staliśmy zawsze w pierwszym szeregu. Pracowników w tej nauce mnóstwo, a szereg długi zaczyna się jeszcze pod koniec XVIII w. Któraż literatura może poszczycić się dziełem takiem jak Kolberga „Lud", obejmujący 35 tomów? Towarzystwo ludoznawcze lwowskie wydało 18 tomów czasopisma „Lud"; Erazm Majewski wydał w Warszawie 20 tomów „Wisły".

Ogólny całokształt wiedzy geograficznej o Polsce ujęty jest w bardzo dobrych podręcznikach. W. Nałkowskiego, znakomitego metodyka nauczania geografji, autora „Geografji rozumowanej", podręcznik p. t. „Rys geografji ziem dawnej Polski" (1887); dwutomowe dzieło Rehmana „Ziemie dawnej Polski" (1895, 1904); S. Pawłowskiego „Geografja Polski", wytrzymałyby najsurowszą krytykę zachodnio-europejskich wymagań naukowych; obok nich I. tom Encyklopedji Polskiej, wydania Akademji Umiejętności, złożony z 31 odrębnych artykułów, oświetla wybornie naszą wiedzę geograficzną i fizjograficzną o Polsce. Ale koroną wszystkiego jest nasz „Słownik geograficzny" (tomów 14 i 2 dodatkowe, Warszawa 1880—1902), wydany szczęśliwie pod redakcją Bronisława Chlebowskiego; dzieło, „o którem tyle na pewno twierdzić możemy, że dużo wielkich i szczęśliwszych narodów może nam go pozazdrościć".

Statystyka nie jest w Polsce młodszą niż gdzie indziej. Zaczyna się od Staszica· książki „Statystyka

Polski; krótki rys wiadomości potrzebnych tym, którzy ten kraj chcą oswobodzić, i tym, którzy chcą w nim rządzić". (1807). „Zaprawdę, trudno jest sobie wyobrazić głębszą analizę stosunków, które zachodzą między krajem, jego powierzchnią, zaludnieniem i zasobami, już to dobytemi, jużto tylko potencjalnemi niż te, którą nam Staszic w swej małej, a tak bogatej treścią i myślą książce rozwinął". Odtąd studja statystyczne kwitną długo. W r. 1827 wychodzi „Atlas statystyczny Polski i krajów okolicznych" (Poznań, prawdopodobnie St. Platera), poczem następuje cały szereg publikacyj statystycznych Wielkiej Emigracji. Podupadła potem ta gałąź nauki, aż za naszych czasów podźwignąwszy się na nowo, wydaje prace pierwszorzędnej wartości. Wyszczególnia się „Zarys metod statystyki" Jana Czekanowskiego (1913), torując „nowe metody pracy, których stosowanie będzie owocnem we wszelkich gałęziach nauk przyrodniczych i geograficznych".

Rejestr polskiej pracy w dziedzinie nauk geograficznych jest długi i niepośledni treścią. Odkrycia geograficzne terytorjalne nie były nam obce, a nauka geograficzna poczyna się u nas już w wieku XV. Kartografja kwitnie od pierwszej ćwierci XVI w., a wbrew trudnościom zdobywa się kilkakroć na dzieła znakomite. Rozbitki porozbiorowi podnoszą wielce stan geografji; często stają się inicjatorami pracy naukowej w danym obszarze. Przedsiębiorczości nie brakowało, ale brakowało sposobności dobrej ; to też chodzili Polacy w obcą służbę, i wsiąkali w obcy ruch naukowy.

Możemy śmiało uważać w tej dziedzinie zdatność naszą za pierwszorzędną, skoro my, nie mający własnej żeglugi pomiędzy częściami świata, otwarliśmy jednak dla nauki niejedną krainę; ścisłe badania rozpoczęliśmy nader wcześnie, i to z wynikami pierwszorzędnemi a trwałemi; wreszcie umysłowość polska wyprzedzała wielką reformę geografji przez Richthofena i Rittera, a to w osobie genjalnego Kołłątaja. Pierwszorzędna zdolność na-

ukowa roztopiła się w polityce, bo nastał dla Polaków czas, do którego stosować musieli patrjoci zasadę, primum vivere, deinde philosophari. Wzgląd ten powtarzał się następnie przez cały wiek XIX. Nie wyjątkowy to wypadek, lecz istny symbol, że W. Polowi danem było zaledwie przez pięć lat zajmować się systematycznie geografją. Pomimo wszelkie przeciwności możemy być zadowoleni. Jeżeli w okres odzyskanej niepodległości wniesiemy nieuszczuploną zdatność naszą, a niepodległość dostarczy nam dostatecznie sposobności do systematycznej, spokojnej pracy naukowej, możemy mieć najlepszą otuchę, że zdolności nasze rozwiną się i zabłysną nowemi odkryciami naukowemi.

Przejdziemy teraz do nauk humanistycznych, zaczynając je rejestrować od tego, co było w Polsce najpopularniejsze: od łaciny.

4. Nauki humanistyczne.

Na przejściu z wieków średnich do nowożytnych nadaje cechę kulturze europejskiej przemożny prąd umysłowy, zwany humanizmem. Można powiedzieć, że Europa sięgała dotąd, dokąd humanizm (nieznany Rosji); narody zaś liczyły się do współudziału w kulturze europejskiej w stosunku prostym do przejęcia się „prądem odrodzenia".

W Polsce humanizm jest wcześniejszy niż w Niemczech, a czerpaliśmy go wprost z Włoch, bez czyjegokolwiek pośrednictwa. Niedarmo Eneasz Silvius Piccolomini (późniejszy papież Pius II) w liście do biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego z r. 1450 wyrażał podziw dla wykształcenia Polaków, wyprzedzających Niemców blaskiem łacińskiej erudycji.

Już w najstarszych kronikach polskich pełno cytat z autorów klasycznych, a poczucie pięknej formy języka łacińskiego znać od początku XV wieku. Bawił w Krakowie w r. 1424 słynny Francesco Filelfo, a w r. 1433

mamy już w krakowskim Jagiellońskim uniwersytecie wykład Bukolik Vergiliusa, objaśnianych przez Grzegorza z Sanoka (późniejszego arcybiskupa lwowskiego). W sześć lat potem przybywa do Krakowa od soboru bazylejskiego Demetrius z Konstantynopola, i odtąd datuje początek studjów greckich. Z początkiem XVI w. uczą już greki w krakowskich szkołach parafjalnych. Od r. 1500 liczą się krakowskie wydania klasyków, szczególniej Cicerona, sławny zaś wydawca wenecki Aldus znajduje w Krakowie stały zbyt na swe wydawnictwa greckie.

Przebywali w Krakowie tacy słynni swego czasu mężowie, jak Włoch Filip Buonacorsi Kallimach, Niemiec Konrad Celtes; profesorami byli Ioannes Silvius, Constanzo dei Cancellieri, Piotr Illicinus, Franciszek Stankar z Werony (ten do hebrajskiego); kształcił się zaś w krakowskim uniwersytecie szereg cudzoziemców, którzy mieli potem odegrać wybitną rolę w humanizmie swych krajów (Bebel, Turmair, Rothwyla i i.); tu uczyli się greczyzny Gaspar Ursinus Velius i Szwajcar Rudolf Agricola junior.

Poetów łacińskich wydaliśmy długi szereg, począwszy od Pawła z Krosna, który zjawia się w Krakowie w r. 1500 — aż do Macieja Sarbiewskiego, „wtórego Horacego“ (1595—1640), którego „Lyricorum libri IV“ liczyły 40 wydań w różnych stronach Europy, a jeszcze na początku XIX wieku czytywane były w uniwersytetach angielskich obok starożytnych klasyków.

Starożytność nęciła Polaków nadzwyczaj. Słynęły po świecie książki Jana Zamoyskiego „De senatu romano“ (Venetiis 1563) i Pawła Goślickiego „De optimo senatore“ (Venetiis 1568)[1]). W Polsce posłowie sejmowi „trybunami“ się zwali, a koło dostojników państwa zestawiano z rzymskim senatem. To też popularność studjów klasycznych była nadzwyczajna, a język łaciński stał się

[1]) Podobno szekspirowski Polonius jest refleksem lektury Goślickiego.

potocznym całej polskiej inteligencji, co utrzymało się aż do początków wieku XIX. Kiedy po rozbiorach w zaborze austrjackim zwracano się do cesarza Leopolda II. w r. 1790 z projektem uznania pewnych praw ludności, proszono o język urzędowy łaciński (zamiast niemieckiego), skoro polski uważał rząd zaborczy za niedopuszczalny. A dzisiaj Polak Bonawentura Graszyński jedyny w Europie włada klasyczną greczyzną tak dalece, iż pisuje w tym języku i w metrach antycznych tragedje klasyczne. A któż dziś w całej Europie (prócz Anglji) potrafi lepiej wprowadzać na scenę nowożytną Sofoklesa, Eurypidesa, jak krakowski filolog Michał Bogucki?

Zdawałoby się, że nadzwyczajne takie zamiłowanie musi wieść do twórczości naukowej w tejże dziedzinie. A jednak nie. Filologja klasyczna — to nie polska nauka. Znawców przedmiotu, pierwszorzędnych często, nie brak (obdarzało się nimi nawet ościennych), ale jednego tylko wydaliśmy filologa, posiadającego europejskie znaczenie naukowe. Był nim Andrzej Patrycy Nidecki (1522—1587), uczeń Robortella w Padwie i Sigoniusa, towarzysz francuskiego Mureta, słynny wydawca fragmentów Cicerona (Wenecja 1561, drugie wydanie pomnożone, a przygotowane we wsi Bierzanowie pod Krakowem, Wenecja 1565). Anglik Turner pisał wówczas do niego: „Apollo es, non coniectator", a wartość tej pracy uznało jeszcze 1862 r. niemieckie edytorstwo (Karol Halm).

Potem bywało pracy filologicznej niemało (pełno prac polskich i w zagranicznych czasopismach naukowych), tłumaczono sporo, komentowano wiele i wcale dobrze, ale twórczo filologji nie zbogacano. Sam Adam Mickiewicz był także filologiem, a wykłady jego literatury łacińskiej w uniwersytecie w Lozannie (1838—1840) pozostawiły po sobie jak najlepszą sławę. Alfons Walicki († 1858) wykładał filologję w uniwersytecie rosyjskim w Charkowie, a w Kazaniu Józef Kowalewski († 1878).

Ale dopiero w ostatnich czasach nabiera polskie studjum filologji klasycznej zakroju europejskiego. Orygi-

nalną a pełną wielkich walorów jest na wielką skalę zakrojona historja literatury rzymskiej Kazimierza Morawskiego. Wielkiej sławy zażywa Tadeusz Zieliński, profesor dawniej uniwersytetu petersburskiego, teraz warszawskiego, najlepszy dziś w Europie znawca Cicerona. Z prac nad mitologją zasłynął Witold Klinger, profesor uniwersytetu kijowskiego. Uznaniem powszechnem, zwłaszcza w Anglji, cieszy się chronologja dzieł Platona, układu Wincentego Lutosławskiego. Stanisław Witkowski odznaczył się jako znawca późniejszego języka greckiego, t. zw. „koiné". Ale specjalnością polską staje się patrystyka grecka IV wieku, dzięki dwom profesorom krakowskiego uniwersytetu, Adamowi Miodońskiemu (†1913) i Leonowi Sternbachowi. „Meletemata patristica" krakowskiej Akademji Umiejętności, poświęcone pracom przygotowawczym do krytycznego wydania tych Ojców Kościoła, stały się wydawnictwem europejskiem, a podobnież zdobywa sobie uznanie „Archivum philologicum", tamże wydawane. Tymże śladem kroczy Gustaw Przychocki, specjalista do św. Grzegorza z Nazjanzu. Sternbach używa też opinji największego po śmierci Krumbachera (†1910) znawcy bizantynizmu.

Jak na dużą oświatę łacińską w Polsce jakżeż mało nauki filologicznej?! Nigdzie w Europie nie mówiono tak biegle po łacinie jak w Polsce, gdzie łacina nieledwie stała się na nowo językiem żywym, będąc w powszechnem użyciu, a jednak uczony latynista należał do rzadkości. Popularność przedmiotu nie pozostaje wcale w związku z naukowem uprawianiem go; co stwierdziwszy na tem miejscu, nie będziemy się potem dziwili objawom analogicznym przeciwnego porządku, mianowicie że najmniej popularny w społeczeństwie przedmiot może kwitnąć właśnie w jego dorobku naukowym. Kto poświęca się sprawom oświaty, winien zdawać sobie dobrze sprawę z tego; gdyby uwzględniano te fakty, popularyzacja wiedzy byłaby szybszą i dokładniejszą.

Pozostawmy jednak tę kwestję na potem, aż dokonamy sumarycznego przeglądu ruchu naukowego w Polsce.

Również daleko, jak w popularnej łacinie, a może nawet dalej, zaszliśmy w młodej nauce językoznawstwa, wyrobionej dopiero w ciągu drugiej połowy XIX wieku, a która nie budziła nigdy większego zajęcia u ogółu polskiej inteligencji.

Początki tej nauki niestare, nie sięgają poza pierwsze dziesiątki lat wieku XIX. Wiadomo, że epokę stanowią tu studja nad sanskrytem. Były i u nas, i to stosunkowo bardzo wcześnie, boć jeszcze Walenty Skorochod Majewski (1764—1835) założył swoim prywatnym kosztem drukarnię sanskrycką w Warszawie, a specjalne do tego czcionki w Warszawie też zostały odlane. Drukował, wydawał Majewski do roku 1830. A potem? Jakżeż wymowna data. Po upadku powstania nastąpił nie tylko polityczny upadek sprawy polskiej... Urwał się wątek jak w tylu innych rzeczach, aż dopiero za dni naszych powiodło się wznowić studja sanskryckie w Krakowie (Leon Mańkowski), wnet potem i we Lwowie (Andrzej Gawroński). Jak dotychczas, mamy więc dwa niejako epizody naukowe w tej dziedzinie, a epizodyczność w nauce?!

Orjentalistyki próbowało się także, często zaszczytnie. Wyrobiła się w Polsce „cała szkoła dragomanów i tłumaczy polskich, tudzież pisarzy oryginalnych o Wschodzie. Dzięki temu już na początku XVI w. wypowiada pierwszy Miechowita przynależność Madiarów do ich braci uralskich, a taki Otfinowski daje nam pierwszy w Europie przekład Saadiego. Wiek XVII przysparza nauce gramatyka i leksykologa tureckiego języka, arabskiego i perskiego w osobie Menińskiego, na którym się oparli przeważnie wszyscy późniejsi słownikarze europejscy, a którego dzieła dziś jeszcze mają wartość niepospolitą. Prawie współczesny z nim Krusiński pierwszy podaje dzieje wzajemnych stosunków Persji i Afganista-

nu, tłumaczone z łaciny na inne języki europejskie. Po wieku XVIII, wieku pracy orjentalnej w usługach polityki, po założeniu szkoły orjentalnej w Konstantynopolu i kilku katedr języków wschodnich w Połocku, Warszawie, w Wilnie, występują już całe zastępy orjentalistów polskich, zjawia się jeden z pierwszych i najcelniejszych przekładów poematów Szanfary; występuje Majewski, jeden z najwcześniejszych w Europie znawców sanskrytu; Kossowicz wyprzedza innych w badaniu Awesty i staroperszczyzny; wreszcie cała plejada badaczy jak Sękowski (egiptolog) i Muchliński turkolog; Chodźko i Żaba iraniści, Kazimirski arabista, Józef Kowalewski, słynny mongolista, Kleczkowski sinolog i wielu, wielu innych, pracujących często w obcych językach, a w ich liczbie i ci, którym sami Rosjanie przyznają, że podłożyli podwaliny dla orjentalistyki w Rosji, jak znów współczesny nam i jeden z młodszych dzisiejszej plejady, ks. Władysław Szczepański kładzie świetne podwaliny palestynologji w Rzymie (profesor Instytutu Biblijnego tamże i autor nowego na język polski przekładu epokowego czterech ewangelij). Głośną, acz doraźną była wyprawa archeologiczno-artystyczna hr. Lanckorońskiego i jego zespołu do Małej Azji". Jan Grzegorzewski założył w Konstantynopolu i Sofji „Hyacynthaeum"[1]), instytucję do badań orjentalistycznych i począł wydawać w Krakowie „Rocznik Orjentalistyczny".

Chociaż od XVI w. ciągną się długim szeregiem polskie prace orjentalistyczne, chociaż nie brak wśród nich dzieł o poważnym zakroju naukowym, jednakżeż cierpi to wszystko również na epizodyczność. Można do tych uczonych zastosować w pewnym znaczeniu mickiewiczowskie, że każdy z nich był „sam sobie sterem, żegla-

[1]) Na cześć św. Jacka, „pierwszego orjentalisty polskiego", którego Grzegorzewski uważa za autora t. zw. Kodeksu Kumańskiego w bibljotece św. Marka w Wenecji, wydanego przez Akademję budzyńską.

rzem, okrętem", lecz nie ze samolubstwa bynajmniej, tylko dla braku podkładu naukowego w społeczeństwie, boć warunki polskiej pracy kulturalnej w XIX wieku nie mogły podkładu takiego dostarczyć. Wszak to uczeni ci musieli nawet pisywać przeważnie w obcych językach.

Dopiero za naszych czasów poprawiły się nieco stosunki. Skazańcy polityczni, przyczyniający się znakomicie do zbadania języków Dalekiego Wschodu, wśród których najwybitniejsi Dybowski, Bronisław Piłsudski, Sieroszewski, Edw. Piekarski znajdywali już dla swych prac zrozumienie w kraju i punkt oparcia w krakowskiej Akademji Umiejętności. W ostatnich czasach powstały katedry orjentalistyki w Krakowie (Tad. Kowalski, języki semickie i kultura islamu) i we Lwowie (Mojżesz Schorr, semitolog). Godzi się przypuścić, że w niepodległej Polsce nie będą już trudy ich skazane na rolę nowych... epizodów.

W slawistyce ustępujemy Czechom i stoimy bodaj na samym szarym końcu pośród pobratymców. Ale i w polonistycznych ściślejszych badaniach (nie dających się zresztą oddzielić od ogólno-slawistycznych) dawał nam się we znaki brak ciągłości, i dopiero w ostatnich czasach zaświtała nadzieja, że powzięty świetny rozpęd stanie się już początkiem systematycznego wreszcie kroczenia ku dociekaniom naukowym.

Studja językowe zaczynają się od kwestji ortograficznej, podjętej już w wieku XVI, potem słabną, aż dopiero podejmuje je na nowo sławna swego czasu Gramatyka Kopczyńskiego (1780), poczem następuje dzieło Józefa Mrozińskiego „Pierwsze zasady gramatyki języka polskiego" (1822), cenne dlatego, że uwzględnia współczesny stan nauki francuskiej, angielskiej, i niemieckiej. Odtąd też nie ustawały już prace około gramatyki. Metoda historyczno-porównawcza (Boppa) długo jednak kołatała napróżno do polskich uczonych, aż przyswoił ją Hipolit Cegielski (1842). Rok 1831 stanowi i w zakresie językoznawstwa polskiego fatalną datę pustynną. Dopiero

w Szkole Głównej wykłady Przyborowskiego (1863 do 1869) wytwarzały nowy jakiś punkt stały, ale wypadły na schyłek Szkoły, gdy Warszawa miała być zamienioną w istną pustynię naukową. Szczęściem w krakowskiej Akademji Umiejętności powstało po r. 1873 kilka rodzajów wydawnictw stałych, poświęconych językoznawstwu. Profesor krakowski, Lucjan Malinowski, stał się twórcą dialektologji polskiej, w której następnie odznaczyli się Jan Karłowicz, Hanusz, Zawiliński, Kryński, znakomitością zaś stał się Kaz. Nitsch.

Badania leksykalne postawił wysoko Linde, ale potem długa pauza aż do Karłowicza († 1903) z jego „Słownikiem wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia“ (1894—1904) i „Słownikiem gwar polskich“ (tom VI. w r. 1911). Stan nauki polskiej reprezentuje obecnie wielki nowy „Słownik języka polskiego“, wychodzący w Warszawie i stąd zwan krótko „warszawskim“, ułożony przy udziale licznych pracowników pod redakcją Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego. Ciekawe jest dla historji nauk zestawienie go ze Słownikiem Lindego: „Pomnaża skarbiec Lindego nie tylko licznemi uzupełnieniami z języka dawnego, ale także i tą bardzo znaczną częścią dorobku językowego, którą język nasz wzbogacił się w ciągu całego stulecia XIX, stwarzając tysiące nowych wyrazów i wyrażeń, w których się odzwierciedla rozwój kultury tego stulecia, wpływ zasadniczych przeobrażeń dziejowych i do gruntu zmienione warunki bytu narodu“[1]).

Ostatnie czasy poszczycić się mogą dwoma całokształtami gramatyki polskiej: Romana Pilata (wykłady w opracowaniu Krčeka, 1908) i A. Kryńskiego (1910).

---

[1]) Adam Antoni Kryński: Szkic językoznawstwa polskiego od początku wieku XIX (Księga pamiątkowa ku uczczeniu 250 rocznicy założenia uniwersytetu lwowskiego przez króla Jana Kazimierza r. 1661, wydana przez członków uniwersytetu, tom I, Lwów 1912).

Uwzględniając niewesołe warunki pracy naukowej w Polsce, możnaby z tego dorobku być zadowolonym, bo stwierdza, że nie brak zdolności i że ludzie się znajdą, uprawnia więc do otuchy, że w lepszych warunkach zdołamy dorównać „szczęśliwszym narodom" (trzymając się utartej formuły), ale bądź co bądź jest tego wszystkiego mało. Z jednym wyjątkiem.

Istnieje dziedzina jedna w polskiem językoznawstwie, która pomimo że nie należeliśmy do „szczęśliwszych narodów", zwraca uwagę i obfitością prac i nader wysokim poziomem naukowej metody i bogactwem wyników. Jakaś szczególniejsza zdolność do zajmowania się zasadniczemi momentami językoznawstwa, w których roztrząsaniu rozwinęli nasi uczeni znaczną twórczość; okoliczność mogąca służyć sama jedna za dowód, że nam zdolności do uprawiania językoznawstwa wcale nie brak, i że rodzaj naszych zdolności nadaje się, owszem świetnie nawet do przyczynienia nauce tej postępu.

Przypada w Polsce „w porównaniu z ogromną literaturą lingwistyczną w Niemczech, bardzo wielki stosunkowo procent na zajęcie się zasadniczemi sprawami językoznawstwa, na twórczą myśl naukową nad istotą i funkcją zjawisk językowych".

A na czele kroczy tu nestor filologów polskich, Jan Baudouin de Courtenay. „W każdym razie i bez żadnej przesady zaliczyć go można do szeregu najwybitniejszych językoznawców... oryginalność i śmiałość myślenia oraz bogactwo pomysłów... myśliciel w zakresie naukowego poznania... wnika w psychiczną i socjalną stronę języka". Zaczął w r. 1903 publikować swe prace o psychologji języka, z których najważniejsze trzy: „O psychicznych podstawach zjawisk językowych" (1903), „Próba uzasadnienia samoistności zjawisk psychicznych na podstawie faktów językowych" (1904) i „Charakterystyka psychologiczna języka polskiego" (dla Encyklopedji Polskiej wyd. Akademji Um.). Obok tego staje klasyczna praca metody Baudouina: „Próba teorji alternacyj

fonetycznych". Poza tem czynnym był w każdej niemal gałęzi językoznawstwa.

Za jego przykładem znać u całego szeregu polskich uczonych wielkie zajęcie do kwestyj psychologji językowej (Kruszewski, Appel, i i.); wyrabia się jakoby polska specjalność w językoznawstwie.

Typowym przykładem wielkiego rozpędu twórczego jest działalność naukowa Jana Rozwadowskiego. Sformułował on „prawo dwuczłonowości", stwierdzające, że podstawą każdego tworu językowego, o ile jest wyrazem jasnej apercepcji, jest dwuczłonowość; prawo ilościowe rozwoju językowego, wynikłe ze spostrzeżeń, że różnica między parami tworów językowych musi przedstawiać pewną ilość stałą, a gdy spadnie poniżej tej miary, jeden z tworów jako samodzielny ginie; jeżeli zaś posunie się ponad tę miarę, powstaje nowy, samodzielny twór; tudzież prawo „dysautomatyzacji", stwierdzające, że zasadniczą przyczyną ewolucji w twórczości nie tylko językowej, lecz całej kulturalnej, jest ciągła potrzeba odświeżania zużywającego się przez automatyzację czynnika uczuciowego („Ruch filozoficzny", w tomie I, 1911).

Prace około historji języka polskiego zaczynają się od dziełka Rakowieckiego „Rys historyczny początku i stanu języka słowiańskiego i polskiego" (1822), ale nastąpiła dłuższa przerwa, poczem gałąź ta rozkwitła dzięki Nehringowi, Kalinie, Baudouinowi, Brueckner owi, Łosiowi (twórcy Słownika staropolskiego). Brueckner i Łoś nie na tem jednem celują polu, a niesprawiedliwością byłoby nie wymienić tu również nazwiska Ułaszyna.

Warszawskie „Prace filologiczne" i krakowski „Rocznik slawistyczny" wyrobiły sobie uznanie w świecie naukowym i poza Polską. Jest jedno jeszcze czasopismo, którem wartoby zainteresować jak najszersze sfery inteligencji polskiej, przeznaczone dla nie-filologów, mianowicie znakomicie redagowany „Język polski", wydawnictwo komisji języka polskiego Polskiej Akademji

Umiejętności w Krakowie, którego filarem i duszą jest prof. Nitsch, najlepszy popularyzator językoznawstwa, a powaga w dialektologji.

Pokrewną metodycznie filologji jest nauka historji, opierająca się dotychczas w znacznej części na metodzie filologicznej. Tej pokrewności historja nigdy nie zatraci, boby podrywała fundamenty własnej budowy; chcąc atoli budowę swą rozwinąć, musi dbać o inne jeszcze pokrewieństwa. Nowoczesny postęp historjografji wciąga w jej ramy coraz bardziej nie tylko prawo, ale całą grupę nauk socjologicznych, a zespół ten doprowadzić może do epokowego w nauce przewrotu, niemniejszego niż niegdyś ustalenie metody indukcyjno-empirycznej, skrystalizowanej w dziełach Bacona. Obyśmy nie stali na uboczu tego nowego wielkiego szlaku wiedzy!

Z początku była historja sztuką piękną, sztuką ułożenia pięknego utworu piśmienniczego. W Polsce dokonywał się rozwój historjografji po takiej samej linji jak wszędzie indziej. Gallus pisze leoninami nie bez artystycznej racji, Kadłubek układa staranne kompozycje stylistyczne, u Długosza pozostaje jeszcze za przykładem Liviusa retoryka. Ale już u Kadłubka przewija się inne pojmowanie historji, mianowicie, jako magistra vitae; układa on niejeden ustęp tendencyjnie, a całe dzieło posiada wybitną cechę dydaktyczną. W dziele Długosza pełno obydwóch tamtych pierwiastków historjografji, ale na pierwszy plan wysuwa się pierwiastek nowy, trzeci: dążność do odkrycia prawdy. Kromer, Stryjkowski starają się jak najwięcej pracować „źródłowo"; a czyż rymotwórcze pisma Twardowskiego nie posiadają wartości źródłowej, straciwszy wszelką artystyczną? Trzy główne pierwiastki historjograficzne powstały kolejno z biegiem czasów, lecz raz powstawszy, nie przestawały już nigdy istnieć; wikłają się i zachodzą wzajemnie na siebie w dziełach dalszych generacyj. Czyż w naszym „szkicu historycznym" od Szajnochy do Kubali nie złączyły się wszystkie?

Pojmowanie Prawdy jest jednakże rozmaite i ma ciekawą historję, gdyż oblicze jej nie odrazu odsłaniało się całe ludziom myślącym. Najidealniejsze duchy ludzkości składały się długiemi pokoleniami na stopniowe zdobywanie dostępu do tej najwyższej kategorji człowieczeństwa, do której szczytu wspinać się będziemy bez końca, nigdy go tu nie osięgając. Jak żadna doskonałość, tak też ani doskonała Prawda nie może być udziałem śmiertelnych; danem nam jest tylko dążenie do niej i zbliżanie się ku niej. O to chodzi, by coraz bliżej być Prawdy, to też wszelkie ulepszenie sposobu zbliżania się, wszelakie umożliwienie lepszego poznawania jej stanowi najwyższy rodzaj zasługi około ludzkości (stąd wartość metody i każdego, choćby drobnego narazie, jej wydoskonalenia).

W zakresie sztuki historjograficznej poczyna się dążenie do prawdy od zakazu moralnego pisania nieprawdy. Gallus przenosi milczenie nad nieprawdę i daje czytelnikowi wyraźnie do poznania, kiedy dla miłości prawdy wypada mu milczeć. Długosz lubuje się już w docieraniu do prawdy tak dalece, iż nie szczędzi mozołu, czasu ni grosza na ten cel. Następcy jego nie obniżali poziomu historjografji polskiej, wznoszącej się do stanowiska nauki. Nie kłamali. Ale nasunęła się wątpliwość nowa, czy nie może zachodzić obowiązek zatajenia prawdy w całości lub częściowo? Naruszewicz dopiero opowiedział się przy bezwzględnym kulcie prawdy, Lelewel doszedł do tegoż przekonania — ale potem cofnęliśmy się. Wśród nieszczęść porozbiorowych, „utraciwszy rozum w mękach długich", doszło się do tego, iż brano za niegodziwca historyka, który ujemne strony przeszłości badał narówni z dodatniemi. W reakcji nieuniknionej przeciw takiemu pojmowaniu rzeczy zabrnęło się znowu do nierozumnego przesądu, jakoby krytycyzm polegał wyłącznie na udzielaniu nagan — i tendencyjne upiększanie dziejów narodowych szło o lepsze z tendencyjnem oszpecaniem ich. Magistra vitae poszła na służbę indywidu-

alnych zapatrywań autora. Dużo z tego wypłynęło zła (jakoż nie mogło obyć się bez tego), ale bądź co bądź sama możliwość istnienia tendencyjnej surowości świadczy o gotowości uznania prawdy, choćby z własnem upokorzeniem, a zatem stanowi dowód silnego pożądania prawdy. Mieściły się w tem zarazem wymagania względem samych siebie wzrastające coraz, a wraz z tem wzrastające poczucie obowiązku i odpowiedzialności; sama choćby niechęć do szowinizmu ma wielką wartość. Ale to ze stanowiska społecznego; z naukowego jednakże było to błędem, dużym błędem.

Nie wolno absolutnie ogłaszać dzieł historycznych, układanych specyficznie w celach dydaktycznych. Pisarza historycznego nie obchodzi to nic a nic, czy z dzieła jego będzie pożytek w życiu publicznem i jaki. Wskazywanie pożytków nie do niego należy. On ma dbać tylko o prawdę naukową, którą ktoś inny zamienić może na „nauczycielkę życia". Z zawiłości zmąconych źródeł wykrzesz prawdę całą, a inni wykują z niej broń potrzebną do życia; historyk jednak nie jest ludwisarzem.

Niema prawdy innej, jak cała prawda; to też wszelkie zatajanie jest popełnianiem kłamstwa. Podawanie części tylko prawdy jest chytrością kłamcy, który nic nie kłamie niby, bo tylko prawdę mówi; ale częściowa prawda bywa kłamstwem najgorszem. W nauce nie istnieją zaś absolutnie żadne a żadne względy, któreby mogły robić z zatajania prawdy obowiązek. Dzieło, przemilczające umyślnie jakąkolwiek część prawdy, nie jest dziełem naukowem. N a u k a a p r a w d a t o j e d n o.

Nie należy przeczyć historji tytułu do „nauczycielstwa życia", ale sprawa cała (o którą toczył się w Polsce niedawno spór znaczny) nie dotyczy zgoła p i s a n i a dzieł historycznych.

Pod względem naukowym wytrzymuje całe średniowiecze naszej historjografji doskonale porównanie ze stanem jej na Zachodzie; Długosz zaś wart więcej od współczesnych historyków włoskich i francuskich. Kromer,

Stryjkowski, Wapowski byliby znakomitościami również gdziekolwiek, a Piasecki († 1649) celuje chwytaniem związku przyczynowego tak dalece, iż zdaje się nieraz należeć do jeszcze późniejszych czasów. Potem nastaje jednak upadek, i to niski; przerywa się tradycja naukowa. Nagle działalność Naruszewicza (i części jego plejady) stanowi kartę jeszcze zaszczytniejszą w stosunku do Zachodu, niż zestawienie Długosza z tamtymi. Naruszewicz okazał się mistrzem ponad swoje czasy, a zanosiło się na powstanie szkoły... gdy znów przerwano nam ciągłość pracy. Tem większego podziwu godzien Lelewel, który okazał się równym talentem i wiedzą największym w Europie, chociaż niewiele miał w życiu sposobności do rozwijania talentu. Zarabiał na życie katalogowaniem prywatnych zbiorów monet, żeby literalnie nie umrzeć z głodu. Po nim idzie Szajnocha, który począł mieć zapewnione skromniutkie przynajmniej utrzymanie wtedy, kiedy zaczął... tracić wzrok.

Warunki dla historyków jak wogóle dla wszystkich uczonych polskich nastały (wśród prześladowania polskiej kultury) tego rodzaju, iż uczony polski zdołał z największem wytężeniem sił wydobyć z siebie ledwie minimum tego, co w nim tkwiło i na co go byłoby stać, gdyby się znalazł w warunkach korzystnych dla rozwoju swego intelektu. I aż do dnia dzisiejszego tragedją i klątwą każdego zdolniejszego uczonego polskiego jest ten przymus okrutny poprzestawania na minimum możliwej wydatności własnej pracy. Odzyskanie niepodległości nie może temu w mig zaradzić, boć organizacji „świata naukowego“ nie improwizuje się, ale młodsi mają już bądź co bądź warunki takie, o jakich starszym ani się marzyło. Jeżeli młodsze pokolenie uczonych nie uroni nic z usilności np. Korzona, jeśli mieć będzie talenty godne np. Łaguny, i erudycję tych obydwóch, — toć w zakwitających nam obecnie warunkach pracy naukowej, które tamtym wydałyby się wprost cudownemi, podąży się do maximum wydatności i historjografja polska dogoni, co za-

niedbała, szybko, a zacznie i przeganiać innych zapewne. Wyobraźmyż sobie Lelewela w dzisiejszych warunkach!

Odzyskanie niepodległości zapewni nauce rzecz najważniejszą: ciągłość, możność utrzymania tradycji naukowej, tworzenia „szkół".

Wszak to Szajnocha był samoukiem, podobnież Szujski i Kalinka i wielu innych, boć w Polsce nie można się było nigdzie kształcić na historyka. Rymopisami byli i Szajnocha i Bielowski i Szujski. Dopiero po Szujskim († 1883) zaczyna się na nowo korowód takich, którzy zamłodu uczyli się metody historycznej, dzięki repolonizacji uniwersytetów krakowskiego i lwowskiego. Po Szujskim dopiero zaczyna się też wyjeżdżanie zagranicę na dalsze wydoskonalenie się w studjum historycznem, a że dla powodów wcale nienaukowych zresztą jeździło się niemal wyłącznie do Niemiec, nastąpiły niebawem fatalne ujemne skutki niemieckiej jednostronności, o czem była już mowa. Co gorsza, jeżdżono na krótkie terminy i dziwnie wcześnie wracano z uchwyconym i trzymanym w garści „ostatnim wyrazem nauki". Zaczęły się czasy, które możnaby nazwać „improwizacjami naukowemi", bo występowano z nadzwyczajnym pośpiechem z niebardzo przemyślanemi doktrynami. „Krytycyzm" stosowany był do wszystkiego prócz tego, co miało markę niemiecką. Coś owoś uchwyconego z nauki niemieckiej stosowało się naprędce do historji polskiej, i robił się z tego odrazu nowy „kierunek naukowy". Tak było np. z doktryną Bobrzyńskiego, zaczerpniętą od Waitza.

Obok niemożności utrzymania tradycji naukowej drugą przeszkodą należytego rozwoju historji była dążność, żeby studjum historyczne dawało realne zyski polityczne, żeby mianowicie odkrywszy przyczyny upadku Polski, podało tem samem sposób odzyskania niepodległości. Traktowano historję, jak medycynę: uprawiać patologję dla terapji. Robiło się to gorączkowo, żeby dojść prędko do praktycznego wyniku, tj. odkryć sposób na wznowienie państwa polskiego. Wiała z tych prac miłość Ojczy-

zny i niepospolity nieraz duch obywatelski, ale sprawa była naukowo chybiona, a przytem wykonywana błędnie. Na dnie sprawy tkwiło przeświadczenie, że historja może być nauką stosowaną. Jest w tem coś istotnego, owszem; ale nie można żadnej nauki uprawiać wyłącznie jako stosowanej, bo w takim razie po pewnym czasie nie byłoby z czego czerpać i „stosować". Do wynalazków droga jedyna przez odkrycia, tj. przez naukę czystą, nie troszczącą się o zastosowanie praktyczne. Za mało było w Polsce czysto naukowych studjów historycznych, iżby dały się robić na ich podstawie wynalazki polityczne, to też te, które niby porobiono, okazały się wszystkie nie do użytku.

Uprawiano atoli także historję „niestosowaną", i to z wielkiemi sukcesami. Epokę stanowi pod tym względem założenie Akademji Umiejętności, która nadała wydawnictwu źródeł historycznych u nas metodę i program. Nie zabrakło znamienitych wydawców, z Wincentym Zakrzewskim na czele, edytorem niezrównanym, dorównywającym najlepszym europejskim. Na podstawie dobrych wydawnictw powstawały dobre prace monograficzne, w czem prym trzymał fenomenalny talent Tadeusza Wojciechowskiego, a pośród młodszych Karol Potkański. Zdobyliśmy się też w krótkim stosunkowo czasie na odrobienie od lelewelowskich czasów nagromadzonych zaległości w t. zw. naukach pomocniczych, których stan nadaje się najlepiej na kryterjum ogólnego stanu nauk historycznych. Tu zdziałali wiele, na podziw wiele Piekosiński, po nim Krzyżanowski Stanisław, z żyjących Semkowicz.

Ruch naukowy historyczny wzmaga się, badania archiwalne postępują, ilość udatnych rozpraw naukowych rośnie z roku na rok, prace wybitne nie należą już do rzadkości. Długoby trzeba wyliczać, żeby wymienić imiona zasłużonych historyków, (choćby ograniczyć się tylko do zmarłych). Nie o to chodzi nam jednak, lecz tylko o wykrycie cech nauki polskiej.

Większość historyków polskich okazywała od czasów Wielkiej Emigracji i okazuje dziś jeszcze skłonność do nadzwyczajnego upraszczania sobie zjawisk historycznych. Często (zwłaszcza u Bobrzyńskiego) znać całkowite niemal ignorowanie tego, co stanowi właśnie nieodłączną cechę wszelkich zjawisk życiowych: zawiłość, która jest tem większą, im bardziej życie się doskonali, a którą można rozwiązywać tylko mozolną indukcją.

Nauki prawnicze odznaczają się od dłuższego czasu (zwłaszcza w Niemczech) żywiołową jakąś niechęcią do zawiłości zjawisk życia. Tkwiącą w metodzie prawniczej dążność do upraszczania doprowadzono do przesady, nieraz do absurdu; wszak marzono o wprowadzeniu do prawa metody geometrycznej! Niegdyś Lelewel celował wykształceniem prawniczem, lecz potem należało ono do rzadkości wśród naszych dziejopisów, i dzięki temu niedostatkowi łatwo było popaść w jednostronność przy pierwszem ponownem zetknięciu się z metodą prawniczą. Studjum wydarzeń historycznych połączył z kwestjami prawniczemi najlepiej Oswald Balzer, daleki od wszelkiej jednostronności i nieskłonny do hołdowania dedukcji; jest to uczony stanowczo najlepiej przygotowany do roztrząsania konstrukcyjnych zagadnień dziejowych, obcy wszelkim improwizacjom naukowym. Obok niego staje Władysław Abraham, drugi filar polskich studjów prawniczo-historycznych. Nie brak wśród młodszego pokolenia zdolnych prawników, ani też nie brak im zainteresowania do kwestyj historycznych, podczas gdy pośród historyków niewszyscy jeszcze posiadają wykształcenie prawnicze. Socjologji dziejopisowie nasi niemal że nie tknęli.

Można skutkiem tego zarzucić polskiemu ruchowi historycznemu pewną ciasnotę. Na usprawiedliwienie tego znajdzie się mnóstwo okoliczności łagodzących, ale fakt faktem. Cierpimy na zacieśnienie metodyczne i na

zacieśnienie treści, ograniczając się niemal wyłącznie do badań około historji polskiej.

Samo zaś prawo cierpiało w okresie porozbiorowym na brak warsztatu. Niegdyś prawnicy polscy składali dowody, że nie napróżno dano im być obywatelami wielkiego państwa. Możemy się szczycić takimi mężami jak Jarosław Bogorya Skotnicki i Janusz Strzelecki lub Jan Rzeszowski, współpracownicy ustawodawstwa Kazimierza W., a cóż dopiero Pawłem Włodkowicem z Brudzewa, który na początku wieku XV wskazuje nowe zasady prawa międzynarodowego[1]). Od Taszyckiego do Andrzeja Zamoyskiego i twórców Trzeciego Maja nie brakło nam zdolnych kodyfikatorów. Dwa razy w ciągu tych wieków zmieniliśmy poglądy na państwo i społeczeństwo: po Brudzewskim nastał Andrzej Maksymiljan Fredro, zanim zrzucił go z piedestału Kołłątaj, a pośród tych głównych graniczników ileż odmian myśli polskiej od Modrzewskiego do Staszica! Wytworzyliśmy swe własne swoiste prawo publiczne, własne prawo międzynarodowe, oddzielaliśmy sądownictwo od administracji już w r. 1422 (przywilej czerwiński), a w r. 1791 my jedni dokonaliśmy przemiany państwa na nowoczesne bez krwawej rewolucji. Po rozbiorach, pozbawieni warsztatu państwowego, skazani na dostosowywanie się do obcych poglądów prawnych i na konieczność studjowania obcego prawa, nie zatraciliśmy jednak zmysłu prawniczego, co dobrze wróży o przyszłej naszej wydatności wiedzy prawniczej.

Obok łaciny „palestra“ dawała oświatę szlachcicowi polskiemu; zajmowanie się prawem było nader popularne, i nigdzie nie uczono młodzieży tyle prawa jak w Polsce. Wybitne zamiłowanie wiodło w tej dziedzinie do twórczości, i to znacznej, a uczony prawnik nie należał w Polsce bynajmniej do rzadkości. Nie zachodzi więc w tym

---

[1]) Grotius rozpoczął naukę tego przedmiotu; rzecz sama istniała oczywiście zawsze.

wypadku ów dziwny objaw, jaki zapisaliśmy przy filologji klasycznej, natomiast stwierdzić należy krótkotrwałość rozwoju nauk prawniczych. Rozwój ten trwa właściwie zaledwie półtrzecia wieku od połowy XIV do początku XVII wieku, od statutów Kazimierza W. do „Polityki“ Petrycego (1605), poczem nastaje zastój.[1]) Od wieku XVII brak uczoności prawniczej coraz większy, podczas gdy popularność prawa została. Kiedy nastaje odrodzenie społeczeństwa, uczoność prawnicza zrywa się z letargu niemal pierwsza, a dzieje porozbiorowe dostarczają tysiącznych dowodów, jak starannie pielęgnowano ten dział nauk, którego wybitnemu rozwojowi przeszkadzał rzeczywiście tylko brak państwowości własnej.

Jest zaś historja prawa w Polsce odmienną niż w innych krajach Zachodu. Brak prawa feudalnego, brak recepcji prawa rzymskiego i przeprowadzona do najdalszych konsekwencyj autonomja sprawiają, że prawa polskiego obcy nie rozumieją; nieporozumienie dochodzi do tego stopnia, że obcy mogą nabrać nawet mniemania, jakoby w Polsce wiedzy prawniczej zgoła nie było, nie było bowiem w Polsce tych działów prawa, z których wiedza prawnicza składa się u obcych narodów, zwłaszcza u Niemców. Mniemanie cudzoziemców przeszło do uczonych polskich i (nieprawdopodobne a jednak prawdziwe) można się u prawników uczonych polskich spotkać często ze zdaniem, jakoby w Polsce nauki prawnicze nie były zgoła istniały! Nie było tylko tych działów, jakie stanowią historję prawa u innych, ale to wcale nie dowód, że prawa wogóle nie było. Aż przykro, jak taka myłka logiczna mogła się zakraść do nauki polskiej.

---

[1]) Ostatnim etapem twórczości polskiej prawniczej jest wystąpienie Petrycego przeciw cenzurze w r. 1605. Ani nawet dla królewskiej osoby nie pozwalał na wyjątek od zupełnej wolności druku.

Rekapitulując przegląd nauk humanistycznych, musimy z żalem stwierdzić brak zdatności do filologji. Wszak wbrew temu, że w oświacie łacińskiej byliśmy pierwsi, wydaliśmy aż do połowy XIX w. jednego tylko filologa latynistę, pracującego twórczo. Dopiero najnowsze czasy pozwalają stwierdzić, że i na tem polu rozwija się w nas zdatność do pracy twórczej. W językoznawstwie brak zupełny podłoża naukowego; mamy do zapisania niejeden piękny dorobek, ale to tylko epizodyczne przejawy. Slawistyka prawie że nie istnieje! Polonistyka ruszyła się (z jednym wyjątkiem leksykografji) dopiero za naszych czasów. A jednak pomimo takiego ogromnego opóźnienia i zacofania wręcz naukowego, są wskazówki, że może uda nam się odrobić jeszcze zaniedbania, i stanąć godnie obok innych narodów. W ostatniem pokoleniu językoznawców objawił się istny rozpęd zdolności twórczych, roztrząsanie kwestyj zasadniczych odbywa się nadspodziewanie dodatnio. Możemy się nawet poszczycić w tym zakresie znaczniejszym już stosunkowo dorobkiem odkryć naukowych.

W historji staliśmy długo przynajmniej narówni z Zachodem, a pod niejednym względem wyżej, ale w okresie upadku kultury narodowej historja upadła pierwsza, jakoby hasło dając do nauk powszechnego upadku. Od połowy XVII w. aż do Naruszewicza, to nazbyt długo! Zatraca się całkiem zdatność naukową w tej dziedzinie. Następujące potem przerwy rozwoju nie z naszej były winy. Filolog mógł był w najgorszych nawet warunkach dziejów porozbiorowych znaleźć ujście dla swej twórczości naukowej, gdyby ją był posiadał; historyk potrzebuje warsztatu bez porównania trudniejszego do urządzenia (archiwa, podróże, edytorstwo, nauki pomocnicze i t. d.) i nie mógł użyć zdatności swej, choćby ją posiadał w stopniu wyższym. Lelewel, organizacja umysłowa wyjątkowa zaiste, stał się znakomitym historykiem jeszcze przed emigracją, przed r. 1830. A potem mąciła ruch naukowy gorączka zrobienia z historji nauki

stosowanej. W najnowszych dopiero czasach równocześnie z językoznawstwem znać postęp, i to wielki.

W nauce prawa staliśmy przez pewien czas najwyżej z humaniorów. Praktyka przeplatała się przez dwa wieki w tej dziedzinie z teorją w sposób świetny, jak to zobaczymy w następnym rozdziale. Tymczasem zamknijmy koło naszej indukcji rejestrem do dziejów polskiej filozofji.

5. Filozofja.

Ubolewa się, i słusznie, nad niskim stanem filozofji w Polsce. Rzecz jest zaiste ciekawa, bo filozofowania nigdy u nas nie brakło, a nauka nasza od filozofji się zaczyna. Filozofowanie jest u Kadłubka, Witelo jest „jednym z pierwszych w XIII w. znawców i krzewicieli filozofji nowoplatońskiej w zachodniej Europie", poczem następuje zajmujący wielce rozkwit scholastyki w Krakowie (o czem obszerniej niżej), a reakcja przeciw scholastyce jest w Polsce u Grzegorza z Sanoka (1403—1477) bardzo wczesna, boć to współczesny Mikołaja z Kuzy, „uchodzącego powszechnie za pierwszego zwiastuna nowożytnych w zakresie filozoficznego myślenia dążności". Potem opanowały dziedzinę filozoficzną w Krakowie „umysły zbyt mało samodzielne", ale zabłysnął jeszcze tłumacz Arystotelesa, Sebastjan Petrycy († 1626), który „myśli Arystotelesa z zakresu etyki dalej rozwijając, doszedł aż do sformułowania dwóch zasadniczych w etyce stanowisk, tj. utylitaryzmu i intuicjonizmu, których to stanowisk uzasadnianie odgrywało najważniejszą rolę w badaniach etycznych XVII i XVIII wieku".

I znowu posucha aż do braci Śniadeckich. Jan Śniadecki (1756—1830), przeciwnik Kanta, zwolennik empiryzmu w swej „Filozofji ludzkiego umysłu" (1822), ma antagonistę w bracie, ogłaszającym już w r. 1799 „Mowę o niepewności zdań i nauk na doświadczeniu fundowanych", oceniającym „znaczenie filozofji Kanta dla przyro-

doznawstwa". Są to umysły twórcze w całem znaczeniu tego wyrazu. Niebawem zaś, „czego nie powiedział Kant, bo krępował go duch czasu, to wszystko wydobył z niego i powiedział Wroński" (1778—1853). On jeden z pierwszych formułował zasadę ewolucji wszechświata (początkowa „nieskończona nieokreśloność wszechświata określa się i różnicuje w sposób coraz wyrazistszy, coraz bardziej szczegółowy"). Wszechstronność Wrońskiego budzić będzie podziw poprzez wszystkie wieki; wszak „nie było ani jednego działu wiedzy czy to matematycznej, czy przyrodniczej, czy ekonomiczno-społecznej, czy historycznej lub filozoficznej, którejby Wroński nie był opanował i nie okazał się w niej mistrzem". Uzupełnia plejadę naszą z początków XIX w. Józef Gołuchowski (1797—1858), który ogłosił w r. 1822 główne swe dzieło „Filozofja w stosunku do życia całych narodów i oddzielnych ludzi". „Gdyby Gołuchowski nie był już nic więcej napisał, ta jedna praca wystarczyłaby, aby mu zapewnić nie tylko jedno z pierwszorzędnych miejsc w dziejach myśli polskiej, ale także wybitne miejsce w dziejach filozofji XIX wieku w ogólności. Drugiej w tym rodzaju pracy powszechna literatura filozoficzna nie posiada".

W połowie XIX w. nowa plejada. August Cieszkowski (1814—1894), filozoficzny twórca mesjanizmu polskiego; Bronisław Trentowski (1808—1869), zdumiewający nas dzisiaj nowożytnością pomysłów[1]) i oryginalnością najzupełniejszą, chociaż osnuł system swój na heglizmie, zmienionym o tyle, że wprowadził weń pojęcie Boga osobowego; Karol Libelt (1807-1875), który tak słusznie podniósł twórcze znaczenie wyobraźni, bez której myśl byłaby bezsilną — i cały szereg innych.

Następuje fala t. zw. pozytywizmu pod przewodem Aleksandra Świętochowskiego, „którego dzieło o powstawaniu praw moralnych jest może najlepszą pracą, na jaką się zdobył polski pozytywizm", — i katolicka przeciw

[1]) Idę tu za najnowszemi pracami Władysława Horodyskiego.

temu kierunkowi reakcja, której przewodzą niepospolite umysły Stefana Pawlickiego, wielce zasłużonego badacza historji filozofji greckiej, tudzież Marjana Morawskiego, autora „Wieczorow nad Lemanem", jednego z takich dzieł, jakie nie w każdem zjawiają się stuleciu. Nakoniec arcydługi szereg pracowników uważnych, starannych, dokładnych, ale nie lubiących się wyrywać na „systemy", trochę komentatorów i uzupełniaczów, trochę próbujących znów (jak za czasów heglizmu) przepolszczenia obcych myśli. Niełatwo byłoby klasyfikować ich, bo „chyba nie było w ostatnich czterdziestu latach ani jednego głośniejszego europejskiego albo nawet amerykańskiego myśliciela, któryby nie był na umysły polskie jakiegoś wywarł wpływu. Filozofja polska tego okresu może słusznie uchodzić za odblask całego światowego ruchu na tem polu".

Oto rusztowanie dziejów filozofji w Polsce, do którego nasuwają się pewne uwagi:

W części II. będę się starał wykazać, jak dalece twórczą była scholastyka krakowska XV wieku. Upadek filozofji w wieku XV tyczy się całej Europy. Można, a raczej trzeba zarzucić nam, żeśmy przespali dwa wieki rozwoju filozofji w Europie, wieki XVII i XVIII. Od początku XIX w. wydajemy raz wraz dzieła pierwszorzędnej wartości, ale brak rzeszy filozoficznej czyni z nich meteory jakieś, i przesuwa zbyt prędko do... historji filozofji, niewyzyskane należycie, niewessane w organizm naukowy i oświatowy polski. Szwankujemy wielce ilościowo, filozofom wybitnym brak tła filozoficznego w narodzie; do przemiany nauki w oświatę trzeba bowiem koniecznie odpowiedniej ilości uczonych, choćby o średnich tylko zdolnościach, ale sumiennych, pracowitych, dokładnych, rozumiejących swój przedmiot gruntownie. Wszyscy nasi wybitni filozofowie nie zdołali zapewnić społeczeństwu wykształcenia filozoficznego — oto tajemnica naszego niedomagania. Dopiero w ostatniem pokoleniu zanosi się na utrwalenie filozofji w Polsce, dzięki

coraz większej ilości owych pracowników, rezygnujących z własnych systemów, poprzestających na drobnych przyczynkach do rozwoju filozofji. Jest to zupełnie analogiczne do nastania „okresu monograficznego“ w historji. Skoro raz nastał, nie powinien już nigdy przestać istnieć.

Nie brak okoliczności łagodzących to zaniedbanie, iżeśmy pomimo wielkich talentów nie wytworzyli polskiego „świata filozoficznego“ w XIX wieku. Wystarczy nadmienić, że Wroński musiał pisywać po francusku, a Gołuchowskiego za jego „Filozofję w stosunku do życia“ Nowosilcow usunął z katedry wileńskiej. Warunki pracy kulturalnej w Polsce XIX wieku tłumaczą niemal wszystko. Co warta wolność, choćby „łatana“, widać na pomnożeniu, jakiego doznała filozofja od czasu wolności szkół i uniwersytetów w zaborze rakuskim, tudzież od założenia Akademji Umiejętności. A skoro tak, wolno roić niemałe nadzieje, gdy posiadamy oto wolność całą. Miejmyż otuchę, że najnowsza wielka synteza filozoficzna polska, Erazma Majewskiego „Nauka o cywilizacji“ nie przejdzie do historji nazbyt prędko, że filozof twórczy nie zmarnuje się już u nas skutkiem braku rzeszy filozoficznej.

6. Nauka, oświata, dobrobyt.

W Polsce rozpoczęło się życie umysłowe nie od oświaty, lecz od nauki. Jest to objaw powszechny, gdyż uniwersytety starsze są od szkół ludowych. Nauka musi być wpierw, bo oświata jest właściwie spopularyzowaniem nauki. Gdyby nie było nauki nigdzie, nie byłoby też nigdzie oświaty. Jakoż znane są ludy, nie wykazujące ani nawet „cienia śladu“ jakichkolwiek zawiązków oświaty, ludy izolowane, niepoddane wpływom cywilizacyjnym z zewnątrz. Obserwowanie początków myślenia, tj. początków rozwoju umysłowego, poucza, że oświata może się wyjątkowo zaczynać od sztuki, od poezji,

ale narazie wykluczmy jeszcze z naszych roztrząsań ten objaw, pozostawiając go sobie na koniec następnego rozdziału. Narazie poprzestajemy na rozpatrywaniu stosunku oświaty do nauki, obydwóch do dobrobytu.

W Polsce rozpoczyna się tedy rozwój umysłowy od nauki. Za czasów Kadłubka († 1223) nie myślał nikt o oświacie, tylko o naukowem przygotowaniu kleryków. Z aktów najstarszych uniwersytetów europejskich (bolońskiego, padewskiego, paryskiego, montpellierskiego i i.) stwierdzić można, że co najmniej na przełomie XII a XIII wieku dojeżdżali tam polscy scholarzy studjować prawo kościelne, czasem świeckie i nauki wyzwolone. Kadłubek studjował w Paryżu. W kronice swej pozostawił mnóstwo śladów wielostronnej uczoności, rozsiewając ją po całem dziele.

Kwitnął potem Witelo w trzeciej ćwierci XIII stulecia, kiedy o oświacie w Polsce mowy jeszcze być nie mogło.

Wysoko stoi już nauka, czego dostatecznym dowodem przytoczone tu nazwiska, ale jeszcze jedynymi ludźmi oświeconymi „in nostra terra, scilicet Polonia“ (jak pisze Witelo) są uczeni. Tak samo było, kiedy Kazimierz W. zakładał uniwersytet, kiedy Władysław Jagiełło uzupełniał go wydziałem teologicznym. Można się spierać o to, kiedy się zaczyna w Polsce oświata, tj. odkąd pojawiają się ludzie wykształceni, a nie uczeni; nam tu starczy stwierdzić, że długo była w Polsce nauka bez oświaty. Podobnież bywało u wielu społeczeństw innych.

Ale może być odmiennie. Jeżeli silnym jest napór umysłowości z zewnątrz, a społeczeństwo dane przyswaja sobie wyniki obcej nauki gromadnie, samo nie przyjmując czynnego udziału w dalszem jej rozwijaniu, natenczas oświata może się znacznie rozszerzyć, a nauka nie powstanie. Tak bywa z reguły poza Europą. Oświata oparta na pośrednio czerpanych echach nauki obcej może się znakomicie nawet szerzyć, chociaż w kraju nie będzie ani jednego uczonego.

Najczęściej zachodzi równoczesność jednego i drugiego objawu, ale rzadko natomiast zdarza się równomierność. Zazwyczaj to lub owo przeważa znacznie nad drugiem. Może być wysoki stan nauki przy niskim stanie oświaty — i przeciwnie, upadek nauki pomimo wysokiego stanu oświaty. A co najbardziej dla historyka zajmujące, że stosunek oświaty do nauki może być w dziejach tego samego społeczeństwa w rozmaitych czasach rozmaity. Równomierność jest tu ideałem. Spełnienie go wymaga wielu skomplikowanych warunków, lecz zasadniczym warunkiem będzie zawsze, ażeby nauki rozwinęły się w społeczeństwie tak dalece, iżby mu do szerzenia i pogłębiania oświaty starczyć mogło w zupełności czerpanie z własnych źródeł uczoności.

Dzieje nauk w Polsce stwierdzają niestety, że nauka polska nie stała się takiem źródłem, obfitem dostatecznie, iżby oświatę utrzymać na poziomie europejskim bez uciekania się do źródeł cudzych. Źle jest, jeżeli wyniki nauki obcej bezpośrednio stamtąd zostają wprowadzane do oświaty powszechnej, bez pośrednictwa własnego świata naukowego tegoż społeczeństwa. Źle jest, bardzo źle, jeżeli krzewicielami oświaty w pewnem społeczeństwie muszą być obcy. Tak źle u nas nie było nigdy, ale z powodu niedostatecznego stanu nauk (to pod tym, to pod owym względem) szwankował często stosunek oświaty do nauki, równomierność należała do rzadkich wyjątków, a upadek oświaty zawsze nam zagrażał.

Polska nie miała szczęścia do nauk, jakkolwiek nie brakło Polakom nigdy zdolności, a ochota znajdowała się... często (więc jednak niezawsze). Zrazu to samo oddalenie od głównych szlaków międzynarodowych, które zaznacza Gallus na samym wstępie swej kroniki, a które zdecydowało o ubóstwie kraju, stanowiło nie tylko co do dóbr materjalnych przeszkodę rozwoju, lecz niemniej co do duchowych. Szlaki handlowe bywają zazwyczaj zarazem szlakami wymiany myśli; oddalenie od jednego oddalało nas tedy i od drugiego. Trudność tę pokonaliś-

my świetnie, jak to wykazują przytaczane powyżej przykłady. Pomimo odległości (na owe czasy niezmiernych) Paryż i Padwa nie były obce Polakom, ale bądź co bądź Polaków takich, którychby było stać na pokonanie przeszkody wielkich odległości, nie mogło być wielu.

Jak wszystko na świecie, tak też i rozwój nauk pozostaje w związku ze sprawami ekonomicznemi, z kwestją dobrobytu. Czasy dobrobytu przygotowują zazwyczaj następujący po nich rozwój nauki; jeżeli dobrobyt trwa dłużej, nauka mu towarzyszy wiernie. Ubóstwo zwiastuje zawsze upadek nauk, trwające zaś dłużej—wiedzie do całkowitego o nauce zapomnienia. Tylko jednostki mogą stanowić wyjątek, ale natenczas stają się też wyjątkowemi w swem społeczeństwie postaciami, i nie wywierają wpływu, ani nawet nie mogą zająć należnego sobie stanowiska ni znaleźć uznania. W takich okresach zdarza się, że takie wyjątkowe jednostki przechodzą do społeczeństw innych, a nawet wynaradawiają się. Dzieje narodów europejskich dostarczają mnóstwa przykładów takiego nieuniknionego związku spraw materjalnych z duchowemi; i w historji stwierdza się prawidło, że człowiek składa się z duszy i ciała.

Jakościowo pokonaliśmy tedy świetnie przeszkodę oddalenia od wielkich dróg nauki europejskiej, od Paryża, Padwy i Bolonji, ale nie mogliśmy pokonać przeszkody ilościowo, nie mogliśmy wysyłać tam znaczniejszej ilości adeptów nauki, bośmy na to byli za ubodzy. Rozwój nauki wymaga zaś w znacznym stopniu tego ilościowego momentu, bo chodzi o to, żeby wyrobić „świat naukowy" w społeczeństwie, żeby uczony, pracujący twórczo, nie czuł się obco, żeby w kategorji myślenia naukowego nie musiał szukać dla siebie podłoża pośród obcych, lecz żeby myśl jego rozwijała się na swojskiem podłożu i do tego podłoża wracała, słowem, żeby uczony nie znalazł się poza społeczeństwem własnem. Na to jedyna rada w odpowiedniej ilości osób, mogących go zrozumieć i chcących zajmować się sprawami, jakie nauka poruszy. Przy

pewnej ilości osób naukowo wykształconych musi się wreszcie wytworzyć jakaś twórczość naukowa, muszą się wreszcie znaleźć uczeni, zdolni pracować samodzielnie. Rozwój nauki niemieckiej polegał niemal wyłącznie na niezmiernej liczności świata naukowego; ilość zdobywała się na jakość, chociażby w zbyt małej do ilości proporcji. Pomimo wszelkich wad niemieckiego ustroju nauki, doszły Niemcy bądź co bądź do tego nieocenionego rezultatu, że mogły oprzeć u siebie oświatę wyłącznie na niemieckiej nauce, a to triumf nielada.

Ilościowy rozrost nauki jest wręcz niemożebny bez dobrobytu. Dlatego też uniwersytety kwitną tam tylko, gdzie kwitnie dobrobyt, ilość ich i jakość jest wprost proporcjonalną do ekonomicznego stanu kraju. W kraju ubogim napróżno mnożyć uniwersytety, jakość ich sprawi zawód i zejdą do rzędu lichych uczelni średnich, jak np. niemieckie po wojnie 30-letniej, hiszpańskie po strasznem przesileniu ekonomicznem z końca XVI wieku; a jakżeż próżne są wysiłki uniwersyteckie krajów południowo-słowiańskich, zbyt jeszcze ubogich, niewiele ekonomicznie zróżniczkowanych. Spełni jednak słaby nawet uniwersytet zawsze zadanie ilościowego przysparzania świata naukowego, jeżeli tylko nazbyt wielkie ubóstwo nie zwarzy słabego kwiatu i nie wypaczy uniwersytetu.

Nie przygodny to wcale zbieg okoliczności, ale głęboki związek przyczynowy, że założycielem uniwersytetu polskiego jest król-gospodarz Kazimierz Wielki, a założył go w latach, kiedy podniósł się znacznie dobrobyt kraju. Można dużo objawów historycznych okresu piastowskiego wyjaśnić ubóstwem Polski; faktem jest, że Polska pozyskała uniwersytet właśnie wtedy, gdy po raz pierwszy przestała być ubogą. Istnieje też w dalszych okresach związek ciągły pomiędzy stanem nauk w Polsce a stanem ekonomicznym kraju. Kwitnie najbardziej nasz uniwersytet w owym wieku XV i w tej jeszcze części XVI, kiedy rósł dobrobyt i miast i stanu ziemiańskiego; podupadać poczyna, skoro tylko zachwia-

ła się równowaga ekonomiczna społeczeństwa. Sam żywioł ziemiański uniwersytetu nie może utrzymać na odpowiedniej wyżynie, i już Jan Kochanowski stwierdzić musiał niższość krakowskiej Szkoły, upatrując powód w tem, że za mało na nią łożono kosztów (w „Satyrze"). Wiek XVII zeszedł nam cały niemal na wojnach, druga jego połowa spowodowała niesłychany upadek dobrobytu i zupełny uniwersytetu upadek. Dobrobyt wznawia się następnie jeszcze, ale tylko w jednej warstwie: szlacheckiej, a ta jednostronność ekonomiczna wpływa fatalnie na wszelkie dziedziny życia publicznego, nie w najmniejszej mierze także na upadek nauk. Wszak szlachcic przestał troszczyć się o oświatę, będąc pewnym, że bez oświaty i tak osięgnie wszystko, bo wszystko z urodzenia należy mu się. Skoro stopień oświaty przestał stanowić rękojmię, a przynajmniej ułatwienie powodzenia w walce o byt, ciekawość do nauki ograniczoną została do owych wyjątkowych jednostek, pozbawionych znaczenia w ogólnej ekonomice życia zbiorowego, znajdujących się niejako poza społeczeństwem. W okresie Stanisławowskim zaczyna się na nowo różniczkowanie ekonomiczne, przynajmniej do pewnego stopnia (o ile dopuściły warunki zewnętrzne), dobrobyt poczyna się udzielać zajęciom miejskim, podnosi się w każdym razie ogólny poziom ekonomiczny kraju — i oto podnosi się zarazem ogólny stan kultury i zjawia się reforma uniwersytetów. A czyż zamoyska akademja nie była wynikiem zamożności nie tylko rodu Zamoyskich, ale całej tamtej krainy? Czyż wileński uniwersytet nie powstał wówczas, kiedy Litwie otworzone były nowe horyzonty ekonomiczne? A jakżeż słabo wegetował twór akademji lwowskiej, której nie towarzyszyły pomyślne warunki ekonomiczne prowincji? I czyż trzeba zawiłych wywodów, żeby zrozumieć, że losy uniwersytetów pozakładanych po odzyskaniu niepodległości zawisły bardzo a bardzo od losów waluty polskiej?

Upadek miast od drugiej połowy XVI wieku, „potop", straszliwe przesilenia pieniężne XVII wieku, wyniszczenie Litwy wojenkami litewskich magnatów, całkowita wkońcu bierność ekonomiczna Korony wobec Niemiec i „krajów cesarskich" — oto etapy w historji... nauki polskiej. Nie mogli zaradzić złym tego następstwom najzdolniejsi uczeni, ani nawet tacy olbrzymi ducha, jak Paweł Brudzewski i Mikołaj Kopernik. Zaginęła nawet ich tradycja. Następcy ich tyle potem z Polską mieli związku, iż w Polsce się rodzili, ale ani działać dla Polski nie mogli, ani też, pośród polskiego ogółu podłoża dla siebie nie znajdując, nie zdołali powstrzymać... dalszego nauk upadku, aż dopiero rozwijać się zaczęło na nowo życie ekonomiczne nieco przynajmniej wszechstronniej. Postęp w jednej dziedzinie życia udzielił się wnet dziedzinie drugiej; to rzecz całkiem naturalna, boć w sprawach życia wszystko ma związek ze wszystkiem, ale tu chodzi o stwierdzenie, że dobrobyt musi zawsze przynajmniej nieco wyprzedzić naukę, jeżeli nauka nie ma stanowić zjawiska egzotycznego. Najbardziej zaś przyswojona duchowi narodowemu nauka zacznie stawać się egzotyczną, skoro tylko dobrobyt zacznie się stale obniżać.

Za przykład niech nam posłuży wspaniała prawdziwie postać wspomnianego już wielkiego uczonego polskiego, Adama Kochańskiego, którego życie wypadło właśnie na okres ciągłego ubożenia Polski. „Umysł rozległy, filozoficzny, nie ograniczający się do jednej specjalnej gałęzi nauk ścisłych, myśliciel bystry i głęboki, zarówno w abstrakcjach matematycznych, jak i w zastosowaniach ich do astronomji, fizyki, do mechaniki teoretycznej, jak niemniej i praktycznej. Jeden ze stałych współpracowników wydawanej w Lipsku publikacji perjodycznej Acta Eruditorum i w żywej z Leibnizem pozostając korespondencji, często zasilał poważne to wydawnictwo swojemi pracami. Tam między innemi na oznaczenie ilości, będącej stosunkiem obwodu koła

do własnej jego średnicy, podał sposób wykreślny, dający tę wartość z dokładnością zdumiewającą. Szczegółowy rozbiór matematycznych prac Kochańskiego doprowadza znawcę przedmiotu do uderzającego wniosku, że rodak nasz w różnych stadjach swoich dociekań był już nader bliskim odkrycia Leibnizo-Newtonowskiego, a mianowicie wynalazku rachunku różniczkowego i całkowego, opartego na znanem już sobie pojęciu ilości nieskończenie małych". Tenże Kochański umiał zastosowywać swą wiedzę odrazu w praktyce. „Uczony matematyk... autor pracy teoretycznej o statyce, w swej rozprawie o zegarmistrzostwie, wchodzącej w skład dzieła Kaspra Schotta p. t. „Technica curiosa" z r. 1664, podał kilka ustrojów zegarowych własnego pomysłu, proponował próbowanie dokładności ślimaka zapomocą ciężaru zawieszonego na strunie owijającej ślimak, pracował nad zastąpieniem w zegarkach szczecinek, których wtedy używano, sprężyną regulującą; zbudował zegarek z wahadłem magnetycznem; był wreszcie pierwszym inicjatorem zawieszenia sprężynowego, uważanego i dziś za najlepiej zabezpieczające izochronizm wahadła".

I cóż zostało w Polsce z tego Kochańskiego, który nie usuwał się bynajmniej od ludzi, boć był bibljotekarzem króla Jana III? Czasy tego panowania uważane są (i słusznie niestety) za czasy upadku nauki w Polsce; jest to rzecz powszechnie zresztą wiadoma. Co za szyderstwo losu! A przecież to ten król, który interesuje się astronomją, wyszczególnia Heweljusza, który odwdzięcza mu się „wyniesieniem na niebo Tarczy Sobieskiego"; interesował się również źródłami siarczanemi (koło Szkła w województwie ruskiem), które opisywał nadworny jego lekarz, Konnor; opiekował się nie tylko Krzysztofem Mieroszewskim, który kierował wzniesieniem fortyfikacyj w Krakowie i w Częstochowie i zostawił w rękopisie traktat o architekturze wojennej; to król, w którego obecności toczyły się najpoważniejsze swego czasu dysputy filozoficzne.

Oto jest prawdziwy obraz Sobieskiego; — i cóż z tego zostało? Sama osoba królewska przedstawia się dziś w mniemaniu ogółu, jakoby jakiegoś króla ciemnoty, dalekiego od zainteresowania się Muzami, opiewanego wprawdzie przez poetów, ale osobiście niedostępnego dla umysłowych rozkoszy. Nawet osobisty jego wizerunek przystosował się w wyobrażeniu ogółu do tła zgęszczającej się nad narodem ciemnoty nadciągającego okresu saskiego. Warunki materjalne życia zbiorowego nie dopuściły do zorganizowania się świata naukowego w Polsce, a wobec tego na nic wysiłki jednostek i cała ich wartość umysłowa; pozostają wyjątkami, których wartości ogół nie umie nawet obrócić na swą korzyść. Są to świadectwa zdolności polskich, a zarazem niemocy polskiej równocześnie w jednej i tej samej dziedzinie.

Zdolności są w świecie intelektu początkiem wszelkiej sprawy, ale same z siebie nie wydadzą dalszego ciągu, jeżeli nie otrzymają pomocy z zewnątrz, od okoliczności z innych dziedzin życia zbiorowego.

Zdolność stanowi niewątpliwie część intelektu, lecz taką, która tworzy łącznik bezpośredni z dziedziną woli i czynu, gdyż zdolność prze zawsze do zajmowania się tem, do czego się ma zdolności, a co zowiemy upodobaniem, powołaniem nawet, gdy objawia się w wysokim stopniu. Zdolność bierna, oświatowa, poprzestająca na przyswojeniu sobie rezultatów badań cudzych, mieści się cała wyłącznie w intelekcie, podczas gdy zdolność czynna, twórcza, wykracza poza intelekt. Ponieważ zaś nauka nie używi się zdolnościami biernemi, ale wymaga koniecznie czynnych, boby ani nawet istnieć nie mogła przy biernych, a cóż dopiero rozwijać się — staje się przeto nauka łącznikiem między intelektem a wolą. Stąd nauki stosowane i inne jeszcze objawy, o których niżej rzecz będzie. Im nauka wyżej się rozwinie, tem bardziej prze do czynu; tem bardziej przyczynia się w społeczeństwie do wyrobienia k u l t u r y c z y n u.

Zdolność jest miedzą między polami Logosu a Ethosu. Sama może się rodzić i po tej i po tamtej stronie, ale winna na drugą stronę wychylać się; inaczej pozostanie bierną, gdy z Logosu się wywodzi, ujemną zaś (niszczyć tylko umiejącą), jeżeli od Ethosu wyszła. Zdolność intelektualna wymaga przeto pomocy wydatnej od dziedzin czynu w życiu zbiorowem, a zdolność do czynu potrzebuje ciągłego oparcia się o intelekt. Logos i Ethos wspomagają się wzajemnie; doskonała ich harmonja, równowaga i równoczesność wytworzyłyby doskonałą kulturę czynu.

Organizacja świata naukowego, to zorganizowany intelekt życia zbiorowego; zorganizowany dobrobyt, to organizacja woli, bo wartości materjalne nie dadzą się wytworzyć bez użycia wykształconej woli. Tamto dziedzina organizacyjna Logosu, a to Ethosu. Bez znacznej pomocy Ethosu nie może tedy ostać się zorganizowany Logos, a Logos luźny nie zda się życiu zbiorowemu. Myśl luzem znalazłszy się w społeczeństwie, pozostaje tak długo izolowaną od ducha społeczeństwa, a skutkiem tego niepożyteczną dla życia zbiorowego, dopóki z postępem czasu, lepiej zrozumiana, nie wejdzie w dorobek intelektu osób, zajętych pracą nie tylko intelektualną. Czyli: teorja jest nieużyteczną, dopóki nie znajdzie uznania praktyków. Jałowe jest Logos bez oparcia się o Ethos.

Przejście z Logosu do Ethosu, to s z t u k a w y k o n y w a n i a. W życiu zbiorowem sztuką tą jest polityka, ku której wypada się zwrócić teraz, jako ku następnemu ogniwu w toku naszych badań.

Rozdział VII.

Zdatność polityczna.

Polityka — jest to sztuka wykonywania pomysłów oderwanych. Jak rzemiosło uczy wykonywać pomysły uchwytne materjalnie, wymiarowo, podobnież polityka wiedzie do urzeczywistnienia celów intelektualnych; możnaby ją nazwać rzemiosłem dziedziny intelektu. Tam s p o r z ą d z a s i ę coś z danego materjału, a tu w c i e l a s i ę jakiś zamiar z pomocą danych stosunków i okoliczności, stanowiących materjał dla polityka. Politykowanie gnieździ się wszędzie, od najprostszych stosunków życia, to też używa się w mowie potocznej wyrazu „politykować" na oznaczenie celowo obmyślanej działalności w stosunkach nawet powszednich życia prywatnego; jednakże w języku naukowym przyjęło się ograniczenie tego wyrażenia do samych tylko stosunków życia publicznego. Przyjąwszy tę poprawkę, określimy politykę jako sztukę wykonywania zamiarów dotyczących ogółu.

Ktoby zgodził się ze mną, że w życiu publicznem nie powinno być niczego moralnie zdrożnego, mógłby określić politykę jako sztukę wcielania Ideałów. Ale nie zapędzajmy się przedwcześnie zbyt daleko!

Życie publiczne składa się z dziedziny społecznej i państwowej, a z tych każda ma liczne działy. Mówi się też o polityce np. kolejowej, taryfowej, ubezpieczeniowej, robotniczej, nawet o szkolnej, o polityce wewnętrznej i zewnętrznej; słowem, wszelka gałąź życia publicznego ma swoją politykę, tj. poszukiwanie sposobów wykonania pewnego zamiaru i osięgnięcia pewnego

celu w owej dziedzinie życia publicznego. Do rozsądku politycznego należy, ażeby polityka jednej gałęzi nie kłóciła się z drugą, żeby one wszystkie do jednego zmierzały celu, i żeby były pod tym względem obmyślone i wykonywane trafnie.

Wymagają przeto sprawy te ogromnych zasobów znawstwa i są dostępne tylko najtęższym umysłom; im umysł mniej rozległy, im mniej znawstwa rzeczy mieści się w czyjej głowie, im niższego typu umysł sprawuje politykę, tem bardziej postępowanie jego i czyny stają się parodją polityki, i tem większe prawdopodobieństwo, że człowiek taki (choćby najpopularniejszy) będzie zbierał wyniki przeciwne zamierzonym, i że zaprowadzi na manowce społeczeństwo, czy grupę społeczną, która pozwala mu się wodzić.

Specjalistą być w polityce można tylko z pewnem zastrzeżeniem. Gdyby bowiem żadna z osób kierujących polityką oddzielnych działów życia publicznego nie ogarniała całości, natenczas pomimo największych wysiłków i najlepszej woli tych ludzi rezultat ogólny, tj. suma działalności ich wszystkich musiałaby być wielce ujemną, a to dlatego, ponieważ nie byłoby polityki ogólnej. Jedno szłoby do lasa, drugie do sasa, powstałby chaos, i nastałoby marnowanie sił państwowych i społecznych, podczas gdy celem polityki ogólnej musi być ich wzmaganie. Polityk wtenczas dopiero zna się naprawdę na pewnym dziale polityki, kiedy mu ogólna nie jest obcą. Prawidło to uzupełnia się innem atoli, a mianowicie, że żadną a żadną miarą nie może być zdatnym do polityki ogólnej, kto.... nie zna się na niczem. Gdyby możebnem było społeczeństwo, złożone z samych ludzi rozumnych, dopuszczanoby w niem do publicznego uprawiania polityki tylko osoby, wybitne w pewnej specjalności, lecz zdolne do ogarnięcia całości życia publicznego. Im bardziej rozsiadła się w jakim kraju głupota, tem łatwiej o dyspensę od tych wymagań, od obydwóch!!

Poszczególne gałęzie życia publicznego przynależą do jednego z dwóch głównych konarów: do państwowych spraw lub do społecznych. Co za ogrom, żeby umieć orjentować się w tych i tamtych równocześnie! A jednak naczelne stanowiska powinny być dostępnemi tylko dla takich; społeczeństwo zaś, któremu zabraknie mężów takiego pokroju, skazane jest na upadek.

Polityka nie może być inną w zakresie państwowym, a inną w społecznym. Na chorobę rozbieżności politycznej zginęły Niemcy, prowadząc politykę demokratyczną społeczną, państwową jednakowoż absolutystyczną niemal; oddając Rzeszę hasłom demokratycznym z powszechnem głosowaniem, lecz konkretne państwa, państwa Związkowe, zatrzymując w obręczach najciaśniejszego cenzusu i faktycznych przywilejów stanowych (w Meklemburgu nawet jurydycznie, gdyż obowiązywało tam aż do r. 1918 prawo feudalne). Niemcy runęły podczas wojny powszechnej, lecz nie z jej powodu. I bez tej wojny byłyby runęły od kataklizmów wewnętrznych, nieuchronnych, gdzie zachodzą rozbieżności polityczne.

Ład pomiędzy polityką państwową a społeczną stanowi nieodzowny warunek rozwoju obydwóch działów życia publicznego. Na jedno i na drugie należy przeto patrzeć krytycznie z wyżyn, pozwalających objąć wzrokiem jedno i drugie zarazem. Oto szczyt Ethosu ludzkiego!

Polityka do Ethosu należy niepodzielnie; dobra zaś polityka stanowi jego koronę. W polityce, we wszelkiej polityce, od najdrobniejszej aż do ogólnej, wszystko musi być celowem. Na nic tu cała metoda myślenia przyczynowego. Dziwny brak talentów politycznych w tem pokoleniu we wszystkich krajach Europy przypada równocześnie z zaprowadzeniem istnego monopolu dla metody przyczynowej w nabywaniu wykształcenia. Doszło do tego, iż górują nad europejskimi mężami stanu politycy azjatyccy, mniej wykształceni, ale mocni celowością każdego swego kroku, aczkolwiek celowość ich prymitywna.

Dobrą może być taka tylko polityka, która jest zawsze i we wszystkiem państwowo-społeczną równocześnie. Traktowanie państwa w oderwaniu od społeczeństwa nie tylko jest błędnem, ale niebezpiecznem, prowadzi bowiem do lekceważenia sił społecznych, i kończy się często podporządkowaniem społeczeństwa państwu tak dalece, iż społeczeństwo staje się wkońcu jedynie przedmiotem doświadczeń państwowo-politycznych. Niemieckie uwielbienie dla państwa doprowadziło do tego, iż siłom społecznym przyznawano ledwie znaczenie środków pomocniczych do popierania siły politycznej państwa. Pomyłka fatalna, gdyż w obrębie cywilizacji zachodnio-europejskiej siła społeczna ma się do politycznej jak przyczyna do skutku. Wszelkie wzmożenie siły społecznej działa zarazem politycznie, częstokroć natychmiast powiększając jej zasoby.

Niema lepszego sposobu zapewnienia państwu mocy politycznej, niż pielęgnowanie sił społecznych. Niekoniecznie tedy trzeba uprawiać państwową politykę bezpośrednio, chcąc się przysłużyć politycznie, bo wszelka praca około dobra publicznego wydaje skutki polityczne. Pokazało się to na Wielkopolsce, która posiadając wielkie zapasy sił społecznych, przekuła je w odpowiedniej chwili na siłę polityczną. Gdyby nie zdatność polityczna Wielkopolan, nie byłaby Polska odzyskała niepodległości. Wszak polityka wymaga siły, a tę trzeba mieć z czego czerpać.

Skoro polityka stanowi o działaniu celowem, tem bardziej stosowaną być musi do czasu, miejsca i okoliczności; ażeby była skuteczną, winna być stosowną. Innemi słowy: musi wyrastać ze społeczeństwa, a wyniki jej muszą posiadać wartość zdobyczy społecznych, jeśli mają być trwałe. Gdzie to kryterjum zawodzi, tam błędna polityka musi prowadzić do zawodów.

Siły społecznej nie da się wytworzyć zapomocą aparatu państwowego. Państwo może pomagać lub przeszkadzać, lecz nie potrafi wywołać sił społecznych,

a wkońcu musi się albo zastosować do nich, albo upaść. „Oświecony“ absolutyzm nie wychowywał bynajmniej społeczeństw, lecz wchodził z niemi w kompromis, będąc raczej ich narzędziem niż sternikiem.

Państwu dzieje się najlepiej, gdy obywatele jego zajmują się jak najbardziej polityką społeczną (handlową, przemysłową, kredytową, komunikacyjną, i t. p.), a państwową dodatkowo tylko. Nigdy nie może być zbyt wiele osób, zajętych sprawami społecznemi, podczas gdy przeludnienie kraju politykomanami państwowymi wiedzie do upadku państwa. Hiperprodukcja państwowo-polityczna zagraża całym dziedzinom pracy społecznej, że będą leżały odłogiem, przez co osłabnie zdatność polityczna.

Im więcej wolności w jakim kraju, tem mniej tam politykomanji, bo stosunki, rozwijając się ewolucyjnie, niewiele stosunkowo dają pola do politycznego eksperymentowania. Sprawił to brak wolności w Europie, iż polityka przedzierzgnęła się w sztukę narzucania ogółowi celów, przyjętych przez rozporządzających siłą państwową. Stąd sztuczność polityki państwowej, i w znacznej mierze społecznej, uprawianej bez względu na istotne potrzeby. Wielkie siły, jakiemi dysponowali przez cały wiek XIX ci, którzy dzierżyli rządy, sprawiały, iż zdołano niejedno narzucić na czas dość długi, iżby się to wydawało zakorzenionem już udatnie i znaturalizowanem — a z tego wyrobiła się znów wiara we wszechmoc polityki, jakoby celowem działaniem politycznem dało się osięgnąć wszystko. Tem skwapliwiej rzucano się do polityki, i Europa poczęła chorować na przerost polityczny, na nadmiar politykowania. Nieuchronny z tego skutek: upadek społeczny, widoczny aż nazbyt dla każdego.

Rozbudziła się też w wieku XIX nadzwyczajna zaciekłość polityczna, będąca objawem następczym wiary we wszechmoc polityki. Im bardziej zdawało się, jakoby wszystko mógł przemieniać i urządzać po swojemu ten,

kto posiada siłę, tem zacieklejszą musiała stać się walka o wpływy. Objaw ten udzielił się nawet Polakom, chociaż historja polska XIX w. starczyć powinna była za dowód i za ostrzeżenie, że polityką sztuczną nie osięgnie się niczego.

W ciągu wieku XIX, a zwłaszcza w drugiej jego połowie, rozpowszechniło się inne jeszcze błędne mniemanie o polityce, a mianowicie, jakoby jedynem dla niej kryterjum było: powodzenie. Uznawano za dobre wszystko, co się udało. Powodzenie polityczne dawało patent na bohatera. Przesąd ten stanowi prostą drogę do krótkowzroczności politycznej. Współcześni widzą tylko doraźne objawy powodzenia; na obserwowanie skutków dalszych nie starczy im życia. Ogłoszono tedy mistrzem polityki niejednego, kto przemocą czy chytrością osięgnął cel zamierzony na czas stosunkowo krótki, choćby popełnił błędy takie, które dłuższą trwałość jego dzieła czyniły wręcz niemożliwą. Usunięto z kryterjum politycznego momenty historyczne, akcentując wyłącznie współczesną doraźność. Doprowadzono do tego, że statysta, któryby chciał wciągać w obliczenia polityczne dalsze pokolenia, stał się niemożliwym w politycznym życiu, uchodząc za fantastę. Nikt np. nie chciał widzieć rażących błędów Bismarcka, a natomiast wysoka zdatność polityczna Cavoura poszła w zapomnienie. Windhorst zaś, reprezentant cywilizacji łacińskiej w Niemczech, uchodził za wielki charakter, za „poczciwość", ale nigdy nie uważano go za wielkiego polityka. Ostatecznie stanęło na tem, że uczciwość przeszkadza polityce, i objawiono światu piątą ewangelję, głoszącą nowe przykazanie: Bądź cnotliwym, z wyjątkiem życia publicznego! Niecnota w polityce bywała wprawdzie zawsze, ale wytykano ją, jako niecnotę; w wieku XIX kazano ją wielbić jako cnotę w y j ą t k o w ą w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Reguła opiewała: pielęgnuj cnotę; wyjątek nakazywał rzucić cnotę w życiu publicznem,

i to pod srogim rygorem, że się będzie inaczej uważanym za głupca.

Rygor poskutkował znakomicie. Od spraw największych przechodziła zasada do coraz mniejszych, aż cały obszar życia publicznego opanowali ludzie mniej skrupulatni. We Francji ludzie z czulszem sumieniem wycofywali się całkiem z życia publicznego, a typ polityka „zawodowego" począł się wyradzać w jakąś mieszaninę aktora i oszusta. Typ ten rozpowszechnił się szybko po innych krajach i nastąpiło powszechne zatrucie atmosfery życia publicznego.

A wszystko to wypłynęło z przekonania o wszechmocy politykowania, jako konsekwentne następstwo.

Dawniej, przedtem, panowało przekonanie o wszechmocy oręża w urządzaniu stosunków państwowo-społecznych. Mniemano, że można ludzi do wszystkiego zmusić przemocą. Niegdyś zaprowadzano ewangelję zapomocą wypraw wojennych. Nie takie dawne czasy, kiedy to orzeczono, że cuius regio, illius religio, a kto pragnie wyznawać religję inną niż dynasta owej krainy, powinien poszukać sobie dalej w świecie monarchę tegoż wyznania; przyznano tedy monarchom prawo wyganiania z kraju poddanych innego wyznania, przymuszania zaś na miejscu do przyjęcia wyznania monarszego. Rozumując ściśle, przyznawano tedy w pokoju westfalskim (1648) tylko dynastjom wolność sumienia, legalizując zgóry ucisk religijny. Potem przyjęto, że tylko wola dynastów może być źródłem prawa publicznego, sankcjonując zgóry wszelką przemoc wobec pojęć niezgodnych z wolą dynasty. Rozbiory Polski dokonane były w imię prawa dynastycznego przeciw konstytucjonalizmowi. Szereg kongresów pierwszej połowy XIX w., urządzanych przez „święte przymierze" utrzymywał panowanie gwałtu dynastycznego nad całym kontynentem. W Polsce zaraz po rozbiorach pracowało się systematycznie nad zagładą języka polskiego, uważając to za wykonalne. Dziś wiemy, że wszystkie a wszystkie przyto-

czone tu pomysły są wbrew woli ogółu niewykonalne. Można porzucić wiarę lub język ojców, lecz nie można być przymuszonym do porzucenia ich; wszelkie eksperymenty tego rodzaju przepadły bezskutecznie. Przez wieki całe wierzyło się jednak mocno w możliwość nieograniczoną dokonywania zmian wszelkich, w narzucalność skuteczną wszelkich celów, jakieby wytknął sobie ten, kto rozporządza przemocą, tj. kto może użyć argumentu oręża.

Zasadę najwyższą uprawiania polityki w czasach t. zw. nowożytnych określić można słowy: kto ma wojsko, może sobie na obszarze zajętym przez swe wojsko urządzić świat po swojemu. Późno dopiero w wieku XIX spostrzeżono się, że oręż posłużyć może tylko do eksperymentu, nie rokującego trwałości, jeżeli przeciwny jest woli ogółu. Im wola ta silniejsza, tem kruchszy wobec niej oręż przemocy.

Runął przesąd o wszechmocy oręża, a na jego miejsce wysunął się nowy o wszechmocy polityki. Miejmyż otuchę, że policzone są dni i tego drugiego przesądu.

Polityka może być skuteczną trwale natenczas tylko, gdy utrzymuje się w granicach struktury społecznej i państwowej, powstałej ewolucyjnie w danym obszarze etnograficznym lub geograficznym. Polityka winna być służką ewolucji dziejowej.

Ażeby uniknąć nieporozumienia, pospieszam zaznaczyć, jako ewolucja nie na bierności polega. Ewolucja może być jednostronna, wielostronna, wszechstronna; tylko ta ostatnia jest prawdziwą, tamte zaś ewolucjami ograniczonemi, wstrzymanemi. Ewolucja polega na swobodnem współdziałaniu wszystkich możliwych w danych stosunkach sił, bierność zaś uszczupla je, wykluczając niektóre od współdziałania. Byłoby to błędem, mniemać, jakoby ewolucyjnem było wszystko, co dzieje się bez przymusu z zewnątrz; nie tylko przymus taki, ale i bierność znajduje się również poza ewolucją; bierność bowiem jest oddawaniem się w położenie przymusowe: Ludzie bier-

ni, oddający się tylko oddziaływaniu, sami zaś nie oddziaływający, znajdują się poza ruchem ewolucyjnym.

Polityka, mając być służką ewolucji, porusza tedy wszystkie siły, urastające ze społeczeństwa, kierując niemi w określonych powyżej granicach swej skuteczności.

Polityka posługuje się orężem; o ile ma to być trwale skutecznem, musi się poddać temu samemu ograniczeniu. Inaczej wojna będzie rodziła wojnę.

Wojna a dyplomacja stanowią dwie połowy polityki, to też obie należą do kategorji przejawów Ethosu. Logosem polityki dyplomacja bynajmniej nie jest, ale nauka winna być Logosem wszelkiej polityki, tak wojennej, jako też dyplomatycznej. Nie pisząc rozprawy o polityce, nie wdaję się bliżej w te kwestje, nie dotykam też zagadnienia potrzeby lub zbyteczności wojny.

Chodziło tu tylko o pewne uwagi ogólne, potrzebne do oceny polskiej zdatności politycznej.

Historja polska jest obok angielskiej najbardziej ewolucyjną, a cechę tę dochowała aż do drugiej połowy XVII wieku (mniej więcej do czasu odsieczy wiedeńskiej), poczem ewolucja historyczna wstrzymaną została, ustępując pola coraz bardziej bierności politycznej, którą zrzucił z narodu dopiero Sejm Wielki.

Była już mowa o tem, jak to w Polsce twórczość polityczna starszą jest od naukowej i artystycznej.

Polityka jako sztuka wykonywania zamiarów dotyczących ogółu widoczną jest już w celowem postępowaniu Mieszka I. Od czasu sporu ś-go Stanisława z Bolesławem Śmiałym społeczeństwo poczyna zgłaszać się do współpracownictwa politycznego, a już od połowy XIII w. zaczyna się w Polsce okres państwa wytworzonego przez społeczeństwo. Odtąd państwo zawsze na społeczeństwie się opierało, a jedyna próba narzucenia społeczeństwu ustroju państwowego nie wysnutego

z ustroju społecznego (próba Jana Kazimierza po uchyleniu „potopu“) spełzła na niczem.

Polska polityka była stale społeczno-państwową. Sprawa państwa związaną była licznemi węzły z posiadaniem ziemi, bo w ustroju polskim łączyły się pług i miecz w jednem ręku (przez nadania na „prawie żołnierskiem“, a potem przez przymusową służbę wojenną wszelkiego rodzaju właścicieli ziemskich w ustawodawstwie Kazimierza W.). Wszystkie kierunki polskiego życia zbiorowego były zawsze równocześnie społecznemi i państwowemi: dobre i złe, dodatnie prądy i ujemne, mieściły w sobie stale to i tamto. Po rozbiorach próby odzyskania niepodległości polegały na pewnych dążeniach społecznych zarazem.

Nie powstydzimy się sposobu, w jaki państwo polskie stało się „szlacheckiem“ w okresie od końca XIV do końca XVI wieku. Przegląd tych zasadniczych aktów ustawodawczych społeczno-państwowych, które zwykliśmy nazywać „przywilejami szlacheckiemi“, nie dostarcza zaiste powodu do najmniejszego zgorszenia.

Przywilej koszycki (1374) nie był niczem więcej, jak tylko zakończeniem dokonywającej się już od stu lat nowej organizacji społeczno-państwowej, a mianowicie dopełnieniem ustawodawczej pracy Kazimierza Wielkiego. Nie rozpoczyna bynajmniej nowego okresu w dziejach państwa, lecz raczej kończy okres poprzedni, kończąc walkę społeczeństwa o prawo wobec państwa, walkę rozpoczętą za Bolesława Śmiałego. Ustawa podatkowa, a tem jest ów przywilej przedewszystkiem, była prostem wypełnieniem braku dotkliwego w ustawodawstwie; byłaby nastąpiła i za Kazimierza W., gdyby się życie jego było przeciągnęło.

Przywilej czerwiński 1422 r. zawiera płatność podatku w gotówce, a nie w naturze; bardzo rozsądne żądanie, skoro obrót pieniężny wzmógł się już dostatecznie. Żądano dalej, żeby nie konfiskować nikomu majątku inaczej, jak tylko za wyrokiem sądowym; również wielce

sprawiedliwa myśl. Żądanie trzecie, żeby nie można było być w jednej osobie i sędzią ziemskim i starostą grodowym, świadczy bardzo zaszczytnie o tem pokoleniu. Oddzielenie sądownictwa od administracji jest fundamentem sprawiedliwości, a zatem przywilej ten cały stanowi postęp dobroczynny w rozwoju prawa polskiego. Pozostawiono sądownictwo administracyjne tylko do ciężkich zbrodni kryminalnych, gardłowych (tj. takich, na które mogła być kara śmierci). Oto cały przywilej czerwiński.

W następnym roku 1423 zjazd dostojników całego państwa w Warcie zajmował się prawem spadkowem, opieką nad małoletnimi i nadzorem ksiąg sądowych. Nie domagała się tedy szlachta wówczas żadnych szczególnych praw stanowych dla swej samolubnej korzyści, ale wywalczała sobie tylko stopniowo prawa, które my dziś uważamy za całkiem naturalne, takie, bez jakich nie umiemy sobie dzisiaj wyobrazić porządków państwowych. Nie żądała szlachta ta dla siebie przywilejów w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu. Należy ostrzec każdego, komu się o tych „przywilejach“ opowiada, że w dawnych wiekach wyraz „privilegium“ znaczy poprostu tyle, co dzisiaj „ustawa“.

Przywilej jedlneński 1430 r. stanowi dalsze poważne udoskonalenie polskiego prawa sądowego, stanowiąc, żeby król sądził tylko w najwyższej instancji, ażeby nie rozsyłał od siebie „justycjonarjuszów“ po kraju bezpośrednio. Obwieszczając zaś zasadę „neminem captivabimus, nisi iure victum“, zapisuje się tem samem w historji, jako wielka zasługa cywilizacyjna wogóle; czyż zasada, że więzionym być można tylko na podstawie wyroku sądowego, nie jest fundamentem cywilizacji? Zakaz, żeby król nie mógł bić monety bez zezwolenia dostojników państwowych, zmierza do wprowadzenia porządku w stosunki monetarne. Zakaz, żeby król podróżował po kraju nie na przygodny koszt ludności przydrożnej, wybierając od niej t. zw. „stacje“, lecz na koszt

skarbca publicznego (królewskiego), stanowi roztropne uporządkowanie kwestji, wiodącej z natury rzeczy do niemiłych a niepotrzebnych nieporozumień; jest ten zakaz postanowieniem prawdziwie postępowem. Cóż innego zarzucimy temu „przywilejowi"? Czy dopatrzymy się niewłaściwości w postanowieniu, by także mieszczanie płacili poradlne ze swych gruntów położonych za murami miejskiemi? Czy może weźmiemy szlachcie za złe, że żądała zrównania w prawach wszystkich ziem polskich? Na tem bowiem koniec jedlneńskiego przywileju. My dzisiaj zażądalibyśmy zapewne natychmiast wszystkich tych „przywilejów szlacheckich", gdyby one nie stanowiły w naszej umysłowości czegoś, co się już rozumie samo przez się.

Na zjeździe wojskowym w Cerekwicy w r. 1454 zażądano, żeby nie było wolno prowadzić wojny bez uchwały sejmików. Piorunowało się tyle w podręcznikach historji polskiej na ten pomysł, aż oto podczas wojny powszechnej wyłoniło się to samo żądanie w rozmaitych stronach Europy.

Ludzka to rzecz, że w najlepszych dążeniach znajdą się zawsze strony słabe; nigdy nic nie jest zupełnie dobrem, czyli doskonałem. Od czerwińskiego poczynając, były owe „przywileje" wielce chwalebne, ale niebezpiecznym był sposób, w jaki je otrzymywano. Narady obozowe musiały rozluźniać karność wojskową, a zamieniając wojsko na jakiś olbrzymi sejmik, mogły się łatwo wyrodzić w plagę i klątwę wypraw wojennych. To też najpilniejszą sprawą dalszego rozwoju państwa polskiego było, żeby szlachcie dać jakąś instytucję prawną do obrad w imieniu wszystkich ziem polskich, z prawem inicjatywy, żeby nie radzili po obozach nad sprawami publicznemi. Jak najbardziej naturalny rozwój prawa polskiego musiał zmierzać do... sejmowania.

Za daleko zawiodłoby nas to tutaj, gdyby chcieć choćby jak najkrócej wyłuszczać genezę sejmów. Wystarczy zwrócić uwagę na owo cerekwickie odwoływa-

nie się do sejmików. Lecz cóż począć, gdyby jedne sejmiki były za wojną, a drugie przeciw? Jeżeli zaś o zamierzonej wojnie miało się radzić publicznie, na sejmikach, nie możnaby nigdy zajść nieprzyjaciela nieprzygotowanego. Uchwała tego rodzaju, wykonywana tak prymitywnie, wychodziłaby w praktyce na to, że Polska zawsze poczeka, aż zostanie napadniętą.

Podczas wojny 13-letniej okazało się niepraktycznem, żeby każda ziemia zosobna uchwalała podatki, bo zapadały czasem uchwały niezgodne. Poczęto przeto łączyć sejmiki sąsiednich ziem, i powstały z tego dwa sejmy prowincjonalne, wielkopolski i małopolski. W r. 1457 zdarzyło się atoli, że Wielkopolska uchwaliła pospolite ruszenie, a Małopolska podatek po 12 groszy z łanu. W r. 1464 chciał król pospolitego ruszenia z Wielkopolski, ale Wielkopolanie oświadczyli, że skoro Małopolanie nie ruszają w pole, a tylko dają podatek na zaciężnych, i oni też wolą płacić po 12 groszy. Taka różność uchwał była kłopotliwą, próbowano tedy rady na to w ten sposób, żeby zebrać odrazu na jednem miejscu obydwa sejmy prowincjonalne, lub przynajmniej ich delegacje. Pierwszy taki ogólny zjazd sejmowy odbył się w r. 1459 w Piotrkowie. W r. 1468 obmyślono po raz pierwszy prawidło, jak takie zjazdy zbierać. Małopolski sejm prowincjonalny zażądał wtenczas sam zwołania sejmu obydwóch prowincyj do Piotrkowa. Postanowiono, żeby szlachta wybrała z każdego powiatu po dwóch posłów sejmowych. Wtenczas też pojawia się nazwa na taki zjazd posłów z całego państwa: sejm walny. Instytucja ta miała zwolenników i przeciwników, ustaliła się dopiero od r. 1496, określiła się zaś prawniczo aż w r. 1505. W tym też roku stanęła uchwała n i h i l n o v i, że do ważności jakiejkolwiek nowej uchwały trzeba odtąd, żeby się na nią zgodził król, zjazd dostojników podczas sejmu odbyty (senat) i posłowie sejmowi.

Wytworzyło się tedy sejmowanie polskie ewolucyjnie bez jakiejkolwiek myśli o uprzywilejowaniu jednego

stanu kosztem innych. Miasta królewskie miały prawo uczestnictwa w sejmie, lecz same się od tego wypraszały, nie chciały wyprawiać od siebie posłów, bojąc się, że to mogłoby poderwać ich samorząd i narazić mieszczaństwo na... podwyższenie podatków; woleli więc obchodzić zdaleka miejsce, gdzie podatki się uchwalało. Z własnej woli mieszczaństwa sejm walny stał się korporacją wyłącznie szlachecką.

Nie znajdzie nikt niczego zdrożnego na całej drodze, na której państwo polskie stało się w XV wieku szlacheckiem, a potem działała bezwładność. Widocznie więc zabrakło sił innych, skoro bezwładność rozstrzygała. Nastały pokolenia, nie wytwarzające n o w y c h sił społecznych w ilości dostatecznej. Siły nowe mogły były wyjść tylko z poza szlachty, a więc w pierwszej linji z mieszczaństwa.

W wieku XVI ogólny bilans siły społecznej wypada znakomicie. Wszak powstaje piśmiennictwo, w którem mieszczaństwo bierze udział narówni ze szlachtą; kwitną nauki, w których rozwoju mieszczaństwo zajmuje stanowisko przodujące; pojawia się szereg inowacyj w zarządzie państwa, z których możemy być prawdziwie dumni (podatek progresywny, rozdział skarbu „stołowego" królewskiego od państwowego publicznego, utwierdzenie odziedziczonej po wieku XV zasady wolnego handlu i t. d.); wreszcie coraz znaczniejsze społeczno-polityczne oddziaływanie na ościennych — to wszystko nie mogłoby się było dziać, gdyby w społeczeństwie polskiem nie nagromadziło się dużo siły społecznej. Olbrzymi był rozpęd tej siły, przekazanej przez wiek XV, a wiek XVI dodaje swój dorobek, i to wystarczyło, jakkolwiek sił całkiem nowych, tj. nowych źródeł sił nie przybyło. Z jednym wyjątkiem mieszczańskich uczonych i literatów, wszystko robi szlachta sama. Tak nie mogło być zawsze; twórczość społeczna, zbyt ograniczona, musiała się wyczerpać.

Udział szlachty w życiu narodowem zaczyna się od zawodu wojennego; udział mieszczaństwa od piśmiennictwa. Mieczem utorowała sobie szlachta drogę polityczną, okupiwszy prawa swe krwią własną; od intelektu zaczyna tę samą drogę mieszczaństwo. Według wszelkiego prawdopodobieństwa byłoby się doszło tą drogą, tak różną do tych samych rezultatów narodowych, a może nawet droga od intelektu byłaby krótszą, ale przyczyny zewnętrzne wywołały upadek miast i zasypały nowe źródło siły społeczno-państwowej, zanim ewolucja dalsza zdołała je rozszerzyć należycie. Szlachta popełniła błędów niemało, potem wyrodziła się nawet w sobkostwie stanowem, ale przyczyną wszystkiego złego było to, że stała się jedyną siłą społeczno-państwową w Polsce. Ta „jedyność" zgubiła ją i wszystkich innych, zgubiła Polskę całą.

Wynik byłby taki sam, gdyby „jedyność" była przy mieszczaństwie; nie o to bowiem chodzi, która warstwa posiądzie monopol sterowania państwem, ale o to, żeby takiego monopolu nie było. Rozróżnijmyż sprawę według jej cech istotnych: nie szlachta zgubiła Polskę, lecz monopol polityczny jako taki. Byłby jednako zgubnym, gdyby go zamiast szlachcie przyznać „chłopstwu".

Powiedziano powyżej, że nie mamy powodu wstydzić się dróg, jakiemi państwo polskie stało się „szlacheckiem". Śmiem twierdzić, że do sprowadzenia monopolu szlachetczyzny przyczyniła się w znacznej mierze... dobra wola tejże szlachty. W życiu prywatnem często się zdarza, że najlepsze zamiary, wykonywane niewłaściwie, podjęte niewcześnie, sprowadzają wyniki ujemne, a nawet szkodliwszemi się stają od złej woli. W życiu publicznem tem bardziej. O ileż bowiem łatwiej jest obronić się przed złą wolą, niż przed źle zorganizowaną wolą dobrą!

Polskie nobilitacje, służyć mające za nagrodę zasłudze, stanowiły prawdziwe nieszczęście Ojczyzny. A się-

gały one aż do włościaństwa, na świadectwo najlepszej woli stanu szlacheckiego, przygarniającego do siebie wszystkich, miłujących „dobro pospolite".

Jak mamy na to wyraźne świadectwa w głosach współczesnych, szlachta polska miała w XVI w. piękne i szlachetne mniemanie o istocie szlachectwa, mianowicie, że nie ma to być warstwa zamknięta w sobie, z godnością polegającą na przywileju ślepego trafu urodzenia, lecz że winna być zbiorem wszystkich lepszych, rozumniejszych i zdatniejszych osób, pochodzących pierwotnie ze wszystkich warstw. Sypały się też w XVI w. nobilitacje; kto odznaczył się czemkolwiek, zostawał szlachcicem. Niejeden z piechoty wybranieckiej dostąpił tego zaszczytu; zdarzały się nawet nobilitacje całych wsi od jednego razu. A z tego skutki fatalne: kto miał być pierwszym wśród kmieci, stawał się ostatnim wśród szlachty. Ci, którzy mieli być przodownikami swej warstwy, stawali się jej cudzymi; warstwa zaś, z której wyszli, pozostawała upośledzoną, jak przedtem. Zamiast dążności do równouprawnienia, wyrabiało się dążenie, żeby przejść do warstwy uprzywilejowanej.

Częściej niż u włościaństwa zdarzały się nobilitacje mieszczan. Gdyby pozostali byli mieszczanami najlepsi miast obywatele, wywieraliby zbawienny wpływ na współobywateli miejskich; czyż zaś państwo obeszłoby się bez współpracownictwa inteligentnego mieszczaństwa? gdyby im zagradzano drogę do „rzeczypospolitej", próbowaliby wejść tam szturmem, bo przy pewnym stopniu inteligencji następuje zawsze domaganie się udziału w sprawach publicznych. Mieszczaństwo polskie pracowało dużo intelektem; świadkiem historja piśmiennictwa, ale nie wyrobiła się kultura mieszczańska, bo cały dorobek kulturalny miejski przechodził do warstwy szlacheckiej.

Spójrzmy dla przykładu na mieścinę trzeciorzędną nad górną Wisłą — Oświęcim. Młodzież tamtejsza garnęła się gęsto do studjów wyższych. W XVI w. kilkuset

oświęcimian oddawało się zawodom naukowym, a kilkunastu okryło się sławą, z wielkim Łukaszem Górą na czele. Był to mąż wielkich istotnie zasług, książę prozy polskiej i jeden z najbardziej cywilizowanych Polaków wogóle. Co za szkoda, że zrobił się z niego Górnicki! Szlachcic naprędce, który z mieszczaństwem nie miał już nic wspólnego. I tak bywało ze wszystkimi; nadawano im herby i odrywano ich od rodzimego pnia. Skończyło się to na tem, że w tymże Oświęcimiu, tak przez Muzy upodobanym, w drugiej połowie XVII w. podpisywał się burmistrz... „znakiem Krzyża świętego". Wszystko, co było lepszego, frunęło na wysokie drzewo, pomiędzy herby szlacheckie; zostało na gnieździe tylko to, co było mniej zdatne. A gdy potem zakazano królowi nobilitacyj, gdy później ograniczono samo pojęcie szlachectwa do szczęśliwego urodzenia, mieszczanin, przywykły przykładać się do nauk dla otrzymania nobilitacji, przestał pracować nad sobą, gdy zabrakło przynęty i nagrody państwowej.

Powtórzmy sobie, że gdyby mieszczaństwo było silnem ekonomicznie, a przytem inteligentnem, gdyby miało było na czele ludzi, których rada w sprawach publicznych posiadałaby wagę, bez których ciężko byłoby się obejść w załatwianiu spraw publicznych — takie mieszczaństwo dążyłoby do równouprawnienia, byłoby się wcześniej czy później o nie upomniało, a w razie niechęci, byłoby wymusiło uznanie swych praw obywatelskich. Ale w Polsce niechęci do tych ludzi właśnie nie było; przeciwnie, była chęć nagradzania ich, jak najlepiej tylko nagradzać umiano, przyznając odrazu wszystkie prawa obywatelskie przez nadanie szlachectwa. Nikt się nie spostrzegł, że może powstać coś złego z dobrej wiary i dobrej woli.

W tem właśnie życia zbiorowego właściwość, że na nic samo odczuwanie sercem toku spraw publicznych, lecz trzeba patrzeć w przyszłość z pomocą rozsądku i z zimną krwią obliczać ze wszystkiego wszelkie możli-

we następstwa. Gdyby szlachta polska XVI wieku była gorszą, gdyby takich Łukaszów Górów była odpychała, może byłoby lepiej dla przyszłości narodu, bo Górowie byliby organizowali mieszczaństwo, a inteligencja ich podniosłaby poziom tej warstwy. Aleć u nas najzdolniejsi mieszczanie marzyli o tem, żeby przestać być mieszczanami.

Nobilitacja tak pojmowana była przeto błędem politycznym, gdyż sprowadzała następstwa przeciwne zamierzonym, i stała się przyczyną skutków ujemnych. Mamy tu do czynienia z klasycznym przykładem źle zorganizowanej dobrej woli, a to z powodu przenoszenia żywcem teorji w praktykę: w tym wypadku teorji, jako szlachectwo obejmować ma wszystko, co szlachetne w społeczeństwie, ażeby zapewnić wpływy szlachetnym. Czyż można było wymyślić coś szlachetniejszego? I czyż to nie jest najzupełniejszą prawdą, jako szczęśliwem byłoby państwo, podległe wyłącznie wpływom obywateli szlachetnych, zorganizowanych do pracy publicznej? Taką to organizacją miała stać się szlachta polska, jak tego liczne są wskazówki w pisarzach złotego okresu piśmiennictwa. A tymczasem rzeczywistość zadała brutalnie kłam teorji, która nie uwzględniała zgoła warunków życia; nie uwzględniała... tarcia.

Takie stosowanie teorji zowiemy doktrynerstwem. Teorja polska nobilitacji jest pierwszym, a niestety nie ostatnim przykładem polskiego doktrynerstwa. Geneza jego w tem, że się nie odróżniało stopniowania ilościowego w życiu zbiorowem. Kiedy chodziło o wysnucie prawideł dla życia publicznego, robiło się to na podstawie życia rodzinnego, które jest zbiorowem wprawdzie, lecz nie publicznem. Zestawiania takiego sporo możnaby przytoczyć przykładów, a zazwyczaj kwapiono się zarazem z wysnuwaniem wniosków do praktyki państwowej. Jeszcze częściej czerpało się argumentację polityczną z drugiego stopnia życia zbiorowego, a mianowicie z „majętności", co także nie należało do kategorji

życia publicznego. Nie zdawano sobie z tego sprawy, ani też tem mniej jeszcze z tego, że życie prywatne a publiczne bardzo niewiele mają ze sobą wspólnego co do ustroju. Zbiorowość publiczna — państwo, czy też cząstka państwa (województwo, powiat) — nie są bynajmniej powiększoną do olbrzymich rozmiarów „majętnością“, a cóż dopiero rodziną. Zachodzi tu różnica nie ilościowa, lecz jakościowa. Pomyłka ta zdarzała się nie tylko u nas, ale u nas wysnuto z teorji najwięcej praktycznych wniosków, i trzymano się ich uparcie. My byliśmy w cywilizacji łacińskiej największymi doktrynerami.

Doktrynerstwo nasze zaczyna się w drugiej połowie XVI w., w czasie rozkwitu tedy piśmiennictwa politycznego. Niewszyscy pisarze polityczni mieli w sobie żyłkę doktrynerską, ale ci, którzy ją mieli (Orzechowski np.), byli najpopularniejszymi. Za daleko zaprowadziłoby nas poszukiwanie przyczyn tego objawu; poprzestańmy na stwierdzeniu faktu, bo w całej tej książce o zebranie faktów chodzi przedewszystkiem.

Oczywiście, że doktrynerstwo polityczne osłabia zdatność polityczną, a podcina korzenie twórczości politycznej. Żadną miarą nie można zaliczyć do objawów tej twórczości samych teoryj, choćby najwspanialsze były. Polityka jest z królestwa Ethosu, a więc musi się legitymować praktyką, tj. czynną stroną życia publicznego.

Zdatność nasza polityczna wznosiła się do twórczości, póki nie owładnęło naszej umysłowości doktrynerstwo. Przyjrzyjmy się bliżej tej materji.

Dokładnem kryterjum łączności spraw społecznych z państwowemi jest stopień samorządu, co można obserwować dokładnie na urządzeniach wszystkich państw europejskich, od rosyjskiego do angielskiego. Znamienne to, że to samo kryterjum odnieść można do wolności obywatelskiej. W o l n o ś ć, t o s a m o r z ą d!

W tej dziedzinie zachodzi drugie podobieństwo historji polskiej do angielskiej. Obydwa państwa nie znały nigdy biurokracji. Anglji niesposób sobie wyobrazić z administracją biurokratyczną. Polsce została ona narzucona dopiero przez państwa zaborcze, a wznowione państwo polskie dopóty nie odnajdzie samo siebie, dopóty będzie się błąkało po manowcach, póki nie wytnie ze siebie tego pasorzytnego nowotworu; jeżeli zaś nie zdobędziemy się na powrót do ustroju samorządnego, niepodległość sama będzie ciągle wystawiona na sztych, gdyż Polska biurokratyczna nie zdobędzie się na właściwą ewolucję społeczno-państwową. W razie dłuższego utrzymania państwowości biurokratycznej musiałby nastąpić rozłam pomiędzy państwem a społeczeństwem, skutkiem czego państwo nie mogłoby się nigdy wzmocnić i nie mogłoby wogóle stawiać sobie żadnego celu poza najprymitywniejszą walką o byt. Zachodzi tu bowiem wypadek uprawiania polityki — w tym razie polityki administracyjnej — wbrew strukturze społecznej, ewolucyjnie wyrobionej. Biurokracja nie należy zgoła do ewolucji polskiej, a nawet jest duchowi narodowemu jaskrawo przeciwna. Zaprowadzono ją u nas przemocą obcego panowania, a pozostawiono po odzyskaniu niepodległości tylko siłą bezwładności, która nareszcie jednak przestanie działać...

Ograniczenie polityki do obrębu struktury ewolucyjnej społeczeństwa i państwa ścieśnia kazuistycznie jej zakres, ale zato ją pogłębia; co ujmie ilościowo niejako, przyda z lichwą jakościowo. Oby się trzymano na całą przyszłość tego ograniczenia, gdyż tylko w niem wyrasta t w ó r c z o ś ć p o l i t y c z n a. Jest ona wykluczoną przy polityce sztucznej, nie liczącej się z warunkami struktury ewolucyjnej w państwie i społeczeństwie. Twórczość jest bowiem emanacją z wnętrza, z własnego ducha, którego stanowi triumf i objaw zewnętrzny dojrzały; twórczość nie jest jakimś przygodnym nabytkiem z zewnątrz.

Dopóki polityka polska trzymała się szranek własnej ewolucji społeczno-państwowej, posiadała siłę twórczą. Oto nie naśladując Zachodu, nie przyjmując ni feudalizmu, ni później legizmu (powrócimy jeszcze do tej kwestji w jednym z następnych rozdziałów, poświęconym omówieniu stosunku do Europy), wytworzyliśmy ustrój własny, nie tylko zdolny do życia politycznego, lecz powołujący do nowego życia ościenne społeczności, już politycznie zamierające. Polska polityczna twórczość stawała się lekiem dla sąsiadów; wytrzymywała tedy próbę najcięższą, najtrudniejszą: próbę uniwersalności, iż nie była lokalną tylko zaradnością, ale dorobkiem powszechnej kultury politycznej. Polskie pomysły polityczne nie były dziełem samego tylko Ethosu polskiego, czynnego około utrzymania własnej państwowości, lecz zarazem dziełem polskiego Logosu, trwałym dorobkiem dziejów, podwyższającym poziom owej sztuki wykonywania zamiarów dotyczących ogółu.

Przez znaczną większość czasów naszego życia historycznego dawaliśmy sobie radę na europejskiej arenie politycznej własną twórczością polityczną. Państwo nasze wyłoniło się z własnej, rodzimej organizacji społecznej, a swoistość naszego życia publicznego uderza każdego historyka, prawnika, socjologa.

Państwo Władysława Niezłomnego (Łokietka) oparłszy się na idei narodowej, było pierwszym tego rodzaju ustrojem państwowym w Europie. Zdatność polityczna ustroju państwowego polskiego okazała się w dobie krytycznej po śmierci Kazimierza W., kiedy to za Ludwika węgierskiego obywaliśmy się faktycznie bez króla, a zmuszeni sześć razy do buntu przeciw królowi, utrzymaliśmy państwo bez szwanku z pomocą organizacyj samorządnych. Dawaliśmy sobie doskonale radę, a nawet posunęliśmy państwo na wyższy szczebel rozwoju zapomocą nowego pomysłu politycznego: przez unje.

O stosunku naszym do Litwinów jako takich mowa będzie w osobnym ustępie części trzeciej. Tutaj zasta-

nówmy się nad samą zasadą unji, bez względu na specjalne stosunki polsko-litewskie.

Pomysł unji, jeden z najbardziej twórczych pomysłów w całej historji powszechnej, stanowi tem większą zasługę Polski, im bardziej oryginalnym on był w czasach, kiedy Zachód nie umiał urządzać stosunków międzynarodowych inaczej, jak tylko na zasadach prawa dynastycznego. System unij stanowi wyłączną własność polskiej umysłowości; wszak wzoru do niego nie było skąd czerpać. Polska znalazła się wobec stosunków i faktów, które nie dawały się regulować zapomocą form dotychczasowych; znalazłszy się wobec nowej treści, umiała Polska wynaleźć dla niej nowe formy — i w tem chwała twórczości polskiej. Wydała ona myśl nową, żeby sąsiednie kraje łączyć w jeden systemat polityczny, dokonywając tego nie przemocą, ale pod hasłem równouprawnienia i obopólnej korzyści. Obmyślona w tym celu nowa forma prawno-państwowa mieściła w sobie w zasadzie od początku obydwa główne pierwiastki prawa polskiego publicznego: swobody obywatelskie i samorząd. Wraz z unją zaczyna się natychmiast szerzenie tych dwóch zasad w kraju zunjowanym.

System unij posiada tę zaletę, że regulując stosunki między państwami czy narodami, wyklucza zgóry jednostronność i narzucenie czegoś słabszemu przez silniejszego, boć do unji trzeba koniecznie dwóch stron; a choćby druga strona była jak najsłabszą, w unji wykluczone jest panowanie jednego narodu nad drugim, gnębienie jednego państwa przez drugie. Skoro w układzie pomiędzy dwoma państwami zachodzi w czemkolwiek stosunek nierówności, nie jest to unją. Unja jest zyskiem dla słabszego; dla silniejszego mniejsze przedstawia korzyści — ale jest korzyścią nadzwyczajną dla powszechności narodów, dla cywilizacji.

Przez półtrzecia wieku, od Kazimierza W. do początku wieku XVII rozwijało się też wspaniale prawo pol-

skie, a na torach zupełnej oryginalności, snując swe teorje, które wytrzymywały próbę praktyki.

Dzisiaj nie trzeba chyba wywodzić, ile byłaby zyskała Europa, gdyby w wieku XVI Jagiellonowie wzięli byli górę nad Habsburgami, gdyby na zachód od Polski (od Czech poczynając) zapanowała była idea unij zamiast idei dynastycznej. Unja a dynastyczna idea wykluczają się wzajemnie. Państwa oparte na dynastyczności stoczyły też walkę z Polską nazabój, aż wymazały ją z mapy politycznej Europy.

Gdyby system unij się rozwinął, okazałoby się, że mieści on w sobie największą rozmaitość odcieni ze wszystkich form stosunków międzynarodowych; że jest najbardziej giętkim, ale też zato najsposobniejszym do jak najwszechstronniejszego zastosowania. Unja nie polega na jakimś niezmiennym kanonie. Dlatego właśnie, że nie może być narzuconą, musi zawierać w sobie niemało odcieni form, by dogodzić stronom pozostającym na nierównym poziomie państwowym, społecznym, kulturalnym. Inaczej musiało się zawierać unję z Litwą, inaczej z Prusami Królewskiemi; a czyż unja z Czechami, na którą zanosiło się dość długo, nie byłaby jeszcze inną? Wyobraźmyż sobie (mówiąc po akademicku) debatę o unję z Niemcami, a uwydatniłby się wlot cały szereg kwestyj obcych zgoła tamtym unjom.

Nie tylko z każdym kontrahentem unja musi być indywidualną, ale rozmaitą być musi z tym samym kontrahentem w rozmaitych czasach.

Realizacja żadnego ideału nie odbywa się naraz, lecz stopniowo, bo w miarę pojawiania się nowych stron życia, muszą się one przejmować tymże ideałem, lub go odrzucać; jeżeli się nim przejmą, trzeba go dopiero wprowadzać w nowe kształty życia, a więc nie można do tego użyć form starych. Żywotność ideału polega na tem, by się on wciąż odradzał, ale nie na tem, by trwał bez zmian w szczegółach. Wszystko, co żywe, zmiennem jest — inaczej skostnieje, przestarzeje się i zamrze.

Dany ideał życia publicznego musi się tedy realizować na nowo na każdym szczeblu rozwoju życia zbiorowego; korzystając oczywiście z realizacji poprzedniej o tyle, o ile tradycja ułatwia zawsze kontynuację dzieła. Tradycja winna ustrzec od opacznego, niewłaściwego stosowania ideału danego na nowym szczeblu rozwoju; dobrze jest, gdy się tę korzyść osięgnie, historja bowiem notuje wielkie nieraz pomyłki pod tym względem.

Życie zbiorowe komplikuje się coraz bardziej, to też realizacja żadnego ideału zbiorowego nie jest nigdy ukończona. Rozwój życia zbiorowego nie zna granic. Ci, którzy początkowo byli niższymi co do rozwoju społecznego, państwowego, kulturalnego, mogą przegonić tamtych, którzy pierwotnie silniejszymi byli. Równouprawnienie, stanowiące istotę unji, wymagać będzie w takim razie norm innych; trzeba będzie wprowadzić zmiany stosownie do nowych czasów i nowych ludzi. Systemat unij tem właśnie góruje ponad wszystkiemi innemi, że nie przesądza na przyszłość niczego na niczyją niekorzyść; mieści w sobie najwięcej rękojmi, że w najdalszej nawet przyszłości zasada równouprawnienia utrzymaną będzie; zawsze z pomocą środków odpowiednich współczesnym stosunkom. Wszakżeż unja polsko-litewska była zmienianą, poprawianą ośm razy.

Zdolność dostosowania się do czasu, miejsca i okoliczności jest w systemie unij nadzwyczajną, z pewnością większą, niż w jakimkolwiek innym ze znanych dotychczasowej historji europejskiej. Zdolność ta ma jednak granice i myliłby się, ktoby przypisywał zasadzie unji zupełną uniwersalność czasu i miejsca. Ideał ten ma też swoje ograniczenia.

Unja możliwą jest tylko pomiędzy członkami tej samej cywilizacji. Dlatego niewykonalnym stał się projekt rozszerzenia unji na Moskwę (poselstwo Sapiehy 1600 r. i sprawa ze Samozwańcem, 1604—08), a nawet projekt prostego połączenia obydwóch tronów w jednej osobie (kandydatury Iwana Okrutnego, Fiedora, a z dru-

giej strony kandydatura Władysława IV; pomiędzy tem zaś projekt zrzucenia z tronu Zygmunta III., a ofiarowania korony Samozwańcowi). Ale co więcej: utopją była ugoda w Hadziaczu z Rusią w r. 1658, którą zerwała sama Ruś, chociaż otrzymywała warunki świetne. Ani bowiem Moskwa, ani Ruś nigdy unji nie chciała. Nie mając odpowiednich pojęć w swej kulturze, nie mogła realizować czegoś pozostającego poza jej horyzontem. Ani Moskwa, ani Ruś nie mogły chcieć unji.

Unja nie da się oktrojować, chociażby towarzyszyła temu jak najlepsza wola. My zaś staliśmy się wcześnie doktrynerami unji, stosującymi system ten na ślepo, i to tak dalece, iżeśmy przepomnieli o tem nawet, że do unji trzeba koniecznie dwóch pragnących ją zawrzeć; zatraciliśmy prosty rozsądek, skoro nam się mogło zdawać, że wystarcza, gdy my jesteśmy skłonni zawierać unję z całą uczciwością. Ileż czasu straciliśmy i sił na niewczesne zabiegi o unje we wschodniej Słowiańszczyźnie, należącej do innej cywilizacji! A doktryneryzm ten, rzecz jakżeż znamienna, obudził się natychmiast, skoro tylko zaczął się świt odrodzenia. Oto Czartoryscy marzyli zrazu o unji z Moskwą, przypuszczając, że uda im się połączyć w swem ręku obydwa trony, polski i rosyjski. A ledwie zabłysnęła jutrzenka niepodległości.... Lecz nie piszę broszury politycznej. Powtórzę tylko, że nie może być unji, gdzie niema drugiej strony, pragnącej ją zawierać, a kto się upiera przy tem haśle, chociaż z tamtej strony nikt o unji nie myśli, daje przykład ślepego zaiste doktrynerstwa.

Skłonność do doktrynerstwa została nam, niestety. Nie może być gorszej zawady do wyćwiczenia się w sztuce wykonywania zamiarów dotyczących ogółu, czyli w polityce.

Spotykamy się tedy w Polsce ze szczególnym objawem: wielka twórczość polityczna obok niskiego stopnia rutyny politycznej. Cóż sądzić wobec tego o polskiej zdatności politycznej?

W polityce może być zdatność bez twórczości całkiem; może też być zdatność jednostronna, objawiająca się tylko twórczością. Zdatność zupełna obejmować musi i twórczość i rzemieślniczą niejako stronę wykonawczą.

Bez odrobiny twórczości, według cudzych wzorów, lecz korzystając też pilnie z cudzego doświadczenia, można w polityce zajść daleko i otrzymywać doskonałe wyniki, zbierać wspaniałe korzyści. Żadna dziedzina intelektu nie wymaga tak mało zdolności twórczej jak polityka. Zdatność wykonywania może być wielką przy wykonywaniu pomysłów cudzych, a pomysły cudze mogą być zupełnie wystarczającemi do utrzymania państwa; gdy tymczasem gdzie indziej może panować obfitość nawet pomysłów oryginalnych, a dobrych, a szwankować zdatność do ich wykonania.

Do państwowej i społecznej walki o byt twórczość polityczna zapewne potrzebną nie jest; ale państwa, narody i społeczeństwa, nie obdarzające cywilizacji niczem własnem, oryginalnem, pozbawione są znaczenia ogólnego, ponieważ ogólny zestrój danego zespołu cywilizacyjnego byłby bez nich taki sam; nie mają też takie społeczeństwa żadnego celu poza własną walką o byt. Twórczość polityczna stanowi przeto nieodzowny warunek, ażeby dane państwo miało jakieś znaczenie i jakiś cel. Pod tym względem istnieje tu podobieństwo z życiem prywatnem: może się komuś bardzo dobrze powodzić, chociaż to osoba bez znaczenia, której brak celu w życiu; może zaś ktoś posiadać wielkie znaczenie dla potrzeb ogółu, przejęty górnemi celami w życiu, ale może mu się powodzić źle, bo choć celuje zdolnością twórczą, brak mu w dostatecznej mierze zdatności praktycznej życia powszedniego.

Znany to powszechnie fakt, jako dar inicjatywy rzadko łączy się ze zdatnością wykonawczą. Twórczość polityczna nie jest niczem innem jak darem rozumnej inicjatywy, dzięki której powstaje coś nowego w stosun-

kach życia publicznego. Jednostkę, która obmyśli coś takiego, pożytecznego dla ogółu, można, a w danym razie nawet należy zwolnić od wymagania, żeby sama wykonała, co wymyśliła; znajdzie się kto inny, specjalista od wykonywania. Inna atoli sprawa, jeżeli w całem społeczeństwie nie znajdą się wykonawcy; społeczeństwo, wzięte jako całość, nie może być zwolnione od postulatu wykonywania myśli w niem samem zrodzonych. W jakiejkolwiek zdarzałoby się to dziedzinie życia, w nauce, w sztuce, czy w przemyśle lub w jakimkolwiek zakresie, świadczyć to będzie zawsze o niedojrzałości, lub o niedostatkach w organizacji społeczeństwa, jeżeli inicjator poszukiwać musi wykonawców w obcem społeczeństwie, nie mogąc ich znaleźć we własnem. W polityce atoli jakżeż można ubiegać się o wykonanie pomysłu pośród obcych? Dodajmyż, że wykonawczość jest w polityce zbiorową, bo stanowczo niewykonalnem jest w życiu publicznem wszystko, czem nie zainteresuje się znaczniejsza ilość obywateli; n i c o s i ę g a l n e m j e s t, c z e g o n i e p r a g n i e o g ó ł. Ochoczych do wykonania muszą być tysiące, setki tysięcy, jeżeli pomysł polityczny ma być wykonany; inaczej pomysł przebrzmi bez echa, a nawet pamięć o nim zaginie. Wykonywanie niezawsze jeszcze kończy się wykonaniem; zdarza się wykonywanie bez rezultatu. Setki tysięcy pragną czegoś, wykonują to ofiarnie, z zapałem i poświęceniem, ale wykonywanie źle jest zorganizowane, a na czele akcji realizującej brak ludzi obdarzonych zdatnością polityczną — i wtenczas pomimo wszystko celu się nie osięga.

Zdatność polityczna ogółu składa się tedy bezwarunkowo z obu pierwiastków, z twórczości i z umiejętności wykonania. Jeżeli jej brak twórczości, jest zdatnością niższego rzędu, lecz jeżeli jej brak wykonawczości, nie jest wcale zdatnością. Politykę oceniać należy pod tym względem odmiennie, niż inne działy pojęć oderwanych w życiu. Zdatność polityczna musi się wylegitymować

realizacją, boć inaczej jakżeż ocenić wartość samego pomysłu, póki nie został wypraktykowany?

Odróżnić należy jednak samo wykonanie od powodzenia w polityce. Może coś zostać wykonanem dobrze, a pomimo to nie powieść się. Powodzenie zawisło od okoliczności postronnych niemal tak samo, jak od wewnętrznej wartości samejże rzeczy. Polityk winien je przewidywać i postępować stosownie do tego; jeżeli tego nie umie, pozbawiony jest zdatności politycznej. Zachodzi atoli ten wzgląd, że pośród zawiłego splotu okoliczności życia publicznego w danym kraju, a cóż dopiero w stosunkach międzynarodowych wyrobić się może zawsze jakiś vis maior, której uległszy, nie traci się nic ze swej wartości. I dlatego to powodzenie samo nie może stanowić wyłącznego kryterjum politycznego.

Polskie swoiste urządzenia życia publicznego: wolności obywatelskie, samorząd, unja, wytrzymywały długo próbę realizacji; do tych pomyślnych zdobyczy politycznych dodać należy jeszcze polski program ekonomiczny aż do połowy mniej więcej wieku XVI (o czem była mowa w części pierwszej). W połowie wieku XVII realizacja psuje się; około roku 1700 sejmowanie przechodzi w karykaturę, samorząd w bezrząd. Dlaczego?

Nastąpił upadek polskich instytucyj życia publicznego, ponieważ przestały się one zmieniać odpowiednio do nowych czasów i okoliczności. Jak powiedziano wyżej, żywotność ideału wymaga nieustannego odradzania się z pokolenia w pokolenie; jeżeli zaś trwa on bez zmian w szczegółach, staje się przestarzałym. Niestosownie zorganizowany kierunek, choćby w zasadzie najlepszy, staje się szkodliwym. To też szkodliwem staje się wszystko, co przestaje ulegać postępowym zmianom, co przestaje „z żywymi naprzód iść", co przestało się doskonalić.

Tu wystarczy powołać się na przykry fakt, który stwierdzono już w ustępie o prawie polskiem, jako rozwój jego trwał zbyt krótko. Unja lubelska była ostatniem

już określeniem stosunku do Litwy aż do sejmu czteroletniego (więcej o tem w osobnym ustępie o Litwie). Potem jeszcze artykuły henrycjańskie, trybunały główne za Batorego — i prawo polskie popada w zastój. Twórczość prawniczo-polityczna zamknęła się... a ustrój życia publicznego u nas był zbyt swoisty, iżby można było wegetować naśladownictwem.

Nie wygasła twórczość polska społeczno-państwowa, ale straciła wszelką wartość polityczną, a nawet wpływała nadzwyczaj ujemnie na państwo i społeczeństwo, gdyż toczył ją czerw doktrynerstwa, rozpanoszywszy się już w straszliwy sposób. W półczwarta miesiąca zajął Karol Gustaw całą Polskę i Litwę, bo doktrynerstwo polskie robiło z niego kandydata do tronu e l e k c y j n e g o!! Andrzej Maksymiljan Fredro (†1679) był twórcą całego systemu politycznego, wielce oryginalnego, który został wykonany i... prowadził prosto do upadku państwa. On wymyślił teorję polityczną, jako najlepiej nie zajmować się polityką zagraniczną, nie mieć fortec, a w skarbie pustki. Co nam dziś wydaje się obłędem umysłowym, to uważane było całkiem poważnie za mądre, przemyślne wielce wskazania polityczne. Logiki nie odmówi Fredrze, kto przyjmie jego założenie, jako ludzie starają się szkodzić tylko takiemu, którego się boją; kogo zaś nie boją się, ten jest pomiędzy ludźmi bezpieczny. O wartości tej tezy możnaby dyskutować, gdyby stosowaną być miała do życia prywatnego; w dziedzinie publicznego jest to dziwoląg oczywiście.

Bo też Fredro uważa państwo za majętność narodu, jak wioska jest majętnością szlachcica. Po Fredrze nastąpił rychły już upadek życia publicznego.

Zamarła polska zdatność polityczna na doktrynerstwo. Choroba ta powstaje z jednostronności w rozważaniu danego przedmiotu. Taką jednostronnością było traktowanie życia publicznego pod kątem widzenia dobrze zorganizowanego życia prywatnego, stosowanie jednakiej metody tu i tam.

Pozostawało to niewątpliwie w związku z jednostronnością struktury życia publicznego, zawartego w wyłączności szlachetczyzny, skutkiem czego zaczęto do państwa stosować „ekonomikę“ folwarku, mniemając, że to to samo, tylko na większą skalę.....

Życie nie wypływa nigdy z jednego tylko źródła, ani nie płynie jednem tylko łożyskiem. Zdrowe życie publiczne niemożliwe jest, jeżeli niewszystkim warstwom danem jest wytwarzać nowe siły społeczne. Wszelka siła wymaga ciągłego odnawiania przez powoływanie do działania nowych silników (motorów). Pod tym względem świat materjalny a duchowy ulegają temu samemu prawu.

Polityka w Polsce, wyrastając nie z całego społeczeństwa, stawała się coraz znaczniejszej jego części coraz obojętniejszą; nie interesowano się tem, na co nie miano wpływu. W miarę jak możnowładztwo brało górę w upadającej Rzplitej, przestawała się już i szlachta interesować sprawami politycznemi. W ograniczeniu coraz ciaśniejszem było więc coraz mniej pola do rozwoju zdatności politycznej.

Zapewne, ale czyż ścieśnienie to stanowiło cechę wyłącznie polską w owych czasach? W innych krajach pole twórczości politycznej, a choćby tylko ćwiczenia samej zdatności wykonawczej było jeszcze węższe niż w Polsce, ograniczone do monarszego dworu...

Ułomność jednostronności politycznej usuwano indziej w potokach krwi, a w Polsce usunięto ją bez wojny domowej w wiekopomnej konstytucji Trzeciego Maja. Do zalet jej należy i to, że zapobiegała zgóry zastojowi, nakazując co 25 lat rewizję ustawy.

Tymczasem vis maior stosunków zewnętrznych nie dopuściła do wykonania ustawy Trzeciego Maja. A potem... nieudałe powstania polskie nie mogą stanowić dowodu zdatności politycznej. Czy okazujemy ją, odzyskawszy niepodległość?

Niełatwo wspiąć się ponownie na sam szczyt Ethosu, gdy go się raz opuściło. Tam trzeba się wspinać stopniowo, wśród znoju i utrapień. Lecz nie zrażajmy się. Ojcowie nasi umieli umierać dla Ojczyzny; my nie traćmy tej gotowości, a douczmy się żyć dla Ojczyzny, tj. umieć działać z korzyścią dla Niej.

Wspinać się na szczyt Ethosu, w dziedzinę polityki rozumnej, uczciwej a skutecznej, trzeba z pomocą Logosu, od którego pochodzi wszelki zawiązek twórczości. Bez odpowiednika Logosu polityka nie może być twórczą, choćby najczynniejszą była, tj. choćby najbardziej obfitowała w wydarzenia zewnętrzne. Nie może przeto być twórczą polityka uprawiana przez nieuków.

Ponieważ skuteczną może być polityka tylko w granicach struktury ewolucyjnej, a zatem tem samem tylko w granicach kultury umysłowej, istniejącej w danym czasie i w danem miejscu. Czerpać środki musi polityka ze wszystkich sześciu kategoryj kultury umysłowej nowoczesnego społeczeństwa: z historyzmu i ludowości, z prac umysłowych około darów przyrody, z handlu, przemysłu i z oświaty. Państwo nowożytne, powołując do obywatelstwa szersze warstwy ludowe, uległoby wykolejeniu, gdyby nie dbało o oświatę tych mas; ich Ethos, puszczone samopas bez dozoru Logosu, prowadziłoby prosto do przepaści. Bez historyzmu niema polityki dla społeczeństwa, posiadającego historję; a że niema narodu bez historji, wszelka więc polityka narodowa musi czerpać środki z historyzmu. Ale będą to dopiero środki duchowe, trzeba zaś jeszcze materjalnych, dostarczających siły materjalnej. Polityka skuteczna musi przeto czerpać pełną dłonią z dobrobytu obywateli, z pielęgnowania z pomocą inteligencji darów przyrody, z handlu i przemysłu.

Niech mi będzie wolno powtórzyć, jako niema twórczości bez wytkniętego celu; a zatem niema bez tego polityki czynnej, takiej, która stanowi o znaczeniu państwa w układzie politycznym powszechnym. Znaczenie zaś Polski jest i będzie proporcjonalne do stopnia rozumnego

wyzyskiwania darów przyrody i wprowadzania ich w polski przemysł i handel (tego nie można powtarzać dość często). Państwo nowopowstające musi się znaleźć jak najprędzej na właściwem sobie miejscu pośród powszechności państw, musi pozyskać sobie jakieś znaczenie — z czego wynika, że dla Polski niema sprawy pilniejszej, jak sprawa podwyższania polskiego dobrobytu. Ta polityka będzie u nas twórczą, która ku sprawom dobrobytu zwróci się jak najmocniej.

Roztrząsania sprawy o naszą zdatność polityczną wymagały napomknienia o ramach polityki powszechnej, europejskiej. Jest to aż nazbyt proste, skoro roztrząsania nasze mają nas wieść do oznaczenia znaczenia i celu Polski. Ani jedno, ani drugie nie może być zbadane należycie bez uwzględnienia tła europejskiego. Nie posuniemy się też już ani na krok dalej w niniejszych wywodach, póki nie przeniesiemy dociekań naszych na szersze tło europejskiej powszechności.

Tam więc podążymy w części trzeciej naszego dziełka, badając powszechność sprawy polskiej, jako dalszą kategorję ujęcia przedmiotu, niezbędną do należytego wyjaśnienia zagadnień, o które nam chodzi.

Zaczniemy od rzeczy ogólnej, od określenia stanowiska i znaczenia Polski w przedrozbiorowym okresie uczestnictwa jej w historji powszechnej europejskiej. Najogólniejszą kwestją dziejów Polski jest stanowisko jej historyczne na rubieży Zachodu a Wschodu, rola jej pomiędzy temi dwoma światami. Któż z nas nie zna miłego dla ucha wyrażenia o misji naszej historycznej do utworzenia syntezy Zachodu i Wschodu?

Od krytycznego rozpatrzenia tej kwestji zaczniemy też nasze uwagi o powszechności sprawy polskiej. Zapuścimy się w odmienną zgoła dziedzinę zjawisk, ale nie oddalimy się ani na chwilę od przedmiotu, który winien być oświetlony wszechstronnie, jeżeli ma być wyjaśniony.

Koniec Tomu I.

Treść tomu pierwszego:

Rozdział wstępny 1

Przygnębienie po wojnie zwycięskiej — Czy nowe w dziejach pojęcie dobra powszechnego? — Niepodległość jako środek do celu — Trzy sprawy wymagające wyjaśnienia.

Czy kwestja znaczenia i celu Polski nie jest fikcyjna? — Narodowość — Cywilizacje, ich cechy zasadnicze a znamienne — Cywilizacje bez narodowości — Zrzeszenia polityczne z wyłącznym celem walki o byt — Naród jako społeczność ludów zrzeszonych do celów z poza walki o byt.

Celowość — Prawa świata duchowego a materjalnego — Niedomagania przyczynowości — O tworzeniu wydarzeń — Zdatność czynu a myślenia — Kultura czynu — Naród sam sobie cel oznacza.

Historjozofja a metoda historyczna — Niezbędne rozprzestrzenienie nauki polskiej nie da się osięgnąć metodą niemiecką — Stopnie powszechności dziejów — Trzy szczeble metody i nauki historycznej — Istota historji powszechnej.

Nauka o cywilizacjach — Logos i Ethos — Motywy planu książki.

CZĘŚĆ I. KULTURA UMYSŁOWA.

Rozdział I. Historyzm a podkład ludowy 33

1. Historyzm.

Obcowanie pokoleń — Rodzaje tradycji i stopnie historyzmu — Tarcie — Romantyzm polityczny — Etyczność polskości — Polska metoda polityczna — Vis maior obecnej polskiej sytuacji międzynarodowej — Tradycja granic 1772 roku.

2. Podkład ludowy.

Przesąd o rzekomej pra-warstwie społeczeństwa — Geneza szlachty i ludu wiejskiego w Pol-

sce — Przebieg pojęć inteligencji o ludzie wiejskim — Kultura chłopska — Przeżytki i odkrycia — Sztuka i poezja na podkładzie ludowym — Zakres istotny twórczości ludowej — Brak kultury mieszczańskiej.

3. Historyzm a ludowość.

Ludowość, historyzm a konserwatyzm — Konserwatyzm chłopski cechą najbardziej znamienną ludu wiejskiego, lecz nie istotną — Przystosowywanie się do zmian ekonomicznych — Zdolności rozwojowe — Oddziaływanie z góry w dół i z dołu do góry — Przesada ludowości w Polsce — Jej szczerość i pochodzenie rodzime — Wstecznicze wpływy rządów zaborczych — O rzekomej „oświacie ludowej".

Ludowcowość — Ewentualności uprzywilejowania jednej warstwy — Groza rozbieżności kulturalnej — Lud sam niszczący ludowość — Historyzm u ludu — Dobroczynność pomyłki przesadnej ludowości.

Warunek postępu kultury — Logos i Ethos w stosunku historyzmu do ludowości — Walka o byt.

Rozdział II. **Dary przyrody** 88

Uszlachetnianie czynności wypływających z walki o byt — Rejestr naszych darów przyrody i początki pracy umysłowej około nich — Rolnictwo — Juljusz Au, Emil Godlewski i Adam Prażmowski — Zabiegi prywatne — Hodowla zwierząt domowych — Wodnictwo rolne i bartnictwo — Zootechnika nowsza, paleontologja zwierząt domowych i badania biologiczne — Górnictwo — Węgiel, sól, sole potasowe, nafta — Geologja naftowa — Geologja wogóle.

Niewola gospodarcza Polski zubożyła całe gospodarstwo europejskie — Przemienianie darów przyrody na walory kulturalne dawną właściwością polską — Zacofanie w stopniu wykonania.

Rozdział III. **Handel i przemysł** 114

Kultura w przekroju w sprawach ekonomicznych — Miejsce w handlu powszechnym — Błędy wspólne z Europą, a różnice na korzyść — W Polsce najstarsza wolność handlu, jedność monety, oddzielenie skarbu nadwornego od państwowego — Wyższość ekonomistów polskich w sprawie pieczy o ta-

niość — Merkantylizm a upadek miast — Dążenie do jednakowych miar i wag — Los miast a ludu wiejskiego; jednostronność gospodarcza — Ponowne zagospodarowanie się około r. 1700 — Brak fiskalizmu i nadzwyczajna postępowość — Nieprzyjęty fizjokratyzm a polski system ekonomji politycznej.

Rozerwanie Wisły — Podcinanie przemysłu i handlu przez państwa zaborcze — W czem Skarbek wyprzedził Liszta — Inicjatywa Banku Polskiego — Komunikacje wodne — Miernictwo i planimetry polskie — Drogi i mosty.

Po r. 1830 nawet teorja chroni się zagranicę — Z czego zbudowano cytadelę warszawską — Rządy zaborcze wolały polską sztukę, niż handel i przemysł.

Kolejnictwo — Ernest Malinowski, bohater kolejnictwa — Ubijanie przemysłu zapomocą taryf.

Podatki i polityka kredytowa — Jak w zaborze rosyjskim doprowadzono do niedostatku środków żywności i jak w Galicji ubito przemysł — „Dobre stosunki“ austrjacko-polskie — Zabór pruski.

Inżynierja polska, wojskowa, i cywilna, mechanika i przemysł mechaniczny, hydraulika; R. Trzkowski i Stan. Janicki.

Sprawa morska — Logos a Ethos.

Rozdział IV. **Oświata** 142

Księgozbiory i drukarnie — Uniwersytety — Szkoły średnie — Pedagogiczne wytyczne polskie — Ochronka i szkoła ludowa w Polsce niepodległej.

Pod rządami zaborczemi — Rabunek zbiorów, a nowe zbiory i bibljoteki — Czartoryski i Czacki — Praca oświatowa Kongresówki — Po roku 1831 — Teorja pedagogiczna — Po wojnie krymskiej — Po 1863 roku — Szkolnictwo w szponach czynownictwa — „Zbrodnia tajnego nauczania“.

Po wojnie francusko-pruskiej — Ulga w zaborze austrjackim — Nowe ulepszenia polskiego pomysłu aż do neofilaretyzmu.

Po rewolucji rosyjskiej 1905 r. — Ruch oświatowy i Poradnik dla samouków — Dziennikarstwo.

Rola oświaty w życiu narodu, a odrabianie zaległości doby rozbiorowej — Oświata a dobrobyt; Logos i Ethos — Kultura umysłowa a twórczość.

CZĘŚĆ II. TWÓRCZOŚĆ POLSKA.

Rozdział V. **Zdatność artystyczna** 173

1. Sztuka plastyczna.

Sceptycyzm jako pobudka twórczości — Ethos a Logos w twórczości — Odwrotne w Polsce następstwo sztuk — Rejestr polskiej oryginalności w architekturze (krakowski gotyk, cortile Wawelu, Słoński, attyki, podcienie, budownictwo drewniane, barok wileński, Talowski).

Rzeźba, spóźnienie, a potem szybki rozkwit — Wit Stwosz nie epigonem, lecz typem ewolucyjnym — Dalsze dzieje rzeźby w Polsce.

Malarstwo dawne — Norblin, Orłowski, Michałowski — Zainteresowanie ogółu od Grottgera, Matejki, Kossaka — Pokonanie przeciwności, niesprzyjających warunków przyrodzonych.

2. Muzyka.

Przodujące stanowisko w wieku 15, a wybitne w 16 i 17; kompozytorowie od r. 1426 swojscy — Chopin — Polskość formy nie stanowi zawady powszechności — Rejestr twórczości od Ogińskiego i Moniuszki do Szymanowskiego — Koncerty od Jarzębskiego w 1627 roku — Muzyka sztuką mieszczańską.

3. Poezja i uwagi ogólne.

Fakty a wyobrażenia zmysłowe i odmienny porządek sztuk na różnych stopniach cywilizacji — Poezja jako pra-sztuka i jako korona sztuk pięknych — Poezja jako propagator — Polityka w poezji polskiej i włoskiej — Filozofowanie w poezji polskiej; mesjanizm; wieszcze — Jeden z fundamentów polskiej kultury — Czy to brak samodzielności sztuki, lub brak zrozumienia dla sztuki? — Nieporozumienie o tendencję a technikę — Jak wysoka nawet sztuka może być poza społeczeństwem? — Równoczesność wielostronności w sztuce polskiej — Obywatelskość naszej sztuki a pierwszeństwo idei narodowej.

Rejestr polskiej oryginalności poetyckiej (Kochanowski, Kochowski, komedja rybałtowska, literatura sowizralska, Kniaźnin, Trembecki; Mickiewicz,

Słowacki, Krasiński, Garczyński, Norwid, Fredro, Wyspiański, Czajkowski, Orzeszkowa, Głowacki, Reymont, Weyssenhof, Dygasiński, Sieroszewski, Kasprowicz) — Równowaga historyzmu a ludowości w sztuce polskiej.

Rozdział VI. **Zdatność naukowa** 208

Stała ilość sztuk pięknych, a coraz większa nauk — Podział rozdziału.

1. Nauki ścisłe.

Odkrycia naukowe — O ile wielki człowiek świadczyć może o wysokim poziomie kulturalnym — Matematyka i astronomja od Kadłubka; Witelo; Marcin Bylica; Marcin Król; Jan z Głogowa; Wojciech z Brudzewa i i. przed Kopernikiem — Po Koperniku — Kalendarjografja, obserwacje, rozwój geometrji; działalność Pudłowskiego, odkrycia Smoguleckiego, Susligi, Kochańskiego i i. — Polska kultura matematyczna i astronomiczna, ostatnia dopiero uległa ogólnemu upadkowi kultury w okresie saskim, i pierwsza się odradza — Nowi uczeni, obserwatorja w Krakowie i w Wilnie; Jan Śniadecki, Hoene-Wroński — Druga połowa 19 w. — Samouctwo w matematyce — Geodezja 19 wieku, Rudzki.

Fizyka. Doświadczenia Pudłowskiego i Kochańskiego w 17 wieku — Odrodzenie w drugiej ćwierci 19 wieku — Czasy Wróblewskiego i Witkowskiego; najnowsi.

2. Nauki przyrodnicze.

Chemja. Alchemja, jatrochemja, chemja nowoczesna — Stanowisko Jana Śniadeckiego i jego szkoła — Upadek i odrodzenie; pracownia Radziszewskiego — Wróblewski i Olszewski — Nencki, Marchlewski, St. Kostanecki, Marja Curie — Chemja fizyczna od J. Śniadeckiego do Smoluchowskiego — Cyfry.

Biologja. Od połowy 15 wieku do Kluka i Jundziłła — Odkrycie Sumińskiego — Prace w najtrudniejszych dla Polski czasach — Leon Cienkowski, jeden z najznakomitszych synów Polski — Wpływy Szkoły Głównej — Botanicy Jańczewski, Rostafiński,

Rothert, Raciborski i Szafer — Zoologiczne problemy: Remak, Hoyer, Siedlecki, Godlewski jun. i i. — Systematycy.

Medycyna. Od 16 w. do J. Strusia w wieku 16, poczem upadek — Odrodzenie od schyłku 18 w. Frank, Bojanus, Jan Śniadecki w Wilnie; następnie Dietl w Krakowie, Szokalski, Hoyer, Mayzel, Chałubiński w Warszawie — Kierunek filozoficzny — Polscy lekarze zagranicą.

3. Geografja.

Podróżnicy od Jana de Plano Carpino, naukowa geografja od Długosza; odkrycia Miechowity — Kartografja — Polskie imiona w topografji światowej — Działalność polskiej diaspory porozbiorowej; Polacy podróżnikami uczonymi po całej kuli ziemskiej — Antartyk Arctowski — Syntetycy: Kołłątaj, Pol, wyprzedzający naukę zachodnią — Najnowsze problemy naukowe; Sawicki, Rudzki, Smoluchowski — Klimatologja od drugiej połowy 18 wieku — Aeronautyka; Artur Berson — Etnografja — Podręczniki — Statystyka.

4. Nauki humanistyczne.

Obfitość łaciny a niedostatek filologji — A. P. Nidecki — Garstka nowszych i współczesnych.

Językoznawstwo. Epizod z przed roku 1830; sanskryt — Orjentalistyka — Slawistyka — Polonistyka; badania leksykalne — Gramatyki — Prace około zasadniczych momentów nauki; Baudouin, Rozwadowski i i. — Historja języka; Brueckner i Łoś, Ułaszyn — Dialektologja — Czasopisma.

Historja. Trzy pierwiastki historjograficzne — Rozmaite pojmowanie prawdy historycznej — Przerywanie tradycji i minimum wydatności; Naruszewicz, Lelewel i Szajnocha, jako typy — Szujski i Bobrzyński; historja stosowana — Historja niestosowana; W. Zakrzewski, T. Wojciechowski, Potkański; Piekosiński, Krzyżanowski, Semkowicz.

Prawo zaniedbane przez historyków — Balzer i Abraham — Odmienność rozwoju prawa a filologji — Nieporozumienie, jakoby w Polsce nie było nauk prawniczych.

Rekapitulacja.

5. Filozofja.

Nauka polska od filozofji się zaczyna; wiek 13, wiek 15 — poczem posucha aż do braci Śniadeckich — Wroński, Gołuchowski, Cieszkowski, Trentowski; Świętochowski; Pawlicki; M. Morawski — Brak tła filozoficznego w narodzie — Erazm Majewski.

6. Nauka, oświata, dobrobyt.

Nauka przed oświatą — Rozwój ich nie musi być równoczesny, ani równomierny — Dlaczego Polska nie miała szczęścia do nauk — Jakość a ilość nauki; kwestja dobrobytu — Okresy ekonomiczne a naukowe w Polsce — Adam Kochański, a czasy Sobieskiego — Zdolności wymagają pomocy z zewnątrz — O zdolnościach wogóle, pod kategorjami Logosu i Ethosu.

Rozdział VII. **Zdatność polityczna** 277

Istota i obszar polityki — Choroba rozbieżności politycznej — Korona Ethosu — Siła społeczna i państwowa — Przesądy o wszechmocy oręża lub polityki — Skuteczność polityki tylko w granicach ewolucyjnej struktury społecznej i państwowej — Nauka jako Logos wszelkiej polityki.

Polityka społeczno-państwowa w Polsce — Ewolucja t. zw. przywilejów szlacheckich i sejmowania — Mieszczaństwo — Monopol polityczny zgubny bez względu na to, która warstwa go sprawuje — Nobilitacje polskie — Doktrynerstwo polskie — Jako zbiorowość publiczna nie jest powiększoną zbiorowością prywatną.

Samorząd jako kryterjum wolności i łączności spraw państwowych ze społecznemi — Brak biurokracji, feudalizmu, legizmu — Próba uniwersalności — Pierwszeństwo idei narodowej w Polsce — System unji; realizacja stopniowa, ograniczenia możliwości, doktrynerstwo.

Zdatność a twórczość w polityce, inicjatywa a wykonanie, zdatność indywidualna a zbiorowa — Powodzenie jako kryterjum — Upadek instytucyj życia publicznego, a twórczość w doktrynerstwie — Odnawianie siły przez powoływanie nowych silników — Jak wspinać się na szczyty Ethosu i jaka polityka będzie w Polsce twórczą.

FELIKS KONECZNY

POLSKIE LOGOS A ETHOS

ROZTRZĄSANIE O ZNACZENIU I CELU POLSKI

TOM II.

POZNAŃ ▪ 1921 ▪ WARSZAWA
KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

NA ŻYCZENIE AUTORA KSIĘGARNIA
ŚW. WOJCIECHA STWIERDZA, ŻE
RĘKOPIS ODDANY BYŁ DO DRUKU
W CAŁOŚCI W PIERWSZEJ PO-
ŁOWIE PAŹDZIERNIKA 1920 ROKU

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

CZĘŚĆ III.

POWSZECHNOŚĆ SPRAWY POLSKIEJ.

Rozdział VIII.

Dążenia do syntezy Zachodu a Wschodu.

W rozdziale wstępnym zwróciłem uwagę, jako ludzkość dzieli się na cywilizacje, które odróżniać należy według pewnych cech zasadniczych, z pomocą szeregu cech znamiennych. Niema żadnej cywilizacji ogólno-ludzkiej, ani też jakiegoś ogólno-ludzkiego pochodu cywilizacyjnego w tem znaczeniu, iżby każda społeczność cywilizująca się musiała przechodzić przez takie same szczeble rozwoju i takie same objawy życia indywidualnego i zbiorowego; przeciwnie, pochód rozwojowy każdej cywilizacji jest odrębny.

Cywilizacje mogą mieścić się na osobnych obszarach, a mogą też zachodzić na siebie geograficznie i mieścić się po dwie, a nawet więcej na tym samym obszarze. Np. cywilizacja żydowska mieści się obok każdej innej, a miasta orjentalne, np. Kairo, są istnemi rojowiskami rozmaitych cywilizacyj. Stykając się z sobą, czy to stale geograficznie, czy też za pośrednictwem wojny, handlu, piśmiennictwa i t. p., oddziaływują na siebie wzajemnie cywilizacje, w stopniu przeróżnym, mniejszym lub większym. Czasem mieszają się z sobą w sposób widoczny. Czy zmierzają do syntezy?

Jeżeli tak, natenczas należy w zasadzie przypuścić możebność jakiejś arcycywilizacji, jako syntezy wszyst-

kich cywilizacyj... Spróbujmyż rozważyć sprawę na przykładzie zaczerpniętym z zakresu tego, co Europejczyk zowie cywilizacją Zachodu a Wschodu, który to przedmiot wchodzi właśnie w samą istotę tematu, jakiemu poświęcone jest niniejsze dziełko.

Sprawa[1]) sięga daleko w głąb dziejów starożytnych. Zaraz po wojnach perskich objawiły się wśród Hellenów próby zbliżenia się do cywilizacji perskiej, gdy potęga polityczna perska przestała już być niebezpieczna dla niepodległości greckiej. Wybitni mężowie helleńscy emigrowali do „króla", przybierali perski obyczaj, przywdziewali perskie szaty; przechodzili w sferę innej cywilizacji, próbując łączyć kulturę umysłową helleńską z perską kulturą siły. Ksenofon nie waha się wystawiać Persów Hellenom za wzór pod niejednym względem, a greccy zaciężni służą perskim celom. Zaczyna się pierwszy okres dążeń do syntezy Europy i Azji, dążeń coraz usilniejszych, aż wydały one owoc: wyprawy Aleksandra Wielkiego, mające spełnić orężem marzenia intelektu greckiego o syntezie dwóch cywilizacyj.

Od nawiązywania stosunków kulturalnych pomiędzy Grecją a Persją zaczyna się nasz przegląd faktów, boć trwałe podłoże kulturalne wogóle, w dostępnych naszej wiedzy czasach i obszarach dziejów powszechnych, poczyna się od dwóch cywilizacyj pełnych: irańskiej i helleńskiej. Irańska, reprezentowana długo głównie przez Persów, mieszała się z pierwiastkami chamickiemi i semickiemi, nabierając coraz więcej cech semickich (od czego też upadła). W mieszaninę irańsko-semicką uderzyły wyprawy Aleksandra Wielkiego i nastąpiła pierwsza próba syntezy Zachodu i Wschodu. Wytworzył się z tego hellenizm zbarbaryzowany, t. zw. kultura hellenistyczna, rozlana szeroko aż po Samarkandę i granice Indyj. Niebawem wzięły w hellenistyczności

[1]) Rozdział niniejszy jest rozszerzeniem wykładu inauguracyjnego na katedrze historji wschodniej Europy w uniwersytecie Stefana Batorego, wygłoszonego w Wilnie d. 20 października 1919 r.

górę pierwiastki wschodnie, tolerując tylko formy hellenistyczne, a wytwarzając w istocie rzeczy zwyrodnienie helleniznu. Nie brak w Syrji zabytków piękna, ale pomimo rozwoju sztuki cóż miał w sobie z Ateńczyka czy Spartanina Syryjczyk diadochów? I czy zostało nam z całej hellenistyczności choć jedno wielkie nazwisko uczonego lub artysty?

Natomiast druga ekspansja hellenizmu, ku Zachodowi, obróciła się w jasne słupy wielkiej cywilizacji, gorejące dotychczas. Zespół Aten i Rzymu zrodził tę „klasyczność", która stała się jakby wrodzoną cechą człowieczeństwa w Europie, boć bez niej niema Europejczyka cywilizowanego. My wszyscy dziećmi tej cywilizacji, która stała się następnie chrześcijańsko-klasyczną, ale z czasów jeszcze przedchrześcijańskich wywodzi trzy swoje cechy zasadnicze:

odrębność prawa publicznego (od prywatnego), odrębność organizacji społecznej (od państwowej) i poczucie narodowości.

Minęły wieki, i wślad za orężem rzymskim rozpoczął się pochód cywilizacyjny na Wschód azjatycki. Wszak były tam kultury hellenistyczne; lecz kiedy dotarł tam klasycyzm helleńsko-romański, okazało się, że kraje tamte i ludy są mu kulturalnie zupełnie obcemi. Cóż miała Kybele do Junony?! I znowu powtarza się objaw taki sam, jak za następców Aleksandra Wielkiego: w miarę jak panowanie rzymskie posuwa się w głąb Azji Mniejszej, nabiera Wschód ledwie form mniej więcej napół klasycznych, i to tylko w pewnych objawach życia, podczas gdy sama cywilizacja klasyczna nabiera coraz mocniej naleciałości orjentalnych, a po pewnym czasie przejmuje się niemi dosadnie. Nie zromanizowała się Azja Mniejsza, ale Rzym zorjentalizował się ostatecznie. Pokonało się Antjocha, ale bogowie azjatyccy poprzenosili się do Rzymu.

Imperjum rzymskie wyłoniło się ewolucyjnie z republikanizmu greckiego i rzymskiego, lecz rozwój jego

załamał się wkrótce pod wpływem orjentalizmu i zamienił się on w azjatycki despotyzm. Neron deklamuje Homera, lecz społecznie jest zupełnym Azjatą, a w dwa wieki po śmierci Augusta zostaje następcą jego Elagabal, kapłan słońca z syryjskiej Emezy. Pojęcia państwowe rzymskie doznają istnego przewrotu.

Około cesarskiego tronu rzymskiego odbywała się walka Zachodu ze Wschodem na kilka zawodów, a coraz pomyślniejsza dla Wschodu. Pod koniec wieku III rządzi światem Dioklecjan z bityńskiej Nikomedji, ze swego dworu urządzonego zupełnie na sposób orjentalny, i odtąd prąd orjentalny zyskuje coraz wybitniejszą przewagę. Podział cesarstwa, ponowne zrastanie się i nowe znowu podziały — to wszystko było tylko objawem i stwierdzeniem tego stanu rzeczy, iż zachodziło zmaganie się dwóch cywilizacyj i że Zachód bronił się od przewagi Wschodu. Ostatecznie utrwalił się rozdział państwowy.

Ogłoszone od r. 350 „Nowym Rzymem" Bizancjum było zrazu niewątpliwie wyższem cywilizacyjnie i uważało się długo słusznie za główne ognisko cywilizacji klasycznej, lecz wśród ponownej nawały wpływów orjentalnych, które rozpanoszyły się tam w strzępach trybunatu, konsulatu, imperatorstwa, schodzi Bizancjum coraz niżej, na jakieś karykaturalne odbicie świata klasycznego w zwierciadle orjentalizmu. Zatracono pojęcie narodowości; państwowość zaś bizantyńska, to „autokratorstwo", samowładztwo absolutne, powstałe z mieszaniny państwowości rzymskiej a orjentalnej. Niema tam poddaństwa azjatyckiego, istnieje prawo publiczne i formy obywatelskie, ale karność rzymskiego urzędnika zamieniła się w służalczość, uznawaną wprost za zasadę porządku publicznego. Poważny „magistratus" wyrodził się w trywjalnego biurokratę. Organizacja społeczna nie była wprawdzie oparta na państwowej, ale od państwa i jego instytucyj wielce zależna.

Tak bizantynizm stał się powtórną próbą syntezy Wschodu a Zachodu, stał się następcą kultury diadochów, a bezpośrednim ciągiem dalszym despocji zorjentalizowanych imperatorów rzymskich.

Oto owoc pomieszania pierwiastków klasycznych, rzymsko-helleńskich, z azjatyckiemi.

Tak tedy sama już starożytna historja poucza, że z zetknięcia dwóch cywilizacyj, z tak zwanego krzyżowania kulturalnego, bywają skutki czasem dobroczynne (jak np. z połączenia hellenizmu i latynizmu), a czasem szkodliwe, nieraz wprost zabójcze dla rozwoju cywilizacji. Hellenistyczność pozbawiona była siły twórczej, a podobnież bizantynizm.

Niekażda mieszanina jest syntezą!

W wiekach średnich istniały wzdłuż długiego zwału lądów Europy i Azji trzy pełne cywilizacje, których ogniskami Rzym, Bagdad, Pekin, a pomiędzy niemi klinem wbite dwa mieszańce ułomne: kapiące od złota Bizancjum, i Karakorum nad Orchonem, w dorzeczu jeziora Bajkalskiego, złożone z lepianek glinianych, obwarowanych wałem, stołeczne obozowisko kaganów Azji środkowej, następnie stolica dżingishanów. Ze wszystkich tych ognisk kultur orjentalnych wychodziły prądy, popierane częstokroć orężem, by rozszerzać się ku zachodowi.

Islam wywierał wpływ na bałkański bizantynizm od sześciu wieków, zanim pojawili się Turcy na europejskim brzegu morza Egejskiego. Orjent okazał się odrazu silniejszym. Nie udzieliło się islamowi malarstwo religijne, lecz w cerkwi bizantyńskiej nastało obrazoburstwo (na dwa zawody, w latach 717—780 i 813—842), nie uzupełnia się tedy w niczem cywilizacja muzułmańska, ale kurczyła się bizantyńska, chrześcijańska.

Bagdad promieniował dziwnie daleko na zachód: wszak (poprzez szereg pośrednich przęseł) wpływy je-

go sięgnęły aż do Sycylji i Hiszpanji, gdzie następstwa pobytu „Saracenów“ zostały nawet po złamaniu ich panowania. A była to najprzedniejsza gałąź cywilizacji muzułmańskiej, niezarażona turańskością; kalifat kordowski stanowił też obok bagdadzkiego najwyższą wspaniałość islamu i ma zaszczytną kartę w dziejach cywilizacji, w rozwoju sztuk i nauk, a jednak nie doprowadził do syntezy dwóch światów na Iberyjskim półwyspie. Jak niegdyś Hellenowie przejmowali się kulturą perską, greckie światła wzajemnie pośród Persów rozpalając (bezskutecznie), podobnież Hiszpanie i Maurowie przechodzili gęsto z jednej strefy cywilizacyjnej w drugą, zwłaszcza że małżeństwa mieszane były pospolite. Liczni „renegados“ przyjmowali nawet islam, a oto nowsze badania wykryły, że „renegados“ przyczynili się właśnie najbardziej do ...rozstroju i upadku kultury kordowskiej i muzułmańskiego hiszpańskiego wogóle, bardziej niż „mozarabowie“ (chrześcijanie pod panowaniem islamu). Z łaciną rywalizował język arabski, będący również językiem tylko książkowym; rywalizował skutecznie: chrześcijanie posługiwali się w naukach arabszczyzną, podczas gdy wyjątkowo który Maur znał łacinę, a jednak nie powstało z tego mieszania się nic trwałego. Fakty te wiodą tylko do wniosku, jaki narzucał się już przy historji starożytnej, że na dążeniach do syntezy Zachodu i Wschodu wychodzi zawsze lepiej Wschód, zyskując przewagę nad pierwiastkami zachodniemi, a przewaga ta mieści w sobie właśnie zarodki rozstroju i upadku c a ł e j... mieszaniny, nie dającej się sprowadzić do wspólnego mianownika.

Zachód promieniował wzajemnie ku Wschodowi, a przedewszystkiem główna jego siła i moc: chrześcijaństwo. Im głębiej sięgało do Azji, tem bardziej wyradzało się, tworząc sekty, które zawierały w sobie coraz mniej chrystjanizmu. Już w VIII w. był nestorjanizm aż w Chinach, i rozwijał się tam długo świetnie. Wypaczył się jednak doreszty na zetknięciu z cywilizacją tu-

rańską; chrześcijaństwo azjatyckie bowiem, zamiast opanować turańszczyznę, stało się względem niej ustępliwem, zmierzając do syntezy.

Na obszarach ludów mongolskich i tureckich w Azji środkowej istniała odwieczna cywilizacja turańska, której cechami zasadniczemi: lokalizm religijny, brak pojęcia narodowości, budowa państwa oparta na prawie prywatnem i wyłącznie wojenna organizacja społeczna. Wszyscy Turańcy zorganizowani byli po wojskowemu, z dokładnością niejednakową atoli, odpowiednio do stopnia ich cywilizacji; najdokładniej wykonali to później dopiero Mongołowie, gdy przejęli się cywilizacją turańską, a dodali do niej i coś z chińskiej. Po Mongołach kontynuowali organizację militarną na wielką skalę Tatarzy, będący Turańcami z niewielką domieszką pierwiastka mongolskiego; po nich zaś społeczność Osmanlisów, uważana mylnie za narodowość turecką. Ani Tatarzy, ni Mongołowie, ni Turcy nie byli nigdy narodem, nie posiadając w swej umysłowości zgoła tego pojęcia.

Wśród Turańców może lud utracić nawet całkowicie język ojczysty, a jednak nie przestaje być sobą, tą samą społecznością. Tak np. potomkowie owych Mongołów, którzy zdobyli Ruś w XIII wieku, mówią narzeczami tureckiemi, turecka zaś grupa językowa nie ma etnograficznie nic wspólnego z mongolszczyzną...

Właściwie nie było nigdy jakiejś etnograficznej społeczności huńskiej, madiarskiej, mongolskiej, mandżurskiej lub tureckiej. Były to związki polityczne rozmaitych ludów, występujące pod owemi nazwami, a złożone pod względem etnograficznym wielce niejednolicie. W chaosie ludów azjatyckich można grupować tylko języki; same zaś ludy — o ile nie ugrzęzły w bycie pierwotnym, lecz występowały czynnie na widowni dziejów, są grupami wyłącznie politycznemi.

Hasła, pod któremi dokonywały się w Azji formacje społeczeństw, bywały ekonomiczne i społeczne; wśród ludów cywilizacji turańskiej ekonomiczne działały silniej.

Na pierwszy plan wysunął się wśród Turańców właściwych i wśród Mongołów, należących do cywilizacji turańskiej, pewien rodzaj walki o byt, znany w Europie zaledwie w miniaturze: utrzymywanie się z rzemiosła wojennego, co w Azji stało się pierwszorzędnym czynnikiem twórczym społeczeństw i państw. Wyobraźmy sobie kondotjerstwo i zaciężne najmictwo, ogarniające całe narody. A najbardziej odznaczały się w tym kierunku ludy tureckie. T e l u d y — t o p u ł k i; przybierają też często nazwy od wodzów (np. Osman).

Tę cechę turańszczyzny doprowadzili do najwyższego szczebla nie właściwi (etnograficzni) Turańcy, lecz Mongołowie, odkąd przyjęli cywilizację turańską. Kiedy w XIII wieku powstało uniwersalne państwo mongolskie, nestorjanizm należał do jego pierwiastków twórczych; żywioł chrześcijański sprzyjał bowiem podbojom Temudżina jak najgoręcej, upatrując w jego państwie ochronę przed zalewem muzułmańskim. Aleć chrześcijanie ci wschodni pomagali z zapałem niszczyć chrześcijan zachodnich: w bitwie pod Lignicą (1241 r.) odznaczyły się pułki nestorjańskie, walczące pod sztandarami znaczonemi skośnym krzyżem św. Jędrzeja.

Istnieje okres chrześcijański w polityce mongolskiej. W połowie XIII wieku dżingishan Hulagu był synem nestorjanki i nestorjankę miał za żonę. Nastają czasy „krucjat mongolskich", bez porównania większych i potężniejszych, niż katolickie europejskie. W r. 1252 runął kalifat bagdadzki. Wodzem naczelnym tej wyprawy był Naimane Kut Buka, nestorjanin, który pałając niemniej od europejskiego rycerstwa pragnieniem odebrania Ziemi Świętej z rąk niewiernych, doprowadził po wielu staraniach do tego, iż go wyprawiono na zdobycie Palestyny. Zainteresowany tem przedsięwzięciem cesarz Chin, Kubilaj, pragnął działać wspólnie z królem francuskim, Ludwikiem św., odstępując mu zgóry całą Syrję. Niedoszłe kombinacje skończyły się atoli klęską tak katolików, jako też nestorjanów. Zwyciężyli nieba-

wem muzułmanie. Ten sam Bondokdar, który był zwycięzcą Ludwika św. i zdobywcą ostatnich warowni chrześcijańskich w Azji Mniejszej, zadał też Mongołom pierwszą klęskę (1260) i kazał zburzyć wszystkie kościoły w Palestynie. Agenci jego szerzyli islam wśród Mongołów, a dżingishanowie wahali się. Jeszcze Sartak, władca Kipczaku (syn Batego) był nestorjaninem, lecz jego młodszy brat i następca, Berek, przeszedł w r. 1262 na islam.

Tak skończyło swą rolę dziejową chrześcijaństwo mongolskie, którego działalność polegała na tem, żeby pomagać Mongołom w niszczeniu cywilizacji chrześcijańskiej! Przystosowanie się chrześcijaństwa do chińszczyzny i mongolstwa w nestorjańskiej sekcie wyszło jedynie na szkodę chrześcijaństwa.[1])

Tymczasem w Europie zachodniej szerzył się bizantynizm. Ekspansja ta sięgała daleko i głęboko, a gdziekol-

---

[1]) Nestor, prezbiter antjocheński, a w r. 428 patrjarcha carogrodzki, nauczał, że natury ludzka a boska pozostały w Chrystusie zupełnie oddzielone, odrębne (wysnuwał z tego np. wniosek, że N. Marja Panna, będąc matką Chrystusa, nie była jednak matką Bożą). Potępiony przez sobór efeski 431 r., znalazł zwolenników w Syrji, skąd sekta szerzyła się pod nazwą „chrześcijan chaldejskich". Nie czczą obrazów i nie wymagają celibatu od duchowieństwa. Drobna część nestorjanów przyjęła unję z Rzymem w drugiej połowie 16 wieku. Nestorjanizm dyzunicki, rozwijając się dalej odrzucił cztery sakramenty, uznając tylko spowiedź, sakrament kapłaństwa i częściowo, gdyż bez transsubstancjacji, Sakrament Ołtarza.

Nestorjanizm wywarł wielki wpływ na rozwój (czy raczej na skostnienie) cerkwi wschodnio-słowiańskiej, — czem jednakże nikt dotychczas nie zajmował się. Hanowie tatarscy, zwierzchnicy Moskwy, nie odróżniali zgoła „prawowierja", t. j. cerkwi grecko-słowiańskiej, od nestorjanizmu. Biskup „eparchji serajskiej", rezydujący stale przy hanie kipczackim, jako przedstawiciel cerkwi, nie przeczył widocznie temu nieporozumieniu; być może, że wyzyskiwał je umyślnie dla celów cerkwi. Dużo objawów z dziejów metropolji „Kijowa i wszystkiej Rusi" tłumaczyłoby się jasno wpływami nestorjańskiemi, ale niesposób wdawać się w to bliżej przy dzisiejszym stanie nauki.

wiek sięgnęła, odznaczała się wszechstronnością, od wpływów w dziedzinie sztuki aż do pojęć państwowych. Wolną od wpływów bizantyńskich była zachodnia Słowiańszczyzna,[1]) Skandynawja, tudzież ta północno-zachodnia część Europy, która poddaną została wpływom skandynawskim (normandzkim). Bizantynizm sięgnął poprzez Illiricum i Dalmację do Italji; przeważał tam na południu, malał ku północy i nigdy od strony włoskiej Alp nie przekroczył. Znalazł się na północy Alp inną drogą, wprowadzony aż do Niemiec bezpośrednio z Carogrodu.

Rodzoną siostrą księżny kijowskiej, Anny Włodzimierzowej, była słynna w dziejach Teofanja, poślubiona w r. 972 Ottonowi II, następnie regentka za małoletności swego syna, Ottona III, do r. 991. Ta nie tylko wprowadziła obyczaj dworski bizantyński do Niemiec, ale wraz z gronem wybitnych bizantyńskich uczonych i statystów wytworzyła środowisko bizantyńskiej idei politycznej, która przyjęła się w Niemczech do tego stopnia, iż stanowi odtąd istotną cechę dziejów niemieckich i należy do niemieckiej kultury. Nigdzie na całym świecie nie osadził się bizantynizm tak mocno jak w Niemczech, tak iż powstał niemiecki rodzaj bizantynizmu, istniejący jeszcze do dnia dzisiejszego. Można śmiało mówić o kulturze bizantyńskiej w Niemczech.

---

[1]) Na pomyłce polega zaliczanie do bizantyńskiej ekspansji misji św. Cyryla i Metodego na Morawach, a pośrednio, przez uczniów, w Czechach i w Małopolsce (Wiślica). Jakkolwiek apostołowie słowiańscy z Bałkanu pochodzili i ze wschodniej wyszli cerkwi, jednakże zerwali z nią całkowicie, przyjęli sami obrządek rzymski i utworzyli nowe jego rozgałęzienie: obrządek rzymsko-słowiański, zwany też głagolickim od pisma, wynalezionego przez św. Cyryla, głagolicy. Obrządek ten istnieje dotychczas w Istrji i w niektórych gminach Dalmacji. Ze Słowiańszczyzną wschodnią nigdy św. Cyryl i Metody nie mieli żadnych stosunków; cyrylica zaś (od której pochodzi grażdanka) jest wynalazkiem nie tego św. Cyryla, lecz Cyryla z Presławia, mnicha bułgarskiego, za czasów cara Symeona (888—927), a zatem już po śmierci św. Cyryla († 869).

Cesarstwo średniowieczne niemieckie nie od następców Karola Wielkiego się wywodzi, boć Karolingowie zbyt niewiele mieli sposobności oprzeć się o Niemcy, ani też nie utrzymała się w Niemczech nawet tradycja dynastji Karolingów. Niemieckie „święte cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego“ nie ma genetycznego ani ideowego związku z problematem wskrzeszenia do użytku chrześcijaństwa władzy i godności rzymskich cezarów, z problematem cesarstwa Karola W., wywodzącego się z Rzymu papieskiego. Niemieckie cesarstwo wywodzi się przez dwór Teofanji bezpośrednio od bizantyńskich „kajzarów“, przejmując nawet ich nazwę.

Zachodnia Słowiańszczyzna, jakkolwiek narażona na niemieckie wpływy, nie weszła jednak w krąg bizantyńskich pojęć państwowych, ponieważ zorganizowała się w państwa chrześcijańskie przy pomocy papiestwa, zwalczającego już te bizantyńskie macki, wysunięte w Zachód. Ani też w Niemczech samych nie miał bizantynizm zupełnie wolnego pola, lecz musiał staczać walki zacięte a długie z papiestwem. Walka dwóch cywilizacyj w Niemczech, łacińskiej a bizantyńskiej, wypełnia całe dzieje niemieckie; pod rozmaitemi postaciami powraca wciąż i trwa dotychczas, jeszcze nie rozstrzygnięta zwycięstwem stanowczem, nieodwołalnem. W t. zw. reformacji pełno pierwiastków kultury bizantyńsko-niemieckiej, następnie w józefinizmie, wreszcie w „idei Hohenzollernów“ widzimy kwiat bizantynizmu, rozkwitłego w Niemczech tak późno po upadku Bizancjum. Zobaczymy, że nie był to zresztą jedyny pogrobowy kwiat bizantynizmu.

Cywilizacja bizantyńska, zakorzeniwszy się w Niemczech, miała tam czasu niemało do „syntezy“, a jednak nie doszło do niej nigdy, lecz zawsze rozróżniać tam można obydwa prądy cywilizacyjne o b o k s i e b i e, sobie przeciwstawione, bynajmniej niesprzężone w jakąkolwiek jedność. Zawsze walczyły z sobą. Czy korzystnem to było dla rozwoju narodu niemieckiego, że

w ostatnich pokoleniach prąd bizantyński (uosobiony w Prusiech) miał tak znaczną przewagę, o tem wypowie dopiero sąd Historja.

Bizantynizm obchodzi się bez pojęcia narodowości. Tyle wieków „cywilizuje“ się Bałkan od „latarni“ Fanaru[1]), a połowa jego prawosławnych mieszkańców dzisiaj jeszcze nie wie, do jakiej należy narodowości, podczas gdy katolicy bałkańscy od dawien nie mają co do tego żadnych wątpliwości. We Włoszech zaznacza się przebłysk pierwszych jakoby przeczuć idei narodowej wtedy, gdy kulturę bizantyńską wypchnięto z półwyspu Apenińskiego. Jakież to znamienne, że humanizm rozkwitnął z pomocą bizantyńskich uczonych, ale wtedy dopiero, kiedy ci znaleźli się poza Bizancjum. Bo duch bizantyński nie tylko nie sprzyjał wskrzeszeniu ducha hellenizmu, ale był mu wręcz wrogim. Bizantynizm nie mógł zrozumieć owego prądu ku różniczkowaniu się, właściwego Hellenom, a który jakby iskrę z pod popiołów rozdmuchali na nowo humaniści, z czego wyłonić się miała nowożytna idea narodowa. Bizantynizm pojmował uniwersalność tylko jako ujednostajnienie, jako zapanowanie pewnego typu na jak największym obszarze, a zatem jako przewagę typu panującego, przewagę opartą choćby na przemocy, o ile starczyły do tego siły. Różniczkowanie uchodzi w bizantynizmie nie tylko za zbrodnię przeciwko państwu, ale zarazem za kierunek antykulturalny. Misja cywilizacyjna bizantyńska identyczna jest z przeprowadzaniem jednostajności; nie rozumie bowiem jedności i miesza te dwa pojęcia w sposób taki, iż wynikają z tego skutki ujemne dla rozwoju kulturalnego.

Czyż cechy te nie występują wybitnie w pewnym prądzie dziejów niemieckich przez całe stulecia, a od reformacji coraz wybitniej? Czy nie w fanatyzmie jednostajności źródło i wojen religijnych, w Niemczech najsroż-

[1]) Fanar — latarnia; nazwa pałacu patrjarszego w Carogrodzie.

szych, i tej zasady, żeby przynajmniej w obrębie danego państwa lub państewka panowała jednostajność: cuius regio, illius religio? A przyznanie panującemu władzy rozstrzygania w rzeczach wiary czyż nie jest bizantyńskie? A wszystkie te ich „Landeskirchen"? A czyż józefinizm mało ma podobieństwa z bizantynizmem? Nadto widzimy w dziejach niemieckich ogromne opóźnienie się idei narodowej, która powstała u nich aż dopiero w XIX wieku, kiedy oręż napoleoński zmusił ich do szukania nowych dróg. Zdawałoby się przeto, że w ostatnich dziesięcioleciach, kiedy idea narodowa stała się w Niemczech tak powszechną (w przeciwieństwie do całej ich historji), a zarazem pozostawała pod ochroną Hohenzollernów i Prus, tego uosobienia bizantynizmu, nastaje już doba syntezy cywilizacji zachodnio-europejskiej z bizantyńską, syntezy dokonanej dzięki Niemcom. Historja wyrazić jednak musi już dziś wątpliwości, czy dzieło roku 1871 nie nosiło odrazu w sobie zarodków śmierci dlatego właśnie, że próbowano syntezy tam, gdzie ona zasadniczo niemożliwa. Czy droga historycznie mylna nie musiała pociągnąć za sobą wielorakich następstw, wiodących nieuchronnie do katastrofy w tej czy owej formie?

Przejdźmy do drugiego „kwiatu pogrobowego" bizantynizmu.

Wiadomo, jak próbowano nieraz syntezy na polu wyznaniowem, klecąc unje kościelne rzymsko-carogrodzkie w większym lub mniejszym zakresie; nareszcie unja florencka 1439 r., zawarta z samym patrjarchą i z cesarzem, miała stać się pewnym już fundamentem złączenia Kościoła z Cerkwią.[1]) Tem większą przywiązywano

[1]) Ani Polska, ani Litwa nie uznawały unji florenckiej; nie było we Florencji żadnego delegata od tych państw, a biskup wileński, Maciej, przeszkodził następnie zaprowadzeniu unji na Rusi litewskiej.

nadzieję do dzieła soboru florenckiego, żeć zawierano unję nie ze samą tylko carogrodzką Cerkwią. Uznawali w r. 1439 prymat papieski Ormianie, Etjopowie, Jakobici, potem jeszcze Syryjczycy, Chaldejczycy, Maronici, słowem cały szereg Kościołów azjatyckich i afrykańskich. Nigdzie dzieło unji nie miało być ni zupełnem, ni trwałem (dotrwała w jedności tylko część mniejsza Ormian i Maronitów), ale najcięższa sprawa była z patrjarchatem carogrodzkim. W Carogrodzie opozycja kleru i ludu była tak silną, iż nie odważano się tam unji promulgować, i minęło lat 13, aż dopiero w listopadzie 1452, mając już „nóż na gardle", odważono się na tę promulgację, ażeby w ostatniej chwili nie stracić jeszcze nadziei posiłków z Zachodu przeciw Turkom. I wtedy jednak następowała promulgacja wbrew opinji publicznej; to też w mieście wybuchły z tego powodu rozruchy pod hasłem: „Raczej turban, niż tiarę!"

Wyborowi temu stało się zadość już po kilku miesiącach, kiedy 29 maja 1453 r. sułtan-kalif przenosił stolicę z Adrjanopola do świeżo zdobytego Konstantynopola.

Dziwiło to oddawna historyków, jak łatwo ziemie bałkańskie ulegały podbojowi tureckiemu, jak same tamtejsze ludy chrześcijańskie torowały częstokroć drogę panowaniu muzułmańskiemu. Zagadkę wyjaśnia pewien fakt z dziedziny dziejów religijnych Bałkanu.

Martwota Cerkwi wschodniej sprawiała, że więź religijna u Słowian bałkańskich była nader słaba, zgoła bez znaczenia religijnego w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu i bez doniosłości społecznej. Bułgarzy wyszli ze szkoły bizantyńskiej ludem areligijnym, dla którego kwestje religijne nie istnieją zgoła, Serbowie zaś popadli w sekciarstwo ogromnie antykulturalne, w t. zw. bogomilstwo.

Od połowy XV wieku zaczyna się podbój Bałkańskiego półwyspu; od r. 1365 mamy w Europie państwo tureckie ze stolicą Adrjanopolem, aż po dalszych 68 latach ustawicznych walk miał paść i Konstantynopol; już

jednak od r. 1389 podlegała Serbja zwierzchnictwu tureckiemu (od bitwy na Kosowem Polu), Bułgarja zaś stanowiła prowincję państwa tureckiego od r. 1393. W tym okresie sekta bogomilców stała się czynnikiem, ułatwiającym Osmanom drogę podbojów; wszyscy bogomilcy przyjęli bowiem islam za pierwszym silniejszym naporem. A należało do tej sekty niemal wszystko, co wśród Słowian bałkańskich było, jak się wyrażano, „lepszego", czyli bułgarskim wyrazem: „bojarskiego". Dlatego to cała szlachta słowiańska na Bałkanie jest renegacką; stąd dzisiejsi „Chorwaci muzułmańscy" w Bośni i Hercegowinie, potomkowie poturczonych bogomilców.

Powszechnem, choć niekoniecznie usprawiedliwionem, jest mniemanie, jako bogomilstwo wywodzi się od manicheizmu i posiada nieprzerwalną genealogję duchową od wieku VII do XV poprzez Katharów, Waldensów i Albigensów na Zachodzie, zanim wywołało nową sektę na Bałkanie. To pewna, że bogomilstwo[1]) było także

[1]) Nauka ich wywodziła od Boga Ojca dwóch Synów: Satanaela i Logosa. Satanael stanął na czele buntu aniołów, a strącony na ziemię, utworzył na niej nowy świat i człowieka. Nie zdołał atoli tchnąć w swój twór ducha. Dokonał tego Bóg Ojciec, skutkiem czego Adam i Ewa nabrali odblasku bóstwa. Przejęło to zazdrością Satanaela. Z zazdrości uwiódł Ewę (jego to synem był Kain), a nie poprzestając na tem, iż pozbawił człowieka raju, śledził dalej rozwój pokoleń zawistnem okiem. Zapanował nad Żydami, przez niego działa Mojżesz i przez niego nastąpiło, zdaniem bogomilców, ogłoszenie dekalogu. Chrystus jest według nich Logosem, który zstąpił na ziemię, przybierając pozory ciała. Satanael postarał się o umęczenie Chrystusa, lecz sam pokonan jest zmartwychwstaniem, a utraciwszy odtąd resztę pierwiastka boskiego, stał się Satanem.

Doktryna ta, czerpana głównie z apokryfów, tak sprzeczna z nauką Kościoła, musiała wieść do całkowitego odszczepieństwa dogmatycznego. To też po pewnym czasie bogomilcy nie tylko przestali czcić Świętych, ale przestali uznawać sakramenty, wreszcie zaprzeczyli znaczenia ofierze mszy św.; ani na tem nie zatrzymali się jeszcze, lecz ograniczyli wkońcu modlitwy swe do Ojczenasza a wszelkie świątynie uznali za zbyteczne.

wypaczeniem dualizmu teozoficznego na tle chrześcijaństwa wprawdzie — ale pod wpływem uczoności żydowskiej z Solunia, gdzie była stolica żydowskiej kabały i astrologji, uważanej za jej naukę pomocniczą. Było tedy bogomilstwo mieszaniną chrześcijańsko-dualistyczno-judaistyczną.

Najdalej zabrnęli w etyce. Moralność ich zezwalała brać udział, nawet czynny, w życiu i praktykach Kościoła panującego, jeżeli komu dogodniej zataić przynależność do sekty! Sama ta etyka czyniła z bogomilstwa czynnik grubo antykulturalny, deprawujący. Gdy nadszedł czas próby, kiedy należało bronić Ojczyzny i religji własnej przeciw zaborowi tureckiemu, bogomilcy słowiańscy nie mieli pojęcia o Ojczyźnie i narodowości, gdyż tego nie dała im cywilizacja bizantyńska, religja ich zaś pozwalała im przyjmować jawnie islam, byle potajemnie pozostać bogomilcem. Nie znając całkiem wysokich Ideałów kultury, przywiązania do dóbr moralnych, ograniczyli się do pilnowania swych osobistych dóbr materjalnych: przeszli na mahometanizm, skoro nowy rząd przyrzekał im za tę cenę zatrzymanie dóbr ziemskich.[1])

Zrazu byli muzułmanami tylko z pozoru, ale po dłuższym czasie poczęła na wielu działać wyższość nie-

[1]) Koran głosi, że ziemia jest własnością Boga; On daje ją, komu chce. Kalif, jako zastępca Boga, ma prawo nadawać ziemię, lecz obdarzony nią musi starać się, żeby była uprawiona; grunt przez trzy lata nieuprawiony staje się napowrót własnością kalifa, tj. państwa. Koran przyznaje nieograniczone prawo własności temu, „kto ożywi martwą ziemię", tj. kto pierwszy uprawi grunt, lecz prawo państwowe („kanun") uznaje tę zasadę tylko w krajach dawnych muzułmańskich w Azji; w zaborach późniejszych, a zwłaszcza na półwyspie bałkańskim, zupełne prawo własności ziemskiej nie istnieje, jak tylko na domach, ogrodach i winnicach. Rola była dana w używalność, z dziedzicznem przenoszeniem jej tylko na najbliższych krewnych, a z zatrzymaniem t. zw. nadwłasności państwu. Właścicielem i używalnikiem może być tylko wyznawca Proroka.

zaprzeczalna islamu nad bogomilstwem — i pośród bałkańskich Słowian wytworzyła się zczasem liczna drużyna fanatycznych wyznawców Proroka. Ci zaś, którzy pozostali bogomilcami, zatracali w następnych pokoleniach tradycję sekty, nie mającej czem odnawiać się, i kończyło się w takich razach na zupełnej areligijności, na życiu bez religji pozytywnej; udawanie zaś islamu z potrzeb materjalnych lub politycznych stało się powszechnem i wiodło do powszechnej ruiny charakterów. W takich warunkach nie mogła wyrobić się żadna kultura wogóle. Bałkan stawał się krajem nie tylko bez kultury, lecz wręcz antykulturalnym.

Pozostał patrjarchat w Konstantynopolu, stojąc nadal na straży prawowierności „Greków". Tak nazywano wiernych Cerkwi bizantyńskiej, jakiejkolwiek grupy etnograficznej. Wyraz „Grek" nie oznaczał pochodzenia etnograficznego, lecz tylko przynależność do organizacji kościelnej, której zwierzchnikiem patrjarcha carogrodzki. W samem tem wyrażaniu się („Grek") znajdujemy wskazówkę wymowną, że kulturze bizantyńskiej brak było pojęcia narodowości, skoro mianem tem oznaczano nienarodowe bynajmniej względy.

Zamiana Konstantynopola na Stambuł w dniu 29 maja 1453 nie była dla patrjarchatu bynajmniej katastrofą. Cerkiew bizantyńska radowała się, że ją Turek uwolnił od papieża, a pod berłem sułtańskiem powodziło się jej d o s k o n a l e. Kalifat i Fanar zamienili się wnet w sojuszników, uzupełniających się nawzajem w walce ze znienawidzonym katolicyzmem, obmyślającym „ligi antitureckie" wbrew patrjarchom carogrodzkim. Porta prześladowała u siebie katolików, ale „prawowierje" protegowała od początku. Zaraz od samego wstępu tureckiego panowania wychwalali sułtana-kalifa patrjarchowie, wysławiali go uczeni pisarze cerkiewni. Słynny Jerzy trapezundzki pisze panegiryk na cześć Mahometa II, w którym zowie zdobywcę Konstantynopola „gwiazdą firmamentu"; Kritowuł, mnich ze „świętej góry" Atho-

su, dedykuje mu swe dzieło z opisem „sławnych dzieł“ sułtana, którego został wkońcu sekretarzem.

Patrjarchatowi ani się więc śniło dotrzymywać unji florenckiej, skoro pod berłem sułtańskiem powodziło mu się tak dobrze. Sułtan przyznał „Grekom“ najzupełniejszą autonomję wyznaniową, finansową, administracyjną. Było to istne państwo w państwie, a kasa patrjarchatu uchodziła za lokatę tak dobrą, iż sami Turcy lokowali w niej swe kapitały. Osobna ustawa gwarantowała, że „Greka“ nie wolno zmuszać na islam“.

Nastała prawdziwie „synteza“ turecko-bizantyńska i w cywilizacji bizantyńskiej wyłoniła się nowa gałąź: kultura turecka na tle bizantyńskiem, kultura bizantyńsko-turecka, stanowiąc zarazem nową gałąź cywilizacji turańskiej, zaszczepionej na bizantyńskiem podłożu. Trudno zaiste orzec, do której cywilizacji zaliczyć turecki bizantynizm: do bizantyńskiej, czy do turańskiej; tak ściśle one w tej turecczyźnie zespoliły się z sobą, tak dokładnie do siebie przystawały.

Muzułmańska cywilizacja najmniej wchodzi w rachubę w tej syntezie. W obrębie islamu zajmuje Turcja stanowisko... dziczy; to barbarzyńscy wyznawcy Proroka, którzy dobili wspaniałą cywilizację, zwaną „arabską“.

Muzułmaństwo, ogarniając znaczną część ludów cywilizacji turańskiej, załamywało ją zarazem, a obie cywilizacje wypaczyły się przytem: turańska wykolejała się wobec uniwersalności islamu, muzułmańska zaś doznawała jeszcze więcej ujemnych skutków przez wypaczanie koranu. W rezultacie nawrócenie ludów turańskich obróciło się na największą szkodę islamu, a kultura muzułmańska od tego czasu popadła w upadek z przyczyny turańskich swych wyznawców; turecki militaryzm stał się kulą u nogi islamu. Również upadła całkowicie cywilizacja turańska w Azji. Dawniejsi jej piastunowie cofnęli się do stanu społeczności niemal prymitywnych; z całej tej cywilizacji został ledwie strzęp na europej-

skim jej skrawku, pośród ludów fino-ugryjskich, następnie w Rosji i w Madiarji.

Te dwie cywilizacje, arabska i turańska, nie dawały się sprzęgnąć korzystnie w jedność. Gdy zaś mieszanina turecka, turańsko-muzułmańska miała się na Bałkanie zmieszać z trzecim jeszcze czynnikiem, mianowicie z bizantynizmem, powstała mieszanina, jakiej świat nie widział od czasów kultury syryjskiej w starożytności. Mieszanina ta miała zawładnąć umysłami ludów bałkańskich i wyjałowić je do cna. Mieszały się bowiem trzy cywilizacje, które nie nadają się zgoła do krzyżowania kulturalnego. Wynikiem musiało być cofanie się, zanik kultury. Ze skrzyżowania bowiem bizantynizmu z turecczyzną nie powstało nic a nic, coby zasługiwało na wpisanie na poczet rozwoju kultury, jakiejkolwiek kultury wogóle. Kultura bizantyńsko-turecka była czemś potwornem, a potworność ta wzrastała i miała nawet promieniować dalej ku północy i posiąść wpływy „kulturalne", które dały się niemało we znaki kulturze polskiej.

Skoro wypadło nam mówić obszerniej o torach kulturalnych islamu bałkańskiego, zróbmy jeszcze mały „przypisek", ażeby zwrócić uwagę, jakie z tego niefortunnego „krzyżowania" zostały ostatecznie owoce i... kwestje.

Szlachta bałkańska, przyjąwszy mahometanizm, została b e g a m i i a g a m i, a nie zajmując się osobiście gospodarstwem, wypuszczała grunty w wieczystą dziedziczną dzierżawę chrześcijańskim „kmetom", za opłatą $^1/_8$ plonów. Własność jednak wszelkiej ziemi nieuprawnej, lasów, łąk, pastwisk i kopalń pozostawała przy państwie. Rząd austrjacki zatrzymał sobie to prawo w Bośni i Hercegowinie po okupacji roku 1878, a do warunkowego uwłaszczenia ludu przystąpił dopiero po 27 latach, w roku 1905, o ile „kmetowie" w pewnych dobrach zdołali dojść do porozumienia ze swym „begiem" lub „agą".

Uwłaszczenie nie mogło w tych warunkach poczynić wielkich postępów w ciągu lat dziewięciu, jakie minęły od ogłoszenia owej „reformy“ do wybuchu wojny powszechnej — i tak Austrja zostawiła w spadku rządowi serbskiemu kwestję agrarną bośniacką do ostatecznego załatwienia.

Ale została do załatwienia kwestja inna, ogólniejsza, pełna zasadniczego znaczenia. Czy ostoi się tam islam, skoro ginie bizantynizm?

Muzułmanie chorwaccy zaczęli w r. 1900 wydawać w Sarajewie dwutygodnik „B e h a r“ (kwiat). Zeszyty jego datowane według kalendarza tureckiego; redakcja stała wogóle twardo przy islamie, przyznając się do narodowości chorwackiej. Treść czasopisma była nader urozmaiconą. Okazało się, że słowiańskim wyznawcom Proroka nie brak poetów, powieściopisarzy, nawet autorów dramatycznych; inni uprawiają nauki przyrodnicze, a bywały też rozprawki filozoficzne. Stale zajmował się dwutygodnik ten piśmiennictwem arabskiem i tureckiem, pozostając w ścisłym związku z tureckim ruchem postępowym.

W ten sposób wyłaniała się i w Słowiańszczyźnie kwestja powszechno-historycznego znaczenia, a mianowicie kwestja k u l t u r y e u r o p e j s k i e j b e z c h r z e ś c i j a ń s t w a. „Behar“ był jakoby małym złomkiem największego bodaj zagadnienia naszych czasów: czy chrześcijaństwo stanowi niezbędny warunek naszej cywilizacji, czy niechrześcijanie mogą się przejąć cywilizacją zachodnio-europejską, nie porzucając swoich wierzeń? Młodoturcy zdawali się dostarczać dowodu, że można się obejść bez chrześcijaństwa, i tegoż zdania byli współpracownicy „Behara“. Ale mahometanizm chorwacki tajał z roku na rok jak śnieg na wiosnę, a młodoturcy nie zdołali utrzymać się w swej roli, zanim jeszcze zepchnęły ich okoliczności polityczne.

W naszym przeglądzie faktów z dziedziny dążeń do syntezy Zachodu i Wschodu wypada teraz kolej na polskie usiłowania w tym kierunku. Zaczynają się od pomysłu, by po wygaśnięciu domu Jagiellońskiego powołać na tron polski i litewski cara Iwana Groźnego. Kandydatura ta (1573) była popularną, bo, tak rozumowano, byłby koniec wojen z Moskwą, a współzawodnictwo o wybrzeża bałtyckie zamieniłoby się niejako na spółkę. Tuszono, że rozszerzy się dalej na wschód dzieło unji polsko-litewskiej, poczem, z pozyskaniem Moskwy do bliższej łączności państwowej z Litwą i Polską, nastąpić miałoby wkrótce wypędzenie Turków z Europy, uwolnienie Bałkanu i wciągnięcie go do sfery kultury zachodniej, tudzież do rozszerzonej walnie sfery politycznej polsko-ruskiej, skoro liczne a bitne wojsko moskiewskie przyłączy się do sił wojennych polskich i litewskich.

Niższość moskiewskich stosunków politycznych, społecznych i gospodarskich nie zrażała polskich statystów. Przypominano, jak to i Litwą niegdyś stała na niskim względem Polski poziomie, a jednak łączność nastąpiła i utrzymała się z obopólną korzyścią, sama zaś unja podnosiła Litwę na coraz wyższe szczeble kulturalne, niosąc tam wolność, zachodnie pojęcia cywilizacyjne i polskie pojęcia obywatelskie. Marzono tedy, że podobnież będzie z Moskwą.

W r. 1598 sam Zamoyski doradzał Zygmuntowi III (po bezpotomnej śmierci cara Fiodora), by starał się o tron moskiewski. W dwa lata potem, w r. 1600, jeździł do Moskwy Lew Sapieha z projektem ścisłego związku prawnopaństwowego. Odrzucił to Godunow, ale rządy w Moskwie zmieniały się w owym czasie szybko, i w najbliższych latach zdawać się mogło (a raczej musiało), że jednak ta wymarzona unja z Moskwą dojdzie do skutku. Oto Samozwaniec na carskim tronie (1605—1608) poczyna śmiało wprowadzać pewne „wolności", zaprowadza na dworze obyczaj dworski zachodni, a do Polski zbliża się

politycznie tak dalece, iż staje się czynnikiem w grze polskich stronnictw politycznych. Jest on kandydatem opozycji polskiej do korony przeciw Zygmuntowi III, którego miało się pozbawić tronu, by złączyć pod jednem berłem cara Samozwańca trzy wielkie państwa: Polskę, Litwę, Moskwę.

W latach owych określano warunki unji z Moskwą w sposób następujący:

Wieczyste przymierze, wspólna polityka zagraniczna (liga antiturecka), wzajemna wolność przesiedlania się, nabywania majętności, nawet piastowania urzędów publicznych; wolność handlu z jednej strony aż do Niemiec, z drugiej aż do Persji; wspólna moneta i założenie wspólnej floty, a więc wspólne owładnięcie Bałtyku i morza Czarnego.

A to wszystko na tle unji cerkiewnej. Wszak Polska i Litwa, które niegdyś odmówiły wyprawienia delegatów do Florencji, teraz same na własną rękę obwieściły zdumionemu światu katolickiemu unję brzeską (1596). Obrządek słowiańsko-grecki przywrócon katolicyzmowi, i aż gdzieś po Sybir (którym Moskwa już władała) jedna owczarnia; czyż na tle t a k i e j jedności wyższego rzędu, a zarazem sięgającej najgłębiej w umysły (rozumowano), nie ułatwi się jeszcze bardziej sprawy jedności politycznej? Kultura i państwowość weszły tedy (mniemano) równocześnie na równoległe najzupełniej drogi unji; to też lata owe nosiły na sobie wszelkie cechy triumfu upragnionej idei.'

Okazało się to wszystko wobec rzeczywistości fantazją marzycielską. A jednakże sama rzeczywistość nawet dostarczała złudzeń, skoroć niebawem zajmował Żółkiewski Moskwę w imieniu królewicza Władysława jako cara moskiewskiego. A tymczasem niebawem zrzekał się Władysław IV swych praw do carskiej korony (1618), a chociaż rozszerzyły się znacznie granice poza Dniepr, zysk z tego był o wiele mniejszy, niż straty z usadowienia się Szwedów w Inflanciech i w Prusiech Królewskich.

Co zaś dalej wyniknęło z wojen szwedzkich i jak się do nich przyłączyła Moskwa — wiadomo.

Również przyjętem jest dziś powszechnie do wiadomości, co od lat kilkunastu głoszę, a co z początku narażało nawet na przykrości: przekonanie, jako unja brzeska nie tylko nie wyszła na dobre Kościołowi, lecz powstrzymała rozwój katolicyzmu na Wschodzie. Gdyby nie to chybione dzieło brzeskie, byłoby się stawiało we wschodnich prowincjach Rzpltej nadal kościoły, a wszystko, co z pośród wschodnich żywiołów etnograficznych wzniosłoby się cywilizacyjnie ponad przeciętność nieuctwa schizmy, lgnęłoby do Kościoła. Unja brzeska ocuciła prawosławie z senności, podniosła je pod każdym względem, a rozbudziwszy świadomość orjentalnego pierwiastku w cerkwi, rozdmuchała na nowo nienawiść do „łacińśtwa" w pożar nieugaszony... Gdyby nie unja brzeska, gdyby nie owo niefortunne dążenie do syntezy Zachodu i Wschodu w Kościele, hierarchja rzymsko-katolicka sięgałaby była już od XVIII wieku po Ural i cywilizacja zachodnia byłaby w Rosji zwyciężyła.

Wiadomo, jakim hasłom wysługiwała się unja cerkiewna w dalszym przebiegu dziejów, jak wkońcu posłużyła za narzędzie przeciw nam, jak przydała się na pomost nie pomiędzy Rusią a Polską, lecz Rusią a Moskwą. Gdybyż nie unja, gdyby nie było się zaczamowało rozszerzania „łacińśtwa" na wschód złudzeniem, że tego już nie trzeba wobec zjednoczenia cerkiewnego, czyż miałaby Rosja tyle sposobności przeciwko nam? czyż dzieje stosunków polsko-rosyjskich nie byłyby się potoczyły zgoła odmiennemi tory, gdyby na Rusi litewskiej i południowej prym dzierżył obrządek łaciński, a przynajmniej gdyby tam bardziej był rozszerzony? Uważając go tam za zbędny, sami pod sobą grób wykopaliśmy. Oto owoc syntezy Zachodu i Wschodu na ziemiach Rzpltej!

Sprawą unji brzeskiej zajął się patrjarchat carogrodzki i wezwał kalifa mahometańskiego do obrony prawosławia, a sułtan, jak patronował schizmie na pół-

wyspie Bałkańskim, podobnież jął się patronować jej w Polsce. Bohdan Chmielnicki z Tatarami się porozumiał najpierw i na Krym jeździł, by przez pośrednictwo hańskie zjednać sobie łaskę sułtańską; z łaski sułtana obwołany był księciem kijowskim. Teraz dopiero uderzyła o Ruś południową z całych sił potężna fala bizantynizmu, już jako kultura turecko-bizantyńska, przemożna osmańskim militaryzmem i bizantyńsko-schizmatycką propagandą. Z Carogrodu, od patrjarszo-sułtańskiej spółki wyszły wojny kozackie, jako środek przeciw umocnieniu unji brzeskiej, niosąc wzamian za opiekę nad prawosławiem rozszerzenie panowania osmańskiego. Powtórzyło się bowiem zupełnie to samo, co działo się około roku 1450 na Bałkanie: „raczej turban, niż tiarę!“ ...aż półksiężyc zawisnął na wieżach Kamieńca Podolskiego.

Dziś wiemy już, że Chmielnicki nie Moskwy był narzędziem, lecz Wysokiej Porty i Fanaru; Moskwa przyłączyła się tylko do gry i wyzyskała następnie okoliczności, składające się pomyślnie dla niej, lecz ani inicjatywa nie od niej wyszła, ani nie ona nadawała kierunek wydarzeniom. Moskwa potem dopiero przystąpiła na trzeciego do spółki, zawiązanej przez patrjarchę z kalifem przeciw Polsce.

Jakim granicznikiem w dziejach naszych są wojny kozackie, jak oddziałał na Polskę i Litwę „potop“ — wiadomo powszechnie. A w „potopie“ tonęła kultura polska... Odsiecz wiedeńska stanowiła jakby ostatni na długie czasy poryw ducha narodowego, poczem nastąpiła bezmyślna apatja czasów saskich, owych czasów wybitnie kontuszowych. Nie zachodnie, lecz wschodnie cechy wypływają na powierzchnię polskiego życia wraz ze wschodnim strojem: lenistwo, obojętność na jutro, swarliwość, prywata, tudzież pijaństwo — a wszystko to na tle coraz gęściejszej ciemnoty. Istny obraz orjentu! Polski tego okresu nikt chyba nie pomówi o cywilizację zachodnią! Nie miała z Zachodem związku w niczem a niczem; przeciwnie, pozrywała wszelkie związki za-

chodnio-europejskie, tak umysłowe, jako też polityczne nawet. Nie należeliśmy wówczas ani do europejskiego ruchu umysłowego, ni do kombinacyj politycznych Zachodu. Przeciętny Polak nie wiedział zgoła, co na Zachodzie się dzieje. To też doszło do tego, iż zaczęto kombinować nami bez nas, aż nas ta orjentalna bierność doprowadziła do rozbiorów.

Należy tu zwrócić uwagę na znamienny a mało znany fakt, jak dążenie do syntezy Zachodu i Wschodu odżyło natychmiast, skoro tylko odradzać się poczęła polska myśl polityczna. Oto Czartoryscy w samem zaraniu swych planów politycznych wytknęli sobie cel w pozyskaniu nie tylko polskiej korony, ale zarazem także rosyjskiej (licząc na „słowiańską" niechęć do niemieckich dynastów na rosyjskim tronie). Ledwie Polak zdołał rękę wysunąć z pod gruzów politycznych saskiego okresu, a już zaraz zatacza ta ręka najszersze polityczne horyzonty ku wschodowi i marzy na nowo o unjach! Fakt podobno powtarzać się mający?

Marzenia o syntezie Polski a Moskwy-Rosji wiodły i tym razem do srogiego przebudzenia się: zamiast nowej unji nastąpiły rozbiory.

O przyczynach upadku Polski mamy obfitą literaturę. Któryżby historyk polski nie zastanawiał się nad tem, któryżby nie złożył jakiegoś przyczynku do tej kwestji? Aleć wszystkie te badania i dociekania znajdowały się widocznie w stadjum przygotowawczych studjów, skoro była wciąż mowa o przyczynach upadku Polski, pókiby się nie doszło do wykrycia przyczyny. Wyliczanie przyczyn nie jest bowiem niczem innem, jak tylko zakrywaniem nieznajomości przyczyny. Nie będę się rozwodził nad tem, jak wskazywano przyczyny, nie mogące się ostać wobec badań historycznych porównawczych; jakto np. forma rządu była w Szwecji i w Holandji gorsza, niż w Polsce, a przekupstwo większe w Anglji, prywata gorsza w Niemczech i t. d.; poprzestanę na stwierdzeniu, że mieszano objawy upadku

z przyczynami, biorąc jedne za drugie. Objawów musiało być wiele, boć upadek był, niestety, wszechstronny (od polityki do literatury); ale im więcej objawów, tem bardziej musi tkwić na ich dnie jakaś ogólna przyczyna.

Zdawałoby się, że na wytłumaczenie upadku Polski wystarcza dopatrywać się przyczyny w upadku oświaty; wszak to pociąga za sobą upadek wszystkich zajęć dla braku znawców, zastój i zacofanie od rolnictwa do rzemiosła wojennego, od bakałarstwa szkolnego do filozofji i poezji, a gdzie niedostatek znawców rzeczy, tam następuje wnet niedostatek samychże rzeczy. W ten sposób upadek oświaty tłumaczy rzeczywiście w sposób jasny wszelkie a wszelkie objawy upadku Polski i mógłby być wzięty za przyczynę istotną, za „przyczynę przyczyn". Ale i to złudzenie. Zna bowiem historja państwo, które z reguły pogrążone w ciemnocie, nie tylko nie upadło, ale rozszerzyło się i wzmogło znakomicie kosztem Polski: Rosja nigdy przecież oświatą nie celowała!

Trzeba tedy szukać jeszcze dalej a głębiej; trzeba szukać przyczyny upadku oświaty. Zbiega się objaw ten z rozpowszechnieniem wschodniego stroju (kontusza) z gnuśnością w życiu publicznem, z nierządem politycznym i t. p. Wszystkie ujemne objawy historyczne zeszły się razem w owym okresie saskim, wszystkie występują już w drugiej połowie panowania Sobieskiego; a gdy przyjrzymy się bliżej temu życiu polskiemu, niesposób nie dostrzec, że zachodzi w niem jakowaś orjentalizacja, że w porównaniu z czasami Zygmuntów i Batorego ma ono w sobie niewiele pierwiastków europejskich, że w miarę zbliżania się do czasów Sobieskiego oddala się coraz bardziej od Zachodu, a zbliża się natomiast coraz więcej do Wschodu.

Gdzieś za Wazów szukać wypada linji granicznej pomiędzy wyłącznem i zupełnem panowaniem w Polsce cywilizacji łacińskiej, zachodnio-europejskiej a zamienieniem się Polski w coś pośredniego pomiędzy Zachodem

a Wschodem. Objawy zaczynają się za Jana Kazimierza, poniekąd nawet już pod koniec rządów Władysława IV. Uwzględnijmyż (czego dotychczas nie uwzględniała historjografja nasza), że przyczyna musi być starsza od objawów, a wypadnie szukać przyczyny jeszcze pod Zygmuntem III, i wchodzimy w czasy, kiedy propagowało się właśnie zbliżenie polityczne i kulturalne polsko-moskiewskie, w czasy marzeń o unji z Moskwą, w owe czasy dążeń do syntezy Zachodu i Wschodu na ziemiach Rzpltej i na polskiem podłożu kulturalnem.

Polska tylko do pewnego czasu, mniej więcej do pierwszej ćwierci XVII wieku, była czynną uczestniczką cywilizacji łacińskiej, poczem nastąpiło orjentalizowanie się, sięgające wcale głęboko. Doszło do tego, że jak poprzednio szerzyliśmy cywilizację zachodnią ku wschodowi, tak potem wręcz odwrotnie: wschodnią posuwaliśmy ku zachodowi. Nastąpiło to, jako konieczny, nieuchronny wynik polskich dążeń do syntezy Zachodu a Wschodu, która to próba przerywa cywilizacyjny tok historji polskiej. Synteza okazała się wkońcu niemożliwością, natomiast zaś wzięły w Polsce samej górę wpływy wschodnie.

Za wydarzenie, stanowiące historyczny symbol tego zwrotu, uważać należy unję brzeską 1596 roku; poczem reforma Konarskiego symbolizuje nawrót do Zachodu. Na klin ów, wbity w historyczny pochód Polski, wypada tedy doba długa, lata 1596—1740. Okres ten próby syntezy ze Wschodem dzieli się na trzy części: marzenia o unji z Moskwą zajmują czas 1596—1632, poczem następuje przesilenie kulturalne w Polsce i na Litwie, obejmujące lata 1632—1683, aż wyniknął z tego zanik państwowości i kultury, znamionujący lata 1683—1740, a potem od Konarskiego nawrót do Zachodu, niestety politycznie opóźniony: po reformach bezskutecznych lat 1740—1794 nastał długi okres narodu bez państwa 1795—1918.

Tak tedy przyczyną upadku Polski było dążenie do syntezy Wschodu i Zachodu, skutek był taki, że Polska uległa wpływom wschodnim, zorjentalizowała się, czego zasadniczym objawem było, iż popadła w ciemnotę iście orjentalną, z czego wypłynęły owe dalsze objawy, uważane mylnie za przyczyny upadku Polski.

Co innego unja z Litwą, co innego z Moskwą. Pomyłka polegała na tem, iż nie odróżniano jakościowych a ilościowych różnic cywilizacyjnych. Moskwa, należąc do cywilizacji turańskiej, w której obrębie tworzyła kulturę słowiańsko-turańską, różniła się od nas cywilizacyjnie nie tylko ilościowo, t. j. niższym szczeblem kultury, ale zarazem jakościowo, bo należała do cywilizacji zasadniczo odmiennej, a już wyrobionej. Niewszystkie zaś cywilizacje dadzą się z dobrym skutkiem „krzyżować"...

Pomiędzy Moskwą a dążącą do unji z nią Polską zaszło głębokie nieporozumienie: chcąc unji, chcieliśmy czegoś, czego oni nie mogli żadną miarą zrozumieć, bo leżało to poza umysłowością moskiewską. Tendencje polskie zrozumiano w sposób taki, jakoby Litwa i Polska pragnęły poddać się carowi i być wcielonemi do państwa moskiewskiego. Takie rozumienie rzeczy wypływało zaś wcale nie ze złośliwości politycznej, ani z jakiegoś wyrachowania politycznego na sposób wschodni, lecz przez prostą konsekwencję pewnego sposobu widzenia rzeczy w obrębie kultury słowiańsko-turańskiej. Kultura owa nie pojmuje rozmaitości w życiu zbiorowem (w tym wypadku autonomji, federacji, unji); nie pojmuje organizacji życia zbiorowego inaczej, jak poprzez jednostajność, w czem podobna jest do kultur bizantyńskich.

Granice cywilizacji zachodniej a wschodniej zmieniały się w toku historji rozmaicie, ale wśród tej zmienności można stwierdzić fakt, jako po każdej próbie syntezy uszczuplał się obszar Zachodu na rzecz orjentalizmu. Synteza rzekoma rozbijała się po pewnym czasie, sto-

sunkowo krótkim, a Wschód wychodził z jej więzów wzmocniony na nowe podboje. Tak było za czasów starożytnych, podobnież w wiekach średnich i tak się też skończyła polska próba „syntezy".

Pozostaje rozpatrzeć jedną jeszcze mieszaninę cywilizacyjną Zachodu i Wschodu, a mianowicie r o s y j s k ą, czy tam przynajmniej można mówić o syntezie?

Słowiańszczyzna wschodnia pozbyła się bardzo wcześnie rodzimych pierwiastków kulturalnych. Waregowie wywarli wpływ kulturalny nieznaczny, podobnież nieznacznie tylko oddziaływało Bizancjum.

Pierwotnie ulegała Słowiańszczyzna wschodnia tylko turańskim wpływom cywilizacyjnym, a mianowicie ostatnim ku zachodowi wybieżkom świata turańskiego u ludów fińskich i wśród wieloplemiennej „Jugry" Powołża. W tamtą bowiem tylko stronę, ku wschodowi, miała Słowiańszczyzna wschodnia dostęp wolny, zamknięta długo ze wszystkich innych stron. Wyłączność wpływów turańskich trwała mniej więcej do roku 970, kiedy Waregowie przerwali historyczną izolację tej Słowiańszczyzny, odkrywszy i wskazawszy jej trzy wielkie drogi do świata: nad morze Czarne, na ląd półwyspu Bałkańskiego i na zachód, do kraju Lachów.

Wpływy bizantyńskie ledwie się na Ruś sączyły. Nawet cerkiew nie pozostawała pod bezpośrednim wpływem bizantyńskim, lecz pod bułgarskim. Żadna z cech historycznych Słowiańszczyzny wschodniej wogóle, a Moskiewszczyzny w szczególności, nie da się wytłumaczyć wpływami bizantyńskiemi, ani odszukać w bizantynizmie. W całym okresie aż do XVII wieku ani jedna z cech Rusi nie uprawnia do tego, żeby ją zaliczać do świata bizantyńskiego. Rozbieżność Bizancjum a Rusi znać w braku pojęć państwowych. O samo-

władztwie bizantyńskiem nie tylko nie miano pojęcia, lecz wszystkie wogóle próby wzmocnienia władzy książęcej nie udawały się; wszak sądownictwo karne stanowiło tam bezsporny atrybut władzy książęcej aż dopiero w połowie XV wieku.

Bez porównania więcej bizantynizmu jest w dziejach Niemiec, niż Rusi!

Nie z Bizancjum otrzymała Ruś porządki państwowe, lecz dopiero od administracji mongolskiej, od Mongołów „niebieskich", opartych poniekąd o cywilizację chińską. Tytuł carski pojawia się po raz pierwszy w r. 1270, ale odnosi się nie do bizantyńskiego bynajmniej cesarza, lecz do tatarskiego hana. Państwowość mongolska obniżyła się atoli po krótkim czasie, przeszedłszy w tatarską anarchję gwałtu. Metropolita Aleksy († 1378) obmyśla wprawdzie dla Moskwy prawo publiczne, przenosząc na grunt moskiewski żywcem pogańskie litewskie prawo dynastyczne, lecz wpływy Litwy ustały, skoro tylko Litwa przyjęła katolicyzm, i państwowość moskiewska zaczęła nabierać coraz bardziej cech turańskich. U Tatarów była Moskwa w szkole coraz gorszej. Pod wpływem prądów, których przedstawicielem historycznym Tamerlan († 1405) dokonał się następnie wśród Tatarów przewrót, który doprowadził do despocji orjentalnej, opartej na fanatyzmie religji rządowej i na terrorze.

Cztery są zasadnicze cechy cywilizacji turańskiej: lokalizm religijny (w przeciwieństwie do uniwersalności), militaryzm organizacji społecznej, państwowość oparta na prawie prywatnem, brak pojęcia narodowości. Moskwa przejmowała wszystkie te cztery cechy.

Czyż w dziejach cerkwi niema całych okresów, w których „czyste prawowierje" (bizantyńskie uważane jest za nieczyste) uchodzi za przywilej społeczności szczęśliwie uprzywilejowanej do posiadania prawdziwej wiary, której nawet nie godzi się profanować propagandą wśród ludów obcych, niegodnych tego? Pojęcie to

przetrwało aż do XIX w., mając licznych zwolenników. Dlatego to nie próbowano nawracania Litwinów. Kiedy potem w XIX w. dostojnicy prawosławni twierdzili, że wobec „wojowniczego katolicyzmu“ prawosławie ich jest tak dalece pokojowe, iż nawet zasadniczo nie urządza propagandy, było w tem dużo szczerego przekonania, opartego na turańskim lokalizmie religijnym, na turańskiem pojmowaniu religji. Ale obok tych były też pojęcia inne, na podstawie których władza świecka urządzała propagandę energiczną.

W turańskiej organizacji społecznej całe społeczeństwo jest obozem, a wojna uważaną jest za najgodniejszy sposób z a r o b k o w a n i a. Wojna żywi Turańczyka, a ludy turańskie są ubogie lub bogate stosownie do osiągniętego wydoskonalenia organizacji militarnej, która pozwala żyć cudzym kosztem. Dlatego też ludy te bywają z reguły ubogie i bez znaczenia, boć czasem tylko uda się któremu z nich podnieść się do takiej potęgi, iżby mógł łupić inne. Zdobywczość przy ciemnocie może być tylko sporadyczną, bo zdobywcy złupią podbitych tak do cna, iż pokolenie następne nie ma już czego łupić i wszystko zanika znowu w byt prymitywny, a raczej w niebyt powszechnej nędzy. Tem tłumaczą się owe krótkotrwałe państwa „uniwersalne“ Azji centralnej, zapadające po dwóch pokoleniach, a czasem nawet po jednem, w nicość. Pochodzi to stąd, że u Turańców panuje wyłączność organizacji społecznej na tle militarnem. Innej nie znają — i albo są zorganizowani w świetne masy zdobywców, albo znajdują się w stanie rozprzężenia i niemocy, trwającej całe wieki.

Organizacja społeczno-ekonomiczna była w Moskiewszczyźnie zawsze w znacznej części militarną: drużyny waregskie, sotnie i tysiączki, powszechna służba wojskowa „dzieci bojarskich“ od r. 1480, stanowią najważniejsze etapy tego rozwoju militarnego. Od r. 1400 posiada Moskwa liczną armję stałą, i staje się organizacją militarną wschodniej Słowiańszczyzny. Dalszym obja-

wem w tej dziedzinie jest dokładne przejęcie instytucji tatarskiej „kozaków“ (sam wyraz jest czysto tatarski), którą przyswojono sobie do tego stopnia, iż samiż nawet Rusini i Rosjanie uważają kozactwo za własny twór narodowy.

Nigdy atoli nie popadło społeczeństwo moskiewskie w wyłączność militarnej organizacji, stając pod tym względem na rozgraniczu cywilizacji turańskiej, a nierozwiniętej dostatecznie rodzimej, z nieznacznemi wpływami bizantynizmu. W XVII w. wyrobił się kollektywizm włościański, ów sławny „mir“ rosyjski, jako wytwór oryginalny, spowodowany przyczynami lokalnemi, a nie mający związku z turańskością. Natomiast odzywa się turanizm w handlu, o czem świadczy dużo śladów wyraźnego upaństwawiania handlu, tak w Moskiewszczyźnie jako też na Rusi kozackiej aż do drugiej połowy XVIII wieku. A czyż to nie znamienne, że hasło upaństwowienia handlu ozwało się teraz znowu (uważane przez nieświadomych rzeczy za coś nowego)? Bądź co bądź, nigdy jednak nie spoczywała organizacja społeczno-ekonomiczna wyłącznie na samym tyiko militaryzmie, jak to było u Turańców; obok militaryzmu społecznego zachodzą w społecznej organizacji wschodniej Słowiańszczyzny inne jeszcze pierwiastki.

Istota państwowości rosyjskiej ma w sobie wiele turańskiego, a pierwotnie była całkowicie turańską. Od Chazarów przejęto niemało turańskości państwowej, podczas gdy potem Waregowie nie zakładali wcale państwa w właściwem znaczeniu tego wyrazu, poprzestając na luźnem panowaniu. Dopiero najazd mongolski wnosi pierwiastki państwowe i zapewnia hegemonję Moskwie. Państwowość Iwana Kalety oparta była na „zakładniczestwie“ książąt podległych i na obrotach handlowych prawami książęcemi, a więc wyłącznie na prawie prywatnem. Zwierzchnictwo władzy polegało długo na tem, żeby jak najwięcej osób popadło w osobistą zależność prywatną od władcy, od w. ks. moskiewskiego.

Oparcie władzy monarszej na poddaniu jak największej ilości osób w osobistą od władcy kraju zawisłość ułatwione było w Suzdalszczyźnie instytucją t. zw. „zakupów", osób podejmujących pracę na cudzy rachunek za zapłatą braną zgóry, a że księstwa Rurykowiczów były przez długi czas tylko przedsiębiorstwami ekonomicznemi osób stanu książęcego, mnóstwo ludzi stawało się „zakupami" książęcemi. Instytucja ta, która wywarła olbrzymi wpływ na ukształtowanie się społeczeństwa moskiewskiego, jest turańską; istnieje dotychczas na Dalekim Wschodzie.

Tytuł „gosudar" oznaczał, od Prawdy Ruskiej począwszy, osobiste zwierzchnictwo pana nad służbą i czeladzią, prywatny stosunek zwierzchniczy z jednej strony, w odniesieniu do osobistej prywatnej zawisłości z drugiej strony. (Dlatego Nowogrodzianie nie chcieli przyznać tego tytułu Iwanowi Srogiemu, bo oznaczał nie państwowe tylko panowanie, lecz wprost osobiste nad poniżonym do rzędu czeladzi książęcej ludem nowogrodzkim).

Co do czwartej cechy turańskości, co do braku pojęć narodowych, wszakże Słowiańszczyzna wschodnia nie wydała aż do końca XVI w. żadnego poczucia narodowego.

Przejdźmy teraz chronologicznie dzieje „krzyżowania się" rozmaitych cywilizacyj na boisku kulturalnem wschodniej Słowiańszczyzny, zwłaszcza Moskwy.

W połowie XV w. zrodziło się marzenie, żeby w. ks. moskiewski mógł zostać „carem", t. j. następcą — nie bizantyńskiego „kajzara" bynajmniej! — lecz cara-hana sarajskiego. Bizantyńskim cesarzem Moskwa nigdy się nie interesowała — a jednak przez zbieg okoliczności nastały czasy wzmożonych wpływów bizantyńskich pod koniec XV w., właśnie wtedy, gdy Iwan III Srogi ma się stać następcą tatarskiego kipczackiego cara.

Wpływy bizantyńskie, sączące się zaledwie na Rusi, miały spotężnieć właśnie wtedy, gdy państwo bizantyńskie przestało istnieć. Pierwsza mocna fala bizantynizmu uderzyła o Moskwę w r. 1480, a pochodziła z tego

kraju, w którym dokonała się historycznie jakowaś „synteza", a właściwie karykaturalna mieszanina bizantyńsko-tatarska, mianowicie z Wołoszczyzny. Na nieporozumieniu polega przypisywanie wielkiego znaczenia kulturalnego i politycznego małżeństwu Iwana Srogiego z Zofią Paleołożanką 1472 r., ale pełne doniosłości było natomiast małżeństwo Iwana Młodszego (syna Iwana Srogiego) z Heleną mołdawską w r. 1482. Za pośrednictwem kultury (sit venia verbo) mołdawskiej przechodzi na dwór moskiewski nie tylko naśladowanie (zresztą chwilowe tylko) bizantyńskich form dworskich skarykaturowanych, ale też samo bizantyńskie pojęcie „autokratorstwa". Na Wołoszczyźnie tytułował się już pod koniec wieku XIV Roman mołdawski „samoderżawnym gospodinem" i „gospodarem". — Z księżną mołdawską przedostało się też i bogomilstwo na Powołże.

Wpływy wołoskie stanowią osobny rozdział w dziejach kultury moskiewskiej. Niewszystko atoli, co wołoskie, było zarazem pośrednio bizantyńskiem. Z Mołdawji pochodzi zapatrywanie, jakoby prawa pierwotnych właścicieli do pewnej posiadłości nie mogły ulec nigdy przedawnieniu, póki tylko starczy jakichkolwiek krewniaków ich w najdalszych pokoleniach. Takie właśnie pojęcie prawa własności istnieje do dnia dzisiejszego w Mołdawji. Prawo ruskie nie zna zgoła prawa „pierwokupu"; przyniosła je Helena mołdawska, a Iwan Srogi zastosował je do Rusi litewskiej jako do swej „ojcowizny". Ruś owa stanowiła niewątpliwie oddawna ojcowiznę Gedyminowiców, ale Iwan stanął na stanowisku absolutnego nieprzedawnienia praw spadkobierczych po właścicielach pierwotnych, i wystąpił po mołdawsku z prawem do odkupu, który w tym wypadku miał się odbyć mieczem. Chodziło tu tedy o pojęcie prywatnoprawne, o tytuł prywatnej własności osób stanu książęcego.

Silne wpływy bezpośrednie z Bizancjum szły dopiero od połowy XVI wieku. Ten bizantynizm pogrobowy

płynie z Fanaru. Dwór patrjarszy zamienił się w polityczną agencję turecką, sprzągłszy się z kalifatem przeciw katolickiej Polsce. Moskwa staje się na długi czas narzędziem do powstrzymania lig antitureckich w pochodzie na Bałkan. Stawał przeto Fanar przeciw unji polsko-litewskiej, pragnął oderwania Rusi od Litwy i Polski i podsycał zaborcze zamysły Moskwy przeciw Polsce i Litwie. Te pogrobowe bizantyńskie wpływy stają się zczasem tylko pewną odmianą wpływu tureckiego i w ostatecznym wyniku przyczyniają Moskwie jeszcze bardziej turańskości.

Pod koniec XVI w. była Moskwa mieszaniną kultur turańsko-słowiańskiej i turecko-bizantyńskiej. Już też w połowie XVI w., za Iwana Groźnego, był każdy wobec cara niewolnikiem, „rabem“ i „chołopem“, choćby nawet był rodzonym bratem władcy — czysto po turańsku. Czysto po tatarsku urządzony był dwór Wasyla Iwanowicza (1505—1533), a za Iwana Groźnego zwiększyły się jeszcze wpływy tatarskie.

Za tegoż jednak Wasyla Iwanowicza wyłania się nowe pojęcie Moskwy, a oparte tym razem na bizantynizmie. Twórcą teorji kultury moskiewskiej staje się mnich twerski, Filoteusz. „Nie zginęło święte Bizancjum, lecz jest przeniesione do Moskwy“ — powiada, jako „do trzeciego Rzymu, a czwartego nie będzie“. Bizancjum, uważane niedawno jeszcze za „nieczyste“ pod względem wiary (skalane unją florencką), urasta do znaczenia symbolu wieków, a Moskwa ma być jego spadkobiercą. Na tej podstawie pozdrawia Filoteusz Wasyla jako „głowę chrześcijaństwa i pana przyszłości świata“.

Powstaje przeświadczenie o wyższości własnej ponad resztą świata, na tle religji państwowej — i to staje się zaczynem nowej, a swoistej moskiewskiej kultury. Do cech jej należało, żeby obywać się bez nauki, a to nie jest znów bizantyńskiem, lecz typowo turańskiem. Tak mieszają się na każdym kroku w Moskwie cywilizacja turańska i bizantyńska! Igumen Josip Sanin, drugi obok

Filoteusza twórca kanonu kultury moskiewskiej, utwierdził zasadę, głoszoną następnie całym pokoleniom, że „myślenie jest źródłem zła; myślenie, to powtórny upadek człowieka". A szły z tego różne konsekwencje społeczne i państwowe — konsekwencje nie bizantyńskie, lecz turańskie.

Tymczasem po zdobyciu Kazania (1552) i Astrachania wzmogły się nadzwyczaj wpływy tatarskie. Teraz dopiero, a nie za czasów jarzma tatarskiego, następowało tataryzowanie Moskwy na wielką skalę. Dawniej górowała Ruś nad tatarstwem kulturalnie, lecz w XVI w. kultura kazańsko-astrachańska stała bez porównania wyżej od moskiewskiej, to też wywarła stanowczy wpływ nie tylko na państwowość, lecz na samoż społeczeństwo.

Od Tatarów kazańskich przejęto hierarchiczne stopniowanie rodów, przez co zmechanizowano społeczeństwo w straszliwy sposób, tak dalece, iż nie było zgoła równych sobie. Stamtąd moda tatarska u warstw wyższych zamykania kobiet, stamtąd wzgarda dla tańca, jako dla rzeczy uwłaczającej powadze, gdy tymczasem lud nie znał nigdy niewieścich „teremów", a tańczył zapamiętale.

W kazańskiej tatarszczyźnie część ludności była oddawna przypisana do gleby, bo inaczej nie byłoby tam rolnictwa. Handel łatwy a niesłychanie intratny odrywał ludzi od roli, i skutkiem nadzwyczajnej, nieznanej nigdzie indziej w świecie całym łatwości gromadzenia bogactw z handlu... krajom tym groził głód dla braku rolników. Ten objaw wystąpił zaraz w carstwie moskiewskiem, skoro tylko opanowano owe kapiące od bogactw krainy dalszego Powołża. Ludność zaczęła się rozbiegać, z takim skutkiem, iż wnet nastały głody i groził upadek militaryzmu carskiego dla braku ludności stałej, którąby można skontrolować. To też skończyło się to na przytwierdzeniu wieśniaka do gleby zaraz z początkiem wieku XVII (1607). Przymusowa uprawa roli stała się koniecz-

nością, bo inaczej upadłoby całkiem rolnictwo. Powstało błędne koło: rolnictwo i tak musiało upadać, skoro nikt nie zajmował się niem z zamiłowania, z własnej ochoty.

Sporo jeszcze pomniejszych wpływów tatarskich możnaby zaznaczyć — dość powiedzieć, że każdy jako tako zamożny Tatar stawał się bojarem, a kto mógł wykazać się w rodzie murzą, zostawał kniaziem. Wszak car Borys Godunow był tatarskiego pochodzenia.

Łatwo więc tłumaczy się, że przyjęła się kazańska zasada, jako dostęp do życia publicznego daje tylko urząd, hańska (carska) „służba". Zróżniczkowały się tedy warstwy społeczne wyższe według pomiaru biurokratyczno-hierarchicznego, według tatarskich „tszinów", których geneza tkwiła w tamerlanowskiej jeszcze tradycji. Moskiewskie stopnie szły według „rodosłowa" pierwotnie, podług szlachetności urodzenia; stanęły więc przeciw sobie ostro dwa systemy hierarchiczne, zwalczając się, aż wkońcu tatarszczyzna miała zwyciężyć i na tem polu. Najgorszem jednak było to, że od owych czasów zdecydował się azjatycki, ekstensywny charakter rosyjskiego trybu życiu, na tle ogromnie łatwej, tak fatalnie łatwej walki o byt w tamtych stronach świata.

Kiedy tak Moskiewszczyzna zamienia się w zawrotnym pędzie nie tylko na państwo azjatyckie (turańskie), ale zarazem na społeczeństwo azjatyckie, wtedy właśnie powstaje pomysł rozszerzenia unji polsko-litewskiej na Moskwę! Była już mowa o tem, jako o objawie doktrynerstwa politycznego, w rozdziale poprzednim. Do rejestru faktów, podanego w poprzednim ustępie niniejszego rozdziału, dodać jeszcze należy, że pomysł ten zajmował umysły polskie do roku 1634 niemal ciągle, a potem pojawił się jeszcze za Jana Kazimierza na naradzie w Opolu i jeszcze raz w pierwszym okresie reform Czartoryskich.

Nieporozumienie było co najmniej równe ogromowi marzeń, związanych z projektem. Na całym ogromnym

obszarze państwa moskiewskiego nie było ni jednego człowieka, któryby rozumiał, co to dobrowolne łączenie się narodu z narodem. Rozumiano, że to Polska i Litwa pragną poddać się carowi i wysnuwano z tego konsekwentne wnioski — podobnież jak z watykańskich zabiegów unjackich wysnuwano niezmiennie wniosek, że to papież nawraca się na prawosławie.

Jakżeż miano rozumieć łączenie się narodu z narodem, skoro nie posiadano całkiem pojęcia narodowości. Wschodnia Słowiańszczyzna była aż po koniec XVI wieku w całości luźnem zbiorowiskiem ludów. Dopiero na przełomie wieków XVI a XVII wytworzyło się poczucie narodowe, ale nie w Moskiewszczyźnie, lecz na Rusi kijowskiej, dzięki wpływom polskim. Rusini jako naród przeciwstawiali się mocno „Moskalom" (sam wyraz ten przeszedł od Rusinów do języka polskiego). Rusini nabierali kultury chrześcijańsko-klasycznej wraz z „uczonością łacińską" (znienawidzoną na Rusi suzdalskiej), zachowując atoli równocześnie całe przywiązanie do prawosławia, wraz z nienawiścią do katolicyzmu, zupełnie narówni z tymi, którzy trzymali się zdala od łaciny.

Pojawienie się narodowości ruskiej, o czem bliżej w osobnym ustępie rozdziału X, stanowiło pierwszą, częściową, „europeizację" Słowiańszczyzny wschodniej. Jak bizantynizm przyjmował się w Moskiewszczyźnie dopiero wtedy, gdy zapoznano się z nim w przeróbce wołoskiej, podobnież europejskość mogła przyjąć się na moskiewskim gruncie tylko w odpowiedniej przeróbce prawosławnej, a tej dostarczyć mogła tylko szkoła kijowska, wogóle Ruś południowa. Bezpośrednie wpływy polskie były wykluczone z powodów religijnych, a zresztą przepaść kulturalna była nazbyt wielka.

Ta pierwsza ruska narodowość trwała atoli krótko; około r. 1700 niema już jej, tylko na nowo szara masa etnograficzna, nie troszcząca się o żadne kwestje narodowe, bo niedostępna dla żadnych kwestyj kulturalnych

wogóle. Kijów przechodzi pod wpływ moskiewski, a Polska podległszy wpływom politycznym i społecznym Litwy i Rusi (z demokratycznej przemieniając się na oligarchiczną), sama orjentalizuje się wtenczas. Jakżeż miała taka Polska szerzyć zachodnią kulturę, skoro sama ją porzucała?

Zostało jednak z poprzednich wpływów pośrednio polskich, a bezpośrednio kijowskich coś, co mogło stać się ziarnem gorczycznem dla europeizacji suzdalskich ziem: łacina. Ocalało trochę „uczoności łacińskiej" i przeniosło się z Kijowa do Moskwy. Łacina, zniknąwszy z Kijowa, znalazła schronienie w Moskwie w „akademji słowiańsko-grecko-łacińskiej", a raz do Moskwy wprowadzona, nie dała się łacina już wyrugować. W r. 1682 wprowadzono łacinę, jako naukę obowiązkową dla kandydatów na dostojeństwa cerkiewne i świeckie — i to było prawdziwie „wybiciem okna do Europy". To było donioślejsze od wszelkich „reform" Piotra W. (1689—1725).

Reformom tym przypisuje się przesadne wielce znaczenie. Piotrowi chodziło tylko o technikę kultury europejskiej do celów militarnych, i o nic więcej. Wprowadził germanizację Rosji oficjalnej, bo oparł się na bizantynizmie niemieckim z jego biurokracją, absolutyzmem i „Landeskirche". Odgałęzienie bizantynizmu niemieckiego przeniosło się do Rosji, gdzie wytworzyło nową biurokrację rosyjską i nowożytne prawosławie, jako religję, nie istniejącą zgoła w rzeczywistości, będącą czczą fikcją kancelaryjną.

Od Piotra W. mamy tedy w Rosji cztery kultury równocześnie: turańsko-słowiańską (staro-moskiewską), bizantyńsko-turecką, bizantyńsko-niemiecką i jakiś drobny zaczyn łacińskiej. Obok tego rodzime pierwiastki właściwej moskiewszczyzny nie tylko nie ustępowały, ale niektóre wzmagały się; np. „mir" stał się właśnie za Piotra W. obowiązkowym, przymusowym. Wynikiem takiej mieszaniny kierunków i prądów było to, iż

wyrobiło się w zmieniającej się na Rosję Moskwie państwo pozostające poza społeczeństwem (1725—1762), jako fatalne następstwo „reform" Piotrowych.

Ani nawet reforma administracji nie zdała się na nic. Różnica administracji rosyjskiej a europejskiej (niemieckiej) polegała na tem, że w Europie usuwano wojskowych coraz bardziej z zarządu kraju i z polityki. Rosja przyjęła formy niemieckie, a swoją drogą żywioł wojskowy docierał coraz mocniej do najwyższych sfer administracji. Biurokracja rosyjska stała się za Piotra W. bez porównania bardziej turańską, niż była przed jego „reformą". Nastał też w Rosji po Piotrze stosunek państwa do społeczeństwa jak najbardziej azjatycki.

Ale robiła dalej swoje... łacina. Wprowadzenie łaciny do szkół rosyjskich stanowi wydarzenie epokowe. Nauka europejska sączy się do Rosji. W r. 1755 powstaje uniwersytet moskiewski. Istotą uniwersytetów krytyka, a zatem sceptycyzm, i chociaż w walce tego europejskiego czynnika z turańszczyzną doszło do tego, że za Mikołaja I. miano zakazać wykładów filozofji, jako „burzących niepotrzebnie umysły", ale koniec końców już się to ziarno nie dało wydrzeć z ziemi.

Dzięki szkole łacińskiej powstał wreszcie język literacki rosyjski, nie mając najmniejszego związku genetycznego z tem wszystkiem, co od „Nestora" spisano w całej wschodniej Słowiańszczyźnie. Z ziarna gorczycznego łaciny, przeniesionej z Kijowa do Moskwy, wyrosło wreszcie rosyjskie poczucie narodowe, w drugiej połowie XVIII wieku już zdecydowane. Jest to druga z kolei narodowość w Słowiańszczyźnie wschodniej. Jest to narodowość rosyjska, określona następnie w całej pełni w osobie Karamzina (1765—1826). Język literacki, kształcony w czasie od Łomonosowa do Karamzina, stanowi nową zupełnie formę kulturalną, bez związku z poprzednią piśmiennością wschodnio-słowiańską. Podobnież to poczucie narodowe stanowi nową całkowicie formację kulturalną.

A nowa narodowość rosyjska nie powstawała w żadnem przeciwieństwie do poprzedniej pierwszej narodowości ruskiej dla tej prostej przyczyny, że twórcy nowego języka literackiego i sprawcy nowej formacji narodowej nie wiedzieli zgoła nic o istnieniu dawniej narodowości ruskiej. Nie zostało po owej narodowości ani wspomnienia, nie dochowała się żadna tradycja. To i tamto powstało jednako samoistnie, odrębnie, bez jakiegokolwiek z sobą związku, tak dalece, iż nawet nie było sposobności do jakiegoś przeciwieństwa. Tamto przepadło, nie doszedłszy nawet do wiadomości twórców języka literackiego rosyjskiego.

Na szerokiem podłożu kultur przynależnych do cywilizacji turańskiej i bizantyńskiej, nie posiadających pojęcia narodowości, zjawia się jednak poczucie narodowe. Zaczyna się w Rosji na dobre rozterka cywilizacyj, gdy obok dorobku tamtych zjawia się dorobek cywilizacji klasyczno-chrześcijańskiej, czyli łacińskiej: poczucie narodowe.

Kultura rosyjska bywała tedy w pewnych okresach mocno turańską (zwłaszcza że kulturę turecko-bizantyńską zaliczyć można równem prawem do turańskości, jak do bizantynizmu), ale zawsze bieg dziejów dołączył to i owo, co wykraczało stanowczo poza turańszczyznę. Organizacja społeczno-ekonomiczna, nieograniczona nigdy do militarnej, tudzież następnie poczucie narodowe, nie pozwalały Rosji stać się zupełnie azjatycką.

Ale turańszczyzny było i pozostało aż nazbyt wiele, żeby nie pozwolić Rosji stać się europejską.

Łacina swoją drogą, a państwo zasadzało się nadal na militarnej despocji orjentalnej, a takie państwo może istnieć tylko przy podbojach; gdy zaś przestanie czynić zabory, musi runąć. Imperjalizm Katarzyny II. ocalił tę państwowość, ożywioną na nowo zaborami. Najważniejszym był zabór polski, ale też odtąd nie dopilnowano w Rosji ani jednej sprawy żywotnej dla państwa, bo wszystko podporządkowywało się zawsze względowi.

jak utrzymać panowanie nad ziemiami polskiemi i zgodę ze wspólnikami-zaborcami. Historja Rosji staje się odtąd historją zaniedbań politycznych.

Zaniedbania te musiały mieć skutki tem fatalniejsze, że przez rozbiory Polski zawisł nad Rosją przymus ulegania wpływom europejskim zachodnim. Rozbiory wciągnęły Rosję w wojny koalicyjne i napoleońskie. Narazie wyszło z nich państwo wzmocnione jeszcze bardziej, tak iż lata 1815—1855 są okresem rosyjskiej hegemonji w Europie, ale od r. 1855 (wojna krymska) zaczyna się upadek państwa: już wtenczas pojawiło się porównanie o kolosie na glinianych nóżkach.

Osłabiła się potem Rosja nagle, gdy po pokoju sanstefańskim nie udało się porobić nowych zaborów i od r. 1878 upadek był już widocznym dla każdego. Państwo oparte na despocji militarnej musiało ulec ruinie, jeżeli nie uda się ożywić go nowemi zaborami. W ostateczności zdecydowano się w r. 1914 na wielką wojnę, celem rozbicia Austrji. Była to stawka szalona, i bez przesady można powiedzieć, że postawionó wszystko na jedną kartę, ale w tej grze była jedyna nadzieja utrzymania caryzmu. Gra zawiodła i caryzm runął.

Ci, którzy obalali carat, pragnęli europejskiej formy państwowej i zeuropeizowania zupełnego społeczeństwa. Ale wysunęły się przeszkody wręcz niepokonalne. Przez dwieście lat sączyły się wpływy europejskie do Rosji, czerpane bezpośrednio, nie przez Polskę i nie przez Ruś, a równocześnie głosiło się nienawiść do Europy i snuło się rozmaite teorje antieuropejskie, jak np. owo specyficzne słowianofilstwo rosyjskie, z którego wyszła wkońcu teza o „zgniłym Zachodzie" i uwielbienie dla wszystkiego, co w Rosji było nieeuropejskiego. Jakże pogodzić jedno z drugiem?

Myśl rosyjska popadła w błędne koło bez wyjścia. Państwo miotane przeciwieństwem kultur rozluźniało się i popadło wkońcu w błędne koło odruchów bezcelowych, a wyniszczających. Wreszcie nie tylko państwo rosyj-

skie, ale sama narodowość rosyjska zaczęła rozprzęgać się i... zanosi się na to, że naród rosyjski przestanie istnieć.

Oto czwarta z rzędu „synteza" Zachodu i Wschodu: hellenistyczność, bizantynizm, czasy saskie w Polsce i moskwicizm. Powstało ostatecznie w Rosji coś ogromnie swoistego, czego niema nigdzie indziej. Nie można zaprzeczyć, że od Iwana Srogiego wyrabiała się i rozwijała wciąż odrębna kultura moskiewska. Do czego doprowadziła, świadkami jesteśmy.

Zachód i Wschód, to są cywilizacje nierównomierne, które się łączyć nie dadzą, bo wydają zawsze: potwora.

Któż zaprzeczy, że w Rosji nie brakowało typów zupełnie europejskich? I któż zaprzeczy, że również nie brakowało typów zupełnie nieeuropejskich, całkiem turańskich? A wśród tego sporo było bizantynizmu dwóch gatunków, tak różnych od siebie: tureckiego i niemieckiego.

Jakąż kulturę miała wobec tego Rosja? Od nadmiaru kultur oto nie miała żadnej. One bowiem wszystkie nie dały się zlać w jedną, a wynikiem szukania syntezy był nihilizm i wszystkie jego następstwa.

Niegdyś Katkow, Pobiedonoscew, Leontjew, Komarow, identyfikowali Rosję z despocją caratu, a cała szkoła t. zw. „słowianofilska" (sit venia verbo) twierdziła, że Europa, to „zgniły Zachód", że będzie musiała wkońcu uczyć się od Rosji trafnego ustroju państwa i społeczeństwa. Runęło wszystko, co Katkow uznawał, tylko to przeświadczenie o mistrzostwie świata zostało. Ale Katkowy mieli na myśli, że Europa musi zaprowadzić u siebie caryzm despotyczny i prawosławie, t. j. to, co uważali za istotę rosyjskości. Carat runął — i rosyjskość popadła w ruinę. A jednak Katkowy nie mieli słuszności; równoczesność nie stanowi jeszcze przyczynowości. Upadek caratu powinienby właśnie stanowić szczebel do wywyższenia Rosji, gdyby nie to, że przyczyna upadku tkwi znacznie głębiej niż w formie rządu.

Rosja wywróciła się skutkiem niejednolitości cywilizacyjnej. Porzucała kulturę moskiewską, wyrobioną w pierwszej połowie XVI wieku, a nie przyjęła konsekwentnie ani zachodnio-europejskiej, ani też nie oddała się w zupełności turańskiej lub bizantyńskiej. W rezultacie Rosja była bez kultury, a taki stan nie może trwać długo bezkarnie.

Bez kultury była Rosja dlatego, ponieważ mieściła w sobie kultur kilka, nie dających się sprowadzić do wspólnego mianownika. Istnieje widać zasadnicze prawo historyczne, do którego dochodzimy indukcją z faktów wyraźnych czerpaną, że niewszystkie kultury dadzą się łączyć w syntezę, że nie da się ona przeprowadzić pomiędzy Zachodem a Wschodem, przez cały zaś czas, póki trwają eksperymenty i zabiegi około takiej rzekomej syntezy, cywilizacja ponosi tylko szkodę i właściwie dokonywa się tylko upadek cywilizacji.

Możnaby mówić o jednem jeszcze dążeniu do syntezy Zachodu i Wschodu, mianowicie o Japonji po reformach. Ale to już poza naszym tematem. Poprzestanę tylko na stwierdzeniu, że Japończycy poza stroną techniczną wynalazków przyjęli jedno tylko z Zachodu, tj. system reprezentacyjny, który atoli stosują w sposób dostrojony do japońskiej struktury społecznej. Błędnem bowiem jest rozpowszechnione mniemanie, jakoby Japończycy strukturę tę byli zmienili gruntownie; oni przybrali ją tylko w odmienne formy. Japończyk nie jest wcale taki skłonny do wyrzeczenia się japońszczyzny, jak się to mniema mylnie. Za przykład posłużyć może zacięty ich konserwatyzm w niejednej dziedzinie, np. w zakresie prawa familijnego.

Kwestja reform japońskich łączy się z zagadnieniem największej doniosłości historycznej: czy i o ile możebną jest cywilizacja zachodnio-europejska bez chrześcijań-

stwa? Zagadnienie najrozleglejsze, jakie tylko można sobie wyobrazić, znacznie rozleglejsze od wszystkiego, cośmy tu poruszyli dotychczas. Sądziłbym, że odpowiedź na to pytanie wypaść musi negatywnie...

Ale to obszerniejsze od zagadnienia o znaczeniu i celu Polski, a do rozwiązania tego zagadnienia niepotrzebne. Wracamy przeto w szczuplejsze szranki naszego tematu.

Sprawa syntezy Zachodu i Wschodu jest z dziejów polskich zagadnieniem bądź co bądź historycznie najrozleglejszem, kwestją najszerszego horyzontu. Na tem tle łączy się sprawa polska najszerszym łukiem z historją powszechną i nabiera najbardziej powszechnego, ogólnoeuropejskiego znaczenia. Tak się przedstawia historja polska ze stanowiska ogólnego pochodu cywilizacyjnego, a zatem ze stanowiska i najrozleglejszego i najwyższego zarazem.

Streśćmy wyniki rzutu oka na Polskę z tego stanowiska:

Polska własnem doświadczeniem stwierdziła niemożliwość syntezy Zachodu i Wschodu, a ogromną szkodliwość dążeń do takiej syntezy. Wszystko tedy, co w Polsce zmierza do popróbowania takiej syntezy, skazanej zgóry na wynik ujemny, szkodliwem jest dla Polski, zaś Polska potrzebną jest i pożyteczną dla Europy; natenczas polskie dążenia do syntezy ze Wschodem byłyby również szkodliwemi dla Europy.

Z kolei rzeczy wypada tedy przyjrzeć się stosunkowi Polski do Europy.

Tu poprzestańmy narazie na stwierdzeniu, jak to w dziejach polskich zasadniczy ich moment ujemny, od którego wywodzi się geneza przyczyny upadku państwa, schodzi się chronologicznie mniej więcej z datami upadku nauk. Nie można mówić, jakoby przyczyną upadku Polski była unja brzeska; byłoby to zbyt powierzchownem, zbyt mechanicznem traktowaniem dziejów. Żadne wy-

darzenie zewnętrzne samo przez się nie stanowi istotnej przyczyny następnych stosunków; raczej bywa ono już skutkiem pewnych stosunków, których przyczyna tkwi w wydarzeniach wewnętrznych, tj. w nabraniu i rozpowszechnieniu pewnych przekonań, zapatrywań, wreszcie nawet w powszechności pewnych uczuć. Unja brzeska była skutkiem przekonań o możliwości syntezy Zachodu a Wschodu. Gdyby nie to zapatrywanie, nie byliby unji pragnęli książęta Kościoła, nie byliby jej propagowali jezuici, ani nie zyskałaby poparcia licznego szeregu wybitnych osób duchownych i świeckich; a w takim razie byłby Zygmunt III. osiadł na lodzie ze swemi politycznemi planami, jakie z tą sprawą łączył. Gdyby nie pewne pojęcia, nie byłoby pewnego czynu; toć rzecz prosta. Gdyby pod koniec XVI w. nie były zapanowały w Polsce pojęcia, prące do poszukiwania syntezy ze Wschodem, byłyby losy unji brzeskiej (choćby nawet była formalnie zawartą) takie same, jak niegdyś florenckiej, o której w Polsce i Litwie nie chciano nawet słyszeć. Wydarzenie zewnętrzne schodzi do znaczenia epizodu, jeżeli nie stanowi skutku jakichś głębszych przyczyn wewnętrznych.

Z pojęcia rodzi się czyn, Logos kroczy przed Ethosem. Gdy Logos pobłądzi, Ethos wyjątkowo tylko zdoła ustrzec się od szkodliwej drogi.

Widzimy tu na przykładzie, jak Logos przejawia się jednakowo w całej grupie zjawisk. Unji brzeskiej towarzyszą w całem owem i następnem pokoleniu próby doprowadzenia do unji politycznej z Moskwą. Wymaga to umyślnych badań, żeby móc powiedzieć, od czego się zaczęło, czy od kościelnej dziedziny, czy od politycznej. Być może, że pomiędzy jedną a drugą panowała ścisła równoległość i równorzędność od samego początku. A nie jest to wykluczonem, że dalsze badania wykażą kiedyś, jako wszelakie owe dążenia do syntezy Zachodu i Wschodu stanowiły tylko konsekwencję jakiegoś pojęcia o wiele prostszego, tkwiącego w umysłach współczesnych, któ-

rego my jeszcze historycznie uchwycić i określić nie umiemy. Nie jest wykluczonem, iżby się kiedyś okazać miało, jako dążenie do syntezy owej w Polsce było objawem, poza którym tkwi właściwa przyczyna i tego prądu i upadku Polski. Wszak nauka czyni postępy, a my nie możemy nic nadto, jak tylko podawać, na co naukę stać w danej chwili jej rozwoju. Bądź co bądź, zbliżamy się do prawdy; zwrócenie uwagi na dążenia do syntezy niektórych cywilizacyj, i uznanie ich za błąd, stanowi krok ku poznaniu prawdy historycznej.

Polityka polska załamała się na owem dążeniu, gdyż opierało się na błędnych pojęciach. Godną uwagi bliższej jest okoliczność, jako zachodzi pewna względna równoczesność pomiędzy największą dziedziną Ethosu, polityką, a najwyższą Logosu, mianowicie filozofją. Filozofja polska, o której scholastycznym okresie będzie jeszcze raz mowa niżej — rozwijała się, bo nawet wyrabiało się pewne tło filozoficzne w społeczeństwie, w wieku XV i w pierwszych dziesiątkach XVI, i wtedy także powstawały wielkie polskie pomysły polityczne, i wyłaniały się nowe zasady prawa publicznego. Potem upadek filozofji, później upadek prawa, wkońcu (lecz niedaleko chronologicznie) upadek polityki, i to najpierw błąd teoretyczny (tj. mylne pojęcia), następnie zaś i klęski polityczne. Czyż nie tak przedstawia się tok spraw polskich w wiekach XV, XVI i XVII?

Spostrzeżenie to posłuży nam niżej za wątek dalszych roztrząsań o stosunku Logosu do Ethosu.

Rozdział IX.

Stosunek do Europy.

Czy Polska potrzebną jest i pożyteczną dla Europy? Europie nic nie zależy na ilości narodów czy państw, a może nawet byłoby dogodniej, żeby ich było mniej. Rozwój historyczny zmierza do tworzenia jak najrozleglejszych tworów politycznych, a więc... wynikałoby z tego, że postęp polega na tem, ażeby jak najwięcej państw i narodów traciło niepodległość? Rozumowano już w ten sposób, że rozbiór Polski jest wprawdzie sprawą arcyprzykrą, ale koniecznością, gdyż niema innej rady, jak tylko, żeby narody i państwa, do życia mniej zdatne, służyły silniejszym za „guano" (pierwszy użył tego wyrażenia Sergjusz Sołowiew w r. 1863). Walka o byt rozstrzyga najlepiej o postępie, bo słabsi giną, a zatem żywi składają się z coraz silniejszych. Dla słabszych niema innego celu, jak posłużyć za „guano". Wolno przecież każdemu ćwiczyć się, żeby być jak najsilniejszym; kto tego zaniedbał, sam sobie winien. Trudno — najwyższym interesem ludzkości jest usuwanie z drogi niedołęgów.

Teorji tej nie można odmówić logiczności; mylność jej polega na tem, że jest jednostronną. Jednostronnie pojmuje „siłę", bo tylko materjalnie, podczas gdy istnieją nadto siły moralne, o których można twierdzić, że one właśnie są siłami właściwemi, najsilniejszemi. Gdyby się sprawdziło przypuszczenie, że siła polityczna bez moralnej kruchą jest, że sama siła fizyczna trwałych wyników nie daje, jeżeli nie opiera się o moralną, natenczas cała teorja o wartości walki o byt, jako regulatorze najwyż-

szym w historji, byłaby pozbawioną wartości, a sama walka o byt okazałaby się tylko środkiem do celu, jako szczebel niższy, po którym wspinać się trzeba na wyższe. Regulatorem najwyższym byłaby jakaś siła moralna; dążenia do bliższego określenia tej siły stanowiłyby najwyższy cel nauk prawniczo-historycznych.

Wymagać będzie zarazem poprawki pogląd na kwestję ilości państw i narodów. Rozwój historyczny wymaga tworzenia jak najrozleglejszych tworów politycznych w tem znaczeniu, ażeby powstawały jak najrozleglejsze takie twory, oparte na wspólnej sile moralnej, a więc dobrowolnie się zrzeszające. Twory oparte na przymusie tamują tedy rozwój historyczny, działają wstecznie. Postęp Europy wymaga, ażeby jak największe jej przestrzenie zrzeszały się, ale pod warunkiem, żeby nigdzie nie działał przymus. Zrzeszanie musi być obmyślone w taki sposób, iżby nikt ze zrzeszonych nie tracił niepodległości.

Pożytecznemi są dla Europy narody i państwa w miarę tego, o ile mogą się przyczynić do wzmożenia jej sił moralnych, ażeby ani fizycznie nie szły na marne. Polska zdała już raz egzamin z tego, że umie wytwarzać duże obszary polityczne, zrzeszane dobrą wolą uczestników-spólników, a mianowicie w systemacie unji. Ale skoro dziś niema nigdzie owej „drugiej strony", pragnącej unję zawierać, a zatem byłoby to doktrynerstwem, żeby powoływać się wciąż na unję, jakby na jakiś syngelton polskich sił moralnych. A gdy unji niema, więc cóż? czyż niema przez to samo w polskości niczego realnego? Dajmyż więc nareszcie spokój temu ciągłemu obnoszeniu się z unją, jakbyśmy niczego innego nie mieli do pokazania. Niepotrzebnie profanujemy świętości narodowe.

Kwestję naszej pożyteczności dla Europy, lub obojętności dla jej dobra, oprzeć trzeba na szerszem podłożu i na... mniej polskiem, a bardziej europejskiem, tak, iżby zrozumiałą była dla nie-Polaka. Niezrozumiałą będzie ona jednak i dla Polaka, dopóki nie zbadamy sprawy

ogólniej, mianowicie stosunku naszego do Europy wogóle, nie mając na myśli zgóry kategorji pożyteczności; dopiero po zbadaniu stosunku Polski do Europy, bez względu na pożytki lub szkody tej czy owej strony, będzie można z szerszego materjału wycisnąć cząstkę stanowiącą o naszej pożyteczności czy niepożyteczności.

1. Młodszość cywilizacyjna a chyżość historyczna.

Znana jest teorja „młodszości cywilizacyjnej", którą starano się wyjaśnić tok dziejów polskich zasadniczo, od czasów najdawniejszych do najnowszych. Młodszymi cywilizacyjnie jesteśmy oczywiście, bośmy później od innych przystali do cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej. Nie można przeczyć, że np. Niemcy są starsi od nas cywilizacyjnie, to znaczy, że dłużej od nas się cywilizują. Czyż jednak ma z tego wynikać, że młodszość ta musi się nam zawsze dawać we znaki? że jesteśmy na całe życie dziejowe skazani na to, by stać niżej od innych? niżej bez ratunku, boć młodszymi zostaniemy na zawsze? Czy stopień cywilizacji zawisł od... chronologji? Jeżeli tak jest, w takim razie lasciate ogni speranza, Polacy.

Jeżeli młodszość cywilizacyjna musi być jednoznaczną z niższością, w takim razie musimy pozostać na wieki niższymi, a niższość ta z pokolenia w pokolenie musi też stawać się coraz znaczniejszą; a zatem skazani bylibyśmy na to, żeby stać coraz niżej w stosunku do starszych cywilizacyjnie, reprezentować coraz gorszy, coraz pośledniejszy stosunek wartości swej do ich wartości, a zatem stawać się coraz mniej wartymi w Europie, coraz mniej pożytecznymi, coraz bardziej balastem, jakby zawalidrogami postępu europejskiego. Młodszość cywilizacyjna wychodziłaby na rodzaj predestynacji.

Cała rzecz w dwóch okolicznościach: Po pierwsze, czy poziom cywilizacyjny pozostaje w prostym stosun-

ku do czasu poświęconego na cywilizowanie się; czyli, czy tem ktoś wyżej cywilizowany, im dłużej się cywilizuje — czy też sprawy te nie pozostają w żadnym stałym do siebie stosunku. Po drugie, czy w pewnym czasie osięgalną jest pewna oznaczona stała ilość cywilizacji, czy też ilość ta jest zmienną: czyli że można osięgnąć dany stopień cywilizacji w rozmaitym czasie, a więc jednakowe stopnie cywilizacji osięgalne są w niejednakowych czasach, a zatem może dać osięgnąć w czasie krótszym lub dłuższym jedno i to samo; w takim zaś razie możebnem jest doganianie cywilizacyjne, a nawet przeganianie, bez względu na młodość.

Cóż w tej sprawie ma do powiedzenia indukcja historyczna?

Doświadczenie dziejowe stwierdza ponad wszelką wątpliwość, tysiącami faktów, jako pochód historyczny odbywa się w rozmaitych krajach, w różnych czasach, z rozmaitą szybkością. Znamy w historji każdego społeczeństwa zjawiska powolniejsze i szybsze. Możemy przeto mówić o chyżości historycznej, podobnież jak mówi się o fizycznej.

Znamy społeczeństwa, u których zmiany były nieliczne w ciągu długich wieków i nawet pozbawione większego znaczenia; a jednak, chociaż nieznaczne i nieliczne, dokonywały się nadzwyczaj powoli. Okazy tego rodzaju stanowią np. niektórzy autochtoni syberyjscy, ludy turańskie „kozacze“, np. Kirgizi, Chamici berberyjscy i wiele innych ludów. Gdzie nic się nie zmienia, tam niema historji; gdzie zmian mało, tam historji mało. Gdzie specjalni zaledwie badacze zdołają z trudem stwierdzić jakoweś zmiany, bo są niewidoczne, tam też historji niewiele. Są ludy, których dzieje ledwie kroniką wydarzeń przygodnych być mogą; są zaś i takie, które znajdują się wciąż w tym samym stanie, w jakim zapoznali się z nimi pierwsi ich „odkrywcy“ (Patagończycy i t. p.). U nich chyżość historyczna równa jest niemal zeru.

Chyżość ta, zwiększając się, może się zwiększać w rozmaitych dziedzinach życia bardzo nierównomiernie. Za przykład może służyć Japonja, która tak się zmieniła w czasie krótkim. Powszechne jest mniemanie, jakoby zmienił się tam cały ustrój społeczny. Mniemanie to jest mylne. Przy nadzwyczajnej wprost chyżości w wielu kierunkach, w innych chyżość była mniejszą, w niektórych nader drobną, a w jednym równa się absolutnie zeru: prawo familijne, rozstrzygające o strukturze społecznej, pozostało bez zmiany.

Pewien stopień chyżości nie stanowi stałej właściwości pewnego społeczeństwa. W jednem i tem samem środowisku chyżość historyczna bywa zmienna. Ta sama Japonja, która od połowy XIX w. pędzi naprzód w cwał, stała przez długie wieki we wszystkiem nieruchomo na jednem miejscu. Nie różniła się pod tym względem niczem od Chin, ani od Korei, których antytezą miała stać się wkrótce. W Europie można obserwować na półwyspie Apenińskim szeroką wielce skalę zmian chyżości historycznej. Jakżeż powolną była Kalabrja w porównaniu do Toskanji; jakżeż inną była ta chyżość w Toskanji w wieku XVI, a inną (powolniejszą bez porównania) w XVIII. A zestawmyż w Polsce Kujawy z sanocką ziemią.

Zmiany chyżości bywają rozmaite, różniąc się zasadniczo: bywają przyspieszające i opóźniające rozwój w stosunku do chyżości poprzedniej. Istnieje chyżość wsteczna, i to nieraz bardzo rącza. Jest chyżość historyczna dodatnia i ujemna.

Nic mylniejszego nad rozpowszechnione mniemanie, jakoby postęp był kategorją czysto chronologiczną. Wydaje się to ludziom o broszurkowem wykształceniu całkiem „naturalnem", że dziś stosunki są lepsze, aniżeli niegdyś, i uważają to za coś, co się rozumie samo przez się, że w przyszłości stosunki muszą być jeszcze lepsze. Ten przesąd chronologiczny stanowi jaskrawy przykład, jak to przyjmują się ogólniki bez krytycznego zastano-

wienia, wbrew nawet elementarnym zasadom logiki. Dzięki przekonaniu, jakoby postęp musiał się dokonywać nieustannie w miarę, jak przybywa ludzkości rachuby czasu, powstały dziwnie błędne zapatrywania na przeszłość i przyszłość, a błędne skutkiem właśnie naiwnej prostoty rozumowania. Powiedziano sobie, że im coś bliższe naszych czasów, tem lepsze, a im odleglejsze w przyszłości, tem gorsze, jako przez krótszy czas korzystające z postępu. Na przeszłość poczęto patrzeć zasadniczo jako na przestarzałość, identyfikując mylnie jedno z drugiem. Z tego powstało np. „powszechnie wiadome“ bałamuctwo o ciemnocie ogólnej wieków średnich; to zbyt odległa przeszłość, iżby nie miała być ciemną w porównaniu z nami. Według tego mechanicznego wyobrażenia o pochodzie dziejowym możnaby rozwój społeczeństwa mierzyć ilością pokoleń, a tymczasem cóż zawodniejszego! Tylko caeteris paribus rozstrzyga długość czasu.

Postęp może być w każdem pokoleniu, lecz w żadnem być nie musi. Każdej chwili może nastać zastój. Każde pokolenie musi pracować i być czujnem, bo wystarczy kilkanaście lat zaniedbania kulturalnego, społecznego i państwowego, a pochód może się odbywać nagle przy pomocy chyżości wstecznej.

Nic błędniejszego, a zarazem szkodliwszego dla życia publicznego, nad to mniemanie rozpowszechnione, jakoby postęp społeczny, kulturalny i państwowy był tem większy, im bliżej naszych czasów, a natomiast im głębiej w przeszłość, tem grubsze zacofanie. Popularne zdanie o młodym i starym wieku społeczeństw i narodów, o ich dzieciństwie, młodości, wieku dojrzałym i starości, jest nonsensem. Niektóre społeczeństwa, choć stare, nie zdążyły nigdy wyjść ze stanu prymitywności; cieszą się tedy według owej teorji młodością wiecznotrwałą. Są społeczeństwa, które gniją, chociaż nie dorosły do miernego jeszcze rozwoju; może to tedy przyspieszona dojrzałość? Niektóre społeczeństwa kwitnęły krótko i zapadły w nie-

historyczność ponowną, z której mogą jednak wyrwać się znowu do nowego życia; gdzież je pomieścić w takiej klasyfikacji fizjologiczno-historycznej?

Żadne społeczeństwo nie rozwija się na podobieństwo ciała ludzkiego, czy zwierzęcego; nie miewa młodości, a dzięki temu nie musi też być skazanem na upadek sił, tem mniej na śmierć. Jeżeli społeczeństwa upadają i nawet giną, dzieje się to z innych zgoła przyczyn, a nie z powodu ich długowieczności. Starożytni Rzymianie mogliby istnieć dotychczas, gdyby chodziło tylko o ich wiek dziejowy, któryby i tak krótszy był od chińskiego.

Mylnem a naiwnem jest przedstawianie sobie gdziekolwiek pochodu dziejowego, jako linji z konieczności ciągłej (chociaż nie prostej) w pewnym kierunku. Linja ta bywa w rzeczywistości nie tylko przerywana, ale może ona nawet zmieniać kierunek. Załamania kierunku zdarzają się niemal u każdego społeczeństwa. Historja np. Rosji składa się z nieustannych zmian kierunku, nawet radykalnych. Niewiele jest społeczeństw, odznaczających się wyraźną ciągłością swych dziejów, nie tylko przyczynową, ale też celową. Z europejskich najwybitniejsze są pod tym względem dzieje Anglji i Polski, wybitnie ewolucyjne.

Dzięki piśmienności rozporządzają społeczeństwa europejskie taką nieprzerwalnością i obfitością źródeł historycznych, że każdy okres chronologiczny da się opracować szczegółowo co do wydarzeń. Pisarze historyczni zdają się trzymać zasady, że im więcej wydarzeń, tem więcej historyczności, i stali się opowiadaczami wypadków w ich związku przyczynowym. Aleć wypadek wypadkowi nierówny. Mogą być wydarzenia ogromnie zajmujące współczesnych, i dlatego zajmujące sporo miejsca w źródłach, a dla historji bez znaczenia. Zmniejszenie się bowiem chyżości historycznej niekoniecznie łączy się z jednostajnością tła dziejowego; ani też z drugiej strony przyśpieszeniu chyżości nie odpowiada koniecznie większa obfitość wydarzeń zewnętrz-

nych; pomiędzy temi kategorjami niema wogóle związku. Stan chyżości poznajemy bardziej po t. zw. stosunkach wewnętrznych, niż po sprawach zewnętrznych, które mogą być wielce urozmaicone, podczas gdy już zastój się czai.

Nie wynika z tego bynajmniej, żeby „sprawy wewnętrzne", ustrój społeczny, prawa i urządzenia miały być częściej odmieniane, jeżeli mamy stwierdzić, gdzie większą chyżość historyczna. Postęp dokonywa się nietyle przez wymyślanie rzeczy nowych, ile przez coraz lepsze zastosowanie starych. Biada społeczeństwu, które goni za „nowinkami", nie wyzyskawszy jeszcze należycie postępowo starych swych zasobów. Wszelka przerwa w rozwoju wytwarza niebezpieczną wyrwę, w którą można się stoczyć. Tyczy się to nie tylko ogólnych zasad, ale także szczegółów. Każdy pierwiastek ustroju, każdy moment kulturalny musi być wyzyskany wszechstronnie i w zupełności; inaczej następuje w pewnem miejscu mechanizmu życia zbiorowego przerwa, wyrwa lokalna. Coś gdzieś zepsuje się, a gdy takich usterek nazbiera się więcej, mechanizm cały przestanie działać sprawnie. Dlatego to w życiu zbiorowem niema „drobnostek".

Niekoniecznie pożądaną jest jak największa chyżość historyczna. Pożądaną jest taka, jaką dane społeczeństwo może znieść, a to zależy od czasu, miejsca i okoliczności. Sprawa to tak zawiła, iż wymagać będzie długich naukowych dociekań, zanim powiedzie się nauce wpaść na ślad jakiegoś prawa pod tym względem. To pewna, że żadną miarą nie można sądzić, jakoby pomyślność narodu zawisłą była od ciągłego przyspieszania chyżości historycznej. Bywają chyżości gorączkowe, wiodące do zguby.

Jeszcze mylniejszem byłoby uważanie za postęp wszelkiej zmiany, gdy tymczasem możnaby równem prawem upatrywać w każdej zmianie cofnięcie się. Zmiana radykalna, podjęta choćby z największą wiarą i ofiarno-

ścią w imię postępu, może być właśnie radykalnem wstecznictwem.

O tem, co jest krokiem naprzód, a co wstecz, nie rozstrzyga żadna a żadna „zasada“ społeczna ni polityczna, ale wyłącznie s k u t k i zastosowania danej zmiany w praktyce. To też polityka i wszelka wogóle działalność publiczna polega nie na talencie snucia projektów, talencie nader pospolitym, lecz na niełatwej sztuce przewidywania skutków. Nie nabędzie tego przymiotu, kto nie jest dokładnie obeznany z rzeczywistością, a to wymaga znacznej biegłości i w teorjach i w praktyce.

Badając tedy chyżość historyczną w przedstawieniu dziejów pewnego społeczeństwa czy pewnego obszaru dziejowego, musi się historyk wystrzegać przedwczesnego generalizowania, ale musi badać tę chyżość w każdem pokoleniu zosobna, aby potem dopiero móc stwierdzić, czy wogóle jest co do generalizowania.

Nie jest też danym zgóry stopień chyżości, nie jest ustalony dla danego miejsca czy czasu, a zatem da się przyspieszać i opóźniać. Przykładu celowego, całkiem świadomego opóźniania dostarcza zachowanie się rządów zaborczych w porozbiorowym okresie Polski. Przyspieszaniem świadomem, celowem, jest podjęcie wszelkiej pracy społecznej około warstwy, do której się samemu nie należy, pracy moralnej, oświatowej czy ekonomicznej, boć dlatego się to robi, żeby przyśpieszyć postęp w społeczeństwie.

Nie o to więc chodzi, czy chyżość historyczną przyspieszać, ale o to, j a k to robić, żeby zrobić dobrze i nie osięgnąć czasem wyniku wręcz przeciwnego zamierzonemu.

Dowodów chyżości przyspieszonej, i to znacznie, a ze skutkiem dobrym, mamy w historji niemało. Inaczej nie mogłoby społeczeństwo zacofane zrównać się nigdy z postępowemi; niemożliwem byłoby odrodzenie społeczeństwa raz upadłego; niemożliwem byłoby t. zw. doganianie. Danja, Czechy, Japonja, dostarczyły dowo-

dów skutecznego doganiania. Największą chyżość tego rodzaju, chyżość doganiania po straszliwem zacofaniu, wykazała Anglja, podniósłszy się z mizernego stanu w połowie XVIII w. w ciągu półwiecza do potęgi, która sama jedna mogła być groźną Napoleonowi, a po pracy następnego pokolenia począwszy przodować całemu światu cywilizowanemu.

Dla nas kwestja doganiania po upadku jest bliską i ważną; dlaczego, tego nie trzeba tłumaczyć. Ale dla naszej nauki historycznej istnieje także inna kwestja doganiania, nie z powodu upadku wcale, lecz zasadniczo z powodu młodszości cywilizacyjnej.

Powołując się na powyższe wywody, można zaprzeczyć z całą stanowczością, jakoby stopień cywilizacji miał być zawisłym od chronologji. Chronologiczna młodszość tłumaczy początkową tylko niższość cywilizacyjną, ale potem nie stanowi o niczem. Społeczeństwo starsze cywilizacyjnie może popadać w zastoje, może posiadać chyżość historyczną nieznaczną, gdy tymczasem młodsze może posiąść chyżość znaczniejszą, doganiać i nawet przeganiać.

Gdyby dało się tłumaczyć i wyjaśniać cały pochód dziejowy pewnego społeczeństwa jakąś zasadniczą okolicznością z samego początku tego pochodu, natenczas byłoby to oznaką stagnacji, która zaczęła się wnet po rozpoczęciu życia dziejowego. W takim zaś razie naukowe badanie dziejów mogłoby ograniczone być tylko do tego stadjum początkowego, reszta byłaby tylko opowiadaniem wydarzeń. Wiemy, że tak nie jest — a zatem niema predestynacji historycznej, zawisłej od czegoś, co było na samym początku rozwoju dziejowego. Dodajmyż, że „początek rozwoju“ cofa się coraz głębiej w przeszłość, im bardziej postępują badania naukowe; zasadniczo można mówić tylko o początku naszej dzisiejszej świadomości o przeszłości, ale nie o początku... przeszłości samej.

---

2. Teorja Pawła Brudzewskiego.

Skoro najwyższy regulator zawikłań dziejowych tkwi w świecie ducha, w świecie moralnym, a zatem stosunek nasz do Europy rozważać najstosowniej i oceniać według stosunku myśli polskiej do tego, co w Europie uchodziło za kwintesencję dobra powszechnego. Musimy wejść na chwilę na teren nader rozległy, niemniej rozległy od zakresu kwestji o syntezę Zachodu a Wschodu. Europa opierała bowiem swe pojęcia dobra powszechnego na postulatach ogólnych cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej, która zrazu nie była bynajmniej ograniczoną do obszarów europejskich.

Chodzi tu o określenie stosunku Polski do twórczości politycznej klasyczno-chrześcijańskiej, do ustroju społecznego, państwowego i do kultury umysłowej w obrębie tejże cywilizacji.

Wyłania się cały ten świat stosunków i pojęć z olbrzymiego zbiorowiska starożytnego imperjum rzymskiego. Święty Augustyn potępił był to imperjum i całą historję rzymską w latach 413—426, kiedy pisał swe dzieło De civitate Dei, a swoją drogą powstają w tymże jeszcze wieku nowe państwa europejskie na tradycjach, uchwyconych z resztek tegoż potępionego imperjum. W trzy wieki potem, w r. 800, sam papież wznawia imperjalizm, koronując Karola Wielkiego na cesarza „rzymskiego". Święty Augustyn miał zupełną słuszność, zżymając się nad zbrodniczością dziejów rzymskich, ale ta Afryka, która przejęła się jego wywodami, nie zbudowała po upadku imperjum sama nic nowego, gdy tymczasem państwowość rozkwitnęła na nowo w zachodniej Europie, przyznającej się do spadku po zbrodniczym Rzymie.

Nie daje się bowiem w dziejach nic budować zupełnie na nowo. Afryka, przejęta już romanizmem, wyrzekając go się nagle, zagwoździła sobie dźwignie rozwoju, bo na miejsce imperjalizmu rzymskiego nie miała nic, prócz marzeń. Zdezorganizowana skutkiem tego, uległa też cywilizacji muzułmańskiej niemal bez oporu.

Gdziekolwiek sięgła kultura rzymska, nigdzie nie dało się jej rugować bezkarnie. Tkwią w niej pewne zasadnicze dane organizacji państwowej, której raz zakosztowawszy, nie można już było obejść się bez niej. Teorja dwoistości najwyższej władzy, duchownej papieskiej i cesarskiego bracchii saecularis, nie jest też niczem innem, jak zdobytym z doświadczeń czterech blisko wieków kompromisem pomiędzy teorją Św. Augustyna a możliwością.

Dzieło De civitate Dei zawiera w sobie najwyższe w chrześcijaństwie pojęcie dobra powszechnego, wyrażone samym tytułem dzieła. Mamy dążyć do zaprowadzenia królestwa Bożego tu na ziemi i takie przykazanie obowiązuje odtąd każdą duszę chrześcijańską. Minęło półtora tysiąca lat, i my dziś powtarzamy to samo, wołając, że trzeba dążyć do królestwa Bożego na ziemi. Święty Augustyn wyrzekł coś tak wielkiego, że starczy na cały pochód historji powszechnej! Ale też można zagadnąć z drugiej strony: czemuż ta civitas Dei wciąż gdzieś tak daleko od nas? Czemuż półtora tysiąca lat nie starczyło, by wcielić ten ideał?

Longum esset enumerare, o ile bliżsi jesteśmy dziś tego ideału, niż za czasów jego twórcy. Każdy okres inaczej pojmuje tę civitas, a postęp w postępowości tego pojmowania. Zdaje się nam zaś zawsze, żeśmy jednako oddaleni od ideału, dlatego, ponieważ i on, ten ideał kształci się w nas wraz z nami, i staje się coraz wyższym w miarę rozwoju cywilizacji (upadając w okresach jej upadku). Im więcej wymagamy od cywilizacji, a raczej im więcej cywilizacji wymagamy od samych siebie, tem większe stawiamy wymagania ustrojowi i urządzeniom, którym moglibyśmy przyznać zasługę, że zbliżają ludzkość do civitas Dei. Możnaby to wyrazić innemi słowy, że tem więcej obowiązków nakładamy na wymarzone królestwo Boże, że obciążamy je coraz uciążliwiej, a więc sami odsuwamy je od siebie dalej; bo wyżej, w górę. Gdybyśmy nie na-

kładali na Ideał coraz większych wymagań, zapewne wszystkie byłyby już dawno spełnione. To też spełnienie Ideału, to złudzenie, którego zjawienie się jest dowodem stagnacji moralnej. Ideał nie może się nigdy spełnić społeczeństwu, bo ono w miarę, jak się doskonali, zakreśla sobie ideały coraz wyższe, coraz trudniejsze do spełnienia. Oto dziedzina, w której zaiste „mierzą się siły na zamiary". Oto szczyt ludzkiego Logosu, szczyt mknący wciąż w górę!

Trzebaby pisać chyba cały jaki kurs historji powszechnej, żeby to wykazać szczegółowiej. Tu wystarczy zwrócić uwagę na tę okoliczność, jako od półtora tysiąca lat dążąc do królestwa Bożego na ziemi, pytamy ciągle: do czegoż więc zmierzać mamy, by wielkie dążenie choć trochę się spełniało? Pytamy wciąż o niewiadome środki do wiadomego celu. Od świętego Augustyna celu odkrywać nie potrzebujemy, ale środki wynajdywać musimy bez końca.

Pierwszym takim środkiem miało być wznowione w r. 800 cesarstwo rzymskie. Na tle ogólnego ideału św. Augustyna jest to pierwsze w chrześcijaństwie pojęcie dobra powszechnego.

Polska weszła w koło cywilizacji łacińskiej, gdy przez chrzest wpisała się w poczet „rodziny chrześcijańskiej". Narzędzia pod snucie osnowy historycznej otrzymaliśmy z zewnątrz. Stało się to w Rzymie w r. 996, skąd św. Wojciech przywiózł prowincję kościelną polską, zorganizowaną w cztery lata potem. Był to nie asceta tylko i zamodlony pątnik, ale polityk chrześcijański w wielkim stylu, pracownik energiczny około sprawy de civitate Dei. Oznaczało zaś przyznanie prawa do osobnej prowincji kościelnej, że Rzym uznaje równorzędność nowego społeczeństwa chrześcijańskiego ze starszemi.

Dzieło św. Wojciecha przybiera pod niemniej twórczą dłonią Bolesława Wielkiego kształt olbrzymiej monarchji słowiańskiej, której pomysł waha się, już to kur-

czy, już to rozszerza się w wykonaniu, ale trwa ciągle w okresie t. zw. bolesławowskim. W okresie t. zw. dzielnicowym nabiera społeczeństwo sił społecznych, a w połowie wieku XIII rodzi się dzięki uczonym dostojnikom Kościoła idea narodowa polska, pielęgnowana najpierw na dworze Bolesława Pobożnego kujawskiego († 1279), najstarsza na północy Alp idea narodowa, a pierwsza co do wykonania w całej cywilizacji klasyczno-chrześcijańskiej. Ludność polskiej prowincji kościelnej staje się narodem polskim, kiedy to pomysły i dążenia, skrystalizowane najlepiej w umyśle arcybiskupa Świnki, zamienia w czyn Władysław Niezłomny (Łokietek). Niebawem zrywa się Polska do powtórnego rozmachu na zewnątrz i już za Kazimierza W. kładzie się fundamenty pod przyszłe państwo Jagiellońskie.

Wszystko to dokonało się zgoła odmiennie, niż dokonywało się pośród społeczeństw zachodnich. Polska weszła wprawdzie w koło cywilizacji łacińskiej, lecz nie przyjęła zasadniczej podstawy ustroju tamtych społeczeństw.

Pomiędzy dziejami ustroju społecznego Zachodu a Polski zachodzi ta walna różnica, że w Polsce nie było feudalizmu. Ustrój ten wytworzył się ewolucyjnie, z jak najściślejszą konsekwencją, ze stosunków zachodniego obszaru cesarstwa rzymskiego w ostatnich wiekach jego istnienia, mianowicie ze samopomocy społecznej. Był więc feudalizm zjawiskiem normalnem na półwyspie Iberyjskim, w Galji-Francji, w Anglji, tudzież w tej części Niemiec, która rozwinęła się do pewnego poziomu społecznego pod panowaniem rzymskiem, a więc w dorzeczu Renu. Dalej ku wschodowi został feudalizm zaprowadzony sztucznie, w Niemczech przymusowo, gwałtami popełnianemi w imię organizacji państwowej wbrew organizacji społecznej. Feudalizm niemiecki poza dorzeczem Renu był najpierw państwowym, a potem dopiero naciągano do niego stosunki społeczne, a ten nienaturalny tok rzeczy wytworzył niemiecką odmianę feudalizmu,

różniącą się od zachodniego cechami ujemnemi (z tego „Raubritter"). Czesi, asymilując się do niemczyzny, przyjęli także feudalizm, ale nie zdołali wykształcić go w system, boć nie było do tego pola w ich społeczeństwie, to też społeczeństwo to rozdarte zostało na dwie społeczności odrębne: feudalną i niefeudalną, a feudalizm stał się kulą u nogi rozwoju dziejowego Czech.

Feudalizm wyhodował całe życie zbiorowe na Zachodzie. Feudalizm nadał tam formy ustrojowi społecznemu i był wogóle esencją europejskości, do tego stopnia, iż przystosował się do niego Kościół, ażeby mógł wejść wewnątrz społeczeństw. Polska jednak feudalizmu nie przyjmuje, lecz mimo to pozostaje o własnych siłach córą Zachodu, rozwijając się na podstawie rodzimego ustroju rodowego, stanowiącego przeciwieństwo feudalizmu jak najjaskrawsze.

Wobec takiego przeciwieństwa musiały być nieporozumienia, tem bardziej że zachodziła jeszcze druga zasadnicza różnica:

Cesarstwo Karola W. zawiodło i rozprzęgło się, zanim jeszcze dobiegł końca wiek IX. Epizodycznie zabłądziła korona cesarska w r. 896 na głowę Arnulfa niemieckiego, ale to epizod bez znaczenia. Karolingowie niewiele mieli sposobności oprzeć się o Niemcy, ani też nie utrzymała się w Niemczech ich tradycja dynastyczna. Wznowienie cesarstwa przez Ottona W. w r. 962 na cztery lata przed chrztem Mieszka nie ma związku ani genetycznego, ani ideowego z problematem cesarstwa Karola W. To drugie cesarstwo, powstałe wśród walk orężnych z papiestwem, wywodzi się od bizantyńskich „kajzarów", przejmując nawet ich nazwę. Wogóle nawrócenie Polski przypada na czasy najsilniejszej ekspansji bizantynizmu. To też sąsiedztwo nasze z Niemcami niekoniecznie było sąsiadowaniem z łacińską cywilizacją.

„Święte cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego" weszło jednak w kompromis z papiestwem, a że formalnie trzymało się katolicyzmu, poczęło wkrótce uchodzić

nie tylko u Niemców za ciąg dalszy monarchji Karola W. Cały świat łaciński uznawał je mniej więcej aż do połowy XII w., a potem jeszcze aż do XV w. posiadało cesarstwo niemieckie zwolenników poza Niemcami, jako cesarstwo „rzymskie", wyznaczone do przewodzenia w „rodzinie chrześcijańskiej".

Polska tego cesarstwa nie uznawała. Nie rozumieli tedy wojownicy Bolesława Krzywoustego, o co chodzi cesarzowi, że gotów księcia polskiego nie tylko pozostawić w spokoju na tronie, ale pozostawić mu najzupełniej własną wolę, byle tylko dał jakiś mały znak, że uznaje nad sobą „zwierzchnictwo cesarskie". Nawzajem Niemcy nie rozumieli Polaków. Wielkie wojny o to, czemu poddawało się bez szemrania tyle rodów książęcych na Zachodzie, rodów w oczach świata świetniejszych od Piastów! W Burgundji np. musiał się taki opór wydawać uporem barbarzyńców, nieucywilizowanych jeszcze należycie. Wszak wszyscy panowie chrześcijańscy są wasalami cesarza „rzymskiego", bo tego wymaga prawo, porządek europejski i dobro całej „familji chrześcijańskiej".

Pojęcie cesarstwa traciło już w drugiej połowie XII wieku wiele ze swego uroku, a rzesze jego wyznawców przerzedzały się. Ponieważ jednak nie powstawało żadne nowe pojęcie o ustroju Europy, pojęcie dawne trzymało się siłą bezwładności, zastosowywane w praktyce już tylko na upozorowanie zachłanności niemieckiej względem Słowian. Najmocniej akcentowali zwierzchność cesarską tacy, którzy nie uznawali papieskiej. Cała ta teorja była już zwiędła i grubo sprofanowana — ale że nie było innej, a bez podstaw teoretycznych nie można było w wielu wypadkach dojść do ładu, więc uznawano ją w braku innej.

Scholastyka nowej teorji w tej dziedzinie nie wymyśliła, tylko próbowała dawną zreformować. Tomiści i skotyści wciągali nieraz w swe dociekania spór o wyższość władzy papieskiej czy cesarskiej. Można powiedzieć, że filozofowie ci dostarczyli tylko nowych oręży, nowych argumentów pro i contra, nie zmieniając niczego w rzeczy

samej. Osadzona lepiej spekulatywnie, dzięki św. Tomaszowi z Akwinu (1274), wykwita cała sprawa jeszcze raz wspaniałym kwiatem w arcydziele Dantego, młodszego w sam raz o jedno pokolenie (ur. 1265). Słusznie powiedział Klaczko, że to był „utopiste du passé".

Był jednak kraj, gdzie cała owa teorja nie stanowiła opóźnionej utopji, lecz była wielce aktualną, znajdującą nieustannie zastosowanie praktyczne: to Polska, mianowicie stosunki krzyżacko-polskie.

Zdajmyż sobie sprawę z tego, że duch Dantego byłby w tym sporze z całą stanowczością po stronie krzyżackiej. Broniłby ważności nadań cesarskich choćby do połowy Polski i całej Litwy.

To, co wypełniało najtęższe głowy Europy, zwracało się stanowczo przeciw Polsce. I w tem tkwi najgłębsze zagadnienie dziejów polskiego średniowiecza, a przedstawia się ono tak:

Polska garnęła się do cywilizacji zachodniej, czerpie stamtąd pojęcia o życiu i ustroju cywilizacyjnym, kształci się na nich — i przeciwi się im równocześnie, bo feudalizmu nie przyjmuje, a teorję imperjalizmu cesarza „rzymskiego" odrzuca. Wyrasta więc Polska na tej cywilizacji, lecz zachowuje się względem niej tak, że każdy mógł orzec, jako Polska znajduje się poza jej obrębem, że nie należy do „familji chrześcijańskiej" w znaczeniu polityczno-społecznem. W pojęciu rycerza burgundzkiego nie mogło być porządku społecznego bez feudalizmu i całej związanej z tem specjalnej kultury, a więc Polska była w jego oczach dziczą. Ludziom Zachodu wydawała się Polska nie tylko niezdatną do przyjęcia cywilizacji zachodniej, ale zasadniczym wrogiem tejże, skoro się odczepia od wszelkiego związku ze „świętem rzymskiem cesarstwem", a więc z jedyną znaną formą powszechności chrześcijańskiej.

Głęboko sięgało nieporozumienie, a musiało być oczywiście wzajemnem. To też kultura polska czyniła postępy na drodze wcale niegładkiej, zmagając się w największej

rozterce pojęć, która musiała być tragiczną u umysłów wyższych. Niektóre dziwne załamania w dziejach kultury naszej od XI do XV wieku mają źródło w tych przeciwieństwach i nieporozumieniach.

Nie zasymilowaliśmy się jak Czechy, gdzie rozwiązano kwestję w sposób najprostszy, wchodząc w skład cesarstwa i starając się wkońcu stanąć samym na jego czele. Kiedy czescy królowie bywają cesarzami, polscy najmocniej właśnie zarzekają się wszelkiego związku z systemem imperjalistycznym.

W rozterce poglądów na świat uczyniła się myśl polska najbardziej krytyczną z całej Europy, aż doszła do tego, iż przystąpiła do krytyki samychże założeń europejskiej teorji społeczno-państwowej i wytworzyła wkońcu swoje własne, polskie pojęcie dobra powszechnego, jako drugą z kolei teorję w zakresie de civitate Dei. Obejmuje ona samorząd, wolność obywatelską, unję.

Zanim do tego doszło, przecierpiano wiele; a potem? Potem bywało jeszcze gorzej, bo musiała nastąpić walka dwóch poglądów na ustrój państw i społeczeństw; walka młodszej cywilizacyjnie i słabszej materjalnie Polski z Zachodem, walka zaiste rozpaczliwa, nie rokująca zrazu powodzenia. To też czasem wyrzekano się tej walki.

Ostatecznie Polska zwyciężyła pod Grunwałdem i Wiłkomierzem (1410, 1435). W walce dwóch idei nie miecz rozstrzygnął, miecz był tylko środkiem pomocniczym do ostatniego ciosu.

Bitwy grunwałdzkiej nie można traktować epizodycznie, wyrywając z całości „wielkiej wojny". Pokonanie Zakonu nie było dziełem kilku miesięcy, boć owa wojna trwała lat całych 30; zaczęła się już w r. 1406, a skończyła się pokojem brzeskim dopiero 31 grudnia 1435 r. Całe pokolenie! Były jednak ciągłe przerwy, rozejmy a nawet zawierano pokoje w ciągu tych lat 30, i przez to ogół zatracił wątek pragmatyczny wydarzeń, stanowiących razem jedno zjawisko dziejowe. Są one związa-

ne z sobą ściśle nie tylko przyczynowo, ale, co ważniejsza, w świadomości współczesnych celowo, z programem określonym z obu stron tak ściśle i jasno, jak rzadko kiedy w historji powszechnej.

Przerwy owe były zresztą względne, bo tyczyły tylko polsko-pruskiego placu boju. Wojna miała zaś zakres i politycznie i terytorjalnie znacznie szerszy. Obejmowała nie tylko Polskę, Litwę, Białoruś, Prusy i Inflanty, ale też pograniczne kraje niemieckie, Czechy i Węgry, zahaczając pośrednio o Moskwę i Tatarów, wciągając całą Rzeszę Niemiecką, wywołując rozmaite nowe kombinacje polityczne aż do Francji i Włoch. Podczas przerwy najdłuższej, po pokoju nad jeziorem melneńskiem, wrzała wojna w najlepsze na terenie czeskim, gdzie chodziło o to samo, chociaż innemi metodami. Podczas t. zw. buntu Świdrygiełły osaczono Polskę z kilku stron, a Polska wzajemnie pobudzała do wojny wszystkie ościenne ludy przeciwko popierającym Zakon monarchom. Kiedy walne zwycięstwo pod Wiłkomierzem, odniesione d. 1 września 1435 (stawiane przez współczesnych narówni z grunwałdzkiem) zmusiło Krzyżaków do zawarcia pokoju brzeskiego, drugiego „wieczystego po kaliskim" przerwa pomiędzy wojną „wielką", a „trzynastoletnią" wynosiła tylko 19 lat (1454 — 1466). Ta nowa wojna toczy się już z pomocą własnych poddanych Zakonu, zbuntowanych przez Polaków.

Przewlekającym się przez 60 lat bojom dwóch pokoleń towarzyszy istna rewolucja pojęć:

Podczas gdy inne narody słowiańskie poprzestawały na asymilowaniu się z kulturą zachodnią lub bizantyńską, pomnażając chrześcijaństwo i cywilizację tylko kwantytatywnie, jedna Polska pomnażała je kwalitatywnie. W niej jednej był duch inny, niż w Paryżu lub w Kolonji; było coś swoistego. Pod Grunwałdem starły się pojęcia zachodnio-europejskie, feudalistyczno-imperjalistyczne z pojęciami polskiemi, które były zarazem jedynemi oryginalnemi Słowian, tak że Polska była w r. 1410

pod względem duchowym istotnie całą Słowiańszczyzną.

Macierzyńskiem łożem była dla Polski szkoła cywilizacji zachodniej, przez którą przejść musiała. Sprawa polska stawała po wielekroć wpoprzek europejskim zapatrywaniom na prawo narodów. Spotkano się z czemś nowem, niepojętem wprost dla zachodniej Europy. Sprawa nasza nie dawała się wciągnąć do teorji imperjalistycznej. Stosunki faktyczne były tego rodzaju, iż teorja ta, stosowana do spraw polskich, stawała się absurdem, spaczeniem, ohydnem nieraz wykoszlawieniem tkwiącej w niej pierwotnie myśli i mającej jej przyświecać zasady chrześcijańskiej. Ale o tem wiedzieli tylko tacy, którzy stosunki te badali i poznali bliżej, a takich było niewielu na Zachodzie. A chociaż ten i ów czuł, że po naszej stronie słuszność, a nie po krzyżackiej, żałował, że p r a w o jest przeciwko nam; ale czyż zarzucać prawo dlatego, że w wyjątkowym jakim wypadku ono niedomaga?

Dlatego to w sporze Polski z Krzyżakami sympatje Europy były stale po stronie Zakonu. Była to walka Polski nie tylko z Krzyżakiem, lecz z Europą. Nie tylko bowiem Niemcy wspierali Zakon, ale i Czesi (król Otokar II założycielem Królewca), Francuzi, Anglicy, Szkoci. Pomóc Krzyżakom, to najwyższa zasługa; zdobyć pod ich poręką ostrogi, najwyższy honor; zapisać mienie na fundację dla nich, to z dobrych uczynków najlepszy i najtrafniejszy!

Polskie dążenia i postępowanie stanowiły łamigłówkę dla ludzi Zachodu. To też pamflety na Polskę znajdowały długo chętny posłuch i wdzięcznych słuchaczy nie tylko w Niemczech, lecz wszędzie na Zachodzie z wyjątkiem jedynie środkowych Włoch.

Ale co gorsza, my sami sobie poczynaliśmy być zagadką. Przyjmując z Zachodu cywilizację, czerpaliśmy też stamtąd wiedzę i jej kwiat: teorje naukowe. Teorje te były jednak dla nas zabójcze. Znać też w dziejach rozwoju naszego istne męki ducha polskiego, rwącego się do światła. Na tych torturach moralnych, wśród walki pomię-

dzy miłością światła i prawdy, a miłością narodu, mógł się złamać duch narodu i wejść pomiędzy narody europejskie jako coś połowicznego, nijakiego i okaleczonego duchowo, niedomagającego wiecznie, a pod względem kulturalnym rzeczywiście niższego.

Tylko wynalezienie nowej formy dla cywilizacji zachodniej, tylko jakaś polska a pozytywna teorja mogła wykształcić nas na naród w całem znaczeniu tego wyrazu, pogodzić z samymi sobą i uczynić zdatnymi do twórczej pracy cywilizacyjnej, do prawdziwych czynów dziejowych.

Owo zmaganie się ducha polskiego było tedy zarazem walką z Zachodem. Jak zaznaczyłem powyżej, Włochy nie należały jednak do zwartego europejskiego obozu antypolskiego.

W spisach rycerzy, spieszących nad Bałtyk przeciw Polsce i Litwie, po honor i zasługę, brak nazwisk włoskich. Niełatwo było z Włoch tam się dostać, aleć nie trudniej niż ze Szkocji. Północno-włoskie księstwa i republiki nie wysyłają do Malborka ani ludzi, ani pieniędzy, ale możnaby to wyjaśnić tem, że nie zajmowały ich wówczas te północne sprawy. Natomiast Włochy środkowe interesują się tem żywo, boć tam Rzym, centrum świata, najwyższa duchowna instancja Zakonu i główne ognisko apostolstwa, a wszakże chodziło o walkę z poganami, o nawrócenie Litwy.

Watykan bywał częściej przeciw Zakonowi niż za nim. Gdyby nie pomoc papieży i soborów, nie bylibyśmy rozwiązali zagadnienia naszego stosunku do cywilizacji zachodniej.

Bo też tylko papiestwo mogło dopuścić do uprawnienia nowej formy społeczno-państwowej dla tej cywilizacji, czy też, w obrębie jej, form dotychczasowych obok innych. Papiestwo tylko było powołanym interpretatorem prawa obowiązującego całą katolicką Europę. Gdy teorja cesarstwa „rzymskiego“ obracała się na złe, mógł zrobić w niej wyłom, zawiesić ją dla sumień chrześcijańskich tylko

prawny następca tego, który koronował cesarzy. Wszak papiestwo udzieliło sankcji teorji cesarstwa w imię chrześcijańskiego porządku w Europie; ono też tylko mogło dać sankcję, lub odmówić jej teorji innej.

Niema tu nic do rzeczy, że papieże bywali w sporach z cesarzami, że mieli do walczenia sami z teorją wyższości władzy cesarskiej nad papieską. Nam tu chodzi o stan rzeczy moralnie obowiązujący, a ten walor posiadała teorja cesarstwa w zastosowaniu do sporu krzyżacko-polskiego najzupełniej, bo w tym wypadku ingerencja cesarska posiadała wszelkie cechy b r a c c h i i s a e c u l a r i s, służącego Kościołowi, a więc zgodną była z czystą teorją dwoistości najwyższej w chrześcijaństwie władzy.

Krzyżacy powoływali się na darowizny cesarzów i na to, że z i e m i a p o g a ń s k a j e s t z i e m i ą n i c z y j ą. Wywody o cesarskich nadaniach były pod względem prawniczym nienaganne i zupełnie logiczne dla każdego, kto przyjmował założenie, t. j. zwierzchność cesarską nad państwami chrześcijańskiemi, a władzę nieograniczoną nad pogańskiemi krajami, jako nie posiadającemi właściwego pana. R e ş n u l l i u s!

A jednak zakon był kilka razy pod klątwą i to nie tylko o Polskę, lecz i o pogańską Litwę! Tu się okazuje w całej pełni, czem był Kościół, jako kierownik sumienia zbiorowego, jako interpretator najogólniejszych praw, interpretator zbiorowego Dobra i Zła. A zarazem odkrywa się istota różnicy pomiędzy bizantynizmem a latynizmem, którego najwyższa instancja, Stolica Apostolska, celowała brakiem ślepego przywiązania do formy, gotowa ją zawsze poświęcić dla ocalenia treści.

Siłą bezwładności rozwijała się dalej popularność Zakonu w krajach dalekich od papiestwa, gdy w Rzymie obkładano go już klątwą. Schizma papieska ogromnie też pomagała Krzyżakom, skoro na papieża można było mieć zawsze antypapę. Wśród takich okoliczności pozostał Zakon, „poświęcający się nawracaniu pogan“,

w opinji olbrzymiej większości Europy „źrenicą w oku chrześcijaństwa".

Gdy dwie armje zmierzały pod Grunwałd, sympatje Europy były nie po naszej stronie. W armji krzyżackiej dopatrywano się obrońców Krzyża i chrześcijańskiego ładu w Europie; tem bardziej, że pamflety krzyżackie, rozrzucone po całym świecie, robiły swoje.

Zakon odgrywał największą komedję, jaką widziały kiedykolwiek dzieje. Jak bowiem miała się naprawdę rzecz z ową „źrenicą", poznamy, przerzuciwszy się na chwilę na grunt ekonomiczny.

Była to bowiem zarazem walka ekonomiczna, prowadzona o prowincję, posiadającą nadzwyczajną doniosłość w ówczesnych szlakach handlu powszechnego. Z polskiej strony prowadzono ją w imieniu całego społeczeństwa, potrzebującego spławu i dostępu do morza; z niemieckiej atoli strony w interesie jednego tylko stanu. Szlachta i miasta pruskie były w tej walce po stronie polskiej (już w r. 1410), bo interesy ekonomiczne wiązały ich z Polską. Panowanie krzyżackie było więc tam niekorzystne dla rozwoju rolnictwa, handlu i przemysłu, skoro sami przedstawiciele tych zawodów pragnęli gorąco pozbyć się Zakonu. Nie reprezentowali tedy Krzyżacy nad Bałtykiem niczyjego interesu ekonomicznego jak tylko swój własny.

Czemżeż byli oni pod względem ekonomiczno-społecznym? Cała odpowiedź w tych słowach: młodszymi synami szlachty niemieckiej. Zakon stał się instytucją zapomogową dla tego stanu, mającą chronić fortuny szlacheckie w Niemczech nie tylko od rozdrobnienia, ale wzmacniać je finansowo. „Rycerz" taki nie tylko nie potrzebował niczego od rodziny, ale sam mógł jej dawać i podnieść ją na nowo. Sami przyznawali bez ogródki, że sprawa tak się ma, i nazywali rzecz po imieniu, gdy byli sami pomiędzy sobą. Do Flandrji, Francji, do Anglji pisało się: „Ratujcie chrześcijaństwo!" ale odezwy przeznaczone dla krajów niemieckich nie odgrywały tej komedji,

lecz wołały jasno i poprostu: „Ratujcie szpital szlachty niemieckiej!“ (Oznaczał zaś wyraz: „szpital“ wówczas schronisko dla pielgrzymów, zakład dobroczynny z bezpłatnem utrzymaniem).

Ze stanowiska ekonomicznego byli ci „rycerze“ wyzyskiwaczami i pasorzytami warstw produkcyjnych, nad któremi panowali wbrew ich woli, przemocą. Ten sposób załatwiania swej walki o byt mieli już we krwi, w tradycji: wszak byli potomkami „rycerzy-rabusiów“. Istota państwa krzyżackiego polegała na tem, że zajęcie rycerza-rabusia zorganizowało się na wielką skalę, korporacyjnie.

Polacy walczyli o Pomorze w imię pracy i wytwórczości, Niemcy w imię pasorzytnictwa. Ale opinja europejska było po stronie krzyżackiej jako „źrenicy w oku chrześcijaństwa“.

Opinję tę trzeba było przerobić, bo dopóki wierzono Krzyżakom, nie mogło im zabraknąć środków materjalnych do gnębienia Polski, tylekroć od nich słabszej; gdyby im jednak Europa przestała dostarczać środków, stosunek sił zmieniłby się szybko.

Uderzono w samą zasadę, na której opierały się uroszczenia Zakonu, mianowicie w teorję cesarstwa i w teorję o prawnej niższości pogan.

Odsunięcie się Kościoła od teorji imperjalizmu chrześcijańskiego nie mogło nastąpić nagle. Nie rozbija się naprędce formy, która okazywała się stosowną dla tylu krain przez szereg pokoleń. Choćby się nawet godzono już, że forma wiedzie do nadużyć, wymagało to jeszcze pracy pokoleń, zanimby potępiono samą zasadę cesarstwa „rzymskiego“. Odsuwanie się Kościoła od zasady imperjalistycznej w sporze polsko-krzyżackim zaczęło się (o ile w takich rzeczach można dawać ścisłe daty) w r. 1320, podczas pierwszego procesu kanonicznego przeciw Zakonowi, a dokonało się dopiero w r. 1424, kiedy to papież Marcin V potępił ostatecznie Falkenberga za jego pamflet przeciwko Jagielle.

Papież wezwał obie strony walczące przed forum soborowe. Jasną bowiem było rzeczą, że bitwa grunwałdzka nie kończy wojny (jakoż wybuchła na nowo już 1414 r., poczem rozejm, przedłużany do r. 1419 i znowu wojna, znów rozejm i t. d.), zwłaszcza, że rezultat był dla Polski nikły, bo odzyskano ledwie ziemię dobrzyńską.

Wiedzieli Polacy, że w Konstancji na soborze dużo znaczy i wiele może cesarz Zygmunt Luksemburczyk, największy wróg Polski; wiedzieli, że na soborze mnóstwo biskupów, prałatów i uczonych sympatyzuje z Zakonem; wiedząc to, pojechali. Przechodzili tam nieraz chwile nadzwyczaj przykre, sytuacje najcięższe; zostali jednakże, wytrwali całe trzy lata i dzięki temu nakoniec wygrali sprawę.

Wieźli z sobą broń nowo wynalezioną, która wprawiła w zdumienie, a raczej w osłupienie, częściowo w oburzenie, ojców soborowych i zgromadzony w Konstancji kwiat inteligencji europejskiej, zwłaszcza prawników. Prawo polskie występowało po raz pierwszy wobec forum europejskiego. Nadmieńmy tu, że sprawy polskiej broniło w Konstancji ośmiu prawników włoskich. Odbywał się wielki europejski turniej prawniczy.

Delegaci polscy wieźli z sobą uczony traktat scholastyczny: De potestate papae et imperatoris respectu infidelium. Autorem był Paweł Włodkowic z Brudzewa, doktor dekretów, rektor uniwersytetu krakowskiego, kanonik i kustosz katedralny krakowski, genjusz, godzien, by go stawiać, jako odkrywcę, obok Kopernika, byśmy go czcili i szczycili się nim narówni z tamtym.

Dokonał on dwóch odkryć:

1) że względem pogan obowiązują te same prawa, jak względem chrześcijan;

2) że nie wolno narzucać wiary przemocą.

Z tych dwóch tez wynikała już konsekwentnie ruina teorji cesarstwa i związanej z nią racji bytu Zakonu.

Twierdzenia Brudzewskiego, tak proste dziś dla nas, a spotykane i w poprzednich epokach, były na owe czasy rewolucyjnemi. Rozbijały one pośrednio formę ustroju europejskiego, co też miało się jawnie okazać niebawem.

Strona przeciwna akcentowała tem bardziej zasadę cesarstwa i wysnuwała z niej jak najdalsze konsekwencje. Dominikanin niemiecki, Falkenberg, głosił w r. 1416, że nie może być większej zasługi wobec chrześcijaństwa niż walczyć z Polakami; dla obrony porządku chrześcijańskiego wolno bez grzechu zabić każdego Polaka, dostojnikom zaś polskim i królowi Władysławowi Jagielle należą się szubienice. Takich rzeczy nasłuchali się polscy delegaci w Konstancji i — zostali, nie myśląc ustępować miejsca nieprzyjaciołom.

Brudzewski zadał Krzyżakom klęskę cięższą niż Witołd i Zyndram z Maszkowic. Ludzie dobrej woli poczęli odtąd opuszczać sprawę Zakonu i odtąd mógł on się trzymać już tylko siłami tych, którym wzajemnie był „szpitalem". Zaczęły wysychać źródła, z których płynęły opieka i wsparcia całej zachodniej Europy. Zachód był odtąd neutralnym w dalszych wojnach krzyżacko-polskich.

Paweł Brudzewski podciął rację istnienia Zakonu względem Litwy, podawszy w wątpliwość wojenne nawracanie; obracał też wniwecz cesarskie nadania na Litwie, przecząc, jakoby ziemia pogańska, jako niczyja, mogła stanowić przedmiot darowizny. Ale to wszystko było dopiero teorją, a przytem pozostawały jeszcze nadużycia Zakonu względem Polski, o których również gęsto była mowa na soborze, ale słowa miały służyć tylko dla usprawiedliwienia czynów, które tem bardziej musiały teraz nastąpić.

Do pokonania Krzyżaków trzeba było czegoś więcej, niż życzliwej neutralności dalekich widzów; trzeba było sojuszów z ościennymi. Położenie było pod tym względem fatalne; wszak w Czechach i na Węgrzech panował Zygmunt Luksemburczyk. Węgierska wyprawa na

Kraków wpłynęła na przyspieszony odwrót z Prus po zwycięstwach grunwałdzkiem i koronowskiem.

Zabrano się do propagandy na wielką skalę, do agitacji energicznej, a według ówczesnych pojęć zachodnich wielce rewolucyjnej. Niebawem wypowiedzieli Czesi posłuszeństwo Luksemburczykowi, a w kwietniu 1420 przybyło do Krakowa pierwsze poselstwo czeskie, ofiarujące koronę Jagielle. Podobnych poselstw miało być więcej.

Ruch narodowy w Czechach wyzyskano do wspólnej wojny „z całą nacją niemiecką", jak się wyrażano, rozumiejąc przez to wojnę z systemem cesarstwa niemieckiego. Nic to, że oni husyci! Skutkiem tego nie można było przyjąć ofiarowanej przez nich korony, ale posiłki wojenne przeciw wspólnemu wrogowi przyjmowano, i czeskie „Sierotki" zapędziły się aż na Litwę w służbie polskiej. Wiadomo, że do pomyślnego rozstrzygnięcia drugiej części „wielkiej wojny" przyczynili się husyci w znacznej części. Urządzane na husytów krucjaty nie miały znaczenia dla umysłów polskich, bo sprzeciwiały się zasadzie, ujętej przez Brudzewskiego krótko i poprostu: Fides ex necessitate esse non debet. Nie wolno tedy wymuszać niczego przemocą na husytach pod pozorem religijnych względów.

Pomagali nam Czesi wbrew królowi swemu Zygmuntowi Luksemburczykowi. Korzystaliśmy z pomocy „buntowników!" Nie koniec na tem. Z całą świadomością buntowaliśmy poddanych przeciwko ich rządom. Można wskazać ze źródeł po imieniu wysłanników (agitatorów), buntujących Węgrów przeciw Zygmuntowi, a stany pruskie przeciw Zakonowi. Otrzymali tu i tam zapewnienia, że stany będą przeszkadzały z całych sił wypowiedzeniu wojny Polsce.

Ale posunięto się jeszcze dalej. Kiedy w r. 1433 układano się o pokój, podano z polskiej strony dwa warunki, iście rewolucyjne na owe czasy. Ani papieska, ani cesarska władza nie mają odtąd mieć znaczenia w sprawach

między Polską a Zakonem; natomiast pokój ma być poręczony przez stany państw obydwóch.

Było to oddawaniem rządu pod kontrolę obywateli, żeby Krzyżacy przyznali swym poddanym wpływ na sprawy wojny i pokoju, żeby bez ich zgody nie można już było wypowiadać wojny.

Warunek ten, podany ze strony polskiej całkiem poważnie, wywołał oburzenie w zachodniej Europie, gdzie z prawa feudalnego wyrobiło się konsekwentnie prawo dynastyczne i dynastyczne poczucie, obce całkiem Polakom. W nowej polskiej teorji państwowej dopatrywano się porzucenia cywilizacji, wywrócenia wszelkiego ładu. Jako żywo nie słyszano o prawach ludów, znało się tylko prawa królów! Rozprawiano o polskich wymysłach z wielkiem ubolewaniem na soborze bazylejskim. Cesarz, Zakon i Świdrygiełło domagali się, żeby Jagielle wytoczyć proces kanoniczny. W Niemczech cesarz i książęta oświadczyli, że wyprą się Zakonu, jeżeli przystanie na tak horendalny warunek, burzący wszelki ład w ustroju europejskim.

Odrzucił go też Zakon i chciał zabrać się na nowo do wojny, ale natenczas stany pogroziły, że poszukają sobie innego pana, który pokój zabezpieczy. I musiał wielki mistrz zawrzeć przynajmniej rozejm 12-letni, przyczem wyraźnie zastrzeżono, że gdyby go nie dotrzymał, poddani mają prawo wypowiedzieć mu posłuszeństwo.

Tak się zaczął nowy okres pojmowania stosunku obywateli do władcy państwa; tak wyrabiały się nowe pojęcia prawa publicznego na tle stosunku Polski do Europy. Sprawa przechodziła szybko z uczonych traktatów do praktyki.

Ówczesna Polska sprawiała Europie raz wraz niespodzianki. Dnia 15 października 1432 przeprowadził biskup Oleśnicki, sternik nawy państwowej polskiej, równouprawnienie schizmatyków. Prosta konsekwencja tezy Brudzewskiego, podczas gdy na Zachodzie uważano prze-

śladowanie „pogan i schizmatyków" za obowiązek rządu. Skutek równouprawnienia był cudowny; całe powiaty wyrzekały się Świdrygiełły. Dzięki temu i sojuszowi z husytami można było ukończyć „wielką wojnę", zwłaszcza, że Zygmunt Luksemburczyk, chociaż panował na Węgrzech, nie śmiał już urządzać stamtąd drugiej wyprawy na Kraków; bo stany węgierskie zawarły poza jego plecami przymierze ze stanami polskiemi.

Wygraliśmy więc „wielką wojnę" nie samym orężem. Wygraliśmy dzięki temu, żeśmy nie wyrzekając się ani katolicyzmu, ani nawet uprawianej jak najgorliwiej propagandy katolickiej, nie byli jednak wrogiem nikomu o to, że był innej wiary, husyckiej czy schizmatyckiej; dzięki temu, żeśmy na miejsce poddaństwa państwowego wstawili pojęcie obywatelstwa; żeśmy głosili zasadę, że nie społeczeństwo ma służyć tronowi, lecz tron społeczeństwu i pozyskaliśmy dla tej zasady ludy ościenne; dzięki temu, że burząc imperjalizm średniowieczny, podnieśliśmy sztandar równouprawnienia i wolnej decyzji narodów, bez względu na wyznanie. Każdy naród ma stanowić o sobie, o swej polityce, o wojnie i pokoju, nie pytając nikogo, bo niema nad wolą jego żadnej zwierzchności; jego stany są same zwierzchnością i posiadają moc rozstrzygającą. Dzisiejszym językiem nazywa się to prawem samostanowienia i suwerennością reprezentacji narodowej.

Prawa te przysługują nie pewnym tylko narodom, lecz wszystkim; nie zawisły te prawa od żadnych warunków (np. od wyznania, a choćby od chrztu), ale należą się każdemu społeczeństwu zorganizowanemu państwowo (językiem średniowiecznym każdej „natio") przez to samo, że ono istnieje, z samego przyrodzenia rzeczy. Można śmiało mówić o ustanawianiu przez Polaków prawa naturalnego.

Utworzyliśmy tedy nowe podstawy stosunku naszego do Europy, wzbogacając cywilizację łacińską nową teorją stosunków międzynarodowych i dobra powszechnego.

Należałoby ją zwać teorją Pawła Brudzewskiego, gdyż on niewątpliwym jej ojcem. I rośliśmy odtąd stale, dopóki pozostaliśmy wierni teorji Brudzewskiego.

Możnaby określić powyższe wywody, jako „teorję Grunwałdu", którą podano tu w najogólniejszym szkicu, gdyż wyjaśnia, jaką olbrzymią praktyczną doniosłość posiada teorja w sprawach wielkich, a wykazuje, jakie pojęcia przyczyniły się do wygrania „wielkiej wojny". Logos torował tu drogę Ethosowi — do czego wrócimy jeszcze w osobnym rozdziale.

3. Stosunek do zachodnich form państwowych.

Na kryterjum cywilizacji nadaje się doskonale państwowość, tj. pojęcia państwowe i sposób ich praktykowania. Państwo jest sumą materjalnych i moralnych stron twórczości ludzkiej, łączących się w dziedzinie państwowości, i dlatego też w żadnej innej dziedzinie nie można badać cywilizacji równie wszechstronnie.

Państwowość polska, której główne cechy, zalety i wady rozpatrywaliśmy w rozdziale o zdatności politycznej, stanowiła swoisty wytwór ducha polskiego, a geneza jej w opozycji przeciw państwowości zachodnio-europejskiej, z zachowaniem jednakowoż ogólnej łączności cywilizacyjnej z Zachodem. Stosunek nasz do Europy możnaby pod tym względem określić słowy, że była to opozycja uzupełniająca; jakoż rzeczywiście pomysłowość polska uzupełniała cywilizację Zachodu, wytwarzając w jej łonie nową kulturę. Nigdy, przez cały przeciąg dziejów polskich, nie było w Polsce opozycji negującej cywilizację Zachodu.

Żadne a żadne ze społeczeństw europejskich wieków XV – XVII nie posiadało takiej siły promieniowania ideowego, jak Polska. Dopiero w połowie XVII wieku rozwinęło się na większą skalę promieniowanie Francji na całą Europę. Przedtem Włochy przenikały do wszyst-

kich społeczeństw europejskich, lecz tylko artystycznie i naukowo, tylko w zakresie kultury umysłowej. Państwowe pojęcia humanistyczne wyrobiły się na północy Alp. Od legizmu starsze jest promieniowanie polskości na ościennych w formach politycznych samorządu, unji i sejmowania. W wieku XV niema w całej Europie przykładu politycznego udzielania się idei innym krajom, jak tylko w Polsce; a wszakże już po koniec XIV promieniowania tego początek (w stosunku do Litwy), a gdyby chcieć być zupełnie ścisłym, należałoby powołać się na prośbę Prusów, tępionych przez Krzyżaków, by im nadane było prawo polskie, co działo się w roku 1249. Stanowczo Polska pierwsza roztaczała swą twórczość polityczną dokoła siebie, dostarczając pierwszego w dziejach Europy przykładu promieniowania.

Niewszystko, co odmienne od zachodniego, było oryginalne i lepsze. W późniejszych zwłaszcza czasach nie brak było odmienności, której źródło w niższości tkwiło. Zachodzą jednakże i podobieństwa takie, które przyczyniły się następnie do upadku ustroju państwowego. Czyż wszystko na Zachodzie dobrem było? Czy np. szlachetczyzna polską była specjalnością?

Hegemonia szlachty występuje w Polsce mniej jaskrawo, skoro mieszczaństwo nie przedstawiało w społeczeństwie siły ni ekonomicznej, ni intelektualnej. Wybitniej o wiele zaznacza się szlachetczyzna na Zachodzie, skoro tam uciskała szlachta żywioł miejski pomimo jego bogactw i inteligencji. Bo też inną zupełnie drogą niż w Polsce wybujała na Zachodzie wszechwładza szlachecka, w co tu już bliżej wchodzić nie możemy.

W państwie średniowiecznem stanowem miasta były reprezentowane, lecz Polska nigdy państwa stanowego nie tworzyła. Nasze wiece, zjazdy, sejmiki, sejmy nie reprezentowały „stanów", tj. korporacyj politycznych, ale składały się z reprezentacyj pewnych obszarów geograficznych, pewnych części kraju, a w łonie jednego tylko „stanu". Mieszczaństwo zaś polskie nigdy nie wy-

tworzyło z siebie „stanu“ w zachodniem rozumieniu tego wyrazu, bo miasta polskie nigdy nie organizowały się w żadne związki, nie zaznaczały nigdy swych interesów wspólnych; każde z nich żyło oddzielnie, izolowane od innych miast.

Ani też duchowieństwo polskie nie było nigdy „stanem“ politycznym i nie wchodziło w ustrój państwowy „stanowo“; biskupów zaliczono tylko do stanu senatorskiego, narówni z wojewodami, ale nie reprezentowali oni w senacie nigdy Kościoła oficjalnie, z urzędu (chociaż faktycznie mogli go reprezentować nieraz), bo ustrój państwowy polski nie wymagał zgoła takiej reprezentacji. Jedyną urzędową reprezentacją Kościoła polskiego pozostał zawsze synod prowincjonalny, a ten nie wybierał delegatów do sejmu; wogóle Kościół nasz nie był nigdy zorganizowany do życia politycznego.

Mylnem jest więc wszelkie tłumaczenie dziejów Polski jakoby przedłużonego w czasie państwa stanowego.

Podobieństwo zachodzi w tem, że jak w państwach stanowych, podobnież i w Polsce ograniczoną była władza królewska, czyli, że społeczeństwo posiadało prawo udziału w rządach państwem. Na Zachodzie nastąpiło wraz z centralizacją „złamanie przywilejów stanowych“, jak eufemicznie zowie się zaprowadzenie dynastycznego wszechwładztwa, podczas gdy w Polsce ograniczano monarchję coraz bardziej. Parlamenty angielskie, stany generalne francuskie, hiszpańskie kortezy, landtagi niemieckie obradowały na zasadzie ograniczenia władzy monarszej, ale w czasach nowożytnych traciły na znaczeniu, aż zaginęła nawet tradycja ich kompetencji, podczas gdy w Polsce kompetencja sejmu wzrastała.

„Polskę wyróżnia od innych państw Europy kontynentalnej, nadaje znamienną cechę jej państwowości nie to, iż ona także miała sejmy, które obok władcy stawały jako czynnik uprawniony do udziału w rządach, lecz fakt, iż poza Anglją, a jako jedyne państwo na kontynencie Europy, potrafiła Polska te prawa i sejmy obronić, utrzy-

mać w całej pełni i sile przez cały czas swojego państwowego bytu".

Jedną z przyczyn tej różnicy nieznaczność legizmu. Nie, żeby go całkiem miało nie być, ale nie uzyskał nigdy znaczenia rozstrzygającego w państwie; pozostał środkiem pomocniczym przy kodyfikacjach (czem był już za Kazimierza Wielkiego) i doradcą w kwestjach wątpliwych, lecz tylko doradcą; legizm polski nie próbował nawet recepcji prawa rzymskiego, chociaż powoływanie się na starożytnych miał szlachcic polski ciągle na ustach. Charakter doradczy legizmu odzywa się jeszcze i w XVII wieku, ale ani w XV, ni w XVI stuleciu nikt z polskich prawników lub statystów nim się nie krępował. Na Zachodzie były szkoły legistów, z własną dogmatyką prawniczą, z apriorycznem uznaniem za dobre i wskazane wszystkiego, cokolwiek wskaże „ratio scripta". Można bez przesady powiedzieć, jako prawo popadło na Zachodzie w okres naśladownictwa niemal biernego prawa rzymskiego, czy zaś naśladownictwo to posunęło kulturę tych społeczeństw czy też ją cofnęło, o tem możnaby dyskutować całemi tomami. Fakt zaś, żeśmy zachowali wobec prawa rzymskiego swą oryginalność, świadczy o mocnem w XV i XVI wieku podłożu społecznem pod państwową budową. Godne to uwagi tem bardziej, że podłoże owo niemal wyłącznie od jednej pochodziło warstwy społecznej.

Zwracałem już uwagę, jak w Polsce twórczość polityczna starsza jest od artystycznej i naukowej. Tem większą celuje samodzielnością.

Nie miał skąd czerpać wzorów Jan Ostroróg (1438 do 1501), który w swem Monumentum pro reipublicae ordinatione, pisanem około r. 1477 uważa za podstawy państwowości pełny skarb, ale pełny z dobrego gospodarstwa, nie ze zdzierstwa, i... powszechną służbę wojskową. Tamten pierwszy warunek znajdzie się późniejiu Macchiavella, który liczył ośm lat wieku, gdy pisanem było Monumentum, ale ten dru-

gi warunek zjawi się aż dopiero podczas wielkiej rewolucji.

Andrzej Frycz Modrzewski (1503—1572) przerasta wszystkich współczesnych w całej Europie rzuceniem pomysłu równości wobec prawa. Jaki tu zachodzi stosunek myśli polskiej do Europy, poznać łacno z zestawienia Frycza z francuskim Janem Bodinem († 1596), największą chlubą francuskich nauk politycznych humanistycznego okresu, a któremu dzieło Modrzewskiego było znane.

„Bodin mało korzystał z myśli, rozwiniętych w „Poprawie Rzplitej". Frycz jako pisarz polityczny nie mógł mu być sympatyczny, gdyż z jednej strony za mało akcentował potrzebę silnej władzy królewskiej, z drugiej zaś krytykował przywileje szlachty i zbyt gorąco ujmował się za losem chłopów i wogóle plebejuszów; ta dążność do sprawiedliwości społecznej, która w oczach spółczesnych stanowi najpiękniejszy tytuł do sławy Frycza, w oczach Bodina, mało wrażliwego na krzywdy społeczne, a niechętnego pospólstwu, nabierała rysów prawie że rewolucyjnych. Nie od rzeczy podkreślić dziś to przeciwieństwo między obydwoma pisarzami, stanowiącymi aż po połowę XVIII wieku chlubę obydwóch narodów w dziedzinie ideologji politycznej: myśliciel Polski, okrzyczanej niebawem jako kraj najbardziej reakcyjny, walczy już w połowie XVI w. z całym zasobem wiedzy i zapału o równouprawnienie wszystkich mieszkańców państwa wobec prawa, gdy najwybitniejszy teoretyk polityczny Zachodu postulat ten odrzuca jako szczyt niedorzeczności. To pogardliwe „n i h i l a b s u r d i u s s c r i b i p o t u i t", wyrzeczone przez Bodina o Fryczu, musi być w pewnej mierze poczytane za miarę dalekowzroczności myśli jednego i drugiego pisarza".[1])

Państwowość polska stanowiła łamigłówkę dla statystów zachodnich. Pisarze polityczni zachodniej Euro-

[1]) Dr. Stanisław Kot: Rzeczpospolita Polska w literaturze politycznej Zachodu. Kraków 1919, str. 65.

py próbowali określić systemat państwowy polski według znanych sobie kategoryj i nigdy nie zdołali trafić z tem do ładu. Przez cały wiek XVI i XVII łamano sobie głowę we Francji i Włoszech nad tem, czy państwo polskie jest monarchia temperata, czy governo popolare, arystokracją, czy królestwem, czy też republiką. Każdy autor inaczej tę rzecz rozstrzyga; widocznie państwo polskie nie należało do żadnego z rodzajów znanych dotychczas zachodnim teorjom państwowym. Niestety, zanim się z niem zaznajomiono dokładniej, ujemne strony wychodziły coraz bardziej na plan pierwszy.

4. Obrona kultury zachodniej.

Stosunek nasz dziejowy do Europy określono już dawno przydomkiem „przedmurza". Staliśmy na ciężkim posterunku w obronie cywilizacji zachodniej. Jednakże nie dotrwaliśmy na posterunku skutecznie do końca...

Żadną miarą nie można snuć wniosków niekorzystnych dla naszej wartości kulturalnej z tego, żeśmy ulegli Rosji, społeczeństwu o kulturze tyle niższej. Przy normalnem współzawodnictwie pokojowem odnosi zawsze przewagę kultura wyższa, ale przy orężnem niższa może zadać gwałt wyższej. Walka nasza z Rosją była i jest zawsze i niezmiennie walką o cywilizację, walką w obronie cywilizacji łacińskiej.

Wszelkie podkopywanie siły naszej na kresach było i jest osłabianiem cywilizacji zachodnio-europejskiej. „Wszystko, co czyniła szabla polska dla całości granic Rzplitej, działo się w interesie realizacji ideałów zachodnich, i ktokolwiek podkopywał siłę naszą na kresach, ten osłabiał tam kulturę zachodnią".

A to dotyczy nie tylko walk z Moskwą. „Broniliśmy cywilizacji nie tylko pod Orszą, Kłuszynem, Cudnowem, ale również broniliśmy jej pod Grunwaldem i pod Wiłkomierzem, pod Kirchholmem i Częstochową. Naodwrót

też, nie mogło być większej zbrodni przeciwko kulturze zachodniej, niż ów akt troisty z r. 1772, 1793 i 1795, który cofnął granice tej ostatniej z nad Dniepru i Dźwiny nad Bug i Narew".

Broniliśmy na wszystkich naszych pobojowiskach ideału wolności politycznej, swobód obywatelskich przeciwko despotyzmom; a nadto broniliśmy przeciw islamowi wiary Chrystusowej. Tak stawaliśmy w obronie dwóch „zdobyczy wszechludzkich".

Inocenty XI. pisał w r. 1678 o Polsce, jako jest p r a e v a l i d u m a c i l l u s t r e c h r i s t i a n a e r e i p u b l i c a e p r o p u g n a c u l u m. „Ale nasza służba na posterunku kresowym datuje się znacznie wcześniej i dostarcza treści nie na jedną, lecz na dwie olbrzymie epopeje dziejowe". Pierwsza zaczyna się od bitwy pod Lignicą (1241) z Mongołami, a druga od r. 1426, kiedy Władysław Jagiełło wyprawił posiłki przeciw Turkom nad Dunaj, chociaż jego państwom niebezpieczeństwo nie groziło jeszcze wcale. Następuje bitwa warneńska (1444), a potem niezliczone walki z Tatarami, prowadzone od r. 1506 do 1695, (ostatni najazd tatarski na Lwów) i znów wojny tureckie od Cecory 1620 r., gdzie poległ hetman Żółkiewski, człowiek prawdziwie święty, ideał Polaka.

„Polska wyciągnęła dłoń ku Europie, wzywając pomocy. Nikt się nie ruszył. Francuzi, Niemcy, Hiszpanie mieli przed sobą robotę pilniejszą; mieli jeszcze przez lat 30 palić i mordować w imię katolicyzmu lub protestantyzmu. Zaś Europa wschodnia, mianowicie Moskwa, pod owe czasy, za Borysa Godunowa i za faktycznych rządów patrjarchy Filareta niczego nie pragnęła goręcej, jak związku z bisurmanami przeciwko Polsce. Tak też miało być i nadal. Dopóki Turcja była naprawdę groźna, nigdy Polska nie korzystała z jej pomocy dla pognębienia niewinnych sąsiadów, nigdy nie zachęcała Turków do napastowania spokojnych ludów chrześcijańskich, gdy tymczasem Francja umiała najurzędowniej szczuć sułtanów i wezyrów na Austrję, carowie umieli zamawiać sobie

pomoc tychże do mściwych porachunków z Polską, a Szwed Gustaw Adolf umiał wyzyskiwać nasze chwilowe wyczerpanie, aby zagarniać nasze kraje nadbałtyckie. Na tej różnicy między polityką orjentalną naszą i obcą polega głównie nasze prawo do noszenia tytułu obrońców chrześcijaństwa".

I tak było aż do odsieczy wiedeńskiej 1683 r., kiedy to „my sami jedni, obcy tendencjom zaborczym, przepojeni ideą republikańskiego braterstwa w domowem pożyciu, uwierzyliśmy w Rzeszę chrześcijańską i wiary swej dowiedliśmy czemś więcej niż gestem". I ruszył Jan III. „nie na Podole, gdzie można było odzyskać Kamieniec, ale tam, gdzie obecności jego wymagała wspólna sprawa europejska".

W wieku XVII upłynęło nam 85 lat na wojnach „i to właśnie z barbarzyńskiemi potęgami Wschodu albo ich sprzymierzeńcami... Wojna wytwarza dla stron walczących wspólną atmosferę, asymiluje obyczaje i skłonności; nas też towarzystwo moskiewskie, kozackie, tureckie, tatarskie ściągało na poziom kulturalny tych narodów, zorjentalizowało nasz strój, język, sposób myślenia i wojowania. Wojna każe milczeć Muzom, całą energję duszy przetapia w jedną żądzę, żądzę bicia i zwyciężania. Cóż dziwnego, że naród wojowników, postawiony koleją losów na straży zachodniej cywilizacji, nie dotrzymał kroku w rozwoju umysłowym, ekonomicznym, państwowo-organizacyjnym tym swoim szczęśliwym sąsiadom, co mieli dwakroć, trzykroć, czterykroć więcej czasu na zrzucanie pancerza i na oddawanie się pracy intelektualnej, artystycznej lub przemysłowej. Z tego tytułu należy się nam przy obrachunku ogólnego wkładu naszego w kulturze zachodniej jak i przy rozważaniu poszczególnych działów tego ostatniego, słuszny wymiar zasługi z uwzględnieniem nie tylko tego, cośmy dokonali, ale i tego, co w czasie wojennym można było wykonać".

5. Skutki rozbiorów.

Ale nawet w najgorszych dla Polski czasach stanowiła ona nieraz przedmurze dla Europy od barbarzyństwa wschodniego. Insurekcja Kościuszkowska 1794 r. uwalnia Francję od nacisku koalicji. O skutkach rozbiorów względem Europy można powiedzieć bez przesady, że brak państwa polskiego stał się klątwą dla wszystkich narodów zachodnio-europejskich, cierpiała jednak na tem i wschodnia Europa — aż ostatecznie runęła Rosja.

Katarzyna II., dokonawszy rozbiorów Polski, demonstrowała przeciw rewolucji francuskiej, lecz nie złożyła Zachodowi w ofierze ani jednego żołnierza rosyjkiego. Sprawy te pogłębiały się atoli, wikłały i wytwarzały sytuację niezależną od woli choćby największych potentatów. Rozbiory Polski poczynały działać, powstawała wzajemna zawisłość interesów państw rozbiorowych i Rosja została wciągnięta w wojny koalicyjne.

Wielka rewolucja francuska nosiła w sobie od początku znamię uniwersalności i choćby nie została zaczepiona przez ościennych, byłaby się sama zwróciła zaczepnie przeciwko nim. Nieuchronnemi były wstrząśnienia w sąsiedztwie absolutystycznem, w Hiszpanji, we Włoszech, w Niemczech aż do zachodnich granic Polski, ale też nie dalej. Skoro Prusy i Austrja nie były zdolne pokonać Francji nawet wzmożone rozbiorami Polski, tem mniej dałyby jej rady, gdyby państwo polskie nie przestało było istnieć. Polska, państwo od wieku XV konstytucyjne, a które niedawno przedtem, w r. 1791 nadało sobie bez rewolucji i wojny domowej postępową konstytucję Trzeciego Maja, stałaby w jednym obozie z Francją przeciw czyhającym na łup polski absolutystycznym sąsiadom. Konstytucyjna forma rządu obejmowałaby całą Europę z wyjątkiem obszaru państw zdążających do rozbioru Polski, a ponieważ państwa niemieckie i habsburskie ugięłyby się pod naporem Francji sprzymierzonej z Polską, forma konstytucyjna byłaby zapanowała z po-

czątkiem XIX w. w całej Europie z wyjątkiem Rosji i Turcji. Byłoby się tedy obeszło następnie bez reakcji. Samo wstrząśnienie wojenne wojen wywołanych w następstwie wielkiej rewolucji ograniczyłoby się do połowy Europy, byłoby tedy przez to samo krótsze, mniej skomplikowane, a skuteczniejsze. Z powodu rozbiorów Polski rozsiadł się absolutyzm na podstawie niezmiernie rozszerzonej, łącząc się w jeden olbrzymi zwarty obszar poprzez dawne państwo polskie z rosyjskiem. Rosyjskie kombinacje polityczne wciągały następnie w grę koalicyjną także półwyspy Skandynawski i Bałkański — i Francja była przeciwstawiona całej Europie.

Zabrakło w Europie czynnika, który mógłby nadać jej równowagę, a którym była Polska. W tem właśnie geneza powszechno-europejskich wojen napoleońskich, które byłyby niemożliwe (bo byłyby niepotrzebne), gdyby istniało państwo polskie. W tem dalej geneza „świętego“ przymierza i całej dalszej konsekwentnej walki i ponownych wstrząśnień. Drżały posady Europy, pozbawionej tego jedynego państwa, które mogło się szczycić konstytucją bez rewolucji.

Również w dziedzinie ekonomicznej międzynarodowej powstały z rozbiorów Polski przewroty sięgające daleko. Zwrócono już w rozdziale II. uwagę na to, jak niewola gospodarcza Polski zubożyła całe gospodarstwo europejskie. W handel i przemysł europejski wdarła się sztuczność, bo musiał się zastosować do nienaturalnych granic państwowych, z czego płynęły coraz dalsze, a nieuchronne konsekwencje, coraz bardziej popadające w nienaturalność i skutkiem tego pociągające za sobą coraz groźniejsze przesilenia ekonomiczne. Przewroty ekonomiczne stawały się następnie podłożem do nowych przewrotów politycznych. Pod każdym a każdym względem wytłoczono pośrodku Europy przepaścistą wyrwę, ponad którą wytwarzał się przez cały okres od r. 1795 do 1918 z prądów dziejowych przepaścisty wir, wciągający

w swe odmęty nie tylko wszystkie państwa, ale całą kulturę europejską.

Rosja doszła na tle walki z rewolucją do hegemonji europejskiej, która dała się całej Europie ciężko we znaki, a nie dopomagała do postępu cywilizacji. Upadł Napoleon, ponieważ nie wznowił państwa polskiego. Mylił się, jakoby interesy narodu francuskiego nie wymagały wskrzeszenia Polski; przeciwnie — wymagały tego interesy każdego narodu, który pragnął, żeby jego sprawy nie cierpiały od sił brutalnych i nie stały się zawisłemi od gwałtu zewnętrznego. Napoleon dał zły przykład odsunięcia od sprawy polskiej — i odtąd nie było dla państw europejskich innej drogi, jak opierać własny byt na pierwszeństwie siły fizycznej. Odtąd trzeba było dążyć na wyścigi do tego, ażeby być wojskowo silniejszym od innych. Powszechny militaryzm stał się dalszym następstwem rozbiorów Polski, ze wszystkiemi swemi następstwami kulturalnemi.

Bez porównania więcej wpływu wywarła przez wojny napoleońskie Rosja na Europę, niż Europa na Rosję. Po wojnach napoleońskich odzywa się głośno najprawdziwsza moskiewszczyzna, zdatna do nowego życia, bo zmodernizowana — Europa zaś przystosowywa się do Rosji. Przeciwko to rosyjskim wpływom musiała się cała Europa pokryć siecią spisków.

6. Udział w walkach o wolność.

Trzonem „świętego przymierza", które było politycznem rusyfikowaniem Europy — były trzy dynastje państw rozbiorowych, dla których utrzymanie niewoli Polski było celem naczelnym. Rozumiano to doskonale we wszystkich krajach, i dlatego, choćby przez przeciwstawienie, łączono sprawę polską ze „sprawą ludów". Miano pod tym względem słuszność, a Polacy nie tylko biernie, skutkiem okoliczności politycznych, należeli do

obozu wolnościowego w Europie, ale czynnie, przyjąwszy czynny udział we wszystkich spiskach i wybuchach, mających na celu zaprowadzenie konstytucyjnych rządów w rozmaitych stronach świata.

Legjoniści polscy przyczynili się w znacznej mierze do utwierdzenia wolności Włoch w dobie napoleońskiej. „Odczuła i zrozumiała to ludność włoska. Wyrażała to ona przez długi czas, śpiewając po teatrach: La libertà d'Italia, che tanto deve à voi, bravi Polacchi..... I nie sama waleczność legjonistów polskich utrwaliła ich pamięć we Włoszech, lecz zjednali sobie także ludność swem uczciwem, republikańskiem w stosunku do niej zachowaniem się. Wiemy z pamiętników Drzewieckiego, że Włosi wyróżniali w tym względzie Polaków od Francuzów, których zdzierstwo oburzało i niweczyło często uczucie wdzięczności dla nich. Republikańskie postępowanie legjonistów polskich zachowało o nich dobre wspomnienie i w Szwajcarji i w Niemczech".

Następuje „epopeja napoleońska". Dzięki polskim walkom o wolność „obok Sobieskiego stanęło drugie nazwisko polskie, Kościuszki, jako powszechnie znane w całej Europie", a obok Kościuszki „poeci i pisarze francuscy roznieśli po całej Europie sławę Poniatowskiego". W bohaterach polskich tkwiły rysy nie tylko polskie, ale ogólno-europejskie cechy bohaterstwa. A w toku wieku XIX stały się nasze walki o niepodległość ogólno-europejskiemi wydarzeniami w zmaganiu się idei wolności ludów z despotyzmem tronów.

W r. 1831 „na ziemiach polskich rozgrywała się walka nie tylko o przyszłość Polski, ale także i o przyszłość Europy. Odczuwał to silnie naród niemiecki", czego dowodem sławne „Polenlieder". Historyk niemiecki Karol Hagen pisał:

„Wolna Polska utworzyłaby potężny szaniec, broniący wolnej Europy od caratu absolutystycznego; po-

wstrzymałaby wpływy tego ostatniego na zachód, dałaby możność ugruntować się wolności politycznej w krajach, które podniosły już były rokosz; stałaby się nowym bodźcem dla narodów ujarzmionych i umożliwiłaby ruch wolnościowy nawet tam, gdzie dotychczas spokój panował. W Polsce więc musiała się rozstrzygnąć sprawa wolności".

„Wiadomość o wzięciu Warszawy wywołała w Paryżu tak silne oburzenie, że omal nie wybuchła rewolucja. Zapanowało groźne wrzenie w takich miastach, jak Strasburg, Perpignan, Tuluza, Tulon, Grenoble. I lud wiejski gniewnie szemrał, że nie dano pomocy Polakom".

Wiadomo, że powstanie polskie 1830/31 roku było ocaleniem niepodległości Belgji. Związek powstania listopadowego z wydarzeniami w zachodniej Europie jest następujący:

W lipcu 1830 wygnano z Francji Karola X., próbującego nazbyt rządów absolutnych, a powołano na tron przedstawiciela innej gałęzi dynastji francuskiej, Ludwika Filipa, „króla mieszczańskiego", uznającego swobody konstytucyjne. Równocześnie niemal wypowiedziała Belgja posłuszeństwo królowi holenderskiemu, urządzając się, jako osobne państwo, a państwo konstytucyjne. Wprawiono tedy w ruch „święte przymierze", zawarte pomiędzy trzema państwami rozbiorowemi przeciwko wolności, gdziekolwiekby się pojawiła. Czyż samo to nie starczy, żeby zwracać uwagę, jak dalece sprawa polska łączyła się z losami wolności politycznej w Europie? Ci sami, którzy rozdrapali Polskę, zarzucając jej „jakobinizm" (tj. konstytucjonalizm), zmówili się następnie, od r. 1815, przeciw powiewowi wolności w całej Europie, przygniatając ludy europejskie swą przewagą, pozyskaną dzięki temu, iż wzmocnili się rozbiorami Polski.

„Święte przymierze" postanowiło przywrócić rządy absolutystyczne we Francji, a Belgję poddać powrotnie królowi holenderskiemu. Rosja miała ruszyć na Bel-

gję, podczas gdy wojsko austrjackie wkroczyłoby z drugiej strony do Francji. Car zamierzał prowadzić tę wojnę nie rosyjskiem wojskiem, lecz polskiem. Na dzień 1 lutego 1831 r. wyznaczono wymarsz wojsk Królestwa Polskiego (Kongresowego) na pruską granicę, ale pozostałyby na miejscu pułki rosyjskie, jakie zawsze w Kongresówce konsystowały, i nadto na miejsce wyprawionych zagranicę wojsk polskich weszłyby do kraju „zastępczo" dalsze korpusy rosyjskie. A zatem Królestwo miało zostać zupełnie ogołocone z armji własnej, a być opanowanem w zupełności przez wojska rosyjskie. W wojnie na Zachodzie, choćby zwycięskiej, zmalałoby wojsko polskie i wróciłoby wielce osłabione; w razie zaś przegranej armja polska byłaby rozbita, a rosyjska nietknięta miałaby Królestwo w swych rękach i nie potrzebowałaby z niego wychodzić, bo któżby wymusił jej ustąpienie? Tak tedy cele „świętego przymierza" łączyły się z nieuniknionem osłabieniem Polski i z zaprowadzeniem w Polsce rosyjskich rządów wojskowych.

Te plany wydały się, doszły do wiadomości kierownictw tajnych stowarzyszeń i spisków, które pozostawały z sobą w międzynarodowym związku; zarządzono przeto, żeby w samejże Polsce wybuchła rewolucja, ażeby wojsko polskie nie mogło być użyte przeciw Belgji i Francji. Roztrząsanie wątpliwości, czy powstanie wyjdzie Polsce na dobre, popadało w polskich tajnych związkach w błędne koło, gdyż i bez powstania byłyby wojska rosyjskie zaprowadzały w Kongresówce carskie rządy wojskowe, a polska armja, choćby nie wszczynała wojny z caratem, ginęłaby w dalekich krajach, i to używana przeciw wolności. Niestety, powstanie wybuchło przedwcześnie, już 29 listopada 1830, bez jakichkolwiek przygotowań wojskowych...

Faktem jest, że Polska ocaliła niepodległość Belgji w r. 1831.

Po upadku powstania uznawano w emigracji polskiej długo moralnych przodowników powszechnej walki o wolność polityczną. Pochód emigrantów przez Niemcy do Francji był jakby jakimś pochodem triumfalnym, jedynym tego rodzaju w historji, boć po klęsce. Wychodzono na spotkanie, ustawiano bramy triumfalne, przesadzano się w gościnności, towarzyszono polskiemu pochodowi od miasteczka do miasteczka, urządzano uroczystości po miastach; na wyścigi sadzono się, kto godniej przyjmie i uczci polskich emigrantów. Emigracja, osiedliwszy się głównie we Francji, poniekąd w Belgji, w Szwajcarji, we Włoszech, mogła się wszędzie poszczycić ludźmi wybitnymi talentem i cnotą obywatelską, którzy byli pożytecznymi krajowi, w którym zamieszkali; wszyscy zaś przejęci byli hasłem swoistem polskiem, hasłem jedynem zaprawdę w historji świata, a cechującem doskonale charakter polski: „Za waszą i naszą wolność!“ Łudzili się „węglarstwem“ i nadzieją rewolucji powszechnej na rok 1833; urządzili wyprawę na oswobodzenie południowych Niemiec, na oswobodzenie Włoch, brali udział w powstaniu sycylijskiem i węgierskiem i „wiośnie ludów“, brali udział we wszystkiem a wszystkiem, co tylko miało związek z wolnością, bez względu na rezultaty; brak rezultatów nigdy ich nie zrażał. Politykami nie byli, nic wytworzyli niestety niczego ze swych ofiar i nieustannej gotowości do poświęceń. Byli typowymi doktrynerami idei i brali sprawy na gorąco wtedy jeszcze, kiedy cała Europa dawno już ostygła. Ale historyk winien stwierdzić jedną ich zasługę: dzięki obfitości wielkich charakterów wśród tych doktrynerów, dzięki naszej „wielkiej“ emigracji przylgnął w Europie do nazwy Polaka przydomek „szlachetny“ lub „rycerski“. A trzebaby być doprawdy doktrynerem z odwrotnej strony, żeby nie uznać, jako w takiej opinji o polskości tkwił nielada majątek narodowy, od którego odsetki mieli zebrać potomni.

Pośród doktrynerstwa międzynarodowego pozostali pomimo wszystko przedewszystkiem Polakami i wpajali

w obcych coś z polskości. Nie można odmówić wpływu emigracji polskiej i pozytywnego znaczenia w dwóch punktach: a mianowicie emigranci nasi bywali najwcześniejszymi szermierzami idei narodowości tam, gdzie przypuszczano z reguły możliwość międzynarodowego tylko stanowiska — i należy im przyznać, że oni dawali inicjatywę co do zasady federacyjnej. To samo, co za czasów jagiellońskich: polskość pozostała wierna sobie w największem nawet uciemiężeniu.

7. Stałość Logosu, zmienność Ethosu.

Ten sam głos Logosu polskiego nawoływał przeto Polaka XV i XIX wieku, te same tkwiły zasadnicze pojęcia o życiu publicznem w zwycięzcach z pod Grunwaldu i w tych, których wydalano z Wielkopolski, z kolebki Polski, jako „laestige Auslaender". Na wieki całe starczyło mocy polskiemu Logosowi; tem bardziej moc tę musimy podziwiać, że żadna a żadna siła zewnętrzna, żadna pomyślna okoliczność w XIX w. go nie popierała; żył samą tylko własną siłą wewnętrzną i o tej wyłącznie sile dożył wznowionej niepodległości. Cóż za mocarzem był ów Paweł z Brudzewa!

Przy zasadniczej niezmienności Logosu jakżeż zmieniały się stosunki polityczne Ojczyzny. Zmieniało się Ethos, aż nazbyt często i nazbyt wiele się zmieniało.

Metoda wykonywania jest w każdej rzeczy jakby drugą rzeczą, w każdej sprawie jakby drugą sprawą. Ona może zmienić oblicze sprawy, odmienić wielce jej skuteczność, obrócić ją nawet na nice... Metoda wykonywania stanowi o praktycznej wartości idei, boć może ją... przekręcić, spaczyć, unicestwić.

Tak tedy w jednym i tym samym obrębie Logosu ma Ethos pole do zmian szerokie. Tem się tłumaczy dostatecznie ogromna zmienność historji polskiej pomimo to, iżeśmy zawsze chcieli zasadniczo tego samego. Treść

dziejowego naszego żywota polega niestety mniej na historji wykonywania naszych ideałów, ile raczej na zmiennem zachowaniu się nas samych wobec własnych dążeń, własnych przekonań i pojęć zasadniczych.

Zmieniały się ogromnie pojęcia drugorzędne; zatraciła się konsekwencja ich i Logos polski począł samymże Polakom być niejasnym....

Rozdział X.

Polska wobec słabszych.

Bywają ludzie, o których można powiedzieć, że są źli dla siebie, a dobrzy dla innych; częściej zdarzają się jednak dobrzy dla siebie, a źli dla innych. Którzy więcej warci, niema się o czem rozwodzić; pomiędzy tamtymi a tymi jest przepaść etyki.

Przypuśćmy, jakoby dzieje Prus i Rosji składały się z samej mądrości, a polskie z samych błędów politycznych — toć jeszcze nie wyczerpałoby to dyskusji o wartość czy bezwartościowość Polski dla Europy. Chytrość i zaniedbanie polityczne stanowią przedewszystkiem o zyskach i stratach własnych; wartość zaś względem innych oceniana być musi według zysków i strat tych innych, wynikających ze stosunków z tamtym. Ten rachunek należy zrobić osobno. Niekoniecznie szkodliwem musiało być dla innych państwo, które własnych interesów nie umiało dopilnować, które złem było dla samego siebie — jeżeli już ostateczny, generalny sąd o danym narodzie ma być oparty jednostronnie na dobie jego upadku (a taką „metodę" stosuje się z lubością do Polski).

Nie ulega wątpliwości, że zaniedbanie obowiązków względem samego siebie utrudnia spełnianie ich względem innych, a zczasem nawet uczyni je niemożliwem. Spełniać obowiązki względem innych, znaczy to: dawać — a chcąc dawać, trzeba mieć z czego czerpać, a zatem mieć spełnione własne swoje należności. Pewnik ten stanowi proste zastosowanie prawidła, że nie zdoła spełnić obowiązków dalszych, kto nie spełni bliższych. Jednakże sama chęć spełniania powinności jest już czemś pozytywnem

ze stanowiska etycznego, a pamiętajmy, że najwyższy regulator historyczny znachodzi się w świecie moralnym.

Chodzi przeto o to, czy pewien naród (społeczeństwo, państwo) pragnął i umiał być pożytecznym dla innych, czy próbował urządzić swoją walkę o byt w taki sposób, żeby dobrze było nie tylko jemu, ale też innym przy nim; czy zaś nie opierał korzyści swej na szkodzie drugich? Według tego bowiem będzie zachodzić pewien stosunek pomiędzy jego pomyślnością a dobrem powszechnem, który to stosunek może być prosty i odwrotny.

Poruszona powyżej kwestja skutków rozbiorów dla Europy ledwie dotkniętą została; możnaby o niej pisać tomy. Będziemy ją poruszali nieco jeszcze w tym rozdziale. Niemało ucierpieli na braku polskiego państwa ościenni.

Jeżeli chodzi o znaczenie pewnego państwa dla ogółu danej cywilizacji, toć chodzi głównie o stosunek do sąsiadów; wpływ bowiem, dodatni czy ujemny, od sąsiadów się zaczyna i na nich jest najwidoczniejszy. Nasi sąsiedzi, to Słowianie przedewszystkiem, którzy otaczają nas z zachodu (Czesi), z południa (Słowacy) i od wschodu (Ruś) i Litwa. Znaczenie Polski pośród ościennych wychodzi tedy na kwestję znaczenia jej dla Słowian i Litwy.

Zbiegiem okoliczności dziejowych byliśmy naogół silniejsi od innych Słowian sąsiadów i od Litwinów. Dla dochodzeń o wartość Polski tem większa korzyść z tego, skoro okaże się zarazem stanowisko jej wobec słabszych. Czyż może istnieć kryterjum trafniejsze do oceny etycznej? Będziemy z najwyższem zajęciem zbierać dane do pytania, jaki zachodził s t o s u n e k p o m i ę d z y p o m y ś l n o ś c i ą P o l s k i a d o b r e m s ł a b s z y c h, z któremi los łączył ją bezpośrednio czy pośrednio, w stopniu większym czy mniejszym.

Niewiele jest chyba państw, któreby wytrzymywały próbę takiego kryterjum. Są społeczeństwa, które zgóry

odrzucić muszą samą nawet możność takiego stawiania kwestji, bo inaczej musiałyby wydać same na siebie wyrok potępienia. Ale dla Polski uznanie takiego kryterjum jest prostą konsekwencją zasad Pawła z Brudzewa. Skoro poganin korzysta z prawa publicznego narówni z chrześcijaninem, skoro nie może być w niczem wobec chrześcijanina upośledzonym, skoro nie wolno najeżdżać jego ziemi ani nawet dla rozszerzenia ewangelji, a zatem istnieje równouprawnienie słabych z silnymi. Nigdy też Polak temu nie przeczył. Pod tym względem Logos polski jest niezmienny.

Zaczniemy od Czechów, którzy niezawsze byli słabszymi od nas, ale są bądź co bądź słabszymi naogół, w ogólnym rezultacie historycznego zestawienia; przejdziemy następnie do Rusi, potem do innych Słowian zachodnich i do pobratymców południowych, wreszcie do Litwy. Skoro mowa o słabszych, dodamy fakty, pozwalające wnosić o stosunku Polaków do najsłabszych, do tych, nad którymi znęcać się wolno dziś podobnie, jak wolno było Krzyżakom znęcać się nad Prusami, Litwinami, Żmujdzinami; będzie więc na końcu mały dodatek o ludach egzotycznych.

1. Polska a Czechy.

Początkowo były tylko wpływy czeskie na Polskę, a nader dodatnie; wszak to czeska Dubrawka była „matką chrzestną“ Polski; wszak Czechem był św. Wojciech, twórca kościelnej odrębnej prowincji polskiej i współpracownik Bolesława Wielkiego. Potem długo wahało się, czy Przemyślidzi mają podlegać Piastom, czy też odwrotnie. Najechał i złupił Polskę Brzetysław, ale potem Wacław dopomógł bądź co bądź złączyć dzielnice polskie w jedność. Nasi przelewali krew po stronie Otokara II na Morawskich błoniach 1278 r. (był tam hufiec krakowski), a potem Żiżka brał chrzest ogniowy pod Grunwałdem, i „Sierotki“ dopomagały nam dokończyć

chwalebnie „wielkiej wojny". Po bitwie grunwałdzkiej wysłał Jan Hus list gratulacyjny do Jagiełły.

Czescy uczeni pomagali zakładać i urządzać uniwersytet krakowski, a niebawem potem polscy delegaci na soborze kostnickim bronili do końca Husa przed zaciekłością sądu za przekonania religijne. Wszak fides ex necessitate esse non debet! Chociaż w Polsce husytów było niewielu, cały naród polski życzył husytom zwycięstwa w walce z Niemcami, co dokumentowano na licznych zjazdach i przez Korybuta. Wycofali się Polacy z tej sprawy, skoro wojny husyckie zamieniły się w czeską wojnę domową, bo identyfikowali się tylko z narodowo-polityczną stroną ruchu husyckiego, ale nie z wyznaniową. Istnieli potem kalikstyni polscy, gdy nastąpiło porozumienie z Rzymem.

A jednak już w owych czasach odczuwa się, jako Czesi i Polacy są sobie pomimo całej świadomości pobratymstwa, głoszonego chętnie, jednak nie tak bliscy, jakby sami może tego pragnęli. Odczuwano już wówczas, że coś oddziela jednych od drugich.

Zapewne, że najazd Brzetysława, pozbawiony wszelkiej myśli politycznej, będąc prostym tylko najazdem łupieskim (1038 r.), pozostawił po sobie tradycję dla Przemyślidów fatalną. Dzięki temu najazdowi stało się niemożliwością stopienie w jeden naród dorzeczy Wełtawy i Warty, a tem mniej i Wisły. Brzetysław łupieskością swą zadecydował, że będzie istniał naród czeski obok polskiego, ale też zarazem o tem, że Polacy będą narodem wielkim, a Czesi małym. Już od r. 1038 przestała istnieć dla Czechów możliwość ekspansji narodowej.

Otokar II posiadł wielką potęgę polityczną, i to w czasach, kiedy Polska była nicością polityczną. Zdawało się, że nasuwa się sposobność do naprawienia błędu Brzetysława, zwłaszcza, że Otokarowi nie brakło sympatyj wśród książąt polskich. Sama klęska na Morawskich błoniach nie stanowi jeszcze wyjaśnienia, dlaczego Polska a Czechy rozeszły się. Niebawem po klęsce owej

stały się Czechy na nowo potężnem państwem, a dynastja czeska (luksemburska) miała się nawet stać najpotężniejszą w Europie. Nie miało to już zasadniczej wartości ogólno-dziejowej, bo te Czechy weszły pomimo swej potęgi na nowo, a dobrowolnie w skład Rzeszy Niemieckiej i stały się państwem napół niemieckiem.

Czechy zidentyfikowały się z tym systematem politycznym, który Polska zwalczała. Kiedy Otton Długi brandeburski utworzył koalicję przeciw Przemysławowi wielkopolskiemu, głową jej stał się król czeski. Tenże Wacław, występując z uroszczeniami do W. Księstwa Krakowskiego na podstawie rzekomego zapisu Gryfiny (wdowy po Leszku Czarnym), opierał się na tytule nieważnym wobec prawa polskiego, bo występował w imię zasady, że państwo jest własnością dynastji. Zasada ta była w Niemczech uznawana, ale nie w Polsce. Nadto oddał Wacław II w r. 1290 cały Śląsk pod zwierzchnictwo Rudolfa Habsburga i przyjął go dopiero od niego, jako lennik Rzeszy Niemieckiej. Potem ruszył na Kraków z pomocą wojska brandeburskiego.

Gdyby Wacław II wystąpił był w Polsce jako przeciwnik niemieckiego żywiołu, mógłby był połączyć trwale Polskę ze swą koroną; on jednak wystąpił w Polsce jako Niemiec i lennik niemiecki. Marnował siły czeskie dla sporów o tron niemiecki (po śmierci Rudolfa) i zmierzał do wciągnięcia Polski także w koło Rzeszy Niemieckiej.

Jednak sprzyjało Wacławowi szczęście i okoliczności złożyły się niebawem w ten sposób, iż jedynym sposobem ocalenia przywróconej przez Przemysława korony polskiej było ofiarowanie jej Wacławowi. Stało się tak w r. 1300, ale Czesi nie odnieśli z tego żadnej trwałej korzyści. Zmarnowali dar Historji! Bo panowanie czeskie było tego rodzaju, iż stanowiło właściwie najazd. Ani koronacja nie wprowadziła zmiany we wrogich dla ludności rządach wojskowych brandebursko-czeskich; przeciwnie, koronacja rozzuchwaliła tylko Czechów

w Polsce. Zrozumieli oni ją, jako proste poddanie się Polski Czechom i że im skutkiem tego wolno robić w Polsce, co im się podoba.

Rządy Wacławów (II i III) w Polsce stanowią dowód, jak poczynały się już rozbiegać kultury czeska a polska. Przestawały być współmiernemi. Za dużo niemczyzny wbiło się w umysłowość czeską, i to niemczyzny ujemnej, z obrębu nie łacińskiej cywilizacji, lecz z kultury bizantyńsko-niemieckiej. Po krótkim epizodzie Otokara II nawracały Czechy z tem większą siłą do Niemiec, t. j. do tego, żeby naśladować z Niemiec to, co im się stamtąd dawało we znaki, sądząc, że w ten sposób przyswoją sobie siłę od swych gnębicieli. Skutkiem tego kierunku umysłowości czeskiej poczynała się ona oddalać od polskiej, a rządy Wacławów pogłębiły te różnice. Rządy czeskie zapisane są w naszych źródłach jako system gwałtów, zdzierstw, samowoli, jako urzędowe bezprawie, złożone z dokuczliwości i z łupienia ludności.

Dzieje czeskie mają w sobie pewne podobieństwo do rosyjskich, w tem mianowicie, że Czesi przejmowali się nazbyt rozmaitemi wpływami kulturalnemi, nie dającemi się sprowadzić do wspólnego mianownika — i cierpiały i cierpią na rozbieżność kulturalną, wobec czego nie może się u nich wyrobić twórcza kultura czynu. Często trudno orzec, do jakiej Czesi należą kultury.

W okresie największej swej mocy politycznej przystosowywali się do kultury niemiecko-bizantyńskiej, nie wytworzywszy sami żadnej odrębnej gałęzi kulturalnej, ni łacińsko-czeskiej, ni bizantyńsko-czeskiej; pozostali drugorzędnym poddziałem bizantyńsko-niemieckiej.

Wkrótce atoli poczęli opierać się o najczystszą cywilizację zachodnio-europejską, czerpiąc z niej pojęcia dynastyczne. Dynastą nawskroś jest Karol IV, gdy tymczasem Kazimierz W. nie ma w sobie nic z dynastyczności. U nas wytwarzało się państwo oparte na społeczeństwie, u nich społeczeństwo oparte na państwie (o feudalizmie w Czechach była już mowa). Tak tedy nawrót

Czechów do Zachodu nie tylko nie zbliżył nas, lecz jeszcze bardziej oddalił, bo Czesi przyswajali sobie z Zachodu w sam raz to, czego my nie przyjmowaliśmy (feudalizm i dynastyczność).

Pojęcie narodowości jest w Czechach o cały wiek późniejsze niż w Polsce, ale przyjęcie go stanowiło zbliżenie do polskości, opartej już od wieku z całą stanowczością na poczuciu narodowem. W pierwszej połowie XV wieku nastaje też szybko znaczne zbliżenie czesko-polskie, bo nastąpiło zbliżenie cywilizacyjne. Myślano o wspólnem działaniu w imię wspólnej idei.

Ruch narodowy przeciwko Niemcom rozpoczął się w Czechach w r. 1409, a Żyżka przebył pierwszą szkołę wojenną na wyprawie grunwałdzkiej. I w Pradze i w Krakowie odczuwano doskonale wzajemnie, że się ma wspólne cele. Zresztą związek inteligencji czeskiej a polskiej był wówczas jak najściślejszy, jeszcze od ostatnich lat życia królowej Jadwigi, której działalność odegrała wielką rolę w zbliżeniu obydwóch narodów. Poczucie solidarności słowiańskiej zrodziło się w tych właśnie czasach z wymiany myśli pomiędzy uniwersytetem krakowskim a praskim. Posiadamy sporo dowodów źródłowych, że poczucie to było w ówczesnej Polsce żywe i głębokie; akty XV wieku roją się od powoływań na pobratymstwo słowiańskie. Wójny husyckie i potem jeszcze sprawy Jerzego Podiebradzkiego oddziaływały stale na politykę polską względem Zakonu. Były to także objawy wojny „z całą nacją niemiecką".

W Polsce i w Czechach chodziło o to samo, a jednak jakżeż wykonywano rzecz odmiennie! Ta zasadnicza różnica objawów tej samej sprawy (wojny przeciw hegemonji niemieckiej) godna jest głębszej uwagi. Czesi poprzestawali na asymilacji kulturalnej i nie snuli własnych teoryj politycznych. Praktyka (jak np. zmiana ordynacji uniwersyteckiej przeciw Niemcom, wypowiedzenie posłuszeństwa Zygmuntowi) obywała się u nich bez teorji. Obalali to, co dla nich było szkodliwem, nie

zajmując wobec samejże teorji cesarstwa żadnego stanowiska, ani positive, ani negative; przedtem zresztą praktycznie zasadę cesarstwa uznali, skoro się sami o koronę cesarską starali, czyniąc to również bez jakichkolwiek motywów teoretycznych.

Skutkiem braku teorji była czeska walka z „całą nacją niemiecką“ czemś przygodnem wobec piastowania godności cesarskiej przez królów czeskich. To też ich walka, chociaż na zewnątrz efektowniejsza od polskiej (husyckie wojny), była w gruncie rzeczy słabszą i płytszą. Jakoż husytyzm nie wyrwał Czech z zaczarowanego koła Rzeszy niemieckiej, ani z niemieckiego systemu imperjalistycznego, a nawet przykuł Czechy jeszcze bardziej do Rzeszy w dalszych swych następstwach. Czechy pozostały cząstką Rzeszy, solidaryzowały się potem na nowo z jej sprawami, walczyły w imię stronnictw rzeskich niemieckich, aż związały los swój ze sprawą jednego obozu niemieckiego i położyły głowę za sprawę niemiecką na Białej Górze w r. 1620.

Ruch polski zaczyna się dociekaniami kosmopolityczno-abstrakcyjnemi Pawła z Brudzewa i staje się wybitnie narodowym, nie znosząc na sobie żadnej obcej powłoki. Ruch czeski zaczyna się zaś od wypędzenia Niemców z Pragi, a kończy się na zupełnem ugrzęźnięciu Czech w sferze interesów niemieckich. „Król zimowy“, mający być przedstawicielem niepodległości narodu czeskiego, był w istocie rzeczy tylko przedstawicielem jednego ze stronnictw niemieckich.

Czesi walczyli z Niemcami żywiołowo, odruchowo, Polacy zaś systematycznie, z uświadomieniem tej walki do najgłębszej jej istoty. Czesi zwalczali Niemców tylko, jako niebezpiecznych cudzoziemców; Polacy zaś, jako przedstawicieli i wykonawców pewnego systemu międzynarodowego.

Rewolucyjność myśli polskiej zwróciła się odrazu na pole świeckie, nie tykając w niczem katolicyzmu, mogąc mieć w papiestwie nawet siłę sprzymierzoną. Inaczej

myśl czeska. Była ona bardziej „średniowieczną", t. j. zależną od wykształcenia teologicznego, zdolna patrzeć na sprawy świeckie tylko przez pośrednictwo aparatu teologicznego. Podczas gdy Brudzewski sięgał do samych głębin zasady chrześcijańskiej i z etyki wysnuwał wnioski polityczne, husytyzm czynił to samo z dziedziny absolutnie do tego się nie nadającej, a mianowicie z dogmatyki. Gdy Polacy wygrywali swą sprawę wobec soboru i papieża, odmawiając w zasadzie uznania cesarzowi, równocześnie głosił Hus, że nie można uznać papieża zwierzchnikiem Kościoła, bo ani Piotr św. głową jego nie był, a papiestwo i jego przywileje są dziełem cesarzy. Stawał tedy Hus na stanowisku pośrednio skrajnie imperjalistycznem, a był równocześnie (boć to fakt) ojcem odrodzenia narodowego, skierowanego przeciw cesarstwu niemieckiemu.

W całym ruchu husyckim i w jego następstwach tkwił brak zdolności twórczej przez niezgodność myśli z czynami, przez brak pogłębienia teoretycznego.

Biorąc rzeczy teoretycznie, tezy Husa były o wiele mniej rewolucyjne od tego, co głosił Brudzewski. Cała nauka Husa mieściła się w teorji doskonale w dotychczasowym ustroju europejskim, dla którego obojętnem było, kto jest praescitus, a kto praedestinatus (fundamentalne założenie Husa).

W praktyce jednak wyglądało to inaczej. Brudzewski burzył jedno, ale stawiał odrazu drugie; w jego teorji tkwiła zasada braterstwa narodów, system unji; a obok tego druga zasada, że prawo publiczne ze społeczeństwa wypływa, a nie z dynastyczności.

Hus w dziedzinie życia politycznego niczego nie burzył, ale on czynił wszelkie życie społeczne niemożliwem. Wystarcza jego teza, jako osoba piastująca urząd (duchowny czy świecki) traci władzę, popadłszy w grzech śmiertelny, aż do oczyszczenia się z grzechu. Najmniejsza próba wprowadzenia tego w praktykę wiodłaby do anarchji; zachodzi też związek genetyczny pomiędzy tą

tezą, a adamitami. To też husytyzm miał w sobie ogromną siłę żywiołową, ale niedostawało mu pierwiastku twórczego, pozytywnego. Nie dał się z niego wykrzesać nowy ustrój. Zamienił się też na wojny domowe, które miały tylko rozstrzygnąć, kto kogo będzie prześladował, czy katolicy czescy husytów, czy też husyci swych katolickich rodaków.

Toż samo zagadnienie stanowi potem oś wojny 30-letniej i czeskiego w niej udziału, podczas gdy w Polsce już w artykułach henrycjańskich (1573) postąpiono według staropolskiej zasady: fides ex necessitate esse non debet. Czesi nie walczyli bowiem o wolność sumienia, lecz tylko o wolność protestantyzmu; walczyli dlatego, by móc prześladować u siebie katolików.

Fatalne mieszanie narodowości z wyznaniem stało się tak dalece cechą umysłowości czeskiej, iż trwa dotychczas. Narodowym ideałem Czecha jest, żeby móc wszcząć jakąś akcję wyznaniową antykatolicką; gdy tymczasem Polak przejęty jest przeświadczeniem, jako nie należy mieszać teologji w sprawy świeckie. Katolicyzm łączy się z narodowością polską, aleć oczywiście nie teologicznie (!!), lecz cywilizacyjnie.

Zachowanie się rządów habsburskich w Czechach po Białej Górze zamknęło tej dynastji dostęp do tronu polskiego. Kiedy nawet język czeski poczęto prześladować, pierwszy przeciwko temu protest w pomnikach piśmiennictwa czeskiego ozwał się pod wpływem polskim, a mianowicie jezuity Bohuslava Balbina „Rozprava na obranu jazyka", ułożona pod wpływem polskiego jezuity Mikołaja Łęczyckiego (1673).

Nastaje dłuższa pauza w tradycji stosunków czesko-polskich, bo Czechy upadły, a Polska traciła kulturę.

Za Stanisława Augusta budzi się wśród uczonych polskich zajęcie dla rzeczy czeskich, a pierwsze, ledwie napół świadome odruchy czeskiego poczucia narodowego okazują dążność oparcia się o Polskę. Ale państwo polskie upadło — i wraz osłabło opóźnił się czeski ruch odrodzeniowy.

niowy. Ograniczony do zamiłowania etnograficzno-filologicznego, jeszcze ku połowie XIX wieku nie zdołał nabrać cechy prądu nacjonalno-politycznego. Wszak tom I Palackiego opracowania dziejów czeskich wyszedł tylko po niemiecku (1836), a dopiero piąty pisany był oryginalnie w czeskim języku (1867). Kwitnące w warszawskiem Towarzystwie Przyjaciół Nauk słowianofilstwo oddziaływało znakomicie na garstkę czeskich uczonych. Na walnem zgromadzeniu tegoż w styczniu 1814 Staszic „udzielił zgromadzeniu tak dawno pożądaną wiadomość, iż Towarzystwo czeskie odtąd obrało używanie alfabetu łacińskiego". Linde swym Słownikiem torował ścieżki Jungmannowi, którego czeski słownik wychodził w l. 1835—39. W tychże latach wzywało czasopismo Čechočasopisie Muzeum Čes-

zezowanie ku Wschodowi, w r. 1867 odprawia się osławioną „pielgrzymkę do Moskwy“, wkońcu wyrabia się silne moskalofilstwo, zwłaszcza w obozie liberalnym, dla którego policmajster rosyjski z knutem w ręku staje się ideałem „ducha słowiańskiego“. Dużo tu zawiniła głupota polityki wiedeńskiej, ale cóż zawinili Czechom Polacy, że w imię moskalofilstwa poczęto ich nienawidzić i uważać za „zdrajców Słowiańszczyzny“ za to, że się nie dawali zrusyfikować? Najpoważniejsi mężowie czescy nie mieli w sobie moskalofilstwa nic ponad to, ile go trzeba było na pokaz, na demonstrację przeciwko Wiedniowi; doprawdy, że twórcy czeskiego moskalofilstwa wcale moskalofilami nie byli, ale nie zdołali utrzymać w ryzach ruchu, który zrazu miał być tylko sztucznie politycznym, a raczej politykującym, lecz którego cugle wymknęły im się z ręki.

Pewne właściwości czeskiego umysłu (zwłaszcza ogromna skłonność do dogmatyzmu w życiu zbiorowem) powodowały tu wiele, ale uwzględnić też należy, że odrodzony naród szukał oparcia się o jakiś czynnik zewnętrzny, o jakąś siłę polityczną. Gdyby istniało państwo polskie, byłby znajdywał w niem ów punkt oparcia, jak zanosiło się na to za Stanisława Augusta; w braku Polski poszukał go w Rosji. Miały z tego wyniknąć następstwa, mogące decydować o całej przyszłości narodu czeskiego.

Tymczasem zaś w r. 1870 Czesi, odmówiwszy poparcia Alfredowi Potockiemu, bo się nie orjentowali dostatecznie w szerokich europejskich linjach ówczesnej polityki premjera polskiego w Austrji, obalając go, ocalili Prusy. Zawikłanie pomiędzy Francją a Prusami groziło wojną, z której Austrja chciała skorzystać, aby wziąć odwet na Prusiech za rok 1866, co jednak nie dało się zrobić ze względu na Rosję i Madiarów, przychylnych Prusakom. Rząd, szukając oparcia, zwrócił się ku Czechom, a ci rząd ten obalili, żądając z g ó r y przywrócenia prawnopaństwowego stanowiska Czech. Było to na-

iwnością polityczną, bo to nie dało się wykonać żadną miarą, póki trwała potęga pruska. Alfred Potocki wzywał ich, żeby dopomogli do skruszenia Prus, i wzywał napróżno! Krótko tedy trwała era Potockiego i następnie Hohenwarta, federalisty, a od listopada 1871 zaczęło się w Austrji nowe prześladowanie czeszczyzny.

Druga serja polskich „ministerjalnych“ wpływów na sprawy czeskie zaczyna się w r. 1880 od mianowania Juljana Dunajewskiego ministrem finansów. Ten był przez jedenaście lat faktycznie głową gabinetu. Zaczął swe rządy od śmiałego podniesienia sprawy czeskiego uniwersytetu, a podał się do dymisji tegoż dnia (22 stycznia 1891), kiedy rada ministerjalna zawotowała przeciwko niemu w duchu antyczeskim. A potem w r. 1895 Kazimierz Badeni znosi stan wyjątkowy w Pradze, ogłasza amnestję dla spiskowców „Omladiny“ i wydaje rozporządzenia językowe takie, jakich sobie Czesi życzyli. Ale Czesi ani nawet Badeniego nie popierali należycie, robili mu trudności (sławnych 35 nowych żądań) i doprowadzili jego gabinet niebawem do upadku. Nie zraziło to następnych polityków polskich. Głąbiński postanowił sobie doprowadzić do tego, by Czesi mogli wejść do większości w parlamencie wiedeńskim i przez półtora roku zajęty był próbami politycznemi w tym kierunku. Będąc w r. 1911 ministrem kolejowym, pojechał do Pragi i tam zapewniał publicznie, jako dołoży starań, żeby Czesi mogli zająć należne sobie w państwie stanowisko.

Polacy, skoro tylko mogli rzucić na szalę swe wpływy polityczne, robili to zawsze na rzecz autonomji „krajów koronnych“, na rzecz wolności narodowej i sprawiedliwości w równouprawnieniu narodów. A jednak Czesi pozostawali wciąż w nieporozumieniach politycznych z Polakami.

Przyczyna leżała i tkwi głębiej, niż sięga warstwa polityczna: tkwi w żywiole cywilizacyjnym. Za popularnem do najwyższego stopnia wśród ogółu czeskiego moskalofilstwem pojawiły się w Czechach, w środku Eu-

ropy, wpływy kulturalne rosyjskie i to nader silne! Zaczęło się to od literatury, a przeszło do pojęć społecznych i politycznych.

Najwybitniejsi z Czechów nie mieli z tem nic wspólnego. Największy czeski poeta, Vrchlicky, był polonofilem; największy ze statystów ostatniej doby, Bráf, był katolikiem z przekonania. Ale też nastały w Czechach takie czasy, iż żaden wybitny Czech nie cieszył się wśród rodaków wpływem wybitnym, t. j. skutecznym. Prądy popularne szły swoją drogą, kierowane przez osobistości, których rozgłos nie pozostawał w żadnym stosunku do istotnej ich wartości. Ten był wielkim pośród Czechów, który pozwalał nieść się prądowi; im kto bardziej ulegał biernie prądowi, tem łatwiej uchodził za jego kierownika. Pod tym względem Czesi wyprzedzili znacznie Polaków (niestety, doganiamy ich pospiesznie!).

Czesi, nie wytworzywszy kultury oryginalnej za czasów swej niepodległości, posiadając tradycję historyczną dwojga cywilizacyj, łacińskiej i bizantyńskiej (w kulturze bizantyńsko-niemieckiej), zapragnęli w odrodzeniu swem oprzeć się o łacińską, lecz z wyłączeniem katolicyzmu. Zastrzeżenie to wypaczało odrazu podłoże kulturalne narodu, a wywoływało nawet rozstrój kulturalny, ponieważ lud prosty był katolickim, i trzeba było dopiero agitacyjnie podrywać w nim katolicyzm. Łacińską cywilizację znano zaś przeważnie w niemieckiej szacie i z Niemiec ją na nowo czerpano. Wszak Czesi byli gruntownie zgermanizowani; odrodzenie narodowości polegało na ich odniemczaniu. Odniemczali się narodowo, politycznie, lecz nie kulturalnie. Tkwili kulturalnie w kierunku już to łacińsko-niemieckim, już to bizantyńsko-niemieckim, podczas gdy politycznie byli nieprzyjaciółmi Niemców. Tu druga przyczyna rozdźwięku.

Za mało było wpływów polskich, które jedynie mogły były podać Czechom mocną podstawę w tej rozterce kulturalnej. Gdyby było istniało państwo polskie, Czesi znaleźliby się na drodze do wytwarzania narodowej czeskiej

kultury w obrębie łacińskiej cywilizacji, używając ku temu szkoły kultury polskiej. Poszukiwanie siły politycznej zwróciło ich ku Rosji, a skoro popadli w kulturalną od Rosji zawisłość, nastąpić musiało groźne przesilenie kulturalne, które też od lat mniej więcej 30-u podmywa czeskie życie zbiorowe. Życie czeskie publiczne składa się z pięciu kultur, zwalczających się wzajemnie: z bizantyńsko-niemieckiej, z zachodnio-europejskiej w formach niemieckich, z odrobiny tejże w formie polskiej, z turańsko-słowiańskiej t. j. moskiewskiej i z poszukiwań kultury własnej, której dopatrują się w... husyckich scholastycznych wywodach, interpretowanych najdowolniej według widzimisię danego publicysty.

Nie można posiadać pięciu kultur równocześnie. To też horoskopy czeskiej przyszłości są niezmiernie smutne. O kulturze czynu nie może być mowy w takich warunkach, a nierozważne czyny, wykonywane pod wpływem afektów, kopią przepaść pod społeczeństwem, godnem zaiste lepszej przyszłości dla swej pracowitości, talentu organizacyjnego i wielkiej kultury umysłowej. Niestety, nie napróżno mówią sami rozważniejsi Czesi o... czeskim nihilizmie. Niestety, nie jest to satyrycznym tylko frazesem. Wpływy kulturalne rosyjskie zrobiły swoje.

Jedyna droga do odwrotu z nad przepaści wiodłaby tamtędy, gdzie szukano oparcia kulturalnego w pierwocinach odrodzenia, w polskiej kulturze. Oto, czem są Polacy wobec Czechów.

Jeżeli ogół czeski nie wejdzie na tę drogę, nastąpi zamęt kulturalny, a gdy ten wyda dotkliwe skutki społeczne i polityczne, natenczas część krajów czeskich będzie zmuszoną szukać ocalenia w oparciu się o Polskę już nie tylko kulturalnem, lecz wprost politycznem, podczas gdy druga część połączy się z Niemcami. Jak największa potęga polityczna Polski potrzebną jest Czechom do tego, ażeby nie stali się na nowo trabantem Rzeszy Niemieckiej, żeby w końcu nie znaleźli się tam, skąd wyszli.

Gdzie kilka kultur miesza się mechanicznie, tam z każdej przyjmują się jej... strony ujemne, jak to widzimy w Rosji.

Gdyby prawdą było rozpowszechnione mniemanie, jakoby literatura stanowiła najdokładniejszy wyraz ducha narodu, w takim razie należałoby się w Czechach spodziewać zwycięstwa wpływów polskich. Dzieje piśmiennictwa czeskiego stwierdzają bowiem, że piśmiennictwa czeskie a polskie okazywały się zawsze współmiernemi, a cecha ta wyrobiła się sama z siebie, bez szczególnych starań o to, nieraz raczej wbrew zamiarom wyraźnie temu przeciwnym; podczas gdy wobec literatury rosyjskiej, pomimo usilnych starań o przypodobnienie, okazała się niewspółmierność.

Mam jednak oddawna wątpliwości, czy powszechne owo mniemanie o literaturze nie polega na złudzeniu.

2. Ruś.

Rusią nazywa się w języku polskim wszystko to ze Słowiańszczyzny wschodniej, co nie należy do narodu rosyjskiego; tak się przyjęło od wieków i nie zachodzi żadna przyczyna, żeby to zmieniać. Ruś znalazła się w jednej z ziem pierwotnie polskich, w ziemi Lachów, dokąd po najeździe mongolskim w połowie XIII wieku zaczęła napływać immigracja ruska; w podobnyż sposób zruszczyła się znacznie ziemia Grodów Czerwieńskich, t. j. ziemia Chełmska. Obie te krainy nazywano następnie razem Rusią Czerwoną i nazwa ta utarła się. Dzieła zruszczenia dokonała unja brzeska.

Aż do roku 1569 bardzo niewiele tedy Rusi należało do królestwa polskiego; dopiero w owym roku przyłączyły się do Polski dobrowolnie ziemie południowo-ruskie, Podole, Wołyń, Podlasie, Bracławszczyzna i Ukraina, ażeby uzyskać prawo polskie publiczne bez względu na to, czy dojdzie do skutku ściślejsza unja Polski z Litwą; opuszczali W. Księstwo Litewskie, prosząc o obywatel-

stwo polskie, a Zygmunt August przychylił się do tej prośby.

Geneza panowania naszego nad Rusią tkwi tedy w tem, że jedni Rusini osiedlili się na naszej ziemi, a drudzy sami wprosili się do państwa polskiego. Ani jednego Rusina nie przyłączono do Polski nigdy przemocą. Reszta Rusi nie należała do Polski, ale do końca do litewskiego państwa, ulegając tylko wraz z Litwą polskim wpływom kulturalnym.

Ruś Czerwoną uwolniliśmy od jarzma tatarskiego, a na północy Białą od niebezpieczeństwa krzyżackiego.

Wie się o udziale pułków smoleńskich w bitwie grunwałdzkiej (przekręca się to na rzekomy udział w niej „Rosji"!), ale nie wie się o tem, że Ruś Biała była poważnie przez Krzyżaków zagrożona. Zamiary ich sięgały daleko na północny wschód. Już w XIII w. starali się zagarnąć od Inflant Psków i część obszaru Księstwa Nowogrodzkiego, t. zw. „wotską piatinę" („Watland"). Otóż w latach 1406—1409 odbyli Krzyżacy cztery wyprawy pskowskie, a wszystkie pomyślne. Jeszcze jedna, a sam gród Psków miał paść wyczerpany. Spodziewano się w r. 1410 skończyć z tą sprawą.

Właśnie podczas trzeciej wyprawy pskowskiej nastąpiło wypowiedzenie wojny ze strony polskiej (9 września 1409). Zakon prosił o rozejm, uzyskał go do czerwca 1410, lecz nie załatwił się do tego czasu ze Pskowem, nie otrzymał już przedłużenia rozejmu i d. 9 lipca 1410 przekroczyły wojska polskie powtórnie granicę krzyżacką, a bitwa grunwałdzka (15 lipca) pierwsze korzyści niosła nie Litwie i nie Polsce, lecz tej Rusi północnej, uwalniając ją raz na zawsze od niebezpieczeństwa niemieckiego.

Żadnej świadomości narodowej nie było we wschodniej Słowiańszczyźnie aż pod koniec XVI wieku, tylko poczucie odrębności wyznaniowej. To poczucie nie tylko było przez rządy polskie szanowane, ale popierane. Tak np. Kazimierz W. wystarał się o hierarchję schizmatycką dla Rusi Czerwonej (popadłszy za to w klątwę), jakkolwiek

postępowanie takie sprzeciwiało się pojęciom zachodnio-europejskim. Biskup Oleśnicki narzucił w r. 1432 państwu litewskiemu równouprawnienie schizmatyków.

Wpływy kulturalne polskie zaczęły się bardzo wcześnie, a bez nich nie byłoby powstało nigdy poczucie narodowe. „Już w XV wieku zaczynał Rusin zaspokajać głód duchowy u źródeł polskich"... „Niedokształcenie ruskie ustępywało powoli wykształceniu polskiemu, znienawidzonej łacinie, wzorom jezuickim. Powstawały tak po raz pierwszy na Rusi szkoły na wzór zachodnich... przeznaczone dla warstw niższych miejskie szkoły bractw rozmaitych; a i te bractwa same, co tak znaczącą odegrały rolę w walkach wyznaniowych, naśladowała Ruś u bractw katolickich, tylko rozszerzyła ich środki i zakres działania. Wkońcu urosła taka szkoła bracka w kolegjum, na wzorze jezuickim oparte, Mohyły kijowskiego, co w dziejach oświaty ruskiej złotemi zapisało się głoskami".

Była na przełomie wieków XVI i XVII doba, iż zdawało się, że na południu dawnej Rusi litewskiej wytworzy się narodowość ruska. Żywioł ludowy stanowił podłoże aż nazbyt wystarczające pod każdym względem, ażeby się na niem mogła oprzeć narodowość: był nie tylko dostatecznie, ale aż nadto dostatecznie liczny do tego, i posiadał dość cech odrębnych. Poczucie narodowości zaświtało nareszcie w tych województwach „ukrainnych" — po raz pierwszy we wschodniej Słowiańszczyźnie, ponieważ tu wyrobił się dzięki wpływom polskim pewien poziom niezbędnej do tego inteligencji i działał dalej przykład kultury polskiej, przejętej nawskroś duchem narodowym.

Kniaź Konstanty Ostrogski, pan 35 miast i tysiąca wsi, założył w swoim Ostrogu drukarnię i szkołę wyższą, pretendującą nie bez słuszności do godności akademji. Daleką ona była od prawowierności; przeciwnie, stała się rozsadnikiem protestanckiego kierunku w Cerkwi, sam zaś kniaź Ostrogski napojony był arjanizmem.

Był on pod każdym względem typem budzącej się do życia nowej narodowości. Oparty na kulturze obywatelskiej polskiej, zalicza sam siebie do Europy zachodniej i tylko z nią szuka związków duchowych, kulturalnych. Zalicza siebie jednakże zarazem do prawosławia, a „nowinkom" reformacji hołduje dlatego, że szuka dróg do odrodzenia Cerkwi, której nigdy nie porzuci, przywiązany do niej fanatycznie. Ale nie ma to nic do jego przekonań politycznych: nienawidzi Moskwy, gardzi moskwicizmem, widząc tam odmienną kulturę, którą pragnie zwalczać. Z ochotą staje na czele wojsk litewskich przeciwko Moskwie. Ale nie staje się przez to Polakiem, ani go też nikt za Polaka nie uważa. Za Konstantym Ostrogskim stała cała inteligencja ruska Ukrainy, świecka i duchowna, wyodrębniając się z pomiędzy Moskwy a Polski w narodowość ruską.

Tak więc polskie poczucie narodowe zapładniało inne ludy pojęciem narodowości. W Czechach jest ono o stulecie młodsze, niż w Polsce; na Rusi o trzy wieki blisko.

Z początkiem XVII w. stała się Ukraina wielkiem boiskiem immigracji ludu polskiego. Za Zygmunta III rozpoczęła się rolnicza kolonizacja Ukrainy na wielką skalę, bo tam dopiero w XVII w. jęto zakładać folwarki. Lud polski ruszczył się tam, dzięki unji brzeskiej (1596), bo odtąd nie stawiano na Rusi kościołów łacińskich. Unja ta cerkiewna miała być wznowieniem „florenckiej" (1439) tej samej, którą Polska i Litwa w swoim czasie odrzuciły! Bądź co bądź Ruś zyskała na tej unji krocie ludu, zamienionego w ruski; krocie, które w następnych pokoleniach stały się miljonami. Zyskała też ogromnie na sile Cerkwi, która, podniósłszy się dzięki wpływom polskim na wyższy poziom, stała się ostoją odrębności. Dzięki unji brzeskiej szlachta kontentowała się wystawieniem cerkwi, i tak kosztem szlachty polskiej znajduje się do dnia dzisiejszego na „Rusi Czerwonej" w każdej wsi cerkiew i parochja, forteczki ruskości, gdy tymczasem „łacińskie" zepchnięto na plan drugi.

Przyczyną wojen kozackich były względy ekonomiczne, a unja brzeska tylko pozorem, narzuconym przez sprzymierzony z kalifatem Fanar. Chmielnicki był narzędziem tego przymierza. Jeżeli chodzi o narodowość ruską, w takim razie Chmielnicki, poddając Ruś Moskwie, stał się tej narodowości zabójcą, a nie bohaterem! Ale kozaczyzna, pstrokacizna wielka pod względem etnograficznym, żadnego poczucia narodowego nie posiadała. Poczucie narodowe ruskie (formacji ostrogskiej) tak się jeszcze nie spopularyzowało.

Zanim poczucie to zdołało dotrzeć do ludu (na co wszędzie trzeba wieków całych), już się wyczerpało i przestało istnieć. Narodowość ruska zatonęła w wojnach kozackich. Na nic się to nie zdało, że Polacy gotowi byli utworzyć osobne państwo ruskie, podobnież jak istniało litewskie. Warunki ugody hadziackiej 1658 r. były identyczne z warunkami unji lubelskiej, tworząc osobne państwo z województw kijowskiego, bracławskiego i czernihowskiego. Państwo to miało posiadać własne wojsko, własny skarb, własne ministerstwa i urzędy, pod zwierzchnictwem hetmana z własnego wyboru. Szlachta wszystkich trzech państw: Polski, Litwy, Rusi wybierać miała wspólnie króla i wysyłać posłów na sejm walny. Szlachtę nowego państwa mieli stanowić Kozacy.

Dostarczono tedy narodowi ruskiemu własnej państwowości. O ile prawosławie miałoby stanowić zasadniczą cechę tej narodowości, podniesiono w takim razie sztandar ruski wysoko, skoro zastrzeżonem było, że tylko prawosławny może w tem państwie sprawować urząd publiczny. Znoszono więc równouprawnienie, a nadawano prawosławiu uprzywilejowane stanowisko.

Zważmyż, jako to nowe państwo ruskie posiadło wszystkie środki rządzenia, armję, skarb, urzędy. Społeczność ruska posiadała też wówczas wszystkie warstwy, potrzebne do wytworzenia narodowości pełnej: wielkich panów, właścicieli najrozleglejszych w całej

Europie latyfundjów, i średnich właścicieli wsi, i futorków (jednofolwarcznych), i ludu rolnego roboczego moc wielką; żołnierzy więcej, niż jakikolwiek inny naród, boć nawet motłoch nauczył się podczas wojen kozackich organizacji wojskowej; kupiectwa posiadała ruska społeczność niemało, bo tam każdy do handlu miał sposobność i niemal każdy Kozak handlował; wreszcie teraz z Kozaków miała powstać szlachta, średnia warstwa narodu ruskiego.

Ale ta nowa szlachta nie umiała czytać ni pisać, a przez „wolności kozackie" rozumiała... prawo nieograniczonego pędzenia wódki (sic! tak w źródłach wydanych przez uczonych rosyjskich, nie polskich). Jednostki obdarzone pewnym rozpędem kulturalnym należały do wyjątków. Ogół był ciemną masą, i ta przeraźliwa ciemnota sprawiła, że na nic wszelkie formy, obmyślane przez Polaków w imię zgody! Pozostawieni własnym rządom, powodowani ciemnotą, rzucili się sami na siebie.

Zaczęły się teraz wojny domowe pomiędzy Kozakami o to, kto ma być hetmanem, a trwały te wojny przez lat 22, aż do r. 1680. Przez cały ten czas poddawał się jeden hetman Polsce, drugi Moskwie, trzeci Turcji, a bywało hetmanów po dwóch i po kilku nawet naraz. Kozaczyzna utraciła wszelką wartość jakiegoś pierwiastka wytwarzającej się narodowości ruskiej i nigdy już poczucia narodowego nie nabyła.

Pośród anarchji powszechnej tylko motłoch czuł się dobrze, ale kto choć trochę tylko posiadał w sobie poczucia kulturalnego, odwracał się ze wstrętem od panujących na Rusi południowej stosunków. Kończyła się krótka era narodowości ruskiej i epizod państwa ruskiego na tem, że kto nie musiał być Kozakiem, kto mógł obejść się bez tego rodzaju zarobkowania (rabunkiem ujętym w formy wojskowe), porzucał szeregi kozackie, a pełen wstydu z powodu bezeceństw popełnianych w wojnach kozackich, którym nadawał ton najgorszy motłoch, zacierał za sobą nawet ślady, że miał z tem kiedykolwiek

coś wspólnego. Ci, którzy mieli stanowić szlachtę państwa ruskiego, zaczęli tłumnie porzucać prawosławie, a przechodzili nie na unję, lecz wprost na łaciński obrządek. Teraz dopiero polszczyła się tłumnie cała inteligencja ruska i cała warstwa szlachecka Podola, Wołynia i całej Ukrainy. Polszczono się tysiącami dopiero skutkiem wojen kozackich, nie chcąc mieć nic wspólnego z ohydą mordu, rabunku i wszeteczeństwa, chroniąc swe poczucie kulturalne pod skrzydła kultury polskiej. Skutkiem wojen kozackich prawosławie zostało „wiarą chłopską“ na Ukrainie. Przy ruskości został ten tylko, kto jej opuścić nie mógł, t. j. lud prosty. Ruskość zeszła na stanowisko masy etnograficznej bez poczucia narodowego. Narodowość ruska rozwiała się w okrucieństwach wojen kozackich.

Ruś jako narodowość stawała się fikcją, którą sami tylko Polacy brali poważnie. Ugoda hadziacka niechże służy za przestrogę, że państwa narodowego nie może tworzyć nikt sztucznie, zwłaszcza nikt obcy, bo wpadnie w sidła własnej fikcji. Zostaje tylko w historji dowód naszych dobrych chęci, stosowanych po doktrynersku — w próżnię.

Kozaczyzna była zresztą tak samo w państwie moskiewskiem, i wojen kozackich było tam niemniej niż w polskiem. Ale po tamtej stronie nie wmawiał nikt w te wojny jakichś pojęć narodowych, bo ich w Moskwie wówczas nawet jeszcze nie było.

Szczególna rzecz, że mimo to wszystko, mimo późniejszą „koliszczyznę“ XVIII w., wyraz „kozak“ otrzymał w poezji polskiej znaczenie zaszczytne! Wiadomo, że nikt nie opiewał tak Ukrainy jak Polacy, a mówiąc ściśle, tylko Polacy ją opiewali, jakby na dowód, że oni jedni tę ziemię kochali. Słynie w polskiej poezji „szkoła ukraińska“. Malczewski kończył życie († 1826), gdy Szewczenko liczył 12 lat wieku, a był o 12 lat młodszy od Zaleskiego (ur. 1802—1814).

Była już mowa w rozdziale VIII o tem, jak powstająca następnie narodowość rosyjska nie natrafiła nawet na żadną tradycję owej ruskiej narodowości wieku XVII.

Ale ruska miała powstać raz jeszcze. Trzećie z rzędu poczucie narodowe na ogromnych obszarach wschodniej Słowiańszczyzny zjawiło się w XIX w., a to pod wpływem Polaków w Galicji; w tem geneza t. zw. „ukrainizmu". Jest to całkiem nowa formacja, bez najmniejszego związku genetycznego z narodowością ruską formacji pierwszej, tworząca nowy całkiem język literacki. Ex post dopiero postanowiono uważać się za ciąg dalszy formacji ostrogskiej.

Dzieje tej narodowości ruskiej wtórej formacji mamy zapisane dokładnie na własnej skórze. Nie trzeba przypominać, bo to sprawy świeże. Podobieństwo do wojen kozackich aż nazbyt wielkie.

Niema się co rozpisywać, ażeby nie popaść w politykę! Chciałem tylko stwierdzić, że naród ruski zawdzięcza Polakom próby stworzenia go, że bez Polski nie byłoby nawet wyrażenia „narodowość ruska". Czegóż żądać od nas więcej?

3. Inne narody słowiańskie.

Nie sądźmy, że punktów stycznych jest mało; niema zaś wśród nich żadnego, któryby niósł jakąkolwiek szkodę pobratymcom.

Mało znany jest u nas fakt, że nasza pieśń legjonów stała się prototypem słowiańskich hymnów narodowych; i melodja jest ta sama. Słowacy śpiewali: „Hej Slovaci, ještě naše slovacka řeč žije", którą to pieśń przywłaszczywszy sobie Czesi, zmienili tekst na ogólniejszy: „Hej Slovane!" Pieśń pochodzi z roku 1834, pióra pastora Samo Tomašika. Dla Chorwatów stała się hymnem narodowym w parafrazie Ferdynanda Livadicia „Još Hrvatska ne propala", a Serbowie śpiewają według odmiany czeskiej „Oj Slaveni". Łużycka parafraza Zejlera głosi,

że „Hišće Serbstwo nje zhubjene“, nadto zaś przejęli Łużyczanie skocznego mazurka na nutę „Trzeciego Maja“: „Naše Sarbstwo z procha stawa“. Na Rusi mają parafrazę „Szcze ne wmerła Ukraina“; w Rosji zaś powstała pieśń wolności, naśladująca naszą „Boże, coś Polskę“.

Doprawdy świętą to jest prawdą, jako Pan „wśród nieszczęść samych pomnażał jej sławę“, bo Polska porozbiorowa, rwąc się do wolności, dodawała otuchy pobratymcom tem, że sama „jeszcze nie zginęła“, i wywołała w Słowiańszczyźnie miłość wolności. Wpływ wielkiej poezji polskiej, wszędzie znaczny, posiadał nie tylko literackie znaczenie; poezja polska stanowiła dla Słowian szkołę patrjotyzmu.

Dzieje Słowiańszczyzny połabskiej opracowali dwaj Polacy, Bogusławscy Edward i Wilhelm. Alfons Parczewski pierwszy rozciągnął zabiegi narodowe i na Dolne Łużyce, znajdujące się pod zaborem pruskim; on też wystarał się o łużycki elementarz, stosowny dla samouków (boć szkół nie mają własnych); on powołał do życia (1880) „Towarstwo pomocy za studowacych Serbow“.

W Słowieńcach dostrzegł odrębność od Chorwatów pierwszy Andrzej Kucharski, wysłannik warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W ich pieśniach ludowych żyje pamięć Jana III Sobieskiego. Z narodowem ich odrodzeniem związane jest nazwisko Emila Korytki, który skazany tam przez Austrjaków na przymusowy pobyt w Lublanie jako w niemieckiem mieście, przebywał tam w latach 1837—1839 pod dozorem policyjnym, a jednak potrafił działać w duchu, któregoby wówczas nie był domyślił się żaden austrjacki biurokrata, w duchu narodowym słowieńskim — w czasie, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o słowieńskiej narodowości. Wywarł wpływ na poetę Prešerna, największego dotychczas poetę słowieńskiego, którego zaznajomił z muzą Mickiewicza. Ogniskiem ruchu narodowego był dom adwokata Crobatha, ponieważ ożeniony był... z Polką.

Korytko rozniecił wśród młodzieży słowieńskiej żagiew patrjotyzmu i rozbudził ruch literacki. Jego zbiory etnograficzne stały się zawiązkiem osobnego oddziału w lublańskiem „Rudolphinum"; pozostawił nadto pięć tomów zbioru słowieńskich pieśni ludowych. Przejrzał go wiedeński dyrektor policji i przestrzegał swego lublańskiego kolegę przed Korytką, bo „coraz bardziej przekonywamy się, że polscy fanatycy starają się przyciągnąć innych Słowian do swoich przewrotowych dążeń, tym sposobem, że podszywają się pod ich narodowość". Chciał przez to powiedzieć, że Polacy zabierają się do pracy około i c h narodowości.

Za gabinetów A. Gołuchowskiego i Alf. Potockiego występowali Słowieńcy z hasłem zjednoczenia administracyjnego wszystkich ziem słowieńskich. Za rządów Dunajewskiego pozbyli się znienawidzonego germanizatorskiego namiestnika Krainy.

Jak Polak pierwszy określił narodowość słowieńską, Polak pierwszy szerzył patrjotyzm słowieński w Lublanie, podobnież Polak, Aleksander Jabłonowski pierwszy uwierzył w ich przyszłość. On też zwrócił uwagę na odłam słowieński w Styrji.

Na ziemiach c h o r w a c k i c h przebywał już Stryjkowski. Wiadomo z nowszych badań, że biblja „Radziwiłłowska" cieszyła się pewną popularnością wśród Chorwatów i wpłynęła niemało na chorwacki przekład Pisma św. Największy poeta chorwacki, dubrownicki Gundulić, jest piewcą Władysława IV w swym sławnym eposie „Osman", przełożonym na włoskie na żądanie Stanisława Augusta. Później rozwinął się w Chorwacji kult poetycki Jana III.

Pamiętne są dla Słowian południowych podróże Al. Sapiehy, Kucharskiego, Czarnockiego, przedsiębrane z ramienia warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Sapieha pierwszy zbierał pieśni serbskiego eposu ludowego. Adam Czarnocki stanowi podróżą swą moment zwrotny w ludoznawstwie słowiańskiem. „Listy Ku-

charskiego, w których opisywał wrażenia, jakie wywarł na niego pobyt między Słowakami, Słowieńcami, Serbami i Chorwatami, są bardzo ciekawym przyczynkiem do historji ich duchowego rozwoju właśnie w czasie, kiedy się życie umysłowe między nimi znowu budzić zaczyna". Kucharski zajął się pierwszy skutecznie studjum rękopisów „Osmana" i on wpłynął stanowczo na ogłoszenie drukiem tego arcydzieła chorwackiej poezji.

Ludevit Gaj, przywódca „illiryzmu", doznawał dobroczynnych wpływów całego szeregu wybitnych Polaków. Korespondują z nim H. Bońkowski, Wacław Maciejowski, Jerzy Lubomirski, Michał Czajkowski, Adam Czartoryski, Lelewel. Cały zastęp przyjaciół liczył w Polsce ten Chorwat, którego rodacy nazwali „Ojcem Ojczyzny": arcybiskup diakowski, Józef Jerzy Štrossmayer.

Za wolność serbską walczyli oficerowie polscy po upadku powstania Kościuszkowskiego, stawiwszy się pod sztandar Jerzego Karadżordży. Potem wyszedł z polskiej strony pomysł sprowadzenia do Belgradu syna owego Jerzego, Aleksandra. Ministrowie jego zasięgali często rady w Hotelu Lambert.

Przytoczyłem tylko garść faktów, skracając się jak najbardziej, wybierając takie, które mogą obyć się bez komentarza. Są one wyrwane z całości dla przykładu, możnaby ich przytoczyć oczywiście bez porównania więcej. Uzupełnić to należy rejestrem wypraw tureckich od Warny do Chocimia, a w których już przed dawnemi czasy Polak walczył „za waszą i naszą wolność".

Dopóki polityka polska była twórczą, wpatrzeni byli pobratymcy nasi południowi w Warszawę, skąd z każdą wojną, wypowiedzianą Turcji, błyskała im nadzieja wolności. Rosja urosła na tem, iż zebrała to, cośmy porzucili! Ale nigdy żaden Polak nie łączył się z Turkiem przeciw Słowianinowi. Kiedy na początku wojny krymskiej wiązano sprawę polską z tureckim obozem, nie zaniedbano jednak starać się o ulżenie doli pobratymców.

Pamiętano o nich doskonale. Dowodem lojalnego stanowiska Polaków wspomnienia wszystkie, jakie posiadamy z owych czasów. Dowodem dobrych stosunków udział Bułgarów w pogrzebie Mickiewicza.

Tak zachowywała się wobec Słowian ta Polska, o której powiedział Krasiński, że „wstanie królową słowiańskich pól".

Widzieliśmy Logos i Ethos polskie na wędrówce między narodami, zastanawiając się w rozdziale poprzednim nad promieniowaniem polskości, nad obroną kultury zachodniej z polskiej strony i regestrując udział Polaków w walkach o wolność; w tym zaś rozdziale regestrując również „krótko i węzłowato" zachowanie się nasze wobec słowiańskich pobratymców. Wystarcza nam zebrać pewną ilość faktów, bo tego wymaga metoda indukcyjna; ale też niczego więcej nam nie trzeba.

I tu widzimy, jak Logos polski rządzi się zawsze i wszędzie tem samem: niezmiennie głosi wolność narodową i polityczną, samorząd i równouprawnienie, gotów posunąć się aż do tworzenia narodów w imię swych ideałów. Gdy Logos polski znalazł się wobec pustki, zapragnął wypełnić ją narodowością, lecz nie swoją bynajmniej, ale wysnutą z miejscowego podłoża etnograficznego. Gdyby losy świata od Polaka zależały, wypełniłby świat wolnemi i szczęśliwemi narodami. I zabrało się Ethos polskie do wykonywania tego programu — i natrafiło na przeszkody Ethosu drugiego.

Logos polski rozrzucał hojnie po świecie świętości swoje, uważając to sobie za obowiązek, a naraził przez to Ethos swoje na przykre doświadczenia. Ethos potrzebuje powodzenia do swego rozwoju, w przeciwieństwie do Logosu, który może dojrzewać w ukryciu i sam sobie być światem całym, gdy tymczasem Ethos musi być w świecie, inaczej zamiera. Również atoli zamiera, gdy przez długi czas doznaje samych niepowodzeń. Polskie

Ethos bardzo się skurczyło w ciągu ostatniego stulecia (czyż nie odczuwamy tego na każdym kroku dziś, gdy nam najpotrzebniejsze jego zasoby?) — a wątłości jego przyczyna niemała i w tem, że się rozpraszało po wszystkich miejscach, dokądkolwiek zaszedł nasz Logos w wędrówkach swoich. Ethos musi długo pracować nad sobą na jednem i tem samem miejscu, bo siły swe czerpać musi ze źródeł miejscowych; nie wykształci się tedy Ethos inaczej, jak tylko zapomocą najdokładniejszego znawstwa otoczenia, w jakiem ma działać. Wędrówka Ethosu osłabia je.

Pobłądził tedy Logos, że brał z sobą na swe wędrówki Ethos swoje, podczas gdy tylko miejscowe Ethos może na danem miejscu zwyciężać. Dopóki w pewnym kraju nie wyrobi się wola wykonawcza z danych miejscowych, rodzimych, dopóty na marne idą zabiegi z zewnątrz. Siła zewnętrzna, wydająca te zabiegi, sama siebie osłabia.

Logos niechaj wędrówki odbywa, bo światło nie jest od tego, by było chowane pod korcem, ale starania o czyny niechaj pozostawia tubylcom. Robiono silną propagandę w wieku XV po krajach ościennych, ale nie mieszano się czynnie bezpośrednio w ich stosunki; nie marnowano sił przez rozpraszanie ich, wyczekując stosownej pory do skupienia ich na jednem miejscu.

Logos nie powinien rozrzucać lekkomyślnie swych świętości po obcych krajach, lecz czekać ma, aż same zażądają uczestnictwa w polskich ideałach, aż powstanie tam Ethos równomierne polskiemu. Inaczej zderzą się dwa Ethosy, chociażby po tamtej stronie Logosu nawet całkiem nie było.

Może bowiem Ethos rozrastać się bujnie bez Logosu; owszem, chadzające samopas bywa silniejsze, zuchwalsze, skorsze do czynu. Prawda, że ono samopas dziczeje, ale stan taki przyczyniać może siły fizycznej! Nie będzie ta siła twórczą, lecz zważmy, że szkodzić może każdy...

Niechajże polski Logos nie marnuje już na przyszłość sił polskiego Ethosu, niechaj Ethos nasze będzie całe dla nas. Sama zaś wędrówka Logosu pożyteczną być może tylko po krajach tej samej cywilizacji. Ideał jednej cywilizacji, przeszczepiany sztucznie w drugą, nie stanie się tam nigdy ideałem, lecz pozostanie ciałem obcem, które organizm ów musi z siebie wyrzucić.

Niema pracy cywilizacyjnej poza granicami własnej cywilizacji. I niema innego sposobu szerzenia pewnej cywilizacji, jak tylko dając przykład i czekając, czy nie będzie naśladowany. O żadnem zaszczepianiu i przeszczepianiu cywilizacji nie może być mowy; wobec Historji jest to absurd.

Co poznawszy, zwróćmy uwagę jeszcze na stosunek Polski do Litwy.

4. Polska wobec Litwy.

Litwa była aż do r. 1791 państwem niepodległem. Nie polskie, lecz litewskie wojsko stało tam załogami, a dochody publiczne nie do polskiego szły skarbu, lecz do litewskiego. Litwin płacił podatki na utrzymanie państwa własnego, i przelewał krew w obronie niepodległości W.Księstwa Litewskiego. Nie panowali Polacy nad Litwą! Litwa rządziła się sama, mając aż do r. 1791 własną armję, własny skarb i osobne swoje własne ministerstwa. Rząd Królestwa Polskiego nie był bynajmniej rządem dla Litwy! Kanclerz, podskarbi czy hetman koronny — na Litwie nie mieli nic do rozkazywania, bo tam byli osobni: litewski hetman, litewski podskarbi, nawet kanclerz litewski. Litwa była więc rządzona tak, jak rządzili nią... Litwini. Jeżeli kiedy sprawowano tam rządy źle, jest to ustępem ujemnym z historji nie polskiej, lecz litewskiej; tak jest, z własnej historji litewskiej!

Od podsędka powiatowego aż do kanclerza wielkiego cała hierarchja urzędowa była w ręku litewskiem, nie odbierając z Polski żadnych poleceń, przed nikim w Polsce nieodpowiedzialna, podwładna własnym litew-

skim ministrom w zakresie służby „królewskiej", w zakresie zaś „ziemskiej" własnym korporacjom i instytucjom autonomicznym.

Wspólnemi były Polsce i Litwie dwa czynniki życia publicznego: król i sejm walny.

Wspólność ta powstała stąd, że dynastja litewska panowała nad Polską. O ile chodzi o ten czynnik, Litwa tedy była górą, a Polska opanowaną; dawała też dynastja Jagiellońska nieraz odczuć Polsce swą litewską przewagę. Po wielekroć trzeba było zastosować się do Litwy, zwłaszcza za Kazimierza Jagiellończyka i Aleksandra. Umowy o wspólny wybór monarchy dochowywano święcie ze strony polskiej, gdy tymczasem Litwa kilka razy (za Jagiellonów i potem) narzucała Polsce monarchę, stawiając polskich wyborców wobec faktu dokonanego, jakby utrzymała się na Litwie tradycja, że król ten musi być przedewszystkiem wielkim księciem litewskim.

Bo też ten wspólny monarcha bywał z reguły zależnym bardziej od swoich litewskich poddanych, niż od polskich; przynajmniej z reguły tak bywało, że ulegał bardziej wpływom litewskim. Polska, demokratyczna w wieku XVI i próbująca Litwę zdemokratyzować, stawała się przez litewskie i ruskie wpływy sama oligarchiczną w ciągu następnego stulecia. A czyż główni oligarchowie naszych wspólnych dziejów byli Korony obywatelami? Litewscy panowie bywali najpotężniejszymi po królu, króla krępującymi i dyktującymi mu nieraz warunki. Nie zdoła nikt wymienić ni jednego rodu z Korony, któryby miał na Litwie partyzantów i wywarł wpływ na sprawy litewskie; ale niesposób sobie wyobrazić najkrótszego podręcznika historji polskiej bez ustępów o możnowładztwie litewskiem.

Sejm walny był wspólny, polsko-litewski. Aleć i sejm bardziej doznawał wpływów litewskich, niż sam na Litwę wpływał. Nie dążył nigdy a nigdy do przeprowadzenia jednostajności w obydwóch państwach ponad to, czego

Litwa sama zażądała. Statut litewski i specjalne niektóre litewskie urzędy pozostały nietknięte.

Szlachta W. Księstwa powstała najpierw z rodów, które były litewskiemi etnograficznie. To potomkowie dalszych krewniaków Gedyminowiców i kilku dynastyj lokalnych, przez Gedyminowiców zmedjatyzowanych, tudzież rodów wymienionych w akcie unji horodelskiej. Ta najstarsza warstwa szlachty W. Księstwa rozszerzała się niewiele przez adopcje herbowe i nobilitacje królewskie, ale szeregi jej zdwoiły się przynajmniej przez przybieranie bojarów prawosławnych (od r. 1434). Nie polska, lecz ruska etnograficznie szlachta dominowała po pewnym czasie w obszernych dzierżawach W. Ks. Litewskiego.

Przypuszczenia o znacznym napływie szlachty polskiej na Litwę redukują się w badaniach historycznych do takiego minimum, iż szczupłość tego napływu na etnograficzny teren litewski aż zadziwia! Kolonizacja polska była, ale we Witebszczyźnie, w Smoleńszczyźnie nawet — na pustkowiach powojennych. Na Litwę etnograficzną szlachcic polski mało się garnął, bo nie znał się na gospodarstwie, jakie tam należało prowadzić, t. j. leśnem, i nie mógł wżyć się w stosunki, oparte na surowem przestrzeganiu hierarchji społecznej. Szlachetka mazowiecki przymierał głodem, ale głowę hardo nosił, podczas gdy na Litwie zamożny ziemianin pozwalał się jeszcze w XVIII w. poniewierać możnowładcy. Literatura polska XVI w., nawołując Litwinów do unji ściślejszej, za główny argument używa widoków, że przez to podniesie się niezależność społeczna i godność osobista szlachty litewskiej wobec wielmożów W. Księstwa. To też aż do unji lubelskiej szlachcic polski traciłby na przesiedleniu się na Litwę, i aż do końca XVI w. niema mowy o żadnym prądzie emigracyjnym w tamte strony.

Trzy były źródła immigracji żywiołu etnograficznego polskiego:

a) Wojskowi, bardzo pożądani, nie wpraszający się, lecz zapraszani i umyślnie sprowadzani; ci, o ile na stare lata nie woleli wracać do Polski, otrzymywali niewielkie nadania od wielkich książąt, a później od owych „królików", utrzymujących sobie swe własne, prywatne wojska (w Koronie rzeczy aż do końca nieznane!) Ta immigracja zaczęła się już za Jagiełły i była stosunkowo liczną przez cały wiek XV, zmalała zaś w XVI, a później nie było jej całkiem (skierowała się bowiem na Ukrainę). Zrazu była koniecznością państwową dla Litwy, potem już niepotrzebną, więc ustała.

Niewielki jednak tylko procent tego żywiołu osiedlał się na Litwie. Odbywszy swoje i uciuławszy trochę grosza, wracali polscy wojskowi do Korony. Władcy litewscy (nie tylko Witołd), chcąc mieć więcej żołnierza na każde zawołanie, musieli sprowadzać Tatarów i zakładali też całe osady tatarskie, a nadawano im szlachectwo, nie żądając nawet przyjęcia chrześcijaństwa. Nie byłoby się tego robiło, gdyby była dostateczna ilość ochotników polskich; litewscy władcy byliby woleli zakładać osady wojskowe chrześcijańskie, polskie.

b) Dzierżawcy, przyjmowani chętnie do królewszczyzn i przez litewskich magnatów, jako bieglejsi w gospodarstwie od miejscowych rolników. Było to wydatne źródło immigracji polskiej, lecz dopiero w czasach późniejszych, gdy rozwinęło się już na Litwie gospodarstwo rolne i to folwarczne, które rozpowszechnia się tam dopiero w XVII wieku. Dzierżaw tych bywały formy najrozmaitsze; z niektórych form powstały zczasem rozrodzone mazurskie zaścianki szlacheckie.

c) Przez ożenki i spadki. Od XVII w. coraz mniej średnio-zamożnych nawet rodów szlacheckich czysto polskich, lub czysto litewskich. Niemal wszyscy miewali w „paranteli" wzajemnie „Koroniarzy" i „Litwinów". Tu jednak immigracja równoważy się na obie strony, bo z takim samym stopniem prawdopodobieństwa mógł się stać Litwin dziedzicem w Koronie, jak Koroniarz na Litwie.

Nieustanne powinowacenie się zamieniło całą szlachtę litewską i polską w jeden „naród szlachecki". Ile w którym rodzie krwi polskiej, a ile litewskiej, tego już dzisiaj nie dojdziemy. Gdyby założyć do tego osobną instytucję naukową, miałaby z tem na sto lat pracy (niepotrzebnej) i ostatecznie przynajmniej w połowie wypadków oświadczyłaby, że kwestja nie da się rozstrzygnąć.

Z trzech więc rodzajów immigracji polskiej na Litwę pierwszy nie miał znaczenia etnicznego, trzeci zaś był wzajemną sprawą familijną, natury ściśle prywatnej. Można tedy mówić o polonizacji Litwy przez immigrację Polaków tylko o tyle, o ile mógł w tem oddziałać napływ dzierżawców z Korony. Był on koniecznością ekonomiczną.

Bez polskich rolników niesposób było zaprowadzić w litewskich ogromnych latyfundjach gospodarstwa folwarcznego. Nie narzucali się Litwie, lecz sprowadzano ich, starano się o nich, jak przedtem o polskich wojskowych. Żołnierze wracali, skąd przyszli, ale rolnicy zostawali. Potomkowie dzierżawców zostawali często właścicielami dóbr (objaw najzwyklejszy w świecie), ale oczywiście nie wszyscy, lecz tylko najszczęśliwsze wyjątki. Większa część pozostawała szlachtą czynszową (w Koronie warstwa społeczna nieznana!) na wieki, gospodarując w kilka i kilkanaście rodzin na obszarze, mającym pierwotnie służyć jednej rodzinie. Naogół rzecz biorąc, niebardzo się ta immigracja dzierżawców bogaciła na Litwie — i składała się po większej części nie ze spekulantów, ale z twardych pracowników.

Ani żołnierz polski, ani dzierżawca, przybywający na Litwę, nie wypierał Litwina — lecz zajmował posterunek niezajęty, a raczej wytwarzał swą pracą nowe na Litwie posterunki: najpierw postępowego żołnierza, potem postępowego gospodarza, twórców twierdz i folwarków.

Immigracji gromadnej, zorganizowanej, skierowanej na pewien punkt litewskiej ziemi, niema przez cały czas od końca XIV aż do końca XVIII wieku ani jednego przy-

kładu. Rząd polski tego nie mógł robić, bo nie posiadał żadnej a żadnej władzy na Litwie; litewski robić tego nie potrzebował, bo do obrobienia litewskich królewszczyzn wystarczało rąk roboczych litewskich i białoruskich (tu jedna z przyczyn ekspansji żywiołu białoruskiego na niekorzyść litewskiego).

Kiedy w czasach późniejszych, od XVI poczynając wieku, chłop polski ruszył się do świata, nie emigrował na Litwę, lecz na Ruś południową. Rząd litewski sprowadzał kilka razy gromadną immigrację mazurską, ale zawsze tylko na same kresy W. Księstwa od moskiewskiej ściany, ani razu na litewskie terytorjum etnograficzne.

Do spraw wewnętrznych litewskich polityka polska nie mieszała się. Było to nawet niewykonalnem przy autonomicznym ustroju obydwóch państw, skoro każde województwo było samorządnem ciałem. Ingerencja rządu, czy to w Koronie, czy na Litwie, była na sprawy „ziemskie" niedopuszczalna.

Szkolnictwem nie zajmowało się ówczesne państwo; to było pozostawione Kościołowi i prywatnej inicjatywie. Dopiero za Stanisława Augusta zajął się rząd wychowaniem publicznem. A były dwie Komisje Edukacyjne: koronna i litewska, a wszak litewska nie była w niczem zależna od polskiej.

W sprawach zewnętrznych rządziła nie Polska Litwą, lecz przeciwnie: Litwa zawładnęła w zupełności polityką zewnętrzną polską, nadawała jej ton i kierunek. Dla Litwy odwracała się uwaga Polski coraz bardziej od Zachodu, aż pochłonięta wyłącznie sprawami wschodniemi, przestała całkiem należeć do europejskiego ugrupowania państw, straciła związek polityczny z Europą, straciła głos w polityce międzynarodowej.

A te sprawy wschodnie nie były sprawami Korony, lecz Wielkiego Księstwa; stały się polskiemi tylko dlatego, że Polska interesy Litwy przyjęła za swoje, że dochowała skrupulatnie warunków unji. Broniło się od Moskwy granic nie polskich wcale, lecz litewskich! W cią-

gu wieków XV, XVI, XVII ocalono kilkakrotnie niepodległość W. Księstwa Litewskiego; a gdy rozszerzano na wschód granice Rzpltej nad górnym Dnieprem, przybywało kraju nie Królestwu polskiemu, lecz W. Księstwu Litewskiemu i tylko do litewskiego skarbu wpływały nowe z tego dochody. Raz tylko północny nabytek nie stał się wyłączną własnością Litwy: to Inflanty, które należały wspólnie do Litwy i Korony.

Tak tedy Litwa zmieniła nasz stosunek do świata, przeobraziła w znacznej mierze nasz ustrój społeczny, wpłynęła na zasadnicze pojęcia życia publicznego. „Litwa", znaczy to w tem miejscu: szlachta litewska, boć tylko ta warstwa była politycznie czynną.

A jednak ta szlachta spolonizowała się!

Przypatrzmyż się raz wreszcie krytycznie tej „polonizacji"!

Dużo obyczaju polskiego przeszło na Litwę, ale jeszcze za Stanisława Augusta były wielkie różnice obyczaju pomiędzy dworkiem szlacheckim z nad Wisły a Niemna; niemało zaś też obyczaju litewskiego przeszło do Polski, a to skutkiem naśladowania największych panów, a więc panów litewskich i przez ciągłe powinowacenie się. Z pojęć zaś polskich przyjmowała szlachta litewska nader mało; polonizacja pojęć ogółu szlachty litewskiej miała się dokonać dopiero w 19-ym wieku.

Kiedy i w jakich okolicznościach język polski stał się powszechnie znanym szlachcie litewskiej — niewiadomo. Nikt tej sprawy nie badał. Tak się to jakoś zrobiło „samo przez się", że nikt nie wie, ani kiedy, ani jak.

Wiadomo natomiast, że całe grono książąt litewskich, którzy zjechali r. 1386 do Krakowa na ślub Jagiełły z Jadwigą, nie potrzebowało tłumacza dla porozumienia się z Polakami, bo mówiło po białorusku. Ten język uważany był długo za litewski i wprost nazywany litewskim, bo nawet nie wiedziano w Polsce, że istnieje na Litwie inny jeszcze, właściwy litewski. Białoruski tylko język rozbrzmiewał na dworze Jagiełły, królowej Sońki i Kazi-

mierza Jagiellończyka. Byli więc dynaści litewscy od początku grubo zruszczeni, skoro nie przywieźli z sobą do Polski litewskiego języka, ale ruski. Pierwszym „spolonizowanym" Jagiellonem był Jan Olbracht, drugim Zygmunt Stary.

Polonizacja wypierała z wyższych warstw ludu litewskiego nie litewszczyznę, lecz ruszczyznę. Język litewski widocznie niebardzo był w użyciu u tych warstw i u całej szlachty, skoro mimo ciągłych wzajemnych stosunków od XIV wieku (na Mazowszu od XIII) niema w języku polskim śladów litewszczyzny. Są ślady tatarskie, madiarskie — litewskich brak. A wracało przecież z Litwy nieraz po kilka i kilkanaście tysięcy jeńców, którzy przebyli tam całe lata; wojska litewskie składały się długo pół na pół z polskich ochotników; tysiące mieliśmy małżeństw mieszanych, a w języku polskim tego wszystkiego ani śladu. Widocznie nasi, stykając się z Litwinami, nie mieli sposobności jednak stykać się z językiem litewskim, a zatem język ten w chwili zawarcia unji z Polską był już wyparty w swym własnym kraju na stanowisko kopciuszka, był tylko mową prostego ludu.

Język litewski zamierał tedy w wieku XIV; ale od XVI był wskrzeszany i wskrzeszony ostatecznie w XIX.

Gdyby nie chrzest, nie byłby się i nadal nikt zatroszczył o język litewski; ale księża polscy, mając utwierdzić lud w wierze, chcąc do niego znaleźć dostęp, uczyli się jego języka, a potem szło już wszystko szlakiem normalnym, jak u wszystkich nawracanych narodów. Trzeba było dla neofitów ułożyć pacierz w ich języku, spisać go, a dalej szły obowiązki katechizacji i kaznodziejstwa, przestrzegane ściśle po soborze trydenckim. Wszak rozwój języków nowożytnych jest wszędzie zasługą Kościoła. Niema pisma bez księży.

Gdy nie było jeszcze w Krakowie wydziału teologicznego, założyła królowa Jadwiga w Pradze kolegjum litewskie, żeby kształcić księży do pracy misjonarskiej na Litwie. A gdy uzupełniano w r. 1400 uniwersytet krakow-

ski, miano przytem na myśli potrzeby Litwy, jak to czytamy w akcie erekcyjnym. Kiedy r. 1416 zjechała na Litwę komisja soboru kostnickiego, stwierdziła, że piecza duchowna nad ludem zorganizowana jest dostatecznie. Kościołów przybywało tyle, iż od ich mnogości poczęły się przydomki „świętej Litwy", a zwłaszcza utarło się „święta Żmujdź".

Było więc duchowieństwa dużo, a to znaczy, że dużo było osób pielęgnujących język litewski. Z jakiegóż zaś narodu pochodzili ci księża, jeżeli nie z polskiego? Dopiero zczasem, jak to wynika z samej natury rzeczy, mogło wytworzyć się duchowieństwo rodzime, tubylcze.

Ruch piśmienniczy i drukarski nastał na Litwie dzięki wzajemnemu zwalczaniu się propagand wyznaniowych. Książę pruski łowił Litwę w sieci protestantyzmu, biskupi litewscy bronili się, a ster obrony ujęli (jak wszędzie) jezuici, na Litwie jezuici polscy; jakie położyli zasługi około języka litewskiego, wiadomo każdemu inteligentnemu Litwinowi.

Rozwój języka litewskiego odbywał się szybciej, niż polskiego niegdyś. Do pierwszej książki, napisanej po łacinie przez rodowitego Polaka (Kadłubek około 1208) upłynęło lat od chrztu około 250, najstarsze zaś rymy polskie pochodzą dopiero z XV wieku, a książki treści świeckiej zjawiają się po polsku aż w XVI wieku, mniej więcej w 550 lat po przyjęciu chrztu. Na pierwsze roztrząsania spraw językowych czekaliśmy lat 552 (Zaborowski, 1518).

Pod polską opieką doczekał się język litewski pierwszych utworów już w 140 mniej więcej lat po chrzcie Jagiełły (Rapagellan, zmarł 1545), a gdybyśmy odwlekli tę datę aż do pojawienia się pierwszego druku litewskiego, aż do katechizmu Mążwydisa 1547 r., wypadnie lat 161. W 52 lat potem znajdujemy w przedmowie litewskiego przekładu Postylli Wuyka (1599) narzekania, że L i t w i n i lekceważą swój język i nie dbają o niego. Jakkolwiek do pierwszego słownika (Szyrwid, 1629) upły-

nęło Litwie lat od chrztu zaledwie 243, a do pierwszej gramatyki (Klein, 1653) zaledwie 267, jednakże są względy, które pomimo to każą podtrzymywać zarzut, że język litewski był przez Litwinów lekceważony.

Poza polemiką wyznaniową i wydawnictwami ściśle kościelnemi nie pisali nic. Niema nikogo takiego, dla którego celem byłoby piśmiennictwo samo; niema ani jednego autora świeckiego. To też nie było zgoła starań o wyrobienie wspólnego języka literackiego.

A posiada Litwa na małym stosunkowo obszarze wielkie bogactwa językowe, znaczne różnice narzeczowe. T. zw. Katechizm Ledesmy wydał w r. 1595 kanonik Daukszа po żmujdzku. W dziesięć lat potem wydaje go ktoś inny w narzeczu górnolitewskiem, żeby ustały narzekania, że „nie mamy katechizmu litewskiego".[1])

I tak pozostało do końca niepodległości Wielkiego Księstwa. Nie powstał wspólny język literacki. Nie znalazł się Litwin, któryby wystąpił z oświadczeniem, że ludy tych narzeczy są jednym n a r o d e m.

Piśmiennictwo duchowne zdziałało jednak aż nadto, żeby na jego podstawie wyrobić język życia publicznego. Były już dawno słowniki, byli już poeci (Donalitius 1714 do 1780), a ruszczyzna jak była, tak pozostała językiem urzędowym. Było tak, jak chcieli Litwini, rządzący się sami we własnem państwie. Kiedy układali sobie Statut Litewski, zrobili to po białorusku. Nigdy Polacy nie myśleli narzucać Litwie polskiego języka na urzędowy. Często spisywano akt po polsku, ale wszystkie formuły urzędowe, zwłaszcza na początku i końcu aktu, pisano po białorusku, jakkolwiek często abecadłem łacińskiem. (Sam miałem w ręku setki całe takich aktów.)

Kwestji wprowadzenia języka litewskiego, jako urzędowego nigdy nie roztrząsano, nie podejmowano jej zgoła, chociaż mógł to zrobić każdy sejmik Wielkiego Księstwa.

[1]) Maurycy Stankiewicz: Bibljografja litewska, Kraków 1889.

A jednak nie uważano w Polsce szlachty litewskiej za Polaków. W każdym akcie unji, w testamencie Zygmunta Augusta, w aktach elekcyjnych, w konstytucjach sejmów walnych, wszędzie jest zawsze wyraźnie mowa o dwóch narodach. Nie istniało zgoła wyrażenie: gente Lithuanus, natione Polonus! Polonizowała się nawskroś szlachta ruska po wojnach kozackich; etnograficzna litewska pozostała Litwinami, i nie zapomniała wcale ojczystego języka. Spotykała się z nim co niedziela w kościele, a codzień przy sprawowaniu swego patrimonium w dziedzicznej wiosce. Nie wyrzekła się ta szlachta nigdy litewszczyzny, używała tylko zawsze obok tego drugiego jeszcze języka: wpierw białoruskiego, potem polskiego. A już zgoła fałszywym jest pogląd, jakoby język polski rugował był litewszczyznę; on rugował ruszczyznę.

Gdyby Litwini nie byli się przejęli kulturą polską, byliby ugrzęźli w ruskiej i... nie byłoby dzisiaj narodu litewskiego. Ani jeden chłop litewski nie spolonizował się, bo lud polski na Litwę nie parł, gdy tymczasem Litwini ustępowali zawsze ekspansji białoruskiej, i ustępują dotychczas. Bez unji z Polską byłby napór ruski silniejszy i wszechstronny, ogarniający lud i szlachtę, życie świeckie i kościelne. Bez unji z Polską byłaby Litwa stała się „prawosławną", a czy w takim razie istniałaby literatura kościelna w języku litewskim, czy byłyby owe słowniki, gramatyki, zbiory kazań litewskie?

W okresie porozbiorowym wspólna niedola zbliżyła obydwa narody jeszcze bardziej. Na Litwie garnięto się jeszcze usilniej do kultury już rozwiniętej, na tle której praca kulturalna była łatwiejsza, a owoce wydatniejsze. To też w XIX w. zaczęła się naprawdę polonizacja szlachty litewskiej i postępowała szybko. Ale czy może zarzuci kto Polakom XIX wieku, że narzucali się przemocą? Jednego tylko znam polonizatora szlachty litewskiej, który używał gwałtu. Imię jego: Murawiew. Ten zrobił z Litwy męczennicę polskości i podniósł przez to w oczach szlachty litewskiej polskość do znaczenia świętości.

W ciągu XIX wieku dopiero przyjmuje Litwa w zupełności polski obyczaj i — teraz dopiero — polskie pojęcia. Spolonizowała Litwę przemoc nie polska, lecz rosyjska.

I doprawdy, ta szlachta litewska, polonizując się, miała jednak dobry instynkt litewski! Polszczyzna miała bowiem w tych czasach dla przyszłości Litwy ponowną a zwiększoną jeszcze wartość: jedynego sposobu przechowania litewskości do następnych, lepszych czasów. Nastało zniesienie unji cerkiewnej, próby wprowadzenia języka rosyjskiego i do łacińskich kościołów, apostazje kapłanów, proklamowanie Wilna miastem „odwiecznie rosyjskiem", wkońcu zakaz drukowania książek litewskich abecadłem łacińskiem. Zakaz nie zdał się na nic, nawet lud palił książki z grażdanką, dzięki temu, że Litwa była należycie nasycona — polskością.

O ile zdarzało się nam posiąść na Litwie siłę jakąkolwiek w ciągu XIX wieku, wychodziła ona zawsze na dobro litewszczyzny i nigdy nie była jej wrogą. Uniwersytet wileński był ośrodkiem, z którego szerzyło się zamiłowanie litewszczyzny tak dalece, iż początki dzisiejszego ruchu narodowego litewskiego tkwią w tym uniwersytecie. Litewskie „dainy" wchodzą też w tym czasie do literatury polskiej (Osiński, Brodziński), poczem pojawia się cały szereg utworów w duchu patrjotycznym litewskim, od „Anafielasa" i „Witoloraudy" Kraszewskiego do „Margiera" Kondratowicza. Litwę opiewać, budzić ku niej miłość, zaznaczać, że ona istnieje, stało się ambicją i rozkoszą poetów polskich. Miłośnictwo Litwy stało się warunkiem patrjotyzmu polskiego!

I nawzajem mężowie najbardziej zasłużeni około ponownego i dalszego rozwoju litewskości, najwięksi pisarze litewscy, historyk Dowkont (1793—1864), poeci biskupi Wołonczewski (1801—1875) i Baranowski (1835 do 1902) byli wielkimi zarazem patrjotami polskimi. Były to trzy wielkie postacie o kulturze nawskroś polskiej. Słynęli na całą Polskę, chociaż po większej części nie

wiedziano nawet, że są pisarzami litewskimi; czy byli właściwie Polakami piszącymi po litewsku, czy Litwinami czującymi po polsku — o to dziś jeszcze spierać się można.

Takimi byliśmy wobec Litwinów; takie są fakty.

Jeszcze kilka uwag o unji lubelskiej:

Unja lubelska 1569 roku stanowiła wynik kompromisu pomiędzy obozem możnowładczym a demokratyczno-szlacheckim na Litwie. Ten pragnął unji jak najściślejszej, tamci woleliby ją zerwać, żeby nie wprowadzać na Litwę więcej prawa publicznego polskiego. Litwa garnęła się do związku z Polską wogóle z dwóch przyczyn: z potrzeby polskich posiłków na obronę od Moskwy i w imię przyswajanego od Polaków ideału wolności obywatelskiej. Wzmacniała się unja skutkiem propagandy polskich pojęć życia publicznego; te zaś mogły się tam przyjmować, bo Litwa przystąpiła do tej samej cywilizacji co Polska, do łacińskiej.

Ethos litewskie było tu czynne; oni sami przystępowali do czynów, ażeby unja lubelska mogła dojść do skutku. „Przeprowadzona została z inicjatywy i wskutek parcia szlachty litewskiej, która w r. 1562 w obozie pod Witebskiem skupiła się pod sztandarem zbliżenia prawno-państwowego z Polską". Przeciwną była tylko garstka możnowładców, którzy skorzystali chętnie z prawa polskiego dla siebie, lecz przeciwni byli rozszerzeniu go na cały stan szlachecki, bo ujęłoby to im znaczenia w państwie.

Opozycja możnowładcza skończyła się tem, iż ziemie południowej Rusi, dotychczas litewskiej, Podlasie, Wołyń, Podole i Ukraina (Bracławszczyzna i Kijowszczyzna) same poprosiły, żeby były wcielone bezpośrednio do Korony, a przykład ten gotowi byli naśladować obywatele północnych prowincyj Wielkiego Księstwa. Tak dalece Litwini pożądali ściślejszej unji, iż gotowi byli położyć koniec istnieniu własnego państwa, gdyby unji nie osiągnęli, byle posiąść prawo polskie. Na-

tenczas możnowładcy z pospiechem wrócili do Lublina i nawiązali układy, których wynikiem był kompromis unji lubelskiej.

Cały dawniejszy obszar W. Księstwa, nie wyjmując wcielonych do Polski prowincyj południowo-ruskich, zachował nadal statut litewski, t. j. własne prawo prywatne. Struktura społeczna, była zbyt odmienna, by można było wprowadzać polskie prawo prywatne, zwłaszcza familijne i spadkowe; sami tak uznali, a ze strony polskiej niczego nikomu nie narzucano. Ta różnorodność jednak prawa prywatnego a publicznego wydała potem ujemne następstwa, wywołując objawy pewnej niejednolitości cywilizacyjnej. Dalszy rozwój stosunków, gdyby odbywał się normalną drogą ewolucyjną, torowałby stopniowo drogę recepcji także prywatnego prawa polskiego.

Kompromis lubelski 1569 r. był zapewne tem, co narazie dało się osięgnąć najlepszego. W zasadniczych punktach był widocznie w danej chwili formą unji dobrą i stosowną, skoro współcześni ją wychwalali. Widocznie naogół czyniła zadość współczesnym potrzebom politycznym.

Była to ósma unja polsko-litewska z rzędu (1386, 1392, 1401, 1413, 1447, 1499, 1501, 1569). Warunki unji zmieniały się, bo ją ciągle wydoskonalano, a zawsze stosowano formę jej do realnych warunków życia zbiorowego w Polsce i na Litwie. Nigdy też nie narzucano się Litwie z unją, dopuszczając zerwanie jej za Warneńczyka i za Jana Olbrachta, a nie myśląc o żadnej z tego powodu nieprzyjaźni. Zdawano sobie należycie sprawę z tego, że unja musi być dwoistą, a gdy jej niema, są jeszcze rozmaite formy dobrych sąsiedzkich stosunków i bez niej. Nigdy też Polska nie prosiła się Litwy o unję.

Ósma z rzędu forma unji, lubelska, była zarazem ostatnią. Już aktu lubelskiego nigdy nie poprawiano, nie uzupełniano; zostało wszystko aż do r. 1791 w takim stanie, jak uchwalono w r. 1569. Obowiązywał akt unji lubelskiej przez lat 222 bez zmian, podczas gdy przed-

tem najdłużej bez zmian pozostawiona forma unji (1501 do 69) obowiązywała przez lat 68, uzupełniana atoli szeregiem przepisów nowych, szczegółowych. Oczywiście akt lubelski stawał się w niektórych swych punktach po pewnym czasie przestarzałym. Ci, którzy go tworzyli, nie przypuszczali, żeby po unji lubelskiej nie miały już nastąpić żadne dalsze akty unji, jako udoskonalania poprzednich.

Tymczasem jednak nastąpił w rozwoju prawa polskiego zastój, i unja również przestała się rozwijać.

Stagnacja rozwoju prawnego nie następuje odrazu, ale około połowy wieku XVII znać ją już zewsząd. Podczas lat „potopu" nie było na to ni myśli, ni sposobności, i tak weszła unja lubelska niezmieniona w żadnym szczególe aż w okres upadku kultury polskiej, kiedy to niczego wogóle się nie ulepszało. Kompromisem lubelskim zakonserwowane stanowisko możnowładztwa, wspierającego się na odrębności rządu litewskiego, przeszło w zmienionych okolicznościach następnych pokoleń na nowo w faktyczny ustrój arystokratyczny, który znajdując wiele sposobności do rozwoju, począł nawet przybierać formy jakiegoś oryginalnego wznowienia feudalizmu na Wschodzie, w stosunkach szlachcica do „pana". Wielkie Księstwo Litewskie składało się faktycznie z dzielnic jakoby feudalnych Sapiehów, Paców, Radziwiłłów i kilku jeszcze rodów; doszło do tego, że możnowładcy ci posiadali własne wojska.

Skutkiem stagnacji w rozwoju pojęć o życiu zbiorowem, odżyło — i to hipertroficznie — to, co już w r. 1569 uważano za przestarzałe, i tylko kompromisowo, na jakiś czas, tolerować dopuszczono. Zubożenie kraju po „potopie" wysunęło bogaczów na pierwszy plan społecznie i politycznie. Im uboższy kraj naogół, tem bardziej wodza rej najbogatsi. Na tle fatalnych stosunków ekonomicznych drugiej połowy XVII wieku wyrobiły się rządy możnowładcze, a ciemnota pierwszej połowy XVIII w. je utrwaliła. Od Litwy zaraziła się i Korona — i oto Pol-

ska, najdemokratyczniejszy kraj Europy XVI w., staje się klasycznym krajem arystokratyzmu.

Skoro do połowy XVII w. nie poczyniono poprawek w unji lubelskiej, potem wobec ogólnego cofania się kultury nie odczuwano już potrzeby rewizji aktu unji. Im bardziej cofaliśmy się, tem mniej stawał się niewłaściwym stary układ lubelski. Ale też gdy nastąpiło odrodzenie umysłowe i polityczne, gdy prawo polskie zaczęło się na nowo rozwijać, sami obywatele W. Księstwa dostrzegli, jak przestarzałą jest forma stosunku ich do Korony. Natenczas jednym zamachem robi się przeskok za całe 222 lat i w r. 1791 znosi się na żądanie Litwinów odrębność państwową Wielkiego Księstwa; następuje proste wcielenie do Korony. Wiekopomny sejm czteroletni, sejm Wielki, zniósł unję, złączył Polskę i Litwę w jedno państwo, całkiem jednolite. Litwini sami orzekli wówczas, że tego wymagają interesy Litwy. Taki jest fakt historyczny. Czyż może być większy triumf idei politycznych polskich?

Demokratyzacja XIX w. powoływała lud do życia publicznego: podnosząc lud coraz wyżej, przyspieszała nacjonalizowanie się. Stary ideał polski — poczucie narodowe, patrjotyzm — stał się powszechno-europejskim przez ironję losu wtedy, gdy państwa polskiego nie stało.

Pod rosyjskim obuchem, w państwie utrzymującem przymus stanowy do ostatka, nastała demokratyzacja Litwy bardzo późno, a początki tego przypadły na czasy, kiedy przejęta kulturą polską szlachta miała ruchy zupełnie skrępowane. Wiadomo, jak za największe przestępstwo polityczne uważanem było w Rosji zbliżanie się dworu do chaty. Ruch ludowy litewski i wszystko, co z nim związane, rozegrał się tedy wcale nie na tle ogólnonarodowem litewskiem, lecz wyłącznie pomiędzy ludem osamotnionym a czynownictwem rosyjskiem z tym jeszcze dodatkiem, że droga do wyższej oświaty wiodła przez rosyjską szkołę. Co to za zakłady były „cywilizacyj-

ne", wszyscy mamy żywo w pamięci! Wystarczy zwrócić uwagę na tę okoliczność; rozwodzić się nie trzeba!

Tak się wychowało pierwsze pokolenie patrjotów litewskich pochodzenia ludowego. Pozbawione pojęć kulturalnych, znalazło się wobec szlachty, przesiąkniętej pojęciami polskiemi, nie litewskiemi i nie rosyjskiemi antykulturalnemi, które uważane jednak być mogły przez młodzież za kulturalne, a odmienność ich tłumaczoną bywała większą ich... postępowością. Nieporozumienie na Litwie było nieuchronne i w tem źródło polonofobji. Ludzie ci byli przynajmniej zamłodu wszyscy moralnie zrusyfikowani, a po większej części pozostali takimi i na dojrzały wiek i już się nie zmienią.

Do jakiej cywilizacji należą ci Litwini, zasadzający patrjotyzm litewski na nienawiści Polski? Coś turańszczyzny dała im szkoła, z owej kultury turańsko-słowiańskiej, moskiewskiej. U tych, którzy z domu wynieśli choć trochę tradycji katolickiej, odbywa się słaba walka turańszczyzny z łacińskiem; gdy atoli „postęp" ludzi tych oddala stanowczo od katolicyzmu, który jest dla nich tylko przeżytkiem chłopskim, w takim razie i walki niema wcale. Umysły zrusyfikowane do cna, pędzą po równi pochyłej za przykładem Rosji, gotowe do wielu czynów, chociaż pozbawione kultury czynu; to też czyny ich fatalnie odbijają się na samejże Litwie. Zmoskwiczenie umysłów znać między innemi i na tem, że wzgardziwszy wszelkim historyzmem, potępiwszy własne litewskie dzieje, zabierają się do stwarzania świata a b o v o, bez tradycji. Wykluczają z litewskiej sprawy przeszłość litewską, próbując utworzenia narodowych cech według pewnego planu, bo wierzą — za przykładem rosyjskim — w możliwość sztucznego tworzenia społeczeństw.

Porozumienie z tym żywiołem, etnograficznie tylko litewskim, lecz kulturalnie moskiewskim, jest niemożliwe. Gdyby oni opanowali Litwę, byłoby tedy porozumienie z Litwą niemożliwe. Wykluczające się wzajemnie cy-

wilizacje zdobyć się mogą tylko na wzajemną obojętność w najlepszym razie.

Być może, że znajdą się na Litwie wyznawcy cywilizacji zachodnio-europejskiej, ale my sami nie utworzymy ich zastępu! Litwa musi sama ich wydobyć z siebie, oni sami własnemi siłami muszą stać się panami sytuacji w swej ojczyźnie. W tem jedyne ocalenie Litwy. Bez względu bowiem na to, czy Litwini trzymający się cywilizacji łacińskiej byliby przyjaciółmi czy nieprzyjaciółmi Polski (i to i tamto jednako możliwe), od istnienia takiej grupy litewskiej i od jej rozrostu następnie, zależy sam byt narodowości litewskiej. Przy moskiewskiej kulturze nie utrzyma się żadna narodowość, a tem mniej tak słaba, jak litewska. Jeżeli Litwa pozostanie pod przewagą polityczną zrusyfikowanych umysłów, narodowość litewska rozpłynie się w orjentalizmie, a „kwestja litewska" będzie tylko epizodem z dziejów... małej „syntezy" kultur na r e s z t c e litewskiego obszaru etnograficznego. W takim jednak razie okazałoby się w rezultacie, że zachodziła przykra pomyłka co do Litwinów, że mianowicie naród szczątkowy wzięto za odradzający się.

Dziś Litwy do cywilizacji zachodnio-europejskiej zaliczać nie można; ta bowiem nie obchodzi się nigdzie bez historyzmu.[1])

Wyraz „Litwa" ma rozmaite znaczenie, geograficzne, historyczne, etnograficzne, polityczne. W powyższym wywodzie używałem go w znaczeniu etnograficzno-narodowem według dzisiejszego stanu etnograficznego rozsiedlenia.

Dodatek „według dzisiejszego stanu" rozumie się wprawdzie rozsądkowo sam przez się, ale w kwestji litewskiej trzeba go wskazać wyraźnie, bo często się zdarza, że w tej kwestji, nawet kiedy się o niej dyskutuje wprost z dzisiejszego stanowiska, argumentuje się dziwnie, bo etnografją dawnych wieków. Jest to metodycznie niedopuszczalne! Granice etnograficzne są zmienne, bar-

[1]) O „Judeolithuanii", zob. w rozdziale XII, w ustępie 4.

dzo zmienne, co można wykazać na historji wielu innych narodów, nie tylko polskiego i litewskiego.

Jakie dzisiejsze granice etnograficzne, o tem poucza statystyka. Historyk wie tylko, jakiemi one były w danym wieku — a tylko naiwni mniemają, że istnieją jakieś stałe dane etnograficzne, niezmienne od czasu „króla Ćwieczka", i że te właśnie obowiązują. Etnografja nie jest nieruchomością.

5. Podróżnicy polscy wobec ludów pierwotnych.

Małe, króciuchne „postscriptum". Jest jedna dziedzina stosunków „międzynarodowych", w której najłatwiej poznać, co kto wart; dziedzina szczerości, bo się w niej nie trzeba „żenować", gdyż zasadniczo tam wszystko wolno; ta sama, do której zaliczano niegdyś Litwinów, aż Paweł z Brudzewa musiał wykazywać, że i oni także ludźmi; dziedzina pogańskich ludów „pierwotnych" (prymitywnych), zwanych do niedawna wprost „dzikimi". Wobec nich nie obowiązuje Europejczyka ni prawo, ni honor; to są rzeczy, których właścicielem ten, kto sobie je pierwszy przywłaszczy. Najzupełniejsze ius primi occupantis względem przedmiotu, który jest res nullius. Położenie podobne do zasadniczego przedmiotu sporu polsko-krzyżackiego — i znów przez Polaków tak samo rozumiane. Można tu obserwować, jak cywilizacja (a więc i jej część: kultura narodowa) jest metodą ustroju życia zbiorowego; że w danej cywilizacji wszelkie dziedziny życia (uczuć, myśli i czynów) tworzą zestroje konsekwentne. Polacy zachowują się i dzisiaj wobec pogan inaczej, niż reszta Europejczyków, a zachowują się najzupełniej według zasady Brudzewskiego, o którego istnieniu sami nic nie wiedzą. Dzieje się to przez prostą konsekwencję.

Sławny Beniowski zaczyna szereg naszych podróżników pod koniec XVIII w. Jego „próba założenia pod swem panowaniem państwa, budowanego na sympatjach

pozyskanych u ludności Madagaskaru, weszła w poezję i romans wszystkich literatur europejskich". Rogoziński, odkrywca wnętrza Kamerunu, również o sympatje krajowców ubiega się; podobnież Jakubski w centralnej Afryce. Benedykt Dybowski na Kamczatce „roztacza chlubną działalność: humanitarną, ratując nieszczęsnych autochtonów przed wymieraniem". Sieroszewski był nie tylko pierwszorzędnym znawcą Jakutów, ale też ich przyjacielem. Bronisław Piłsudski nie tylko „dogadał się" z Ainosami, z ludem najniżej z całego świata rozwiniętym, ale dobadał się ich serc, i zdumionemu światu ukazał poezję prymitywnego ludu; sam zaś był ich duchem opiekuńczym, prorokiem i ojcem.

Nie brak w Polsce osób, mających sporo wolnego czasu. Może te rządki trafią do kogo, kto zechce odczytać w całości polską wspaniałą literaturę podróżniczą (Polakom tak mało znaną!) i robić z niej wypisy do sprawy tu poruszanej; po kilku latach miłego zajęcia, nie wymagającego żadnego natężenia, zbierze na gruby tom materjału, świadczącego o wzniosłym sposobie myślenia Polaków wobec maluczkich. Ja poprzestać muszę na przytoczeniu faktów najwybitniejszych, tylko exempli gratia.

Typem polskiego podróżnika jest na pierwszem miejscu Jan Stanisław Kubary, który przebywał 27 lat na wyspach Oceanji. „Jego ideologja powszechnego dobra i równości, zwalczająca wszędzie praktykowany system gwałtownego zaszczepiania t. zw. kultury europejskiej wśród krajowców; jego apostolstwo, skierowane ku wychowaniu wyspiarzy na pracowitych i pożytecznych pracowników i członków wielkiej rodziny ludów, apostolstwo tem skuteczniejsze, że nie reprezentowało żadnych ukrytych interesów państwowych, to wszystko otwierało mu serca wyspiarzy... Chociaż więc uznawano w Niemczech zasługi (naukowe) Kubarego w pełni, nie brakło uczonych, którzy ironizowali na temat jego pierwotnego sposobu życia, czy też humanitarności wśród ludów Oceanji".

Możnaby też przytaczać niemało przykładów, jak Polacy, znalazłszy się w krajach „egzotycznych", starali się tam koniecznie być pożytecznymi. Jan Dybowski był organizatorem gospodarstwa rolniczego w Algerji, Marjan Raciborski ocalił od ruiny plantatorstwo trzciny cukrowej na Jawie, Danysz opanował plagę królików w Australji. Dodajmyż mimochodem, że P. E. Strzelecki, uczony europejskiej sławy, któremu stawiano „pomniki geograficzne" (używszy nazwiska jego na nazwy geograficzne), którego w Anglji zasypywano odznaczeniami (nawet doktoratem honorowym w Oxfordzie), zasłynął nie tylko ze swoich odkryć i prac naukowych, nie tylko z tego, że pierwszy stwierdził wartość australskiej krainy stepowej dla rolnictwa i hodowli bydła, że pierwszy znalazł tam złoto, ale „gdy wrócił do Anglji, wśród licznych dzieł humanitarnych wsławił się najbardziej tłumieniem klęsk głodowych nieszczęsnej Irlandji, zwłaszcza w latach 1846—49, przy zastosowaniu całej swej bogatej wiedzy agronomicznej i szerokich życiowych doświadczeń".

Oto typowe fakty, wynikające konsekwentnie z polskich pojęć o stosunku do słabszych. Ma się względem nich obowiązki.

Świadomość tego jest w Polsce tak powszechną, iż obowiązkowości w tej dziedzinie propagować nie trzeba, lecz zapobiegać, by się nie wyrodziła w doktrynerstwo. Wszakżeż dochodzi do tego, iż niektórzy mniemają, jakoby obowiązkiem naszym było dbać o wzmocnienie słabszych nawet w takim razie, gdy nabyte przez nich siły miałyby się przeciwko Polsce zwrócić! Są Polacy, gotowi każdej chwili krzywdzić Polskę, z obawy, żeby nie skrzywdzić kogo innego...

Nie jesteśmy dla słabszych niebezpieczni. To dobrze. Ale strzec się trzeba, żeby się to nie stało naszą słabością.

CZĘŚĆ IV.

WYNIKI DOCIEKAŃ I WNIOSKOWAŃ.

Rozdział XI.

Najwyższy regulator historji.

1. Jedność cywilizacyjna.

Pod rozmaitemi kątami widzenia przepatrywaliśmy cechy polskości i wartość jej, ażeby móc określić znaczenie Polski i na tej podstawie snuć wnioski o jej celu. Przenosi nas to myślą z przeszłości w przyszłość, gdyż o ile znaczenie ujęte jest w sumie z rachunków przeszłości, o tyle cel stanowi kategorję przyszłości, tam dopiero ziszczalny. Wszak nie zechce nikt twierdzić, żeśmy już osiągnęli cel ostateczny przez powrót do niepodległości, i odtąd nie mamy nic do roboty, jak tylko utrzymać ją; w takim bowiem razie bylibyśmy społeczeństwem podrzędnem, cywilizacyjnie biernem, ograniczającem się do walki o byt. Ponieważ starania o utrzymanie życia można ograniczać do minimum, do samej konieczności, niepodległość tedy niepodległości nierówna; gdyby chodziło tylko o to, żeby posiadać trochę własnego wojska i własne urzędy w obrębie jakich takich granic, moglibyśmy ręce założyć, niewiele mając kłopotów i roboty; ale po pewnym czasie okazałoby się, że taka niepodległość krucha, a znaczenie nasze w Europie równałoby się zeru. Przy ograniczonej dbałości o niepodległość niedaleko dałoby się spoglądać w przyszłość; lepiej wciągnąć w tę dbałość wszelkie względy, nie unikając żadne-

go trudu, a za nieograniczoność wysiłków móc patrzeć w przyszłość bez ograniczenia. Utwierdzenie niepodległości zależy od wszechstronnego jej obwarowania, daleko poza i ponad minimum konieczności danej chwili.

Bierzemy więc na się brzemię historyzmu i pragniemy przyszłości, któraby była godną świetlanych momentów przeszłości narodowej. Chcemy również wysoko wspiąć się w przyszłość, jak głęboko tkwimy w przeszłości. Wymaga to pracy pokoleń, która potrzebuje ciągłości, ażeby była skuteczną. Jeden tylko jest sposób, by utrzymać poprzez pokolenia ciągłość uczuć, myśli, czynów: nieustanna świadomość i miłość celu.

Taki tylko naród może udoskonalać coraz bardziej warunki swej niepodległości, który ma przed sobą cel wytknięty. Z poza walki o byt pochodzą owe najwyższe siły, które w rezultacie samąż walkę o byt czynią łatwą.

Ażeby ogół to zrozumiał, trzeba osięgnąć wysoką przeciętną kultury umysłowej, ażeby twórczość miała pod sobą piedestał mocny rzeczywistości do oparcia się; mogąc dzięki temu szybować bezpiecznie w dziedzinę dalekich zamiarów, by z bezpiecznej teraźniejszości w przyszłość się wzmocnić mocą konsekwentnej rachuby, bez doktrynerstwa i utopij. Pielęgnując tedy podkład ludowy w ten sposób, iżby uzupełniał się z historyzmem, opracowując i wyzyskując dary przyrody, wprowadzając je w polski handel i przemysł, podnosząc z całych sił oświatę, i to z tem zastrzeżeniem, by się nam nigdy stan jej nie wydawał dostatecznym, ani nawet w takiem pokoleniu, któreby zrównało się pod tym względem z najszczęśliwszemi narody, ćwicząc twórczość polską na artystycznej i naukowej zdatności, by wysubtelnionym umysłem tem wyższą wytworzyć kulturę czynu i użyć jej do twórczości politycznej, spieszmy ku pełni kultury narodowej, byśmy własnemi zdobyczami kulturalnemi zaspokoić mogli jak najliczniejsze oby wymagania kulturalne. Wydoskonalmy polskość,

a państwo polskie będzie silnem proporcjonalnie do tego wydoskonalenia.

Byłoby to proporcją pomiędzy Logosem a Ethosem, opartą na stosunku prostym: im wyżej wzniesie się Logos, tem więcej zdziała Ethos. Tak atoli nie jest, bo Ethos nie we wszystkiem zawisłem jest od Logosu, lecz może nawet rozwijać się wbrew niemu. Była już kilka razy w ciągu tego dziełka sposobność zaznaczenia, jako pomiędzy Logosem a Ethosem panować może dysharmonja, rozłam nawet zupełny. Zharmonizowanie obydwóch kategoryj bytu stanowi dążność bytu i warunek rozwoju bytu, warunek nieodzowny; skoro jednak musi się do tego dążyć, więc nie istnieje to samo z siebie; istnieje brak harmonji zbyt często.

O ile panować będzie w Polsce harmonja pomiędzy Logosem a Ethosem, o tyle samo wydoskonalenie polskości zwiększałoby siłę państwową. Zagadnienie nabiera tedy formy nowej: jak dojść do tej harmonji, którędy do niej droga? Tamtędy zarazem droga do siły.

Wchodzimy na ślady najwyższego regulatora bytu, od życia indywidualnego poczynając aż do najzawilszych pochodów dziejowych. Dotychczas poznawaliśmy czynniki, z których każdy zosobna stanowił przyczynek do poruszanej tu kwestji, lecz żaden o niej nie rozstrzyga; teraz pragnęlibyśmy posunąć się o krok dalej, ku jakiejś syntezie rozważanych dotychczas składników.

Zreasumujmyż je przedewszystkiem:

Przy badaniu jakiegokolwiek przedmiotu zdawać sobie należy sprawę z tego, czy bada go się abstrakcyjnie, w oderwaniu od związku z innemi przedmiotami, czy też wciąga się i ten związek w zakres badań. Łączność zaś z innemi przedmiotami zależy od równorzędności lub nierównorzędności z niemi, zwłaszcza zaś od tego, czy nie zachodzi stosunek części do całości. Nam tu chodzi o znaczenie i cel Polski w obrębie cywilizacji łacińskiej, w stosunku do Europy; zachodzi tedy właśnie taki stosunek, bo zastanawiamy się nad Polską jako częścią Europy.

Stosunek części do całości może być sztuczny, przygodny lub organiczny. Może coś stać się przygodnie częścią większej całości, jak np. ziemie polskie stanowiły części państw rozbiorowych; w takim razie zerwanie łączności nie tylko nie zmienia niczego w istocie przedmiotu, lecz uwydatnia tem lepiej jego właściwości. Polska np. nie tylko nic nie straciła ze swych właściwości na zerwaniu łączności z zaborcami, lecz stała się sobą przez to zerwanie dopiero. Jeżeli jednak zachodzi stosunek organiczny, wynikający z sumy rozwoju ewolucyjnego, natenczas zerwanie go uderza w samą istotę przedmiotu. Czyż można sobie wyobrazić rozwój polskości poza cywilizacją zachodnio-europejską? Spróbowaliśmy tego raz w okresie saskim, a skutki starczą chyba na nauczkę raz na zawsze. Zerwaliśmy bowiem wówczas związek, który był organicznym, nieodłącznym od samego istnienia Polski; poderwaliśmy same korzenie bytu Ojczyzny, ignorując łączność jej ze światem zachodnio-europejskim.

Taki związek staje się jedną z cech istotnych przedmiotu, tj. cechą, bez której przedmiot przestałby być sam sobą. Stanowi dalszą, trzecią kategorję jego bytu, obok kultury umysłowej i twórczości, jeżeli chodzi o przedmiot z dziedziny świata duchowego, w jakim w tem dziełku wyłącznie obracamy się. Począwszy bowiem od bytu jednostki, aż do losów historycznych narodu, zawsze będziemy mieli jednako do czynienia z temi trzema kategorjami wszelkich możliwych kombinacyj życiowych. Dlatego też należało po roztrząśnięciu sześciu warunków kultury umysłowej, po zbadaniu objawów trojakiej twórczości, zastanowić się jeszcze nad rodzajem i stopniem powszechności sprawy polskiej, tj. nad Polską, rozważaną jako część większej owej całości, do której przynależy. Teraz dopiero, dokonawszy tego, dochodzimy do załatwienia się z naszą analizą — i możemy przejść do syntetycznej części rozważań niniejszych.

Zważmy, jakto znaczenie każdego człowieka zależy od stopnia jego kultury umysłowej, od rodzaju jego twór-

czości i od stanowiska jego w społeczeństwie. Bywają ludzie pozbawieni całkowicie twórczości, a jednak pełni znaczenia, gdyż odznaczający się wysoką kulturą umysłową i zajmujący wysokie stanowisko, posiadający wybitne stosunki. Znamy ludzi o wcale wątpliwej kulturze umysłowej, ale pełnych twórczości i zajmujących skutkiem tego niemałe stanowisko wobec ogółu społeczeństwa. Zdarza się jednak, że wybitna zdolność twórcza nie zajmie wybitnego stanowiska, tj. nie wywrze odpowiedniego wpływu na społeczeństwo, chociaż towarzyszy jej wybredna i obfita kultura umysłowa; znaczy to, że jednostka taka nie znalazła się w odpowiednio ścisłej łączności ze swojem społeczeństwem, czy to ignorując je, czy też w danym razie wyprzedzając, i skutkiem tego nie mogąc liczyć na zrozumienie; czy też, że jednostka owa rozwijała się sama poza kołem rozwoju własnego społeczeństwa, znalazłszy się w następstwie tego na linji odśrodkowej wobec niego.

Z przykładów powyższych wynika, że decydujące znaczenie posiada przedewszystkiem kategorja trzecia: przedewszystkiem ma się pozostawać w ścisłym stosunku do ogółu, jeżeli się ma coś znaczyć w nim i dla niego. A czyż nie bywają wypadki, że ktoś znaczy wiele, chociaż o twórczość nikt go nie posądza, a z kulturą umysłową słabo u niego, lecz że umiał urządzić sobie dogodnie swój stosunek do społeczeństwa? Intruz taki pospolitem staje się w naszych czasach zjawiskiem z powodu ogromnego osłabienia opinji publicznej (czego przyczyną zajmiemy się niżej) — i cała pociecha w tem, że znaczenie jego krótkotrwałe, że nie pozostawia on żadnych trwałych śladów swego istnienia.

I w życiu zbiorowem mają znaczenie powyższe prawidła. Na nic wszystkie warunki znaczenia w polityce, jeżeli szwankuje stosunek do ogółu, choćby dlatego jedynie szwankował, że urządzony niepraktycznie. A tyczy to nie tylko jednostek wobec grupy społecznej czy całego społeczeństwa, lecz również na widowni powszechno-

dziejowej narodu wobec ogółu narodów danego ugrupowania cywilizacyjnego.

Znaczenie tedy Polski wobec Europy zależy również nie tylko od naszej kultury umysłowej i twórczości naszej, lecz niemniej, a częstokroć może bardziej od szczęśliwie lub nieszczęśliwie ułożonego stosunku Polski do Europy, zwłaszcza do zachodniej Europy, której część stanowimy cywilizacyjnie.

Traktując sprawę ze stanowiska przeszłości, znaczenie nasze dla innych społeczeństw cywilizacji zachodnio-europejskiej i dla ogólnego ich zespołu jest niejasne, zmącone pewnemi wątpliwościami, gdyż niezawsze my należeliśmy do tego zespołu; niestety, w przynależności naszej historycznej do cywilizacji tej jest przerwa. Kiedy odradzaliśmy się w czasach od Konarskiego do Kościuszki, działały w Europie skutki poprzedniego odgrodzenia się od niej; Europa niewiele o nas wiedziała, niewiele się o nas troszczyła. Byliśmy na zewnątrz Europy niejako, poza nią tragicznym splotem okoliczności wtedy właśnie, kiedy najmocniej zależało nam na tem, by związek nasz stał się z Zachodem jak najściślejszym. Apelowaliśmy do Europy, której byliśmy obcymi, a obcymi staliśmy się z winy własnej, boć nie Europa z nami zerwała związek, lecz my z nią zerwaliśmy wszelką łączność naukową, ekonomiczną, literacką i polityczną. Czy dużo Europejczyka było w sejmikowym szlachcicu okresu saskiego?

Siła bezwładności miewa czasem znaczenie czegoś okrutnego. Bywa tak, że już posiadamy świadomość niebezpieczeństwa, i już zarządzamy środki obrony, ale one nie mogą działać, aż dopiero gdy przestanie działać siła bezwładności, jako niezwalczalny ciąg dalszy tego właśnie, co zwalczyć pragniemy. Oto woźnica spostrzegł już przeszkodę i już wymija, ale o jakąś część sekundy za późno — i wóz rozbija się skutkiem działania siły bezwładności. Wszelka poprawa poczyna wydawać owoce dopiero po przetrwaniu czasu siły bezwładności poprzed-

niego zła, jako też wzajem skutki psucia następują aż dopiero po zwłoce wynikłej z działania siły bezwładności poprzedniego dobra. Tak my długo w okresie saskim korzystaliśmy z zapasów poprzednich pokoleń i nie rozbił się wóz naszej państwowości, chociaż tyle niebezpieczeństw mu groziło, ale też ulegliśmy sile bezwładności i spełnił się na nas wyrok za czasy saskie wtedy, gdyśmy się wyrzekli ich błędów. Wymazano nasze państwo z mapy europejskiej wtedy, gdy na nowo europejskiem stawało się — i to jak europejskiem! Ale też działała potem znów siła bezwładności od Trzeciego Maja i stawaliśmy się na nowo Europejczykami wbrew nawet wykluczeniu nas z politycznego koła europejskiego. Kwestja polska od czasu wojny sukcesyjnej polskiej (1733 do 1735) ważyła coraz mniej w Europie, chociaż istniało jeszcze państwo polskie, a zaciążyła zato potężnie na wszystkich kombinacjach polityki europejskiej po rozbiorach. Za naszych czasów ileż namozolono się w całej Europie, by wymazać sprawę polską z europejskiej widowni, a jednak nie dało się to zrobić, bo siła bezwładności okresu, w którym sami z Europy się wykluczyliśmy, przestała już dawno działać, a działały coraz silniej czynniki, decydujące o naszej łączności z Europą, czynniki w nas samych biorące początek.

Bądź co bądź, cokolwiek raz się stało, staje się czynnikiem wszelkich następnych wydarzeń. Gdyby nie zerwanie z Europą w czasach „popuszczania pasa", nie byłoby rozbiorów...

Ponad kulturę umysłową i twórczość stawiać tedy należy nam ukształtowanie naszego stosunku do Europy, gdyż od tego zawisło przedewszystkiem nasze znaczenie na europejskiej arenie. Np. Czechom udało się urządzić pomyślnie tę stronę sprawy czeskiej, i byliśmy wszyscy świadkami, jak wychodziło im to na dobre bardziej, niż gdyby okazali byli wysoki stopień twórczości. Wygrali nawet na takich kartach, na które nie stawiali, ponieważ okazali się silnymi w urządzeniu stosunku swej części do

całości, gdy tymczasem my bardzo a bardzo zaniedbaliśmy się pod tym względem. Wszak były momenty, iż wolno było mieć wątpliwości, czy Polska trzyma z zachodnią Europą, czy nie zechce powtórzyć eksperymentu odłączenia się od niej.

Utraciliśmy łączność z Zachodem skutkiem niefortunnych dążeń do syntezy Zachodu ze Wschodem; utraciliśmy niepodległość z tej przyczyny. Wniosek na dziś i jutro jasny:

Zarzeknijmy się wszelkiej syntezy ze Wschodem, jeżeli chcemy posiadać jakieś znaczenie w Europie i dla Europy.

Wznowione eksperymenty „syntetyczne" wiodłyby znów do akulturalności, bo to było zawsze a zawsze stałem następstwem wszystkich prób syntezy owej niemożliwej, zasadniczo niemożliwej. Obniżyłby się poziom naszej kultury, a zatem upadłaby kultura umysłowa i wyjałowiłaby się twórczość. W następstwie błędu w zakresie trzeciej kategorji naszego bytu (co do stosunku części do całości), zachwiałyby się i tamte dwie kategorje. Albo musimy stać się pewnymi, niewątpliwymi członkami cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej i żadnej a żadnej innej, albo niema dla nas miejsca w żywem ciele tej organizacji społeczeństwa, a do jakiejż innej mamy się przyłączać?

Stosunki nasze do Wschodu nie mogą się żadną miarą układać kosztem choćby najmniejszego ustępstwa z istoty naszej kultury. Pod żadnym warunkiem nie możemy zbliżać się cywilizacyjnie do Wschodu. Musimy pozostać od niego odgrodzeni naszą kulturą, chociaż będziemy nieustannie mieli z nim do czynienia ekonomicznie i politycznie.

Im mocniej będziemy od Wschodu odgrodzeni cywilizacyjnie, tem większe prawdopodobieństwo, że Wschód stopniowo będzie zarzucał swą cywilizację, a przyjmował natomiast łacińską za pośrednictwem kultury polskiej. Czyli: niema lepszego sposobu na polską ekspansję kulturalną, jak stać twardo i bez najmniejszych ustępstw przy cywilizacji łacińskiej. Inaczej moglibyśmy

doprowadzić w Eurazji do powstania jakiejś cudacznej kultury turańsko-polskiej, w której polskość uległaby... wyparowaniu.

Lepiej sprawę tę ująć ostro, póki czas. Może spotka mię zarzut, żem popadł w przesadę... Aleć widzę dokoła siebie zapędy doktrynerskie w tę przepaść. Działa czar słowa. Dokonać „syntezy Zachodu i Wschodu!" Powstaje w umysłach pokusa nielada. Powstają wyobrażenia mocy jakiejś niebywałej, jakiegoś uniwersalizmu historycznego. Tylko znawcy wiedzą, że to bańki mydlane; niechże zawczasu ostrzegają w głos: ani źdźbła ze spójni cywilizacyjnej z Zachodem nie wolno uronić, bo inaczej można stracić wszystko ponownie.

Frazesy posiadają wielką moc wszędzie, a cóż dziwnego, że piękne wyrażenia posiadają jeszcze większe wpływy w narodzie, który poezji i literaturze zawdzięcza tyle dobrego? Ogólniki przyjmują się częstokroć bez zastanowienia, wbrew nawet elementarnym zasadom logiki. Tysiące Polaków, posiadających wykształcenie książkowe, gotowo przysięgać, jako dążenie do syntezy Zachodu i Wschodu stanowi „wzniosłą misję dziejową Polski". A tymczasem misja nasza wręcz przeciwna: świecić dobrym a wyrazistym przykładem sąsiedniemu Wschodowi, ażeby zapragnął przyswoić sobie cywilizację zachodnią. Nie mącenie kultur, lecz prosta ekspansja kulturalna misją naszą.

Taka ekspansja dokonywa się wyłącznie tylko działaniem przykładu. Panowanie polityczne, aneksja, rozszerzanie granic, federacja, unja i t. p., wszelkie słowem utwierdzanie wpływów politycznych w jakikolwiek sposób, od najgrubszych form aż do najidealniejszych włącznie, nie ma tu nic do rzeczy. Państwowość a granice kulturalne — to zgoła nie to samo, i jedno do drugiego nic ma nic. Kultura przenika granice państwowe z największą łatwością, skoro tylko znajdzie inne do tego warunki. Jeżeli nie istnieją warunki ekspansji kulturalnej li tylko drogą dawania przykładu, nie zdadzą się

na nic żadne inne zabiegi. Polityka pod pozorem misji cywilizacyjnej — to absurd. Nie mieszajmy jednego z drugiem, niech każde idzie swoim torem.

Najtrwalsze są te rzeczy, które robią się niejako same przez się. Co ma stanowić trwałe dobro życia, nie da się osięgnąć sztucznie; a co gorsza, twór sztuczny, choćby tworzony z zapałem, rozsypie się stosunkowo bardzo szybko w gruzy, zalegające potem gromadnie drogę rozwoju i opóźniające pochód sprawy.

Kultura nasza będzie działała ekspansyjnie, jeżeli pośród ościennych znajdą się stosowne do tego warunki, których my i tak przecież nie wytworzymy u nich w sposób sztuczny, ani nawet w takim razie, choćbyśmy nad niemi panowali bezpośrednio; ta część sprawy nie będzie nigdy zależną od nas, lecz będzie stanowiła wobec nas nieprzepartą vim maiorem, na którą niema innej rady, jak.... liczyć się z nią.

Ale jest druga strona przedmiotu: Choćby stosunki pośród ościennych układały się jak najpomyślniej dla polskiej ekspansji kulturalnej, na nic te warunki, jeżeli siła promieniowania naszej kultury nie będzie dostatecznie wielką. A to jest siła czysto wewnętrzna tylko, której nie wytworzą żadne zabiegi polityczne. Choćby polityka spała, ekspansja musi nastąpić, jeżeli się znajdzie odpowiednia siła promieniowania. W ten sposób spolszczyła się Litwa wtedy, kiedy polska polityka była zupełnie bezsilna, po rozbiorach; zwracałem już na to uwagę powyżej. Chociażby bowiem stosunki układały się jak najniepomyślniej, ekspansja kulturalna powstrzymać się nie da, jeżeli zachodzi odpowiednia siła promieniowania w stosunku do odpowiedniego zapotrzebowania wpływów kulturalnych i zdatność ich przyjmowania.

Warunki promieniowania nie są wiadome ni w materjalnym świecie, ni w duchowym; jedno atoli nie ulega wątpliwości, że im więcej kultury, tem silniejsze jej promieniowanie. Można porównać to z eksportem. Zdarza się, że się eksportuje towar, którego samemu nie ma się

nazbyt, ale i wtedy reguła jest, że eksportuje się czegoś tem więcej, im więcej się tego posiada, choćby jeszcze w ilości niedostatecznej. Eksport materjalny może być sztuczny, wywołany jakiemiś szczególnemi stosunkami i względami; wywozi się zagranicę pewien towar, choć go się nie posiada zbyt wiele, wzamian za drugi, potrzebniejszy, a którego posiada się mniej jeszcze. W eksporcie duchowym to niemożebne. Promieniuje na zewnątrz to, co dość jest silne, aby promieniować.

Ale wystarczy zdać sobie sprawę z najelementarniejszego pewnika, że nie można eksportować tego, czego się samemu nie posiada; nie może promieniować, co nie mieści się w danej kulturze. Promieniowanie zawisłe jest nierozerwalnie od stanu kultury, mającej promieniować. Jedyny a niezawodny sposób na ekspansję kulturalną jest: posiadać samemu kultury jak najwięcej.

Na nic wszelkie starania o to, by kultura polska udzielała się ościennym. Szkoda czasu na zabiegi o to. Nie trzeba żadnych specjalnych zabiegów! Komu ta sprawa leży na sercu, niechby wbił sobie w pamięć jedyny sposób na ekspansję polskości: starać się o to, by polskość była mocną wśród Polaków. Im silniejszą, głębszą i wszechstronniejszą będzie kultura pośród Kujaw, na Mazowszu czy Śląsku, w Krakowskiem, czy w Wileńszczyźnie (która jest ziemią etnograficznie polską), tem silniej będzie się udzielała poza kresy. Bezpośrednie zabiegi o ekspansję kultury są prostą stratą czasu i energji. Pracujmy z całych sił pomiędzy rodakami i tylko pomiędzy nimi, a gdy praca ta będzie skuteczną, przy pewnym stopniu wzmocnienia kultury narodowej znajdzie się sam od siebie pewien stopień promieniowania.

Obszar kultury polskiej byłby bez porównania większy, gdyby nie to, że w samejże Polsce kultura ta okazuje dużo jeszcze miejsc słabych.

Oto drugie znowu ujęcie stosunku do większej od Polski całości, z którą pozostajemy w stosunkach. Ota-

czający nas świat dzieli się na dwie grupy cywilizacyjne: swoją i obcą, tj. łacińską i wszelką inną cywilizację. Obstając bez zastrzeżeń przy łacińskiej, musimy ją w samych sobie pogłębić i wzmocnić tak, iżby mogła promieniować z ognisk polskich na niepolskie, tak łacińskie, równomierne z nami, lecz słabsze, jako też na nierównomierne, na niełacińskie, rugując stamtąd cywilizacje inne. Z tego bowiem zdawać sobie trzeba sprawę, że musi następować proste rugowanie, a nie mieszanie cywilizacyj, nie nadających się do syntezy. Im bardziej zaś promieniowanie kultury polskiej mieści w sobie wyrok zagłady na cywilizację turańską i żydowską, tem bardziej unikać trzeba wszelkiego pozoru, jakobyśmy czynili o to starania — i tak niepotrzebne. Kultury się nie narzuca.

Wydoskonalenie polskości pociągnie za sobą automatycznie następstwa kulturalne na zewnątrz i polityczne. Wydoskonalenie to zaś polega na dalszem kształceniu kultury polskiej na tle wyłączności najzupełniejszej cywilizacji zachodnio-europejskiej, nie dopuszczającej innych wpływów cywilizacyjnych. Poucza nas bowiem historja, jako nie można próbować syntez z żadną z otaczających nas cywilizacyj obcych, z niczem orjentalnem.

Wynik tych spostrzeżeń stanowczy: wydoskonalenie polskości może nastąpić tylko na tle cywilizacji łacińskiej. Tylko pod warunkiem wyłącznego przejęcia się tą cywilizacją da się obwarować należycie niepodległość Polski. Zharmonizowanie polskiego Logosu i Ethosu dokonanem być może wyłącznie tylko w obrębie tejże cywilizacji.

Zharmonizowanie to stanowi szczyt pracy duchowej społeczeństwa. Rzecz prosta, że dokonywać się ono może wogóle nie tylko u Polaków, lecz u kogokolwiek tylko na tle jednej i tej samej cywilizacji. Cóżby to było, gdyby Logos pewnego społeczeństwa należał do jednej cywilizacji, a Ethos do drugiej? Tak właśnie zdarzyło się w Rosji XIX stulecia, czerpiącej Logos obficie z zachodniej Europy, podczas gdy Ethos trwało w turańszczyźnie:

to też przekazała ta mieszanina wiekowi XX. rozpasanie Ethosu i zanik Logosu.

Jednolitość cywilizacyjna jedyną drogą do rozwoju kultury i państwa kulturalnego. Nie można być cywilizowanym na dwa sposoby.

Co nie jest cywilizacyjnie jednolitem, to jest bez znaczenia dla postępu historycznego, i mieści w sobie zarodek śmierci.

Wszystkie sześć kategoryj kultury umysłowej i wszystkie trzy dziedziny twórczości kwitnąć mogą tylko na tle jednolitości cywilizacyjnej. W niej tajemnica silnych narodów. Tędy droga do siły prawdziwej, tj. wytrzymującej napór czasu. Siła narodowa musi być silniejszą od czasu, by starczyć potomnym. Będzie tem znaczniejszą, im na szerszej i głębszej oprze się podstawie. Jednolitość cywilizacji stanowi o pogłębieniu Logosu, o celowości zgodnego z nim Ethosu; a im wyżej wzniesie się Logos, tem dłuższą przyszłość obejmie Ethos, bo tem więcej mając do wykonania spraw w sobie jednolitych, jednakowym tokiem myśli posiłkować się musi, oparte o długotrwałość uznawania pewnych jednolitych pojęć. Siła narodowa na tem dłuższe starczy czasy, im więcej zgodności w rozmaitych objawach życia zbiorowego, im więcej współmierności pomiędzy prawem prywatnem a publicznem, i harmonji społeczeństwa z państwem.

Życie zbiorowe społeczeństwa cywilizowanego musi być obliczone na daleką metę, oparte o program działań na całe pokolenia. W cywilizacji łacińskiej, gdzie jednostkami względem jej całości są narody, zasadniczym warunkiem wszelkiego postępu jest spopularyzowanie ideału narodowego. Tam tylko sięga nasza cywilizacja, gdzie ludy przemieniają się w narody. Wymaga to mozołu całych wieków zapomocą kultury umysłowej, która sama potrzebuje dłuższego okresu, by dojrzeć i rozpowszechnić się. O ile postęp moralny, etyczny może w wyjątkowych razach być nagłym (t. zw. cudowne na-

wrócenia, momentalna poprawa), o tyle postęp umysłowy wyjątków takich zgoła nie zna i musi odbywać się stopniowo, z czasem się licząc.

Długa praca nad kulturą umysłową ludu, by go zamieniać w naród, musi obejmować wszystkie sześć kategoryj tej dziedziny. Czyż mogłaby być skuteczną, gdyby np. szerzyć oświatę według pojęć zachodnio-europejskich, a dobrobytu dorabiać się według zasad i pojęć cywilizacji żydowskiej, ludowość zaś organizować według wymogów turańskich? Taka metoda prowadziłaby do straszliwego rozstroju społeczeństwa, a w następstwie do upadku państwa. Tylko jednolitość cywilizacyjna zapewnia skuteczność zabiegów około kultury umysłowej. Jakżeż możnaby też wytwarzać w ludzie ideał narodowy na podstawie pojęć żydowskich lub turańskich, skoro w cywilizacjach tych niema całkiem pojęcia narodowości? Wszystko tedy, cokolwiek podejmuje się na obszarach cywilizacji łacińskiej w niezgodzie z jej pojęciami, jest w najlepszym razie straconym zachodem, o ile nie jest działaniem wręcz szkodliwem.

Im zupełniejszą jest cywilizacja w danym swym stanie, tem dłuższego wymaga czasu na wykonanie wszystkiego tego, co uważa za wskazane, bo tem więcej dziedzin życia pragnie doskonalić, wprowadzając przytem w społeczeństwo coraz więcej zróżniczkowania. Im głębszą zaś jest cywilizacja, tem bardziej zmierza do zmian dla udoskonalania życia zbiorowego, tem mniej skłonna jest uważać coś za wykończone, za niepotrzebujące już ulepszeń.

Wykończonem może być tylko coś, co rozwinąwszy się do pewnego stopnia, dalszego rozwoju już nie potrzebuje. Tak np. wykończone mogą być dzieła sztuki, lecz nigdy sztuka sama. Cokolwiek stanowi cząstkę życia zbiorowego, w cywilizacji łacińskiej nie może być uważanem nigdy za wykończone. Jest to cechą tej cywilizacji, że jej życie zbiorowe, w przeciwieństwie do prywatnego, nie widzi przed sobą końca rozwoju. Może być

doprowadzony do doskonałości „żywot człowieka poczciwego“, iż nie możnaby go sobie wyobrazić lepszym w danem pokoleniu; gdyby atoli społeczeństwo jakie uznało się za doskonałe, zastój byłby nieuchronnym skutkiem tego. Tu napotykamy na zasadniczą różnicę etyki życia prywatnego a publicznego: O ile obowiązkiem człowieka prywatnego, w życiu indywidualnem, jest pamiętać o przyrodzonym końcu swoim, o „rzeczach ostatecznych“, o tyle obywatel przeciwnie, ma się zachowywać wobec społeczeństwa i państwa, jakoby wobec związków wiecznotrwałych. Człowiek jest śmiertelny, ale obywatel nie. A skoro obywatel winien postępować, jakby miał żyć wiecznie, skoro działalność jego ma być oparta na obcowaniu pokoleń, im na dłuższy obliczona czas, tem bardziej wystąpi w niej najaw rozdźwięk pojęć, gdy nie przestrzega się jednolitości cywilizacyjnej. Linje rozbieżne rozbiegają się tem bardziej, im dłuższe. Im śmielsze przedsięwzięcia kulturalne, tem bardziej pomyślność ich zawisła od zharmonizowania pojęć, a zatem tem bardziej stają się niewykonalnemi poza jednolitością cywilizacyjną.

Życie zbiorowe wymaga organizacji. Zdolność organizacyjna jest zdolnością zdolności, stanowi amulet powodzenia. Czyż można organizować się równocześnie według rozmaitych zasad, rozmaitych metod? Gdzie tedy zachodzi niejednolitość cywilizacyjna, tam zmysł organizacyjny wykształcić się nie da, a skutkiem tego niema tam zgoła pola do rozwoju życia zbiorowego. Chwila zastanowienia nad tem starczy, by ujrzeć całą niemożliwość nadania społeczeństwu jakiejś zwartości, a państwu siły, jeżeli się grzeszy przeciw jednolitości cywilizacyjnej. Jeżeli jednostka nie może być cywilizowaną na dwa sposoby, toć tem bardziej państwo. Każda bowiem cywilizacja ma swoją odrębną metodę organizacyjną. Inaczej organizuje się Turańczyk, inaczej Żyd, a inaczej zgoła Francuz lub jakikolwiek inny naród cywilizacji łacińskiej; odmiennie Niemiec, dotknięty cywilizacją bizantyńską, odmiennie zaś rodak jego z południa.

Zdolność organizacyjna jest jakoby polityką każdej sprawy, w całości też do Ethosu należy, stanowiąc najwyrazistszy jego wykładnik. Po stopniu zmysłu organizacyjnego poznajemy stopień zdatności politycznej, stopień Ethosu. Organizacja stanowi o wykonalności i skuteczności czynu.

Nastąpiłby przeto rozłam cywilizacyjny i cofanie się społeczeństwa do rzędu prymitywnej społeczności, gdyby organizacja dokonywała się na podstawie innej cywilizacji, niż samo życie. Podziwu godne jest wspaniałe Ethos wielkopolskie, ale też tam najmniej z całej Polski... kompromisów cywilizacyjnych.

Cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna nie celowała nigdy siłą, i w zetknięciu z innemi rzadko wytrzymywała napór. Słabość stosunkowa Ethosu zdaje się być cechą tej cywilizacji. Z przodownictwa Logosu płyną jej zalety wybitne, a że obok zalet muszą być wady, i to tem bardziej, im wybitniejsze zalety, z zapewnionego Logosowi pierwszeństwa wyniknęło wadliwe zaniedbanie Ethosu, częściowe lekceważenie go, aż doszło do tego, iż Ethos naszej cywilizacji stanowczo jest za słabe, za mało rozwinięte, ażeby utrzymać w normalnym rozwoju wszystkie cenne zdobycze rozrośniętego Logosu. Narody cywilizacji łacińskiej będą musiały stanowczo dbać bardziej, niż dotychczas, o kształcenie woli, jeżeli cywilizacja nasza ma być ochroniona od zagrażającego jej osłabienia.

Upadek cywilizacji może bowiem pochodzić nie tylko z upadku jej treści, z upadku Logosu, lecz również z upadku Ethosu, choćby Logos ciągle stał jak najwyżej. Można mieć wiele w duszy, i ze skarbami temi zginąć, gdy brak sił do istnienia. Może Logos p h i l o s o p h a r i, ale bezskutecznie, jeżeli i Ethosowi nie uda się v i v e r e. Na upadek skazana jest cywilizacja, w której szwankuje organizacja lub dobrobyt, chociażby duchowo cywilizacja ta wznosiła się coraz wyżej. Nie uwzględniają tego historycy, że dłuższy rozwój samego tylko Logosu bez równoczesnego rozwoju Ethosu kryje w sobie zawsze nie-

bezpieczeństwo dla samego bytu. Ethos nie śmie być zacofanem wobec Logosu, bo inaczej i Logos przepadnie. Logos ma tylko o krok kroczyć przed Ethosem, ale Ethos ma ciągle za Logosem kroczyć, nie ustając nigdy w swym rozwoju.

Zawsze Ethos cywilizacyj azjatyckich przeważało nad zachodnio-europejskiem, ale bo też w Azji Ethos posiadało i posiada stanowczą hegemonję nad Logosem; nic więc dziwnego, że w Azji więcej mieści się siły, niż w Europie. Ale nawet druga cywilizacja europejska, bizantyńska, okazywała się silniejszą od łacińskiej; w wiekach średnich poczynała ją wypierać nawet z krajów zachodnich, a potem kultura bizantyńsko-niemiecka i bizantyńsko-turecka omal nie zniszczyły łacińskich kultur w Europie. Za naszych dni cofa się cywilizacja nasza na każdym a każdym kroku przed żydowską i... nie jest bynajmniej ubezpieczona od upadku. Ethos nasze jakżeż mizerne wobec ich Ethosu!

Skutkiem nadwerężenia stosunku pomiędzy dwiema kategorjami człowieczeństwa słabnie nasza cywilizacja (któż tego nie widzi?) i dochodzi już nawet do początków rozłamu cywilizacyjnego, od którego wywodzi się potem w następstwach dalszych rozkład. Czuwajmyż nad początkami rozłamu i usuwajmy zawczasu jego korzenie, żeby potomni nie musieli stać bezradnie wobec rozkładu, na który radzić byłoby za późno.

Doprawdy, nie musi Europa czekać najścia bolszewizmu, żeby doczekać się ruiny swej cywilizacji. To bowiem, co zgnębiło Rosję, rozłam cywilizacyjny, rozterka kultur — nie jest rosyjską wyłącznością. W stopniu początkowym można to obserwować w całej Europie jako nieporozumienia cywilizacyjne.

Czy ta nasza Europa ma prawo zaliczać się do chrześcijaństwa? Dużo w niej ducha Chrystusowego? Równocześnie należy się obecnie do dwóch cywilizacyjnych obozów: do chrześcijańskiego i antychrześcijańskiego. Cudaczne połączenie etyki chrześcijańskiej w życiu ma-

łem, potocznem, z wyzbyciem się wszelkiej etyki w życiu wielkiem, publicznem — to jest absurd, który sprowadził wojnę najstraszliwszą ze wszystkich, jakie wiadome są pamięci dziejów, a jeżeli potrwa jeszcze dłużej, sprowadzi ostateczną katastrofę na upierających się przy absurdzie.

Jak Rosja musi się przedtem zdecydować między turańskością a europejskością, zanim zdoła się odradzać i jeżeli ma wogóle być czemś zdatnem do życia, podobnież Europa nie zakończy swych przesileń, lecz popadać będzie w coraz cięższe, dopóki też nie zdecyduje się i albo nie porzuci całkiem chrześcijaństwa i przyjmie jakąś nową cywilizację antychrześcijańską, albo też zaprowadzi chrześcijaństwo bezwzględnie, bez wyjątków, także w życiu publicznem. Tertium non datur. Jeżeli pierwsza z tych alternatyw jest tylko teoretyczną, w takim razie czekać nas może tylko przejście do stanu rozkładu.

Z losu Rosji niech czerpią naukę wszyscy.

Ethos czerpie znaczną część swej siły z etyki, która jest w każdej cywilizacji inną, odmienną. Uczciwym można być bezwarunkowo we wszystkich cywilizacjach, ale z niejednakową uczciwością. Kilka zaledwie prymitywnych uczciwości prawideł (nie kradnij, nie oszukuj i t. p.) stanowi wspólną dla wszystkich podstawę; ale w wyższem przęśle etyki zachodzą różnice walne. Dlatego to w życiu prywatnem można stawiać najzupełniej narówni ludzi (uczciwych) z rozmaitych cywilizacyj, ale w publicznem wychodzi najaw cała nierówność. Np. n a k a z islamu szerzenia wiary mieczem, a t o l e r o w a n i e tego rodzaju nawracania w chrześcijaństwie zachodniem (Krzyżacy) do pewnego stopnia rozwoju; zasadnicza dopuszczalność tolerancji religijnej w cywilizacji łacińskiej, a również zasadnicza jej niedopuszczalność w bizantyńskiej, nie mówiąc już o muzułmańskiej. N a k a z w całem chrześcijaństwie, żeby za bliźnich uważać wszystkich ludzi, i ograniczenie tegoż pojęcia do współwyznawców w cywilizacji żydowskiej, a nawet u niektórych kie-

runków judaistycznych zakaz zachowywania etyki wobec „gojów". W cywilizacji łacińskiej, nie tylko w katolicyzmie, n a k a z wyznawania usque ad effusionem sanguinis, a w bogomilstwie bizantyńskiem upoważnienie nie tylko do zatajania przekonań wyznaniowych, ale nawet do udawania, że się przynależy do wyznania, mającego za sobą władze rządowe.

Ile rodzajów etyki, tyleż Ethosu, które tylko w zgodzie z etyką zdoła wydać rezultaty znaczniejsze i trwalsze w życiu zbiorowem, bo tylko w zgodzie z pojęciami etycznemi zdoła zorganizować masy do czynu. Bez tego warunku niema budowy żadnej a żadnej cywilizacji; poza etyką może być tylko stan akulturalny, jak np. bolszewizm, dzicz. I ta dzicz musi przyjąć wkońcu jakąś etykę, jeżeli ma się ustalić choćby w społeczność zdziczałą.

Od etyki zależy zapał, gorliwość, poświęcenie, wiara w dobroć, a choćby tylko we właściwość, w trafność czynu; a bez tych walorów nie da się zorganizować żadna społeczność; ani nawet hordy nie uda się utrzymać w gromadzie przez czas dłuższy bez tych przymiotów, choćby w najgrubszej postaci.

Nie może więc wykształcić się Ethos należycie tam, gdzie zachodzą dwie etyki i wzajemnie sobie zawadzają; dlatego to silne Ethos możebne jest tylko przy ścisłem, bezwzględnem przeprowadzeniu jednolitości cywilizacyjnej.

W wysubtelnionych stanach cywilizacyjnych motorem czynów bywa opinja publiczna. Widzimy wszyscy, jak ona słaba np. w Polsce, a jak osłabia się nawet tam, gdzie była najsilniejszą, w Anglji. Przyczyna nie w czem innem, jak w nieporozumieniach cywilizacyjnych, w nieścisłościach etycznych, nieuniknionych, gdy się czerpie etykę to z tego, to z owego źródła... Jeszcze jedno pokolenie takiego liberalizmu etycznego, a zacznie się rozłam cywilizacyjny na dobre.

Początki rozstroju cywilizacyjnego obserwować można w naszych czasach dokładniej na wahaniach, przez jakie przechodzi pojęcie własności.

Cywilizacja nasza oparta jest na własności osobistej, zwłaszcza na pełnej własności ziemskiej. Gdyby który z narodów europejskich wyzbył się ziemi, przestałby należeć do cywilizacji zachodnio-europejskiej. Tymczasowość osiedlenia, koczownictwo (choćby z całym komfortem) wyklucza samą nawet możliwość cywilizowania się po zachodnio-europejsku, a zdaje się, że cywilizacja bez własności, a nawet tylko z własnością niepełną, niemożliwa jest wogóle na tle chrześcijańskiem. Nasza cywilizacja i pod tym względem jest chrześcijańsko-klasyczną, że jak rzymska obstaje przy własności, a klasyczną własnością jest dla niej własność ziemska, wogóle pełna własność nieruchomości.

Zdatność do snucia wątku w obrębie tej cywilizacji musi przeto być proporcjonalna w stosunku prostym do uznawania takiej własności, do przywiązywania do niej wagi, a więc proporcjonalna do przywiązania do ziemi. Im bardziej nabiera własność ziemska pretium affectionis. tem głębsze korzenie cywilizacji łacińskiej; zlekceważenie tej własności podkopuje cywilizację.

Nas próbowano wyzuwać z ziemi nie raz jeden. Wychodziły na polską własność ziemską zamachy ze strony kultury turańsko-słowiańskiej i bizantyńsko-niemieckiej, z Rosji i z Prus. Kontrybucja, konfiskaty, majoraty czynownicze, umyślne poplątanie własności służebnościami, a niedopuszczanie do komasacji — oto sztuczki rządu rosyjskiego. Systematyczniej brali się do rzeczy bizantyńcy berlińscy. Fryderyk II. demokratą się zrobił, bo pozwalał nawet mieszczanom kupować ziemię, ale tylko od Polaków; kazał też wykupywać dobra dla skarbu państwowego od szlachty, ale tylko od polskiej. Po r. 1830 Flotwell wyznaczył miljon talarów na wykupno dóbr polskich, ażeby odprzedawać je następnie Niemcom, lecz z zastrzeżeniem, że nie wolno odprzedawać ich dalej Polakowi. Odtąd robił rząd wszystko, co tylko było fizycznie w jego mocy, żeby uszczuplić polską własność. W r. 1886 należało do Polaków w Poznańskiem 47,5 wiel-

kiej własności ziemskiej, a w Prusiech Królewskich tylko 26%. Do roku 1895 straciliśmy dalszych 60.000 ha, ale potem zmieniły się okoliczności. W latach 1896—1912 wynosiła nadwyżka po stronie polskiej 100.000 ha, tak iż był nawet zysk 40.000 ha, jakkolwiek ponieśliśmy mimo to znaczne straty narodowe, bo przybyło jednak kilkadziesiąt tysięcy ludności niemieckiej, dzięki osławionej komisji kolonizacyjnej. Ucisk pruski zaostrzał się coraz bardziej, aż w r. 1904 wyszły ustawy o wywłaszczeniu na cele owej komisji i zakaz nowych osiedli dla Polaków. A jednak miało się okazać, że w obrębie cywilizacji zachodniej idea, byle nie brak było poświęcenia, zwycięży zawsze nad brutalną przemocą, czczoną tak wysoko we wszystkich kulturach bizantyńskich — i ostatecznie żywioł polski wychodził z tej walki o ziemię wzmocniony i moralnie i ekonomicznie.

Ta walka o ziemię, to nasza legitymacja cywilizacyjna. „Jest wiele w tysiącletnich dziejach naszych równie chlubnych czynów, ale niema chlubniejszego. Przeprowadziliśmy tu bowiem dowód wysokiej wartości naszej jako narodu, jako typu społecznego i kulturalnego, wobec całego świata w warunkach tak trudnych, w jakich jeszcze żaden naród w historji świata go nie przeprowadził. Ma to znaczenie bezpośrednie dla nas jako tytuł do samodzielnego bytu, równego traktowania z innemi narodami, a także ma pierwszorzędne znaczenie ogólne dla socjologji i historji, a w następstwie i dla praktycznej polityki: uczy bowiem, co znaczy wola narodu kulturalnego i jak daleko sięga wola i przemoc państwa nowoczesnego".

W ciężkiej walce o ziemię brał udział cały naród polski, a nie tylko zagrożona bezpośrednio warstwa ziemiańska; rozumieliśmy bowiem, że chodzi tu o interesy nie osobiste czyjeś, ani o wygodę pewnej grupy społecznej, lecz o dobro całego narodu. Interes jednej warstwy stał się zarazem interesem ogółu, interesem pierwszorzędnym warstw wszystkich, i to we wszystkich prowincjach polskich. Nie było takiego Polaka, któryby nie był intere-

sowanym w walce o ziemię w Wielkopolsce i Krajach Zabranych.

Mieściło się w tem przeświadczenie o niemożliwości, żeby istnieć mógł naród bezziemny, nie oparty o własność ziemską. Zamach na tę własność zrozumiano jako zamach na narodowość. I słusznie. W cywilizacji łacińskiej wykluczone jest pojęcie narodu bezziemnego. Inne cywilizacje poprzestają na własności względnej, warunkowej; nasza wyzbyła się ograniczeń własności (feudalnych). Dwie cywilizacje obchodzą się bez stałej własności ziemskiej: mongolska i żydowska. Ta upraszczała się z biegiem wieków coraz bardziej, aż doszło do tego, iż jej własność nieruchoma wogóle niepotrzebna. Żydzi nabywają ją wyłącznie dla eksploatacji, ale nie przywiązują do ziemi pretium affectionis; bo też społeczeństwo żydowskie nie zmieniłoby się w niczem, gdyby żaden Żyd nie posiadał nieruchomości, podobnież jak nie zmieniło się przez ich nabywanie. Cechy cywilizacji żydowskiej stoją poza obrębem bezwzględnej własności ziemskiej. Znaną jej jest tylko własność względna, a raczej tylko używalność.

Otóż pod coraz silniejszym naporem cywilizacji żydowskiej na chrześcijańsko-klasyczną zmienia się też w Europie pojęcie własności ziemskiej stopniowo z bezwzględnej na względną. Doznaje coraz wyraźniejszych wahań od rzymskości ku semickości, czego dowodem rozmaite metody „reform agrarnych". Z własnością nieruchomą po miastach postępuje się w taki sposób, jak gdyby się umyślnie dążyło do tego, ażeby obmierzić posiadanie domu każdemu porządnemu człowiekowi, a zrobić z tego monopol spekulantów, którym wszystko obojętne, byle spekulacja szła[1]). Doprawdy, nieopatrzność taka

[1]) Przypominam, że niedawno działo się coś podobnego w Warszawie; dla uniknięcia szykan policyjnych wiele osób wolało dać pieniądz na hipotekę spekulantom z pod ciemnej gwiazdy, niż samemu dom nabyć i narażać się władzy.

równa się już pędzeniu naoślep w objęcia cywilizacji żydowskiej..... A że na równi pochyłej niesposób utrzymać się stale na pewnym punkcie, lecz następuje ześlizgiwanie się coraz niżej, względność w pojmowaniu własności przechodzi i na nieruchomości. Sam rząd podkopuje pojęcie własności, gdy np. ogłasza, że nie przyjmuje się odpowiedzialności za całość posyłek kolejowych lub pocztowych. Jest to doprawdy straszliwe igranie z ogniem, takie podmywanie zgóry zasad etycznych.

Zachowały nas losy od „narodowego“ wyznania, abecadła, kalendarza; danem nam było oprzeć narodowość swą nie na szychu, lecz na litym kruszcu rzetelnej, pełnej cywilizacji zachodniej, nie róbmyż się sami wykolejeńcami!

Dzisiaj, gdy wszystko zawisło od tego, czy potrafimy się należycie zorganizować, czyż mamy wyrabiać w sobie zdolność zdolności może na rozdwojeniu cywilizacyjnem? A nie brak, niestety, poczynań nieroztropnych, gotowych pociągnąć za sobą dezorganizację życia publicznego. A że organizacji brak nam na każdym kroku, we wszystkich bez wyjątku dziedzinach życia, od nauki do przemysłu, od rolnictwa do sztuki, nie możemy tedy sami siebie zebrać do jakiejś działalności planowej, celowej, a skutecznej, bo jakżeż może być kultura czynu bez organizacji? Pleciemy smalone duby o jakimś „nadmiernym indywidualizmie“, gdy tymczasem rzecz w tem, że rzadko który Polak wie, czego właściwie chce i w jakim celu? Miesza nam się indywidualizm z dezorganizacją umysłów, która świadczy właśnie o... braku wybitnych indywidualizmów. Bo też powstawać one mogą tylko tam, gdzie się przestrzega ostro jednolitości cywilizacyjnej.

Zdezorganizowanie życia zbiorowego jest nieuchronnem, gdziekolwiek ono nie należy w całości do jednej wyłącznie cywilizacji.

Może być w jednem państwie doskonale kilka narodów (wymaga to tylko większej inteligencji od rządzą-

cych), ale nie może być na stałe dwóch cywilizacyj bez największego niebezpieczeństwa dla państwa. Nawy państwowej nie można kierować równocześnie w dwu kierunkach; wywróci się od takiego eksperymentu. Ani nawet zamieszkiwać kraju nie mogą zwartemi masami wyznawcy różnych cywilizacyj bez największej szkody tegoż kraju. Jeżeli bowiem dążenia rozbieżne różnych cywilizacyj będą równouprawnione, nastąpi dezorganizacja i upadek; jeżeli nie będą równouprawnione, słabsza kopać będzie dołki pod silniejszą, a wiadomo, że szkodzić może każdy.

Miejmy też na uwadze prawo historyczne, że cywilizacje stykające się ze sobą muszą z sobą walczyć. Walka trwa dopóty, póki jedna nie zapanuje nad drugą z całą bezwzględnością. Równouprawnienie dążeń cywilizacyjnych stanowić może tylko stan przejściowy, jako złudzenie doktrynerskie. Gdy słabsza wzmoże swe siły, sama przystąpi do walki zaczepnej z tamtą, która była silniejsza. Na nic wszelkie starania, by walkę wstrzymać; ona trwać m u s i; to jest v i s m a i o r.

Postęp nie polega wcale na tem, by nie było walki pomiędzy cywilizacjami, bo stan taki wróżyłby martwotę kulturalną — lecz na tem, żeby ta walka nieuchronna prowadzoną była w sposób coraz bardziej cywilizowany, ażeby zamieniała się na uczciwe współzawodnictwo. Ale nie sądźmy, że złagodzenie form walki mogłoby w tym wypadku złagodzić jej treść...

Jak dotychczas, tylko cywilizacja łacińska okazała skłonność uwzględniania odrębności cywilizacyjnych, dopuszczając nawet odmienne cywilizacje na swe obszary. To też dwa razy już cofała się przed niższemi: raz przed bizantynizmem, i za naszych czasów przed judaizmem; związki bowiem z niższością wychodzą zawsze na korzyść niższości. Skłonność do takich związków stanowi słabą stronę naszej cywilizacji.

Kwestja państwa o dwu cywilizacjach wiedzie do zagadnienia t. zw. ludności mieszanej jako swego ułamka.

Poruszona kwestja rzadko bowiem występuje w całej jaskrawości przeciwieństw; często natomiast występuje w zmniejszeniu jako niewielkie stosunkowo przeciwieństwo dwojga kultur jednej i tej samej cywilizacji, zwłaszcza odmienności dążeń dwóch lub więcej narodowości, zamieszkujących ten sam kraj.

Chcąc wejść krytycznie w ten poddział kwestji, trzeba wpierw roztrząsnąć zagadnienie obszaru i zaludnienia.

2. Problem ludności a obszaru.

Na drodze do syntezy rozważanych dotychczas czynników doszliśmy do tego, że regulator najwyższy historji, jakimkolwiek byłby, musi działać na tle jednolitości cywilizacyjnej, która stanowi jego podłoże i pierwszy zarazem warunek. Bez tej jednolitości niema twórczości, ni nawet kultury umysłowej.

Znaczenie narodu, dodatnie lub ujemne, zależy od tego, czy jest cywilizacyjnie jednolitym, czy różnorodnym, od stopnia tej jednolitości lub różnorodności, a przynajmniej niejednolitości. Stopień znaczenia pozostaje zaś w związku z pewnemi warunkami, dotyczącemi zaludnienia i obszaru.

Mylnem jest rozpowszechnione mniemanie, jakoby stopień znaczenia pewnego narodu zależał od jego liczebności.

Kult liczby, doszedłszy już do ostatecznych konsekwencyj, zrównał się za naszych czasów z absurdem i wywołuje rewolucję pojęć niepotrzebną, gdyż nasuwa pojęcia fałszywe. Obliczenia statystyczne demograficzne stały się całkiem niepotrzebnie przedmiotem nadziei i trwogi w zapasach międzynarodowych. Niepotrzebnie żałowano „biednej“ Francji, że się „wyludnia“, a Niemcy niepotrzebnie obawiali się polskich „królików“, bo gdybyśmy nie posiadali innych przymiotów, z tym niedaleko zaszlibyśmy w historję. Ogromnie też przesadną przywiązywaliśmy wagę do tego, czy

nas jest 23, czy 25 miljonów. Przysięgano jak na artykuł wiary, że Rosja ma pomimo wszystko zapewnione wybitne miejsce w historji, bo liczy się Rosjan na 60, a może nawet 80 miljonów. Ale co to wszystko znaczy wobec liczebności Chińczyków; gdy tam spojrzeć, cała Europa staje się w jednej chwili „biedną", skazaną na podbój i uciemiężenie przez rasę żółtą...

Takie są mniemania powszechne, oparte na przesadnej wierze w potęgę cyfr. Podzielono narody na silne i słabe, czyli wielkie i małe, według ich liczebności. Procent przyrostu ludności bada się ze skrupulatnością lekarza, mającego ułożyć diagnozę. Uczeni czescy obmyślają nawet teorję „problemu małego narodu", my zaś wahamy się, czy Polskę ustawić na szarym końcu „wielkich" narodów, czy też zająć pierwsze miejsce wśród „małych".

Doktrynerstwo liczby pozbawia coraz bardziej jasnego sądu. Doświadczenie historji woła jednak wielkim głosem, że Portugalczycy, Holendrzy wytwarzali wielkie potęgi, chociaż nigdy nie byli licznymi. Wenecja była mocarstwem, równorzędnem cesarstwu niemieckiemu. Hiszpanji, Polsce Zygmunta III. i Władysława IV. (a wszakżeż to prawdziwy złoty okres historji polskiej). Garstka Anglików panuje nad mrowiem miljonów w Indjach, na mniejszą skalę mieliśmy dwa przykłady w Europie: w Austrji panowała mniejszość niemiecka, na Węgrzech madjarska. Najjaskrawszego przykładu dostarcza atoli fakt, że wszystkie narody starego i nowego świata zmuszone są liczyć się z nielicznym żywiołem żydowskim.

Cała historja powszechna nie zna ani jednego trwałego zjawiska politycznego lub społecznego, któreby się tłumaczyło przewagą prostą liczby nad liczbą, a jednak za naszych czasów wierzy się, że przyszłość narodów zależy od stopnia rozradzania się!

Fałszywe wnioski, wysnute z liczb, stosuje się już w dziedzinach najmniej do tego nadających się. Nie tyl-

ko przypisuje się większą zdolność do zwyciężania armji liczniejszej, ale wytwarza się podziw dla kultury niemieckiej, bo... książek niemieckich wychodzi do roku znacznie więcej niż francuskich.

Ilość może być decydującą tylko przy równej jakości, a zresztą jest wobec jakości okolicznością podrzędną. Gdzie jakość licha, tam ilość (czy to przestrzeni, czy ludności, czy wojska, czy wreszcie książek) staje się okolicznością u t r u d n i a j ą c ą tylko rozwój. Wielkomiljonowość może być kulą u nóg w pochodzie dziejowym. Statystyka liczy bowiem cufemicznie na „głowy", ale biorąc rzeczy ściśle, są to właściwie nie „głowy", lecz... żołądki.

Wszelka jednostka nie przyczyniająca się niczem do dobra pospolitego, jest zawadą i szkodnikiem w organizmie społecznym, zmusza bowiem społeczeństwo, żeby się z nią liczyć jako z konsumentem, podczas gdy jednostka taka nie liczy się wcale ze społeczeństwem, a częstokroć działa na jego szkodę. To nieprawda, jakoby sam fakt czyjegoś istnienia pomnażał zasoby ogółu! - a czyż na dnie wiary w skuteczność liczebnej przewagi nie kryje się taka nierozsądna teza?

Obok przeludnienia fizycznego, liczbowego istnieje przeludnienie moralne, tj. zbyt wielka mnogość obojętnych na dobro ogółu; ilość większa, niż organizm społeczny strawić zdoła. Fizyczne przeludnienie bywa nieraz pobudką do szukania dróg nowych i staje się fundamentem ekspansji narodowej, ale tylko natenczas, jeżeli społeczeństwo jest zdrowe. Przeludnienie moralne sprowadza zawsze upadek sprawy publicznej i to tem dotkliwszy, głębszy, cięższy, im liczniejszym jest ten naród.

N a r o d o m n i e l i c z n y m ł a t w i e j p o d n i e ś ć s i ę z u p a d k u, n i ż l i c z n y m. Czesi zadziwili świat, ale u Czechów niema przeludnienia moralnego; ilość osób nie zajętych niczem przy warsztacie służby narodowej jest tam procentowo jak najmniejsza. Społeczeństwo, nie wlokące za sobą ogona nieużytków, kroczy raź-

no. Są zaś z drugiej strony społeczeństwa, zmuszone nieraz stosować swe ruchy do tego ogona. Tak było np. w jednej części Polski w r. 1846 — w innej zaś części kraju w zmarnowanych sromotnie latach 1905—1908; żywioły nie uznające, poczęści nie znające ideałów narodowych, zdecydowały o położeniu narodu.

Naród nie może wyrzucić z siebie balastu jak statek, musi przeto albo przerobić go na siłę społeczną dodatnią, albo dać mu się pociągnąć na dno. Wielka ludność, a na niskim poziomie obywatelskim, toć ze wszystkich blichtrów najniebezpieczniejszy. Życie narodu musi się bowiem stosować do swej liczby, będąc od niej niewolniczo zależnem — ale niekoniecznie czerpie z niej soki ożywcze; niestety, częstokroć soki zgniłe.

Gdyby to mogło być zależnem od ludzkiej woli, lepiej byłoby pomniejszyć ilość miljonów zaludnienia, o ile to miałoby wpłynąć na procentowe zmniejszenie się przeludnienia moralnego...

Nie liczba stanowi więc o powodzeniu narodów, lecz stosunek jakości do ilości bez względu na ilość.

Wypływa z tego utrudnienie dla narodów płodnych, a mianowicie, że robią postępy wtedy tylko, gdy praca społeczna, czyniąca z mieszkańców obywateli, odbywa się w tempie szybszem i wydatniejszem od przyrostu ludności. Trzeba pracą wyprzedzać własne rozmnażanie się, inaczej im więcej rodaków, tem gorzej narodowi, bo tem niżej spadnie wypadkowa sił społecznych.

Gdyby narodowi francuskiemu nie przybywało nic a nic energji, wiedzy, oszczędności, zmysłu publicznego i patrjotyzmu, przymioty te winnyby utrzymać się jednak przynajmniej niezmniejszone, na tym samym stopniu siły społecznej i politycznej — dopóki nie przybywa ludności. Gdyby zaś okazało się, że Francuzom ubywa lud-

ności, a przybywa zalet obywatelskich, w takim razie należałoby wnioskować, że Francję czeka nowy okres świetności.[1])

Od sprawy o liczebność ludności oddzielić atoli należy kwestję gęstości zaludnienia. Może nieliczny naród posiadać gęstość znaczną (Holendrzy, Duńczycy), a nadzwyczaj liczny odznaczać się rzadkością zaludnienia (Rosjanie). Jedno nie ma nic do drugiego.

O ile liczebność sama nie stanowi o niczem, o tyle sama gęstość działa automatycznie, sama przez się, a działa z reguły korzystnie. Wszystko, co ludzkie, ma także strony ujemne, więc ma je także nadmierna gęstość zaludnienia, ale stanowią one drobnostkę w porównaniu z olbrzymiemi korzyściami. Jedno tylko zastrzeżenie uczynić należy: gęstość ludności nie może być przymusową, to znaczy, że z obszaru o wielkiej gęstości zaludnienia musi być zawsze wolny i łatwy odpływ dla liczby nadmiernej, dla przeludnienia. Gdzie tego warunku brak, gęstość wzrasta nie przez działanie warunków normalnych, lecz anormalnych — to też i skutki mogą być anormalne. Przykładu dostarcza choćby smutna historja wzrostu ludności w Warszawie, nadmiernego i nagłego, spowodowanego przez rząd rosyjski umyślnem,

---

[1]) Aż do tego miejsca jest ustęp o „Zaludnieniu“ przedrukiem z artykułu p. t. „Liczebność a siła narodu“, umieszczonego w warszawskiem „Słowie“ w numerze 178 z d. 21 kwietnia 1910. — Dodano tam jeszcze:

„Inaczej ma się rzecz z Niemcami, których ludność wzrosła tak bardzo w ostatniem pokoleniu. Mogą one być dziś (1910) również silne, jak za dni Sedanu, tylko pod tym warunkiem, jeżeli pomnożyły swą siłę społeczną jeszcze bardziej od przymnożenia ludności. Gdyby się okazało, że Niemcy dzisiejsze pozostały na poziomie z r. 1870, byłoby to już zastojem i cofnięciem się, a gdyby się okazać miało, że suma sprawności obywatelskiej jest tam dziś mniejszą, niż była wówczas, byłoby to bardzo złowróżbnem dla przyszłości Niemiec. Nie znając stosunków Rzeszy Niemieckiej należycie, nie mogę wypowiedzieć zdania w tej mierze; w Austrji jednak siła społeczna Niemców upada, i to szybko.“

przymusowem niemal skierowaniem na Warszawę „litwaków".

Zgęszczenie się ludności jest nieodzownym warunkiem, żeby społeczeństwo wyszło ze stanu prymitywnego. Pomiędzy stopniem gęstości zaludnienia a stopniem kultury danego społeczeństwa istnieje ścisły związek. W obrębie danej cywilizacji stoi kultura najwyżej tam, gdzie najgęstsza ludność (biorąc przeciętnie oczywiście), najniżej zaś przy ludności najrzadszej.

Sama zamożność społeczeństwa wymaga koniecznie odpowiedniego zagęszczenia ludności o mieszanym typie zarobkowania, z pewnem przynajmniej zróżniczkowaniem ekonomicznem. Gęstość działa automatycznie. Nie wyjdzie społeczeństwo ze stanu prymitywnego, póki się zaludnienie nie zgęści odpowiednio; naodwrót zaś, społeczeństwa, które osiągnęły nawet wysoki już stopień kultury, cofają się raptownie, gdy spadnie na nie klęska wyludnienia. Pewnemu stopniowi kultury odpowiada bowiem pewien stopień gęstości zaludnienia, a zmiana w tej dziedzinie pociąga za sobą zmianę i w tamtej.

Polska przechodziła niestety kilkakrotnie przez klęski wyludnienia. Najazd Brzetysława czeskiego wyludnił Wielkopolskę 1036 r., a Śląsk ucierpiał tak dalece od napadów niemieckich i czeskich, iż stawszy się najuboższą, bo najbardziej wyludnioną dzielnicą polską, musiał uciec się do obcego osadnictwa, zagrożony całkowitą ruiną. Niebawem znaczna część Polski musiała Śląsk naśladować, gdy najazdy tatarskie sprowadziły ogólne wyludnienie. Skutkiem tego rozwój miast polskich przerwał się nagle, i staliśmy się na nowo społeczeństwem wiejskiem. Ludność polska rzuciła się cała do ziemi, leżącej odłogiem, i nie zdołała nawet uprawić jej całej: nawet w osadnictwie wiejskiem trzeba było sięgnąć po niemieckiego osadnika. Ileż pokoleń minęło, zanim zdołano naprawić te szkody.

Wznieśliśmy się do znacznego stopnia zamożności i na wysoki szczebel kultury, podoławszy wysiłkom nielada, gdy znów w XVII w. „potop" sprowadził straszliwy upadek gęstości zaludnienia, nieuchronny po kilkudziesięcioletnich wojnach. Epilog stanowiło przesilenie pieniężne lat 1663—1669, kiedy to w ciągu sześciu lat spadł kurs pieniądza o 100% i Polska nagle przestała być krajem zamożnym. Nie brakło następstw społecznych, politycznych i kulturalnych. Zubożenie kraju podniosło na wewnątrz znaczenie możnowładztwa, z ustroju demokratycznego przeszliśmy do oligarchicznego, na zewnątrz nastąpił szybki upadek stanowiska mocarstwowego Polski, a zarazem upadek szybki piśmiennictwa i nauki.

Dorobiliśmy się na nowo najpierw dobrobytu, a następnie odrodzenia oświaty, lecz potęgi politycznej odzyskać nie zdążyliśmy; doścignęły nas rozbiory. Cudów prawdziwie dokazywała Polska w okresie porozbiorowym, podnosząc, i to bardzo, swój poziom kulturalny, mimo warunków jak najnieprzyjaźniejszych. Rozważmyż tylko sprawę gęstości zaludnienia.

W Polsce XIX w. wzrost ludności natrafiał na niezmierne przeszkody. Wojny napoleońskie na naszych przeważnie toczone ziemiach, a następnie powstania, emigracje i zesłania zmniejszały wciąż liczbę mieszkańców, a nadto ludność w wieku wojskowym zmuszona była brać udział w wojnach t r z e c h państw, na wszelkich pobojowiskach Europy i Azji. Żaden naród nie wojował w XIX w. tyle, co polski (niestety, wyjątkowo tylko pod polskim sztandarem). Traciliśmy nieproporcjonalnie wiele ludności w porównaniu z innemi narodami; upływ krwi był kilkakroć większy, niż przeciętny ubytek europejski skutkiem wojen. Musiał tedy przyrost ludności być w Polsce znacznie mniejszy, niż powinienby być w stosunku do zaludnienia i siły rozrodczej społeczeństwa.

Możemy mieć pełną otuchę, jako w niepodległej Polsce gęstość ludności wzmoże się znacznie.

Korzyści, wynikających z tego, tłumaczyć nie trzeba — rzecz to powszechnie już uznana i wiadoma każdemu; naukowe zaś wytłumaczenie objawu jest już kwestją załatwioną w piśmiennictwie polskiem. Dokonał tego świetnie Erazm Majewski w pomnikowem swem dziele „Nauka o cywilizacji". Godne jest szczególnej uwagi wspaniałe porównanie, złożone nadzwyczaj plastycznie, jakiego użył do pomocy przy wyjaśnianiu wpływu gęstości zaludnienia[1]).

Gęstość ludności jest w Polsce piastowskiej znaczna, a w niektórych krainach równa najgęstszym ogniskom zaludnienia całej Europy; posiadamy tedy pierwszorzędne demograficzne warunki kulturalne. Jednak na wschód od linji piastowskiej stosunki zmieniają się radykalnie, przez co obniża się przeciętna zaledwie do wysokości przeciętnej zachodnio-europejskiej. Znaczenie nasze w Europie zależeć musi tedy od tego, o i l e p r o w i n c j e z a c h o d n i e z d o ł a j ą u t r z y m a ć p r z e w a g ę kulturalną i polityczną nad wschodniemi; gdyby było przeciwnie, znaczenie nasze malałoby coraz szybciej.

Stosunek obywatelskości do liczby zaludnienia jest — powiedzmyż sobie prawdę w oczy — nader smutny. Zachodzi u nas straszliwe przeludnienie moralne; lwia część ludności jest obojętną na sprawę publiczną. Stosunek ten jest tak dalece okropnym, tak niesłychanie ujemnym, iż polskość byłaby niemal bez znaczenia dla Europy, gdyby ten stan rzeczy miał tkwić w samejże naturze polskości.

Na szczęście tak nie jest. Nieliczność osób przejętych duchem obywatelskim nie na złej woli większości polega, lecz pochodzi z ciemnoty, tej zaś my nie zawiniliśmy.

Rząd rosyjski nie pozwalał inteligencji polskiej zbliżać się do polskiego ludu, sam zaszczepiając waśń spo-

[1]) Tom I, Warszawa 1908, str. 272.

łeczną. Sprawę ludową uważano w Petersburgu za największe „politicum", za monopol rządowy, a czynownictwu kazano lud demoralizować. Jak zazdrośnie strzeżono tego monopolu, żeby nikt nie ważył się rozpraszać ciemności i ciemnoty, świadczy jedyna zapewne na świecie historja, której bohaterem... zwykła kaszta drukarska. Chcąc mieć drukarnię, trzeba było sprowadzić, czy raczej przemycać częściowo a długo przyrządy drukarskie aż ze Szwajcarji, z Genewy. Ileż trudów, zabiegów, niebezpieczeństw, ofiarnego narażania się, zanim spiskowcy (sic!), pragnący szerzyć oświatę ludową, zdołali przewieźć wynalazek Gutenberga po r. 1830 do zapadłej wioski poleskiej, do otoczonego bagnami Lissowa. Był to t. zw. spisek Konarskiego, którego „zbrodnia" polegała na tem, co wszędzie w zachodniej Europie było popierane przez rządy i na rządowych opierało się funduszach: praca oświatowa i ekonomiczna nad ludem wiejskim. Konarskiego rozstrzelano, towarzyszów jego popędzono na Sybir i w sołdaty. Działo się w r. 1839.

Od owego czasu zmieniły się stosunki na lepsze tylko w zaborze austrjackim i to dopiero po r. 1867.

Polityka społeczna rządów rosyjskich podkopywała w samym zawiązku ducha obywatelskiego; jakżeż miał się szerzyć na coraz nowe sfery społeczne? Polityka ta — nie tylko w Rosji zresztą — miała na celu „podniecać lud i podtrzymywać antagonizmy społeczne, aby utwierdzić władzę w podbitym kraju". W dziedzinie stosunków robotniczych była też szczególniej zacofaną. Przepisy o ochronie robotników poczęto wydawać w Rosji dopiero w r. 1882, a w 8 lat potem, w r. 1890, zniesiono je znowu, bo wydawały się niebezpiecznym liberalizmem. Długość dnia roboczego oznaczono w r. 1897, ale jak? „Ograniczono pracę dzienną do 11½, a nocną do 10 godzin, w przedsiębiorstwach z ruchem nieustającym na 11—15 godzin, przyczem 24-godzinny wypoczynek niedzielny obowiązuje tylko trzy razy na miesiąc". Za zerwanie umowy odpowiadał robotnik karnie (do 1 miesią-

ca aresztu), przedsiębiorca tylko cywilnie. Naruszenie praw robotnika karane było grzywną (do 300 rubli), a dopiero gdyby nadużycia doprowadziły do rozruchów robotniczych, także aresztem — postanowienie może jedyne na całym świecie... Robotnicy byli nadto pozbawieni prawa koalicji. Strajki podlegały karze więzienia, bezkarne natomiast były lokauty".

Można być zasadniczym nieprzyjacielem socjalizmu, lecz trzeba przyznać, że takie postępowanie rządu zmuszało do walki klas, a robotnikowi odbierało ochotę do zajmowania się czemkolwiek poza interesami chleba powszedniego. Skąd mieli w zaborze rosyjskim wyrastać nowi obywatele społeczeństwu?!

A jednak wyrastali. Kiedy po rewolucji błysnęło choć trochę światła wolności, ze zdziwieniem ujrzeliśmy przy sposobności urządzanych w Kongresówce wystaw okręgowych, że nie brak już włościan uświadomionych co do swego stanowiska obywatelskiego, i to nie tylko co do praw swych, ale również co do obowiązków. Widzieliśmy całe wsie uświadomione narodowo, powiaty z większością żądającą szkoły narodowej. Jak się to zrobiło? Podziemnem, tajnem szerzeniem zakazanej „oświaty ludowej". A więc, gdyby nie trudności stawiane przez rząd, gdyby można było pracować otwarcie i jawnie, o ileż wyniki byłyby większe.

Podobnież w Wielkopolsce prywatna zapobiegliwość szerzyła polską książkę, a tamtejsze organizacje rolnicze stały się wzorem dla galicyjskich „Kółek rolniczych", stowarzyszeń, łączących po wsiach cele oświatowe z ekonomicznemi. Powstał z tego w Galicji potężny „Związek handlowy Kółek rolniczych" i wspaniała organizacja drobnego kredytu dla włościan, pod przewodem zasłużonych Adama Prażmowskiego i Franciszka Stefczyka, niestety, nie dopilnowano sprawy komasacji, która nie doczekała się takiego patrona, jak ci dwaj. W Wielkopolsce pokrył się cały kraj stowarzyszeniami handlowemi pod nazwą „Rolnik".

Dowody powyższe wykazują, jako niski stan umysłowy i obywatelski ludu nie są właściwe polskości, lecz właśnie jej przeciwne. Im więcej swobody pozyskiwaliśmy, tem bardziej podnosił się stan ludu, a skutkiem tego powiększał się procent czynnych obywateli w społeczeństwie. U nas już w XVI wieku wychodzili obywatele z ludu. „Skroń wieśniaka z pod Żnina okala wieńcem laurowym ręka papieża" (Klemens Janicki), a pod Batorym zdobywał włościanin szlachectwo na polu bitwy.

Przy studjum dziejów włościaństwa polskiego zwraca uwagę fakt, że lud nasz, prowadząc walkę o byt w rozmaity, a nieraz wielce pomysłowy sposób, ze znacznym stopniem przedsiębiorczości, a zawsze skory do emigracji czasowej, nigdy jednak nie garnął się do szeregów zaciężnych rot cudzoziemskich. Szwajcar, Szwed, a nawet pobratymczy Czech, nie mając się z czego utrzymać, szedł na żołnierza, wojując to w tym, to w owym kraju, traktując żołnierkę zupełnie jako rzemiosło. Polski chłop, który okazał się nadzwyczaj dobrym żołnierzem już za Łokietka, a za Batorego wyrósł na pierwszorzędny materjał wojskowy, nigdy jednak nie garnął się do obcych szeregów.

Mamy tu do czynienia z jednym z objawów zasadniczego rysu kultury polskiej, z tym rysem, którym wyprzedziliśmy istotnie inne narody. Idea narodowa jest swoistym polskim pomysłem; myśmy w całej Europie najwcześniej byli narodem w nowożytnem znaczeniu tego wyrazu. Idea ta widocznie z głębi ducha polskiego poczęta i jakby mu wrodzona, skoro objawy jej znać nawet wśród masy, gdzie nie umiano zgoła nazwać prądu, kierującego jej uczuciami i czynami.

Obywatelskość tkwi w naturze polskiej mocniej niż w jakiejkolwiek innej w Europie. Daleko nam dziś do normalnego naszego stanu pod tym względem, ale skoro tylko osiągniemy go choćby pół na pół, stosunek obywatelskości do liczby zaludnienia będzie u nas niewątpliwie

takim, iż znaczenie nasze dla Europy będzie się podnosiło z każdym lat dziesiątkiem.

Przejdźmy do innego problemu, mianowicie do problemu obszaru.

Zajmujemy obszar duży, choćby uwzględnić tylko ziemie etnograficzne, tj. Polskę piastowską, województwo ruskie, zachodni Wołyń, Podlasie i Wileńską ziemię.

Krajom rozległym trudniej jest prowadzić walkę o byt, a mniejszym łatwiej. Dopiero po długim czasie nabywają rozległe terytorja, poczuwające się do wspólności społecznej czy narodowej, cywilizacji wyższej, podczas gdy na obszarach niedużych proces cywilizacyjny odbywa się szybciej. Najstarsze znane cywilizacje (sumirska, pierwotna chińska, egipska, kreteńska, myceńska, pierwotna rzymska i t. d.) rozkwitały na obszarach stosunkowo bardzo szczupłych.

Krajom rozległym łatwiej natomiast utrzymać swą kulturę, niż małym. Utrzymała się cywilizacja w Chinach, podczas gdy runęło w Azji tyle innych, bo chińskiej powiodło się rozszerzyć na niezmierne przestrzenie. Żadna chyba w całym świecie kultura nie miała w sobie tylu zarodków upadku jak moskiewska, jednakowoż trzymała się przez tyle pokoleń, dzięki rozległości swego terytorjum. Szybko natomiast dokonał się był upadek kultury odrębnej portugalskiej, czeskiej w XVII wieku, irlandzkiej i t. p. Ale zato łatwiej o odrodzenie kulturalne na małych przestrzeniach, podczas gdy na obszarach wielkich jest to połączone z niesłychanemi trudnościami, tak dalece, iż graniczy to niemal z niemożliwością. Jakżeż ciężko było odrodzić się kulturze polskiej po upadku okresu saskiego; jak mimo genjalnych momentów w czasach od Konarskiego do Trzeciego Maja spóźniło się jednak to odrodzenie. A jak łatwo stosunkowo odrodziły się Czechy, skoro tylko rok 1848 dopuścił ludność do głosu w sprawach publicznych!

Znaczenie nasze polega przeto na tem, że utrzymamy na pewno naszą kulturę, gdziekolwiek raz się

przyjęła, nie mówiąc już o ziemiach piastowskich.

Ale niema niczego bez kłopotu. Czy w prywatnem życiu, czy w publicznem, szczęście polega nie na tem, by nie mieć kłopotów (bo to niemożliwe), lecz na tem, by przechodzić do kłopotów coraz wyższego rzędu. Kłopoty ekspansji kulturalnej są zaiste kłopotami rzędu bardzo wysokiego, jak najzaszczytniejszego: ale są to kłopoty ciężkie — zagadnienia t. zw. ludności mieszanej. Naród żywotny nie boi się jednak kłopotów. Tylko Ethos musi tu być podwójnie ostrożne, i nie wyrywać się na harce przed Logosem.

Tolerancji narodowej nie trzebaby nas dopiero uczyć, zwłaszcza gdy chodzi o stosunek do ludności niepolskiej na wschodzie. Myśmy ocalili przed ostateczną zagładą narodowość litewską, my wytwarzaliśmy dwa razy narodowość ruską. Być może, że gdzieś indziej, zwłaszcza w krajach dotkniętych odłamami cywilizacji bizantyńskiej, trzeba będzie proroka, któryby wykazał, że należy dążyć do załatwienia „kwestji narodowościowej“ tak samo, jak się załatwiło kwestję wyznaniową: ogłosić tolerancję i równouprawnienie. Jak tolerancja religijna nie pociągnęła za sobą bynajmniej zaniku religijności, a zwłaszcza katolicyzm nie stracił nic na równouprawnieniu innych wyznań, podobnież tolerancja narodowa i równouprawnienie faktyczne nie osłabiłyby w nikim poczucia narodowego i patrjotyzmu.

Nie sądźmy, jakoby niegdyś wszyscy rozumni i szlachetni popierali byli tolerancję religijną, a sprzeciwiali się jej tylko nierozumni i nieszlachetni. Opinja była podzielona. Mnóstwo umysłów o wysokiej kulturze i jak najszlachetniejszych dążnościach społecznych sprzeciwiało się długo tolerancji, przytaczając swoje racje, które ostatecznie wywróciło dopiero doświadczenie historyczne. Bądźmy więc przygotowani na to, że gdy nieco na zachód od nas, w dotkniętych bizantynizmem Niemczech, a kul-

turą bizantyńsko-niemiecką zarażonych Czechach zjawią się prorocy tolerancji narodowej, będą zrazu kamienowani. U nas sprawa cała przesądzona jest od wieków. Tolerancja narodowa — zasadą naszą.

A jednak... Jakżeż tedy? Nie tylko obcy, ale i Polacy sami utykają w tej sprawie na jakichś wątpliwościach, bo zachodzą fakty i objawy niebardzo zrozumiałe...

Sprawa w tem, że we wschodniej Słowiańszczyźnie, z którą mamy wiele do czynienia, mało mamy do czynienia z ideami narodowemi, bo po rozległych obszarach tej Słowiańszczyzny grasują wciąż w najlepsze pierwiastki cywilizacji turańskiej, obchodzącej się najzupełniej bez pojęcia narodowości. My prowadzimy z ludnością tych obszarów całemi stuleciami rozmowę, w której niesposób „dogadać się", bo odwołujemy się, a co więcej, postępowanie nasze stosujemy do pojęć tamtym zgoła niezrozumiałych.

Zachodzi odmienność cywilizacji. Vis maior, walka nieuchronna. Chodzi tylko o to, by prowadzoną była z naszej strony środkami kulturalnemi — i za nic więcej nie jesteśmy odpowiedzialni. Na ziemiach tych, tkniętych bądź co bądź także cywilizacją zachodnio-europejską, będzie trwała ta walka dopóty, póki jedna z tych cywilizacyj nie zniknie całkowicie. Na to niema rady: takie jest prawo dziejowe. Dodajmyż, że w razie zapanowania wyłącznego cywilizacji łacińskiej przyjęłaby się tam tem samem idea narodowa. Gdyby przeto budowniczowie narodowości ruskiej („ukraińskiej") czy białoruskiej świadomsi byli studjów historycznych i w robocie swej bieglejsi, propagowaliby z całych sił cywilizację łacińską. Ale oni czynią przeciwnie, skazując tem samem zabiegi swe na bezskuteczność. Jak dotychczas, sami Polacy przedstawiają tam cywilizację chrześcijańsko-klasyczną. Czemu budowniczowie owi nie chcą korzystać z doświadczenia okresu pierwszej narodowości ruskiej — pojąć trudno.

Wobec ludności niepolskiej w granicach państwa polskiego obowiązuje nas dawanie jej dobrego przykładu cywilizacji łacińskiej. O narzucaniu cywilizacji nie może być mowy; gdyby zaś to było możliwe, zasługiwałoby na potępienie. Nie gwałtem, lecz wyłącznie przykładem tylko możemy tam działać cywilizacyjnie; przykład zaś polegać musi przedewszystkiem na tem, byśmy sami służyli wyłącznie jednej tylko cywilizacji, przejęci nawskroś jej wyłącznością, nie próbując być cywilizowanymi na dwa sposoby. I to wystarczy. Gdzie walka cywilizacyj toczy się wyłącznie samemi tylko środkami kultury umysłowej, tam niezawodnie zwycięstwo cywilizacji wyższej.

Jest jeszcze jeden obowiązek: gdyby pośród ludności niepolskiej próbowano tworzyć narodowości — choćby nawet poza cywilizacją łacińską — naszym obowiązkiem nie przeciwić się temu. A to dla Polaka rozumie się samo przez się. Nie mamy jednak obowiązku pomagać. Zresztą narodów nie tworzy się sztucznie, z pomocą obcych.

Rozpowszechnione swego czasu, a pojawiające się i obecnie przypuszczenie, jakoby można było pomagać innym do tworzenia narodowości — stanowi przykład doktrynerstwa posuniętego niemal do szaleństwa. Można stanąć w gotowych obcych szeregach, ale nie można ich utworzyć, jeżeli nie utworzą ich oni sami; inaczej będzie cała robota epizodem bez jakichkolwiek następstw trwałych, a zatem stratą czasu. A zresztą tyle roboty jest dla narodu polskiego, że jakżeż można dyspensować się od udziału w niej, ażeby służyć innym?

Jeżeli my obowiązani jesteśmy pomagać pracom narodowym niepolskim w obrębie państwa polskiego, w takim razie Anglicy mają obowiązek większy wytwarzania narodowości irlandzkiej; Francuzi belgijscy powinniby w takim razie jąć się rączo pracy około wzmocnienia narodowości flamandzkiej, zamiast dorzucać swych sił do skarbca przebogatej narodowości francuskiej; a Czesi winni na wyścigi służyć popieraniu polskości Księstwa

Cieszyńskiego w swoim zaborze. Ale uśmiechnąłby się każdy z nich nad propozycją nierozumną — i my także niczego nie pragniemy dla Polaków pod władzą czeską, jak tylko tolerancji narodowej, tj. żeby naszej pracy narodowej się nie przeciwiono.

Żadną miarą nie mogą ciążyć na nas obowiązki większe, niż na innych narodach łacińskiej cywilizacji, zwłaszcza, że nie pragniemy praw większych.

Kwestja ludności mieszanej nie stanowi specjalności polskiej, można więc tem bardziej traktować ją z ogólniejszego punktu widzenia:

Ludność mieszana zdarza się poprostu dlatego, ponieważ państwowość nie może polegać na samej przynależności narodowej, lub społecznej, bez względu na miejsce osiedlenia. W cywilizacji łacińskiej obszar stanowi kryterjum państwa; niema państwa bez granic państwowych, a zatem bez ściśle oznaczonego terytorjum. Państwo polega na obszarze państwowym. Urządzenie odmienne byłoby ruiną naszej cywilizacji, gdyż dałoby w krótkim czasie hegemonję takiemu żywiołowi, któryby najmniej się krępował stałem osiedleniem, będąc wszędzie jednako u siebie. Właściwość, prowadząca do hegemonji, rozpowszechnia się, jako pożądany klucz do szczęścia. Dalszy rozwój odbywałby się tedy pod hasłem emancypacji od ziemi, pod przewodem i hegemonją żywiołów nie tkwiących cywilizacyjnie w żadnym gruncie. Tworzonoby na ruinach cywilizacji zachodnio-europejskiej jakąś cywilizację bezziemną...

W naszej cywilizacji łączność administracyjna osób bez względu na terytorjum dopuszczalna jest tylko w sprawach niepaństwowych. Taka łączność administracyjna znaną jest najnowszemu prawu publicznemu, jako t. zw. autonomja narodowa. Uskuteczniona może być tylko w ten sposób, iżby pewne działy administracji publicznej, np. szkolnictwo, odjąć kompetencji państwa, a przenieść je na owe związki autonomiczne, nie liczące się ze względami terytorjalnemi w obrębie państwa, ale

uznające jednak granice państwa jako całości. Autonomja narodowa może się rozwijać tylko przez uszczuplanie kompetencji państwa. Dzięki temu właśnie terytorja z ludnością mieszaną mogłyby oddać wielkie usługi w udoskonalaniu ustroju państwowego, rozwijając autonomję narodową; postęp bowiem w dziedzinie tej polegać będzie na tem, ażeby kompetencję władz państwowych ograniczyć do zapewnienia bezpieczeństwa zdrowia, życia i mienia obywateli — reszta zaś winna być pozostawiona inicjatywie obywateli. Tak jest, trzeba odpaństwowić się wielce, by wybrnąć z trudności państwowych, grożących coraz bardziej ruiną kultury.

Ma więc autonomja narodowa wielką przed sobą przyszłość, ale nigdy nie zastąpi państwa, i nigdy państwowość na takiej autonomji pozaterytorjalnej nie może się opierać. Uznanie państwowości takiej wiodłoby w bardzo krótkim czasie do zaniku państwowości wogóle, a społeczeństwa europejskie zamieniłyby się na hordy.

Ponieważ terytorjum nasze etnograficzne jest rozległe, rozleglejsze niż przedtem, boć i na Niemcach odzyskaliśmy niemało i ziemia wileńska jest już niewątpliwie etnograficznie polską — nietrudno (stosunkowo) utrzymać nam wszędzie naszą kulturę i tworzyć silne państwo narodowe. Towarzyszące rozległości trudności odrodzenia zostaną wynagrodzone przyspieszoną chyżością, gdy ziemie polskie będą mogły nareszcie myśleć wyłącznie o tem odrodzeniu, nieodrywane wojną nieustanną od pracy kulturalnej. Gdziekolwiek stanęła nasza kultura, już jej tam nic wyrugować nie zdoła. Rugowanie kultury polskiej z takich obszarów równa się szerzeniu akulturalności, jak to stwierdza praktyka, choćby za naszych czasów na Litwie etnograficznej (w Kowieńszczyźnie). To też znaczne są rękojmie, że kraj taki, wydany na łup eksperymentów, po jakimś czasie tem skwapliwiej przejmować się będzie polską kulturą.

Nie ze samych rozległych obszarów płynie ta moc, ale rozległość odgrywa w tem bądź co bądź rolę pomoc-

niczą. Jeżeli zaś działają obok tego czynniki duchowe, siła promieniowania, zdolność asymilacyjna i t. p., moc kultury polskiej tem większa, niepokonalna. W tem pierwszorzędny moment naszego znaczenia.

Ekspansja ku wschodowi, skoro nie podbojami się odbywała, nie „imperjalizmu" dowodem, lecz siły cywilizacyjnej. Im zaś większe obszary kultura polska zajmowała, tem więcej sił jej przybywało. Być mogły ujemne skutki ekspansji ku krajom większym od Polski piastowskiej, ale pokryte zostały zyskiem z nadzwyczajnego powiększenia zdatności do utrzymania kultury narodowej. Nie sądźmy, że dalsza ekspansja kultury nas osłabiłaby. Umiejmy tylko zatrzymać się na stanowisku czysto kulturalnej ekspansji, umiejmy ograniczyć się do tego, a skutki mogą być cudowne. Nie narzucali się przodkowie nasi, nie będziemy ani my tego robili!

Jeżeli zdołamy z przyspieszoną chyżością odrobić to, co bez naszej winy zaniedbane zostało w dziedzinie kultury umysłowej szerokich warstw, zwłaszcza u ludu wiejskiego; jeżeli utrzymamy nadal wbrew zakusom prądów wywrotowych równowagę podkładu ludowego z historyzmem; jeżeli rozwiną się u nas do wysokiego stopnia nauki stosowane, stanowiące o rozumnem użyciu darów przyrody i jeżeli zapewnimy sobie dobrobyt zapomocą przemysłu i handlu; jeżeli wreszcie stanie wysoko oświata powszechna (nie tylko „ludowa") — w takim razie ekspansja nasza kulturalna będzie niepowstrzymalną. Któż bowiem podejmie współzawodnictwo z nami?

Jeżeli spełnione będą postulaty wszystkich sześciu kategoryj kultury umysłowej, natenczas znaczenie nasze musi wzrastać i będziemy wobec Europy czynnikiem o wielkich linjach rozwoju. Lecz jeżeli nie spełnią się owe warunki, możemy służyć Europie za przykład... megalomanji. Ażeby tego uniknąć, należy podkreślać przy każdej sposobności owe cztery „jeżeli". Niechaj każdy rozumny patrjota popularyzuje ten pewnik, przy-

jąwszy to sobie za obowiązek obywatelski, żeby się przyczynić do wdrożenia go w umysły rodaków. Każdy a każdy bez wyjątku niechaj przyczynia się w swem kółku do rozpowszechnienia tych poglądów i wypływających z nich konsekwencyj, a gdy ogół przejmie się niemi, Polska będzie potężniejszą ponad najśmielsze marzenia jagiellońskich czasów.

W części pierwszej, poświęconej szczegółowym dociekaniom składników kultury umysłowej w Polsce, wykazano, jako wszystkie posiadają dobre warunki rozwoju; niema żadnych przeszkód z zewnątrz, odkąd odzyskaliśmy niepodległość; cała odpowiedzialność spada na nas, żeby dobre warunki nie zostały zmarnowane. Skoro zaś radziliśmy sobie w niewoli, tem bardziej powinniśmy dać sobie radę przy niepodległości.

Ethos polskie ma przed sobą ogromne, niezmierzone pole popisu. Może za rozległe naraz? może w bezmiarach rozwartych dla narodowej woli tem łatwiej zbłądzić? Zależeć więc będą ścieżki jego od stopnia oparcia się o Logos, który ma być jego przewodnikiem — i od rodzaju tego Logosu.

Czyny zależne są od toku myśli. Myśli polskiej strzeżmy!

3. Nusarchja.

Od myśli zależne są czyny człowieka normalnego: do prawdziwości tezy potrzebny jest ten dodatek. A wiadomo z doświadczenia, że najpochopniejszym do czynów bywa człowiek, znajdujący się w stanie bezmyślności: w stanie nietrzeźwym, w gniewie, w roznamiętnieniu wszelakiem, wykluczającem, a przynajmniej utrudniającem i osłabiającem myślenie samo, a cóż dopiero działanie myśli, którego warunkiem: zastanowienie. „Popełnia się“ najwięcej czynów w stanach anormalnych, kiedy wola puszczona jest samopas. Jest to wola spaczona, niezorganizowana, ale bądź co bądź wola. Co więcej, widzimy, że wola taka bywa najsilniejsza, żywiołowa,

nieustraszona, bezwzględna. Jednego tylko nie posiada przymiotu taka wola: nie bywa rozumną. Ethos bez Logosu staje się czynnikiem ujemnym.

Olbrzymia większość ludzkości działa pod wpływem woli niekierowanej rozumem. Tak żyją całe rasy, całe niemal części świata. Im niższy stopień kultury umysłowej, tem wyłączniejsze rządy niezorganizowanej woli. Pierwiastek woli przeważa też stanowczo w cywilizacji turańskiej w porównaniu z europejskiemi (łacińską i bizantyńską). Im dalej na wschód, tem łatwiej o wolę żywiołową, nie krępującą się refleksją. Gdyby o wyniku zderzenia świata zachodniego a wschodniego rozstrzygać miało samo napięcie woli, sama pochopność do czynów — nie zostałoby ni strzępów z naszej cywilizacji.

Podobnież dzieci kierują się zrazu tylko wolą, bo ta władza rozbudza się u nich wcześniej od rozumu.

Wola samopas działająca służy zachceniom, a te wiodą do czynów podejmowanych nawet na wielką skalę, lecz nietrwałych. Zachcenia właściwe są nie tylko życiu indywidualnemu, ale również zbiorowemu. Im niższa gdzie kultura umysłowa, tem większa rola zachceń w stosunkach życia publicznego. Są to dążenia wynikłe z chwilowego podniecenia umysłu, działające następnie siłą bezwładności, a czasem pociągające za sobą następstwa takie, iż nie można się już wycofać na czas. Wola użyta nienależycie wiedzie do niewoli konsekwencyj. Dzieje Wschodu dostarczają silnych przykładów tego, ale nie brak ich ani w historji europejskiej. Od nieobliczalności tych wybuchów potężnej zazwyczaj woli jedynem ocaleniem — ich nietrwałość.

Jedynie Logos może nie tylko dochować nieprzerwalnej ciągłości, ale zyskuje na tem: im dłużej jest czynne, tem bardziej wzmacnia się. Ciągłość jest doskonaleniem Logosu. Inaczej przy Ethosie: przy dłuższej ciągłości osłabia się. Ethos nie zdoła być równo czynnem przez długi czas, jeżeli nie oprze się o Logos. Logos działaniem krzepi się, Ethos wyczerpuje. Ale pamiętajmy z drugiej

strony, że Logos wyczerpuje się, jeżeli nie może uzupełniać się Ethosem.

Wola pozbawiona myśli przewodniej nie na pojęciach się opiera, lecz na tym rodzaju uczuć, który w nauce psychologji afektami zowiemy. Pośrednie miejsce zajmuje wola kierowana uczuciami właściwemi; uczucie bowiem, jeżeli trwalsze, samo na pojęciach się opiera. Lubimy lub nie lubimy tego, co uważamy za dobre i złe; czasem jednak lubimy coś pomimo to, że uważamy je za złe, jużto pokonywając pociąg uczuciowy w imię pojęcia o dobru i złu, jużto ulegając pokusie. Rozmaity więc zachodzić może stosunek pomiędzy pojęciem a uczuciem, ale samo istnienie stosunku pociąga za sobą wzajemną zależność. Niema uczuć trwalszych bez odpowiednich pojęć, lecz przy słabych nader i mętnych pojęciach mogą powstawać uczucia mocne i wyraziste. Bezwzględność, nieustępliwość uczuć, zwłaszcza ujemnych (zawiść, nienawiść i t. p.) towarzyszyć zwykła niejasności pojęć.

Nad czynami istnieją więc dwa rządy, posiadające pewne punkty styczne, lecz same w sobie rozdzielone: rząd pojęć i rząd uczuć. Skrajnemi ich objawami rząd afektów z jednej, a rząd suchego rozsądku z drugiej strony.

Nie należy mieszać rozsądku z rozumem, bo w tym wypadku wiele niebezpieczeństw kryje w sobie taka pars pro toto. Niema rozumu bez rozsądku, ale rozsądek może bywać nierozumnym. Rozsądek zbiera materjał do rozważania dla rozumu, czepia się rzeczy zewnętrznych, zwłaszcza dających się ująć łatwo, bez mozolnych dociekań, w umiar liczby, miary i wagi, rozum roztrząsa krytycznie, co rozsądek dostrzegł i zgromadził. Bez rozsądku nie można żyć, a z samym rozsądkiem można żyć w nader ograniczonym zakresie, dopiero gdy rozum zużyje dane, dostarczone do rozważania przez rozsądek, życie nabiera pełni, podnosi się na wyższy poziom.

Rozum niekoniecznie musi potakiwać na ślepo rozsądkowi, a im bardziej skomplikowane zjawisko życio-

we, tem bardziej może się od rozsądku oddalać. Np. problem liczby. Rozsądek powiada, że liczba większa przedmiotów danego rodzaju zawiera więcej również tej siły, tego zasadniczego przymiotu, który właściwym jest owemu przedmiotowi. Jakżeż atoli zawodnym jest ten wniosek w stosunkach społecznych i państwowych. Nie ulega wątpliwości, że jednostka ulegnie w walce fizycznej z tłumem, ale widzimy, jak Anglików garstka panuje nad Indjami. Widzimy, jak stu ludzi odpowiednio zorganizowanych opanować może łatwo całe ludne miasto — i w jednej chwili wartość liczby staje się problematyczną. Rozsądek powiada, że im więcej zasobnych wspólników, tem lepiej dla spółki; rozum przeczy temu i pyta o wartość osobistą wspólnika: jeżeli to osoba nieobowiązkowa i z niskim stopniem przygotowania zawodowego, spółka zyska na tem, jeżeli się takiej osoby pozbędzie, pomimo jej zasobności liczebnej (finansowej np., lub wojskowej w sojuszu wojennym). W rzeczywistości bowiem, skoro chodzi o skomplikowane dziedziny życia, nie ilość rozstrzyga, lecz jakość — tej zaś nie oceni rozsądek sam; do tego potrzeba już wszystkich władz umysłowych, całego rozumu — i wyobraźni nieraz.

Rozsądkowi ludzkiemu przeciwnem jest przypuszczenie o kulistości ziemi, o nieruchomości słońca a ruchomości ziemi, o podobieństwie ziemi do gwiazd i t. p. Dopóki sądzono o tych sprawach tylko podług rozsądku, miano o nich pojęcia fałszywe, bo rozsądek lubi polegać na zmysłach. Im bardziej ograniczone pole doświadczeń zmysłowych, tem uporniejszy rozsądek. Jakiś władca z Indyj Tylnych skazał był na śmierć dworzanina Europejczyka, który mu opowiadał, że w jego kraju można armatę przewieźć po rzece; skazanym został za drwiny z rozsądku egzotycznego monarchy. Zupełnie autentyczną może być anegdota o babci młodego marynarza, która wysłuchała cierpliwie wszystkich bufonad swego wnuka o podróży około świata, nie wyjmując opowiadania o tem, jako w Afryce koło stojącej na wybrzeżu góry

magnesowej wszystkie gwoździe z okrętu wyleciały, przyciągnięte przez ową górę; ale nie wytrzymała, gdy jej wnuk opowiadał o latających rybach, bo to uznała za przeciwne rozsądkowi.

Rozsądek ograniczony jest do doświadczenia. Rozum z doświadczeń korzysta i zgarnia wszystkie wogóle dane rozsądku, ale dodaje do tego działanie innej jeszcze władzy umysłowej, mianowicie wyobraźni.

Rozum jest to rozsądek plus wyobraźnia. Rozum jest syntezą rozsądku a wyobraźni. Wyobrazić trzeba sobie kulistość ziemi lub jej ruch, wyobrazić sferę ciał niebieskich, bo inaczej tych rzeczy nie zrozumiemy. Władcy z pod równika brakło wyobraźni do zrozumienia zmarzniętej rzeki. Piszącemu te uwagi zdarzyło się na Litwie, że nie dawano wiary wzmiance o górach z wiecznym śniegiem. Byłem świadkiem, jak mieszkaniec głębokiego gniazda górskiego z Alp, wyjechawszy pomiędzy bardziej rozszerzone doliny Karyntji środkowej, podziwiał równość tego kraju; a kiedy mu mówiono o równinach północno-europejskich, uśmiechał się znacząco, że zna się na żartach. Najzupełniej wierzę temu, jako razu pewnego Kaszubka jakaś dowiedziawszy się ze zdumieniem od Warszawianina, że pod Warszawą niema morza, wahała się, czy temu uwierzyć, czy nie; wreszcie zdecydowała argumentem rozsądku: „A z czegóż oni tam żyją?“ zdecydowała, że to niemożebne.

Skoro tylko danem będzie dotknąć zmysłami czegoś, co się dotychczas uważało za niemożliwe, zaraz zmienia się sąd o tem, co możliwe a niemożliwe, bo w zakresie rozsądku sąd ten zawisł od doświadczenia zmysłowego; w miarę, jak ono się rozszerzy, zmieniają się granice niejako rozsądku. Doświadczenie może być zastąpione przez wyobraźnię, i wtenczas proces odbywa się szybciej i następuje generalizowanie, co stanowi pierwszy objaw rozumu. W dalszym rozwoju następuje abstrahowanie, szukanie związków przyczynowych, wreszcie myślenie celowe. Na każdym z tych szczebli rozwoju

umysłowego inne są granice rozsądkowe, bo inne jego kryterja. Dochodzi się do szczebla, na którym osądzanie rozsądkowe opierać się będzie w danym razie na abstraktach z geometrji i z fizyki matematycznej.

Rząd suchego rozsądku nad czynami ludzkiemi jest również ujemny, jak rząd afektów, bo horyzont tego i tamtego ciasny. Obfitość rodzajowa czynów ludzkich nie może być należycie kierowaną przez przeciwieństwo obfitości; tylko rozum posiada odpowiednią do tego obfitość w sobie. Jest to obfitość pojęć.

Niewiele stosunkowo pojęć pochodzi z samego tylko doświadczenia, znacznie więcej z rozumowania, i to nie tylko z rozumowania nad zdobytem doświadczeniem, ale niemniej ze spekulatywnego. Rozum wytwarza naukę. Od porównawczego zestawiania poczynionych (choćby mimowoli) doświadczeń zaczyna się ćwiczenie myśli, wiodące do nauk. Z porównywania rodzi się krytyka, z krytyki sceptycyzm, ze sceptycyzmu odwaga próbowania czegoś nowego, stąd droga otwarta do odkryć i wynalazków stosowanych. Z gorczycznego ziarnka porównawczego zestawiania materjału rozsądkowego dochodzi się aż do najwyższego wydoskonalenia rozumu, do nauki.

Dopiero od powstania nauki poczyna się obfitość pojęć. Im wyższy stan nauki, tem bardziej starczy pojęć dla obfitości czynów ludzkich, to też następuje zróżniczkowanie jakościowe tych czynów, choćby sama ilość ich nie zwiększała się. Z postępem nauki może nawet maleć stosunkowo sama ilość czynów, bo zmniejsza się pochop do czynów nieprzygotowanych, nieobmyślanych (jakoż pośród inteligencji do rzadkości należy popełnienie czegoś w uniesieniu chwilowego afektu); ale przybywa coraz nowych rodzajów czynów. Są czyny, niemożliwe w społeczeństwie pozbawionem nauki, bo niedostępne dla niego z powodu braku odpowiednich pojęć. Im bardziej nauka wchodzi w życie społeczeństwa, tem mniejszy nad czynami rząd uczuć, tem silniejszy rząd pojęć. Czyny człowieka normalnego stają się zawisłemi od myśli,

Życie zbiorowe nie różni się pod tym względem od indywidualnego, podlegając rozumowi i jego omyłkom. Rozum, jako władca czynów, to Logos, przewodnik Ethosu. Stan taki i dziedzinę tego władztwa nazwijmy nusarchją (νοῦς). Ograniczmy jednak znaczenie wyrazu do władztwa nauki w życiu zbiorowem, publicznem, w życiu społeczeństwa i państwa.

Pojęcia naukowe wpływają na ustrój życia zbiorowego. Co za olbrzymi wpływ wywarli na urządzenia państwowe legiści, merkantyliści, fizjokraci. Kto z nas nie słyszał, jako rewolucję francuską przygotowali encyklopedyści? Najpierw Filotiej połocki obmyślił kanon kultury moskiewskiej, a potem dopiero nastał Iwan Groźny. Najpierw Hegel ubóstwił państwo, a po nim dopiero rozpowszechniła się w Niemczech „idea Hohenzollernów". Karamzin był poprzednikiem Mikołaja I., a Hartmann (filozof „des Unbewussten") kazał Polaków „ausrotten" przed Bismarckiem, który był tylko wykonawcą jego pomysłu. Myśl powzięta w pracowni uczonego zamienia się nieraz na prąd życia publicznego. Oto nusarchja.

Plato nie zdawał sobie sprawy, że filozofowie i tak rządzą państwem, chociaż nie sprawują urzędów naczelnych, tylko że rządzący bywają z reguły spóźnieni wobec nauki, i stają się wykonawcami zazwyczaj tego, co nauka już kwestjonuje. Nauka, to Logos; rząd państwa, to Ethos — a Logos kroczy przed Ethosem. Gdy rządzący zbyt mało posiadają wykształcenia naukowego, rządy muszą być zbyt zacofanemi; gdy składają się z ludzi, poprzestających na wykształceniu broszurkowem, rządy muszą być dyletanckie, pełne eksperymentowania po omacku. Gdzie Logos kuleje, Ethos idzie na marne.

Najwięcej przykładów nusarchji czerpać można z dziejów wpływu Kościoła na społeczeństwa i państwa. Od ugłaskiwania barbarzyńców, których typem Klodwik „arcychrześcijański", od wznowienia cesarstwa „rzymskiego" aż do ulepszeń w zakresie gospodarstwa rolni-

czego i budowy domów — wszędzie znać rękę kapłanów, uczonych kościelnych, przodujących społeczeństwu na każdem a każdem polu. Słusznie mówi się o Kościele, że wychował narody europejskie. Tylko kapłani zajmowali się nauką, a ponieważ minęły długie wieki, zanim świeccy poszli za ich przykładem, nie mogła się żadna donioślejsza sprawa obejść bez osoby duchownej. Oni tylko umieli spisywać dokumenty, oni tylko posiadali swoje prawo spisane (kanoniczne), oni tylko mieli znajomość obcych narodów i stosunków na szerokim świecie; im zawdzięczano ulepszone narzędzia rolnicze i rzemieślnicze, tylko wśród nich znajdywali się budowniczowie, inżynierowie i t. d. Benedyktyni zajmowali się sporządzaniem książek, rolnictwem, uprawą winnej latorośli, ciesiołką i stolarką; cystersi głównie budownictwem i rolnictwem, uszlachetniali odmiany zbóż i pierwsi wprowadzili pług żelazny; norbertanie byli najzręczniejszymi rzemieślnikami; do stawiania mostów byli na Zachodzie benedyktyńscy „pontifexi", do pielęgnowania chorych duchacy i t. d. Każda gałąź życia miała swych zakonników. Wszystkie zaś zakony i całe duchowieństwo świeckie zajmowali się nauka książkową — i dlatego właśnie stali na czele pochodu całego życia zbiorowego. Produkując nusarchję, przodowali społeczeństwu.

Moc twórcza starsza jest wprawdzie od kultury książkowej, ale ta kultura tak dalece ułatwiła i uprościła działanie mocy twórczej, iż moc oparta na niej pozostawia za sobą w tyle wszelką inną; żadna inna nie wytrzyma z nią współzawodnictwa. Nie można się powoływać na Karola W., jako wielkiego męża, chociaż analfabetę, bo za nim stał papież Leon III; podobnież, jak św. Wojciech, św. Bruno i Gerbert-Sylwester II. za Bolesławem Wielkim - i tak bywało we wszystkich państwach i krajach. Potem inteligencja świecka wytwarzała nusarchję, zrazu obok Kościoła, potem czasem przeciw niemu, ale nie zmieniło to w niczem stanowiska kultury książkowej, tj. nauki, wobec rozwoju historycznego. Od-

kąd zjawiła się nauka, ustala się przez nią rząd pojęć.

Trzy są warunki rozwoju nauki: badanie, popularyzowanie i krytyka. Egipscy kapłani uczynili z nauki tajemnicę zawodową, nie popularyzowali jej nigdy, dzięki czemu sami sprawowali rządy nie tylko pośrednio, ale też nauka egipska nie zdołała rozwinąć się. Kościół katolicki od początku zachęcał i świeckich do nauki książkowej, przyjmował do swych szkół młodzież świecką, popularyzował naukę — i dzięki temu od początku dziejów nigdy nigdzie nauki nie rozwinęły się tak wysoko, jak na obszarze cywilizacyjnym użyźnionym przez katolicyzm średniowiecza.

Nusarchja działa zawsze, bez względu na to, czy uczeni mają słuszność, czy też mylą się. Nigdy zresztą współcześni nie mogą mieć pewności co do wartości swego dorobku; dopiero próba dziejowa rozstrzyga o tem. Współcześni ani nawet sławą nie umieją obdzielać trafnie. Boccaccio słynął za 15 ksiąg „De genealogia deorum" i za 12 pieśni „Teseidy"; Petrarca za łacińskie epos „Africa" o Scypjonie Starszym. Przykładów podobnych możnaby wybrać całe tomy. Z polskiego piśmiennictwa przypomnijmy dla przykładu, że Szymonowicza dziełem „głównem" był przekład Metafizyki Filona z greczyzny na łacinę (1604). Tak krytyka współczesnych bywa „tymczasową". Drobnostką to, gdy chodzi o hierarchję sławy i o tytuły do niej; zachodzi jednak sprawa poważniejsza, bo również co do samych wyników badań naukowych sąd współczesny bywa tymczasowym. Nauka ludzką jest sprawą, a zatem omylną. Głosiła nieraz błędy; jakie głosi obecnie, o tem będą wiedzieli potomni, którzy znów z kolei będą mieli swoją naukową „tymczasowość".

Skoro nauka błądzi często, więc stanowiąc kuźnię pojęć... błędnemi nas darzy pojęciami? Częściowo niewątpliwie tak; a z błędnych pojęć rodzić się muszą błędne czyny. Ale to tylko część prawdy. Cała prawda polega w tym wypadku na tem, że każde pojęcie naukowe

jest postępem względem poprzedniego, że tedy nauka mieści w sobie coraz mniej błędów, coraz bliższa Prawdy, a przez to i pojęcia, ze stanu nauki wywodzone, stają się coraz prawdziwszemi. Jak nauka musiała przejść przez szereg omyłek, by dotrzeć do tego, co dziś uważa za prawdziwe, bo dzisiejszy jej stan jest wynikiem poprzedniego, podobnież pojęcia zasadnicze, z nauki wywodzone, musiały przechodzić przez dane fazy rozwoju — a czyny stosowne być musiały zawsze do pojęć o Prawdzie; ustroje społeczne i państwowe przechodzą również przez szkołę doświadczenia historycznego. Mylnem zaś byłoby mniemanie, że to, co dziś lepszem jest, byłoby lepszem także w przeszłości. Pewne urządzenia życia zbiorowego łączą się z pewnym stanem kultury umysłowej i ze stosunkami walki o byt; to też niejedno, co lepsze dla nas, byłoby gorszem dla naszych przodków, a tem gorszem dla członków innej cywilizacji. Zachodzi bowiem pewna współrzędność między rozmaitemi kategorjami życia. Życie jest tem lepiej urządzone, im więcej tej współrzędności. Czyny skoordynowane z pojęciami nie wywołują opozycji, bez względu na to, czy pojęcia trafne czy nie; dla współczesnych trafne, dla potomnych mogą być błędnemi, a jednak potomni mogą mieć życie cięższe.

Naukowa kuźnia pojęć jest pomimo wszystko najlepszą przodownicą życia. Nie tylko historia magistra vitae, ale wszystkie nauki bez wyjątku. Fizyka rozwojem swym zmieniła w zupełności kształt życia; astronomja zmieniła radykalnie wewnętrzną życia podstawę, gdy Kopernik zepchnął Ziemię z tronowania w środku świata. O wpływie teorji Kopernikowskiej na umysłowość pisano wiele; stwierdzonem jest ponad wszelką wątpliwość, że teorja ta zmieniła gruntownie fundamentalne pojęcia ludzkie. Ale uczony nie wie, czy dojdzie do odkrycia jakiegokolwiek; nie przewiduje, co sam będzie sądził o danym przedmiocie po pewnym czasie; odkrycia niespodziane bywają niespodzianką największą dla uczonych. Pracuje,

aby pracować badawczo; nauka jest mu celem jako taka.

Ta bezinteresowność nauki tworzy jej absolut. To jest Logosu świętość. Ten przymiot stanowi o moralnej racji bytu nusarchji, bo to promień jasnego światła na znękaną ludzkość. Błogo społecznościom, dotkniętym tym promieniem. Z tego wypłynęła cała wyższość cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej nad innemi, nie posiadającemi tego wiecznie ożywczego źródła bezinteresowności. Choćby nusarchja kryła w sobie wad niemało, ta jedna zaleta okupi wszystkie.

Największą wadą, i grzechem pierworodnym nusarchji jest to, że nie można dać jej władnąć bez wielkich zastrzeżeń, gdyż wiedzie do... absurdu.

Doświadczenie dziejów uczy, jako żadne z założeń życia zbiorowego, przyjęte w danym czasie i w danem miejscu za słuszne, nie było w normalnym toku życia nigdy wyzyskane z całą konsekwencją; to bywało zawsze przywilejem prądów i czasów przewrotowych, i zawsze w rewolucji doprowadzano dane założenie do absurdu. Stąd konieczność reakcji po każdej rewolucji, jako dobroczynnego ocalenia przed panowaniem absurdu, pod którego jarzmem żadna praca nie mogłaby się rozwijać ani fizyczna, ani umysłowa. Absurd wywraca bowiem na nice wszelkie stosunki życiowe — i po pewnym czasie doprowadza wszelki używający gwałtów przewrót do tego, iż ludzie, chcący pracować, wolą powracać do tego samego kształtu życia, jaki w zasadzie potępiają i który zmienić pragnęli gorąco, byle tylko wogóle móc żyć w sposób godny człowieczeństwa, bez gwałtów a przy regularnej pracy. Nierozum rewolucji rodzi niezbędność reakcji. Gdybyż choć raz zdarzyli się tacy przywódcy rewolucji, którzyby... mieli rozum polityczny! Dotychczas nie zdarzyło się to w historji ni razu. Indukcja poucza, że rewolucja powstaje z nierozumu rządzących, a sama rozwija się po równi pochyłej nieuctwa. Gdzie łączą się tedy podwójne braki rozumu, rezul-

tat na końcu także mądrym być nie może — i tak powstaje reakcja, która na dobitkę musi się uważać za „dobroczynną".

Rewolucja wybucha wtedy, gdy państwem zbyt długo rządzą miernoty umysłowe.

Niemniej przeto rewolucja bywa często nieuniknioną, jako jedyny sposób wyjścia z błędnego koła, w jakie społeczeństwo popadło z powodu nieuctwa rządzących — i sama pcha w nowe znów błędne koło. Skutki głupoty bywają ogromnie długotrwałe. Dopiero po dłuższym czasie, gdy w sprowadzonej reakcji pocznie opozycja grozić nową rewolucją, z obawy przed jej grozą reakcja ustępuje nieco i może się dokonać postęp w dziesiątej przynajmniej części tego, co możnaby mieć (gdyby nie fatalny mus błędnego koła) oddawna w ilości bez porównania większej.

Fakt, że niema rewolucji bez popełniania ideologicznych absurdów, zastanawia. Rewolucjoniści nie robią przecież nic innego, jak to, że przyjmują za punkt wyjścia swej akcji jakieś założenie, znane i uznawane już przedtem, i wyciągają z niego wszelkie konsekwencje aż do najdalszej skrajności. Rewolucja pracuje tedy zbyt dokładnie? Tak jest; jest w tym paradoksie dużo prawdy. Rzecz tłumaczy się tem, że nawet dobro, obmyślane przez człowieka, może być tylko ograniczenie dobrem, i gdy w rozwoju swym dotrze do tej granicy apriorycznego swego ograniczenia (które tkwi w niem samem), musi być wyręczone przez nowe pojęcie dobra, bo inaczej nastanie zastój i upadek. Przyczyną tego ograniczoność rozumu ludzkiego.

Historja dostarcza tu materjału dowodowego filozofji, w sprawie o granice poznania. Człowiek nie zdoła ani nawet dla ziemskich stosunków wymyśleć nic doskonałego, coby nie wymagało poprawek, zmian; nie zdoła on tego ani nawet w zakresie najbliższych swych potrzeb. Człowiek może wyrobić w sobie bardzo nieznacznie tylko zdolność przewidywania, skutkiem czego nader

tylko rzadko może posiadać zupełną pewność co do poczynań swych, czy są celowo skuteczne.

Jakby dla zaznaczenia, że wszystko, co od człowieka samego pochodzi, jest względnem, stwierdzą historja na każdym kroku, że wszelki ludzki pomysł, każda nasza zasada, każde najszlachetniejsze dążenie mieści w sobie zawsze i bez wyjątku jakąś odrobinę zła, coś ujemnego — i dlatego to żaden kierunek myśli ni czynów nie może być wyzyskiwany konsekwentnie aż do ostatka, bo się natrafi na ową część ujemną. Jest rzeczą rządzących, żeby wczas spostrzegli, kiedy trzeba zmienić kierunek.

Historja może atoli wskazać także pewną czysto historyczną przyczynę, dlaczego niebezpiecznie jest wprowadzać w czyn skrajne konsekwencje danego programu. Potrzeby ludzkie powiększają się szybciej, niż im można uczynić zadość i zaspokoić je. Nie może nawet być inaczej, boć dopóki nie odczuwa się jakiej potrzeby, nie można jej zaspokajać, nie wiedząc, o co chodzi. Najpierw musi się wiedzieć, że czegoś potrzeba, a potem dopiero można się starać, żeby to nabyć. Wykonanie musi tedy być nieco opóźnione. Jeżeli się jednak opóźnia nazbyt, powstają nieporozumienia, wkońcu rewolucje.

Regułą bywa, że zanim wykonanie zdoła dotrzeć do pomyślnego końca, już zmieniły się potrzeby, bo wyłaniają się już nowe. Wykonywanie bywa częstokroć opóźnionem zacofaniem, jakby pod wpływem samej siły bezwładności. Najczęściej kłócą się w wykonywaniu dwa systemy, stary i nowy.

Nie można stosować do urządzeń życia zbiorowego metody matematycznej, dla której konsekwencja stanowi jedyne kryterjum. W sprawach życia u szczytu konsekwencji stanęli Torquemada czy Robespierre lub Lenin. Jeżeli pewne pojęcia są absolutnie pewne, a wyłonione z nich poglądy bezwzględnie prawdziwe, natenczas i zastosowanie ich do życia prowadzi na pewno do najlepszego życia urządzenia. Czyż nie jest obowiązkiem roz-

powszechnić te urządzenia, skoro to od nas zależne? A czyż może być krótsza do tego droga, jak wymordować wyznawców innych poglądów, pozbyć się takich, którzy zawadzają szczęściu ludzkości? Najprostszy to sposób uszczęśliwienia ludzkości, więc też stosowany perjodycznie... Niestety o ileż łatwiej nakreślić program reformy całej ludzkości, niż zarządzać dobrze jedną niedużą gminą. A cały błąd krwiożerczych reformatorów (o ile działają w dobrej wierze) w ich żelaznej konsekwencji.

Tej konsekwencji nusarchja nie znosi. Nauka zawsze twierdzi coś odmiennego od ostatecznych wyników wcześniejszych nieco pojęć naukowych. Towarzyszy też reformatorom-tyranom zawsze pewne zacofanie nusarchiczne; zwykli występować w imię pojęć naukowych dnia wczorajszego, stosując je na dzień jutrzejszy. W tem cała tajemnica systemów rewolucyjnych, które żywią się zawsze przeżytkami nauki.

Nie zachodzi potrzeba zatajania wad nusarchji; zachodzi natomiast potrzeba wielka i pilna uświadamiania inteligentnego ogółu, jako niema zalet bez wad. Metoda oceniania czyto dzieła umysłowości ludzkiej, czyto indywiduum samego, czy też narodu lub społeczeństwa, wymaga zrozumienia pewnego stosunku pomiędzy zaletami a wadami. Co (lub kto) jest bez wady, i na tem tylko ma zasadzać swą wartość — jest w sam raz zerem; dopiero posiadanie zalet stanowi o wartości powyżej zera. U ludzi jest to teoretycznym tylko aksjomatem, bo niema człowieka bez wady; ale bywają bez wady utwory umysłu ludzkiego (zwłaszcza artystyczne), a jednak niewiele warte. Nisko jeszcze stoi krytyka, nie umiejąca tego prawidła stosować. Ludzi ocenia się też mylnie, jeżeli na pierwszem miejscu stawia się takiego, który ma najmniej wad; w ten sposób zapewnia się poparcie wszelakiej miernocie, a gnębi się talenty. Gdyby spróbowano ustawiać ludzi i dzieła ich nie według owej skali wad,

lecz według skali zalet, jakżeż zmieniłoby się wiele na lepsze.

Leczmyż wady nasze, lecz nie rozpaczajmy nad niemi, skoro tylko niesposób odmówić nam zalet narodowych. Pocieszajmy się też tem, że wzmaganie się zalet przytępia wady, gdy tymczasem zanik wady jeszcze niekoniecznie jest zarazem narodzinami zalety. To też nawet w tępieniu wad skuteczniej jest działać pozytywnie, niż negatywnie: lepiej działać ku wzmożeniu zalet bezpośrednio.

Wartość ideowa utworu, człowieka, czy grupy, lub całego wreszcie społeczeństwa zależy od stopnia kultury umysłowej przedewszystkiem; następnie, na stopniu wyższym, od stopnia i jakości twórczości. Wszelki Ideał wymaga nieodzownie pewnego poziomu kultury umysłowej, tj. tych kategoryj, które przeszliśmy w części I., inaczej nie będzie zrozumiałym, a przynajmniej będzie opacznie rozumiany i mylnie wykonywany, a więc nic zda się na nic. Ani też patrjotą nie można być skutecznie bez odpowiedniej kultury umysłowej. Ponieważ zaś kultura ta zawisłą jest w stopniu nader znacznym od nauk, więc w zasadzie powiedzieć można, że niema ideałów bez nauki (względnie bez jej popularyzacji). W tem druga dziedzina takiego władztwa nusarchji, które jest bezwzględnem dobrodziejstwem dla ludzkości (w obrębie cywilizacyj szanujących naukę jako taką).

Dlatego to najniebezpieczniejszym objawem społecznym bywa rozbieżność pomiędzy warstwą kierującą rozwojem umysłowym, a warstwą kierującą rozwojem politycznym, co wychodzi na rozbieżność twórczości umysłowej a politycznej w narodzie, i stanowi wykolejenie nusarchji. Zagraża natenczas niebezpieczeństwo najstraszniejsze: rozbieżność kulturalna, która następuje nieuchronnie, gdy trwa zbyt długo rozbieżność uczonych z rządzącymi. Rozbieżność kulturalna, a za tem idący upadek kultury, zagrażają zawsze, gdy Ethos rozbiega się z Logosem. A w czasach takich najłatwiej dochodzą

do władzy osoby, które celują wprawdzie jużto rozsądkiem, jużto wyobraźnią, lecz którym brak syntezy tych dwojga składników rozumu.

Była już o tem mowa, jako zorganizowana nauka jest zorganizowanym Logosem; zmysł organizacyjny nadaje Logosowi moc jego skuteczności. Harmonja pomiędzy światem naukowym a światem politycznym stanowi jakby wykładnik pożądanej harmonji Logosu z Ethosem, który też winien być zorganizowany. Ale zmysł organizacyjny możnaby nazwać z d o l n o ś c i ą z d o l n o ś c i. O tem nieco więcej na końcu książki. Tymczasem zastanówmy się nad pewnym przykładem z historji narodowej.

Społeczeństwem twórczem była Polska aż do połowy XVII wieku. Na ogólnem tle chrześcijaństwa wytworzyliśmy swą własną polską kulturę, której niestety nie rozwijaliśmy potem dalej i do dziś dnia (stokrotne niestety!) nie umiemy zdobyć się na zbiorowe dalsze snucie przerwanego wątku. Mieliśmy własne dążenia, bośmy się zdobyli na własne pojęcia o ustroju społecznym i państwowym, tudzież o ogólnym porządku europejskim. Mieliśmy myślicieli, w których umysłach samodzielnych powstały ideje, zamienianie w czyn przez statystów i wodzów. Żyliśmy c e l o w o w cywilizacji łacińskiej. Nie tworzyliśmy w jej obrębie asymilowanych naśladowców, lecz twórcami byliśmy; twórczy zaś naród może stanąć nawet w przeciwieństwie do swych byłych mistrzów, podczas gdy naśladowcy stają się tylko epigonami i giną niebawem po swych mistrzach, lub przechodzą ciężkie przynajmniej przesilenia, znalazłszy się na bezdrożach, gdy zbraknie im wzorów.

Owoc bytu — to k u l t u r a c z y n u. A ta wymaga zgodności myśli ze słowem, słowa z czynami, czynów z wewnętrznem przeświadczeniem. Słowo, czyn i przeświadczenie winny być z sobą powiązane harmonijnie i konsekwentnie, a źródłem tego umiaru, tej sprawności, umożliwiającej skuteczny czyn — konsekwencja pojęć, uzupełniających się wzajemnie. Naśladowcy niełatwo

zdobywają się na kulturę czynu, bo pojęcia ich, nie zdobyte pracą własną, przyswojone, gotowe, rzadko kiedy bywają należycie zrozumiane; naśladowcy przesadnie trzymają się form, ulegają łatwo złudzeniom co do form, a nie dojrzą treści.

Kultura czynu, wymagając uprzedniej jasności i ścisłości pojęć, wymaga tedy świadomej teorji przed czynem. Bez teorji nie można się rozwijać umysłowo samodzielnie (myślenie oderwane, generalizowanie), nie można działać twórczo w najmniejszym bodaj zakresie systematycznie, a tem bardziej nie można być twórczym w dziedzinie cywiliżacji i stać się ogniwem w łańcuchu kultury powszechnej. Bez teorji niema świadomych dążeń, a więc nie może być kultury czynu, która na kategorji celowości opiera się.

Z badań nad „teorją Grunwałdu" odniosłem wrażenie, że przedmiot ten pozostaje w ścisłym związku z dziejami filozofji w Polsce. Tak jest, pozostaje w związku ze sporami o to, czy u n i v e r s a l i a a n t e r e m, czy i n r e, czy też p o s t r e m — t. j. w związku z kierunkami ówczesnej filozofji scholastycznej. Nominalizm zachowywał się bierniej wobec dogmatycznej części teologji, a to stanowi rzeczywiście cechę umysłowości polskiej (dlatego nie zaniosło się u nas na herezje ni razu przez cały okres scholastyki). W uniwersytecie krakowskim mieliśmy świetnych nominalistów. Największy genjusz twórczy średniowiecza, św. Tomasz z Akwinu, był umiarkowanym realistą (i n r e), a w bibljotekach polskich pełno komentarzy do jego „Summy".

Te sprawy wymagają bliższego zbadania. Mówi się, jakobyśmy byli epigonami scholastyki. Jakież to epigonostwo, co wydaje nowe teorje, wiodące na wieki całe do nowego, a lepszego ułożenia stosunków społeczeństw? Nigdy z epigonostwa nie wykuje się kultura narodowa; a wszak to stało się na tle naszej scholastyki!

Kultura ta oparta była na tak głębokich podstawach, iż nie poruszył jej ani legizm.

Przyjęliśmy humanizm i przejęliśmy się nim do głębi, a jednak nie doszło u nas do recepcji prawa rzymskiego i związanego z tem... nowego rozwoju teorji imperjalistycznej, przeinaczonej w zmienionych czasach i warunkach na zasady despotyzmu i wszechwładzy państwa.

Rzut, dokonany przez krakowskich scholastyków z początkiem XV wieku, był tak potężny, iż starczył na półtrzecia stulecia. Epigonowie nie miewają takiej dużej ręki. W scholastyce naszej kryje się jakaś tajemnica, którą zbadać muszą specjaliści, historycy scholastyki; niewątpliwie badania takie rzuciłyby cały snop nowego światła na zasadnicze zagadnienia dziejów polskich.

Bądź co bądź to jasne, iżeśmy wygrali pod koniec wieków średnich, nie tylko utrzymując byt, ale rozszerzając niezmiernie państwowość polską, iż staliśmy się mocarstwem, ale nie tylko mocarstwem, lecz samodzielnym czynnikiem kulturalnym dzięki temu, że czyny nasze nie były ślepe, lecz oparte na wielkiej a pozytywnej teorji. Poruszyliśmy pół Europy do nowego życia, bo mieliśmy w sobie kulturę czynu, mając najpierw dokładnie uświadomione in potentia, co się miało wprowadzić in actum, w myśl wielkiej tezy św. Tomasza z Akwinu: Movere enim nihil aliud est, quam educere aliquid de potentia in actum. Pokolenie Pawła z Brudzewa i jego uczniów miało czem movere, bo miało teorję, posiadło własny pogląd na świat, pogląd wywołujący postęp, twórczy pogląd.

W przeciwieństwie do tej świetnej karty polskiej nusarchji wskazać można inny przykład jako dowód a contrario, jak potrzebną ona, gdyż z braku jej ciężkie straty. Przypomnijmy sobie z rozdziału III („Handel a przemysł"), jak rozwijał się dobrobyt w Polsce, dopóki mieliśmy swe własne pojęcia w tych materjach, a jak podupadliśmy, gdy przestaliśmy posiadać stosowne dla naszych stosunków i okoliczności programy ekonomiczne. Nusarchja polska zawiodła w tej dziedzinie od

połowy XVI wieku, a niebawem zaczął dobrobyt kurczyć się. Kiedy zaś za Stanisława Augusta powstała z pod popiołów na nowo polska twórczość ekonomiczna teoretyczna, naukowa, zakwitły w dziwnie pospiesznem tempie fabryki, rękodzieła, handel wewnętrzny i wywozowy, (o czem pouczyć może się każdy w pomnikowem dziele Korzona: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta"). Upadku naszego ekonomicznego, a przez to i politycznego, przyczyną w znacznej części brak własnej nauki ekonomicznej w stosunkach tak odmiennych od zachodnio-europejskich (tam bogacono się na handlu oceanicznym, a my przez to ubożeliśmy).

Czyż obecnie nie czeka nas nędza okrutna, a skutkiem tego i samej niepodległości wątpliwe położenie, jeżeli nie wynajdziemy na odmienne zgoła od innych położenie odmiennej, swoistej drogi ocalenia? A Logos musi i w tem iść przed Ethosem, nauka przed praktyką życia. I czyż my nie będziemy cierpieli na rozdźwięk myśli a czynu, dopóki nie wytworzymy własnej nauki o państwie w całości nie zaś tylko własnej ekonomji politycznej? Odrębność objawów, narzucających się uwadze w Polsce, sprawia, iż nawet chyba cudzoziemiec musiałby w Polsce dojść do odrębnych wniosków.

Przerwanie wątku polskiej ekonomicznej nusarchji nasuwa na myśl wypowiedziane już raz spostrzeżenie o zasadniczem znaczeniu tradycji w nauce. Jak we wszystkiem, podobnież w zakresie nauk, stanowi tradycja kość pacierzową wszelkiej kultury, kultury naukowej. Przerywanie tradycji naukowej jest tem dotkliwsze, ponieważ postęp umysłowy może się wogóle dokonywać tylko stopniowo. Nusarchja doskonali się krok po kroku, podczas gdy moralny postęp może się w zasadzie odbyć nagle. Można być cudownie nawróconym, ale nie można być cudownie oświeconym...

Brak wyrobionego świata naukowego od początku XVII do trzeciej ćwierci XVIII w. stanowi wybitny objaw owej orjentalizacji, o której była mowa w rozdziale

VIII, nabytej skutkiem nieszczęsnego dążenia do syntezy Zachodu i Wschodu. Urwał się podkład nusarchji: filozofja, uprawiana jeszcze z początkiem XVII wieku, jakkolwiek skromnie wielce (Petrycy). A potem chociaż zanosiło się na rozkwit tej nauki nauk, zmroziła go aura stosunków porozbiorowych. Filozofja poszukała sobie schronienia w poezji wieszczów.

Czyż nusarchja polska XIX wieku nie działała zapomocą poezji? Mogło to mieć w dobie niewoli nawet pewne dobre strony — wszak poezja nasza posiadała niezmiernie dużo znaczenia „praktycznego" dla narodu, ale czyżby mogło to starczyć dla państwa niepodległego? I czy dużo posiedlibyśmy znaczenia dla Europy, gdyby polskość przemawiała do europejskiego forum przez poezję tylko? Znaczenie nasze byłoby w takim razie doprawdy... egzotyczne.

Czy to możebne, żebyśmy dogonili, cośmy zaniedbali w naszej nusarchji? Ależ bez porównania jeszcze więcej zaniedbania było w dziedzinie sztuki, a jednak weszliśmy w europejski zestrój artystyczny. Weźmy dla przykładu kwestję pejzażu polskiego:

Pojęcia o pięknie przyrody nie są w Polsce wogóle stare. Łukasz Górnicki pierwszy podobno dopiero spostrzegł, że mogą być piękne widoki, a według wszelkiego prawdopodobieństwa nie spostrzegł on tego samodzielnie, lecz dowiedział się o tem od Włochów. W literaturze polskiej XVI i XVII wieku nie znać wcale, żeby pojęcie piękna przyrody popularyzowało się; dopiero za Stanisława Augusta otrzymaliśmy w tym względzie nowy impuls z Zachodu. Umiał cenić piękno przyrody Jan Kochanowski, i dostarczało mu ono natchnienia w poezjach, lecz bądź co bądź niewiele. Potem Wacław Potocki miał wcale czuły co do tego zmysł, nie umiał jednakże wyrazić należycie swych wrażeń. W XVII w. wogóle zwracano na przyrodę coraz mniej uwagi, zajmując się zato coraz bardziej szczegółowo samym człowiekiem. Tak np. u Samuela Twardowskiego jakżeż mało opisów przyro-

dy, a jak szczegółowe, rozwlekłe opisy rozmaitych pochodów i uroczystości! Możnaby się wyrazić, że układano sobie widoki z ludzi, żywe obrazy niejako i tem się najbardziej delektowano. Pejzaż jako taki nieznany jest zupełnie w Polsce aż pod sam koniec XVIII w. Dopiero romantyzm przyniósł nagłą zmianę w tym kierunku, tak nagłą, iż ogół długo nawet nie mógł zrozumieć poetów. Umysł bądź co bądź wielce wykształcony estetycznie, jak Dmochowski, zżymał się na to, że Mickiewicz daje w formie sonetów opisy przyrody; zdawało mu się, że to profanacja tego wiersza, przeznaczonego dla uczuć, zdaniem jego, bez porównania wyższych, dla sentymentów ludzkich.

Tak nisko ważono stosunkowo do niedawna piękno pejzażu. A jednak powstało malarstwo, a gdy powstało, pejzaż zajął w niem tak wybitne stanowisko, i zyskał sobie opinję odrębności artystycznej w sztuce powszechnej. Polski pejzaż nie zmarnował polskiej odrębności objawów krajobrazowych, lecz uwzględniwszy je godnie, stał się oryginalnym.

Jeżeli powiodło się genjuszowi polskiemu dotrzeć do europejskiego szczebla w dziedzinie poprzednio mu nieznanej, o ileż łatwiejszem powinno to być w dziedzinie naukowej! Godzi się mieć najlepszą otuchę, że zdobędziemy się na rodzimą nusarchję.

Gdyby się zająć szczegółowo dziejami polskiej nusarchji, t. j. wpływów twórczości umysłowej na polskie życie publiczne, widzielibyśmy, że dzieje nasze nie różniły się od dziejów innych narodów zasadniczo, a tylko ilościowo szwankowała u nas częstokroć nusarchja, boć szwankowała nauka sama. Im większa obfitość nauki, tem większy jej wpływ. W Niemczech, dominujących ilością produkcji naukowej, wpływ nauki na życie publiczne był w ostatniem pokoleniu nadzwyczaj silny. Niestety, gdybyż zachodził raczej stosunek prosty pomiędzy wpływem nauki, a jej jakością, zamiast ilości! Tego atoli dotychczas nie widać; nauka prawdziwa i błędna jednako

działa! Nieraz błędne pojęcia naukowe posiadają właśnie szczególny jakiś urok na masy. Np. polska nusarchja najsilniejsza była, gdy zeszła na manowce przez Andrzeja Maksymiljana Fredrę—a za naszych czasów błędy Marxa stanowią fundament Ethosu mas robotniczych. Niełatwo atoli współczesnym odróżniać prawdę od błędu!

Opinja publiczna znajduje się zazwyczaj pod szczególnym wpływem pewnej nauki, w danym czasie sprawującej jakby hegemonję. I w polskiej historji dopatrzeć się można rozmaitych odcieni nusarchji z tego powodu, a bliższe zastanawianie się nad tem wiedzie do arcyciekawych spostrzeżeń. Wyraziściej, niż na polskiej historji, można studjować te objawy na Zachodzie, gdzie ilość nauki była znaczniejsza. Bliżej zapuszczać się w to nie możemy w tem dziełku; zwrócimy tylko jeszcze uwagę na znamienny zwrot polskiej nusarchji w XIX wieku.

W chwili, gdy po zamknięciu uniwersytetu wileńskiego i po katastrofie roku 1831 przerwał się wątek nauki polskiej, gdy obumarła twórczość naukowa, nie zamarła jednak nusarchja, lecz przeniosła się na poezję. W okresie wieszczów silniejszą była niż kiedykolwiek. Poezja władała umysłami, od niej wychodziły hasła społeczne i polityczne. Nie popełni się żadnej przesady, jeżeli się powie, że Polak od drugiej ćwierci XIX wieku kształcił się społecznie i politycznie na poezji, który to stan rzeczy przetrwał aż do początków XX wieku.

Stan to nienaturalny, wywołany szczególnemi stosunkami, o czem nie potrzebuję się rozpisywać, bo to są rzeczy każdemu wiadome. Poezja polska odniosła olbrzymią zasługę, a o tej obywatelskiej stronie poezji i sztuki polskiej wogóle była już mowa w części II. Bądź co bądź jednak, lepiej powracać do stanu naturalnego; lepiej być podobnym do innych narodów pod tym względem, żeby nusarchja była przy nauce, a nie przy poezji. Moc nadzwyczajna wieszczów naszych sprawiła, iż rządy umysłów pozostały przy poezji i wtedy nawet, gdy nauka odrodziła się — a przeżytek tego stanu trwa do-

tychczas. Dziś jeszcze w planach wychowania polskiego poezja, literatura wogóle, zajmuje miejsce naczelne, uprzywilejowane; dziś jeszcze uchodzi wykształcenie literackie za najlepszą formę t. zw. wykształcenia ogólnego. Jest to wielce mylne mniemanie. Literatura uzupełniać może wykształcenie, ale go nie może stanowić, a już najmniej się nadaje do tego, by stanowić jego podstawę.

Zawdzięczając poezji wiele, nadzwyczaj wiele, trudno nam wyzwolić się od tego nadmiaru jej wpływów, który okazuje się coraz bardziej zbytecznym, a może nawet poczyna już być szkodliwym. Zyskalibyśmy wiele, gdybyśmy uznali za „przedmiot ogólno-kształcący" zamiast historji literatury np. geografję. Nabralibyśmy więcej tężyzny i większej celowości w czynach naszych, gdybyśmy impulsy do nich znajdowali w nauce, a nie w poezji. Czas spory przenieść nusarchję w zupełności na naukę, pomimo całej jej omylności. Poezja pojęć nie mnoży, a nam w państwie niepodległem trzeba będzie licznych pojęć, bez których można się było obchodzić, gdyśmy się musieli przystosowywać do braku państwowości. Poezja pojęcia łączy, spaja, mniej dbając o ich ścisłe określanie, bo jej rzeczą poprzestawać na wrażeniach. Tego właśnie nauczyła nas ona, a to jest źle.

Jak wszystko, co ludzkie, ma największa nawet poezja swe słabe strony, zwłaszcza gdy się jej używa do tego, od czego ona nie jest... do tworzenia pojęć społecznych i politycznych. Czyż nie znać na Polaku, że lubi poprzestać na wrażeniach, nie dbając o istotę rzeczy? Czyż wada ta nie zakradła się nawet do polityki? Doprawdy, możnaby dużo mówić o polityce literackiej w Polsce, t. j. o pozostającej pod wpływem wrażeń literackich. Najpoważniejsze sprawy, jak np. kwestję unji, widziało się i widzi się jeszcze obecnie traktowane po literacku, według pewnych wrażeń. Wrażeniowo nie można organizować życia publicznego; nie można puszczać państwa na politykę wrażeń, bo najpoważniejsze hasła mogłyby rozpłynąć się we frazesy literackie.

Czas spory zmniejszyć literackość umysłów polskich, bo im głębiej posuwamy się w niepodległy byt, tem bardziej literackość nam szkodzi, a gdyby przedłużało się jej panowanie nad umysłami, stałaby się kulą u nogi państwa polskiego. Minął okres wieszczów już stosunkowo dawno. Przedłużone rządy poezji nabrały cech epigonostwa, które nie potrafi być twórczem; obecnie nie mieściłoby się w nich wogóle nic prócz epigonostwa.

Niechaj poezja zostanie na zawsze okiem polskości, lecz być nie może jej ramieniem. Zadanie to narzuciły jej okoliczności; spełniła je dobrze, ale też był to wysiłek, jakiego drugiego nie zna historja świata. Nie przedłużajmyż tego stanu, skoro to już dawno niepotrzebne! Wracajmy do stanu normalnego, stańmy się i pod tym względem narodem normalnym.

Poezji naszej przyznajmy wdzięcznie dwie niepomierne zasługi: jedną uznawaną dość powszechnie, że nas przeprowadziła przez okres niewoli, zachowując nam poczucie narodowe i godność narodową, że zachowała polskość nienaruszoną; — i drugą, na której uznanie teraz kolej: że nas nauczyła łączyć etykę z życiem zbiorowem, że do pojęć społecznych i politycznych dołączyła nierozerwalnie pojęcia etyczne, że napoiła nas przeświadczeniem o tem, jako postępowość a etyczność łączą się spójnią nierozerwalną, że niema postępu bez postępu etycznego. Tę cechę umysłowości polskiej należy przekazywać z pokolenia w pokolenie bez jakichkolwiek kompromisowych uszczupleń. To niech nam zostanie na wieki.

Za przechowanie patrjotyzmu, za nauczanie go pokoleń męczeńskich w okresie porozbiorowym, winny wszystkie pokolenia szczęsne w niepodległości padać na kolana przed prochami wieszczów narodowych; wielbić ich na klęczkach należy za wpojenie w polskość zasady etyczności życia zbiorowego.

Zachowując zdobycz etyczną wielkiej poezji, przekażmy ją nusarchji naukowej. Na miejsce wykształcenia literackiego popularyzujmy wykształcenie naukowe, a w twórczości naukowej upatrujmy najlepszą rękojmię rozwoju społecznego i państwowego.

Znaczenie nasze w Europie i dla Europy nie było dostateczne w porównaniu do naszych obszarów i do gęstości zaludnienia, albowiem niedopisywaliśmy naukowo; nusarchja nasza szwankowała. Teraz doganiać! tu trzeba chyżości historycznej przyspieszonej! Uniwersytety polskie mają zadanie podobne jak na przełomie XIV i XV wieku: stać się kuźnią pojęć na nowy okres dziejów.

Wynik dociekań.

Przebiegliśmy gąszcze różnolitego materjału, zbliżając się stopniowo do uogólniań coraz szerszych. Przechodziliśmy jakby z piętra na piętro, robiąc często rekapitulacje częściowe i ustawiając wskazówki dalszego chodu. To uwalnia nas obecnie od potrzeby rekapitulowania wszystkiego od początku, a zezwala przystąpić do określenia ostatecznego rezultatu książki, jako bezpośredniego wyniku ostatniego rozdziału.

Kwestja o znaczenie i cel narodu, któregokolwiek narodu, byłaby jałową, gdybyśmy nie starali się poznać, czy losami społeczeństw nie rządzi jakieś prawo i jakie? Nie tak łatwo dotrzeć do takiego celu! Próbowano tego już nieraz, ale w miarę rozwoju nauki próby okazywały się nieudanemi. Czyż jednak nie jest tak we wszystkich naukach, że odwołuje się poprzednie uogólnienia, gdy *na ich podstawie* dojdzie się do lepszych? Czyż Historja ma jaki obowiązek być wyjątkiem od tej drogi, jak dotychczas jedynej i powszechnej? W tem przekonaniu odważam się na nową próbę, dla której największym byłoby zaszczytem, gdyby się przydała komu innemu do dalszej nowej próby.

Z wyłuszczonych tu dociekań i spostrzeżeń wynika, że losy społeczeństw cywilizowanych regulowane bywają przez prawo, które narazie daje się określić w sposób następujący:

Jednolitość cywilizacyjna zaludnienia gęstego wytwarza przez nusarchję równocześnie wielostronną twórczość na podstawie wszystkich działów kultury umysłowej.

Oto najwyższy regulator historji! Tak się robi historja.

W miarę zbliżania się do tego prawidła rozkwitają społeczeństwa; — upadają w miarę oddalania się od niego.

Co mieści się w jednolitości cywilizacyjnej, ilostronna może być twórczość, ile jest kategoryj kultury umysłowej, o tem była mowa w osobnych częściach i rozdziałach książki. Twórczość nie musi być wszechstronną, ale żadna z kategoryj kultury umysłowej nie może być opuszczoną bez wielkiego niebezpieczeństwa. Etyka stanowi zasadniczy punkt jednolitości cywilizacyjnej, podobnież organizacja, główny jej przejaw. Natomiast z omawianych powyżej okoliczności życia zbiorowego obojętnym dla stopnia udoskonalenia społeczeństwa jest obszar jego kraju.

Znaczenie społeczeństw wynika ze stosowania się lub niestosowania do tego najwyższego regulatora. A zatem znaczenie Polski polega na tem, że:

Polska zachowaniem się swojem w sprawie jednolitości lub niejednolitości cywilizacyjnej zdecyduje o tem, czy cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna będzie się rozszerzała dalej na wschód i czy w Europie środkowej można się będzie spodziewać wyłącznego tej cywilizacji zapanowania. Jeżeli Polska podlegnie rozłamowi cywilizacyjnemu, nastąpi znaczne osłabnięcie cywilizacji zachodnio-europejskiej wogóle, a zatem zwiększy się nie-

bezpieczeństwo stopniowego pokonywania jej przez cywilizację inną.

Znaczenie Polski polega na tem, że niema takiego działu życia, do którego nie okazałaby zdolności, i to po większej części wybitnych. Ale jest to znaczenie prawdopodobieństwa i możliwości, które wymaga dopiero pewnych warunków, ażeby się zamieniło na znaczenie rzeczywistości.

Faktyczne znaczenie Polski zależeć będzie od tego, czy zdoła wyzyskać należycie swe dary przyrody i czy w Polsce wytworzy się polski handel i przemysł. Bez spełnienia tego warunku będziemy dla Europy tylko krajem, ale nie społeczeństwem, kolonją dla państw silnych ekonomicznie. A za tem pójdzie iluzoryczność naszej niepodległości.

Znaczenie twórczości polskiej zależeć będzie od tego, czy zdołamy ją oprzeć na podłożu wszystkich kategoryj kultury umysłowej; od należytego zaś zorganizowania świata naukowego zawisłą będzie wartość naszej nusarchji.

Rola nasza w Europie zależeć będzie od tego, czy zdołamy utrzymać równowagę historyzmu a ludowości.

Całe zaś nasze znaczenie zawisło od tego, czy prowincje zachodnie, posiadające ludność gęstszą i zdolność organizacyjną, wezmą górę nad wschodniemi.

Od tych warunków zawisła możność utrzymania na przyszłość własnej, swoistej polskiej kultury, a znaczenie nasze na jej posiadaniu właśnie polega.

A cel Polski? — Sprawy obie: znaczenia a celu, łączą i wikłają się z sobą, wzajemnie się uzupełniając. Chcąc określać cel, trzeba zwrócić się ku przyszłości. Metoda naukowa wielce jest wstrzemięźliwą w dopuszczaniu horoskopów w świecie duchowym, niematerjalnym, ale próbujmy wyzyskać, co przy naukowem traktowaniu przedmiotu jest dostępnem i dopuszczalnem.

Rozdział XII, dodatkowy.

Horoskopy nowego okresu.

1. Po pokoju wersalskim.

Po wojnie, która objęła wszystkie pięć części świata, ze wszystkich powołując żołnierzy, nie na mapę patrzeć trzeba, by się orjentować, lecz na globus; horoskopy nowego okresu dziejów tyczą się też czegoś większego nad narody i państwa, całych systematów cywilizacyjnych, całych grup społeczeństw i państw.

Toczyła się wojna przeciwko niemieckiemu, a właściwie pruskiemu ustrojowi społecznemu i państwowemu, narzucającemu stopniowo hegemonję swą całemu światu, jak ją narzucił Niemcom i Austrji. Była to wojna z niemieckim systemem życia publicznego, z wszelkiem prusactwem, z pruskim porządkiem w polityce międzynarodowej; wojna przeciwko dalszemu asymilowaniu się do Prus, które zaczęło się od konieczności naśladowania ich co do powszechnej służby wojskowej, a groziło coraz dalszem przejmowaniem pruskiej metody. Była to wojna z pewną metodą życia publicznego, której twórcami i głównymi reprezentantami były Prusy. Traktując rzecz z ogólniejszego stanowiska, prowadzono wojnę powszechną przeciwko kulturze bizantyńsko-niemieckiej, a z konieczności przeciw tym, którzy się z nią politycznie zsolidaryzowali.

Była to tedy druga w historji „wojna z całą nacją niemiecką", jak nazwali przodkowie nasi w wieku XV wojnę, prowadzoną wówczas również przeciw kulturze bizantyńsko-niemieckiej; wtóra wojna z całym niemiec-

kim systemem w Europie. Jak zobaczymy, tamta pierwsza, prowadzona pod przewodem Polski, prowadzona była gruntowniej.

Sprawa polska stanowiła od początku wykładnik wszelkich stosunków, wojną tą wywoływanych; zresztą sama wojna wybuchła jako dalszy skutek rozbiorów Polski, około też jej wskrzeszenia obracała się nieustannie oś wojenna. Gdyby kiedyś zrobiono spostrzeżenie, że to była wojna o Polskę, byłoby w tem uogólnieniu dużo prawdy.

Polska znalazła się w samym środku walczących obozów nie tylko geograficznie, ale też moralnie. Nie było epizodu wojennego, któryby nie oddziaływał na sprawę polską; nie było wzajemnie w Polsce takiego epizodu z polskich ruchów politycznych, któryby nie wpływał na szanse stron walczących, zanim jeszcze ententa Polskę uznała za stronę walczącą. Sprawa polska stanowiła jakby sprężynę mechanizmu wojny powszechnej; sprężynę niewidoczną dla laika, ale politycy wszystkich narodów zdawali sobie z niej doskonale sprawę.

Gdyby kiedyś napisał kto historję tej wojny ze stanowiska polskiego, rzecz taka byłaby zapewne niedostatecznie wszechstronną, ale stanowczo nie byłaby jednostronną; owszem, byłaby wielostronniejszą, niż gdyby ten sam temat traktować ze stanowiska któregokolwiek innego narodu, choćby największego i najpotężniejszego, choćby nawet ze stanowiska angielskiego.

Horyzont polityczny polski był w ciągu wieku XIX najszerszym, bo Polska wciągnięta w sprawy trzech państw tak różnych swemi stosunkami międzynarodowemi, zahaczała mimowoli o wszystko a wszystko na widnokręgu politycznym. Polak znał sprawy państw niemieckich, liczył się z welfizmem i z pangermanizmem, badał oddawna antagonizmy francusko-niemiecki i angielsko-niemiecki, a zarazem współzawodnictwo angielsko-rosyjskie w Azji, i niemieckie dorobkiewiczostwo ostatniego pokolenia. Z polską sprawą posiadała ścisły zwią-

zek od początku sprawa kolei bagdadzkiej, tak samo jak każde powstanie gruzińskie, czy zatarg konstytucyjny w Finlandji. Byliśmy w interesach z tuzinem narodów „austrjacko-węgierskich", obchodziła nas niemal bezpośrednio sprawa o Adrjatyk, bo tyczyło się nas wszystko a wszystko, co tylko mogło było zawikłać w wojnę którekolwiek z państw rozbiorowych. Jak daleko sięgał horyzont polityczny wszystkich ich trzech, tak daleko i nasz, ale nadto objąć musieliśmy wzrokiem patrjotycznym polskiego interesy tych państw, które mogły się znaleźć w jakiejkolwiek kolizji z któremkolwiek z tych trzech. Słowem: interes sprawy polskiej mieścił się wszędzie niemal, a skutkiem tego nasz horyzont polityczny był niezmiernie szeroki. Kto pilnował szans sprawy polskiej, studjował czujnie politykę na wszystkie cztery strony świata.

Horyzont polski szerszym był od angielskiego, który nie obejmował spraw wewnętrznych rosyjskich ni niemieckich, austrjackiemi zaczął się zaś zajmować ledwie od lat kilkunastu; nie obejmował zaś przed wojną Rumunji, ni Serbji, ani Danji, ni Szwecji.

Oceniać stosunki międzynarodowe i cały wielki tłok wydarzeń dziejowych ostatnich lat ze stanowiska polskiego, nie jest tedy bynajmniej objawem ciasnoty myśli. Patrząc na rodzący się w naszych oczach nowy okres dziejów, orjentując się w wirze współczesnych wypadków przez polskie kryterja, można przejrzeć cały ten splot Historji, co nie jest możebnem ze stanowiska jakiegokolwiek innego narodu. Cała ta wojna powszechna wybuchła jako skutek dalszy rozbiorów Polski, jako powtórne po wojnach napoleońskich ogólne wstrząśnięcie Europy; można powiedzieć, że wojna toczyła się z powodu Polski i o Polskę, bo dla tej przyczyny, że Polski na politycznej mapie nie było, a potoż, ażeby ją przywrócić, gdyż gdyby jej nie przywrócono, lub przywrócono niedostatecznie, nienależycie, połowicznie — groziłaby Europie nieuchronnie jeszcze raz wojna powszech-

na. Ze sprawami każdego innego narodu posiadała i posiada pewna tylko część tego splotu historji związek, pewna więc tylko część daje się określić z jego stanowiska, gdy tymczasem Polak orjentował się w zawikłaniach wojny tej lepiej (oczywiście caeteris paribus), bo sam mocniej w nich duchowo uczestniczył, głębiej w nich tkwił, choćby dlatego, ponieważ wszechstronniej od nich wszystkich zawisłym był od wojny powszechnej całą swą dolą i niedolą. Z narodowego tedy polskiego punktu widzenia najprzejrzyściej ogarniało się całokształt tej wielkiej sprawy, jednej z największych w dziejach powszechnych.

Patrząc na coś wielkiego i skomplikowanego z dołu, dojrzy się niejeden tajnik, bo się podpatruje niejako maszynerję przedmiotu, mechanikę tych rzeczy; widzi się mnóstwo szczegółów, niedostrzegalnych dla obserwatorów w innych okolicznościach. Ale też widzi się szczegółów za dużo! i przez to niełatwo wyrobić sobie sąd ogólny, uchwycić wielkie linje zarysu. Polak atoli, gdy biegły jest w swej polskości i mocny w tem, co stanowi Polaka, rozmyślając około tej wojny powszechnej, nie był bynajmniej ograniczony do podpatrywania rzeczy z dołu; ani też nie musiał ni na chwilę opuszczać swego stanowiska narodowego, by objąć całokształt wypadków, ogólną ich treść i generalną syntezę, bo sama sprawa polska zapewniała mu owo górne stanowisko, z którego należało ogarniać całość i orjentować się w niej krytycznie.

Sprawa polska nie jest bowiem wyłącznie narodową. Nie tylko mieści w sobie niemało pierwiastków powszechności, ale stanowiąc przyczynę istotną wojny, stając się coraz wyraźniej jej wykładnikiem, nabierała coraz większego znaczenia dla przyszłości; tkwią w niej tedy pierwiastki nowego w Europie porządku, a porządku wyższego, udoskonalonego. Niewiadomo, czy Polacy tego nie zmarnują, ale faktem jest, że sprawa polska mogłaby być zadatkiem postępu Europy i postępowego dalszego roz-

woju dziejów powszechnych, a w danym razie rękojmią takiego postępu. Nie tylko przeto dostarczała polskość dostatecznie górnego punktu widzenia, lecz ten właśnie punkt widzenia górował stanowczo ponad innemi, jako zaczerpnięty ze sprawy najwyższej według kryterjum najwyższego, bo kryterjum moralności.

Aktualnemi stały się słowa Skargi: „Nie dlatego tylko miłujemy Polskę, Ojczyznę naszą, że nas żywi, ale iż jest postanowienia Bożego". Nie przestała Polska być taką, jak ją określił Skarga.

Zdawało się, że pokonanie systematu pruskiego stanowić będzie walne zwycięstwo uczciwości i wolności, że odetchnie sobie Europa od zmory wojennej, od pokoju zbrojnego i od krętactw dyplomacji. Legły dynastje, które były złemi duchami Europy, i nikt nie myślał tworzyć nowych na ich miejsce; powiał duch republikański, rozbrzmiało hasło, jako narody mają stanowić same o sobie. O cóż tedy miałoby się na przyszłość prowadzić wojny? Przez krótki czas błoga nadzieja rozpierała piersi, ażeby ustąpić wnet przygnębieniu.

Zdawało się, że skoro nastąpił koniec prusactwa, zniknie militaryzm, a skutkiem tego rozpadnie się hegemonja judaizmu, w następstwie zaś upadku żydostwa, upadnie też marksowski socjalizm (cztery ogniwa tego samego łańcucha), zdawało się, że Europa zacznie pracować w spokoju, mając już do sytości skutków urządzeń, przy których homo homini lupus. Radowano się, że danem nam będzie zająć się czemś innem, jak ciągłem wzajemnem pożeraniem się, że nareszcie na miejsce teoryj, umiejących tylko przeciwstawiać człowieka człowiekowi, przyjdzie kolej na łączenie ludzi ku rozumnej pomocy wzajemnej.

Ale prusactwa nie pokonano... Poprzestano na pokonaniu Niemiec! Pokój wersalski układano, jakby kto powywracał nawspak wszystko: z Niemcami można było dojść do zgody, byle wyrwać im żądło prusactwa; cały świat spodziewał się, że państwo pruskie zostanie całko-

wicie zniesione, przyczem ani jednemu Niemcowi nie spadłby włos z głowy i niceby Niemcom nie zginęło, tylko ułożyłyby się rzeczy odmiennie, nie po prusku. Ententa zachowała jednak państwo pruskie a wszystkich Niemców traktowała jednako, a raczej może gorzej od Prusaków, udzielając Prusom ulg rozmaitych — i do dnia dzisiejszego stawiając się ostro, ilekroć chodzi w Niemczech o interes niepruski, ale czyniąc ustępstwa bez końca, gdy zachodzi interes specyficznie pruski. Zanosiło się na rewizję politycznej mapy Niemiec, na nowe twory państwowe, na rozszerzenie niektórych kosztem Prus; zapobieżono temu, utrzymano nadal Prusy na czele Niemiec.

Na wschodzie zanosiło się na powstanie potężnego państwa polskiego. Jak się wysilano, żeby Polskę osłabiać, nie potrzebuję tego wyliczać; wystarczy zaznaczyć, że gdyby ententa była po upadku Niemiec i Rosji pozostawiła Polskę „własnemu przemysłowi", bylibyśmy mieli od początku granice takie, jakich wymaga geografja polityczna, bylibyśmy oddawna panowali bezsprzecznie na całym Śląsku i nad Gdańskiem, zadalibyśmy prusactwu ostatni cios, i bylibyśmy na drodze do federacji państw słowiańskich, bałtyckich, Węgier, Czech i Bałkanu. To wszystko bowiem stanowiłoby było prostą konsekwencję klęski niemieckiej, a potęgi polskiej. Ale ententa zachowała się tak, jak gdyby zawarła nagle ścisły sojusz z Niemcami przeciwko Francji, a jeszcze bardziej przeciw Polsce. Od pewnego momentu osią polityki uprawianej przez zwycięskie mocarstwa stała się dążność do podkopywania Polski. Narobiono nam nieprzyjaciół, a równocześnie kazano być „żandarmem Europy" przeciw bolszewizmowi; ośmielano każdego, kto chciał Polsce szkodzić, a gdy kto chciał pomóc, zakazywano wyraźnie i srodze. Robiono nam mnóstwo trudności na zewnątrz i wewnątrz, aż wkońcu doczekano się bolszewików pod Warszawą, skąd wraz z Niemcami, z całem prusactwem, mieli ruszyć dalej. Nareszcie spostrzeżono się i do-

puszczono, że Francji wolno było ratować swoje interesy nad Wisłą, a gdy naród polski pokazał znowu, że umie sobie dawać radę, w tej chwili posypały się znów zastrzeżenia, że Polska nie śmie być silną.

Kto więc właściwie wygrał wojnę? Francja często, a Polska bardzo często wyglądały na zwyciężonych, którym się z łaski na coś pozwala; zwłaszcza Polska zepchniętą została na stanowisko czegoś, co się toleruje, skoro się nie można tego pozbyć... Każdy Polak doznawał po stokroć wrażenia, że chętnie pozbytoby się Polski, gdyby to było możebne. Z początku widzieliśmy, że Prusacy milszymi są od nas; wkońcu mieliśmy sposobność obserwować, że bolszewicy doznają większych od nas względów w Londynie.

Obok tego dziwna jakaś niewyraźna gmatwanina intryg zionęła od stołu narad pokojowych. Jak gdyby kto rozpętał wszystko Zło, ile go tylko może się zmieścić po wszystkich kątach Europy, spragnionej tak Dobra, gotowej przyjąć je z uwielbieniem. Radzono, jakby to urządzić, żeby nie dopuścić do trwałego pokoju. A więc postarano się, żeby a n i j e d n a z kwestyj politycznych w Europie całej nie była załatwiona zasadniczo. Używano ciekawej metody. Raz głoszono prawo samostanowienia narodów, a więc zasadę etnograficzną — i wtedy dało się Czechom niemieckie prowincje, poddano im całe terytorjum osobnego zupełnie narodu słowackiego, a nawet Ruś węgierską i polskie krainy Śląska; to się nazywa zasadą etnograficzną. Ale w imię tejże etnografji odrywało się od Polski całe kraje czysto polskie, jak np. Śląsk lub Wileńszczyznę. Czasem przebąknięto coś o zasadzie historycznej; ale nigdy przecież Słowaczyzna do państwa czeskiego nie należała, gdy tymczasem Galicja Wschodnia należała do Polski! Krętanina zasad dwóch służyła do zamaskowania braku jakiejkolwiek zasady; faktem tylko było, że wobec Polski powoływano się na obie, na historyczną i etnograficzną, na każdą

z nich wtedy mianowicie, kiedy można ją było zwrócić przeciw Polsce.

Interesy polskie stanowiły najwyrazistszy przykład tej metody, ale nie jedyny. Podobnież postarano się, żeby zostawić materjał do przyszłych wojen pomiędzy Jugosławją a Włochami, Jugosławją a Rumunją lub Bułgarją, ale także pomiędzy Bułgarją a Grecją i t. d. Nie zostawiono kąta w Europie bez posiewu wilczych kłów. Rozjątrzono niemało ran do stanu doprawdy gorszego, niż przed wojną, niż przed zwycięstwem zasady „samostanowienia". Było kilka takich wypadków, że rozdrapywano rany, gdy zanosiło się na zagojenie! Byle fermenty zostały!

Zdawało się, że Anglja, „stary sobek", tak politykuje. Ale Anglja nie mogła mieć żadnego interesu w dopomaganiu do sojuszu rosyjsko-niemieckiego, który byłby zwrócony przeciwko niej. Jakieś interesy Anglja miała i ma nad Niemnem, ależ są to drobiazgi wobec szkód, na jakie narażała i naraża się popieraniem wszystkich tych dążeń antyfrancuskich i antypolskich. Są tu w grze sprawy o pięć części świata, nie o kolano rzeki Niemna! Jeżeli znaczna część Europy nie będzie mogła zaznać spokoju z powodu tego, że Prusy stać na opozycję przeciw traktatowi wersalskiemu, mogłoby się to skończyć wreszcie na tem, że dla zapewnienia sobie nareszcie spokoju szereg państw wejdzie w porozumienie kompromisowe z Niemcami, i zacznie się odrodzenie pruskiego militaryzmu i... czyż znowu wszystko da capo? Ale nie powtarza się nic w takiej samej formie; a następnym razem może powtórzenie wypaść w sam raz na czas, kiedy Anglja będzie bardzo zajęta gdzie indziej, a stosunki europejskie mogą zaważyć na szali rozstrzygająco.

Błąd polityczny mieści się na końcu krótkiego ramienia dźwigni, ale skutki są na końcu ramienia długiego i zataczają szerokie łuki!

Ani tedy Anglja nie odniosła z pokoju wersalskiego korzyści bezwzględnych a trwałych, a przynajmniej nie

odniosła takich, jakie miećby mogła. Któż więc zwycięzcą naprawdę?

Wojnę wygrało „mocarstwo anonimowe", państwo bezziemne, judaizm. Byłby ją wygrał również w takim razie, gdyby stroną strategicznie zwycięską byli Niemcy. To obojętne dla Żydów, kto wygrał na polu bitwy: ktokolwiek tam wygrałby, oni byli zawsze przygotowani zagarnąć owoce zwycięstwa.

Przez całą wojnę stali po stronie niemieckiej. Doznaliśmy w Polsce tego żydowskiego germanizmu do sytości. Cała prasa żydowska głosiła, że Żydzi stanowią nierozdzielną cząstkę „niemieckiej kultury", najlepszą rękojmię germanizacji, przedłużenie ramienia niemiecczyzny daleko na wschód, ubezpieczenie najdokładniejsze niemieckiego panowania nad Polską i wierności tejże Polski względem Niemiec; zwracali uwagę, jakto żargon niemiecki jest niemieckim dialektem właściwie i wpraszali się na niemieckiego żandarma nad Polakami. Żądali zato, żeby im dopomóc do utworzenia „Judeo-Polonji", który to termin techniczny spotykało się u nich dzień w dzień.

Wiadomo było zgóry, że Żydzi staną po stronie Prus. Militaryzmowi zawdzięczali swą dojrzewającą hegemonję nad państwami Europy. Militaryzm bowiem wytworzył atmosferę „wysokich finansów", których najlepszą wylęgarnią były olbrzymie pożyczki państwowe na zbrojenia, deficyty, przesilenia („krachy"); a przy finansowaniu każdej pożyczki państwowej otrzymywało się tyle koncesyj, robiło się tyle interesów ubocznych! A olbrzymie armje, intendentury ich, umundurowanie, dostawa broni, same wreszcie popisy wojskowe i na dodatek lekkomyślny tryb życia oficerów — dostarczały bogactw nie komu innemu jak Żydom, niemal wyłącznie Żydom. Dzięki militaryzmowi mieli stosunki wszędzie, wszędzie wspólników, wszędzie mieli „swoich", od komisji badającej rekruta aż do ministerstwa wojny, a te stosunki służyły do wyrabiania innych w prawo i w lewo; faktem było, że w ministerstwach Rosji, Niemiec, Austro-Węgier

żywioł żydowski był uprzywilejowany pod każdym a każdym względem.

Militaryzm jest największym i najwyższym „interesem", jaki tylko może być na świecie; gdyby on zniknął, ubyłoby Żydom nie tylko większej części interesów najzyskowniejszych, ale usunęłaby się im z pod nóg podstawa do hegemonji ekonomicznej nad całą Europą, a skutkiem tego także runąłby pomost do politycznego owładnięcia Europy.

Militaryzm stanowił drogę do panowania judaizmu, był zaś ruiną cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej. Nie było lepszej sposobności do zwalczania chrześcijaństwa. Z militaryzmu rodziło się tyle potworności, doprowadzających do absurdu zasady chrześcijańskie, iż utrzymanie go stanowiło dla judaizmu kwestję najdonioślejszą. Militaryzm wytwarzał w całej Europie ową mętną wodę, w której łowi się najlepiej ryby. Urządzanie stosunków ludzkich zmierzało coraz wyraźniej do dwóch końców: żeby zapanowała powszechna nieprzyjaźń wszystkich przeciw wszystkim — i żeby z tego judaizm ciągnął jak największe zyski wśród upadającego chrześcijaństwa.

Obrona Prus łączyła się przeto zasadniczo z widokami germanizatorskiej Judeo-Polonji. Ale strona niemiecka przegrała. Czyż przegrają skutkiem tego Żydzi? Bynajmniej! Oni mają wszędzie „naszych", dadzą sobie radę. Przegrali wojnę, a wygrali traktat wersalski.

Francja nie uzyskała w warunkach pokojowych potwierdzenia ani połowy nawet swych postulatów, ale Żydzi wystąpili z postulatami i uzyskali wszystkie a wszystkie. Nie było żądania, któregoby nie byli przeforsowali na konferencji pokojowej.

A pierwszym żądaniem była znów Judeo-Polonja. Ponieważ program ten wykonalny byłby tylko w Polsce słabej państwowo i społecznie, więc wysilali się i wysilają dotychczas na zaostrzanie stosunków społecznych w Polsce i nie dadzą odetchnąć od propagand przewrotowych, od strajków, agitacyj „antymilitarnych", rozdy-

nania sprawy agrarnej i t. p., żeby tylko nie nabrała sił „biała gęś"; na zewnątrz zaś dopilnowali, żeby „sprzymierzeni" obchodzili się z Polską gorzej, niż z pokonanym wrogiem. Użyli natomiast całej swej mocy, zorganizowanej od N. Yorku do Petersburga, żeby ocalić Prusy, a ocaliwszy je, wyświadczali im i wyświadczają tysiące przysług; tym sposobem powstały też wszystkie owe ciosy, spadające na Polskę niespodzianie, a wymierzane w obronie Prus. Gdybyż judaizm mógł odebrać Polsce niepodległość i z pomocą wrogiego polskości rządu obcego urządzać Judeo-Polonję! Skoro to już niemożebne, więc za wszelką cenę osłabiać Polskę, a wzmacniać Prusy!

Jeżeli się powiedzie zachować Prusom zdatność do wznowienia militaryzmu, i jeżeli się równocześnie zesłabi Polskę jak najbardziej, może jeszcze kiedyś być Judeo-Polonja pod egidą pruską, a w takim razie judaizm wzniesie jeszcze wyżej swą hegemonję.

Na dnie tych wszystkich stosunków i objawów tkwi to, co tkwi zawsze na dnie spraw wielkich: kwestja cywilizacji; w tym wypadku zachodzi walka żydostwa z chrześcijaństwem, prowadzona na całej kuli ziemskiej. Polska ma nie tylko zaszczyt należeć w tej walce do chrześcijańskiego obozu, ale zbiegiem okoliczności (a także w zasłudze swego historyzmu) zajmuje w nim jedną z najważniejszych placówek; zrzucenie Polski z jej placówki pociągnęłoby za sobą przełamanie całej linji bojowej. Bardziej, o w i e l e b a r d z i e j m o ż e, niż za czasów Chocimia i Cecory jesteśmy dziś a n t i m u r a l e c h r i s t i a n i t a t i s.

Na Prusy spadła hańba, iż znalazły się w obozie antychrześcijańskim; nie napróżno stanowią wykładnik jednej z kultur bizantyńskich, podobnież jak niegdyś Fanar należał także do obozu antychrześcijańskiego przeciw Polsce.

2. Państwo.

Wystąpiłem w poprzednim ustępie z twierdzeniem, jako pierwszą wojnę „z całą nacją niemiecką", prowadzoną w wieku XV pod egidą Polski, prowadzono o wiele gruntowniej niż niniejszą. Obecnie brakło bowiem zasadniczego rodzaju broni: mianowicie propagandy. Odczuwano, że stępienie prusactwa przysporzy narodom wolności, a wytępienie stałoby się początkiem pokoju powszechnego na całe wieki, i może jakiegoś nowego układu sił w Europie,—ale jakiego? nikt nie wiedział. Odczuwano, ale niczego nie obmyślano. Nie miano nic pewnego do powiedzenia o przyszłym ustroju Europy, ni państwowym, ni społecznym; nikt nie występował z żadnemi nowemi tezami jak niegdyś Brudzewski.

Jeżeli tak było podczas wojny, cóż mówić o pokoju wersalskim? Dokonał on tego, że owo odczuwanie okazało się złudzeniem! Nic się nie zmieniło zasadniczo w metodzie sprawowania rządów, nic w systemie stosunków międzynarodowych. Nastąpiła zmiana osób niejako, nie rzeczy. Na miejsce hegemona pruskiego nastał angielski, ale także hegemon; a nowy hegemon miał za plecyma tego samego suflera jak dawny: judaizm. Taki sam błędnik krętactw dyplomatycznych, taka sama niepewność; najzupełniej takie samo wyrugowanie etyki z życia publicznego, a zwłaszcza ze stosunków międzynarodowych. Ostatecznie widzimy, że nie było propagandy, bo... nie było czego propagować. To też gdy się zjawiła propaganda bolszewicka, miała powodzenie bez konkurencji.

Polska stanowiła wyjątek o tyle, iż miała do propagowania coś wielkiego: niepodległość. Przyznać też trzeba, że od samego początku pojmowano sprawę odzyskania państwa narodowego ze stanowiska powszechnego jako pozyskanie posterunku dla powszechności narodów pożytecznego. Można zaś śmiało udzielić Polsce dyspensy, że nie wchodzono w szczegóły, jak Polska będzie powszechności postępu pożyteczną, co mianowi-

cie zamyśla nowego wnieść do Europy; gdzie się walczy o samo istnienie państwa, a do tego o utworzenie go, nie czas na programy. Owszem, świadczy to dobrze o Polakach, że sobie powiedzieli: niechajże ta Polska będzie jakąkolwiek, byle była!

Ale Francja, Anglja, Włochy nie miały zgoła nic do powiedzenia o przyszłem państwie i przyszłem społeczeństwie jakie miałoby nastać po pokonaniu systematu pruskiego. Walczono z Austrją i z Węgrami o niepodległość narodów kilku, a więc o stawki historycznie wielkie, ale lokalne; z Prusami także o niepodległość Polski, ale ta sprawa była trochę niejasna, bo o to samo n i e walczono z Rosją, uważając to samo tam za sprawę „wewnętrzną rosyjską". Hasła zaś ogólno-europejskiego zgoła nie było; przynajmniej nie było ono określone.

Ta niewyraźność sprawiła, że potem tak łatwo było popsuć wszystko w pokoju wersalskim... Nastąpiła zmiana państw, lecz nie zmiana państwowości, a w sprawach społecznych nie rzucono też znikąd hasła zbawczego przeciwko głoszonej ze strony judaizmu atomizacji społeczeństwa.

Wojna powszechna wybuchła wcześniej, nim zdołano przygotować grunt do nowego okresu dziejów, zapowiadanego instynktowo. Logos został wyprzedzony przez Ethos. Teraz trzeba albo szybko dogonić go, albo być przygotowanym na rozłam cywilizacyjny, który mógłby się nawet stać początkiem upadku cywilizacji naszej. Zwyciężyły państwa zachodnio-europejskie, ale cywilizacja zachodnio-europejska wcale nie wyszła zwycięsko. Tak się zbiegły okoliczności.

Przypatrzmy się bliżej niebezpieczeństwom, grożącym naszej cywilizacji w zakresie państwa i społeczeństwa.

Pojęcie państwa ulega zmianom w kolei wieków; obecne pojęcie trwa już dziwnie długo, bo od czasu pierwszych legistów na północy Alp, a więc niemało jest przestarzałem. W niektórych stronach Europy trzymano się

humanistycznego przeżytku z jakiemś zacietrzewieniem, wytężając siły, żeby pojęcie o istocie państwa nie ulegało zmianom, żeby przedłużyć panowanie żywiołów, których rządy doprowadziły do powszechnej katastrofy.

Państwo nowoczesne lubi nazywać się „prawnem"; doprawdy dlatego chyba, że niema takiej ohydy, którejby nie podjęło się ubrać w formy prawne! Państwo to powstało w okresie humanizmu, wykształcone następnie w szkole t. zw. „oświeconego absolutyzmu", zrobiło już dawno wszystko, co mogło było zrobić dobrego, i działa oddawna tylko wstecznie, zawadzając rozwojowi cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej. Państwu temu przydano parlamentaryzm, ale tylko na powłokę zewnętrzną, która w istocie państwa niczego jednak nie zmieniła. Doczepiono ustrój parlamentarny do państwa starego, uprawiającego nadal stare metody polityczne i administracyjne, do państwa, do którego nie nadaje się system parlamentarny. W tem przyczyna, dlaczego parlamentaryzm prócz jednej Anglji nie wydał nigdzie należytych owoców (w Anglji wyrósł bowiem ewolucyjnie z dążeń społecznych, jak niegdyś w Polsce). Jest tedy system reprezentacyjny nową etykietą nalepioną na stare szaty. A system ten jest sprawą tak zasadniczą, że wymaga, ażeby do niego dostosowane było wszystko tak w państwie, jako też w społeczeństwie; natenczas dopiero można oczekiwać od niego owoców należytych.

Nie minęło zresztą pół wieku, odkąd większość państw europejskich przyjęła ustrój parlamentarny, odkąd go już nie znoszono; zbyt krótko tedy istnieje, ażeby można było rozliczać się dokładniej w jego wydatności. Często słyszy się, jakoby system ten już się przeżył. Nie! lecz w państwowości samej trzeba wiele zmienić, żeby system reprezentacyjny mógł działać w sposób właściwy, żeby nie był czemś luźnem a sztucznem, bez związku z innemi urządzeniami państwowemi, a nawet w sprzeczności ze wszystkiem innem dokoła siebie.

Forma państwowa musi być wogóle giętką, dającą się przystosować do każdorazowych zmian w społeczeństwie. Dla społeczeństw europejskich XIX w. dotychczas jeszcze formy takiej nie obmyślono. Wielka rewolucja francuska i wojny napoleońskie, rozszerzone na całą Europę skutkiem rozbiorów Polski, obdarzyły kontynent europejski szeregiem pojęć, których nie ujęto nigdzie w system państwowy, ani nawet we Francji: każde z nich luzem działało i działa, na wyrywki, dorywczo, bez ładu i składu, pogrążone w mieszaninie pstrej z pojęciami wręcz przeciwnemi! Od półtora niemal wieku burzy się Europa, nie mogąc wytrzymać w przestarzałej państwowości, a nie umiejąc zdobyć się na nową. Tak jest! od końca XVIII wieku do dziś dnia trwa wielka zaległość nusarchji europejskiej! Jedyna ustawa państwowa, utworzona na kontynencie europejskim bez rozlewu krwi, ewolucyjnie, konstytucja Trzeciego Maja, która zapowiadała się tem piękniej, że miała podlegać rewizji co 25 lat, odmładzając się w każdem pokoleniu — nie dożyła ani pięciolecia...

Europa stawała się coraz lichszym epigonem humanizmu w zakresie pojęć państwowych, przeżuwając teorje przestarzałe; a gdy nie zdobyła się na nową państwowość, więc ponad przeżytkiem humanizmu przewrotowe dążności pozyskały sobie wolne pole, jako jedyne objawy postępowości. Nakoniec ogół uwierzył, że hasła konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu są wyczerpane, że pielęgnowanie ich nie doprowadzi do niczego.

A tymczasem prócz Anglji w całej Europie nigdzie jeszcze nie było dotychczas ani na chwilę prawdziwej konstytucyjnej formy rządu! Walczono o prerogatywy Korony i o prawa ludu, o systemy głosowania, o dwu- i jednoizbowość parlamentu, zżymano się na kamarylle i na demagogję, gdy tymczasem kwestja konstytucjonalizmu spoczywała i spoczywa w czemś innem, a mianowicie w odpowiedzialności urzędnika wobec obywatela za szkody wyrządzone mu złą wo-

lą czy też niedbalstwem lub nieumiejętnością w urzędowaniu. Takiej odpowiedzialności nigdzie niema, ledwie zabrano się do teoretycznego ujmowania kwestji, a dopóki tego niema, wszelkie spory o konstytucyjność są zabawką. Można pospisywać konstytucje niewiedzieć jakie, i pozwolić obywatelom urządzać choćby nawet rewolucje o to lub owo z haseł ustroju konstytucyjnego, rozszerzać prawo głosowania, choćby do 14 roku życia wstecz — i dworować sobie ze skłonnego do rewolucyj tłumu, dającego się i po rewolucji rządzić według widzimisię zwierzchności zapomocą nieodpowiedzialnych urzędników. Gdyby dać spokój tamtym wszystkim hasłom i hasełkom, a tę jedną przeprowadzić odpowiedzialność, odrazu zmieniłoby się wszystko w państwie, i wtedy dopiero mogłaby rozwijać się naprawdę demokracja ewolucyjnie, bo wtedy dopiero widzimisię zwierzchności zostałoby usunięte. Dotychczas zachodzi zaś straszliwe poprostu przeciwieństwo pomiędzy formami konstytucyjnemi, a faktyczną metodą sprawowania rządów; administracja daje się parlamentom „wygadać", a robi swoje według recept starego absolutyzmu. Jeszcze chyba nikt nigdzie w żadnym urzędzie całego kontynentu europejskiego nie miał sposobności obserwować ducha konstytucyjnego! Niema urzędu, któryby nie mógł popełnić nadużycia bezkarnie, jeżeli zgadza się ono z życzeniami urzędu wyższego. I to ma być ustrój konstytucyjny!!

Nie wytworzyło się nowej formy państwowej, odpowiedniej rozwojowi cywilizacji łacińskiej, a tymczasem szerzy się państwowość jak najprzeciwniejsza tej cywilizacji, państwowość bezziemna, przenikająca jak eter wszystkie nasze państwa terytorjalne i przewodząca nad niemi, zagarniająca je wszystkie pod swą hegemonję...

Przyjęte powszechnie zasadnicze pojęcia o państwie trzeba poddać rewizji, bo okazało się, że można przy nich robić doskonale coś wręcz przeciwnego, niż one głoszą.

Przedewszystkiem zarzec się trzeba uwielbiania państwa, a nowy okres dziejowy będzie silną przeciw temu reakcją. Będzie się też wymagało mniej od państwa, a więcej od społeczeństwa. Odniosą z tego prądu korzyści narody rozporządzające większą siłą społeczną, słabsze zaś społecznie poniosą tem znaczniejsze straty. Świat będzie zawsze dla silnych. Po panowaniu siły politycznej przyjść może panowanie bardziej bezpośrednie społecznej, ale także... s i ł y. Państwo musi stawać się coraz bardziej zależnem od społeczeństwa, to też skutkiem tego społeczeństwa słabe nie będą mogły odgrywać roli politycznej.

Wśród przesilenia pomiędzy dawnym a nowym okresem dziejów można i wiele zyskać i wiele stracić, stosownie do tego, czy kto będzie dostatecznie silnym społecznie w chwili politycznie stanowczej, czy też będzie w takiej chwili społecznie słabym. Zbliżamy się w szybkim pochodzie do czasu, w którym siła społeczna stanie się jedynem źródłem politycznej. Biada tedy społeczeństwom, które nie wytworzą na czas należytego stanu swej siły społecznej!

Przyszłość państwa polskiego zależy również od wartości polskiej siły społecznej. Niechajże każdy roztrząśnie w swem sumieniu tę sprawę, czy w ciągu dwóch lat od odzyskania niepodległości nasza siła społeczna wzmagała się czy też malała, i dlaczego?

O ileż ważniejsza to kwestja od pytania, czy monarchję stanowić, czy republikę. Autor niniejszego dziełka jest sam wprawdzie republikaninem z przekonania, ale twierdzi z całą stanowczością, że nie to jest kwestją pierwszorzędną w państwowości. Mylne to mniemanie, jakoby państwa dzieliły się na monarchje i republiki, na cesarstwa, królestwa, wielkie księstwa i rzeczpospolite. Państwa dzielą się na biurokratyczne i obywatelskie, na centralistyczne i autonomistyczne, a wobec tych kwestyj sprawa o koronowanego czy niekoronowanego na-

czelnika państwa, o dożywotniość jego czy perjodyczną wybieralność jest sprawą stosunkowo drobną.

Obywatelskość państwa polega na tem, że obywatele nie tylko posiadają jak najszerszy samorząd, co musi być połączone z decentralizacją, ale nadto jak największa część funkcyj administracji publicznej zdana jest na instytucje obywatelskie, nie urzędnicze; państwo obywatelskie nie znosi wogóle biurokracji i nie da się żadną miarą z nią pogodzić.

Tylko obywatelskie państwa zdołają wytworzyć stosowną dla nowych czasów ilość siły społecznej; biurokratyzm bowiem nie tylko nie może jej wytwarzać, lecz m u s i ją psuć i osłabiać. Tylko bez biurokracji przyspieszyć można chyżość historyczną, gdyż biurokracja opóźnia i tamuje wszelki rozwój społeczny, pchając społeczeństwo tem samem do rewolucyjności; to też im znaczniejsze gdzie stanowisko biurokracji, tem podatniejszy tam grunt dla prądów przewrotowych. Możnaby o rewolucji powiedzieć, że jest emanacją biurokracji; jakoż lubi się urządzać tak samo biurokratycznie, jak ten ustrój, który zwykła zwalczać, jak o tem poucza historja.

Mylnem jest mniemanie, jakoby biurokracja odznaczała się lenistwem, brakiem poczucia obowiązku i t. p. Nic fałszywszego! Nie zna biurokracji, kto tak o niej sądzi. Ludzie nieobowiązkowi zdarzają się wszędzie, i na urzędach, ale to nie ma nic do biurokracji. Biurokracja jako taka pełną jest właśnie gorliwości, i tak pilną, iż marzy tylko ciągle o powiększaniu swej roboty; ona rozwija się w toku pracy, a pragnie pracować zawsze i wszędzie. Urzędnik leniwy jest leniem, ale nie biurokratą; jedno nie ma nic do drugiego. Gdyby zło biurokracji polegało na lenistwie urzędników, jakżeż łatwo byłoby biurokrację zreformować! Ale to zło jest, niestety, całkiem niezależne od pracowitości lub próżniactwa osób; ono jest wogóle całkiem niezależne od osób. Gdyby biurokracja składała się z samych najlepszych patrjotów,

z samych wzorów pilności i wszelakiej obowiązkowości, byłoby w ogólnym rezultacie to samo, co bywa bez tych przymiotów. Oto tragedja biurokracji, że w niej dobre przymioty są bezskuteczne, bezowocne. Każda biurokracja, choćby „najlepsza“ (jak np. pruska) musi być szkodliwą i na to niema rady. Każda biurokracja stanowi chorobę nieuleczalną, albowiem reforma biurokracji jest niemożliwością. Odkąd istnieje na świecie biurokracja, istnieje też kwestja jej reformowania, istnieje ciągle, bez ustanku; ale ani razu jeszcze w całej historji powszechnej nie powiodła się. Żaden historyk nie potrafi wskazać przykładu dokonanej gdziekolwiek reformy biurokracji;[1]) gdziekolwiek i kiedykolwiek próbowano reformę taką przeprowadzić, zawsze na czemś utknęła i ani razu się nie udała.

Najlepsi urzędnicy nie zdołają utworzyć dobrej biurokracji, bo ona jest złą zasadniczo i nieuleczalnie. Biurokracja marnuje niepotrzebnie tysiące porządnych ludzi — oto cały jej dorobek, a miljonom zawadza. Nie o rodzaj ludzi bowiem chodzi tu, lecz o sam system.

Biurokrację zaszczepiły u nas dopiero rządy zaborcze. Biurokracja była nieznaną polskiej umysłowości, niezrozumiała, wręcz niepojęta. Polska sztuka rządzenia polegała na rozbudzaniu ducha obywatelskiego, a pruska, austrjacka i rosyjska na tłumieniu go; Polską rządzili obywatele, państwami zaborczemi biurokraci. Umysłowość polska jest zaś tego rodzaju, że żadną miarą nie może wysnuć dla siebie nic dobrego, choćby z najlepszego systemu biurokratycznego.

Wszystkie najlepsze chęci biurokracji marne są w Polsce, zgóry skazane na zmarnowanie. Być może, że pozostaje to w związku z tem, że w Polsce nie było feudalizmu, bo czyż biurokracja nie jest feudalizmem urzędniczym?

---

[1]) W Prusiech po wojnach napoleońskich nie reformowano, lecz zaprowadzano nową całkiem biurokrację, ową „najlepszą“, która doprowadziła jednak także do katastrofy swoje państwo.

Im bardziej trzeba nam wzrostu siły społecznej, tem bardziej trzeba zaniku biurokracji. Stać nas na instytucje obywatelskie! Posiadamy nawet wybitne zdolności w tym kierunku. Podczas wojny, kiedy cały świat wysilał się na „wydoskonalenie" biurokracji, w Polsce, gdzie były jakie takie swobody obywatelskie, a więc w Małopolsce powstawały instytucje godne podziwu, a mieszczące w sobie niepowszednie zarodki dobrego, celowego ustroju administracyjnego. Zwrócę uwagę na dwie takie instytucje: na krakowski „Komitet książęco-biskupi", który był wzorowem ministerstwem pracy, zdrowia i opieki społecznej, tudzież na „Straż obywatelską", która z milicji rozwijała się w wyborną policję, we władzę jakąś administracyjną pierwszej instancji, niezrównaną w swej prostocie, szybkości i taniości urzędowania, w wyśmienicie funkcjonującą kontrolę nad zachowywaniem przepisów, gdy ją pospiesznie usunięto z widowni. Jestem przekonany, jako w owej „Straży obywatelskiej" mieścił się zawiązek całego obywatelskiego systemu administracyjnego, i byłby się wyłonił, gdyby pozwolono snuć dalej wątek tego urządzenia. A warszawska „samopomoc społeczna" w r. 1920 czyż nie wykazała wybitnych zdolności do administracji obywatelskiej? Krakowski „Komitet walki z lichwą" z lat 1917/18 stanowił tego przykład wprost niezrównany. Szkoda, że wszystkie te instytucje zostały zagwożdżone przez biurokrację, która gorliwie sama wszystko chce zrobić, ale choćby składała się wyłącznie z osób w szczególny sposób uprzywilejowanych talentami, i tak niczego dobrze zrobić nie potrafi, bo takie jest prawo historyczne biurokracji.

My, Polacy musimy dążyć do silnego państwa, i do społeczeństwa silniejszego od państwa, a zatem musimy obmyślić sobie państwo bez biurokracji. Jeżeli nigdzie na kontynencie nie znajdziemy do tego wzorów, niech nas to nie zbija z tropu; wszakżeż w dawniejszych wiekach okazywaliśmy twórczość polityczną, twórczość niemałą w zakresie państwowości, czemuż obecnie nie mielibyśmy

popróbować swych sił ku obmyśleniu swoistej formy państwa? Dawaliśmy dobry przykład w wieku XV, XVI, poniekąd jeszcze w XVII i dnia Trzeciego Maja, może nam się i dziś uda wytworzyć coś godnego naśladowania, a doświadczenie zachowa nas od błędów dawniejszych czasów. Praca polska twórcza w dziedzinie państwowości byłaby pracą europejską zarazem, pracą czynnego i samodzielnego członka cywilizacji zachodniej.

Jeżeli teraz, po powtórnem (po wojnach napoleońskich) wstrząśnieniu całej Europy, znowu nie uda się osięgnąć nowej formy państwowej, w takim razie musi się cofnąć ogólna kultura życia zbiorowego w obszarze całej naszej cywilizacji z wyjątkiem jednym plemienia anglosaskiego. Na kontynencie europejskim zwyciężyć może natenczas forma należąca do innej cywilizacji, choćby orjentalna. Państwo „nowoczesne" (ów „Rechtsstaat" nauki niemieckiej) rozłazi się bowiem i absolutnie nie da się utrzymać; cóż ma być na jego miejscu? Socjalizm, który w praktyce staje się burzycielem cywilizacji?

Nowa forma państwowa powstać może tylko przez wyrzeczenie się biurokracji, przez dostosowanie administracji do parlamentaryzmu, do swobód obywatelskich, przez decentralizację, autonomję prowincjonalną i (w razie potrzeby) narodową. Oto kwestje, o które warto się spierać, bo od nich zależy nasza przyszłość cała! Oto kryterja, według których mamy dzielić się na stronnictwa, a nie według haseł poprzedniego okresu!

Trwa siła bezwładności jeszcze, i to nie tylko w Polsce, bo wszędzie istnieją jeszcze stronnictwa ugrupowane według kryterjów z przed wojny powszechnej. Ale w państwie niepodległem stronnictwa według okoliczności niewoli i z czasów niewoli — to oczywiście stronnictwa przeżytkowe, to epigonostwo. A z epigonostwa jałowość, brak twórczości. Stronnictwa nasze wymagają... żeby były tworzone całkiem na nowo, z haseł nowych.

Była już mowa o tem (w ustępie 2 poprzedniego rozdziału), jako trzeba będzie „odpaństwowić się" w pew-

nej mierze i ograniczyć państwo do dbałości o bezpieczeństwo życia i mienia obywateli. Jest to kompetencja wcale nie ciasna! Obejmuje przedewszystkiem całą politykę zagraniczną, ze względu na bezpieczeństwo granic, i w związku z tem sprawy wojska i floty wojennej — nadto zaś szereg spraw wewnętrznych, dozór nad środkami komunikacyjnemi, policję bezpieczeństwa, sprawę monetarną, sądownictwo karne a cywilne w apelacji, i skarbowość z tem wszystkiem związaną. To stanowi przyrodzoną kompetencję państwa, tkwiącą w samej jego istocie, i tego nie można mu odbierać żadną miarą.

Reszta należeć winna w zasadzie do samorządu, z którego kompetencji mogą być przekazane pewne sprawy za zgodą interesowanych czynników; możnaby to nazwać przekazanym zakresem działalności państwowej, przekazanym państwu przez przedstawicielstwa samorządu. Np. wyobraźmy sobie, że istnieje samorząd prowincjonalny, i że budowa kolei leży w zupełności w jego kompetencji. Każda prowincja stawia sobie koleje żelazne, jakie zechce, a państwo dozoruje tylko, żeby budowa ich i administracja zapewniały należycie bezpieczeństwo życia i mienia. W zasadzie ma więc każda prowincja prawo stawiać linję kolejową do takiego tylko punktu, do którego zechce; ale prosty rozsądek daje rękojmię że żadna nie przerwie budowy o milę od granicy sąsiednich prowincyj, lecz że każda będzie chciała mieć połączenie ze wszystkiemi innemi. W zasadzie każda ma prawo stanowić u siebie taryfy, ale sama natura rzeczy zmusi je, żeby się w tej sprawie porozumiały, i zaprowadzą wspólną taryfę dla całego państwa. Gdyby porozumiewanie się co do trasy kolejowej obchodzącej kilka prowincyj, lub co do taryf, doprowadziło do tego, że dogodniej zdać to na władze państwowe, skoro sprawa tyczy całego państwa lub przynajmniej znacznej jego części, natenczas państwo przejmuje — i jest obowiązane przejąć — ten poruczony sobie zakres działania.

Wypadki tego rodzaju zachodziłyby w każdej dziedzinie, stale czy też na czas pewien ograniczając samorząd na rzecz władzy centralnej — na życzenie obywateli. Odjąć zaś trzeba rządowi centralnemu prawo przekazywania swoich czynności czynnikom autonomicznym, jak się to praktykuje na podstawie ustaw austrjackich, a co w rezultacie przyprawia jedne i drugie władze o zdrowie: obie chromają.

W praktyce zależałyby przeto granice samorządu a kompetencji władz centralnych po większej części od woli obywateli. Powstałyby stronnictwa centralistyczne i decentralistyczne; byłoby się przynajmniej o co spierać, a nie o czcze frazesy liberalizmu, konserwatyzmu i t. p. Spieranoby się o coś konkretnego, a nie o literaturę polityczną! Spór o centralizację i decentralizację musi atoli polegać na tendencji nie do uszczuplania kompetencji rządu centralnego, wyposażonego zgóry we wszystkie kompetencje, lecz wręcz przeciwnie: opozycja winna dążyć do rozszerzenia kompetencji centralnej, wymierzonej zgóry w stosunku do dzisiejszego stanu rzeczy szczupło. Według dzisiejszych okoliczności tej materji, autonomiści, znajdujący się w opozycji, wojują literaturą, frazesami, wytwarzając mimowoli doktryneryzm; gdyby zaś odwrócić stosunek opozycji, natenczas autonomiści wysilaliby się na wzmaganie siły społecznej w kraju, mając do tego otwarte pole, centraliści zaś ograniczaliby się do korektury błędów tamtego stronnictwa.

Zgoła fałszywy jest pogląd, jakoby autonomja powstawała drogą „ustępstw“ władzy centralnej, które trzeba na niej z reguły wymusić. Przeciwnie! władza centralna niechaj składa się z ustępstw poczynionych na jej rzecz przez samorządne społeczności. Stosunek kompetencji samorządu do centralnego rządu będzie w takim razie zawsze wskaźnikiem politycznej zdatności i siły społecznej całego narodu. Każdy obywatel będzie przechodził szkołę praktyczną d z i a ł a l n o ś c i (a nie tylko swady!) publicznej w samorządzie, poczynając od

czynności drobnych (choćby od sztuki utrzymania ulicy w czystości i porządku), a przechodząc stopniowo do coraz wyższych; obywatel będzie zmuszony poznawać maszynerję życia zbiorowego — co przy centralizmie należy do takich rzadkości!

Państwo musi mieć jeszcze trzecią dziedzinę swej kompetencji, mianowicie rozstrzyganie wszystkiego tego ze spraw tyczących się dwóch lub więcej prowincyj, czego one same we wzajemnem porozumieniu rozstrzygnąć nie zdołają; słowem, państwo wkracza tam, gdzie samorząd niedopisze. Prawo kontroli samorządu rozumie się też samo przez się, ale sposób wykonywania jej nie może być czynnikom samorządu jednostronnie przez rząd narzucony.

Te trzy dziedziny działalności państwa zakreślają władzom jego rozległy zakres działania, z wielką odpowiedzialnością; wszystko zaś, co leży poza temi działami, polega na... wścibstwie państwa i stanowi bardzo niebezpieczną pomyłkę polityczną. Państwo dzisiejsze nie spełnia należycie tego, co do niego należy, bo za dużo robi tego, co do niego nie należy. Decentralizacja autonomiczna podeprze i państwo i społeczeństwo, z tego wykrzesze siły, tamtemu nie da ich marnować.

Gdyby kto dążył do ogołocenia państwa z władzy, popełniłby błąd niemniejszy od tych, którzy doprowadzili do wścibstwa państwa we wszystkie dziedziny życia (nie wyłączając kuchni!!!). Co do państwa należy, z tego nie można oddawać niczego autonomji, ani też pod żadnym pozorem osłabiać władzy państwowej, która w zakresie sobie właściwym winna być jak najsilniejszą. Żadna sprawa polityczna nie może być oddaną autonomji, bo polityka musi być uprawianą jednolicie w imieniu całego państwa, bo inaczej państwo utraciłoby szacunek i znaczenie. Dlatego też autonomja narodowa nie może obejmować żadnej a żadnej materji politycznej, ani niczego ze spraw władzy centralnej zastrzeżonych; autonomja żadna wogóle, a więc ani narodowa, polityczną

być nie może. Autonomja polityczna wymaga terytorjalności i granic, może się więc tyczyć tylko prowincji, kraju. Jeżeli kraj jakiś posiada dane do autonomji politycznej łącznie z narodową, w takim razie tworzy odrębne wyłącznie narodowe terytorjum, a zatem należy mu się niepodległość; autonomja narodowa jest sprawą krain o ludności mieszanej, gdzie niema żadnego terytorjum wyłącznie narodowego, ponieważ zaś polityka musi ogarniać wszystkich, musi więc pozostać przy władzy centralnej państwowej, a nie przy każdej z narodowości osobno.

Pewne państwo może się dobrowolnie zrzec pewnej części swej samodzielności politycznej na rzecz związku z drugiem państwem, lub drugiemi państwami, które ze swej strony zrzekają się tej samej części swojej samodzielności w takiż sam sposób. Powstaje związek państw luźniejszy lub ściślejszy; gdy ogarnia wszystkie zasadnicze funkcje państwowe (wojsko, skarb, politykę zewnętrzną), zowiemy go federacją.

W historji polskiej zwano unją federację ograniczoną do wspólności monarchy, wspólnej monety i wspólnej polityki zewnętrznej, z odrębnym jednakże skarbem i osobnem wojskiem. Składała się przeto unja według dzisiejszego słownictwa z konwencji wojskowej, konwencji monetarnej, z sojuszu zaczepno-odpornego w stosunku do wszystkich na zewnątrz i z unji t. zw. personalnej. Według dzisiejszych pojęć ani wojskowa, ani monetarna konwencja, ni też sojusz zaczepno-odporny, nie stanowią jeszcze federacji, skoro niema wspólnego skarbu, ni wspólnej armji; należy tedy unję polsko-litewską uważać nie za realną, lecz za personalną, połączoną z sojuszem i konwencjami. Nie sięgała więc unja tak głęboko wewnątrz obydwóch państw, jak się powszechnie przypuszcza; była związkiem znacznie luźniejszym od tego, co dziś zowiemy federacją, choćby w najskromniejszych rozmiarach. Doniosłość unji i jej głębia nie z państwowych pochodziły czynników, lecz z cywilizacyjnych. Pod pań-

stwowym względem był to związek nie sięgający wcale głęboko.

Gdybyśmy obecnie chcieli z którymś z ościennych zawrzeć „unję", byłoby to za mało i za dużo. Za mało, jeżeli ościenny ów pragnie się łączyć z nami politycznie na stałe, a za dużo, gdy zamiarów takich nie żywi. Do zawarcia zaś terminowej konwencji nie trzeba uderzać w żadne wielkie dzwony, ani poruszać ludzkich dusz do głębi. Nieraz nie uda się coś dlatego, że uważa się za trudne i skomplikowane to, co jest prostem. Dzisiaj do ściślejszych związków z ościennym wiedzie droga prosta od konwencji jednej do drugiej, od niedługiej do coraz dłuższej; to jedyna nowoczesna droga, a wszelkie inne są przestarzałe. Federacja jest zbiorem i sumą konwencyj zawartych na czas nieograniczony.

Nie ulega wątpliwości, że przyszłość Europy w federacjach, mających wkońcu połączyć się w jedną wielką federację: w Stany Zjednoczone europejskie, które w łączności (w konwencji jednej i drugiej) ze Stanami Zjednoczonemi amerykańskiemi mogłyby zapewnić na dziesiątek wieków dalszy rozwój cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej i zapewnić jej bezpieczeństwo wobec naporu innych cywilizacyj.

Niema w sobie nic federacyjnego „Liga Narodów", wieńcząca fiasco pokoju wersalskiego, ponieważ nie wymaga od swych członków żadnych zrzeczeń częściowych suwerenności, ale narzuca natomiast faktycznie słabszym hegemonję silniejszych; faktycznie tedy dąży do odbierania im suwerenności. Federacja przestrzega natomiast równouprawnienia, to też prawdziwa federacja wychodzi z inicjatywy słabszego, bo jemu głównie jest potrzebną. Federacja jest bronią słabszych, ale silnego chroni od zmowy słabszych przeciwko niemu.

„Liga Narodów" powstała w sposób sztuczny, papierzany; dla Historji zdaje się być dość obojętną. Może mieć wielką wartość, jako ostrzeżenie, żeby nie urządzać za jej wzorem federacyj papierzanych, t. j. obmyślanych so-

bie samemu bez udziału drugich, jako pomysł, a nie jako program. W polityce pomysł, nie mogący zamienić się na program, znamionuje doktrynerów, w co Polska niestety obfituje. Pomysły należą do literatury politycznej, do rządu — programy. Program zajmuje się obmyślaniem nie celów, lecz środków do celu dojrzałego już do osiągnięcia. Federacja da się osięgnąć wtedy, gdy jej słabszy pożąda mocniej od silniejszego. Narzucanie się z federacją jest najskuteczniejszym sposobem na coraz większe utrudnianie jej. Gdyby dopuścić do pomieszania pomysłów a programów, gdyby pomysł uważać za program, natenczas doszlibyśmy rychło do absurdów; w sprawie np. federacji, nie mając jej w danym razie z kim zawierać, możnaby dla miłości tej formy politycznej zakładać umyślnie państwa, z któremi następnie wchodziłoby się w federację. Byłoby to czemś takiem, jak gdyby np. państwo jakieś chciało uprawiać politykę zewnętrzną, nie mając... granic. Eksperyment taki byłby eksperymentem kwestji: ile też złego potrafi się wytrzymać?

„Liga Narodów" jest tylko pomysłem, nie mającym w sobie nic programowego. Cechą programu musi bowiem być to, ażeby podawał k o l e j n o środki wykonania czegoś, a nie tworzenie aparatu apriorycznego dla całej sprawy odrazu. „Liga Narodów" zachowuje się tak, jak gdyby naprawdę istniała jaka liga narodów — i w tej pomyłce jej śmierć. Tymczasem uczcić należy sam pomysł, jako taki, i powiedzieć sobie, że wartoby dążyć do wykonywania go tak, jak się zawsze w polityce wszystko wykonywa, t. j., stopniowo, częściowo, po kolei. Trzeba, żeby jakie państwo zrobiło szczęśliwy początek z jakim swoim sąsiadem, i żeby do utworzonego ogniska przyłączali się następnie, stopniowo, kolejno, inni.

Które z państw powołane będzie stać się jądrem przyszłych Stanów Zjednoczonych europejskich, śmiesznem byłoby udawać, że się to przewiduje. Rzecz zależy zaś od trzech czynników: po pierwsze od stosownego położenia geograficznego; po wtóre od stopnia zaufania,

wzbudzanego w słabszych i po trzecie od tego, czy będzie się posiadało we własnem państwie instytucje, któreby sobie inne państwa pragnęły przyswoić; czy się będzie wzbudzało ochotę do naśladowania.

Właściwie, biorąc rzeczy ściśle, tylko ten ostatni warunek jest decydującym; bo gdzie on się znajdzie, tam drugi z warunków wytworzy się po pewnym czasie, a pierwszy stanowi tylko ułatwienie, lecz nie jest niezbędnym. Np. gdyby Portugalja celowała ładem, a wymyśliła formę państwowości stosowną dla nas i potomnych, i gdyby wytworzyła wielką siłę społeczną, gdyby instytucje jej wzbudzały podziw i zazdrość ościennych, a postępowanie ze słabszymi zaufanie ich w uczciwość polityki portugalskiej, natenczas łatwiej byłoby Portugalji złożyć federację sięgającą daleko, niż Polsce, posiadającej położenie centralne, gdyby np. pełna była nieładu, gdyby nie miała u siebie niczego takiego, co ościenni pragnęliby mieć także u siebie... To trudno! nasuwa się mimowoli porównanie ze świata handlowego: chcąc handlować, trzeba najpierw mieć towar.

Ponieważ żadne państwo (ani nawet Niemcy!) nie jest a priori wykluczone od tego, iżby się stać jądrem federacji, nie jest też wykluczoną Polska. Posiada do tego siłę historyzmu swego i niektóre potrzebne rodzaje twórczości, tudzież wspaniałe warunki geograficzne; ale narazie nie posiada... towaru. W chwili, gdy się to pisze, nie posiada ani nawet granic. Zczasem może się wszystko znaleźć, a miejmy otuchę, że się znajdzie; oczywiście stopniowo, kolejno. Zależeć będzie i to, jak cała nasza przyszłość wogóle, od stosunku naszego do najwyższego regulatora historji. Ten naród będzie pierwszym, który najdokładniej wypełni warunki „regulatora". W nim tedy zawarte są zarazem warunki patrjotyzmu owocnego, skutecznego.

Opuściliśmy jednak, omawiając kwestję państwa przyszłości, zagadnienie militaryzmu; zostawiłem je

umyślnie do tego miejsca, bo zagadnienie to pozostaje w związku z kwestją federacyjną.

Któżby pragnął utrzymać militaryzm?

Chociaż Rosja jest najstarszem z militarystycznych państw w Europie (od r. 1480), jednakże grzęzła w nim dlatego, ponieważ grzęzła w turańskości, a grzęzła w niej tak dalece, iż wytworzyła nawet swoistą kulturę turańsko-słowiańską. Jeżeli zwycięży w Rosji cywilizacja zachodnio-europejska, jeżeli nastąpi pomiędzy taką Rosją zachodnio-europejska, jeżeli nastąpi pomiędzy taką Rosją może się obejść bez militaryzmu; w razie jednak czy to zwycięstwa cywilizacji turańskiej na nowo, czy choćby przedłużenia zgubnej mieszaniny cywilizacyjnej, Rosja pozostanie organizacją militarną, a skutkiem tego sąsiedzi jej będą zmuszeni utrzymać również militaryzm u siebie.

Nigdy atoli nie wyrzekną się militaryzmu Prusy; zawsze będą do przywrócenia go dążyły.

Prusy — to państwo nieoparte o żadne podstawy etnograficzne, ani ewolucyjnie historyczne, zawdzięczające istnienie i rozwój tylko pewnej metodzie politycznej, głównie militaryzmowi i... życzliwości dworu petersburskiego. A czyż można sobie wyobrazić Prusy bez militaryzmu? Mogą atoli istnieć bez niego Niemcy. Wszakżeż Niemcy a Prusy, to nie to samo! Niemcy bez pruskiej cechy i przewagi mogłyby być pogodzone z całą Europą, jako czynnik równorzędny, dopóki zaś są sprusaczone, musi cała Europa zwracać się przeciwko nim. Bardzo to zajmujące zagadnienie na najbliższą przyszłość: jak długo jeszcze zechcą Niemcy ryzykować pomstę Europy za podtrzymywanie prusactwa? A co tylko pozostanie wśród Niemców pruskiego duchem, musi trzymać się militaryzmu jako swej conditio sine qua non. Z drugiej strony wszystko, co antypruskie w Niemczech, oświadczałoby się za rozbrojeniem, gdyby mogło być pewnem poparcia z zewnątrz. Wystąpiłby przeciwko Prusom czynnik najpotężniejszy, bo stosunki ekonomiczne, nie do-

zwalające inaczej podnieść się z ruiny, jak przez zniesienie militaryzmu.

Walczyć z pruskim porządkiem rzeczy w Europie, stało się probierzem honoru i postępu; takimże probierzem musi się to stać w Niemczech. Ponieważ atoli zawisło to od samych tylko Niemców, i nikt na to wpływu mieć nie może moralnego, nie możemy tedy przewidywać, czy w najbliższej przyszłości oni się odprusaczą, czy też sprusaczą doreszty. Skoro zaś zwycięzcy dopuścili dalszego istnienia państwa pruskiego, muszą przynajmniej dwa państwa pozostać nadal militarnemi: Francja i Polska.

Militaryzm mógłby natenczas tylko być zgładzonym całkiem z powierzchni Europy, gdyby w Rosji zwyciężyła cywilizacja zachodnia i nastałaby zgoda jej z Polską — i gdyby zgładzonem zostało państwo pruskie.

Jeżeli żaden z tych dwóch warunków nie dojdzie, trzeba będzie toczyć nadal wojny i utrzymywać zbrojny pokój. Jeżeli spełni się sam tylko rosyjski warunek, zyska na tem Polska bezpośrednio, a więc Francja pośrednio, bo w danym razie rozporządzałaby Polska znaczniejszemi siłami przeciw Niemcom, ale Europa będzie zawsze i tak zagrożoną niebezpieczeństwem, że pożar wojenny udzieli się jej z powodu Prus. W razie zniknięcia samego tylko pruskiego niebezpieczeństwa, a pozostania rosyjskiego, niebezpieczeństwo takiego pożaru nie groziłoby, gdyby się zdecydowano utrzymywać nad Dnieprem dla obrony Polski armję europejską, wspólną. Zwolniłoby to Polskę i świat cały od militaryzmu, bo wystarczyłoby, by każde z państw europejskich utrzymywało nad Dnieprem $\frac{1}{5}$ dotychczasowej swej armji.

W każdym razie nadzieja zniesienia militaryzmu związana jest ściśle z dopomożeniem Polsce, by nie tylko utrzymała swą niepodległość, lecz by stanowiła znaczną siłę polityczną. Wszelkie osłabianie Polski odkłada wdal możliwość usunięcia militaryzmu. Tu się okazuje, do czego wiedzie doktrynerstwo, skoro widzimy, jak najmocniej starają się osłabić Polskę ci sami, którzy najhuczniej

występować zwykli przeciwko militaryzmowi: socjaliści „wszystkich krajów".

Ponieważ trudno przypuścić, żeby Europa zajmowała się zapewnieniem Polsce siły politycznej, będziemy musieli wraz z Francją pozostać państwem militarnem aż do czasu załatwienia kwestji z Rosją i z Prusami. Wraz z Francją będziemy musieli pielęgnować starannie sztukę wojenną, bo nas do tego zmuszą Prusacy. Gdyby zaś zniknęły Prusy, a pozostał sam tylko bolszewizm, natenczas prawdopodobnie my sami na całą Europę uprawialibyśmy tę sztukę, stawalibyśmy się panami położenia, dzięki przewadze wojskowej — i zaczynałoby się znów błędne koło, boć sąsiedzi państwa uzbrojonego muszą starać się, żeby byli uzbrojeni... jeszcze lepiej.

Jedynie tylko wydatna pomoc Polsce, by mogła t e r a z stać się potęgą polityczną, może ocalić Europę od militaryzmu. Polska, osięgnąwszy swoje cele, a bezpieczna od Prus i Rosji, sama chętnie wyrzekłaby się militaryzmu, który nie ma żadnych podstaw ani w historyzmie polskim, ani w ludowości, którego jednak nie można usuwać, gdy go wymaga interes Ojczyzny.

Taką jest powszechność sprawy polskiej, iż od toku jej spraw zależeć będą długo jeszcze interesy moralne i materjalne Europy.

Skoro nie ma być Europie danem wydrzeć się ze szponów urządzeń militarnych, a przynajmniej nie tak rychło, zastanówmy się, czy nie możnaby uczynić jednak wojska instytucją pożyteczną także podczas pokojowego jego bezrobocia. Nasuwa się na myśl przykład, dany przez Kazimierza Jagiellończyka w r. 1482 po zrujnowaniu Ukrainy przez hana Mengli-Gireja. Przeprowadzono wtedy „odbudowę kraju" w sposób następujący: Ogłoszono pospolite ruszenie, chociaż nie zamierzano prowadzić żadnej wojny; zebrawszy w ten sposób 20,000 robotnika, ujętego w kluby wojskowe, poprowadzono tę rzeszę robotniczą do Kijowszczyzny. Tak Litwa odnowiła Ukrainę. Gdyby w naszych czasach użyto żołnierza w po-

dobny sposób, odnowiłoby się szybko wszystkie zniszczone kraje polskie. Doświadczenie wojny powszechnej nauczyło, że rekrut po sześciu tygodniach może być wyćwiczony „na front". Służba wojskowa wynosi jednak dwa lata; gdyby tedy przez jeden rok uczyć żołnierzy rzemiosł, a przez drugi kazać im pracować na rzecz państwa, jakżeż prędko stosunkowo mielibyśmy mieszkania, pola obsiane, drogi naprawione, fabryki w ruchu, rzeki uregulowane i t. p.! Jakżeż wzmogłaby się nasza siła społeczna, wzmagana nadto stale z roku na rok nauką rękodzieł, udzielaną setkom tysięcy! Jakżeż przywiązałby się do kraju żołnierz, który włożył w jego budowę swą pracę; sam wzajemnie zawdzięczając tej pracy, że ma „chleb w ręku" na resztę życia! Wtenczas mogliby dopiero wszyscy powiedzieć, że pracowali dla Polski, a jest to prawidłem psychologicznem, że człowiek przywiązuje się do przedmiotu swego znoju.

Skoro roztrząsamy sprawę państwowości według najnowszych bied i kłopotów, zastanówmy się także nad hasłem „samostarczalności państwa", rzuconem w Niemczech podczas wojny. Hasło brzmi nader ponętnie, ale to tylko frazes. Od biedy można samemu sobie starczyć, gdy się niewiele potrzebuje, aleć na czasy normalne chodzi raczej o to, by potrzeb nie uszczuplać, lecz zadowalać wszystkie, jakie tylko tworzy cywilizacja. Gdyby samostarczalność stosować do nauki, do literatury, do jakiegoż doszlibyśmy absurdu?! W sprawach ekonomicznych jest to niewykonalne, jeżeli się nie zechce ograniczać ogromnie skali życia; my już zbyt kosmopolityczni w naszem życiu powszedniem. Gdy chodzi o zaspokojenie naszych codziennych potrzeb, musi się już patrzeć na globus, bo mapa nie wystarcza! W takich czasach kazać nam obejść się tem, co sami produkujemy, można tylko wyjątkowo, na czas niedługi, inaczej cofałoby się poziom cywilizacyjny, przecinając tysiące stosunków i tysiące warsztatów pracy.

Pomylono samostarczalność z niepodległością ekonomiczną, o której stanowi aktywność bilansu, a nie obywanie się swemi własnemi produktami i wyrobami. Albańczycy byliby w takim razie ekonomicznym ideałem Europy!

Samostarczalność już nie dla nas! My zmierzać musimy do współdzielczości w spółce narodów, t. j. do świadomego i celowego uzupełniania się wzajemnego ekonomicznego. Gdy tę organizację ekonomiczno-międzynarodową ustalimy choćby jako tako, federacja będzie bliską, jako prosta konsekwencja. Skoro współdzielczość międzypaństwowa zapewni każdemu państwu wszystko, czego jego ludności potrzeba — tendencje zaborcze utracą wszelką wartość materjalną (ideowej nie mają oddawna).

Jakżeż żal zbiera, gdy się pomyśli, jak mało w Polsce wykształcenia ekonomicznego, które niebawem będzie najpotrzebniejsze ze wszystkich! Nie zbudujemy my Polski potężnej naszem wykształceniem literackiem...

Takie nasuwają się główne wątpliwości co do państwa dzisiejszego i zmian państwowości, wyłaniających się na horyzoncie. Trzeba się decydować, bo inaczej pozostanie na placu tylko judaistyczny marksizm, poprzestający na negacji, a nie głoszący nic pozytywnego — i państwo bezziemne judaizmu, dobijające się dla swego przedstawiciela krzesła w Lidze Narodów; a zatem pozostanie na placu tylko państwowość przestarzała, skazana na rozkład, jeżeli się jej na czas nie zreformuje, i zaprzeczenie państwowości według naszych pojęć cywilizacyjnych; a więc rozkład z dwóch stron.

Państwo zachodnio-europejskie musi być zreformowane według zasad cywilizacji łacińskiej, więc po chrześcijańsku, albo runie pośród nas porządek państwowy.

Nie można cywilizacji stosować do państwa i regulować jej według rzekomych wymogów państwowych, urojonych z poza cywilizacji własnej! lecz państwo musi się stosować do zasad i pojęć danej cywilizacji, jednej

i tej samej. Państwo, choćby najrozleglejsze i najpotężniejsze, jest wobec cywilizacji taką samą łupinką, jak najwspanialszy statek wobec oceanu.

Skoro państwo ma się stosować do cywilizacji, a nie odwrotnie, a zatem państwo cywilizowane nie może być cywilizowanem na dwa sposoby; musi być przejęte jedną jedyną tylko cywilizacją i jej służyć. Wpuścić do maszynerji dwóch mechaników, z których każdy będzie inaczej korbować, śrubować, suwać, kręcić — znaczy to: zepsuć maszynę.

3. Społeczeństwo.

Od czterdziestu lat słyszy się wciąż zapowiedź odmiany świata pod hasłem: „Proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się!“ Socjalizm był pacyfistyczny, i chełpił się, że wojna będzie niemożebna wobec jego agitacji. Wybuchła wojna powszechna, i proletarjusze wszystkich krajów nie tylko zaczęli strzelać wzajemnie do siebie, ale stali się najgorliwszymi rzecznikami wojny, szli tuż obok dworskiej wojennej kamaryli. Co więcej: socjaliści, którzy przez całe dziesiątki lat wyrzekali się patrjotyzmu, jako pojęcia ich zdaniem szkodliwego dla postępu i zaklinali się, że nie znają żadnych względów ni uczuć, jak tylko „międzynarodowe“, przedzierzgnęli się bez trudności w patrjotów, poszli wszędzie za hasłami „lokalnemi“. Nadszedł bolszewizm, rewolucja grubego kalibru, którą socjaliści powitali z zapałem, by jednak po bardzo krótkim czasie stać się sceptykami. Bolszewizm wzbudził nawet w Rosji opozycję tych, których uszczęśliwienie zapowiadał, i trzyma się tylko terorem rozciągniętym zarówno nad proletarjatem, jak nad „burżujstwem“. Gdy zawierucha ta szła na Polskę, wielu obiecywało sobie z tego wiele; ale prócz tych, którzy mieli być zaliczonymi do szlachty bolszewickiej, zwanej komunistami (a z nich arystokracja: komisarze), wszyscy inni ucieszyli się, gdy bolszewików wygnano. W Rosji terror coraz większy, jak gdyby nikt nie chciał tej rewolucji. A za-

to w Polsce nowe odgrażania się „gniewem ludu", nowa strajkomanja, ochota do czegoś nieokreślonego, byle się do tego dało przylepić etykietę rewolucyjną. Istne błędne koło. Głosi się rewolucję, a gdy przyjdzie, woła się, że to nie ta; przygotowywa się własną, ale czem ona ma się różnić od tamtej, nikt nie wie. Uprawia się „międzynarodówkę", a pomaga się własną krwią patrjotom, prosto z pola walki wyzywa się towarzyszów boju, że są wyzyskiwaczami ludu i że dobrze byłoby zgładzić ich z powierzchni ziemi; ale bierze się udział we wszystkiem wraz z tymi „wyzyskiwaczami".

Takie widowisko dają światu od dość dawna organizacje rewolucyjne od Niemna po Ebro. Rzecz widoczna aż nazbyt, że tu zachodzi jakieś kręcenie się w kółko, jakaś bezkierunkowość, objawiająca się z reguły takiem właśnie kołowaniem. Istnieje niezadowolenie, są więc niedomagania, ale jaka na nie rada, nikomu niewiadomo. Na tle niezadowolenia dokonywa się jednak agitacja rewolucyjna, która również nie wie, co to za rewolucja ma być, i co ma być po niej, zbywając te zagadnienia frazesami.

Wniosek z tego, że mamy do czynienia z jednej strony z brakiem zdatności politycznej, a z drugiej z agitacją rewolucyjną dla rewolucji, która nie ma być środkiem do czegoś, lecz sama sobie celem. Byle rewolucja! Nie chodzi zatem istotnym kierownikom tego ruchu o budowanie czegoś, lecz tylko o niszczenie.

O ile przewrotowcy ukazują tłumom jakieś cele, bywają one zawsze z poza cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej czerpane; wszelkie zaś działanie praktyczne zwrócone jest stale i nieodmiennie przeciw chrześcijaństwu. Tak np. wszystkie obozy przewrotowe, od socjalistów do bolszewików, głoszą zniesienie własności nieruchomej, i to nawet jest głównym punktem ich propagandy, gdy tymczasem cała cywilizacja nasza opiera się na pojęciu własności prywatnej nieruchomej. Wszystkie obozy przewrotowe głoszą, że religji nie myślą prześla-

dować, gdyż to rzecz prywatna, ale wszystkie walczą z Kościołem, a o ile mogą go dosiąc, prześladują; bolszewicy nawet specjalnie lubowali się w mordowaniu kapłanów; ale również wszystkie te obozy odznaczają się poszanowaniem i przychylną tolerancją względem religji starozakonnej, a bolszewicy protegują ją nawet.

Ślady źródła agitacji rewolucyjnej są aż nazbyt wyraźne wobec tych faktów; ale samo usposobienie rewolucyjne, samo niezadowolenie tem się wytłumaczyć nie da. A zdaje mi się, że należy je tłumaczyć całkiem inaczej, niż to dotychczas próbowano.

Przedewszystkiem nie trzeba sądzić, jakoby było w tem coś szczególnego, że w naszych czasach jest dużo niezadowolenia; tak bywało po wszystkie czasy, i będzie zapewne, dopóki ludzie zdolni są wyobrażać sobie coś więcej i coś lepszego, niż mają, póki pragnąć będą poprawy bytu. Byłoby źle, gdyby ten prąd zaginął. Ani też nie stanowi to specjalności naszej doby, że dążność do poprawy bytu przybiera cechy nienawiści i zawiści; historja zna tego przykładów niemało. Bywały już także ruchy, łączące z kwestją materjalną chleba powszedniego rozległe rojenia reform wielostronnych, nieobmyślanych należycie, nie kwalifikujących się do poważnego roztrząsania; bywały utopje tłumu i utopje uczonych. Utopijność naszego okresu stanowi socjalizm, ponieważ każdy okres musi mieć swoją utopijność, możnaby na stwierdzeniu tego stanu rzeczy poprzestać. Ale sprawa ma jnną jeszcze stronę, znamienną rzeczywiście dla naszych czasów.

Tamtym ruchom przewrotowym i tamtym utopjom tłumów poprzednich wieków było co przeciwstawiać i zawsze powstawał świeży ruch pozytywny, żądaniu reform utopijnych dorównywały reformy pozytywne, i po pewnym czasie okazywała się nowa rzeczywistość lepszą od utopji, którą też porzucało się... aż do następnej. Za naszych czasów niema jednak czego przeciwstawić socjalizmowi. Reformy społeczne? Ależ one wszystkie

polegają na tem, że państwo zrobi to, czego socjalizm chce, i wykonywa częściowo utopję, zmierzając coraz widoczniej do spełnienia tego, z czem niby walczy. Podczas wojny państwo zmieniło się doreszty na socjalistyczne; wiedziało, co kto kupuje, co jada (faktem jest, że przez jakiś czas istniała kontrola, co się gotuje w kuchni), aż doszliśmy do tego, że trzeba mieć pozwolenie („kartkę") na kupno ubrania, a nawet węgli, władza ma prawo skazać obywatela na zmarznięcie. Od tych reform życie już brzydnie, a na inne jakoś się nie zanosi. Niby jesteśmy przeciwnikami socjalizmu, ale brniemy w niego coraz głębiej. Istnieje ślepy program zwalczenia socjalizmu, przez spełnienie jego postulatów, byle tylko uniknąć rewolucji i wywłaszczenia. Ale to na nic; stanąwszy na równi pochyłej, dochodzi się już i do wywłaszczenia. Rolnik częściowo nie jest już właścicielem gruntu, lecz państwo; tytularni właściciele domów miejskich są już dawno bezpłatnymi administratorami dla państwa.

Otóż takiego widowiska historja jeszcze nie miała, żeby rząd zwalczał pewien prąd zapomocą zamienienia go na rządowy. Pomysł cały jest niemiecki: tam wymyślono Kathedersozialismus i Staatssozialismus, a na pierwszego takiego socjalistę wybrał się był sam Bismarck. Widocznie ani profesorowie niemieccy, ani statyści nie posiadali własnego, oryginalnego programu społecznego; niema go też dotychczas.

Jest jeszcze jedna strona tego przedmiotu. Niezadowolenie wcale nie jest czynnikiem zasadniczo ujemnym; mieliśmy sposobność stwierdzić (na początku rozdziału V), że stanowiąc podłoże sceptycyzmu, a w dalszem następstwie krytyki, może wieść do poszukiwania dróg nowych, a zatem do rozwoju. Tym razem niezadowolenie nie wydało z siebie najmniejszego ziarna twórczości, nie wiodło do rozwoju naszej cywilizacji w danym zakresie, lecz tylko do podkopywania jej, i to systematycznego, przedsiębranego sprytnie, planowo.

Cóż jednak robiono w obronie tej cywilizacji? co miano do przeciwstawienia socjalizmowi? Walczono z nim, udowadniając poważnie, że nie ma racji, że jest teoretycznie błędny, praktycznie nie wiodący do celu; polemizowano i polemizuje się — bez potrzeby i oczywiście bez skutku. Nie o to wcale chodzi, czy socjalizm jest teoretycznie i praktycznie trafny, ale o fakt, że pomimo swej błędności jest jednak wielce popularny, a siłę swą opiera na masach niezdolnych odróżniać trafności od błędów — nie na rozumowaniach więc, lecz na uczuciach. Gdybyż to chodziło o logikę, sprawa byłaby stosunkowo łatwa, ale tu chodzi o psychologję.

Dziś socjalizm trzyma się wprawdzie już tylko siłą bezwładności i za kilkanaście lat wyparuje w przestrzeni dziejowej, ale masy muszą dostać coś na jego miejsce; sytuacja może więc pogorszyć się jeszcze bardziej, bo na miejsce socjalizmu może się zjawić coś jeszcze bardziej destruktywnego. Wszakżeż mieliśmy już u siebie domorosłych bolszewików. Trzeba tedy przewidywać, że dostarczanie tłumowi doktryn, zwróconych przeciwko naszej cywilizacji, może trwać długo, bardzo długo.

Jak długo to potrwa, można określić z całą ścisłością: tak długo, aż się znajdzie doktryna, tłumowi psychologicznie odpowiadająca, a zgodna z cywilizacją zachodnią, zgodna z chrześcijaństwem. Socjalizm spopularyzował się dlatego, ponieważ posiadał monopol nad duszą tłumów, bo mu z ramienia naszej cywilizacji niczego nie przeciwstawiano. Raz tylko Leon XIII. wydał swą niezrównaną „Rerum novarum", ale nie kontynuowano tego dzieła, nie snuto dalej wątku tej osnowy; dano encyklice przebrzmieć, zrobiono z niej akt archiwalny po arcykrótkim czasie. A potem już milczenie, przerywane tylko dla prowadzenia czczej polemiki ze socjalizmem.

Tam, gdzie zachodzi potrzeba popularnego hasła, musi wygrać ten, kto je rzuci, obojętnem zaś jest, kto ma słuszność. Ludzie trzymają się socjalizmu nie dlatego,

że sobie wyrozumowali jego teorję, ale dlatego, że w niego w i e r z ą. Oto istota sprawy.

Tłum zawsze opiera swe pojmowanie ustroju społecznego na wierze w jakąś doktrynę. Był czas, kiedy wierzono, jako wola Boska decyduje o ziemskim stanie człowieka; szedł chłopek na pańszczyznę, „bo taka wola Boska". To minęło. Ludowi wiejskiemu wszczepiono potem ideę dynastyczną (popularyzował ją usilnie Kościół), i szedł chłopek w ogień, w wodę „za cesarza". To się skończyło. Trzeba było nowej wiary polityczno-społecznej dla „młodszej braci", ale im jej nie dostarczono. Z próżni skorzystał socjalizm i wypełnił ją. Długo nie mógł sobie dać rady na wsi, aż jednak wkońcu przeprowadził „czarne strajki".

Zastanawiając się nad potrzebą jakiejś wiary o życiu zbiorowem, wiary obok religji, wiary w sprawach świeckich, dojdzie się do przekonania, że to jest zupełnie to samo, czem pośród inteligencji jest potrzeba ideałów, które również obok religji istnieją, stanowiąc jakoby naszą świecką wiarę. W zasadzie jest i to i tamto — tem samem. Jest to kult ideałów na rozmaitych stopniach intelektu.

Zdaje się to być prawem historycznem, że zawsze istnieje w naszej cywilizacji o b o k religji Ideał do religji nie należący. Stosunek jego do religji rozmaity w rozmaitych czasach i miejscach; temat to arcyciekawy dla historyka, niestety ani nawet nie tknięty. Miejmy otuchę, że kiedyś znajdzie chętnych badaczy. Dziś ciemną zagadkę stanowi fakt, że judaizm i islam obchodzą się bez tej dwoistości, gdy tymczasem chrześcijaństwo, religja najwyższa zdaje się jej wprost wymagać, potrzebować do swego apostolstwa, bo chrystjanizm nie przyjmuje się, a przynajmniej nie utrwala, gdzie niema kultu ideałów. Żyd lub muzułmanin mają wszystko w koranie, w talmudzie: wiarę, przepisy religijne, prawo publiczne i prywatne, cywilne i karne, miary i wagi nawet, gdy tymczasem Ewangelja podaje tylko zasady ogólne

wszystkiego, pozostawiając stosowanie ich twórczości człowieka i jego odpowiedzialności. Ewangelja zachęca do twórczości, inne systemy religijne udzielają gotowych szczegółowych drogowskazów życia. W islamie i judaizmie zachodzi dyrektywa z góry, w chrześcijaństwie zaś wolny wybór z dołu; u nas jest twórczość pobudzona religijnie, u tamtych zastąpiona przez przepisy religijne. Dla nas religijność jest tłem życia, a wypełnić to tło musimy sobie sami; tamci zaś mają wszystko dane gotowe. Zato u nas działa wolna wola, a tam przymus przepisu. W tem źródło większej mocy twórczej społeczeństw, które przyjęły chrześcijaństwo, i przyczyna silniej zaostrzonego intelektu. Sprawia to uboczna religja kultu ideałów, wysnutych z prawd religijnych. W nich mieści się właściwe wykonywanie religji, tj. stosowanie jej do życia. Twórczość pobudzona rozszerza coraz bardziej widnokręgi religijne, w miarę jak z postępem czasu wyłaniają się coraz nowe dziedziny życia, nieznane poprzednim pokoleniom; gdy tymczasem twórczość zastąpiona staje się jakby zbędnym jakimś organem przeżytkowym i zanika, nieużywana; że zaś życie się rozwija, wyłaniają się zczasem dziedziny nieobjęte szczegółowemi przepisami religijnemi, dziedziny pozareligijne, a im więcej ich przybywa, tem mniejsze w stosunku do życia pole religji, aż dochodzi się do tego, iż religja, obejmująca zrazu wszystko bezpośrednio, obejmuje po wiekach ledwie cząstkę życia — i to cząstkę dla życia współczesnego najobojętniejszą. W taki to sposób religja staje się czemś wobec życia przestarzałem, i albo ona upada, albo społeczeństwo jej wyznawców kurczy się cywilizacyjnie coraz bardziej, tracąc coraz więcej jej działów.

Cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna jest największą twórczynią Ideałów, a samo chrześcijaństwo najsilniejszą kuźnią tego, co pozwoliłem sobie nazwać religją uboczną.

Ideały inteligencji, ideały uczonych i poetów, są subtelnie wyrozumowane, i pochodzą od Logosu; ideały tłumu powstają z parcia Ethosu. Mędrzec uznaje za Dobro to, co pojął wielostronnie; prostaczek zaś to, co jednostronnie odczuwa. Czasem jedno z drugiem bywa identyczne, a czasem rozchodzą się ideały warstw społecznych i nastaje rozterka rozdwojonych ubocznych religij.

W okresie porozbiorowym cofnęła się oświata szerokich warstw (z przyczyn, o których była już mowa), zwiększyła się różnica poziomu oświatowego pomiędzy inteligencją a ludem tak dalece, iż lud nie zdołał wznieść się do pojęcia Ojczyzny; dopiero ledwie za naszych czasów mniejszość ludu poczyna to pojęcie rozumieć. Lud, nie mogąc nadążyć ideałom narodowym, musiał mieć swoje odrębne, ludowe. Nie wytworzył ich jednak sam, bo nie wytwarzał ich nigdy ani przedtem. Wiejski lud pozostał bez idealnego poglądu na świat, a miejski przyjął ten system, jaki mu poddano, mianowicie socjalizm, który zaadoptował sobie do swych wyobrażeń w sposób teoretycznie często wprost zabawny, tak ze socjalizmem sprzeczny, a jednak nie wytworzył polskiej odmiany socjalizmu, lecz w praktyce oddał się biernie do dyspozycji kierowników.

W socjalizmie znaleziono ową wiarę społeczno-polityczną, tłumowi potrzebną. Socjalizm popularyzował się łatwo, bo jest dogmatyczny. W ten sposób czynił zadość potrzebie ideału wśród tłumów. Tak jest! nie waham się twierdzić, że nie z materjalnych szerzył się względów, lecz głównie z pobudek idealnych, tak jak się szerzy np. sekta jakaś. Propagatorom socjalizmu niebrak poświęcenia, zapału, ofiarnością odznaczają się niemal wszyscy; ci, którzy socjalizm wyzyskują do swoich celów, masie „towarzyszy“ zakrytych, byliby bezsilni, gdyby mieli z socjalizmu tyle tylko pożytku, ileby go mogli zebrać od ludzi zapatrzonych w zysk samolubny. Takich pośród nas jest jeszcze bądź co bądź mniejszość. Na tyle

siły chrześcijaństwo posiada jeszcze nad społeczeństwem. W cywilizacji naszej same samolubne motywy nie wydają owoców; a gdzie one tkwią na dnie sprawy, gdy się wykryją, sprawa traci zwolenników.

Nie dziwmy się popularności wśród tłumu haseł, których kwintesencją: uwielbienie tłumu. Osią socjalizmu w praktyce, socjalizmu ulicznego, a nie „z katedry", jest samouwielbienie tłumu. Nawiasem mówiąc, zachodzi tu ciekawy objaw nusarchji zarazem, boć uwielbianie ludu za to jedynie, że jest ludem, jest powszechnie przyjęte wśród całej inteligencji. Fatalna pomyłka, której skutki trzeba ponieść. Błąd tej samej natury, jak w połowie XVIII wieku samouwielbienie szlachty — i w znacznej części skutek tamtego; przeżytek metodyczny zastosowany do warstwy mniej oświeconej, gdy bardziej oświecona już go się wyparła. Samouwielbienie ludowe na wsi spodobało się poetom, ale mniej do poezji nadające się samouwielbienie miejskiego zaułka jest zasadniczo zupełnie a zupełnie tem samem.

Wszelkie samouwielbienie wiedzie w praktyce do zaniku ideałów. Wypróbowano to już w historji po wielekroć...

Stało się tedy, że lukę w psychologicznych potrzebach tłumu zapełniono hasłem zaczerpniętem z poza naszej cywilizacji i w praktyce zwróconem przeciwko niej, bo tłum nie otrzymał ideałów we właściwym czasie z zakresu swej własnej cywilizacji.

Rozterka ideałów pomiędzy ludem a inteligencją zaczęła się już w połowie XVIII wieku, a w Polsce później, niż w innych krajach. W tę kwestję historyczną nie będziemy tu wchodzili bliżej; ogólnikowo zaznaczę tylko, że rozterka nastała wtenczas właśnie, kiedy inteligencja zaczęła tracić ideały. Oczywiście groziłoby coraz większe niebezpieczeństwo naszej cywilizacji, gdyby rozterka ta przeszła w stan stały. Najpewniejszym sposobem zapobieżenia temu jest: posiadać samemu silne, a wyraźne ideały. Idealistyczny prąd u góry nie może

nie oddziałać na lud, byle postępowała kultura umysłowa tegoż ludu. Im mniejsza bowiem różnica kultury umysłowej pomiędzy warstwami bardziej oświeconemi a mniej oświeconemi, tem większa jednolitość ideałów, tem trudniej o ich rozterkę.

Oto, jak sądzę, tajemnica usposobienia rewolucyjnego mas, i powodzenia przewrotowców, dla których rewolucja jest nie środkiem, lecz celem. Kołowanie i bezkierunkowość, o których była mowa wyżej, tłumaczą się dostatecznie tą okolicznością, że agitacja owa rewolucyjna pośród naszej cywilizacji odbywa się w kierunku cywilizacji innej, a przy ścieraniu się pierwiastków dwóch cywilizacyj w tymże intelekcie nie może się wyrobić kultura czynu (chyba burzeniem).

Ani bowiem tłum — cywilizacji swej nieświadomy — nie może być cywilizowanym na dwa sposoby.

Z poza naszej cywilizacji pochodzi tedy agitacja przeciw własności osobistej nieruchomej. Zasadniczo zaś sprzeciwia się chrześcijaństwu wogóle społeczno-polityczny dogmat o walce klas, jakoby głównym regulatorze historji. Wiemy z poprzednich wywodów, że sprawa nie jest bynajmniej tak... uproszczoną.

Oczywiście interesy warstw rozmaitych nie bywają jednakowe, a czasem, w pewnych szczegółach mogą być chwilowo nawet sprzeczne. Bywało tak jak świat światem, i wiedziano o tem doskonale. Średnie wieki radziły na to autonomją warstw, ponad którą unosiła się najwyższa władza państwowa, uposażona w kompetencję rozstrzygania wszystkiego z interesów dotyczących dwóch warstw, których one nie zdołały załatwić we wzajemnem porozumieniu. Nie sądźmy, że ten ustrój społeczno-państwowy wyczerpał się i dlatego zaginął; ta linja rozwoju została przerwana gwałtownie przez legizm, a zgnieciona całkowicie przez absolutyzm, przeciwny wszelkiej autonomji. Faktem jest, że stronnictwa polityczne kształtują się w ostatniem pokoleniu na całym kontynencie w ten sposób, iż stają się

coraz bardziej organizacjami warstw, a nawet zawodów. W parlamentach mówi się nie tylko coraz wyraźniej, lecz coraz jaskrawiej o interesach warstw, powstała nawet teorja o słuszności systemów wyborczych, o ile zdołają dać należyty wyraz „reprezentacji interesów", tj. warstw. Czyż nasz sejm nie jest zajęty w lwiej części swych debat i tysiącznych „ustaw" sprawami jednej tylko warstwy, to tej, to owej? Społeczeństwo samo zmierza do przywrócenia organizacji warstwowej, chociaż dzieje się to jeszcze nieświadomie; lecz nieświadomość znamionuje pewną konieczność, gdy dzieje się coś samo przez się, bez uprzedniej intencji. Gdyby wiedziano, do czego się zmierza, krzyczanoby na „średniowieczne zacofanie". Dziś sprawa jest już widocznie tak posunięta, iż o powstrzymaniu tego prądu niema mowy.

Autonomja warstw, ujmując w łożysko uregulowane pieniące się odmęty, mogłaby stanowić doskonałe zakończenie „walki klas" — i dopomogłaby do wyrwania z naszej cywilizacji wszelkiego „obcego ciała". Równouprawnienie warstw w autonomji odjęłoby też możność samouwielbiania się którejkolwiek z nich, psychoza musiałaby ogarnąć wszystkie, a w takim razie rzecz doszłaby odrazu do absurdu.

Sądzę, że autonomja warstw mogłaby być przystosowaną do nowoczesnych stosunków życia. Nie wdając się w szczegóły, zwracam tutaj tylko uwagę, że istnieje taka sprawa i mogłaby być podniesioną na hasło życia publicznego.

Społeczeństwo, będąc społecznością zróżniczkowaną, nie może posiadać zdatności do rozwoju bez rozmaitości warstw, zwanych dziś trywjalnie; „klasami". Konieczność ich walki, i potrzeba doprowadzania jej do ostateczności w imię postępu — jest absurdem.

Weźmy dla przykładu zróżniczkowanie najogólniejsze: miasto i wieś. Utarło się, jako interesy ich są sprzeczne tak dalece, iż wykluczają się wzajemnie. A jednak nic mylniejszego.

O niemożliwości dobrobytu włościańskiego bez dobrobytu miast poucza doświadczenie dziejów polskich. Kiedy ustały najazdy tatarskie, a nie było innych wojen, kiedy nastał w Polsce okres pokoju tak długiego i pewnego, jakiego Polska nie używała ani za Kazimierza W., kiedy można było kolonizować z całem bezpieczeństwem nie tylko Podole, ale całą Ukrainę, i kiedy otwierała się niejako dobrowolnie droga ku morzu Czarnemu — za czasów saskich nastał raj ekonomiczny dla właścicieli ziemskich. Polska nie miała handlować czem jak tylko zbożem, a ceny zboża szły tak w górę w Europie, której spichrzem Polska się stała, iż szlachcic na jednej wioszczynie był bogatym człowiekiem, mogąc żyć bez najmniejszej troski hucznie i buńczucznie. „Za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa!“ I kręciła się Polska w jednem zaklętem kółku gospodarstwa wiejskiego. Przemysłu ani śladu, rękodzieł nawet nie było, chyba partactwo, tylko na wsi można było żyć dosyta.

Nastał tedy w Polsce okres opacznego ruchu ludności. Zamiast, żeby nadmiar ludności wiejskiej przenosił się do miast, uciekali na wieś synowie drobnego mieszczaństwa: na pisarczyków po dworach, na gorzelników; czasem udawało im się dostać jakąś dzierżawkę w dobrach kościelnych. Uciekali z głodujących miast rzemieślnicy najlepsi, a każdy szlachcic miał w swych dobrach swojego krawca, szewca, zduna, kowala, bednarza i t. d., których robił jakby nowym rodzajem zagrodników po folwarkach. Słowem, wyludniały się za Sasów miasta, a zaludniała się wieś gęsto. A co nowych wsi powstawało! a folwarków nowych z osadami zagrodniczemi całe tysiące!

Synowie kmiecy, nie mogąc znajdywać zarobków po miastach wynędzniałych, gnietli się na działkach kmiecej ojcowizny do tego stopnia, iż tu i ówdzie powstawały w Polsce na nowo wspólnoty rodowe kmiece. Część młodzieży szła dalej w świat na zagrodników nowych folwarków. Na ciasnej działce nie zdołał kmieć prze-

trzymać żadnej klęski, czy to pożaru, powodzi, czy pomoru bydła lub roku nieurodzaju; każda klęska elementarna rujnowała go odrazu, bo był za słaby ekonomicznie i coraz słabszy, skoro ta sama działka gruntu musiała żywić coraz więcej osób. Taki drobny rolnik miał zato nadmiar rąk roboczych u siebie i skutkiem tego właśnie nadmiar wolnego czasu. Te okoliczności doprowadziły w całym kraju do zmiany prastarego stosunku właściciela do pierwotnego dzierżawcy, tj. szlachcica do chłopa. Zmiana odbyła się ku zadowoleniu stron obydwóch w ten sposób, że szlachcic zobowiązywał się dopomagać chłopu po każdej klęsce elementarnej, a nawet przeżywiać go z całą rodziną na przednówku lub w latach nieurodzaju, a kmieć wzamian dawał dziedzicowi więcej robocizny, dzięki czemu szlachcic mógł zakładać nowe folwarki. W taki sposób doszło do zwiększenia pańszczyzny, a było to jedynym sposobem wybrnięcia z położenia, jakie nastało przez to, że całe pokolenia nowe trzeba było żywić wyłącznie z roli przy gospodarstwie wiejskiem.

Ludności na wsi było tyle, że połowa byłaby wystarczyła na obrobienie swojego i pańskiego gospodarstwa. Rezultat straszliwy takiego przeludnienia bez odpowiedniego przybytku zajęć: lud m u s i a ł nauczyć się lenistwa i... pijaństwa. Czasu wolnego mając nazbyt, spędzał go w karczmie.

Gdyby miasta polskie były się rozwijały dalej po wieku XVI, byłby się także rozwijał dalej lud wiejski; nie byłoby pańszczyzny, ni przypisania do gleby: stosunek pomiędzy kmieciem a szlachcicem nie tylko byłby pozostał stosunkiem dzierżawczym, ale nawet warunki dzierżawne musiałyby być coraz przystępniejsze, łagodniejsze. Olbrzymie przestrzenie Rzplitej były stosunkowo słabo zaludnione i przez kilka pokoleń byłaby silna konkurencja o ręce robocze pomiędzy miastem a wsią, na czem najlepiej lud wychodziłby. Przez fatalny upadek miast zabrakło chłopom pola do pracy; jedynym spo-

sobem utrzymania stała się cudza rola, musieli więc pozwalać dyktować sobie warunki i nastąpił w dalszem tego następstwie zastój chłopskiej kultury — i wkrótce ogólnej kultury całego narodu.

Podobnież i za naszych czasów rozwiązania kwestji ludowej włościańskiej szukać trzeba raczej w mieście, niż na wsi; jeżeli się rozwinie handel i przemysł, należy się także spodziewać w polskiej wsi odrodzenia, i to wspaniałego odrodzenia kultury.

Historja wykazuje, że wszelkie korzystne zmiany ekonomiczne pociągały za sobą w szybkiem stosunkowo tempie przyspieszenie rozwoju kultury wiejskiej. Niewątpliwie też najlepszym dziś sposobem pracy dla ludu jest praca na polu handlu i przemysłu, a zwłaszcza przez to, że działalność taka grupuje coraz więcej osób najrozmaitszego pochodzenia stanowego we wspólnem ubieganiu się za wspólną korzyścią. Ciągła wymiana dóbr i ustawiczna a korzystna fluktuacja pieniądza mniej więcej równomiernie pomiędzy warstwami społecznemi wpłynęłaby najlepiej na rozwój wszystkich warstw, ludu wiejskiego nie wyłączając.

Historja poucza tedy, że bez dobrobytu miast może się obejść co najwyżej właściciel większych dóbr, ale drobny rolnik zawisł wprost od wzrostu miast do tego stopnia, iż ubóstwo miejskiego stanu grozi mu wkońcu ruiną materjalną i moralną. A więc „chłopski" interes wymaga, żeby pilnować dobrze interesów miast, bo poprawa bytu włościan łączy się ściśle z poprawą bytu mieszczan. Jest to utopja, żeby podnosić dobrobyt wsi, nie dbając równocześnie o dobrobyt miast. Od wszelkich „reform agrarnych" lepszym środkiem na podniesienie ekonomiczne i włościan i całego kraju byłoby, gdyby z włościan mogli i mieli gdzie robić się nowi mieszczanie. Choćby niewiedzieć jaką uchwalić reformę agrarną, nie tylko nie zda się to na nic, ale może nawet wydać skutki wręcz prze-

ciwne zamierzonym, jeżeli się równocześnie nie pracuje około zbogacenia i spolszczenia miast.

Tego dążenia nie widać zgoła; natomiast rozpowszechnia się coraz bardziej mniemanie o rozbieżności interesów miasta i wsi. „Walka klas“! Łatwy ten sposób tłumaczenia objawów życia gospodarczego i struktury społecznej może wystarczać, gdy chodzi o drobne interesy przygodne, ale nie zda się na nic, gdy chodzi o powiększenie produkcji i pomnożenie sposobności do ułatwionego zbytu, czy to ziemiopłodów, czy też przedmiotów miejskiej wytwórczości. Mówi się o regulowaniu całej produkcji przez państwo, nie bacząc, że to doprawdy jest wykonalne tylko w myśli, a gdyby było wykonywanem, byłoby regulowaniem produkcji przez... biurokrację.

Drugi z najbardziej rozpowszechnionych ogólników o przeciwieństwie „klas“ wskazuje rzekome przeciwieństwo rolnictwa a przemysłu. Z początku sądzono, że te dwie gałęzie wytwórczości muszą sobie wzajemnie przeszkadzać, aż oto z dojściem rolnictwa do pewnego wyższego stopnia rozwoju zjawiło się coś, jakby z bajki, mianowicie... przemysł rolniczy. Odtąd w wielkich postępowych gospodarstwach trudno nieraz orzec, gdzie się kończy rolnictwo, gdzie zaczyna przemysł — tak dokładnie uzupełniają się wzajemnie.

Nie koniec na tem. Statystyka ekonomiczna wykryła, jako rozwój zarobkowy rolnictwa zawdzięcza bardzo wiele rozwojowi przemysłu po miastach, boć dzięki płynącemu z przemysłu dobrobytowi miejskiemu zwiększa się konsumcja płodów wiejskich, wzmaga się popyt na płody droższe, dające rolnikowi więcej zarobku; rolnik może więcej i łatwiej oszczędzać, zabrać się do inwestycyj. Nawzajem zamożniejszy rolnik daje więcej zarobić sklepom w mieście, pozwala sobie na coraz więcej takich wydatków, bez których obchodził się, póki był mniej zamożnym — i w taki sposób pieniądz cyrkuluje nieustan-

nie pomiędzy miastem a wsią: gdzie tu miejsce na przeciwieństwo interesów, na walkę klas?

A jednak ileż razy przeciwieństwo to występuje wyraźnie, choćby w parlamentach przy debatach o cło, o taryfy, a zawsze i nieodmiennie, gdy chodzi o cenę zboża, boć wieśniak chce jak najdrożej sprzedać, a mieszczuch kupić jak najtaniej; i to samo w odwrotnym porządku zachodzi przy cenach na miejskie wyroby rękodzielnicze i fabryczne. Otóż objawia się przeciwieństwo, gdy chodzi o drobne interesy chwili, ale też na tem koniec. Biorąc pod uwagę rozwój spraw na dłuższą metę, ekonomja polityczna stwierdza uzupełnianie się wzajemne przemysłu i rolnictwa.

Niegłębiej ujmowanem bywa przeciwieństwo „kapitału a pracy".

W wieku XV było już jasnem, że dalszy rozwój przemysłu i handlu nie obejdzie się bez kapitalizmu, tj. bez tego, żeby pieniądz był nie tylko końcem przedsiębiorstwa jako zysk za pracę i zabiegi, ale żeby bywał naodwrót także początkiem przedsiębiorstw, jako narzędzie do uzyskiwania dalszych zysków coraz większych. Przychodziła kolej na dalszy rozwój ekonomiczny, na takie przedsiębiorstwa, których nie można zakładać bez kapitału znaczniejszego, bez większego t. zw. funduszu obrotowego, a nawet zapasowego. Kapitał stawał się środkiem do pracy, stawał się produkcyjnym. Nie było sposobu zagrodzić drogi tej produkcyjności, jakkolwiek nie brakło do tego ochoty. Opozycja była potężna w całej Europie; w Polsce nawoływali przeciw kapitalizmowi profesorowie krakowscy Mateusz z Krakowa i Benedykt Hesse. Napróżno, bo bez kapitału leżałoby odłogiem zbyt wiele dziedzin ludzkiej pracy i wytwórczości. Napróżno występował też św. Jan Kapistran († 1456) gwałtownie przeciw nowym formom handlu, opartego na kapitale, kredycie i procencie. Przez tysiąc lat (od św. Chryzostoma około r. 400 po Chr.) uważano kupca za coś niższego i gorszego od rolnika, ale handel wzrastał nie-

ustannie i świat bez kupców obejść się nie mógł. W XV wieku zwróciły się na nowo gromy przeciw kupcom i kapitalistom, a nikt nie pomyślał, jakby kapitalizm zaprząc do służby około dobra wszystkich stanów; prawo kanoniczne potępiało go tylko i nie chciało z nim mieć nic do czynienia. Znalazł natomiast kapitalizm obrońcę w legizmie, gdyż prawo starorzymskie strzegło gorliwie praw kapitału. Nastały uczone spory humanistów - legistów z uczonymi „starej daty"; w całej Europie wydawano mnóstwo rozpraw o kupnie i sprzedaży, o procentach i t. p., a w Polsce odzywały się głosy przeciwko kapitałowi jeszcze pod koniec XVI w. Kościół zakazywał handlu pieniędzmi, uważanemi za towar; zabronił pobierania procentów, a więc trzeba było uciec się do pomocy Żydów. Z przemiany handlu na kapitalistyczny oni pierwsi zebrali zyski, chociaż sami jeszcze nie trudnili się systematycznie handlem. Z powodu lichwy zaczęto ich od r. 1432 wypędzać z Niemiec, skąd schronili się tłumnie do Polski za Kazimierza Jagiellończyka (a nie za Kazimierza W.).

Żydzi już za czasów rzymskich odgrywali pierwszorzędną rolę przy wszelkich interesach — i przy ponownem odrodzeniu kapitalizmu zaczęli towarzyszyć na nowo handlowi i przemysłowi. Upadek miast w Polsce skazywał ich na interesa drobne, ale poradziła im i oddała znakomite usługi jednostronność ekonomiczna polskiego społeczeństwa. Gdy cała niemal ludność polska żyła z rolnictwa, uwiesił się Żyd przy rolniku, przy szlachcicu i chłopie, jako ich bankier, doradca, pośrednik handlowy, dostawca i powiernik. Po upływie ledwie trzech pokoleń, pod koniec XV w. stanowiła już Polska przedmiot szyderstw na Zachodzie z powodu nadmiaru Żydów w kraju; zaczęto też nazywać Polskę „piekłem dla chłopa, rajem dla Żyda".

Nie wytworzył się rodzimy polski kapitalizm, a więc Żydzi stali się naszymi kapitalistami. O skutkach takiego stanu rzeczy rozwodzić się chyba już nie trzeba?

Zresztą... „strach o tym worku pisać". Tak ciężko zemściło się na narodzie niedostateczne zróżniczkowanie społeczne i brak jednej warstwy, dla społeczeństwa nowożytnego niezbędnej: kapitalistów własnych. Im bardziej miasta stawały się żydowskiemi, tem mniej było w nich sposobności do zarobkowania dla synów włościańskich; tem bardziej kraj skazany był na owo specjalne przeludnienie wiejskie i fatalne jego skutki dla całego narodu, a najfatalniejsze dla chłopa.

W XIX w. podjęto na nowo sprawę kapitalizmu. Znaleźli się znowu marzyciele, przypuszczający, że możnaby obejść się całkiem bez niego, a nie wiedzący nawet, że mieli poprzedników w wiekach średnich. Ale w historji nic nie powtarza się jednakowo. Zachodzą kapitalne różnice dawnej a nowej walki z kapitałem, tak co do rodzaju osób, stojących na czele walki, jako też co do metody.

Pojęcie kapitalisty rozszerzono na każdego, kto posiada środki do ewentualnego gromadzenia kapitału (bez względu na jego... małość) i wszystkim takim „uprzywilejowanym" wypowiedziano wojnę nazabój w imię „walki klas", mającej rzekomo stanowić kwintesencję i najwyższe prawo historji. Mechaniczne tłumaczenie stosunków społecznych walką klas, jest to tłumaczenie e x p o s t, wymyślone w czasie, gdy walka zaogniała się, zwracając uwagę umysłów nawet mniej badawczych, którym wydawała się istotną cechą okresu, przez pomyłkę ich powierzchowności dlatego, ponieważ była cechą najbardziej zewnętrzną, najwidoczniejszą. Bywają bowiem okresy w historji społeczeństw, w których walka klas istnieje, ale więcej jest takich, w których jej niema. Próby tłumaczenia całej historji powszechnej jakąś cechą współczesną, według jakiegoś kryterjum, jakie współcześnie wydobywa się na pierwszy plan, próby wyjaśniania przeszłości czemś w teraźniejszości, stanowią bardzo pospolitą pomyłkę dyletantyzmu. Nikt nie zechce chyba twierdzić, że Engels nie był dyletantem,

a Marx okazał się dyletanckim doktrynerem w stosowaniu zasady: pars pro toto — i na tej metodzie oparł wątek swej teorji.

Polemika z socjalizmem jest mi daleką, a jestem głęboko przekonany, że wogóle szkoda na nią już czasu. Zwracam tylko uwagę, że są społeczności, w których niema klas, bo społeczności słabo zróżniczkowane; np. znaczna część ludów azjatyckich, a w Europie Irlandczycy i Serbowie. Jeżeli walka klas stanowi treść historji społecznej, w takim razie ludy te mieć jej nie mogą. Serbowie zmierzają dopiero do zróżniczkowania większego swego społeczeństwa, do tego, żeby mieli „klasy", a nie ulega wątpliwości, że historja każdego społeczeństwa toczy się tym szlakiem, że klasy powstają dopiero na pewnym stopniu rozwoju. Wytwarzają się więc po to, żeby z sobą walczyć, a celem socjalizmu jest zniesienie klas, a zatem powrót do tego, co było na początku. Mamy więc tu do czynienia z ideałem wstecznym.

Na drugą jeszcze okoliczność zwrócę uwagę z powodu polskiego socjalizmu, a raczej socjalizmu w Polsce. Rażącem to jest, że właściwie niema socjalizmu polskiego, tylko czysto niemiecki, uprawiany w polskim języku. Odkąd na niwy polskie przeszczepiono żydowsko-niemiecki marksizm, nie powstała w Polsce ni jedna myśl oryginalna socjalizmu. Szczególna jałowość tknęła umysły polskie, wyznające socjalizm. Żeby choć jakaś próba samodzielnego myślenia, żeby choć ślad jaki twórczego współpracownictwa w dziedzinie socjalizmu! Polak zawsze, wybijający na wszystkiem czego tylko się tknął, swe piętno, w socjalizmie jakby zaniemiał, odrętwiał, stał się biernym, utracił zdolność myślenia. Powtarza się tylko biernie, co w Niemczech wymyślono, stosuje się to żywcem do zgoła odmiennych stosunków, nie zdoławszy wymyśleć żadnej odmiany, żadnej poprawki ni żadnego uzupełnienia, a czego odmienność stosunków wymagałaby przecież koniecznie. Widocznie socjalistyczna doktryna działa zagważdżająco na twórczość polską, i nie

pobudza polskiej zdatności umysłowej. Jakoż socjalizm w Polsce nie wyszedł poza horyzonty broszurkowe. Nie wydaliśmy ani jednego socjalisty, który byłby przyczynił się w czemkolwiek do rozwoju teorji socjalizmu, lub obmyślił coś nowego w jego praktyce. Całkowita jałowość. Gdyby o udziale Polski w kulturze powszechnej wnosić z polskiego udziału w rozwoju socjalizmu, okazalibyśmy się zupełnie biernym żywiołem, którego istnienie dla ogółu obojętne, bo nie wpływa niczem jakościowo na stan rzeczy. Skoro zaś twórczość polska okazuje się dowodnie na wszystkich polach, oprócz samego tylko socjalizmu, widocznie zachodzi jakaś niewspółmierność pomiędzy tym prądem a polskością; niewspółmierność, która nie da się usunąć, i skutkiem tego socjalizm nie należy do zakresu twórczości polskiej.

Marksizm operuje pojęciem proletarjusza jako klasy, która z uciskanej ma się zamienić na uprzywilejowaną, ażeby wkońcu wchłonąć w siebie wszystkie inne klasy. Ideałem ma być, ażeby ludzkość składała się ze samych proletarjuszów, żeby nikt nie posiadał nie tylko kapitału, ale żadnej własności mogącej stanowić czyto owoc, czyto narzędzie kapitalizowanych oszczędności; zasadniczo przeto ma być zniesioną wszelka własność nieruchomości (i o to głównie chodzi w marksizmie).

Zarazem mamy tu do czynienia z samouwielbieniem proletarjatu, a w najlepszym razie z samouwielbieniem pracy fizycznej, a więc tej, która ułatwia tylko walkę o byt i do niczego więcej nie jest zdatną, o ile nią nie kieruje Logos.

Tendencja marksizmu wywraca cały systemat cywilizacji europejskiej, a zatem socjalizm musiałby na jej miejscu osadzić jakąś inną cywilizację. Jakoż z założenia o upaństwowieniu warsztatów pracy i narzędzi pracy idą dalekie konsekwencje, które też praktyka socjalistyczna wysnuła, i rzeczywiście zabrano się do walki z całą naszą cywilizacją — nie próbując nawet określić przyszłej nowej, którąby miała po naszej nastąpić. Teorja so-

cjalizmu postąpiła tak, jak gdyby chodziło jej tylko o burzenie, a część pozytywna była dla niej obojętną. Tę stronę przedmiotu wzięła na siebie także praktyka socjalizmu, puszczona samopas — z jakim rezultatem, widoczne już dla każdego.

Wypierają się socjaliści bolszewizmu, że to nie jest ich dziecię. Mają słuszność o tyle, że dziecię jest nieprawego łoża, ale jest ono... jedyne.

Bolszewizm powstał z równoczesności trzech składników: przedewszystkiem tkwi w nim kosmopolityczny ruch turański. Cywilizacja turańska odradza się, rozkwita na nowo; wywołany tem prąd sięgnąłby w każdym razie i w jakichkolwiek okolicznościach tak daleko, jak daleko sięgają plemiona turańskie, a zatem ogarnąłby i Rosję centralną, która nie zdołała dotychczas jeszcze strawić w zupełności turańskiego swego podłoża. Prąd odrodzeniowy turański, wikłając się z rozmaitemi czynnikami współczesnych zawikłań politycznych, wydał „panazjatyzm", na którego czele książę Uchtomskij pragnął widzieć Rosję. Prąd ten, jeden z najpotężniejszych, jakie zna historja, równy mocą i obszarem prądowi Mongołów „niebieskich" XIII wieku, rozszczepił się na dwa: jeden ludowy, obejmujący kilka rozgałęzień i odmian, a sięgający aż do chińskich bokserów; drugi zaś idący z góry, państwowy, na którego czele kroczy Japonja. Żadna też siła nie stłumi bolszewizmu, jak tylko Japonja; europejskie zabiegi mogą tylko ograniczyć jego najazdy ku Zachodowi.

Ruch „cywilizacyjny" turański napotkał w Rosji na nihilizm, ów rosyjski płód socjalizmu. Obydwa prądy złączyły się doskonale w syntezę, bo obydwa dążą jednako do zniszczenia cywilizacji europejskiej, z tą różnicą, że turańszczyzna czysta poprzestałaby na niszczeniu jej w Azji i Eurazji (w ziemiach pośrednich pomiędzy Europą a Azją), ale nihilizm radby ją zniszczyć wszędzie, radby Europę zamienić w ruiny — co korzystnem byłoby

dla turańszczyzny według zasady, że wspólność wroga stanowi o wspólnej przyjaźni.

Turańskość jako silniejsza pochłonęła w sobie nihilizm (w którym zresztą nie brakło nigdy pierwiastków turańskich), wzmógłszy się nim wielce; ale też prąd ten cały ograniczyłby się po odebraniu nihilizmowi samodzielności do Eurazji, nie myśląc o Europie, która go nic nie obchodzi, gdyby nie przystąpienie do spółki trzeciego jeszcze pierwiastka, i to takiego, który okazał się najsilniejszym.

I turańskość i nihilizm zwalczały z całych sił cesarstwo rosyjskie, a byłyby je zwalczały nawet w takim razie, gdyby Rosja była państwem konstytucyjnem. W imię wspólności wroga przyłączył się do nich trzeci wspólnik, nienawidzący caratu jeszcze bardziej, niż nihiliści. Spólnikiem tym — judaizm, zaciekły przeciwnik Rosji, jako państwa, nie uznającego równouprawnienia Żydów. Ponieważ zaś judaizm triumfował już w całej Europie i gotował się do walnej rozprawy z chrześcijaństwem, ażeby zapanować (bez przenośni, w dosłownem znaczeniu wyrazu) nad światem, wyzyskał więc do swych celów stosunki rosyjskie i przeciwko Rosji i całej cywilizacji europejskiej zarazem. W marksizmie tkwiły zawsze żydowskie pierwiastki, boć Marx był Żydem i marksizm należy teoretycznie do cywilizacji żydowskiej; zawsze też był gorliwie przez Żydów popierany i służył (i służy) im za pomost do ich celów. Skorzystali z tego w Rosji. Używając za pozór stanowiska socjalistycznego, wysnuwając z niego ostateczną konsekwencję, głosili „dyktaturę proletarjatu", którą urządzono potem najzupełniej według wymogów turańszczyzny, według odwiecznych wzorów azjatyckich, poza wszelkim socjalizmem. Ruch turański był w Eurazji, podobnież jak w wiekach średnich, odgłosem tylko właściwego ruchu azjatyckiego, i stał na poziomie o wiele niższym pod każdym względem, jako najniższa forma turańszczyzny; to też z mieszaniny tej wyszedł bolszewizm, jako najbar-

dziej barbarzyńskie skrzydło cywilizacji turańskiej, podobnież jak niegdyś kultura tatarsko-kipczacka tworzyła barbarję cywilizacji mongolskiej. Judaizm dodał ruchowi fanatyczności i opatrzył go etykietkami z marksizmu, z których sam sobie dworuje, które oddają mu atoli nieocenione usługi w krajach europejskich, od Polski poczynając.

Różnica pomiędzy socjalizmem a bolszewizmem polega między innemi i na tem, że socjalizm poprzestaje na uwielbieniu proletarjatu i nadaje mu przywileje w tej myśli, że przez odpowiedni ustrój doprowadzi wszystkich do uznania wyższości państwa socjalistycznego, podczas gdy bolszewizm odrazu, a priori wprowadza przymus, żeby być proletarjuszem. I pod tym względem także różnica polega na tem, że socjalizm kołuje i waha się, a bolszewizm przeprowadza z całą bezwzględnością niektóre z socjalistycznych postulatów, te mianowicie, które potrzebne są do radykalnego zwycięstwa judaizmu. U socjalistów Żydzi trzymali się z reguły za kulisami; u bolszewików stanowią ich arystokrację. Państwo socjalistyczne byłoby ochlokratyczne, bolszewickie jest oligarchicznem; socjalistyczne byłoby areligijnem, może antyreligijnem wogóle: bolszewickie jest stanowczo judaistyczne. Bolszewizm jest dla socjalizmu nieocenionym drogowskazem praktyki, a mianowicie okazuje, do czego judaizm zamierza doprowadzić socjalistów.

Przymus proletarjacki zrodził się oczywiście z uwielbienia proletarjackiego; gdyby nie to, nie byłoby tamtego. Gatunkowo jest to samo, tylko podniesione do potęgi.

Cóż sądzić o kwestji proletarjackiej ze stanowiska cywilizacyjnego? Rzecz cała posiada doniosłość pierwszorzędną dla każdego narodu, ale szczególniej dla polskiego, wciśniętego pomiędzy marksizm a bolszewizm.

Cywilizacja, oparta na własności, musi zmierzać do tego, by każdy posiadał własność; skoro zaś opieramy się przedewszystkiem na własności nieruchomej, rozwój

więc nasz cywilizacyjny wymaga koniecznie, by własność tę rozpowszechnić jak najbardziej. Ideałem cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej musi być, by każdy posiadał nieruchomość, a zatem, by całkiem nie było proletarjatu.

Jest to ideał ekonomiczny, prawdopodobnie nigdy w zupełności nieosiągalny. Można się atoli do niego zbliżyć, a starania o to jak najusilniejsze są obowiązkiem cywilizacyjnym. To, co się dotychczas w tym zakresie robi poza Polską, jest śmiesznie mało, w Polsce zaś nie robi się nic.

Polska ma szczególną fatalność do proletarjatu. Od połowy XVI wieku posiada go nadmiar, produkuje go na eksport. Obecnie nigdzie na północy Alp niema tak olbrzymiego proletarjatu, jak u nas; cierpieliśmy i cierpimy na przeludnienie proletarjackie. Powód w naszej jednostronności ekonomicznej. Na hiperprodukcję proletarjatu jedyna bowiem rada w nowych źródłach zarobkowania, a to możliwe tylko przy wielostronności ekonomicznej, jeżeli już niema wszechstronności. Nie pomogą żadne eksperymenty przymuszania lub wymuszania, dokonywane koło jednostronnej wytwórczości; trzeba koniecznie otworzyć nowe jej źródła. Anglja cierpiała niegdyś także na nadmiar proletarjatu; wyleczyło ją z tego morze. Nasz horyzont ekonomiczny jest ciasny, do rzadkości należy w Polsce umysł, widzący (w politycznych stosunkach) inne źródło wytwórczości jak tylko rolę. Ależ gdyby to było nawet możliwem, ażeby dla wszystkich Polaków starczyło w Polsce roli i gdyby nas wszystkich zmusić, byśmy wszyscy byli rolnikami — i tak nie uchronilibyśmy się od przeludnienia proletarjuszowskiego, boć zamieniliby się wnet w proletarjuszów ci, którzy rolnictwa nie lubią, lub nie umiejąc, gospodarowaliby źle, a takich gotowa być większość, bośmy już odbiegli za daleko od „Piasta". Żydów nie ubezpieczyło od proletarjatu opanowanie całkowite handlu, jakżeżby

mogło to nastąpić pośród nas zapomocą wyłączności rolnictwa?

Zmniejszyć ilość proletarjatu do minimum możemy doskonale, wytwarzając sobie nowe źródła zarobkowe w handlu i przemyśle. Kilka miljonów rodzin polskich ma t a m przed sobą obfitość chleba.

Samo zmniejszenie jednak ilości proletarjatu nie stanowiłoby jeszcze załatwienia „kwestji socjalnej". Anglja, a w wyższym jeszcze stopniu Ameryka północna nie produkują proletarjatu niemal całkiem, sprowadzając go sobie z obcych krajów, a jednak i w anglosaskich społeczeństwach pojawia się kwestja społeczna. Załatwienie kwestji proletarjatu jest dopiero początkiem załatwiania kwestji społecznej, której istotą są wzajemne stosunki poszczególnych składników społecznych. Pytanie: jak je urządzić — jest pytaniem generalnem.

Za naszych czasów rozpowszechniła się pewna forma zabiegów ekonomicznych, wynaleziona w poprzedniem pokoleniu, lecz dopiero niedawno spopularyzowana: kooperatywy. Znamy je wszyscy ze stosunków wojennych, jako stowarzyszenia konsumcyjne i zawdzięczamy im wiele; zawdzięczalibyśmy zaś jeszcze więcej, gdyby biurokracja nie kładła na nich swej ciężkiej ręki, czasem nieżyczliwej, często życzliwej, ale zawsze niezdarnej. Kooperatywy mogą być również produkcyjne; mogą obejmować producentów i konsumentów we wspólnej organizacji; mogą być jednostronne, specjalne i wielostronne, bardziej ogólne. Od „konsumu" zastępującego sklepikarstwo aż do wielkich zrzeszeń producentów jest kooperatyw form i stopni wiele. Wyzyskano tych możliwości dotychczas bardzo mało, zwłaszcza że wojna, przerwawszy produkcję, wprowadziła zastój także w rozwój kooperatyw, dając możność bytu tylko kooperatywom najprymitywniejszego typu, konsumcyjnym do artykułów spożywczych codziennej potrzeby.

N i e m a t a k i e j d z i e d z i n y ż y c i a, d o k t ó r e j n i e d a ł o b y s i ę z a s t o s o w a ć s p ó ł d z i e l-

czości. Żadne bodaj ze wszystkich znanych historji urządzeń nie posiadało warunków takiej uniwersalności w sobie jak spółdzielczość. Nie przesadzają ci, którzy twierdzą, że to forma ustroju społecznego w przyszłości.

Może niezawsze wspólne są interesy miasta a wsi, rolnictwa a przemysłu, kapitału a pracy, ale one są stanowczo współdzielcze; to też zastosowanie do nich współdzielczości może je wyprowadzić z błędnika i uzdrowić.

Współdzielczość nie może być wymuszona, ani nawet protekcyjnie narzucona; musi się opierać o społeczeństwo bezpośrednio, o inicjatywę prywatną. Jest szkołą znakomitą życia obywatelskiego przez to właśnie, że obchodzi się bez opieki państwowej; jest szkołą „odpaństwowienia" owego, o jakiem była wyżej mowa. Mnoży siły społeczne, zachęca do coraz śmielszych przedsięwzięć, stanowi niezrównane podłoże dla kultury czynu.

Współdzielczość da się rozszerzać od prymitywnego „konsumu" aż do państwowości. Bardzo jest przytem prawdopodobne, że prymitywna jej forma stanowi tylko szkółkę dla początkujących, ale okaże się potem zbędną, gdy pojawią się formy wyższe, a szkołą będzie tradycja i rutyna. Nie należy sobie wyobrażać spółdzielczości, jako taranu na kupców; ona może mieścić w sobie i usuwanie kupieckiego pośrednictwa, gdzie ono dla społeczeństwa niepożądane, ale ktoby sądził, że to stanowi jej cechę istotną, myliłby się. Nie trzeba osądzać spółdzielczości z tak ciasnego stanowiska. Owszem, zmieści się w niej wybornie i rozwój stanu kupieckiego, jeżeli społeczeństwo będzie tego pragnęło.

Dotychczas pojmowano spółdzielczość tylko jako pewną organizację stosunków życia prywatnego, a wróżono jej wpływ wielki, a dobroczynny na ustrój społeczny jako następstwo pewnego uregulowania stosunków ekonomicznych. Spółdzielczość może jednak mieć zastosowanie i do życia publicznego.

Spółdzielczość niechaj się zacznie od wspólnego kupna i używania np. machiny rolniczej przez włościan pewnej wsi, od założenia centryfugi mleczarskiej, od gminnego autobusa. Nietrudno wyobrazić sobie spółdzielczość kilku osad sąsiednich, gminy zbiorowej, czy parafji. Może tedy na wyższym szczeblu istnieć spółdzielczość powiatowa, a więc i wyżej: wojewódzka, prowincjonalna. Również może obok takiej spółdzielczości regjonalnej istnieć zawodowa, stanowa, warstwowa; obok spółdzielczości prowincyj, spółdzielczość warstw.

Ale zasada spółdzielcza byłaby wyzyskana nader słabo, gdyby nie miało być instytucyj mieszanych, poświęconych spółdzielczości miasta a wsi, kapitału a pracy, spółdzielczości do pewnych szczegółowych celów osób przeróżnego powołania. Np. pewien obszar rolniczy może zawrzeć stałą umowę z pewną grupą kupiecką o wzajemną wymianę handlową produktów; całe powiaty mogą mieć takie umowy o zaaprowizowanie dużego miasta wzamian za pewne świadczenia wzajemne (wcielenie do sieci elektrycznej, tramwajowej i t. p.); ludzie przeróżnych zawodów mogą zawrzeć układ ze stowarzyszeniem artystów celem nabywania i popularyzowania dzieł sztuki; fabrykant może mieć spółkę ze swymi majstrami, majstrowie z robotnikami i t. p.; słowem, spółdzielczości może być form tyle, ile życie zdoła wymyśleć form kontraktów.

Trzy rodzaje spółdzielczości: regjonalna, zawodowa i mieszana, wytworzą nieprzeliczoną ilość kombinacyj, na które nie może być żadnego szablonu, ani też ograniczenia. Wielkie kooperatywy prowincjonalne i warstwowe nie mogłyby nie poruszać spraw związanych z polityką: cła, komunikacje i taryfy i t. p., a zatem spółdzielczość, stosowana na wielką skalę, nie może nie stać się czynnikiem politycznym. Opierając się zaś sama na czynnikach obywatelskich, a nie na biurokratycznych, dążyłaby spółdzielczość do samorządu, a w kwestji centralizacji i decentralizacji stanowiłaby rodzaj automatycznego re-

gulatora: do władz centralnych nie mogłoby należeć nic, czegoby im nie przekazały wielkie kooperatywy warstwowe i prowincjonalne, wobec których centralizm byłby bezsilnym.

Spółdzielcze zrzeszanie się całego społeczeństwa pociągnęłoby za sobą niewidzialną bujność i wydatność pracy ludzkiej. Zapadłe kąty miałyby udogodnienia właściwe dzisiaj tylko stolicom; prostaczek żyłby lepiej, niż teraz człowiek średnio-zamożny.

Cała kultura umysłowa podniosłaby się w niedającym się wprost przewidzieć wzroście nadzwyczajnym. Boć spółdzielczość nie da nigdy dostatków ani głupcom, ani leniwcom. Jest to żywioł, wymagający inteligencji tych, którzy chcą w nim żyć. Ludzie spółdzielczy nie zaniedbaliby szkolnictwa, oświaty, bo bez tego system cały musiałby runąć. Co jednak ważniejsza, ludzie spółdzielczy zwracaliby z konieczności szczególną uwagę na kwalifikacje moralne; we własnym interesie dbaliby o to, by postęp był przedewszystkiem postępem moralnym. Tem większe wzmożenie siły społecznej, która (jak o tem była już mowa) będzie w cywilizacji naszej ostatecznie jedynem źródłem siły politycznej. Kto będzie najsilniejszym spółdzielczo, ten też będzie najsilniejszym politycznie.

Ponieważ system ten ćwiczy przedsiębiorczość, rozszerza horyzonty, musi tedy rozwijać zdolności; społeczeństwo obdarzone siłą twórczą posiadłoby wszelaką zdatność twórczą. Któż przewidzieć zdoła, na czem zatrzymałaby się spółdzielczość?

Podstawą jej musiałoby stać się krajoznawstwo, spopularyzowane jak najbardziej. Najbardziej kształcąca ze wszystkich nauk, geografja, stawszy się podstawą „ogólnego wykształcenia" spółdzielczego pokolenia, odkryłaby przed niem niezmierzone horyzonty, łącząc wykształcenie humanistyczne i przyrodnicze w syntezę, jaką ona jedna tylko dać może.

W taki sposób dochodzimy do znacznego prawdopodobieństwa, że spółdzielczość stanowiłaby nie tylko silniejszą a spoistszą więź społeczną, niż dotychczasowe, ale zarazem zapewniałaby lepiej rozwój intelektu i etyki zbiorowej. Wpłynęłaby tedy dobroczynnie i na państwowość, która musi zmierzać do coraz większego liczenia się z oświatą i moralnością, jeżeli ma się wogóle rozwijać dalej. Decentralistyczno-autonomiczne tendencje spółdzielczości świadczą tem mocniej o tem, jako leży ona na linji rozwojowej przyszłości niedalekiej, oby jak najbliższej!

Czy nie można posunąć się o szczebel jeszcze wyżej i mówić o spółdzielczości państw?

Ten najwyższy szczebel spółdzielczości wiadomy jest i znany oddawna, chociaż nieświadomie: wykładnikiem jego traktaty handlowe. W każdym z nich jest coś ze spółdzielczości; ale tylko coś; — drugie tyle jest z przeciwnego kierunku, ażeby właśnie przeszkodzić spółdzielczości. Traktaty handlowe są bowiem z reguły pół na pół wynikiem stosunków przyjaznych, a drugie pół na pół nieprzyjaznych; stanowią kompromis pomiędzy wojną ekonomiczną a pokojem. Czy to konieczność, czy tylko forma przejściowa, któż może o tem dziś sądzić?

To pewna, że ustrój spółdzielczy mieści w sobie popęd federacyjny.

4. Cywilizacja.

Ze wszystkich dotychczasowych wywodów wynika, że działalność społeczna i państwowa natenczas tylko może być trwale pożyteczną, kiedy się mieści wyraźnie w ramach jakiejś cywilizacji, stosując się ściśle do zasady jednolitości cywilizacyjnej. Statysta, choćby najzdolniejszy, najpracowitszy, obdarzony talentem organizacyjnym pierwszorzędnym, marnuje swe życie, zapełnia je czczem puszczaniem baniek mydlanych, jeżeli nie zdaje sobie dokładnie sprawy z tego, że żadna kwestja społeczna, ni państwowa, nie da się rozwikłać, jeżeli się jej nie traktu-

je, jako cząstki kategorji rozleglejszej, mianowicie jeżeli się nie uwzględnia kwestji cywilizacyjnej. Mężowie, uważający się za uzdolnionych do kierowania państwem i społeczeństwem, winni przedewszystkiem wiedzieć, że żadna kwestja nie może być załatwioną w sposób mający dogadzać dwom lub więcej cywilizacjom, bo z takiego partactwa politycznego wynikną fatalne następstwa w przyszłości. Każde zagadnienie istnieje, jako zagadnienie danej cywilizacji; jeżeli powtarza się w rozmaitych cywilizacjach, w każdej z nich musi być rozwiązane w sposób odmienny, zgodnie z zasadniczemi i znamiennemi cechami tejże cywilizacji. Można powiedzieć ze stanowiska praktycznego, że dana kwestja stanowi w każdej cywilizacji kwestję osobną; osobno bowiem musi być załatwiana.

Ponieważ ani państwo, ani społeczeństwo nie może być cywilizowanem na dwa sposoby, nie może więc żadna sprawa publiczna być dobrze załatwioną ku zadowoleniu kilku cywilizacyj. Kto do tego zmierza, kto kuje kompromisy cywilizacyjne, taki pracuje na rzecz cywilizacji niższej; wszelki bowiem kompromis pomiędzy lepszem a gorszem wychodzi zawsze na korzyść gorszego.

Władza państwowa lub instytucja społeczna może być neutralną pod względem religijnym lub narodowym, lecz żadną miarą pod względem cywilizacyjnym. Spraw wiele da się traktować nie tylko ze stanowiska tolerancji religijnej lub narodowej, ale wręcz areligijnie lub anarodowo, t. j. nie uwzględniając zgoła kwestji religji lub narodowości; ale czy da się coś traktować ze stanowiska acywilizacyjnego? Gdy najgorsza dzicz organizuje się w najprymitywniejszy sposób, już zadzierzga węzły jakiejś cywilizacji, daleka jeszcze od religji! Pominąć kwestji cywilizacji niesposób.

Nie zdajemy sobie należycie sprawy z rozmaitości cywilizacyj. Oto zasadniczy błąd naszego intelektu, zawiniony przez wiek XIX. Wiek ten, dumny ze swych prac

technicznych, zaniedbawszy sromotnie stronę duchową człowieka, głosi siebie najwyższym wykładnikiem cywilizacji, mniemając, że mogą istnieć tylko rozmaite stopnie cywilizacji, ale nie różne jej rodzaje. Za cywilizację uważać kazał to, w czem on celował: wygodę dobrobytu, technikę życia — i do tej techniki stosował państwo i społeczeństwo, nie uznając żadnych celów z poza walki o byt. Takie pojęcie cywilizacji musiało prowadzić ostatecznie do hegemonji najniższej, najbardziej uproszczonej, zredukowanej do materjalnej strony życia.

Obecnie, kiedy całe znaczenie wielkiej wojny powszechnej polega na tem, ażeby zlikwidować błędy wieku XIX (bo inaczej szkoda krwi marnie przelanej), musimy usuwać przedewszystkiem mylne pojęcie, jakoby wszystko, co w Europie jest cywilizacją, stanowiło jedną i tę samą cywilizację.

Wiedziano zawsze, że cywilizacyj jest więcej; mówiło się o cywilizacji np. japońskiej, chińskiej, europejskiej — nie rozróżniając należycie powinowactw cywilizacyjnych, nie umiejąc dzielić tych zjawisk należycie w grupy, nie zdając sobie sprawy ze stosunku części do całości, grupując je mechanicznie według geografji. Nie spostrzegano, że cywilizacja nie jest ograniczona terenem, że na jednem i tem samem miejscu mogą być dwie i więcej. Nie zastanawiano się nad filjacjami cywilizacyjnemi, a skutkiem tego nie umiano określić właściwie, na czem polega ta lub owa cywilizacja. Gdy zaś miano na myśli Europę, uważano to za coś rozumiejącego się samo przez się, jako w Europie istnieje jedna tylko cywilizacja, traktowana geograficznie: europejska.

Tak nie jest. Niema zgoła żadnej cywilizacji europejskiej, lecz bywają w Europie cywilizacje rozmaite. Skutkiem tego Europejczyk każdy musi... wybierać. Musi wybierać tem bardziej statysta. Ma obecnie do wyboru dwie cywilizacje chrześcijańskie: łacińską i bizantyńską, tudzież dwie niechrześcijańskie: turańską i żydowską. Skoro tylko zdamy sobie sprawę z istnienia koło nas rozmai-

tych cywilizacyj tak różnych, wystarczy chwila zastanowienia, by zrozumieć, że nie można ich mieszać.

Żaden krok naszego życia nie może być cywilizowanym na dwa sposoby! A cóż dopiero pochód dziejowy!

Od św. Augustyna cel pochodu dziejowego mamy określony w haśle de Civitate Dei; ale cel taki idealny, ku któremu zbliżać się tylko można, lecz nigdy go osięgnąć, wymaga nieustannej pracy pokoleń w warunkach zmieniających się, a skutkiem tego wymagających rozmaitych metod organizacji tej pracy. Piętrami wznoszą się owe organizacje jedna nad drugą chronologicznie, a każda ma swoje własne pojęcie Dobra, powszechnego w chrześcijaństwie. Od piętra do piętra jest tak daleko — odległości liczą się tu na pokolenia, iż osiągnięcie środka ku Civitas Dei staje się samo celem niebliskim. Jakkolwiek tedy, biorąc rzeczy ściśle, w chrześcijańskim pochodzie dziejowym chodzi nie o wytyczenie celu, lecz o niewiadome środki do wiadomego celu (jak to określono w rozdziale IX), jednakże dla ułatwienia sobie rozumowania nazywamy celem spełnienie każdorazowego pojęcia organizacji powszechnego Dobra społeczeństw chrześcijańskich.

Możnaby dzieje chrześcijaństwa europejskiego podzielić według uznawania tych celów, t. j. według następstwa pojęć Dobra powszechnego i związanej z niem organizacji.

Okres pierwszy, to mgławica bez organizacji, w której genjusz św. Augustyna wskazuje ideały tak abstrakcyjne i naturze człowieka niedostępne, iż skutkiem wyrzeczenia się całej kultury państwowej rzymskiej chrześcijaństwo, niezorganizowane należycie państwowo, nie wytrzymało nawały islamu.

Okres drugi, to idea cesarstwa Karola W. od r. 800 i sparaliżowanie jej przez napór bizantynizmu (cesarstwo rzymsko-niemieckie, Krzyżacy); przeciw czemu wychodzi z Polski opozycja zorganizowana, zdefinjowana przez Pawła z Brudzewa z początkiem XV wieku.

Okres trzeci od r. 1416, od wiekopomnego ogłoszenia tez krakowskiego rektora, do rewolucji francuskiej i rozbiorów Polski. Wyłoniona z idei Brudzewskiego „idea Jagiellońska“ nie rozszerzyła się ku zachodowi, ścieśniona przez legizm, który wypaczywszy się w absolutyzm i józefinizm przyczynił się do ponownego panowania bizantynizmu, doprowadził do rewolucji i zwrócił się przeciwko istnieniu Polski.

Okres czwarty, pośredni, przejściowy, obejmuje czasy porozbiorowe, czasy ciągłych wstrząśnień w Europie, wywołanych skutkiem braku państwa polskiego. Triumf bizantynizmu, triumf państw dynastycznych, doprowadzony aż do absurdu sojuszu carskiej Rosji z republiką francuską, poczem musiało zanieść się na przesilenie. Wojna powszechna stanowi walne starcie się cywilizacji bizantyńskiej z łacińską; o zwycięstwie łacińskiej stanowi wznowienie państwa polskiego, lecz o problematyczności tego zwycięstwa — dążność, żeby państwo to było słabem politycznie.

W okresie przejściowym do dwóch ścierających się z sobą cywilizacyj dołącza się trzecia, w walkach politycznych bezpośrednio dotychczas w Europie nie występująca: żydowska. Wyzyskawszy okoliczności, od hasła o równouprawnienie wyznań aż do odrodzenia turańszczyzny w Rosji, staje się języczkiem u wagi w wielkich sporach europejskich. Zmienia stanowisko polityczne, lecz zawsze staje przeciwko Polsce.

Skutkiem rozstroju cywilizacyjnego okres przejściowy nie wydał żadnego nowego pojęcia Dobra powszechnego w chrześcijaństwie. Trwać będzie aż do rozstrzygnięcia walki cywilizacyj, aż do nawrotu do jednolitości cywilizacyjnej, lub do zdecydowania upadku i rozkładu cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej.

Okres piąty może tedy być albo okresem rozkładu naszej cywilizacji pod wpływem hegemonji judaizmu, albo odrodzeniem ponownem bizantynizmu, jeżeli judaizm rzuci swe walory na jego szale — albo też w razie po-

konania judaizmu (bez którego pomocy bizantynizm nie zdoła się odrodzić) nowy rozkwit cywilizacji łacińskiej, nowa metoda organizacji społeczno-politycznej chrześcijaństwa, nowe pojęcie powszechnego Dobra chrześcijańskiej rodziny ludów.

Pojęcie nowe ogólnej organizacji społeczno-państwowej musi powstać. Nie możemy wracać do cesarstwa Karola W., ani też propagować feudalizmu, ni legizmu; również nie możemy głosić hasła unji z ościennymi, żeby dążyć np. do wspólnego zwierzchnika państwa (króla czy prezydenta, to już drugorzędna sprawa) na Polskę, Czechy, Węgry, Rumunję i t. d., i do wspólnego tych wszystkich państw sejmu walnego, lecz z osobnemi rządami, wojskami, skarbami. Możemy myśleć tylko o organizacji nowej, zastosowanej do dzisiejszych stosunków, o spółdzielczości państw mających stanowić Stany Zjednoczone Europy.

Na tem tle ma sobie Polska oznaczyć cel swój. Czyż tylko Polska? Na tem tle mają działać i rozwijać się wszystkie narody naszej cywilizacji, a pośród nich i Polska. Nie można atoli przewidzieć, czy wszystkie narody zechcą przyswoić sobie cele wynikające z obrony cywilizacji łacińskiej przeciwko innym, na nią nacierającym.

Niektóre narody osiągnęłyby bowiem znaczniejsze korzyści bezpośrednie, gdyby stanęły przy systemacie bizantyńskim, np. Niemcy i Czechy. Niemcy w razie utrzymania Prus, skupiając się na nowo około kultury niemiecko-bizantyńskiej, mogą planować odwet na Francji i Polsce i odzyskanie swej militarnej hegemonji nad Europą, w czem liczyć mogą nie tylko na pewno na gorące poparcie Żydów całego świata, ale też na przyszłą powszechną koalicję przeciw Anglji (o którą sami będą się starali w interesie Niemiec), i nadto na niejakie prawdopodobieństwo, że gdy Niemcy nieco się wzmogą, a Polska będzie przez koalicję pozostawioną własnemu przemysłowi i losowi, natenczas będzie zmuszoną wejść w jakieś z Niemcami kompromisowe porozumienie. Nadzieje

prusactwa wcale nie są tedy pozbawione podstawy. Kultura niemiecko-bizantyńska, idea Hohenzollernów może jeszcze doskonale odżyć.

Czesi całą historję narodową odbyli w Rzeszy Niemieckiej, a poróżniwszy się z Polską w sposób urągający wszelkiej nie tylko uczciwości ale choćby tylko przyzwoitości, wykopawszy pomiędzy sobą a Polską istną przepaść, sprzęgli się na pokolenia całe z obozem antypolskim w Europie, wobec czego dobre stosunki z Niemcami posiadają dla nich wartość nadzwyczajną; to też według wszelkiego prawdopodobieństwa historja ich potoczy się na nowo w tym kierunku, że będą zmierzali do zajęcia jak najwybitniejszego stanowiska w Rzeszy jako część niemieckiego systematu politycznego, w zgodzie z prusactwem przeciwko Polsce. Przeć ich będą do tego obozu Żydzi, posiadający tam wpływy stanowcze (choć ukryte zręcznie) za pośrednictwem organizacji kosmopolitycznej t. zw. Wolnej Myśli, która trzęsie Czechami. Temu faktowi, że Czesi należą do obozu antychrześcijańskiego, zawdzięczają swe sukcesy wobec tej samej koalicji, która zachowała się wobec Polski, jakby miała z Niemcami przymierze przeciwko nam. Czesi są ulubieńcami kosmopolitycznej organizacji antychrześcijańskiej, popieranymi z całych sił przez międzynarodowe żydostwo. Straciliby wiele korzyści bezpośrednich, gdyby chcieli stawać w obronie cywilizacji łacińskiej przeciw niemieckiemu bizantynizmowi lub przeciw judaizmowi; zachodzi tedy większe prawdopodobieństwo, że raczej zawrą sojusz przeciw cywilizacji łacińskiej zwrócony. Inna rzecz, że w razie zwycięstwa obozu chrześcijańskiego, państwo ich skazanem będzie w takim razie na ruinę, na rozpadnięcie się; a gdy będą szukali bezskutecznie ochrony w Polsce, nastać mogą a raczej muszą dla nich czasy jak najsmutniejsze. Nie będą mogli wołać na nas, byśmy wystąpili w ich obronie, żeby nie wzmacniać germanizmu, boć oni wyjdą właśnie z pruskiego obozu, a osłabienie ich będzie w takim razie ciosem prusactwa.

Zgoła inaczej grupowałyby się te stosunki, gdyby Czesi zdołali byli utrzymać przyjaźń z Polską. Natenczas niemieliby w swem państwie polskich krain, a więc straciliby korzyść pewną bezpośrednią, ale zato mieliby przed sobą przyszłość wielką, bo zapewnioną ekspansję swą naturalną, t. j. ku Wiedniowi i dalej na południe. Za łup cieszyński wyrzekli się przyszłości politycznej, skazali się na rolę niemieckiego trabanta i złączyli znowu swe losy z losami Niemiec.

Tak więc Niemcy i Czesi mogą upatrywać interes swój nie w obronie cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej, lecz w jej osłabianiu. Trudno tu przechodzić prawdopodobieństwa wszystkich narodów, — chodziło tylko o przykład.

Ale Polska nie może żadną miarą nie należeć do obozu chrześcijańskiego łacińskiego, bo wszystkie jej interesy łączą się z nim dziś tak samo jak niegdyś, i tylko w położeniu jakiemś przymusowem mogłaby wejść w porozumienie z obozem przeciwnym; porozumienie nawet byłoby dla niej szkodliwem, gdyby wymagało zerwania z Zachodem. Jak w wiekach średnich, podobnież obecnie przyszłość Polski w pokonaniu „całej nacji niemieckiej", t. j. bizantynizmu niemieckiego; tylko pod tym warunkiem może Polska rozwijać się, inaczej popaść musiałaby w zastój.

Państwa występują i działają — świadomie czy nieświadomie — jako narzędzia cywilizacyj. Powtarzam, że państwo jest wobec cywilizacji nie większą łupinką orzecha jak statek wobec oceanu.

Przejdźmy na rozleglejsze flukta i przyjrzyjmy się horoskopom cywilizacyj, bo dopiero w ich łonie toczy się historja państwowa narodów.

Rozterka cywilizacyjna nęka dziś całą Europę. Chrześcijańsko-klasyczna cywilizacja miesza się wszędzie jużto z bizantyńską, jużto z żydowską, często z jedną i drugą; żadna ze wszystkich trzech nie występuje nigdzie z bezwzględną jednolitością.

Zdawało się, że zwycięstwo zachodniej koalicji zadecyduje zarazem o końcu cywilizacji bizantyńskiej, ale tak nie jest. Resztki kultury turecko-bizantyńskiej nie stanowiłyby poważnego czynnika, ale serbski bizantynizm, przedtem bezwładny i zamierający, podnosi się z upadku. Podczas gdy od kilkunastu lat przed wojną wzmagał się w Serbji prąd zachodni i oddziaływały tam coraz mocniej wpływy kulturalne chorwackie, teraz wraz z hegemonją polityczną, podnosi głowę serbskie podłoże kulturalne: bizantynizm. Należało to zawsze do cech tej cywilizacji, że falowanie jej trzymało się niewolniczo falowania politycznego. Obecnie występuje ona zaczepnie przeciw łacińskiej (chorwackiej); w Jugosławji zaczęło się rozgrywać na nowo współzawodnictwo stare Rzymu a Bizancjum. Na nic wszelkie ideały jedności narodowej, na nic jedność państwowa; wobec cywilizacji tamte kategorje są bezsilne; zachodzi siła wyższa, która zmusi do walki osłupiałych ze zdziwienia Chorwatów i Serbów, jak mogła powstać walka, której nikt nie pragnął. Ale walka cywilizacyj jest nieunikniona.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa podniesie się też w Grecji stan cywilizacji bizantyńskiej; nie jest wykluczone powstanie nowego świetnego jej ogniska. Bułgarja, która wyzuła się już zupełnie z bizantynizmu, lecz nie zdołała jeszcze przyswoić sobie cywilizacji zachodnio-europejskiej, może obecnie łatwo ulec odrodzeniu bizantyńskiemu. W Rumunji bizantynizm panował niepodzielnie, bo tylko zewnętrzne pozory były zachodnio-europejskie. Ma więc bizantynizm szanse na całym Bałkanie odrodzić się świetnie, i nadto szanse pewnej ekspansji, czego przed wojną nie było.

Zachodzą przeto wątpliwości, czy bizantynizm na wojnie stracił, czy zyskał. O ile możnaby stawiać horoskop, moment decydujący znajduje się poza Bałkanem. W samej Rumunji, zbliżonej obecnie tak wielce do Europy zachodniej, stanie zachodnia cywilizacja do intensywniejszego współzawodnictwa, a w razie nawiązania

stosunków kulturalnych z Polską, może nabrać znacznych sił do skutecznego podjęcia walki cywilizacyjnej. Obóz zachodnio-europejski w Jugosławji wejdzie w stosunki z takimże obozem w Rumunji, a jeżeli prąd ten zachodni zorganizuje się dobrze, działalność jego może się udzielić Bułgarji. Nie ulega wątpliwości, że w Rumunji za zachodniemi prądami oświadczy się wszystko, co wyższe intelektem, co posiada władzę i odznacza się talentem; cała literatura i nauka rumuńska stanie w tym obozie, poczne tedy działać nusarchja. Jeżeli nie zajdą jakie wydarzenia polityczne na korzyść bizantynizmu, możliwem jest, że jednak w Rumunji zwycięży po dłuższej walce cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna. Gdyby to nastąpiło, nie mogłoby to nie oddziaływać na Bałkan.

Możliwe jest odrodzenie bizantynizmu w Rosji, która znajduje się w tem nieszczęsnem położeniu, że w razie pokonania u siebie odradzającej się cywilizacji turańskiej, w razie nawrotu do europejskości, będzie znowu pomiędzy łacińśtwem a bizantynizmem. Zadecydują wpływy wołoskie, które już raz, pod koniec wieku XV, zaważyły potężnie na dziejach Rosji.[1]) Gdyby w Rumunji zwyciężył zachodni kierunek, bizantynizm rosyjski musiałby pozostać wątłą roślinką, ale otwarłyby się dla niego nowe wieki rozkwitu, gdyby otworzyć się mogły r ó w n o c z e ś n i e w Rumunji i w Rosji.

Moment decydujący tych spraw znajduje się jednak jeszcze dalej od Bałkanu, mianowicie w Niemczech. Ponieważ w pokoju wersalskim poprzestano na pokonaniu Niemiec, ale państwo pruskie nie tylko pozostawiono nietknięte, lecz zostały mu warunki ponownego rozwoju, i nie brak danych, że utrzyma się nadal pruska hegemonja militarna pośród Rzeszy Niemieckiej — nie tylko się tedy nic nie zmienia w cywilizacyjnej dwoistości Niemiec, ale zachodzi znaczne prawdopodobieństwo, że cywilizacja

[1]) Sprawa ta będzie przedstawiona szczegółowo w tomie II „Dziejów Rosji".

bizantyńska będzie tam górą nad łacińską jeszcze bardziej, niż poprzednio. W takim razie bizantynizm kultury bizantyńsko-niemieckiej może promieniować poprzez Czechy i Węgry ku Rumunji, skąd wszedłby w łączność z bizantynizmem bałkańskim.

Tak dzięki błędowi pokoju wersalskiego marzenie niemieckie o drodze otwartej poprzez Bałkan może się jeszcze ziścić, i to drogą pokojową. Wszystko zależeć będzie od tego, jaki nastanie w najbliższej przyszłości w Niemczech stosunek cywilizacji łacińskiej do bizantyńskiej; w Londynie i w Paryżu robiło i robi się wiele, żeby stosunek ten wypadł jak najbardziej na niekorzyść cywilizacji zachodnio-europejskiej.

Z obu tych cywilizacyj w Europie żadna nie jest dostatecznie jednolitą, ażeby mogła w stanie obecnym utrwalić się. Od Niemiec po Grecję wszędzie znajdziemy pierwiastki łacińskie, a także żydowskie (gdzież tych niema?). Walka cywilizacyj odbywać się musi albo do całkowitego oczyszczenia się z naleciałości obcych i do stanowczego zwycięstwa pewnej cywilizacji jednolitej, albo też do wyrobienia się jakiejś nowej kultury, t. j. nowej odmiany jednej z walczących cywilizacyj. Takiemi kulturami są właśnie bizantyńsko-turecka i bizantyńsko-niemiecka. Jaka mieszanina powstałaby od Berlina do Aten w razie, gdyby łacińska cywilizacja musiała ustąpić miejsca bizantyńskiej, przewidzieć tem trudniej, że w mieszaninę weszłaby cywilizacja żydowska, która bizantyńskiej dopomagać będzie do zwycięstwa nad łacińską; im zaś skuteczniej dopomoże, tem silniej swoje na niej także położy piętno.

Polska, Skandynawja i kraje zachodnie są wprawdzie obecnie całkiem wolne od jakiegokolwiek nalotu cywilizacji bizantyńskiej, ale łacińska nie jest w nich pomimo to należycie jednolitą, gdyż wszędzie stwierdzić można domieszki żydowskiej, podmywającej coraz widoczniej życie publiczne. Agitacja przeciw pojęciu Ojczyzny, przeciwko patrjotyzmowi, istnieje nie tylko we Francji,

ale nawet w Anglji; ataki na bezwzględność własności nieruchomej są wszędzie tak pospolite, iż nie zwracają już uwagi; propaganda antychrześcijańska odbywa się wszędzie jawnie, częstokroć nawet z poparciem władz, znajdujących się niezawsze w ręku chrześcijańskiem.

O ile możebną jest mieszanina jakaś bizantyńsko-judaistyczna, o tyle niesposób sobie wyobrazić mieszaninę kulturalną żydowsko-łacińską. W cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej zachodzi kategoryczne a u t - a u t: albo domieszki żydowskie zostaną z naszego stanu cywilizacyjnego wyrugowane, albo sywilizacja nasza upadnie sromotnie. Tu kompromis niemożliwy; to też na obszarach łacińskich walka ta przybrała już z całą stanowczością cechy wybitne walki z chrześcijaństwem.

Pierwiastków antychrześcijańskich nie brak ani w religijnej Anglji, cóż dopiero we Włoszech, we Francji lub w Polsce! Z kim te żywioły łączą się wszędzie, przez kogo bywają popierane, kto stoi z reguły na czele akcji antychrześcijańskiej? Wszystko, co zwrócone przeciwko chrześcijaństwu, pozostaje w zażyłej przyjaźni z żydostwem. Gdzie toczy się walka przeciw wszelkiej religji pozytywnej, zawsze jeden robi się wyjątek; nigdzie nie występuje się przeciw religji żydowskiej. Potężne są wpływy żydowskie dlatego, bo udzielają się przez pośrednictwo wszelkich a wszelkich organizacyj, wrogich chrześcijaństwu.

Błędnem byłoby atoli mniemanie, jakoby chociaż judaizm utrzymał się był przy jednolitości cywilizacyjnej. I w jego łonie grasuje w najlepsze rozterka cywilizacyjna. Zawdzięcza ją judaizm szczególnym splotem okoliczności dziejowych w największej mierze temu właśnie krajowi, który ma mu posłużyć za pomost do chwały, do potęgi, do hegemonji nie tylko ekonomicznej, lecz niemniej także politycznej: Polsce. Judaizm nowoczesny wyrósł na Polsce i psuje się na Polsce.

Dzięki nadzwyczajnej liczebności zdołali Żydzi w Polsce zachować ortodoksję talmudyczną i organizację

społeczno-wyznaniową. Żyd w Anglji urodzony przejmował się tak dalece angielszczyzną, iż ledwie mu z żydostwa zostawała... bezwyznaniowość; ale w Polsce do wyjątków należy Żyd biegły w języku polskim, a talmud miał i ma pośród nas najcenniejsze swe ogniska. Jeżeli tedy Żyd angielski niezupełnie pozostaje w zgodzie ze ścisłym judaizmem, zachodzi wykolejenie jednostki, nie mającej sposobności oddziaływać kulturalnie na ogół żydowski, gdy tymczasem w Polsce rozstrzygały się losy cywilizacji żydowskiej. A właśnie w Polsce niesposób było uniknąć wypaczania judaizmu.

Dochodząc od długiego czasu do coraz liczniejszych majętności nieruchomych, nabywali je pośród nas na prawie własności bezwzględnej, przy którem też potem z reguły obstawali nawet wobec swych współwyznawców, bo pokusa była zbyt silna. Żyd angielski nie miał sposobności spotkać się z judaistycznem pojęciem własności, bo talmudu nie znał zgoła; ale w Polsce, wśród zwartego osadnictwa żydowskiego, wśród ortodoksji talmudycznej, robił się wyłom w żydowskiem pojęciu własności względnej, ograniczonej pewnemi warunkami, zastrzeżeniami i nawet czasem (rok „jubileuszowy"). Polskie pojęcie własności (czysto zachodnio-europejskie) przyjmowało się pośród Żydów, przechodząc nawet stopniowo na własność nie od „gojów" nabytą, tak dalece, iż żydowska inteligencja przyjęła prawo „gojów" co do własności za swoje. Stanowi to poważny wyłom w cywilizacji żydowskiej, ale sprawa pociągnęła za sobą dalsze jeszcze konsekwencje.

Pojęcie własności bezwzględnej musi wieść w konsekwencji do pojęcia własnego kraju. U Żydów angielskich byłby to wniosek czysto teoretyczny, mogący doprowadzić co najwyżej do syjonizmu palestyńskiego. W Polsce prowadził prosto do Judeopolonji z widokami stopniowego ograniczania polskości, a wzmagania żywiołu żydowskiego. Państwo bezziemne przyjmowało ideę pewnego obszaru ograniczonego, a wślad za tem wkra-

czać poczęło w cywilizację, zasadniczo beznarodową, jakieś mętne pojęcie narodowości. Nie jest ono zgodne z zachodnio-europejskiem pojęciem, gdyż jest nieodłącznem od religji żydowskiej, ale bądź co bądź wdarł się w cywilizację żydowską jakiś pierwiastek nieżydowski.

Pojęcia te stanowią na tle ich cywilizacji objawy niekonsekwencji; są to stanowczo „ciała obce" w ich organizmie cywilizacyjnym. Czy nastąpi przyswojenie ich organizmowi, czy też organizm je z siebie wydali, lub też nastąpi rozłam cywilizacji żydowskiej, któż zdoła przewidzieć!

Polska, która wybrana została na nową ojczyznę narodu wybranego, może się jednak stać dla nich ziemią fatalną, której właściwości mogą oddziałać w najwyższym stopniu destruktywnie na organizację społeczno-wyznaniową żydostwa i wywołać jego rozdwojenie.

Ponieważ niemożliwym jest aljaż żydowsko-łaciński, spodziewać należałoby się w danym razie powstania kultury bizantyńsko-żydowskiej, która zalałaby polskie niwy, o ilebyśmy się zawczasu nie spostrzegli, co nam grozi. Kultura taka jakimżeż byłaby sukursem dla bizantynizmu, odradzającego się od Niemiec do Grecji! Nie byłaby twórczą, bo nie syntezą byłaby, lecz tylko mechaniczną mieszaniną — a zatem... tem gorzej dla krajów przez nią zajętych.

Do wytworzenia się tej mieszaniny kulturalnej doszłoby jednak w takim tylko razie, gdyby talmudyzm zanikał, a samowiedza żydowska na ziemiach polskich wzrastała pomimo to. Nie jest to niemożebne. Wszakżeż litwacy z talmudem niewiele mają wspólnego, a jednak oni właśnie celują samowiedzą i oni najbardziej z całego żydostwa przejęli się tak pojęciem bezwzględnej własności, jako też pożądaniem własnego kraju. Dzięki nim, gdy zawiodła koncepcja Judeopolonji, zjawiła się J u d e o l i t h u a n j a, państwo pod firmą litewską, w którem Żydzi zawiadują sami armją, sprawami zagranicznemi, skarbem i sprawiedliwością i posiadają zdecydo-

wany wpływ we wszelkich urzędach. Tem się też tłumaczy jasno, czemu ową „Litwą“ opiekują się Żydzi wszystkich pięciu części świata, i czemu owa rzekoma „Litwa“ nie może pogodzić się z Polską.

Może więc być żydostwo nietalmudyczne. Tworzy ono pewną odmianę żydostwa, mieści w sobie zawiązki jakiejś osobnej kultury na tle cywilizacji żydowskiej. Ktokolwiek miał sposobność przyjrzeć się litwakom, przyzna, że horoskopy kultury bizantyńsko-żydowskiej oparte są na konkretnych danych (zwłaszcza wobec Judeolithuanji!). Dziś już w litwaku jest bizantynizmu przynajmniej tyleż, co w Rosjaninie. Nie przejmuje się zaś litwak, w przeciwieństwie do Rosjanina, wpływami turańskiemi, a tylko posługuje się turańszczyzną, robiąc to zupełnie na zimno. Rosjanin staje się bolszewikiem, gdy tymczasem Żyd posługuje się tylko bolszewizmem, udzielając go stanowczo tylko „gojom“; lecz nie dopuszczając go wcale w swoje specjalne żydowskie stosunki (to też państwo żydowsko-litewskie będzie i składem głównym bolszewizmu zarazem, a skutkiem zbolszewizowania społeczności litewskiej nastąpić musiałby rozkład i zanik narodowości litewskiej).

Rozterka cywilizacyjna wkracza tedy wprawdzie i do żydowskiej cywilizacji, lecz z tego może właśnie wyniknąć panowanie Izraela, gdy tymczasem my rozterki cywilizacyjnej na dłuższy czas nie wytrzymamy, a wraz z cywilizacją chrześcijańsko-klasyczną zginęłaby zarazem narodowość polska, podobnież jak każda narodowość łacińska. My nie możemy przygarnąć się do bizantynizmu, bośmy na to zbyt nacjonalistyczni; w bizantynizmie byłby nasz grób. Musielibyśmy wpierw przestać być samymi sobą, zanimby potomni mogli stać się bizantyńcami.

Prawidło, jako nie można być cywilizowanym na dwa sposoby, tyczy jednakże również Żydów. Cywilizacja żydowska jest tak ekskluzywną, iż bizantynizm żydowski nie mógłby się bratać z żydostwem ortodoksyj-

nem, ściśle talmudycznem, na stałe. Żydostwo właściwe odrzekłoby się po pewnym czasie tamtego, odbierając mu siłę, płynącą ze zwartości osadnictwa, t. j. dobrodziejstwa pewnej gęstości zaludnienia. Czysta cywilizacja żydowska powróciłaby do stanu apolitycznego, a kultura bizatyńsko-żydowska, pozostawiona samej sobie, znaczyłaby niewiele.

Zanimby jednak zeszła z piedestału, miałaby aż nazbyt dosyć sposobności przyczynić się do zwycięstwa bizantynizmu, kierowanego przez kulturę bizantyńsko-niemiecką i również aż nazbyt dosyć czasu do wprowadzenia kultury polskiej w stan rozkładu. Natenczas zaś losy cywilizacji łacińskiej, ograniczonej do obszarów na zachód od Niemiec i do Włoch tylko, rozstrzygnęłyby się równocześnie niemal z upadkiem kultury polskiej. Niema Europy łacińskiej bez Polski!

Do cech bizantynizmu należała zawsze bierność wobec akcyj antychrześcijańskich. Biernie znosiła Cerkiew prawosławna wschodnio-słowiańska napór mongolsko-tatarski, a bałkańska islamu, sama ani nawet nie marząc o propagandzie. I teraz jest tak samo, to też gdy mowa o walce o chrześcijaństwo, w obozie walczących widzimy tylko katolicyzm, z minimalnym udziałem protestantów. Bez popełnienia znaczniejszej omyłki, można przez obóz chrześcijański rozumieć sam katolicyzm.

Walka obozów chrześcijańskiego i antychrześcijańskiego zaostrza się do tego stopnia, iż nikt nie będzie mógł pozostać w niej neutralnym, albowiem tarcie przeciwieństw cywilizacyjnych przenika już wszystkie dziedziny życia. Musi nadejść dzień, w którym nie będzie już ślepych nieświadomych narzędzi jednej ze stron walczących, lecz wszyscy zdawać będą sobie sprawę ze stanu rzeczy, i każdy będzie ponosił pełną odpowiedzialność za każdy swój krok, nie tylko w życiu publicznem, ale niemniej w prywatnem, potocznem, bo każdy krok będzie służył na wzmocnienie tego lub tamtego obozu.

Walczy się o chrześcijaństwo. My, Polacy, walczymy o katolicyzm, o ten jedyny w chrześcijaństwie pozytywny Kościół, Kościół par excellence.

Czyż katolicyzm urządzi nam na nowo społeczeństwo i państwo? Czyż Kościół ma na tyle inicjatywy?

Religja stanowi w naszej cywilizacji tło postępków i drogowskaz; jak już powiedziano, nie ma zastępować twórczości ludzkiej, lecz ją pobudzać do tem większej działalności. Kościół udzielać ma tedy tylko ogólnych wskazań, i dopiero w jakiemś wyjątkowem położeniu rzeszy chrześcijańskich społeczeństw musiałby sam jąć się urządzania życia zbiorowego. Miejmyż otuchę, że nie dojdzie do tego, ażeby Kościół miał się stawać na nowo Matką Narodów! W razie potrzeby nie zabrakłoby mu pewnie do tego ni inicjatywy, ni siły moralnej! Wszyscy byliśmy świadkami, jak przez te lata wojenne najwyżej wzbiła się z całego świata jedna postać świetlana, postać bohatera i mędrca; uosobienie Ideału i cywilizacji; najwyższy przedstawiciel człowieczeństwa pośród zezwierzęcenia dziczy: kardynał Mercier. Kiedy on przemawiał po katolicku do prusactwa, ważąc życie za trzodę swoją, czyż nie był to głos prawy wszystkich ludzi, ceniących na świecie coś więcej ponad siłę materjalną? On był największym z Europy całej, on całą ją objął w głosie swoim.

My, Polacy, mamy w tradycji swego Logosu, żeby przeć Kościół do tego, iżby zajął się wprowadzeniem Ewangelji w życie publiczne. Filozofowie nasi i wieszcze narodowi wołali o „Kościół św. Jana". I my wołamy; wszyscy, duchowni i świeccy, zmierzamy do tego; któż byłby przeciw temu?! Ale czyż to polska wyłączność? Czyż kardynał Mercier nie jest najlepszym wyznawcą tego, co my zowiemy „Kościołem św. Jana"?

Nie wymyśliliśmy nowego ideału, nie wskazaliśmy nowego celu, boć to jest nowem słowem odziana myśl św. Augustyna de civitate Dei, od którego czasów, jak już stwierdziliśmy, nie trzeba celu wskazywać,

lecz środki do celu wiodące. Używając hasła „Kościoła św. Jana", nie możemy poprzestawać na ogólnikowem określeniu, że ma on wprowadzić etykę chrześcijańską do polityki, bo wywołujemy przez to tylko pytanie: a jakichże użyć środków, by chrześcijańska etyka wprowadzona była do polityki? Historja zna „święte przymierze", którego akt zaczyna się od wezwania Trójcy Przenajśw., którego uczestnicy powoływali się ciągle nie na co innego, jak właśnie na to, że należy politykę oprzeć na religji i że oni to robią, a byli to najgorsi zbirowie, jakich zna historja nowożytna (1815, car Aleksander I, Metternich, Fryderyk Wilhelm III). Znamienny przykład, jak rzeczywistość wymaga czegoś więcej ponad ogólnik.

Poprzestawanie na głoszeniu hasła Ewangelji w polityce jest w naszych czasach zbytecznem odkrywaniem prochu; żaden bowiem chrześcijanin nie wątpi już o prawdzie tego hasła. Nie trzeba już po tej wojnie nikogo chyba przekonywać o potrzebie uczciwości w życiu publicznem! Nie tracąc więc czasu na wskazywanie wiadomego wszystkim celu, niechajże każdy wyznawca „Kościoła św. Jana" poświęca w miarę możności czas i trud pytaniu:

Jak się zorganizować, ażeby wprowadzić etykę chrześcijańską do życia publicznego?

Jakiego rodzaju instytucje mają ułatwić to zadanie? Jaką ma być administracja, sądownictwo, nauczanie, obrona państwa, na czem oprzeć walkę o byt i stosunki warstw i t. p.?

Czas już spory, żebyśmy, odzyskawszy niepodległość, i mając popisać się nie czemś abstrakcyjnem, lecz konkretnem państwem, według którego udolności lub nieudolności osądzać nas będą, zaprzestali rzucać ogólnikami, a przystąpili do konkretnej pracy około nauk państwowych. Tam, w chrześcijańskim rozwoju nauk państwowych mieści się cały Kościół św. Jana!

Wynik wnioskowań.

Poprzedni rozdział mogliśmy zamknąć „wynikiem dociekań“, lecz gdy zapuściliśmy się w horoskopy, nie możemy odwoływać się już we wszystkiem do dociekań, bo jakież być mogą w krainie przyszłości? Opuściliśmy też bitą drogę indukcji, pomagaliśmy sobie w wycieczce w przyszłość metodą dedukcyjną, snuliśmy pomysły na domysłach, bo faktów przyszłych nie znamy; słowem, nie mamy już takiej pewności siebie, jak w jedenastu poprzednich rozdziałach. Trzeba uczciwie postawić kwestję, otwarcie: w horoskopach naszych opieraliśmy się tylko na wnioskowaniu, a przynajmniej przeważnie na wnioskowaniu. Niema w tem żadnego zgorszenia, boć nauka nieraz dokonywała odkryć przez wnioskowania, ale pewność zyskiwało się zawsze dopiero później, gdy zaszły fakty, zezwalające sprawdzić prawdziwość wnioskowań.

O ile znaczenie Polski dało się określić przez dociekania, o tyle cel można oznaczyć tylko z wnioskowań, jako rzecz tyczącą przyszłości. Ale cel musi być oparty na znaczeniu, a więc pozostawać w związku z tem, że to od nas zależy, czy cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna szerzyć się będzie na Wschód, a czy w środkowej Europie będzie miała zapewnione wyłączne panowanie; że w razie rozłamu cywilizacyjnego w Polsce zwiększy się niebezpieczeństwo pokonania cywilizacji łacińskiej przez inną. U nas upadek cywilizacji łacińskiej byłby jednak równoznacznym z upadkiem narodowości.

Sami na największe wystawieni niebezpieczeństwo w razie upadku cywilizacji łacińskiej, a nawet tylko osłabienia jej, winniśmy we własnym interesie czuwać nad nią najbardziej i dawać inicjatywę do obmyślenia środków zaradczych, by rozwój jej nie poniósł szwanku.

Cały wiek XIX, od wojen napoleońskich, chorował na sprawę polską; obecnie ma się przywrócić Europie zdrowie przez przywrócenie niepodległości Polsce, likwidując anormalności wieku XIX. Jeżeli ta likwidacja ma być dokładną, musi Polska wziąć w niej czynny udział.

Nie wystarcza oczywiście usuwać, co się przestarzało, ale trzeba budować nowe; to też Polsce przypadło wziąć udział wybitny w obmyślaniu nowego ustroju, nowej organizacji państwa i społeczeństwa.

Pracę taką podejmowaliśmy i wykonywali już raz, w czasach od końca XIV w. do połowy XVII; dla podjęcia przerwanej realizacji naszych ideałów trzeba dzisiaj nowych środków, nowych idei politycznych. Staliśmy się mocarstwem w Europie dzięki propagowaniu nowych w swoim czasie haseł; uczmy się na przykładzie własnej historji narodowej, że obecnie również potęga cała nasza w tem, by umieć ją wykrzesać z nowych idei na tle europejskiem. Jakość naszego współpracownictwa nad budowaniem nowej Europy rozstrzygnie o naszem w niej stanowisku.

Jakość polskiego Logosu zdecyduje o polskiej potędze. Jedynym przeto niezawodnym środkiem do wielkości Polski może być kontynuowanie swoistej kultury polskiej.

Czyżby celem Polski mogło być co innego, jak dążenie do zbliżenia się w nowym okresie dziejów ku Civitas Dei, do urzeczywistniania chrześcijaństwa, doskonaląc ustrój państwowy, by przystosować go do coraz wyższych potrzeb społeczeństwa? Aleć to jest oczywistym celem wszystkich narodów naszej cywilizacji, a osięgać się musi wspólnemi siłami; bo też i jakżeż możnaby osięgnąć to siłami jednego?

Nam chodzi o cel specyficznie polski, a nie o cel ogólno-europejski, w którym Polska ma uczestniczyć. Gdybyśmy sobie obrali cel niezgodny z istotą cywilizacji zachodnio-europejskiej, doznalibyśmy rychło wykolejenia i jego skutków; uważajmyż za rzecz, która się rozumie sama przez się, że pochód nasz będzie się odbywał w kierunku ogólno-europejskim. Cele ogólno-europejskie są jednak tak rozległe, iż trzeba dążyć do nich ze wszech stron i wielu drogami. Jednego narodu nie stać na wy-

czerpanie tej wszechstronności; każdy może jednak mieć w niej udział swój własny, oparty na swoistej twórczości. Tak my uczestniczyliśmy już w wytyczaniu linji Dobra powszechnego chrześcijaństwa — i wytyczaliśmy ją odmiennie od społeczeństw Zachodu, a zupełnie dobrze. Przy bezwarunkowej tedy zgodności celów z zachodnią Europą, możemy mieć ku temu środki od niej inne; a nawet wartość nasza polegać będzie właśnie na tem, żebyśmy mieli środki odmienne, swoje własne. W nich nasz dorobek cywilizacyjny, rodzimy, swoisty.

Przez odzyskanie niepodległości nie zmieni się to, że w stosunkach międzynarodowych natrafiać będziemy na kwestję siły a prawa. Niema innego sposobu, jak mieć po swej stronie oboje. Siła płynie ze stosowania się do określonego już „najwyższego regulatora". Rodzime złoża siły naszej są na polskim zachodzie: baczmyż, by nie dać się zmylić linji najsłabszego oporu!

Bądźmy silni od zachodu, a Wschód będzie nam przydany i sam do nas będzie się garnąć. Wschód dla nas nie zginie, jeżeli nas będzie stać na to, czego on potrzebuje, t. j. żeby umieć nim rządzić, do czego znów trzeba przedewszystkiem rozporządzać odpowiedniemi siłami kulturalnemi, zwłaszcza czynnikami kultury umysłowej. Tej zaś warunki skądże czerpać, jeżeli nie z Zachodu? Tam k o r z e n i e naszej mocy, a r o z g a ł ę z i e n i e nastąpi samo przez się, jeżeli korzenie będą należycie osadzone, zagłębione.

Niech mi będzie wolno użyć tu raz jeszcze porównania z dźwignią dwuramienną o ramionach nierównych. Zdaniem mojem polskie sprawy zachodnie stanowią ramię krótsze dźwigni, a wschodnie są na dłuższym. Mały nawet ruch ramienia krótszego wywołuje znaczniejsze obroty na końcu dłuższego. W tym wypadku mamy do czynienia z dźwignią o ramionach bardzo a bardzo nierównych! Wszelki, choćby najmniejszy wkład na Zachodzie zwróci się Polsce z lichwą na Wschodzie, lecz odwrotnie niekoniecznie.

Cel musi być zgodny z geografją polityczną, a z niej wynika dla nas wiele korzyści, wbrew nawet wadom naszym; ale warunek: silnik ustawić tam, gdzie naturalne złoża wszystkich tych sił, które składają się na silną kulturę umysłową.

Celem polityki polskiej winno być wytworzenie na Zachodzie warunków potrzebnych do wzrostu sił narodowych.

Celem Polski winno być dążenie do tego, by w Europie środkowej zapanowała wyłącznie cywilizacja łacińska. Od tego zawisła nawet przyszłość nasza na Wschodzie. Złudzeniem jest szerzenie cywilizacji zachodniej na Wschodzie, jeżeli ona nie będzie panowała wyłącznie na Zachodzie.

Wołajmy więc na całą Europę: nie można być cywilizowanym na dwa sposoby!

Jeżeli powiedzie się nam przekonać o tem opinję publiczną zachodniej Europy, pozyszczemy zasługę europejskiej miary, niemniejszą od dawnych, od bitwy lignickiej do odsieczy wiedeńskiej: ocalimy jeszcze raz cywilizację zachodnio-europejską.

W tym kierunku wielkość polskiego Logosu i potęga Ethosu naszego, żeby zachodniej Europie otwierać oczy na grożące niebezpieczeństwo; przestrzec te czynniki, które przez nieznajomość spraw stają się nieświadomemi narzędziami walki podjętej przeciw zachodniej cywilizacji i chrześcijaństwu; dopomóc do utworzenia pozytywnego programu chrześcijańskiego państwa i społeczeństwa na nowy okres dziejów. W miarę spełniania tego celu będziemy się stawali ośrodkiem nowego porządku w Europie. Jeżeli się nam powiedzie zapewnić wyłączność cywilizacji łacińskiej w Europie środkowej, ideje polskie zdobędą sobie nie tylko ku Wschodowi pole ekspansji kulturalnej, lecz oprą się na opoce Zachodu; a wtenczas Ethos polskie dokona nowej ewolucji ku Civitas Dei pośród społeczeństw chrześcijańskich.

Patrjotyzm polski złączony jest z rozpatrywaniem zdarzeń historycznych i stosunków ludzkich wogóle sub specie aeternitatis, związany z odnoszeniem spraw życia zbiorowego i biegu historji do porządku nadprzyrodzonego, spojony z ogarniającem „ludzkości całe ogromy“ odczuciem religijnem zawikłań historycznych, a to przez polskie określenie postępowego rozwoju, ażeby w życiu publicznem obowiązywała ta sama moralność, co w prywatnem, ażeby i polityka chrześcijańską była. Czołem i koroną tego idealnego porządku była zawsze sprawa polska. Pracując około polskości działamy zarazem najlepiej dla powszechności ludów, dla dobra religji, dla podniesienia całego poziomu myśli i ducha. Bez niepodległości Polski nie było i być nie mogło urzeczywistnienia chrześcijaństwa; bez utrwalenia jej niepodległości i obwarowania w sposób należyty urzeczywistnienie to pozostanie problematycznem.

My sami musimy obwarować swą niepodległość, starając się o siłę dla swych praw. Źródła siły w „najwyższym regulatorze“, według którego robi się historja, bo w nim określone siły dziejowe. Stosunek człowieka do nich może być bierny i czynny. Przy bierności robi się historja ponad człowiekiem, przy czynności można dojść do władztwa nad siłami temi tak dalece, iż robi się historję. Formuła „regulatora“ na obydwa wypadki jedna i ta sama; chodzi tylko o stanowisko człowieka wobec niej.

Baczmyż, czy wśród katuszy porozbiorowych nie zatraciliśmy świadomości, jak się robi historję. Wielu Polakom zdaje się, że do tego starczy zapał, jedna i druga chwila triumfu i poświęcenia, skoncentrowane na pewien moment dziejowy. Zdaje się nam, że historja miewa takie chwile słabości, w których można ją robić, i byle wyzyskać „sposobność“, już wszystko! Ale rzeczywistość jest inna. Historję robi się zawsze, a całemi pokoleniami, z dnia na dzień, bez jednego dnia przer-

wy; a kiedy się jest przygotowanym do czynu, wtedy samemu wywołuje się „sposobność“, o co nigdy nietrudno, bo chcący, a mogący zawsze ją znajdzie.

Określając jako cel Polski dążenie do tego, by w Europie środkowej zapanowała wyłącznie cywilizacja łacińska, nie mam na myśli jakiegoś apriorycznego przeznaczenia. Przypominam, co w rozdziale wstępnym mówiłem o tem, jak naród sam sobie cel oznacza (a może zgoła celu nie mieć). Redukuje się przeto rzecz do tego, że na podstawie najlepszego swego przekonania naukowego, wyniesionego ze studjów historycznych, sądzę, że obranie tego celu jest jedynym sposobem, żeby historja nie robiła się około Polski bez względu na jej interesy, żeby Polska nie stała się pozycją bierną w grze sił dziejowych, lecz żeby Polak sam robił historję, żeby z charakteru polskiego wykrzesać walory polityczne.

Nie taję się z tem, jako marzeniem mojem jest, ażeby ta książka była przydatną interesom polskim; byłoby to dla mnie szczytem szczęścia, gdybym to mógł wiedzieć i widzieć. Ale nie pisałem książki tendencyjnej; powiem szczerze, żem wyników jej nie przewidywał, a tylko doszedłem do nich pracą i podałem je takiemi, do jakich doszedłem.

Wierzę mocno w absolut Prawdy. Oparłem też nadzieję pożytku na dochodzeniu prawdy, a zbierałem prawdę indukcyjnie w każdym dziale zosobna, w rozmaitych czasach i stadjach swych badań, pracując może nie bez mozołu, li tylko przez bezinteresowną naukową ciekawość. Zanim zebrało się rezultatów na tyle, iż można było pomyśleć o książce, działał długo przedtem sam tylko interes naukowy, bez względu na to, że nie można było mieć rękojmi, czy się wogóle dojdzie do jakich rezultatów konkretnych. Nie jest więc dziełko niniejsze tendencyjnem, bo treść jego nie była daną przez autora apriorycz-

nie, lecz wyrabiała się stopniowo (a długiemi latami), aposterjorycznie w miarę postępu badań.

Dociekania i wnioskowania były może zbyt długie, może nieraz nużące szczegółami, a starania autora o przejrzystość za mało skuteczne, ale trzeba było raz nareszcie przerąbać się metodycznie przez różnolity materjał, ażeby sprawę ująć naukowo.

Koniec.

Treść tomu drugiego:

CZĘŚĆ III. **POWSZECHNOŚĆ SPRAWY POLSKIEJ.**

Rozdział VIII. **Dążenia do syntezy Zachodu a Wschodu** 1

Czy możebna cywilizacja ogólna? — Hellenowie a Persowie — Aleksander Wielki — Hellenistyczność i jej bezpłodność cywilizacyjna — Hellas a Rzym — Cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna — Walka Zachodu ze Wschodem w imperjum rzymskiem — Bizancjum i bizantynizm.

Rzym, Bagdad, Pekin, a pomiędzy niemi Bizancjum i Karakorum — Islam a bizantynizm — Kultura kordowska.

Chrześcijaństwo azjatyckie — Cywilizacja turańska — Mongołowie.

Bizantynizm w Europie zachodniej — Cesarstwo i bizantynizm niemiecki — Uniwersalność bizantyńska, a brak pojęcia narodowości na Bałkanie, słabe zaś i spóźnione poczucie narodowe w Niemczech.

Unja florencka — Bogomilstwo — Uczoność żydowska z Solunia — Bałkan antykulturalny — Fanar a kalifat — Kultura bizantyńsko-turecka — Turcja dziczą w obrębie islamu — Stosunek cywilizacji arabskiej do turańskiej.

Szlachta bałkańska a kmetowie — Muzułmanie chorwaccy — Kultura europejska bez chrześcijaństwa?

Dążenia do unji polsko-litewsko-moskiewskiej — Unja brzeska — Kalif w obronie prawosławia — Orjentalizacja Polski — Marzenia polsko-moskiewskie Czartoryskich — O przyczyny a przyczynę upadku Polski — Chronologja polskich dążeń do syntezy — Po każdej próbie syntezy uszczupla się obszar cywilizacyjny Zachodu na rzecz Wschodu.

Słowiańszczyzna wschodnia, a pierwotna wyłączność wpływów turańskich — Więcej bizantynizmu jest w dziejach Niemiec, niż pierwotnej Rusi — U Ta-

tarów w szkole coraz gorszej — Lokalizm religijny Cerkwi — Organizacja społeczno-ekonomiczna w Moskiewszczyźnie — Państwowość, zakładniczestwo, gosudar — Wpływy bizantyńskie przez pośrednictwo Wołoszy — Bezpośrednie wpływy bizantyńskie od połowy XVI wieku — Bizantynizm pogrobowy z Fanaru — Rab i chołop — Filoteusz twerski i Iosip Sanin — Wpływy tatarskie XVI wieku — Społeczeństwo azjatyckie w Moskiewszczyźnie — Nieporozumienie co do unji — Pierwsza narodowość ruska — Ziarno gorczyczne łaciny — Od Piotra W. cztery kultury — Narodowość rosyjska — Rozterka cywilizacyj — Historja zaniedbań politycznych — Obalenie caratu, a błędne koło.

Łączenie Zachodu ze Wschodem wydaje zawsze potwora — Jak Rosja wywróciła się skutkiem niejednolitości cywilizacyjnej.

Japonja po reformach.

Najrozleglejsze zagadnienie dziejów polskich — Względna równoczesność stanu polityki a nauki, pojęć politycznych a filozoficznych — Logos przejawia się równocześnie w całej grupie zjawisk.

Rozdział IX. **Stosunek do Europy** 48

„Guano polityczne" a najwyższy regulator historji — Zrzeszenie przymusowe a dobrowolne.

1. Młodszość cywilizacyjna a chyżość historyczna.

Czy stopień cywilizacji zawisł od chronologji — Predestynacja historyczna? — Rozmaite stopnie i zmiany chyżości historycznej — Postęp nie jest kategorją chronologiczną — Pochód dziejowy nie bywa linją ciągłą — Chyżość a ilość wydarzeń — Sztuka przewidywania skutków — Przyśpieszanie i opóźnianie chyżości historycznej — O możności doganiania i przeganiania.

2. Teorja Pawła Brudzewskiego.

De civitate Dei — Szczyt ludzkiego Logosu — Pierwsze w chrześcijaństwie pojęcie dobra powszechnego: cesarstwo rzymskie — Dzieło św. Wojciecha — Idea narodowa — Brak feudalizmu — Drugie cesarstwo ekspansją bizantynizmu — Nieporozumienie historyczne — Dante.

Rozterka poglądów w Polsce — Miecz pod Grunwałdem środkiem pomocniczym — Boje lat 60 a rewolucja pojęć — Sympatje Europy po stronie Krzyżaków z wyjątkiem Włoch — Res nullius — Walka ekonomiczna z Zakonem.

Odsuwanie Kościoła od zasady imperjalistycznej — Sobór w Konstancji i odkrycia Brudzewskiego — Propaganda polska — Rewolucyjne warunki polskie — Teorja Grunwałdu.

3. Stosunek do zachodnich form państwowych.

Państwowość jako kryterjum cywilizacji — Opozycja uzupełniająca — Promieniowanie najstarsze — Polska nie była państwem stanowem — Nieznaczność legizmu — Ostroróg i Modrzewski — Daremne próby określenia państwa polskiego według kategoryj Zachodu.

4. Obrona kultury zachodniej.

Wszelkie podkopywanie siły naszej osłabianiem cywilizacji — Od bitwy lignickiej 1241 do ostatniego najazdu tatarskiego na Lwów — Polska nie podmawiała Turków przeciw chrześcijanom — 85 lat wojennych w XVII wieku.

5. Skutki rozbiorów.

Wojny koalicyjne i napoleońskie — Skutki ekonomiczne — Hegemonja rosyjska — Powszechny militaryzm.

6. Udział w walkach o wolność.

Legjony we Włoszech — Rok 1831, Polenlieder — Tło międzynarodowe roku 1831 — Udział w ruchach wolnościowych całej Europy — Uznanie szlachetności, szermierstwo idei narodowej, inicjatywa do federacji.

7. Stałość Logosu, zmienność Ethosu.

Rozdział X. **Polska wobec słabszych** 94

Zyski i straty innych, wynikające ze stosunków z Polską — Stosunek pomyślności własnej do dobra powszechnego — Stosunek między pomyślnością Polski a dobrem słabszych.

1. Polska a Czechy.

Wzajemne świadczenia w dawnych wiekach — Najazd Brzetysława; Otokar II; Wacławowie — Czeską rozbieżność kulturalna — Ruch narodowy XV-go wieku — Praktyka polityczna bez teorji — Imperjalistyczne stanowisko Husa — Brudzewski a Hus — Balbin pod wpływem Łęczyckiego — Opóźnienie odrodzenia narodowego skutkiem upadku Polski — Wpływy polskie do r. 1865 — Honorata z Wiśniowskich Zapova — Jak twórcy moskalofilstwa sami moskalofilami nie byli — Jak Czesi ocalili potęgę pruską w r. 1870 — Alfred Potocki, Dunajewski, Kaz. Badeni, Głąbiński — Kulturalna sytuacja Czechów; życie zbiorowe z pięciu kultur.

2. Ruś.

W jaki sposób dostawała się pod panowanie polskie — Krzyżacy na Rusi Białej — Opieka nad prawosławiem — Pierwsza narodowość ruska, kniaź Ostrogski — Kolonizacja rolnicza Ukrainy i unja brzeska — Wojny kozackie i koniec pierwszej narodowości ruskiej — Próba państwa ruskiego — Czemu się polszczono — Szkoła ukraińska — Wtóra narodowość ruska.

3. Inne narody słowiańskie.

Pieśń legjonów pośród Słowian — Łużyczanie — Słoweńcy — Chorwaci — Serbowie — Bułgarzy, wyprawy tureckie.

Logos i Ethos na wędrówce; o zaszczepianiu i przeszczepianiu cywilizacji.

4. Polska wobec Litwy.

Niepodległość i własna odpowiedzialność Litwy — Przewaga pierwiastku politycznego litewskiego nad polskim — Szlachta — Trzy źródła immigracji polskiej — Sprawy wewnętrzne a zewnętrzne — Jak litewska szlachta polonizowała się; o języku litewskim — Chronologja piśmienności polskiej a litewskiej — Czemu litewski język nie stał się urzędowym — Białoruszczyzna — Polonizacja w XIX w. jedyną ostoją litewszczyzny.

Uwagi o unji lubelskiej.

Dzisiejszy rozłam cywilizacyjny — Czy etnografja jest nieruchomością?

5. Podróżnicy polscy wobec ludów pierwotnych.

Dziedzina szczerości — Od Beniowskiego do Kubarego — Obowiązki względem słabszych a własna słabość.

CZĘŚĆ IV. **WYNIKI DOCIEKAŃ I WNIOSKOWAŃ.**

Rozdział XI. **Najwyższy regulator historji** 143

1. Jednolitość cywilizacyjna.

Wydoskonalenie polskości, jako obwarowanie niepodległości — Droga ku harmonji Logosu z Ethosem; posuwanie się ku syntezie rozważanych dotychczas czynników.

Stosunek części do całości trzecią kategorją bytu — Znaczenie nasze w Europie a niejasności naszego do niej stosunku — Ekspansja kultury polskiej — Jednolitość cywilizacyjna jako warunek rozwoju; organizacja i dezorganizacja — Wspaniałe Ethos Wielkopolski.

Słabość Ethosu naszej cywilizacji w porównaniu z bizantyńską i żydowską — Nadwerężenie stosunku pomiędzy Logosem a Ethosem w Europie — Początki rozłamu cywilizacyjnego — Etyka, jako źródło siły Ethosu, a rozmaitość etyki — Wahania pojęcia własności — Rzekomy nadmierny indywidualizm a dezorganizacja — Nieuchronność walk cywilizacyj.

2. Problem ludności a obszaru.

Przesadny kult liczby — Stosunek obywatelskości do liczby — Zaludnienie fizyczne a moralne — Gęstość zaludnienia — Kilkakrotne wyludnienie Polski — Warunek przewagi prowincyj zachodnich — Przeludnienie moralne i jego przyczyny — Lud polski nie najmował się do wojsk zaciężnych — O co łatwiej, o co zaś trudniej krajowi rozległemu — Kwestja ludności mieszanej; tolerancja narodowa — Ludność niepolska w państwie polskiem — Terytorjalność państwa a autonomja narodowa — Społeczeństwo o wielkich linjach rozwoju — Cztery „jeżeli".

3. Nusarchja.

Czyny woli zorganizowanej a niezorganizowanej — Logos działaniem krzepi się, Ethos wyczerpuje — Rząd pojęć i rząd uczuć — Rozum jako synteza rozsądku i wyobraźni — Obfitość pojęć przez naukę — Władztwo nauki w życiu zbiorowem — Tajemnica wpływów Kościoła — Trzy warunki rozwoju nauki — Błędy nauki — Bezinteresowność nauki, jej absolut i Logosu świętość — Konsekwencja, absurd i rewolucja — Metoda oceniania według wad, a według zalet — Wykolejenie nusarchji.

Teorja filozoficzna scholastyków krakowskich podczas wojny z „całą nacją niemiecką" — Brak programu ekonomicznego w XVII w. — Czy odrobimy zaległości naukowe? otucha na przykładzie z dziedziny sztuki (pejzaż polski) — Ilość w nusarchji.

Nusarchja poetyczna w Polsce — Dwa dobrodziejstwa wielkiej poezji — Zadanie uniwersytetów polskich.

Wynik dociekań.

Jak się robi historja? Formuła najwyższego regulatora historji — Znaczenie Polski.

Rozdział XII, dodatkowy. **Horoskopy nowego okresu** 212

1. Po pokoju wersalskim.

Nie na mapę patrzeć trzeba, lecz na globus — Wtóra wojna z „całą nacją niemiecką" — O patrzeniu z polskiego stanowiska — Cztery ogniwa tego samego łańcucha: prusactwo, militaryzm, judaizm, marksizm — Nie pokonawszy prusactwa poprzestano na pokonaniu Niemiec — Kto właściwie wygrał wojnę? — Gmatwanina zasad pokoju wersalskiego — Judaizm podczas wojny i po wojnie — Judeo-Polonja a sympatje pruskie — Walka z chrześcijaństwem i dzisiejsze antimurale christianitatis.

2. Państwo.

Brak haseł ogólnych podczas wojny powszechnej — Przestarzałość państwa t. zw. „prawnego", i niezgodność z parlamentaryzmem — Konstytucja złudzeniem bez odpowiedzialności urzędników — O siłę społeczną — Jak się państwa dzielą — Biuro-

kracja — Zaczyny nowej państwowości w Polsce podczas wojny — Kryterja stronnictw na przyszość — Zakres kompetencji o bezpieczeństwo życia i mienia — Granice samorządu — Trzy dziedziny państwa; żadna sprawa polityczna nie może być oddana autonomji — Federacja, unja, konwencje — Stany Zjednoczone europejskie a Liga Narodów — Który naród będzie pierwszym? — Militaryzm od Rosji i Prus — Jedyny sposób zniesienia militaryzmu; armja europejska wspólna nad Dnieprem — Wojsko, jako możliwe źródło siły społecznej — Samostarczalność — Współdzielczość w spółce narodów — Państwo nie może być cywilizowane na dwa sposoby.

3. Społeczeństwo.

Kołowanie rewolucyjności obecnej doby — Walka z chrześcijaństwem — Przyczyny i okoliczności usposobienia rewolucyjnego: utopje uczonych i utopje tłumu — Metoda zwalczania pewnego prądu przez zamienienie go na rządowy — Co miano do przeciwstawienia socjalizmowi? — Wiara o życiu zbiorowem — Religja uboczna ideałów — Dyrektywa a wolny wybór; twórczość pobudzona, a zastąpiona — Rozterka ubocznych religij, a dogmatyzm socjalizmu — Luka w psychologicznych potrzebach tłumu — Samouwielbienie tłumu — Ani tłum nie może być cywilizowany na dwa sposoby.

Autonomja warstw — Stosunek miasta a wsi; przykład z historji polskiej — Normalny a opatrzny ruch ludności — Rozwiązanie kwestji włościańskiej w mieście — Rolnictwo a przemysł — Kapitał a praca; walka Kościoła z kapitalizmem XV wieku — Żydzi — Ideał wsteczny socjalizmu — Jałowość socjalizmu w Polsce — Samouwielbienie proletarjatu.

Składniki bolszewizmu; turańskość, nihilizm, judaizm — Socjalizm a bolszewizm — Cywilizacja nasza musi zmierzać do usunięcia proletarjatu — Potrzeba nowych źródeł zarobkowych.

Współdzielczość. Jej uniwersalność — Zastosowanie do życia publicznego — Regjonalna, zawodowa, mieszana — Współdzielczość nie da dostatków, ni głupcom, ni leniwcom — Geografja, jako podstawa ogólnego wykształcenia — Współdzielczość a traktaty handlowe.

4. Cywilizacja.

Żadna sprawa publiczna nie może być załatwioną ku zadowoleniu kilku cywilizacyj — Neutralność cywilizacyjna niemożliwością — Likwidacja wieku XIX — Niema cywilizacji „europejskiej".

Pięć okresów pochodu dziejowego chrześcijaństwa — Horoskop okresu piątego — Niemcom i Czechom dogodniej stanąć przy cywilizacji bizantyńskiej — Polska musi należeć do obozu chrześcijańskiego.

Horoskopy europejskiej roztérki cywilizacyjnej. Możliwość odrodzenia cywilizacji bizantyńskiej — Od Niemiec do Grecji — Domieszki żydowskie w krajach łacińskich — Rozterka judaizmu — Nowe pojęcia własności i własnego kraju — Możliwość kultury bizantyńsko-żydowskiej — Judeolithuania.

Bierność bizantynizmu w walce o chrześcijaństwo, aktywność katolicyzmu — Koniec nieświadomości w walce o chrześcijaństwo — Kardynał Mercier — „Kościół św. Jana" — O rozwój nauk państwowych.

Wynik wnioskowań.

Dociekanie a wnioskowanie — O współpracownictwie nad budową nowej Europy — Cel specyficznie polski, by w Europie środkowej zapanowała wyłącznie cywilizacja łacińska — Jak się robi historję — Słowo od autora

Errata.

Tom I.

Str. 9 w. 7 od góry zamiast: w czem — czytaj: z czem
Str. 22 w. 10 od dołu zamiast postawić — pojawić
Str. 27 odsyłacz zamiast hatt — halt
Str. 27 w. 16 od dołu zamiast przestawioną — przedstawioną
Str. 37 w. 6 od dołu zamiast wysuwając — wysnuwając
Str. 39 w. 18 od góry dodać po „napór" — x.
Str. 39 w. 20 od góry zam. $2x = 5\dot{x}$ czyt. $2x - 5\dot{x}$.
Str. 69 w. 5 od dołu dodać: jednak (w przybliżeniu)
Str. 81 w. 8 od góry dodać po politycznego — znaczenia
Str. 89 w. 18 od góry dodać po klm. — kw.
Str. 93 w. 7 od góry zamiast 1824 — 1842
Str. 105 w. 4 od góry zam. posiadamy — posiadaliśmy przed wojną
Str. 106 w 5 od dołu dodać po klm. — kw.
Str. 116 w. 5 od dołu zamiast 1425 — 1423
Str. 116 w. 21 od dołu zamiast cadendae — cudendae
Str. 170 w. 8 od góry zamiast zewnątrz — wewnątrz
Str. 188 w. 13 od dołu zamiast 1820 — 1819.
Str. 228 w. 16 od dołu zamiast botaniki — geografji.

Tom II.

Str. 14 w. 2 od dołu zamiast 68 czytaj: 88
Str. 31 w. 3 od dołu zamiast 1400 — 1480
Str. 45 w. 13 od dołu zamiast Polski, zaś — Polski; skoro zaś
Str. 45 w. 12 od dołu zamiast Europy; — Europy,
Str. 49 w. 17 od dołu zamiast fizycznie — fizyczne
Str. 51 w. 9 od góry zamiast dać — dać się
Str. 53 w. 8 od góry zamiast przyszłości — przeszłości
Str. 64 w. 2 od góry zamiast 1274 — † 1274
Str. 78 w. 8 od góry zamiast po — pod
Str. 87 w. 12 od góry zamiast odsunięcia — odsunięcia się
Str. 117 w. 3 od góry zamiast Sarbstwo — Serbstwo
Str. 130 w. 5 od dołu zamiast Mążwydisa — Mażwydisa

Str. 150 w. 15 od dołu zamiast społeczeństwa — społeczeństw
Str. 158 w. 6 od dołu opuścić — i
Str. 174 w. 7 od góry zamiast złożone — ułożone
Str. 191 w. 12 od góry zamiast połocki — twerski
Str. 194 w. 9 od góry zamiast stosowne — stosowane
Str. 240 w. 10 od góry powinien brzmieć: a Polską porozumienie co do granic; w takim razie Rosja
Str. 261 w. 7 od dołu zamiast XV — XVI.
Str. 262 w. 3 od dołu zamiast **w** — **z**